

PRZEGLĄD POWSZECHNY

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

PRZEGLĄD POWSZECHNY



„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO”. Ps. 143.

ROK TRZYDZIESTY SIÓDMY. — Tom 147 i 148.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK,
LISTOPAD, GRUDZIEŃ

1920



KRAKÓW
DRUK W. L. ANCZYCHA I SPÓŁKI

Rozszerzenie własności prywatnej.

Trzeszczy i chwieje się nasza budowa społeczna. Spoczywa ona na podstawie własności prywatnej, lecz pod ten fundament podkopyje się wytrwale ideologia socjalizmu. Różnice, jakie dzielą różne partie socjalistyczne, dotyczą tylko bliższego programu, tylko taktyki i tempa usiłowań; cel zaś ostateczny, wspólny wszystkim odmianom socjalizmu, to obalenie prywatnej własności, to tak czy inaczej pojęty komunizm. Socjalista szczerzy i konsekwentny nie może w duszy być czem innem jak komunistą. Jeżeli jest inaczej, to jedynie dlatego, że nie wszyscy socjaliści są uświadomieni co do zasad swoich, nie wszyscy w nie wierzą, nie wszyscy są konsekwentni.

Nauka katolicka prawo własności uważa za prawo przyrodzone, a zatem boskie. Stąd między socjalizmem prawdziwym a chrześcijaństwem porozumienie niemożliwe. Ale katolicka socjologia nie ukrywa, że święte prawo własności, źle zrozumiane, rodzi wiele nadużyć. Już biskup Ketteler przed 70 laty przyznawał, że frazes Proudhona: *la propriété c'est vol* mieści w sobie coś z prawdy. Własność, w myśl prawa rzymskiego, przez renesans i liberalną ekonomję przeszczepionego na grunt nowych wieków, zrozumiana jako *ius utendi et abutendi*, sprzeciwia się prawu przyrodzonemu i zawsze przez Kościół potępianą bywała. Właśnie nie co innego, jak *abusus*, nadużywanie prawa własności, wyrażając się w wybujałościach kapitalizmu a krzywdzeniu nieposiadających, wywołało drugą ostateczność: komunizm i usiłowania podjęte dla jego urzeczywistnienia.

Że kapitalizmu nie zwalczy się zapomocą samych strejków i wymuszania przez pracujący proletarjat coraz to wyższych płac, chyba to już powinno się stać widocznem dla wszystkich. »Ruchy cennikowe« i bezrobocie to bynajmniej nie regularna z prawdziwym wrogiem bitwa. Przypominają one raczej ów biblijny filistyński obóz, w którym za ukazaniem się Jonaty takie padło na wszystkich zaślepienie, że »każdego miecz obrócon był na towarzysza jego i porażka stała się bardzo wielka«. Jonatą nowoczesnym to kapitalizm, lecz nowocześni filistynowie-proletariusze nie z nim walczą, lecz między sobą jedni z drugimi. Na podniesieniu płac nie kapitalizm traci, — on bowiem natychmiast podniesie ceny produktów i dlatego stosunkowo łatwo ustępuje przed wymuszeniem, — traci na niem szeroki ogół spożywców, czyli ostatecznie przedewszystkiem ci sami proletariusze-pracownicy. Kolejne zwycięstwa strejkowe różnych kategorii pracowników to tylko kolejne wzajemne odpychanie się od niepełnego żłobu. Ten na chwilę dostaje się do niego, kto ostatni w wysokości zarobków wysunął się na czoło masy tłoczących się; jutro już nowy zwycięzca jego miejsce zajmie. Strejki ani żłobu próżnego nie napęlnia, ani kapitalizmowi nie zmogą; owszem sprzyjają rozrostowi najwstrętniejszego jego wcielenia, jakim jest paśkarstwo, spekulujące właśnie na ciągłych podwyżkach płac. Jeżeli tych rzeczy nie rozumie walczący, a właściwie często próżnujący proletarjat, to zaiste padła nań filistyńska ślepotą.

Nie można chyba powiedzieć, żeby tak ślepyimi byli agitatorzy i przewodnicy proletarjackich mas. Nie dlatego oni podżegają do strejków, by naprawdę polepszyć na trwałe byt pracujących klas, lecz aby wywołać ogólne niezadowolenie i rozstrój i wśród rozstroju obalić własność prywatną. Niezadowoleni będą ci pracownicy, którzy wciąż uzyskując zwyżki płac, wciąż czerpią od rosnącej drożyzny produktów; jeszcze bardziej będą niezadowoleni inni, którzy — jak wielka część inteligencji — wciąż są spychani na szary koniec przy żłobie. I w jednych i w drugich wzmówi się wtedy łatwiej, że winną wszystkiemu prywatna własność; u rozczarowanych a rozzuchwalonych tłumów łatwo się znajdzie posłuch dla teorii dyktatury proletariatu, jako jedynej furty do zamkniętego ziemskiego raju. Że komunistyczny eksperyment będzie kosztował wiele krwi i to nie tylko »burzyskiej«, że pogrzebie w zgłiszczach naukę i kulturę, że do ruiny

Wprowadzi społeczne gospodarstwo i sam proletarijat pograży na długie czasy w ostatecznej nędzy, że zarobią na nim tylko zręczni spekulanci semickiego przeważnie pochodzenia, wytwarzając nowy rodzaj »arystokracji« — tego wszystkiego po doświadczeniach gdzieindziej już zrobionych należałoby się i u nas napewno spodziewać, ale na to wszystko mało reflektuje proletarijat, zmierzający ku »zwycięstwu i panowaniu«.

Miejmy w Bogu nadzieję, że u nas nie dojdzie do bolszewizmu. Przeciwno agitacji radykalnej budzi się odruch potężny szerokich kół społeczeństwa, pragnących zachowania ładu i pokojowego rozwoju stosunków społecznych. Możliwość powstania takiego »Stowarzyszenia Samopomocy społecznej«, ratującego normalne życie stolicy podczas długotrwałego strejku, pozwala nam pogodniej spoglądać w przyszłość.

Ale gdy rozumniejsza i bardziej patriotyczna część społeczeństwa boryka się przeciwko usiłowaniom społecznego przewrotu, prawodawstwo winno dążyć do gruntownych reform, któreby wiązania społeczne umocniły na przyszłość. Do takich reform zaliczamy rozszerzenie prawa własności na jak najszersze masy ludności. W wiekopomnej encyklice Leona XIII »Rerum novarum« z r. 1891 znajduje się ustęp, który mniej niż inne wysuwa się w programach pracy społecznej, a który uważamy za niezmiennie doniosły w naszych zwłaszcza czasach. Mianowicie, w myśl Ojca świętego, ustawy winny sprzyjać temu, aby »jak najlichniesza część ludności zapragnęła zdobyć własność« (*ut quam plurimi ex multitudine rem habere malint*). Te słowa papieskie, jak z jednej strony są najlepszem odparciem zarzutu, jakoby Kościół pracującym i wydziedziczonym wskazywał na pociechę tylko niebo, tak z drugiej strony zobowiązują obóz katolicki do działania w tym kierunku, aby posiadłości i bogactwa nie skupiały się w rękach nielicznych jednostek, lecz rozdzielały się coraz szerzej między ogół, aby tym sposobem nastąpił »słuszniejszy podział dóbr« (*aequior partitio bonorum*). Droga do tego słusznego podziału nie ma być gwałtowne wydziedziczanie jednych, a obdarowywanie drugich, bo zasada własności musi pozostać, jako święta i nietykalna podwalina ustroju społecznego. Papież pragnie, aby robotnik własną oszczędnością i zabiegliwością przy życzliwym poparciu ustaw doszedł sam do polepszenia swej doli. W tej myśli uważa taką płacę robotniczą za słuszną

i pożądaną, z którejby pracujący mógł nie tylko żyć z rodziną, ale, jeśli jest moralny i oszczędny, także coś odłożyć na nabycie jakiejś własności. Oczywiście mądre ustawy winny dopomóc pracującym, jak w czynieniu oszczędności, tak i w nabywaniu własności.

Te wskazówki papieża robotników uważamy dziś za najbardziej aktualne. Przed rokiem na krakowskim zjeździe oświatowym P. P. S. uznano za potrzebne, między innemi, pracować nad wychowaniem proletariatu w ideologii socjalizmu. Uchwalono przytłumiać w masach instynkt prywatnej własności, a kształcić zmysł posiadania wspólnego, socjalizacji dóbr, słowem wychowywać lud dla ideałów komunizmu. Uczestnicy zjazdu i autorzy tej propozycji zapewne zdawali sobie sprawę z trudności takiego kształcenia mas. Instynkt własności jest tak głęboko w naturę ludzką wkorzeniony, że chyba zbyt wiele namozolić się będzie trzeba, zanim się go z niej wyrwie. Powodzenie socjalizmu polega podobno głównie na tem nieporozumieniu, że gdy oficjalny jego program prowadzi do zniesienia prywatnej własności wogóle, to większa część jego adeptów i nowicjuszków marzy o wydziedziczeniu kapitalistów, obszarników, wogóle bogatych, ale na to tylko, by obdarować odebranem mieniem dzisiejszych proletariuszów. Ani idea kooperatyw rolniczych, ani socjalizacja przemysłu nie przemówi tak mocno do wyobraźni fornała czy górnika, jak podział pańskiej ziemi lub oddanie na własność robotnikom kopalni czy fabryki.

Jeżeli nielatwą, bo naturze przeciwną, jest rzeczą zaszczerpiecie w duszach ludzkich całkowitych zasad komunizmu, to nie łatwiejszego, jak umocnienie w tychże duszach żywiołowego pociągu do własności osobistej. Ale kształci się i umacnia ten pociąg u tych przedewszystkiem, którzy własność jakąś posiadają. Nie można bowiem uczyć szanować i kochać własności tylko cudzej. Stąd za najsilniejszą tamę przeciwko falom wywrotowym uważalibyśmy rozszerzenie własności prywatnej na jaknajszersze masy proletariatu zarówno wiejskiego, jak zwłaszcza miejskiego i dlatego każdy projekt ustawodawczy, który do tego zmierzać będzie, bez podkopania zasady prywatnej własności i bez obniżenia produkcji rzeczy potrzebnych, będzie zasługiwał na poparcie uświadomionych katolików.

Że socjalizm, o ile nie ukrywa nic ze swych zasad, nie ma

dostępu do klasy chłopskiej, wiemy o tem z bliskiego doświadczenia. Tak jest zresztą wszędzie. W Rosji komunizm zatrzymał się u granicy wsi. Niepowodzenie swe przy ostatnich wyborach we Francji socjaliści tem właśnie tłumaczą, że dobrobyt ludności wiejskiej podniósł się tam znacznie podczas wojny. Praktyczny stąd wniosek, że chcąc mieć więcej zwolenników, partja winnaby nie dążyć do dobrobytu szerokich mas, ale przeciwnie temu dobrobytowi przeszkadzać, aby mieć jaknajwięcej niezadowolonych. Naodwrot, kto pragnie skutecznie walczyć ze socjalizmem, niech się stara o zmniejszenie kadrów proletariatu wiejskiego, wśród którego socjalizm posłuch znajduje. Tworzenie więc własnych gospodarstw dla bezrolnych zdaje się należeć do wskazań rozumnej polityki gospodarczej.

Własność rozszerzać trzeba zwłaszcza wśród proletariatu miejskiego, do którego zaliczamy robotników fabrycznych i kopalnianych. Pomiedzy wsią a miastem pogłębia się przepaść, nie mniejsza podobno jak między kapitalizmem a proletariatem wogóle. Przepaść tę częściowo wyrównać mogłoby uniezależnienie do pewnego stopnia miast i centrów fabrycznych od wsi pod względem aprowizacyjnym. W tym celu pożądanem byłoby krzewić wśród klasy roboczej ideę zakładania własnych małych gospodarstw ogrodowych, któreby przynajmniej w części dostarczały potrzebnych produktów. Przy ośmiogodzinnym dniu pracy mógłby robotnik wraz ze swą rodziną znaleźć jeszcze chwilę dla swojego miniaturowego gospodarstwa. Doświadczenia, poczynione podczas wojny, z wydzierzawianemi na ten cel działkami w pobliżu miast, wydały dość dobre rezultaty. Należałoby ułatwić wszystkiemi sposobami budowę w pobliżu miast i fabryk nie tyle wielkich koszar robotniczych, ile raczej małych otoczonych ogrodem domków dla poszczególnych rodzin na ich własność. W tym celu mogłoby państwo interwenjować, już to dostarczając pragnącym zdobyć taką własność koniecznych kredytów, już to w razie konieczności zmuszając nawet właścicieli wielkich podmiejskich posiadłości do parcelacji potrzebnych pod domki robocze gruntów. Oczywiście nie usunie to wszelkich tarć społecznych i zawiści; bądź co bądź jednak robotnik, przywiązany do swego kawałka ziemi, nie tak łatwo będzie podatny na wywrotową agitację.

Popieranie własności wśród rzesz roboczych pożądanem jest jeszcze w innym kierunku. O ile odpornie odnieść się należy do

pomysłu socjalizacji fabryk i kopalń, co spowodziłoby, jak doświadczenie uczy, tylko ich upadek a demoralizację robotnika, to zapewnienie robotnikowi jakiegoś udziału w zyskach przedsiębiorstwa byłoby bardzo wskazane. Wzmogłoby to pracowitość robotników i wzajemne tępienie próżniactwa, gdyż wszyscy mieliby interes w tem, aby przedsiębiorstwo się opłacało i jeden drugiemu nie pozwoliłby próżnować; prawdopodobnie ograniczyłoby się tym sposobem liczbę strejków. Ten system — dopuszczania robotnika do udziału w zyskach, omawiany teoretycznie w traktatach socjologii chrześcijańskiej, zastosowany został już z dobrym wynikiem przez wielkiego przemysłowca Harmela, czerpiącego natchnienie do doświadczeń społecznych w encyklikach Leona XIII. Czy państwo nie mogłoby ustawowo tego systemu poprzeć? Przytem należałoby popierać, zamiast wypłat zysków w gotówce, raczej nabywanie przez robotnika udziałów samegoż przedsiębiorstwa, w którym pracuje i którego tym sposobem stawałby się współwłaścicielem. Ustawa mogłaby nawet przewidzieć i wprowadzić pewien pod tym względem dla obydwóch stron przymus. Akcje takie mogłyby służyć za środek do nabycia własności rolnej i zbudowania domku mieszkalnego, o jakich wyżej mówiliśmy.

Oto parę luźnych myśli, jakie się nasuwają, kiedy się obserwuje obecne naprężone społeczne stosunki, a jednocześnie czyta się wskazania Leona XIII o »aequior partitio bonorum«. Czy nie czas, aby ten punkt encykliki uwypuklono w programach naszych organizacji chrześcijańsko-społecznych? Jakaż bowiem atrakcję namacalną dadzą te organizacje robotnikowi, jeśli polepszenie jego doli widzieć będą tylko w »ruchach cennikowych« bez pozytywnej perspektywy, że ten robotnik dojdzie do posiadania na stałe jakiejś własności, którą i swym dzieciom będzie mógł pozostawić w spuściźnie? Sądźmy, że wysunięcie w programach chrześcijańskiej demokracji konkretnych dążeń do zabezpieczenia robotnikowi udziału w zyskach, do tworzenia własnych drobnych gospodarstw, budowy domów mieszkalnych, obok zabezpieczenia na wypadek choroby, starości etc. — najskuteczniej pomoże odciągnąć proletarjat z pod sztandaru czerwonego nienawiści i walki klas pod sztandar chrześcijańskiej sprawiedliwości i harmonji społecznej.

Ks. Jan Urban.

Y. M. C. A. a katolicka młodzież.

Dnia 8 czerwca w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego przemawiał Dr. Mott, sekretarz związków młodzieży akademickiej, wchodzących w skład wielkiego Stowarzyszenia Y. M. C. A., którego dobroczynna działalność na rzecz żołnierzy i jeńców wojennych w naszym kraju i poza jego granicami nadto jest znana, by ją tu omawiać. Należy się też niekłamana wdzięczność filantropom amerykańskim, którzy hojnemi datkami wspierają dzieło tak humanitarne. Toteż entuzjastyczne przyjęcie, jakie zgłosiła Dr. Mottowi licznie w auli zebrana młodzież było szczerym wyrazem tej wdzięczności.

Zagałę posiedzenie rektor uniwersytetu prof. Estreicher, który w wymownych słowach podniósł znaczenie ścisłej naszej spójni z obywatelstwem Stanów Zjedn. Ameryki Północnej i usposobił słuchaczy życzliwie względem odnośnych propozycji Dra Motta. Wskazał też na istniejące oddawna rodzime wzory związków uniwersyteckich, Filaretów i Filomatów, które mając cele podobne do ideologii wszechświatowego studentów zrzeszenia, mogą stać się węzłem naszego z niem zjednoczenia.

Następnie przemówił po angielsku Dr. Mott, a tłumacz umyślny nader zrećnie przekładał jego słowa na polskie. Dr. Mott mówił wolno i dobitnie, podkreślając plastycznymi gestami silniejsze ustępy. Po wstępnych, sympatycznie przyjętych oświadczeniach, nakreślił mowca ponury obraz zgrozy wojennej, której po wielekroć zbliżka był się przyjrzał, i idącej w ślad za nią ogólnej depresji życiowej. Runęły wszystkie ostoje dotychczasowego

porządku rzeczy. Pozostała tylko masa bezkształtna, ale formować się dająca, bo plastyczna. Skruszył się świat, a skrucha początkiem nowego życia, które wnet z gruzów dźwigać się pocznie. Szczęśliwymi mienił mowca tych ludzi, którym dano żyć w dobie obecnej i przyczynić się do wielkiego dzieła odrodzenia. Wielkie dzieło wielkiego wymaga poświęcenia. Trzeba zapomnieć o sobie, dając się pochłonać szczytnej idei. Trzeba zapomnieć o przeszłości, z silną wiarą wizjonera budując jutro. Do tej pracy w pierwszym rzędzie powołana jest młodzież, bo do niej jutro należy, młodzież akademicka, bo jej przewodniczyć wypadnie. Ale dzieło odrodzenia świata ogromem swym przewyższa słabe siły człowieka. Potęga tkwi we współdziałaniu, po natchnienie trzeba iść do Chrystusa. Nie w ciasnych pętach dogmatyzmu lub kościelnych zamiar ten dojrzeje. Nie każdemu dano wierzyć, wszyscy natomiast jednoczyć się powinni pod hasłem współdziałania, zapatrzeni w ideał Chrystusa, wybawienie świata. Kupiący się dokoła niego związek młodzieży akademickiej ogarnął świat cały; czas, by i w Polsce zapuścił korzenie. Jest to związek wszechświatowy, który jednak w niczem nie uwłacza przymiotom narodowym. W Polsce polskim będzie, jak w Indiach indyjskim jest. Ku pracy zatem wspólnej garnij się młodzieży, ku ideałom!

Huczne oklaski były odpowiedzią na wymowne słowa. Osobno dziękował przedstawiciel młodzieży Dr. Mottowi za przemówienie, które znalazło oddźwięk w duszach młodzieży polskiej, zdawna jednoczącej się pod godłem cnoty obywatelskiej i pracy dla kraju. Następnie, uproszony przez p. rektora, Dr. Lewicki pouczał zebranych o istniejących w Polsce bez przerwy do wybuchu wojny tajnych związkach młodzieży, które obecnie jawnie się organizują. Nie mamy przeto, powiadał, potrzeby zapożyczania wzorów od obcych, posiadając własne, rodzime. W toku są prace przygotowawcze do rozszerzenia tych związków na całą Polskę. W końcu prof. Estreicher raz jeszcze dziękował w imieniu zebranych Dr. Mottowi za tak podniosłe słowa, jakie dotąd jedynie od ołtarza zwykliśmy słyszeć.

Co sądzić o propozycji Dra Motta, jakie wobec niej zająć stanowisko? Nie posiadamy pod ręką oryginału statutu stowarzyszeń, o których nam Dr. Mott mówił; polska kartka, agitująca za Y. M. C. A., wydana w Warszawie, na której zamiast tytułu

widnieje wielki znak zapytania, zbyt jest krótką i ogólnikową. Ale wpadła nam do rąk broszura, wydana niedawno przez »Bureau Catholique de Presse« w Paryżu, która nam odsłania źródła, z jakich czerpie natchnienie i cele dalsze, do jakich prowadzi w swej działalności, zresztą tak płodnej, rzeczono stowarzyszenie. Tytuł broszury brzmi: *L'Effort protestant à Rome et en Italie*; napisana zaś jest przez ks. J. B. Freya, dyrektora seminarjum francuskiego w Rzymie. Autor wydrukował na wstępie list własnoręczny papieża Benedykta XV. Ojciec św. dziękuje mu za poparte datami i dokumentami studjum, wyświetlające zgubną działalność sekt i stowarzyszeń protestanckich, przeciwko Kościołowi katolickiemu we Włoszech, a nadewszystko w stolicy chrześcijaństwa, zwróconą. Wyraża gorące pragnienie, aby katolikom włoskim otwały się oczy na niebezpieczeństwo grożące ich wierze i prosi usilnie katolików innych narodowości o poparcie dzieła »Ochrony Wiary« ¹⁾. Otóż w broszurze Frey'a znajdujemy ciekawe szczegóły, dotyczące Y. M. C. A. i pokrewnych mu związków. »Young Men's Christian Association« powstała w Londynie jako międzynarodowy związek młodzieży. Obecnie w skład jej wchodzi około 8500 stowarzyszeń, rozgałęzionych po całym świecie, zwłaszcza w Anglii, w Stanach Zjedn. i w Indjach, które razem liczą do miljona członków. Godłem jej trójkąt wierzchołkiem na dół zwrócony z wpisanymi zgłoskami Y. M. C. A. Rozporządza znacznymi środkami, cieszy się poparciem osób bardzo wpływowych, po największej części protestantów. Zadaniem jej »przyczynić się do rozwoju duchowego, moralnego, umysłowego i fizycznego młodzieży. W tym celu oddaje na usługi swych członków czytelnię, bibliotekę, salę gier i gimnastyki; urządza konferencje, badania biblij, pogadanki, poufne zebrania i przyjęcia, kursa i lekcje, seanse muzyczne i literackie, wycieczki sportowe i przechadzki«. Podejmuje ona gościnnie członków zamiejscowych, wszystkich zaś bez różnicy narodowości i wyznania zaprasza w celu udzie-

¹⁾ Zadaniem tego Dzieła, założonego przez Leona XIII w r. 1902, które Pius X licznymi obdarzył odpustami, jest zwalczanie propagandy protestantyzmu w Rzymie i praca nad ustrzeżeniem wiary jego mieszkańców od zakażenia błędami heretyckimi. Papież niejednokrotnie wyrażał pragnienie, by Dzieło to stało się powszechnem. Dotąd tylko Hiszpanja i katolicka Holandja odpowiedziały wezwaniu. Złuszczą Holandja hojnemi zasila je datkami.

lenia im »wszelkich pożądaných wskazówek«. Y. M. C. A. obejmuje członków zwyczajnych, nadzwyczajnych, młodszych (poniżej lat 16) i honorowych. Charakter protestancki Związku uwydatnia się w samychże jego ustawach, w myśl których tylko »należący do kościołów ewangelickich« mogą być członkami zwyczajnymi (francuska broszura zwie ich »effectifs«), a tym jedynie przysługuje prawo wybierania do wydziału i przyjmowania nowych członków. Katolicy, »których współdziałania Związek usilnie pragnie«, mogą stać się tylko nadzwyczajnymi jego członkami (associés). Tem samym wpływ ducha protestanckiego na Związek jest zapewniony. Nadto osobna uchwała, powzięta na międzynarodowym Walnem Zgromadzeniu Y. M. C. A. w Portland (Me), orzeka, że chrześcijański charakter Związku wymaga, aby kontrola nad jego działalnością i kierunek tejże spoczywały w ręku wyznawców Chrystusa, będących członkami kościołów ewangelickich, t. j. takich, których wyłącznem prawidłem jest Pismo św. Stanowi też, że związkowi, w przyszłości powstać mającym, przysługiwać będzie prawo do przedstawicielstwa na Walnem Zgromadzeniu Y. M. C. A. Ameryki Północnej pod warunkiem, że młodzież do nich należąca »pozostawać będzie w jedności z kościołami ewangelickimi«, przyczem jednak różnice wyznań w obrębie tychże kościołów nie będą miały wpływu na mianowanie członków i obsadzanie urzędów. Że duch protestancki Y. M. C. A. nie pozostaje nieczynnym, o tem świadczy między innemi i to, że w Rzymie konferencjom biblijnym, objętym przez program stowarzyszenia, z reguły przewodniczą pastrowie różnych wyznań. Y. M. C. A., pragnąc rozszerzyć swój wpływ na wszystkie klasy społeczeństwa, zakłada różne pomniejsze stowarzyszenia i dzieła, jak np. towarzystwa gimnastyczne dla dzieci i młodzieży, towarzystwa sportowe, skauty, patronaty, różnego rodzaju szkoły, także wieczorne, otwarte dla wszystkich bez różnicy, w których za nieznaczną opłatą dana im jest możność uzupełnienia swych wiadomości.

Żeńskim odpowiednikiem Y. M. C. A. jest Y. W. C. A. (Young Women's Christian Association), założona w r. 1855 w Londynie, gdzie dotąd znajduje się siedziba jej Wydziału międzynarodowego. W skład jej wchodzi obecnie 7000 związków i pół miliona stowarzyszonych. Związek ten daje podobne korzyści, jak Y. M. C. A., tenże duch w nim panuje. »Chrystus jego

natchnieniem, Ewangelja przewodniczką«. Członkami zwyczajnymi mogą być tylko protestantki, katolicki zaś dopuszcza się w charakterze nadzwyczajnych. Towarzyski schodzą się kilkakroć tygodniowo, »nietylko w celu spędzenia kilku miłych godzin, lecz także pokrzepienia ducha za pomocą dobrej lektury, muzyki i śpiewu, konferencyj na temat spraw leżących i religijnych oraz czytania biblij. W r. 1910 prezesem związku rzymskiego był p. William Burgess, biskup metodystyczny, a od r. 1918 w. mistrz honorowy masonerji obrządku szkockiego. Y. W. C. A. zakłada »Ogniska« dla panienek, zmuszonych dla swych obowiązków przebywać zdala od swych rodzin, gdzie za skromną opłatą otrzymują mieszkanie i pożywienie i słuchają nauk »ewangelicznych«. Gdzieś tam też Y. W. C. A. otwiera biura stręczeń. Największem uznaniem cieszą się powszechnie dzieła Y. M. C. A. — bo do tego wracamy — na rzecz żołnierzy. Zagraniczne związki żołnierskie (Ogniska) ofiarują swym członkom znaczne korzyści i nie zaniebują niczego, by im uprzyjemnić pobyt w swem gronie. Żołnierz znajdzie tam salę do korespondencji, gdzie dostarczają mu darmo papieru listowego i kartek, czytelną dobrze zaopatrzoną, przybory gimnastyczne, częstokroć nawet bufet, gdzie za tanie pieniądze może się pokrzepić. Nie zaniebują się wszakże i propagandy religijnej przez rozdawanie biblij, ewangelij, traktatów różnego rodzaju i przez konferencje, na których przemawiają pastrowie. Podobnie w Gospodach żołnierskich panuje duch protestancki. Opieka nad jeńcami wojennymi była też obficie zaprawiona propagandą.

W. 1895 założyła Y. M. C. A. Stanów Zjedn. związek młodzieży akademickiej, World's Student Christian Federation. Zależne odeń włoskie stowarzyszenie akademików stawia sobie za cel popierać poważne badania nad kwestją religijną, głównie pod względem społecznym i naukowym, a w szczególności nad historją chrześcijaństwa, w zamiarze pogłębienia życia i czynu religijnego młodzieży. W myśl tego programu, związek »nie pozostaje w stosunku zależności do żadnego z kościołów, lecz łączy go węzły bratnie ze wszystkimi dziełami ewangelicznymi, a zwłaszcza z Y. M. C. A.« Członkami zwyczajnymi mogą być »wszyscy profesorowie i uczniowie szkół wyższych i średnich, którzy pochwalają dążności i cel stowarzyszenia«, nadzwyczajnymi zaś »wszyscy ludzie kulturalni, którzy interesują się badaniami reli-

gijnemi». Organ włoskiego związku, miesięcznik *Fede e Vita*, czyni następujące mniej więcej wyznanie wiary: Dzieło nasze jest niezawisłe od wszelkiej powagi kościelnej, uważamy bowiem kościoły istniejące za organy doświadczenia religijnego i przyznajemy się do nich jedynie jako wolni wyznawcy, którzy zbadawszy poprzednio przekazaną przez tradycję i autorytet religiję, przyswajamy sobie jej treść, przeżywając ją. Pojmując tedy chrześcijaństwo jako wiarę i życie, wnosimy się poniekąd ponad różnice dzielące chrześcijan różnych obozów i nie uwłaczając w niczem naszej względem nich lojalności, kupimy się dokoła Wiary i Życia, aby się uzupełniać wzajemnie i stworzyć potęgę odradzającą i jednoczącą.

Nie da się zaprzeczyć, że echa tych haseł rdzennie protestanckich, a jeśli kto chce modernistycznych: wolne badanie, wolna wiara, nieskrepowana pętami dogmatyzmu i Kościoła, brzmiały również w mowie krakowskiej Dra Motta. Zwracamy uwagę na podkreślone przez nas słowa w streszczeniu jego mowy.

Powraca więc pytanie, jak się ma zachować nasze polskokatolickie społeczeństwo i nasza młodzież wobec Y. M. C. A. i wobec pokrewnych temu stowarzyszeniu organizacyj?

Najpierw, z całym naciskiem trzeba powtórzyć, że ujmować zasług Y. M. C. A. na polu społecznym i humanitarnym byłoby i niesprawiedliwością i niewdzięcznością. Dalej, nawet ze stanowiska wiary cieszyć się wypada szczerze, że gdzieindziej — w świecie protestanckim — tyle dobrego się czyni z natchnienia i pobudek religijnych, że tylu szlachetnych ludzi, pomnych rady Chrystusowej, czyni sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości. Nie ulega też wątpliwości, że wiele możemy skorzystać od omawianych amerykańskich stowarzyszeń młodzieży. Już to samo jest dla nas nie bez korzyści, że my, którzy często wyobrażamy sobie, iż w krajach prawdziwie kulturalnych religia się przeżyła i wpływu na życie praktyczne nie wywiera, naraz dowiadujemy się, że ludzie najbardziej cywilizowani nie wstydzą się przyznawać do Chrystusa i w ewangelji szukać oparcia dla praktycznego życia. Nadto możemy uczyć się od nich celowej, praktycznej i sprężystej organizacji, która pod hasłem, że w współdziałaniu tkwi potęga, skupia siły rozbieżne i zestrzela w ognisko pracy obywatelskiej nad odrodzeniem narodu. Zdrową jest też myśl, aby młodzież akademicka, mająca przewodniczyć tej pracy,

uświadomiła sobie to zadanie zawczasu i zaprawiała się do niej przez wyrobienie fizyczne, umysłowe i moralne. Podobnych wezwań i wskazań nigdy u nas nie brakło, a nigdy ich dosyć w narodzie, w którym hipertrofia uczucia nieraz w zarodku tłumi czynność rozumną, stanowczą, wytrwałą. Zawstydza nas w tym względzie młodzież protestancka, która mniejsze i na ogół mało skuteczne mając na usługi środki religijne, wysiłkami woli większych nieraz niż my dokonywa czynów.

Przyznając te i inne jeszcze zalety i zasługi amerykańskich stowarzyszeń młodzieży, uważamy — wszakże za rzecz konieczną poczynić zastrzeżenia co do przeszczepiania ich żywcem na nasz grunt katolicki. Przedewszystkiem czujemy się niemile dotknięci pewnym niezbyt sympatycznym sposobem traktowania nas przez apostołów Y. M. C. A., mianowicie traktowania nas jako gleby dziewiczej, na której dopiero siał potrzeba ziarno ewangeliczne. Mianowicie i z wystąpienia Dra Motta wyczuwało się i w innych krajach to samo zauważono, że protestanci misjonarze, zjawiający się w krajach katolickich z propagandą swoich organizacji, zdają się ignorować istnienie organizacji katolickich, jakby te chrześcijańskimi nie były. I dziwimy się, że Dr. Lewicki, dając dowód istnienia u nas stowarzyszeń młodzieży, wskazał tylko na Filomatów, a zaniechał poinformować Dra Motta o istnieniu tylu innych związków młodzieży wszystkich stanów, nie wyłączając akademickiej, zorganizowanych na podstawach ewangelji pod kierunkiem Kościoła katolickiego. Możeby amerykański mowca, a nawet jego polscy słuchacze zachwiali się wtedy w przekonaniu o konieczności tworzenia nowych »chrześcijańskich« związków, a uznali za rzecz bardziej wskazaną poprzec, rozbudować, ożywić stowarzyszenia już u nas istniejące, katolickie, korzystając tylko z niejednego doświadczenia związków protestanckich, w szlachetnej z nimi emulacji. Zdaje się, że mamy prawo do pewnego poczucia honoru, które nie powinno dopuścić, by nas traktowano jako kraj misyjny. Naród polski oddawna cieszy się posiadaniem skarbów chrystjanizmu, strzeżonych przez powołane do tego czynniki, i kto chce poznać bliżej Chrystusa i jego naukę, nie potrzebuje się aż za morze udawać.

Ale nietylko za niepotrzebne uważamy tworzenie u nas oddziałów protestanckich stowarzyszeń religijnych, — uważamy je

za wprost dla wiary niebezpieczne. Chcemy wierzyć w to, o czem nas warszawska odezwa Y. M. C. A. zapewnia, mianowicie, że organizacji tej nie chodzi w Polsce »o propagowanie nowych religij lub nowych przekonań«. W subiektywnem przekonaniu apostołów takich organizacji może się rzecz tak przedstawiać; w rzeczywistości będzie inaczej. My, katolicy, nie pojmujemy chrześcijaństwa prawdziwego i całkowitego w oderwaniu od «pęt dogmatycznych», od Kościoła, od tej opoki, na której Chrystus swój Kościół zbudował, i dlatego uszczęśliwianie naszej młodzieży koncepcją chrześcijaństwa, »niezawisłego od wszelkiej powagi kościelnej«, chrześcijaństwa, w którym do Kościoła się wchodzi w charakterze »wolnego wyznawcy«, szukającego najwyższego kryterjum prawdy religijnej w »wewnętrznem doświadczeniu«, będzie karmieniem nas namiastką prawdziwego chrystjanizmu, dobrą na pustkowiu błąkań się protestanckich, zbytęzną, szkodliwą w «domu chleba». Zresztą sam związek Y. M. C. A. i jego rozgałęzienia dalekie są od równorzędnego traktowania nas, katolików, ze sobą. Wszak katolickim członkom swoim przyznają tylko charakter członków jakby drugiego rzędu, wszak centralny swój zarząd wiążą z wyznaniem »ewangelickiem«. Czy nie stwarzają tem samem dla katolickich swych filjacji pokusy, by oderwać się od katolickiego pnia i stanąć na gruncie »samej ewangelji«, aby zyskać równouprawnienie w stowarzyszeniu? Dlatego obawiamy się również o wyznaniową przyszłość tych naszych, dotąd katolickich organizacji, które, jak to doniosły dzienniki o niektórych związkach harcerskich, już zgłosiły swój akces do międzynarodowej Y. M. C. A.

Zapewne międzynarodowe zrzeszenie młodzieży jest ze wszech miar pożądane. Ale i ono da się osiągnąć niezależnie od protestanckich organizacji. Idea powszechnego braterstwa nie jest nowa: wypielegnowały ją katolickie uniwersytety średniowieczne. I dziś, dlaczego polskie stowarzyszenia młodzieży wierzącej miałyby się raczej łączyć z protestancką Y. M. C. A., a nie z francuską, na przykład, tak wspaniale rozwijającą się »Association de la jeunesse catholique«? Ze związkami protestanckimi możemy współdziałać przyjaźnie, gdy chodzi o cele filantropijne, — na takie współdziałanie patrzymy z radością w dziele ratowania dzieci po wojnie, — ale kiedy chodzi o urabianie religijnego światopoglądu, wtedy wołamy: baczność! Jeżeli jesteśmy wie-

rzącymi katolikami, to pierworodztwa swego nie możemy narażać na utratę za miskę korzyści, które nam obiecują. W romańskich krajach koła kierownicze i wpływowe katolickie odpornie się zachowują wobec protestanckich infiltracji, przeciskających się pod formą oświatową i filantropijną. Przytoczone powyżej słowa Benedykta XV do ks. Frey'a uważamy za przestrożę, zwróconą nietylko do włoskich synów Kościoła. Czy istnieją dostateczne rękojmie, że nam od bliskiego kontaktu z ewangelickimi stowarzyszeniami nie grozi, jak we Włoszech, powolna protestantyzacja zapatrywań religijnych?

Dlatego *caveant consules!*

Ks. Marjan Morawski.

Z walki o tron władczy przemyski.

W szkicu »Władyka Krupecki w walce z dyzunją« ¹⁾ prześledziliśmy perypetje tej walki o tron władków przemyskich aż do zgonu unickiego biskupa Krupeckiego. Z jego śmiercią wszakże nie uspokoiła się diecezja. Zdawało się wprawdzie, że schizmatycki rywal Krupeckiego, Winnicki, odniósł zwycięstwo; nie było ono wszakże ostatecznem, gdyż na polu pozostał nowy przeciwnik, następca Krupeckiego Chmielowski, który bynajmniej nie myślał o złożeniu broni.

Zawładnięcie przez Winnickiego skarbcem władczym i obdarcie nawet trupa Krupeckiego z kosztowności mogło się wydawać symbolem opanowania biskupstwa. Do skarbcza i do odznak władczych staroświeckich przywiązywano w owych czasach niezmierną wagę; strzeżono też ich, jak oka w głowie. Toż nie ufając także i przemyslanom, kazał Winnicki jedną część skarbcza umieścić w dobrze opatrzonej Walawie, drugą zawiózł ze sobą do Sambora ²⁾. Już atoli w czerwcu z powodu niebezpieczeństw, w jakich pozostawała Rzpta (klęska pod Batohem), nakazał on Szeptyckiemu przywieźć skarb z powrotem z Sambora do Przemysła. Okazało się, że wystawił tym sposobem kosztowności na nowe niebezpieczeństwo. Wieziono skarbiec na ośmiu wozach. Gdy kawalkata mijała granicę Byskowic (zapewne dzisiaj Busowice)

¹⁾ Zob. Przegląd Powszechny, tom 141—142, str. 365.

²⁾ Być może, że tu mowa o Nowem Mieście, gdyż obok tegoż rozciągały się dobra monasterskie, zajęte przez Winnickiego.

i Wojutycz, uderzyli na nią zwolennicy władzy Chmielowskiego i odbili część skarbcza, oszacowanego jako szkodę poniesioną przez Winnickiego na 50.000 złp., nie licząc zabranej gotówki 4.300 złp., sukien męskich i żeńskich ¹⁾).

W ten sposób już w miesiąc po zajęciu katedry przemyskiej przez Winnickiego był Chmielowski w posiadaniu części skarbcza katedralnego. Oczywiście Winnicki na podstawie swych przywilejów pozwał przeciwnika przed sąd sejmowy, ale gdy wysłał tym celem swoich ludzi z przywilejami, dokumentami i mandatami, dotyczącymi całej sprawy, uderzyli na posłów w lasach kowalkowskich słudzy Chmielowskiego tudzież Józefa i Janusza Krupeckich i odebrali je od posłów znienawidzonego przeciwnika ²⁾). Nie dość na tem, Chmielowski postanowił odbić Walawę i zabrać tameczny skarbiec Winnickiego, co też we wspólnie z Adamem Krasickim 14 września 1651 r. wykonał.

Zastosowano do zamierzonego dzieła metodę ostrożnego i podstępnego Winnickiego, w którym to celu wszedł do Walawy przyjazny Chmielowskiemu, Krasicki, przebrawszy swych wieśniaków w strój dragoniński, podstąpił wraz z nimi pod okopy walawskie i z okrzykiem »ha!aj! ha!aj!« usiłował szturmem zająć Walawę. Wszakże ostrożny Winnicki obmyślił i na taki wypadek obronę. Na okopach stały działka, przy nich dużo zgromadzonych na odparcie wieśniaków, których pod pozorem niebezpieczeństw, grożących Rzpltej, zgromadził obrońca tutaj wraz z dziećmi i żonami. Te tłumy ludu właśnie ułatwiły zdobycie Walawy. Zaraz też po zajęciu jej, dragoni pod Nestorowiczem, Wojarskim zwanym Memorowicz, — którego Winnicki piętnował jako zdrajcę Rzpltej ³⁾), rzucają się do skrzyń, szkatuł, komor; odbijają kłódki, zabierają gotówkę 1500 zł. i 700 bitych talarów, złoto, srebro, błamy soboli, futra, kobierce adziamskie, zastawy, stołowe naczynia, dalej garderobę, postawy aksamitu, falendyrzu, samego wina za 1350 złp., broń, jak bandolety, szable itd., koni cug. wartości 2700 złp. Wśród takich, prawdziwie magnackich sprzętów i inwentarza żywego i martwego, były i skarby Winnickiego, jako władcy, omofory perłami sadzone, dwie korony

¹⁾ C. Prem. 378 p. 1036, 1136, 1147.

²⁾ C. Prem. 378 p. 1001.

³⁾ Fidefragi, dicti Memorowicz, C. Pr. 378 p. 1371—9, 1496.

diamentami i drogiemi kamieniami obsiane z obrazu Bogarodzicy, grobnica szczerozłota z relikwiami św. Paraskiewy, dar wojewody mułtańskiego, diamentami ozdobiona pod trzema wierzchami, a miasto bań, trzy wielkie perły posiadająca, w krag zaś pereł kałakuckich 80 mająca. Ważyła 460 czerwonych zł., a kosztowała 6400 złp. Od tegoż hospodara znajdowała się w skarbcu ewangelja w złoto oprawna i złotem pisana, dar, który Winnicki przy poświęceniu otrzymał, i inne jeszcze sprzęty, których łączny szacunek ogólnikowo podawał władyka na przeszło dwadzieścia tysięcy złp.¹⁾ Jednocześnie uwieziono sług Winnickiego i świąszczeników: »Tydzień cały, skarży się władyka, trzymano ich *in egestate et custodia*«; wielebni Taras i Kniażypolski pomarli w tem srogiem więzieniu.

Chmielowski, pozostawiwszy w Walawie silną straż, już 16 września, uderzywszy w bębny, pojechał do Przemyśla. Tutaj wszedł w układy z miastem, zrażonem do Winnickiego z powodu niedawnego zajazdu realności miejskiej Błonia²⁾, by nie broniono kilkaset ludowi wejścia do miasta, na co się zgodzono. Wchodzą więc z muzyką na czele, pod bronią pod cerkiew katedralną, którą zewsząd obsadzili uzbrojeni ludzie Zygmunta i Andrzeja Fredrów, Franciszka Korniakta, Marcina i Adama Krasickich; tudzież samego Chmielowskiego. Strzelano do katedry i wśród tej strzelaniny zginął Adam Dubrawski.

Ale od zamiaru zdobycia katedry odstępuje Chmielowski i zabrawszy władykę Winnickiego ze sługami Sokalskim i Markiewiczem, jako jeńców, wraca z nimi i z piechotą do Walawy, jazdę tylko Fredry i Korniakta zostawiwszy w Przemyślu. Cokolwiek jeszcze się znalazło w Walawie, zabrano, a więc i membrany, pieczęcie, akta władyczne, dalej rzeczy sług Winnickiego i zwolenników, jak Biszkwowskiego, Jachimowskiego, Skorodynskiego, starego Maszkiewicza, z którychto ostatni i pierwszy zaledwie uciec zdołali. Ojciec władyki, Teodor Winnicki, nie dzielił krótkiej zresztą niewoli wraz z synem, albowiem pojechał był w sprawach tegoż na sejm warszawski. Wysłano za nim nowe protestacje o zajazd Walawy i napad przemyski. Skarży się bo-

¹⁾ Regestr rzeczy podczas gwałtownego najazdu wsi Walawy. C. Pr. 378 p. 1595.

²⁾ C. Pr. 378 p. 1253, cf. 1369 i nn.

wiem władyka Winnicki, puszczonej wnet już na wolność, że przeciwnik jego poobszadzał drogi swoimi ludźmi i wylawia listy, pisma władyczne. Wnet także wniósł protest o taki napad w grodzie przemyskim przeciwko Chmielowskiemu (w maju 1653 r.), mianowicie, że gdy wysłał do Lublina sługi swe, Stanisława Leneczewskiego i Cyprjana Wojerskiego, napadnięto ich nad Sanem, nie tylko wszystkie dokumenta i konie odebrano, lecz nadto i całą gotówkę tysiąc dukatów tudzież 200 złp.¹⁾, a nadto uwięziono i w ciemnicy trzymano. Nie musiało być to więzienie tak bardzo przykrem, skoro Wojerski, opuściwszy swego pana, przyjął u Chmielowskiego urząd plenipotentą i natychmiast wybrał się w drogę do Warszawy w sprawach nowego pryncypała. Atoli już w Przemyśle zaskoczyli go Winnicy Antoni wraz z ojcem Teodorem i matką Marjanną (18 czerwca), a rzuciwszy go o ziemię, obuchami tak bardzo zbili, że już na pół żywego do więzienia wtrącili. Oczywiście dokumenta wszystkie odebrano mu, a nadto srebrne konwie, czary i łyżki srebrne, pierścień diamentowy i wogóle wszystkie jego czy też jego nowego pryncypała kosztowności i szaty. Co bardziej, stawiono go nazajutrz w katedrze św. Jana przed pospółstwem i przedstawivszy winę, postawiono pytanie, co z nim zrobić? Chceszli być żywym, brzmiał wyrok, służ księdzu władcy Winnickiemu, a co masz swego, z gospody swej każ wydać. W rezultacie zabrano Wojerskiemu wszystko i ponownie wrzucono do więzienia²⁾. Winnicki utrzymał się przy katedrze, Walawie i dobrach.

Wojna pomiędzy władykami tak bardzo się zaostrzyła, że szlachta na sejmikach, władze w swych przedstawieniach, królowi przesyłanych, domagały się uspokojenia. Toż król na sejmie w marcu 1653 r. zobowiązał się osobną konstytucją załagodzić spory o władcyetwo przemyskie³⁾. Bolał król, że beneficjat jego Chmielowski w zamiarze ingresu do przemyskiej katedry został uprzedzony przez Winnickiego i polecił sprawę sporną rozstrzygnąć przez komisję⁴⁾. Wysadził do niej kanonika przemyskiego Fryderyka Alembeka, kasztelana lwowskiego Rafała Grochow-

¹⁾ C. Pr. 379 p. 1067.

²⁾ Ter. Prem. 126 p. 922.

³⁾ Vol. I. IV p. 421.

⁴⁾ Castr. Prem. 379, p. 943.

skiego, kasztelana lubaczowskiego Stanisława Koniecpolskiego, Andrzeja Stana, podkomorzego sanockiego, którzy wraz ze starostą przemyskim Marcinem Madalińskim mieli zbadać sprawę, uznanych jako winnych ukarać według prawa, poczem w stosownym czasie siłą wprowadzić Chmielowskiego na jego władcytwa i do monasterów. Nie wiemy, w jaki sposób wywiązała się komisja z trudnego zadania, to jednak pewna, że już w maju zapadły trzy wyroki infamji na Winnickiego i jego współników i stronników, z wyjątkiem Aleksandra Szeptyckiego i Adama Dubrawskiego¹⁾, a to z powodu tumultu podczas roków przemyskich, inwazji domów, poranienia szlachty, dalej z racji zabrania zbrojnym zajazdem dóbr biskupstwa i wrzucenia do więzienia sług władzy, wreszcie z powodu sprzeciwiania się dekretem trybunalskim i niezwrócenia szkód sądownie otaksowanych. Zasądzony trzema infamjami Winnicki postarał się wszakże o glejt bezpieczeństwa i pozwał swego przeciwnika przed sąd sejmowy z powodu uzyskania na nim dekreto²⁾ *extra debitum regestrum* w trybunale, podczas gdy sprawy te należą przed forum sądów sejmowych³⁾.

Usiłowania Chmielowskiego o zajęcie chociażby cerkwi przemyskiej w Wilczu spełzły na niczem, a dały tylko powód do nowych skarg i niepokojów⁴⁾. Kondemnaty wprowadzie na Winnickiego urosły znowu o jedną więcej, ale z tych on przywykł nie sobie nie robić. Natomiast Chmielowski otrzymał pozew stawania w sądach sejmowych w sprawach, w których czterema już wyrokami pokonał był swego przeciwnika⁴⁾.

Przyczyn ustępstw dla Winnickiego należy szukać w stosunkach politycznych. Oto Bohdan Chmielnicki, przyjąwszy protektorat Moskwy, zaprzysiągł carowi Aleksemu Michajłowiczowi wierność; czego następstwem była wojna przeciwko Polsce ze strony cara i Chmielnickiego, który dotarł aż do Lwowa. Trzeba więc było czynić ustępstwa nawet takim ludziom jak Winnicki, skoro ci byli przedstawicielami dyzunji. Wprowadzie zapadł znowu na tego władzę wyrok infamji i banicji w sprawie zabójstwa

¹⁾ Castr. Pr. 379 p. 1392, 1414, 1582.

²⁾ C. Pr. 380, p. 422, cf. p. 266, 275.

³⁾ C. Pr. 379 p. 1973.

⁴⁾ C. Pr. 379 p. 1973. C. Pr. 380 p. 421, 425.

Teodora Winnickiego, on jednak, opatrzony glejtami¹⁾ bezpieczeństwa, czuł się bezpiecznym, o ile że i szlachta, narzekając na nieustanne niepokoje i zaburzenia, domagała się z całą natarczowością ich uspokojenia. Na majowym sejmiku 1654 r. w Wiśni uchwaliła ona: Częste prośby greckiej religii na każdym sejmiku trudnią, zaniepokajają je, aby tedy władcytwa przemyskie według praw i wolności, narodowi religii greckiej służących, uspokojone było, aby król według obietnicy na elekcji toties deklarowanej władcytwa przemyskie uspokoił, procesy względem tego władcytwa *in quocumque foro*, na jakichkolwiek osobach *illegitime* otrzymane, aby zniesione były, komisje, które z kancelarii wyszły, aby do decyzji króla zatrzymane były. Nacisk szlachty tak był silnym, że król, nie mogąc tej sprawy załatwić na czerwcowym sejmie warszawskim, obiecał one zatargi uspokoić na sześciodzielnym sejmie brzeskim, a procesy wszelkie, kondemnaty otrzymane zawiesił, przyznając obu stronom wolność stawania przed jakimkolwiek forum aż do uspokojenia²⁾.

Sprawa unicka, dodajmy, wobec braku metropolity w latach 1655 do 1666 chwiała się wszędy, a także i w województwie lwowskim. Wprawdzie Gabryel Kolenda, mianowany przez zmarłego w 1655 r. metropolitę Antoniego Sielawę koadjutorem i następcą, otrzymał później przez króla administrację temporaljów, te jednak były już w ręku obcem. Winnicki urósł w butę i szlachcie, jak Cyprjanowi Wojerskiemu i Niemcewiczowi, przysyłał »odpowiedzi«, a z infamji, którą z tego powodu na nim oni a oraz Chmielowski uzyskali, nie sobie nie robił³⁾.

Wśród takich stosunków stanowisko Chmielowskiego było nadzwyczajnie trudnem i nie rokowało unji w przemyskiem wielkiej nadziei. Jako administrator władcytwa łuckiego, opuszcza też on swoją diecezję przemyską, będącą ogniskiem walki dotychczasowej, a złamany trudami i wiekiem już podeszłym, stara się dla niej o zastępcę w osobie Antoniego Terleckiego, sam zaś jedzie do rodzinnej ziemi wołyńskiej. W Ostrogu rozwija wielką czynność i zarówno tutaj, jakoteż w Dubnie, Dermaniu, rozplówienia

¹⁾ Z datą w Lublinie 30/III 1654. C. Pr. 380 p. 1364, 1520, glejt Winnickiego p. 1364.

²⁾ Vol. leg. IV p. 455.

³⁾ C. Pr. 382 p. 750.

ogniska unji, mimo, że przeciwnicy jego dzierżyli wszystkie dobra cerkiewne. Do Przemyśla również czasem zagląda, kontrolując swych, broniąc ich wszędy i stale, napotyka jednak mocne zapory.

W województwie ruskim, narażonem na najazdy ze wschodu, na bunt poddanych, które się powtórzyły w 1656 r. w haliickiem i trembowelskiem, wołano powszechnie o pokój domowy. Na sejmikach chełmskich, haliickich, szczególnie na generalnym sejmiku wiszeńskim, w czerwcu 1658 r., w lutym 1659 r., w lutym 1662 r. powtarzano z małemi zmianami jedno i to samo żądanie, wkładane w usta sejmikowych posłów jednej z najważniejszych prowincyj wschodnich, by bracia religii greckiej ziemi przemyskiej względem władcy przemyskiego według prawa swego i konstytucji byli uspokojeni. W roku 1659 dodano jeszcze znamienne: także według asekuracji przeszłego sejmu konstytucją uczynionej. Na sejmie znowu unieci na zasadzie dawnych swych praw, przywilejów, obietnic, żądają ochrony; król pomiędzy młotem a kowadłem; sejm toż samo, jak i senatorowie wśród niesłychanych trudności uchwalają na czerwcowym warszawskim sejmie 1658 roku odłożenie załatwienia owej sprawy o biskupstwo przemyskie, według praw i asekuracji naszych i poprzedników naszych, na przyszły sejm. Na tymże sejmie mieli się też stawić obaj władcy i to pod utratą swej całej sprawy z dowodami i przywilejami w rękę. Procesy wszystkie o dobra zasuspendowano. Tak zarządzono czasowy pokój w obszernej ziemi, ale pod warunkiem znamiennym, aby żaden z władyków do obediencji swej nie przymuszał duchownych. Warunek dodano niewątpliwie z powodu znanych wymuszeń Winnickiego. Wprawdzie układem hadziackim, z Kozaczyzną zawartym 1658 r. a przez sejm potwierdzonym, zadano cios unji w Kijowszczyźnie, atoli co do sporów władyków w przemyskiem uchwała marcowy sejm warszawski 1659 r., że z powodu niemożności uspokojenia ich na sejmie, król je załatwi po sejmie i to w ciągu jednego tygodnia ¹⁾. Forum dla spraw o gwałty naznaczono, wobec natarczywych żądań dyzunitów i w myśl konstytucji z 1641 r., nie w trybunale, lecz na sejmie.

¹⁾ Vol. I. IV p. 628.

Zwłokę w załatwieniu niepokojów i sporów w przemyskiem należy uważać jako wynik nadzwyczaj trudnej sytuacji sejmu, który z jednej strony stał przed unją hadziacką, potępiającą zwolenników i wyznawców brzeskiej unji, z drugiej przed skargą wniesioną do papieża ze strony takich dostojników, jak metropolita Kołęda, władcy chełmski Susza i przemyski Chmielowski, z prośbą o wstawiennictwo do króla i senatorów w sprawie niekorzystnej dla unitów umowy hadziackiej. Nawet episkopat łaciński nie ważył się zakładać otwartego protestu przeciwko układowi hadziackiemu, a w sprawie sporów przemyskich zachował neutralność, lubo sprzyjał sprawie Chmielowskiego. Zdano wszystko na króla, który przez władkę lwowskiego Arseniusza Zeliborskiego, oczywiście dyżurnie hojnie za tę usługę nagrodzonego, toczył rokowania z hetmanem Kozaczyzny Wyhowskim ¹⁾.

Winnicki, będąc kilkakrotnie na infamję i banicję zasądzony, nie mógł być pośrednikiem w sprawie ugody z Kozaczyzną, niemniej przeto począł wysoko głowę nosić, pewny, że teraz odniesie triumf ostateczny nad swym przeciwnikiem. Na prośby posłów województwa ruskiego strony sporne zgodziły się zakończyć sprawę w sądach relacyjnych. Pewny swego Winnicki zjawia się 10 czerwca 1659 r. na terminie przed królem. Chmielowski, lubo będąc powodem, nie jawi się, ani nawet nie przysyła swego pełnomocnika. Tembardziej zarzuca Winnicki przeciwnikowi, że przez fałszywą informację uzyskał na niego dekrety banicyjne, żąda skasowania przywileju na władztwo przemyskie, jako wbrew prawom i konstytucjom otrzymanego, zwłaszcza, że powód nie jest Rusinem, ani ziemianinem, ani elektem, ani też czystej religji greckiej. A jednak — ciągnie dalej Winnicki — mimo, że po śmierci Krupeckiego przez szlachtę i lud został obrany władzą, mimo, że otrzymał potwierdzenie, on poważył się najazdem zdobyć Walawę, a wszakże dyplom mój na sejmie warszawskim w styczniu 1651 r. jest owocem zaspokojenia religji greckiej. Król przyznał wygranę Winnickiemu, a Chmielowskiego, jako przeciwnika Rzptej i gwałtownika, zasądził i kasując przywilej mu dany, jako wbrew prawu uzyskany, nakazał zwrócić dobra Winnickiemu, a nadto zapłacić 30.000 złp. odszkodowania za wydatki poniesione w długoletnim procesie. Nadto wysadził król

¹⁾ Swodnaja letop. I, 550. Castr. Leop. 405 p. 926.

komisarzy, którym polecił wyrok do skutku przywieść. Do tej komisji należeli biskupi Stanisław Sarnowski przemyski, Tomasz Lezeński chełmski, dalej Andrzej Tarło wojewoda lubelski, starosta przemyski Madaliński, podsedek sanocki Ustrzycki, podstarości i pisarz grodzki Sieciński. Wobec tak poważnych osób 17 lipca miało się odbyć oddanie Winnickiemu dóbr Walawy, Hruszowie i Szehin¹⁾, inne bowiem dobra władyczne były w rękę Winnickiego. Atoli ze strony Chmielowskiego opugnował przeciwko wyrokowi i aktowi komisji podpity Wojerski, dragoni stali na wałach i komisja z niczem odjechała z pod Walawy.

Na skutek tego sprzeciwu Winnicki nie odrazu wszedł w posesję tych dóbr. Rezydował tam pozostawiony przez Chmielowskiego wspomniany władyka Antoni Terlecki, archimandryta dermański, na prośbę podeszłego w lecie Chmielowskiego naznaczony koadjutorem, a w razie śmierci sukcesorem władyki przemyskiego²⁾. Podczas gdy koadjutor pilnował dusz sobie powierzonych i z Walawy uczynił twierdzę unji, dając tutaj schronienie unitom, uciekającym przed wrogami Rzptej (było to na wiosnę 1664 r., wojna na Ukrainie i z Moskwą), Winnicki uderza na Walawę, zajmuje ją, a rozpedziwszy stronników Terleckiego i tych, którzy się tutaj schronili, sponiewierawszy Terleckiego, napędził go, zabrał ruchomości jako spolium, a świaszczenników wtrącił do ciemnicy³⁾.

Znowu nie było dla wypędzonego innej drogi do obrony, jak tylko procesować się, o ile że Winnicki był potężnym, a nadto miał po sobie wyrok przeciwko Chmielowskiemu, który właśnie w tym czasie umarł (lipiec 1664 r.). Otrzymaawszy władcytvo przemyskie wraz z dawnymi funduszami tegoż, dekretem z 30 sierpnia 1664 r.⁴⁾, ośmielony łaskawymi wyrazami dekretu, mianującymi zaborców majątków władczych nieprawymi posesorami, Terlecki toczy dalej proces rozpoczęty przez Chmielowskiego,

¹⁾ *Castr. Prem.* 389 p. 2299 i nn. Akt komisji pod datą *feria quinta post S. Margaretae 1659 A. Innotescentia contra epum. Chmielecki ex parte Winnicki* w *C. Pr.* 388 p. 1292 pod d. *Sabbato ante festum S. Joh. Baptistae 1659.*

²⁾ *C. Pr.* 397 p. 488, tudzież 399 p. 337, dok. 4 maja 1662 r. z Warszawy wydany.

³⁾ *Protestacja Sabbato post Oculi 1664. C. Pr.* 398 p. 857.

⁴⁾ *C. Pr.* 399 p. 337.

który to — jeszcze przed śmiercią — uzyskał kasację wyroku przez metropolię uzyskanego, a opiewającego na deokupację Walawy¹⁾. Sprawa nie była łatwą, albowiem Winnicki miał już za sobą i urzędowo na dniu 17 marca 1664 r. dokonaną intromisję²⁾ i ubiegał się podówczas o metropolię kijowską, jako kandydat przeciwny nominatowi metropolicie z ramienia Kozaków, którym był Józef Nielubowicz Tukalski. Król, który Tukalskiego za stronnika Moskwy uważał, nie rozstrzygnął wakansu metropolji w sposób stanowczy, zlecił bowiem zarząd jej nominatowi władcy lwowskiego Atanazemu Zeliborskiemu, który jednak odstąpił od zarządu, a Winnicki mógł w początkach 1667 r. wystąpić jako poważny przeciwnik Tukalskiego. Król jednak poparł sprawę Terleckiego przeciwko Winnickiemu, wydając w początkach 1665 r. mandat³⁾ z nakazem gwałtownie przez nieunitów odebrać Walawę, którą tak poprzednicy królewscy jak i konstytucja przy unitach mieć chcieli, zająć i oddać Terleckiemu. Mianował też król komisarzy do tej czynności: kasztelana lwowskiego Andrzeja Maksymiliana Fredrę, Jerzego Ossolińskiego piotrkowskiego starostę, Karola Korniakta i innych. Ci dali znać Winnickiemu, że mandat królewski wykonają, bez względu na to, czy metropolita się zjawi na terminie czy nie, król bowiem swemu nominatowi polecił oddać w posesję Walawę, którą Winnicki bezprawnie posiada⁴⁾. To też kasztelan lwowski, Andrzej Maksymilian Fredro, wraz z Karolem Korniaktem ze swymi dragonami, hajdukami, poddanymi w jakie 300 zbrojnych, kobylnice wyrąbali, wtargnęli siłą do środka i oddali Walawę w ręce Terleckiego, nie zważając na protest mnichów i Winnickiego. W swym akcie o nieważności komisji owej, na dniu 9 marca odbytej, podniósł Winnicki, że najpierw wkroczyła ona przemocą, że kasztelan lwowski, który z metropolitą jest w nieprzyjaźni, przy czynnościach ekspulsji z tychże dóbr zwymyślał Winnickiego, nazywając go buntownikiem, kozakiem, zdrajcą, zarzucając, że komisja nieprawnie jest uzyskaną i nadto nie ma wagi, że brakło większej części komisarzy, że wreszcie sprawa Terleckiego na są-

¹⁾ C. Pr. 398 p. 854.

²⁾ C. Pr. 397 p. 603.

³⁾ C. Pr. 399 p. 338; Warszawa 26 stycznia 1665 r.

⁴⁾ C. Pr. 399 p. 363. Innotescencja z 21 lutego 1665 r.

dach sejmowych wisi, a *lite pendente* nie można żadnych wprowadzać nowych zarządzeń i że w myśl konstytucyj 1658 i 1659 dobra sporne przez stany metropolie są oddane¹⁾.

Wszczął też metropolita nową agitację na sejmikach. Już na październikowym sejmiku wiszeńskim w 1664 r. polecono posłom domagać się na sejmie uspokojenia różnie między unitami i dyzunitami w całym województwie z groźnym dodatkiem, »aby bez uspokojenia posłowie do nas nie wracali«. Toż i we dwa lata później r. 1666 na wrześniowych sejmikach chełmskim, halickim domagano się uspokojenia: jako *instans perimens* ukończenia tylekroć już agitowanej sprawy o władcytvo przemyskie. Żądano nawet kasowania zageszczonych na duchowieństwo tak unickie jako i nieunickie w sprawach o zbrodnie protestacyj, a ileż ich było w aktach ówczesnych przeciwko Winnickiemu skierowanych! Słowem w instrukcjach sejmikowych widocznym był wpływ czynnego w swej sprawie nowego schizmatycznego metropolity. W następnym już roku sprawa jego tak postąpiła, że najechał Wawę, kapłanów unickich wziął w niewolę i Terleckiego wypędził. Terlecki wniósłszy skargę do króla, udaje się do Dermania, gdzie pod koniec 1669 r. umiera.

W czasie nieobecności jego w Przemyskiem zarządzał tą diecezą unicką Jakób Susza, zanim król nie zamianował władcyką Jana Małachowskiego. Atoli Winnicki już wszystkie dobra władcytwe i monasterskie miał w swem ręku, tak że Małachowski zdany był na pensję od króla mu nadaną, tudzież na ofiary ze strony wiszeńskiego sejmiku.

Z ramienia Winnickiego, rezydującego już teraz na metropolji kijowskiej, zarządzał władcytstwem tegoż w Przemyśle koadjutor Jerzy Hoszowski, który, jednak po elekcji uzyskał nominację królewską na władcykę i z tą chwilą wszedł w konflikt z despotycznym metropolitą, który i przemyski tron chciał zatrzymać dla siebie. Tym sposobem było już trzech pretendentów do jednej katedry.

O ile z aktów wnosić można, rodzina Sasów Hoszowskich nie należała do gorliwych stronników Winnickiego, owszem żyła z tymiż w niezgodzie²⁾. Nie zawdzięczał też i Jerzy Sas Ho-

¹⁾ Ter. Prem. 130 p. 174.

²⁾ Castr. Leop. 419 p. 2171.

szowski, igumen ławrowski, ani elekcji ani nominacji swej Winnickiemu, ale szlachcie w dyzunji będącej, która wnet po nominacji na sejmiku wiszeńskim wrześnieowym domagała się na sejmie, aby ich ziomkowi, dobrze Rzptej zasłużonemu, przywilej od króla dany i podpisany, a jako wiemy i zapieczętowany do rąk tegoż był oddany, by do realnej posesji władcytwa przyjsć mógł. Winnicki — jak sam o sobie mówi¹⁾ — od czasu nominacji na przemyskie władcytwa, nigdy nie myślał o opuszczeniu swych owieczek, ale na każdy wypadek myślał o powrocie do biskupstwa, toż gdy po śmierci Dionizego Bałabana uzyskał metropolję, nie myślał o całkowitem ustąpieniu z biskupstwa przemyskiego. Było to usprawiedliwienie brzydkiego procesu, jaki wynikł pomiędzy Hoszowskim, a metropolitą, który nominatowi zaprzeczał jurysdykcji i dochodów. Wprawdzie brać sejmikowa w Wiszni brała stronę Hoszowskiego, wprawdzie i król Michał zatwierdził go przy nadanem przez poprzednika władcytwie i dobrach tegoż, nakazując, aby jego tylko słuchali tak diecezanie przemyscy, jak też z obcych diecezyj z Wołoch, Węgier i Siedmiogrodu pochodzący²⁾, atoli metropolita z bratem Stefanem zagrażali życiu nawet krewnych jego, jak Innocentego Hoszowskiego czerńca, tak dalece, że król wysokimi zakładami starał się pokój pomiędzy stronami zabezpieczyć³⁾, które też rzuciły się na drogę procesu. Pod naciskiem tedy procesu i ujmującej się za swym kandydatem szlachty, musiał Winnicki skłonić się do zgody *certis conditionibus* ze swym przeciwnikiem, o którym poważni unicy a nawet ówczesny władca unicki, Antoni Terlecki, nie tylko mówił, ale też i pozwem sądowym wskazywał, że przywilej swój nieprawnie w kancelarji uzyskał⁴⁾. Hoszowski na podstawie owej zgody z Winnickim otrzymał katedrę przemyską z przyległemi i pobliskimi dobrami, także Walawą, mieszkał jednak w Ławrowie, występował w sądach zgodnie ze swym metropolitą jako współposesor dóbr pod Starem Miastem leżących, jak Straszewice i wiódł spory z kanonikiem Temberskim, który go jako święto-

¹⁾ Instrukcja wiszeń. sejmiku z 28 września 1666 r. — C. Pr. 413 p. 2272.

²⁾ Mandat z Warszawy 7 sierpnia 1670 r. C. Pr. 409 p. 924.

³⁾ C. Pr. 409 p. 2010.

⁴⁾ C. Pr. 404 p. 110.

kupca za władkę nie uznawał¹⁾. Obok Hoszowskiego rezyduje świąszczennik w Jarosławiu Hieronim Ustrzycki, tytułujący się władką jarosławskim, a w Wołoszynowie pod Starem Miastem także władka dyzunicki Wołoszynowski, którego cała rodzina jest katolicką. To też dyzunickie bractwo stauropigjalne lwowskie potępia Winnickiego, jako kontemptora praw i przywilejów o wolnej elekcji z powodu, że na podstawie prywatnej ugody uczynił z przemyskim władką Hoszowskim podział dóbr do tegoż władcytwa należących²⁾. Aby nie wchodzić ponownie w obrażające prawa cerkiewne i uczucia religijne dyzunitów ugody, nie mianuje Winnicki po śmierci Hoszowskiego koadjutora, lecz rządzi sam diecezją, a zwłaszcza dobrami władyczemi. Tylko z Walawą miał kłopot, gdyż stamtąd ustąpić nie chcieli dzierżawcy tejże Rogozińscy³⁾. Ze metropolicie szło o rządy dobrami a nie duszami, dowodzi także i stosunek jego do władki lwowskiego, Józefa Szumlańskiego, o którym to stosunku w następnym szkicu.

¹⁾ Ter. Prem. 133 p. 1211.

²⁾ C. Leop. 422 p. 470.

³⁾ C. Pr. 431 p. 1806.

Dr. Antoni Prochaska.

Nasz sąsiad wschodni

(Szkic o bolszewizmie)

(Dokończenie)

»Rosyjska republika rad stawia sobie za cel zniesienie wszelkiego wyzyskiwania człowieka przez człowieka, zupełne usunięcie podziału społeczeństwa na klasy; bezlitosne wytępienie eksploatatorów«¹⁾. Cel ten, jak zaznacza Lenin w liście do robotników amerykańskich, bezwarunkowo nie da się osiągnąć bez wojny społecznej, a wojna społeczna jest »niemożliwa bez najstraszniejszego zniszczenia, bez najkrwawszego terroru, bez pewnych ograniczeń ustroju demokratycznego na rzecz tej wojny«²⁾.

W słowach tych mamy punkt wyjścia wszystkich rozporządzeń bolszewickich władz, wytłómaczenie owych hekatomb z ludzkich żyć i zapamiętałego niszczenia całego niemal dorobku kultury.

W języku esdecji wszelki najem robotnika jest wyzyskiem. Praca przecież jest pierwszą wartością, od której pochodzą wszystkie inne. Stąd robotnik jest niejako samą uosobioną wartością i godnością i użycie jego siły przez kogoś innego dla własnej korzyści, choćby nawet za dobrem wynagrodzeniem, jest oczywistą zbrodnią. Tę zbrodnię trzeba usunąć z powierzchni ziemi. Z owego radykalnego pojęcia pracy fizycznej płyną wszystkie

¹⁾ Konstytucja Ros. socj. feder. sow. rep. Smoleńsk 1918. R. I, 2.

²⁾ Cytat według *Études* z 5 maja 1919, str. 330.

inne konsekwencje, które do ostatka przewidział Lenin i postanowił urzeczywistnić w swej republice. A więc, skoro praca fizyczna stanowi o wartości ludzkiej, robotnik powinien zająć pierwsze, naczelne stanowisko w społeczeństwie. A więc każdy jest obowiązany do pracy ¹⁾ i to fizycznej, a kto innej pracy się oddaje, a w pracy fizycznej wyręcza się kim innym, ten jest burżujem — ten nie powinien jeść. Prawo do życia mają właściwie tylko robotnicy i dlatego całe społeczeństwo trzeba przetrworzyć na robotników. Wtedy zniknie różnica klasowa, bo nie będzie ani inteligencji jako odrębnej klasy, ani urzędników, tylko jedno wielkie społeczeństwo robotnicze.

Ponieważ przez pracę nabywa się prawa do życia i do jakiegos przedmiotu, więc wszelka własność pochodząca skądinąd, czy z dziedzictwa, czy z przypadku, czy z darowizny lub współpracy innych, musi być zniesiona ²⁾. Stąd wszystkie fabryki, warsztaty, ziemie, lasy, sklepy, kopalnie, słowem wszystko, co nie jest pracą, należy do ogółu społeczeństwa; człowiek posiada tylko siłę, daje społeczeństwu pracę i stąd ma prawo do otrzymania pewnych przedmiotów służących do życia, ale nigdy do tworzenia sobie jakiegś własności.

Z temi fantastycznemi pojęciami pracy wystąpił Lenin do sprawowania rządów w społeczeństwie, które przecież posiadało inteligencję, bogaty przemysł prywatny, własność ziemską, hierarchję urzędniczą, stopnie oficerskie w armji. To wszystko trzeba było zniszczyć bezlitośnie. »Wojnę polityczną kończymy dlatego, żeby rozpocząć wojnę społeczną; nie pokój, ale wojna społeczna« powtarzał Lenin za Liebknechtem.

Wszystko więc, co nie było robotnikiem, zostało pozbawione prawa do życia, a jeśli chciało żyć, musiało rezygnować ze swego wykształcenia, ze swego dotychczasowego dorobku i iść się pracy fizycznej i to najpodlejszego gatunku. Kto się opierał tym postanowieniom, tego poczytywano za wroga proletariatu. Ale opierało się wielu i to nie tylko ci, którzy bezpośrednio tracili swe stanowiska, ale i partje eserów, esdeków, mienszewików, którzy mieli zamiar dojść do tych samych rezultatów, ale drogą bardziej demokratyczną. Ci wszyscy byli ogłoszeni za burżujów i burżuj-

¹⁾ Konst. II. § 3, f.

²⁾ Konst. II. § 3, a.

skich popleczników, tym wszystkim ogłoszono wyrok śmierci imieniem proletariatu.

Żeby ten sumaryczny wyrok wykonać i pokonać tak licznego przeciwnika, trzeba było obudzić animusz wojenny, który ostrygł już w kilkoletniej walce frontowej, trzeba było zorganizować bądź co bądź wielką armję. Mógł tego Lenin dokonać łatwo, niżby się zdawało. Służyły do tego różne odezwy, rozsiewane setkami tysięcy egzemplarzy, zwoływanie rad, na których demagogowie głosili, że całe bogactwo burżujów należy się robotnikowi, a każdy opór ze strony właściciela powinno się karać śmiercią. Na to pozwala dyktatura proletariatu. Tylko robotnik ma prawo do używania broni, burżuje mają być zupełnie rozbrojeni¹⁾. Czyż był kiedy łatwiejszy sposób zdobycia złota i wszystkiego, czego namiętność ludzka zapragnąć może, jak teraz właśnie przy tem uprawnieniu jawnego rozboju? Czy mogło naprawdę wielu zradyzalizowanych i zdemoralizowanych skądinąd robotników oprzeć się takim nawoływaniom? Wprawdzie mienie kapitalistów miało przejść na własność całego społeczeństwa, ale o tem faworytowany i uzbrojony rabuś nie myślał. Nikt mu nie bronił brać to, czego zapragnął, resztę mógł zostawić bez żalu dla społeczeństwa, albo dla rozwydrzonych namiętności innych krasnogwardziejców, albo zniszczyć, jako przedmiot bezwartościowy w jego mniemaniu.

To też rozpętało się to rewolucyjne szaleństwo, a bezkarność zbrodni, niebezpieczeństwo w razie oporu, albo nawet obojętności, bierności, pchały coraz więcej motłochu w szeregi czerwonej armji. Broni i amunicji nie brakło, bo złoto bolszewickie wydostało ją nawet od tych, co przed światem potępiali bolszewizm. Tym sposobem bolszewizm pokonał wszystkie kontrrewolucje, które bezwarunkowo obiecywały mniej swym zwolennikom.

Skutki tej dyktatury proletarjackiej, o ile odbiły się na burżuazji, znane są dosyć dobrze. Jedno tylko mniej zaznaczały nasze pisma, na co znów zwróciły uwagę pisma francuskie ze zrozumiałych powodów, mianowicie jaki spotkał los oficerów z dawnej armji. Było ich przecież w kilkumiljonowej armji kilkadziesiąt tysięcy. W imię równości proletarjackiej ogłoszono ich za »epoletowych burżujów«. Jako tacy, skazani zostali na wszystko;

¹⁾ Konst. § 3, lit. z.

czego chciała dyktatura. Pozbawiono więc ich wszystkich praw, przywilejów, rent, pensyj, bez względu na chorobę, wiek, kalectwo. Kiedy wdowy po poległych w sprawie rosyjskiej oficerach zwróciły się do władz sowieckich z prośbą o jaki grosz na kawałek chleba, odpowiedziano im bezwzględnie: »Zwróćcie się z tem do Kornilowa, żądajcie tego od Kaledina«¹⁾. Na Newskim prospekcie można było widzieć byłego generała w wyszarżalym podartym mundurze, sprzedającego sowieckie druki. U ręki, którą wyciągał po kopiejki, brakowało dwóch palców, które stracił w walce o wielkość matki - Rosji. Do armii czerwonej byli oficerowie mieli wstęp wzbroniony²⁾, pozostawała im więc najgorsza praca i to bolszewickie publiczne miłosierdzie, rozdające darmo jakieś pożywienie. Wielu nie posiadało dość moralnej siły, by przenieść to upokorzenie, kres swej niedoli kładli samobójstwem. Dzienniki notowały za każdym pojawieniem się po kilkadziesiąt ofiar rozpacz.

Inni nie potrzebowali dopuszczać się na sobie tej zbrodni, bo wyręczał ich w tem bolszewicy. Więziono i karano śmiercią bez żadnej innej racji, jak ta, że aresztowani byli oficerami. Wyrok kreślony nieznana ręką brzmiał krótko: »Skazany na śmierć przez lud!« Cztery tysiące oficerów zamknięto w kazamatach Taszcentu, pięć tysięcy w Petersburgu, 300 oficerów zmasakrowano w Sebastopolu dlatego, że nie było już miejsca w więzieniu. Oto próbka użycia władzy przez proletarijat! A gdy za dnia ulicami wielkich miast przesuwali się cienie ludzkie, pędzone na miejsce stracenia, noce szumiały wyrafinowanymi zabawami proletariatu. Bawi się pospólstwo bez końca i miary, korzystając z tego wyniesienia na czoło społeczeństwa, bawi się może nieraz, by przygłuszyć wyrzuty sumienia i zapomnieć o tych jękach rozpacz, które słychać wszędzie w bolszewickim raju. Przyjemności proletariusza nie są zbyt wyszukane. Teatry wprowadzcie są zawsze szczelnie wypełnione, ale to raczej dla zaznaczenia praw proletariatu, niż dla wrażeń estetycznych. Tych zresztą nie wiele można odnieść z teatrów, w których rządzi nie dyrekcja, ale

¹⁾ Etudes, 5 sierp. 1919, str. 301.

²⁾ Trocki po reformie czerwonej armii, w której faktycznie wprowadził dawną dyscyplinę z karą śmierci i chłostą i zupełnie ubezwładnił rady żołnierskie, użył też i oficerów byłej carskiej armii. Prandowski, »Bolszewizm i bolszewicy w Rosji«, Stanisławów, 1919.

»rada« teatralna. Na sowiecie równy głos mają najwybitniejszy artysta i odźwierny. Niema przecie podziału społeczeństwa na klasy. Smakowi obecnych panów Rosji więcej odpowiada prymitywniejsze rozrywki. A więc piekielna jazda z »rosyjskiej góry«. Na jazdę tę czeka się nieraz całemi godzinami, wskutek mnóstwa amatorów dreszczów trwogi i kołowaczyny. Trwają prztem prawie bez przerwy bale maskowe, kabaretowe, kotyljonowe, a nawet bale z oryginalnym tytułem »kultury proletariatu«. Bałem tym czczono majowe święto robotnicze, i to przez trzy dni i trzy noce¹⁾. Te królewskie zabawy trwają ciągle, nawet wtedy, gdy na ulicach płynie krew niewinnych ofiar bolszewickiego terroru.

Tak mniej więcej wygląda dorosłe społeczeństwo obecnej Rosji. Małoletni, dzieci uczą się. Żywi się je kosztem państwa i podobno żywi się szczególnie dobrze i uczy się bezpłatnie w państwowych szkołach. Nauka musi być bardzo osobliwa, skoro dyrekcję szkoły stanowi towarzysz, który nie miał przedtem ze szkołą nic wspólnego, albo sowiet rozzuchwalonych uczniów, i skoro nauka ma zmierzać głównie do tego, by wpoić w rozwijające się umysły i serca pojęcia radykalne i nienawiść do burżujów, a wykładów podejmuje się jakiś utalentowany agitator.

Możnaby się spytać, czy już szczęście proletariatu doszło do szczytu, czy republika sowiecka osiągnęła swój zenit doskonałości? Otóż nie. Dziś jest dopiero okres przejściowy, a w tym jest jeszcze coś, co później ma zniknąć, mianowicie rząd. »W komunistycznym ustroju... całe społeczeństwo jest jednym gromadnym związkiem roboczym. Pana nad niem niema żadnego. Wszyscy są równymi towarzyszami... Istnieje tylko centralne biuro statystyczne, które decyduje, ile na rok potrzeba butów, spodni, pończoch, ile czernidła... Ono też decyduje, ilu towarzyszków ma pracować w polu, ilu w fabryce pończoch, ilu w warstatach krawieckich«²⁾. Tymczasem dzisiejsza sowiecka konstytucja postana-

¹⁾ Towarzysze na balach chcą być nieraz pełni najlepszych form i proszą »damy« do tańca różowym liścikiem. Ponieważ każda osoba uczestnicząca w balu ma swój numer, więc pisze towarzysz 17 do towarzyszeki 13 a jeśli pisać nie umie, to prosi towarzysza posiadającego tę sztukę o pomoc.

²⁾ Bucharin, Program komunistów (bolszewików), Moskwa, 1918, str. 9. Podobnie mówi Lenin: »Dla nas celem ostatecznym jest zniesienie państwa, t. j. wszelkiego wogóle nad ludźmi ucisku... ponieważ

wia nieco odmienny ustrój władz. »Najwyższą władzą w republice jest kongres rad całej Rosji. Kongres Sowietów składa się z reprezentantów robotników fabrycznych, z których jeden przypada na 25.000 robotników, i z reprezentantów robotników wiejskich, 125.000 chłopów ma prawo wybrać również jednego delegata. Kongres Sowietów całej Rosji powinien być zwoływany przez Komitet Wykonawczy przynajmniej dwa razy na rok, Kongres Sowietów zaś obiera Komitet Wykonawczy, w którym liczba członków nie może wynosić więcej niż 200. Komitet ten jest odpowiedzialny przed Kongresem Sowietów. Jest on najwyższą władzą republiki w czasie od jednego kongresu do drugiego. Jest zarazem ciałem prawodawczym, organem wykonawczym i rządzi sowiecką republiką. Komitet Wykonawczy wybiera Radę Komisarzy ludowych, którzy zajmują się bezpośrednio sprawami republiki i stoją na czele oddzielnych komisariatów ludowych (nasze ministerstwa). Komisariatów tych jest 17. Komisarze są odpowiedzialni przed Komitetem Wykonawczym ¹⁾.

Prawo wyborcze czynne i bierne mają wszyscy, którzy ukończyli 18 lat i pracują nad produkcją przedmiotów potrzebnych do życia, więc robotnicy fabryczni i wiejscy, chłopci i kozacy, o ile się nie posługują siłą roboczą, a także żołnierze. Lokalne sowiety mogą wprowadzać pewne ograniczenia. Od głosowania wykluczeni są wszyscy posługujący się najemnym robotnikiem, wszyscy żyjący z dochodów, nie pochodzących z osobistej pracy, kupcy i agenci handlowi, osoby duchowne, członkowie dawnej policji rosyjskiej i byłej rodziny carskiej ²⁾.

Tymczasowym organem wykonawczym i bezpieczeństwa, ale działającym bardzo sprężysto i efektywnie, jest t. zw. Nadzwyczajna Komisja do walki z kontrrewolucją i spekulacją. Znana ogółowi pod nazwą »czerezwyczajki«, ma do dyspozycji całe bataljony zbirów w całym państwie. Podlega bezpośrednio tylko Radzie Komisarzy ludowych, poza tem jest zupełnie niezależna i ma prawo aresztować i poddawać rewizji nawet członków Komitetu Wykonawczego.

ludzie przyzwyczajają się do przestrzegania elementarnych warunków społeczeństwa bez ucisku i bez uległości.

¹⁾ Konstytucja, §§ 24 i nast.

²⁾ Konstytucja. §§ 64 i 65.

Nie potrzebujemy wchodzić w praktyczne znaczenie ustroju rządu. Rzecz to małej stosunkowo wagi i da się łatwo zmienić, chodzi jednak o rzeczy zasadnicze w całym porządku bolszewickim, komunistycznym, które nie mogą ulec zmianie, dopóki przewódca sowdepji nie ustąpią ze samych zasad.

Najważniejszą zasadą jest owa zasada równości, zniwelowania całego społeczeństwa do rzędu proletariatu. Dotychczasowe działanie tej zasady zaznaczyło się tylko negatywnie. Proletariat przecież nie mógł nagle dorównać inteligencją i kulturą innym klasom, zrównanie więc odbyło się przez zdruzgotanie wszystkiego, co nie miało piętna szarzyzny i brutalności tłumu. W ten sposób zglądono prawie całą dotychczasową kulturę. Czy atoli da się na jej miejsce wzniesć nową, z którą naprawdę proletariatowi będzie lepiej, niż z dotychczasową? Przy uporczywym trzymaniu się obecnych zasad, trzeba mocno o tem wątpić.

Kultura i dobrobyt powstaje pracą i to pracą w pierwszym rzędzie umysłową, twórczą. Może jeszcze teraz pewna część zapalciców nie odczuwa tego, że faktycznie podcięła twórczość społeczeństwa rosyjskiego, może rozkoszuje się w zbytkach wydartych przemocą »burżujom«, ale to niczego nie dowodzi. Naoczni świadkowie »porządków bolszewickich« twierdzą, że prócz chuliganów, służących wojskowo, wszyscy cierpią największy niedostatek, a i ów dobrobyt krasnogwardziejców kiedyś się skończy, skoro nie będzie już komu zabierać, bo nikt nowych przedmiotów wytwarzać nie będzie, a dorobek minionych pokoleń do reszty się wyczerpie. O wytwórczości nikt nie myśli. Nie myśli dawny kapitalista i człowiek wykształcony technicznie, bo zdradzenie tej myśli mógłby krwawo odpokutować, nie myśli robotnik, bo jako najgodniejszy przedstawiciel społeczności ma prawo i sposoby łatwiejszego zdobycia środków nie tylko do życia ale do zbytku.

Myśli o nowej organizacji wytwórczości naprawdę Lenin, ale przy zasadzie bezwzględnej równości myśl jego nie da się urzeczywistnić. Przy równości wszystkich należy używać każdego towarzysza do jakiegokolwiek pracy. Równość daje każdemu taki sam głos w każdej pracy. Jakżeż więc w tych warunkach możliwy rozwój jakiegoś skomplikowanego przedsięwzięcia, gdy kierować nim zechcą zupełni profani w technice przemysłowej? Który robotnik zechce tak łatwo zgodzić się na to, by go apli-

kowano do jakiegokolwiek warstatu, w jakimkolwiek miejscu, w każdej porze roku i dnia, a nie do pracy, która jest przyjemniejsza, w której może już ma jakąś wprawę?

To też zakłady przemysłowe upadają niesłychanie szybko. W przeciągu 6 miesięcy, już w drugim roku rządów bolszewickich, zamarła praca w tysiącu fabryk i około 400.000 robotników zostało bez pracy. Przedsiębiorstwa podtrzymywane sztucznie okazują niesłychanie małą wydajność. Jedna np. huta żelazna dostarczała na potrzeby państwa miesięcznie zamiast 250.000 pudów żelaza tylko 20.000 i to mimo 18 milionów rubli, które dostała à conto, by tylko produkowała jak najsprawniej. Ta sama historia powtarza się w każdej fabryce i kopalni.

Nie inaczej dzieje się na roli ¹⁾. Wobec oczywistego upośledzenia wieśniaka w stosunku do robotnika fabrycznego, czego dowodem postanowienie konstytucyjne, że chłop ma mieć stosunkowo pięć razy mniejsze przedstawicielstwo w Kongresie Sowieków, niż robotnik fabryczny, wobec prawa, że cała i wszystka własność rolna przechodzi na własność całego społeczeństwa, że wymozolony na roli plon nie jest własnością rolnika, ale wszystkich, chłop stracił wszelką ochotę do pracy, produkuje tylko tyle, żeby jakoś wyżyć, stracił wszelki afekt do ustroju komunistycznego, zwłaszcza, gdy po owoc jego pracy zaczął z konieczności sięgać robotnik miejski za pomocą urzędowych wojskowych rekwizycyj ²⁾. Początkowo imponowały mu rządy bolszewickie, bo dając możność przywłaszczenia sobie ziemi po wielkim właścicielu, zaspokoili ów głód ziemi, który go trawił od szeregu pokoleń. Cóż mu jednak z tego, że powiększył swą własność, skoro mu jej nie wolno użyć, mimo owej nieograniczonej wolności?

To też żywioł włościański, można rzec, odsunął się od roboty komunistycznej, a przywódcy sowdepji nie biorą go prawie zupełnie w rachubę. Pozostaje więc tylko element robotniczy,

¹⁾ O upadku produkcji rolnej świadczy np. fakt, że dzienny dowóz żywności do Petersburga pod koniec 1918 r. wynosił 5 wagonów, a w r. 1914 23 wagony. Podobnie rzecz się ma w Moskwie i w innych miastach.

²⁾ W lipcu 1918 r. sam Lenin wezwał robotników do tworzenia oddziałów przeciw chłopom, »burżuazji wiejskiej« i polecił im zdobywać żywność za wszelką cenę. Wyprawy te natrafiały na zbrojny opór ze strony chłopów, którzy wycinali w pień napastników.

a i z tego, według urzędowych spisów, jest tylko 70.000 prawdziwych komunistów.

Dodajmy tu nawiasem kwestję handlu, tak ważną w życiu ekonomicznem każdego kraju. Ta również przedstawia się beznadziejnie. Według Konstytucji (r. III, § 3. b) wszystkie przedsiębiorstwa handlowe stają się własnością społeczeństwa. Postanowienie to podcina zupełnie handel, bo podcina kredyt, bez którego w dzisiejszych warunkach żadne transakcje handlowe nie są możliwe. Całe przecież sowieckie społeczeństwo nie może występować jako kontrahent, prowadzący bezpośrednio jakiś interes, choćby z tego względu, że do prowadzenia interesu mogą się dostać całkowici profani, lub skończeni dyletanci, a głównie dlatego, że podstawą kredytu jest zazwyczaj jakaś wartość materialna w ręku dłużnika, a co najmniej jego wartość moralna. Pierwszą usuwa prawo, znoszące prywatną własność, druga jest zupełnie wykreślona z pojęć komunistów.

Wobec takiego stanu rzeczy w najważniejszych dziedzinach życia gospodarczego katastrofa ekonomiczna republiki sowieckiej jest nieunikniona. Przewidział to jednak Lenin, jako tegi skądinąd ekonomista i postanowił ratować przemysł, podtrzymać jakoś rolnictwo i handel. Jak dzienniki donosiły, postanowiono uruchomić trzy czynniki, od których zależy rozwój przemysłu: kapitał, personal techniczny, wykształcony i robotnika. Pozwolono w sowieckiej republice na objęcie przedsiębiorstw przez kapitalistów obcych, by obywatela-komunisty nie plamić zbrodnią kapitalizmu. Jest to jednak tylko niezręczne maskowanie tej podstawowej w ekonomji prawdy, że wielkie przedsiębiorstwa wymagają wielkich kapitałów i rozwijają się najlepiej za inicjatywą prywatną. Inżynierom i dyrektorom fabryk udzielono władzy i zapewniono lepszą płacę²⁾, przez co sromotnie wyszczerbiono zasadę równości i osób i ich pracy, bo pracę umysłową oceniono wyżej niż pracę fizyczną³⁾. Wprowadzono przymus pracy, sankcjonowany podobno — karą śmierci.

¹⁾ Ks. Muckermann T. J. Von Smoleńsk bis an die Polenfront. Stimmen der Zeit, 1920, marzec, str. 504.

²⁾ Kongres soc. marzec 1919.

³⁾ Wnet jednak braknie ludzi wykształconych, bo na dzisiejszych uniwersytetach liczba słuchaczy wynosi od 10—100.

Nie dość tych rejterad od ideału komunistycznego. Kongres Sowietów, który się odbył w Moskwie w marcu 1919 r., wyznaje, że »wobec kwestji agrarnej znalazł się w zakłopotaniu. Radzi więc, by zważano na potrzeby rolników, by zwalczano ich reakcyjne zapatrywania perswazją, a nie represjami i w razie sporów, gdy w grę wchodzi interes włościański, trzeba się kierować względami praktycznemi«¹⁾. A więc nie ideą bezwzględną, a więc zostaje prywatna własność! Tak samo ma się rzecz z handlem.

Có będzie jednak wobec tego z prawem wyborczem, które odbiera głos kupcom i właścicielom, zatrudniającym najemnego robotnika, choćby tylko jednego? Czy będą nadal pozbawieni obywatelskich praw, mimo że uznano ich rację bytu? Czy dlatego mają być upośledzeni, że przyczyniają się do egzystencji społeczeństwa choć w sposób nie komunistyczny? Czy dalej będą Lenin, Trocki, Bucharin, Zinowiew (Apfelbaum) i *tutti quanti* bronili zasady bezwzględnej równości, choć się przekonali, że daleko z nią zajść nie podobna? Być może i to, że bronić będą tej zasady, bo ustępstwa czynią tylko prowizorycznie, »dopóki ludzkość nie dojrzeje« do całkowitego wprowadzenia zasad równości w życie. Mogą na to czekać wieki.

Tymczasem wolno nam stwierdzić fakt, że w tem państwie, w którem zniesiono raz na zawsze konstytucją klasy, te klasy pozostały tylko pod zmienionemi tytułami. Jest przede wszystkim klika, wpierająca swe poglądy i dążenia w całe społeczeństwo, wpierająca z taką brutalną, bezwzględną siłą, że niczem wobec niej absolutyzm carski²⁾. Jest arystokracja, szczególnie uprzywilejowana, to robotnik fabryczny. Dowodem na to nie tylko stosunkowo większa ilość reprezentantów tej klasy w kongresie, ale choćby taki apel do robotników piotrogrodzkich, powołanych częściowo do armji, a których Zinowiew temi słowy stara się ująć: »Nie potrzebuję wam przypominać, że najlepsi robotnicy piotrogrodzcy, ilekroć znaleźli się na froncie, nie żądali obo-

¹⁾ *Études*, 20 maja 1919, str. 436

²⁾ Wielu z tych ludzi robi krociowe interesy na społeczeństwie rosyjskiem, wielu ma swe ogromne kapitały w bankach obcych, podobno nawet warszawskich. Niejaki Gukowski przyjechał do Sztokholmu z 42 miljonami rubli, a miał prócz tego 4½ puda platyny. Były to depozyty komisarzy ludowych. Parendowski o. c. str. 80.

wiązkowo dla siebie żadnych wydatnych posterunków....». A więc w wojsku robotnicy są w prawie żądać jakichś stopni oficerskich, które się im obowiązkowo należą? Jest następnie klasa urzędników głupich, sprzedajnych, nieuczciwych, o których sam Lenin miał się wyrazić, że trzeba ich wieszać po 100 dziennie. Jest dalej klasa robotników rolnych upośledzona w prawie wyborczem, klasa włościan i kupców tolerowana, ale pozbawiona prawa wyborczego, jest jeszcze cały zastęp ludzi, klasa najniższa, burżujów, przedmiot pogardy wszystkich innych, pozbawiona wszelkiego udziału w życiu publicznem.

Nie w tem dziwnego, że społeczeństwo bolszewickiej republiki zróżniczkowało się na klasy, bo pewna nierówność ludzi tkwi w naturze ludzkiej. Cóż kto na to poradzi, że jeden rodzi się zdrow i silny, a drugi mizerny, jeden zdolny i sprytny, a drugi tępy. Tej nierówności żadne, nawet najradykałniejsze przepisy komunistów usunąć nie zdołają, a za nią całkiem naturalnie rozwijają się i pogłębiają różnice społeczne, tworzą się naturalnie pewne klasy. I trzeba by przekląć naturę ludzką za tę nierówność, gdyby nie to proste wytłómaczenie nierówności, jakie nam daje Ewangelja: »komu więcej dano, od tego więcej żądać będą«, jeśli się nie zaapeluje do Boga i życia przyszłego, w którym tych, co byli ubogaceni talentami, zapyta się Sędzia, zali używali tych talentów zgodnie z prawem bożem, z przykazaniem miłości i bliźniego i Boga, a według odpowiedzi rachunki wyrówna ostatecznie.

Ale komuniści rosyjscy o tem nie wiedzą i wiedzieć nie chcą, bo religja u nich jest pojęciem niezrozumiałem, niepotrzebnem, a nawet szkodliwem. Konstytucja sowieckiej republiki mówi o religji zaledwie słów parę, ale wiele znaczących. »Celem zabezpieczenia swobody wyznań, religję oddziela się od państwa, a szkołę od kościoła i ogłasza się najzupełniejszą wolność propagandy religijnej i antyreligijnej«¹⁾. Ma to niby znaczyć, że religja jest rzeczą prywatną i państwo nie będzie się w tę kwestję wdawać, nie będzie przeznaczać żadnych funduszy ani na utrzymanie duchownych, ani na kościoły. Gdyby tak było, jeszczeby sytuacja nie była najgorsza. Ale przecież ta sama kon-

¹⁾ R. III. § 13.

stytucja wyklucza od głosowania osoby duchowne, a więc tych, którzy z urzędu zajmują się propagandą religii, bynajmniej tego ograniczenia nie czyniąc względem tych, którzy będą propagowali ateizm, lub niemoralność. To też całą prawdę zapatrywań komunistów na sprawę religii wypowiedział bez obson Bucharin. »Jednem z narzędzi zaślepienia (tumanienia) ludowych poglądów jest wiara w boga (!) i czarta... religję należy uważać za truciznę, którą każono i kazi się lud. Stąd jasną jest rzeczą, dlaczego komunistyczna partja jest zdecydowaną przeciwniczką religii«¹⁾.

Wobec tak wymownego świadectwa nic nie znaczą wszelkie tłumaczenia, że bolszewizm nic nie ma zasadniczego przeciw religii, że »popów przesładuje tylko dlatego, ponieważ służą raczej carowi niż Bogu, a księży katolickich dlatego, że ci bronią więcej burżuazji niż ludu, a nadto ponieważ duchowieństwo katolickie jest narodowości polskiej, a więc elementem bądź co bądź niebezpiecznym podczas wojny bolszewji z Polską«²⁾. Tak rzecz usiłował przedstawić znany ekonomista bolszewicki, polak, Marchlewski. Jest to poprostu albo naiwność nie do pojęcia, albo raczej zrozumiała chęć bałamucenia ludzi.

Niektórzy przewodcy zasad bolszewickich starają się dowieść jeszcze więcej, nie tylko tego, że bolszewizm nie ma nic przeciwko religii, ale że nawet jest zgodny z duchem chrześcijaństwa. Łunaczarski, komisarz (minister) oświaty i sztuk pięknych, wygłosił na ten temat bluźnierczą mowę, w której Lenina, tępiącego kapitalistów, porównał do Chrystusa, wyrzucającego przekupniów z świątyni, a skończył swe przemówienie słowy: »Gdyby Chrystus dziś żył, byłby bolszewikiem«³⁾.

Ale bolszewizm ani moralnym, ani religijnym nie jest i być nie może. Najgłębszą podstawą całej doktryny komunistycznej jest materjalizm, a więc system filozoficzny, wykluczający nie tylko Boga, ale wogóle wszelki pierwiastek duchowy. Nie da się więc do niego przyczepić żadnych zasad moralnych, ani nawet tego surogatu prawdziwej etyki, jakim jest tak zwana etyka niezależna. Materjalizm ten wyznają przewodcy bolszewji za Marxem i nie czynią z tego żadnej tajemnicy. »Ewangelją obecnej rewo-

¹⁾ Bucharin, o. c. str. 49.

²⁾ Stimmen der Zeit, marzec, 1920, str. 505.

³⁾ Correspondant, Le bolchevisme russe, 25 maja, 1919, str. 604.

lucji jest to, co napisał jeszcze Marx i Engels», pisze Bucharin w cytowanej już broszurze. A Lenin w swej przemowie do Komitetu Wykonawczego w kwietniu 1918 r. dowodził, że niema innej drogi do obalenia dawnego ustroju społecznego i politycznego, jak przez zrealizowanie nauki Marxa, a ta żąda bezwarunkowo rewolucji krwawej ¹⁾.

Przyjąwszy materializm historyczny Marxa, nie będziemy mogli zarzucić wandalizmowi i rozbewstwieniu krasnogwardziejców i wogóle rosyjskich tłumów. Był czas, kiedy klasy posiadające cieszyły się zdobyczami kultury, teraz jest czas, by proletariusz rozkoszował się w niszczeniu tego, co zdobyła ludzkość pracą pokoleń. I jedno i drugie jest naturalnem, równie uprawnionem zjawiskiem. Do tych konsekwencji muszą dojść wszyscy, którzy się szczycą tem, że są wyznawcami Marxa. To, że do takich rezultatów nie dochodzą nasi socjaliści, nie dowodzi zupełnie słuszności nauki Marxa, ale raczej tego, że towarzysze z P. P. S. nie umieją, lub nie mają odwagi być konsekwentnymi, albo raczej, na co łatwiej się zgodzić, nie znają dobrze systemu Marxa, a jeśli go znają, nie przyjmują go za swe credo, a powiewanie chorągiewką Marxa odbywa się u nich tylko celem dodania sobie powagi w oczach mas.

Ostateczne rezultaty systemu Marxa są tak straszne, tak radykalnie sprzeciwiające się naturze ludzkiej, że już to samo dowodzi aż nadto dobrze, jak fałszywe musi być założenie, skoro w konsekwencji prowadzi do takich wyników. Massaryk, obecny prezydent republiki czesko-słowackiej, powiada wprost, że »cały historyczny i ekonomiczny materializm Marxa i Engelsa, jako materializm psychologiczny i metafizyczny, jest wprost nie naukowy, a stąd cały marxowski plan przebudowy społecznej jest niejasny, poprostu bez sensu« ²⁾.

Choć rosyjscy komuniści teoretycznie nie zgodziliby się na taką ocenę historycznego materializmu, faktycznie w niejednym wypadku uważają go za niewystarczający do przeobrażenia świata. Przecież jeżeli to przeobrażenie ma się odbywać naturalnym biegiem rzeczy, bez wpływu psychologicznego, całkiem niepotrzebnie rozwijają tak szeroką i sprężystą agitację za swym programem,

¹⁾ Correspondant, ib. str. 586.

²⁾ Z. G. Massaryk, Russland und Europa, Jena 1913, t. II, str. 306.

zbytecznem jest to nawoływanie, którem kończą wszystkie swoje przemówienia, odezwy i broszury, powtarzając za Marxem: »Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!« Nigdy jeszcze pewno na świecie nie było takiego zalewu ulotnemi pismami, jak właśnie dziś za rządów bolszewickich. Może dlatego tych broszur i świstków jest takie mnóstwo, że powstały materialistyczną koniecznością rozwoju historycznego?!...

Zasypują niemi nie tylko całą Rosję, ale i świat cały. Swe zasady chcieliby przeszczepić we wszystkich społeczeństwach. Obowiązek propagandy włączyli wprost do swej konstytucji. Paragraf trzeci tej konstytucji mówi wyraźnie: »Sowiecka rosyjska republika stawia sobie za zadanie wprowadzenie socjalistycznej organizacji społeczeństwa i rozszerzenie socjalizmu we wszystkich krajach«. Dlatego też zeszłego roku urządzono w Moskwie zjazd komunistów nie tylko Rosji i małych państw, sąsiadujących z nią, ale i państw zachodnio-europejskich i Stanów Zjednoczonych. Zjazd ten nazwano szumnie trzecią międzynarodówką, wypowiedziano na niem walkę »burżujom« całego świata, apelowano do wszystkich proletariuszów wszystkich jego pięciu części.

Mamy nadzieję, że ta trzecia w przeciągu pięćdziesięciu lat międzynarodówka nie poszczyci się dłuższym żywotem od swych poprzedniczek. Ale temu gorliwemu apostołowaniu za komunizmem burzącym wszystko, uważamy za rzecz konieczną przeciwstawić apostołowanie prawdy i zdrowych zasad społecznych. My, Polacy, więcej niż inni, do tego jesteśmy obowiązani, bo tu chodzi o naszą przedewszystkiem sprawę. *Tunc tua res agitur paries dum proximus ardet*. Mamy właśnie sąsiada, u którego gore i ogień przenosi się na nasze ściany. Społeczeństwo jest świadome niebezpieczeństwa, świadomość tę posiadają nawet narody, bardziej odległe od Rosji. Ale nie wszędzie jest świadomość prawdziwego środka, chroniącego przed niebezpieczeństwem. Pewnie, dużo tu pomogą reformy społeczne, dużo owe międzynarodowe usiłowania uregulowania pracy i wyrabianie poczucia solidarności i braterstwa wszystkich ludzi i ludów¹⁾, ale to wszystko musi się oprzeć na czemś głębszem, niezależnem od

¹⁾ Myśl tę propaguje Stadtter w swej broszurze. »Der einzige Weg zum Weltfrieden«.

kaprysu człowieka, na czemś niezmiennem. Tem czemś jest właśnie prawo Boże i religja.

Śmiało więc możemy skończyć słowami posła francuskiego, przebywającego na Ukrainie od r. 1917—19, Błażeja Romeyer: »Odpowiedzialni za bolszewizm są w pierwszym rzędzie ci, którzy zabijając Boga i Chrystusa w sumieniach ludzkich, wyważyli ludzkie sumienie i z zasad wiary i z drogi naturalnego prawa!« ¹⁾. Tak było w Rosji, tak stać się może i u nas...

¹⁾ *Études*, 5 maj, 1919, str. 336.

Ks. Romuald Moskała.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Teologia popularna.

- O. Zimmermann S. J.: *Das Dasein Gottes*, t. I. *Der immergleiche Gott*. Fryburg, wyd. Herdera 1920, str. 132.
J. Lebreton S. J.: *Le Dieu vivant*, Paris, G. Beauchesne, 1919, str. 177.
A. d'Alès S. J.: *Lumen Vitae*. Paris, G. Beauchesne, 1916, str. 282.
J. Cladder S. J.: *Unsere Evangelien*. I Reihe: *Zur Literaturgeschichte der Evangelien*. Freiburg, Herder, 1919, str. 262.

Zagranicą głęboko odczuto potrzebę uprzystępnienia teologii dla szerszych kół oświeconych katolików. Nawet w latach, kiedy — zdawało się — szcęk oręża przygłuszał wszystko, kiedy kłopoty aprowizacyjne, drgawki życia społecznego, polityczne przewroty zdawały się pochłaniać całą uwagę ludzką, nie zapomniano ani po jednej ani po drugiej stronie bojowych linii o tem, że ani nie żyje człowiek samym chlebem, ani nie zbuduje się lepszej przyszłości na samej nie-nawiści i walce. Właśnie w tych latach ostatnich przewodnie czynniki katolickie zrozumiały lepiej niż kiedykolwiek, że skoro zbankrutowały niechrześcijańskie zasady, które długo światem rządziły, trzeba tembardziej pracować nad utrwaleniem w umysłach ludzkich zasad chrystjanizmu, od których odrodzenie zawisło. Ale do tego potrzeba gruntownie poznać chrystjanizm w jego historii, dogmacie, etyce — i poznanie to spopularyzować jak najszerzej. Wyrazem tego zrozumienia stały się cieszące się powodzeniem kursy i cykle odczytów z zagadnień teologicznych, urządzone po wszystkich niemal środowiskach życia intelektualnego Europy i Ameryki. Zrozumiano konieczność zejścia z ambony i wejścia z ewangelją na sale wykładowe.

W związku z tym ruchem trzeba zanotować drugi objaw pocieszający: wzrost literatury teologiczno-popularnej. Najgłębsze za-

gadnienia religijnej metafizyki postarano się uczynić własnością nie szkoły, ale inteligentnego świata; z najśmielszymi hipotezami krytyki wrogiej chrystjanizmowi, dotyczącymi początków naszej religii, zaznajomiono świecką katolicką publiczność, wykazując gruntownie, a zarazem zrozumiale nicosć tych hipotez.

Właśnie z tego bogatego literackiego dorobku Europy katolickiej mamy pod ręką kilka książek, których tytuły na wstępie przytoczyliśmy. Żadna z nich nie jest przeznaczona ani dla zawodowych teologów tylko, ani dla szkół, lecz także (pierwsze trzy przedewszystkiem), dla inteligentnych świeckich katolików, a każda uwzględnia wszystkie nowożytnie zdobycze naukowe, oczywiście w zakresie własnego przedmiotu.

Więc niemiecki jezuita Zimmermann rozpoczyna szereg tomików, mających mówić o Bogu. Bóg jako byt niezależny, jako absolut, dowody istnienia Boga, skonstruowane na fackie przypadkowości i zmienności świata widzialnego — oto tematy rozwijane na kilkuset stronicach książki. Czytelnik, choćby średnio z pojęciami filozoficznymi obyty, czytać będzie tę książkę z przyjemnością, bo abstrakcyjność treści nie przeszkadza autorowi ująć ją w ponętą formę, plastyczność wyrażenia skojarzyć z głębią pojęć. Po drodze autor rozprawić się umie z różnorodnemi odmianami monizmu, a nadto przekonać czytelnika, że takie zagadnienia, jak o istocie i przymiotach Boga, bynajmniej nie są »ideami martwemi«, obojętnymi dla praktycznego życia, jak sądzi wielu z Jamesem na czele, że owszem cały »pogląd na życie« zależy w gruncie rzeczy od »poglądu na Boga«.

Podczas gdy książka Zimmermanna podaje kilka rozdziałów z teologii naturalnej, francuski jezuita Lebreton wprowadza czytelnika w samo centrum teologii objawionej. Jego »Bóg żywy« — to Bóg jedyny w naturze, lecz troisty w osobach. Nikt nie był bardziej powołany do inteligentnego spopularyzowania nauki o Trójcy Św., jak autor gruntownej naukowej pracy »Les origines du dogme de la Trinité«. Nauka o Trójcy jest to zasadniczy dogmat chrystjanizmu. Dobrze to rozumieli ci ojcowie Kościoła, którzy niestrudzenie zwalczali arjanizm i wszystkie pokrewne mu teorie. I we współczesnem nam »liberalnem chrześcijaństwie« z chrześcijaństwa została tylko nazwa. Ten zasadniczy dogmat wyprowadza autor z życia Jezusa. Chrystusa i jego nauki o sobie, o swoim do Ojca stosunku, o mającym być posłanym Duchu. Zorza, zwiastująca to objawienie, świeciła już w pojęciach starotestamentowych o Mesjaszu i Mądrości Bożej, samo słońce weszło dopiero w Jezusie Chrystusie. Świeci też ono coraz silniej, poczynawszy od Zwiastowania (»Duch św. zstąpi na cie... co się narodzi, będzie nazwanem Synem Bożym«), a kończąc na zapowiedzi Jezusa, że mający być posłanym Duch nauczy apostołów wszelkiej prawdy. Dalszych dowodów troistości Bóstwa dostarczają już cudowne objawy w życiu pierwotnego Kościoła, teksty św. Pawła Jana apostołów. Książka Lebretona to nie suchy scholastyczny trak-

tat, to barwna opowieść z ewangelji, to ciepłe kazanie o miłości Boga w Trójcy jedynego ku ludziom. Po mistrzowsku umie auto wykorzystać teksty, w których na pierwszy rzut oka nic się nie widać, przemawiają one jednak głośno, gdy są zgrupowane i rzucone na tło Starego Testamentu. Tak np. widocznym się staje dowód bóstwa Jezusowego z tytułu »Pan«, jaki tak często spotykamy przy imieniu Zbawiciela. Wogóle, kto chce mieć repertuar dowodów boskości Chrystusa, znajdzie je w książce Lebretona.

Obszerniejsza rozmiarami książka d'Alès'a uzupełnia poprzednią, choć napisana wcześniej od tamtej. »Oczekiwanie zbawienia na początku ery chrześcijańskiej« — tak głosi jej podtytuł, usprawiedliwiony przez treść całej książki. »Pokój rzymski«, który wyłonił kult cezara, jako boga-zbawiciela świata, rodził jednak w głębszych duszach uczucie duchowej pustki. Jednocześnie tworzył ramy dla rozszerzenia ewangelji; cywilizacja rzymska stała się przewodnikiem słowa dobrej nowiny. Wschodni i egipski mistycyzm, który powoli wsiąkał w suchą urzędową religję Rzymian, zwłaszcza kult Izdy i Serapisa i rozmaite misterja greckie, otwierając perspektywy życia szczęśliwego poza grobem w towarzystwie bogów, również przygotowywały grunt pod ziarno Boskiego Siewcy. Wreszcie ciemnięzony w ciągu wieków przez ościenne narody lud Izraela rozpałał swą wyobraźnię wizjami proroków, głoszących mu lepszą dolę, i oczekiwał Zbawcy, który mu miał przynieść zarówno polityczne panowanie nad światem, jak i triumf sprawiedliwości nad bezbożnością w powszechnem królestwie Jehowy, w nowem z Bogiem przymierzu. Równoległy kierunek apokaliptyczny nadawał temu przyjściu królestwa Bożego na ziemię cechy ogólnego kosmicznego przewrotu, »końca tego świata«. Na ziemię, spragnioną oczekiwaniem, pada z nad Jordanu wieść, że przybliżyło się królestwo Boże. Za Janem, udzielającym chrztu z wody, idzie Ten, który chrzcić ma Duchem Świętym. Urzeczywistniając w sobie prorocтва, a oczyszczając oczekiwania z pierwiastków zbyt ziemskich i nacjonalistycznych, Jezus ogłasza swoje nowe prawo, prawo miłości i wyrzeczenia się, prawo wewnętrznej pracy dusz, i zakłada swe królestwo powszechne, królestwo światła i nadprzyrodzonego życia, królestwo którego On sam wiecznie żyjąc będzie głową i panem, dawcą życia i sędzią przyszłym postępów ludzkich. Jakie przyjęcie znalazła »dobra nowina« o zbawieniu, opowiada nam historia. Autor w dwóch rozdziałach ostatnich komentuje tylko listy św. Pawła i Apokalypse św. Jana, w których skryształizowały się wiara i nadzieja pierwszych pokoleń. Mamy więc w książce d'Alès'a obfity materiał biblijny do całej chrystologii i nauki o zbawieniu. Egzegeza autora jest pewna; zręcznie wychodzi on z trudności, jaką nastarczają teksty o »bliskim« końcu świata. Szkoda tylko, że związek między oczekiwaniami a ich urzeczywistnieniem nie dość u autora uwypuklony, jak również, że tok myśli i układu nie zawsze jest dość

przejrzysty. A dałoby to się osiągnąć w znacznej części rozdrobnieniem rozdziałów i technicznymi drukarskimi środkami.

O. Cladder przygotował był cykl wykładów o ewangeljach dla młodzieży akademickiej, służącej na froncie, których jednak z powodów od siebie niezależnych nie wygłosił. Chodzi mu w tych wykładach o »historję literacką« naszych ewangelij. Cały pierwszy wykład poświęca wyjaśnieniom, na jakim materiale były pisane ewangelje, jakie rękopisy się dochowały, jakie są zasady ustalenia autentycznego tekstu. Kto, kiedy, dla kogo, w jakim celu, w jakich okolicznościach i pod jakimi wpływami pisał każdą z ewangelij — te zwykle zagadnienia introdukcji autor omawia, wychodząc z tradycyjnych świadectw, które sprawdza w świetle kryterjów wewnętrznych i na tle epoki i odnośnego otoczenia. Omawia zaś te zagadnienia oryginalnie i w formie swobodnego opowiadania. Okazuje wielkie zrozumienie odczucia ducha i stosunków epoki. Ewangelja Mateusza powstała jako protest przeciwko zatwardziałości żydów i na pożegnanie nieplodnej palestyńskiej ziemi; kazania i mowy Jezusowe, w niej zawarte, były rzeczywiste mowami, nie zaś sztucznymi zbiorami odosobnionych słów Zbawiciela. W kwestji źródeł idzie autor za zdaniem bardziej konserwatywnemi, odrzucając hipotezę t. zw. podwójnego źródła pierwszej ewangelji. Za to forma zewnętrzna ewangelji staje się zrozumiałą dopiero po porównaniu z innemi zabytkami palestyńskiego piśmiennictwa. Interesującemi są porównania synoptyków co do języka i budowy. Marek znał już ewangelję Mateusza, mianowicie hebrajską, natomiast grecki tłumacz Mateusza zależny jest od Marka. Zręcznie ustalonym został stosunek pisanych ewangelij do ustnej tradycji i przepowiadania apostolskiego. Co do Łukasza, to domyśla się autor, że te wiadomości, które on dodaje do pierwszych dwóch ewangelij, poczerpnął z ustnego opowiadania Jana Apostoła. Ugrupował Łukasz cały swój materiał według geografii więcej, niż według następstwa czasu. Jan uzupełnia opowiadania i prostuje chronologję synoptyków; wszakże autor jest zwolennikiem teorii o jednorocznem nauczaniu Jezusa. Cel bliższy ewangelji »duchowej« — walka przeciw chrystologii i innym gnostyckim błędom Cerintha, czem głównie tłumaczy się dobór treści ostatniej ewangelji. Wzór dla jej formy znalazł ostatni ewangelista, podobnie jak Mateusz, w ówczesnej palestyńskiej literaturze.

Omówione cztery książki, mimo swego popularno-naukowego charakteru, u nas byłyby jeszcze mało dostępne dla przeciętnego inteligentnego czytelnika: zbyt mało jeszcze nasze społeczeństwo obyte jest z tego rodzaju zagadnieniami. Odniosłoby zaś korzyść niezawodną, gdyby wysokość wykładu zniżyć o kilka tonów. Można to uczynić w ustnych publicznych wykładach, do których pomienione książki mogą służyć za podstawę i wzór.

Ks. J. Urban.

Z zagadnień kościelno-politycznych.

Georges Goyau: *L'Église libre dans l'Europe libre*. Paris, librairie academique Perin et C^{ie}, 1920, str. 238.

Dozna zawodu, kto w książce Goyau szukać będzie zasadniczych wywodów na temat stosunku Kościoła do państwa wogóle, które to zagadnienie wobec wielkich przemian politycznych ostatniej doby staje się bardziej niż kiedykolwiek aktualnem. Natomiast w książce tej niepośledniego socjologa i historyka kultury (właściwe nazwisko jego L. Gregoire) znajdzie czytelnik rzeczy ciekawe, których po tytule sobie nie obiecywał. Pierwsze dwa rozdziały tylko w luźnym pozostają związku z dalszym ciągiem książki, a napisane jeszcze w r. 1914 po wyniesieniu Benedykta XV na Stolicę Apostolską, poświęcone były nowemu następcy św. Piotra i czekającym go zadaniom. Właściwym przedmiotem książki jest położenie Kościoła w państwach Europy wschodniej, zwłaszcza w powstałych na gruzach Austro-Węgier lub wzbogaconych ich rozbiorem.

W rozdziale »Czem Austrja być była winna, a czem była« odkrywa autor politykę monarchji habsburskiej względem Kościoła. Z Austrji mógł promieniować katolicyzm na schizmatyczne kraje wschodniej Europy, tymczasem rząd Jego Cesarsko-Apostolskiej Mości stale paraliżował to powołanie katolicyzmu. W stosunku do Kościoła, poza oficjalnemi występiami cesarza i władz na uroczystościach i procesjach kościelnych, rząd austriacki do końca swego istnienia nie wyzbył się zasad józefińskich: w religji widział narzędzie swej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Rozciągając swój protektorat nad katolikami w Albanji i Serbji, Austrja tem samem utrudniała postępy katolicyzmu, w których ludność miejscowa upatrywała polityczne sukcesy naddunajskiego mocarstwa. Dlatego Stolica św. stale dążyła do uniezależnienia swej polityki kościelnej na Bałkanach od widoków Wiednia i Pesztu. Konkordaty, zawarte z Czarnogorą w roku 1886 i z Serbją bezpośrednio przed samą wojną, doszły do skutku wbrew trudnościom, podnoszonym przez rząd austriacki. Tenże rząd paraliżował, jak mógł, udział Kościoła w odrodzeniu narodowości słowiańskich. Za Metternicha każdą tego rodzaju dążność denuncjowano w Rzymie jako ruch rewolucyjny, potem jako niebezpieczny dla katolicyzmu »panslawizm«. Rząd austriacko-węgierski udaremnił między innemi zaprowadzenie w Chorwacji liturgji głągolićkiej, ku czemu skłaniał się już Leon XIII; wrogo odnosił się do największego patrioty chorwackiego, biskupa Strossmajera i jego planów unjonistycznych. G. Goyau z uznaniem podnosi wybitną rolę, jaką w Chorwacji, Czechach i u Słowienów odegrał kler w dziele odrodzenia narodowego; wykazuje też, jak ta działalność wpływała z zasad samego Kościoła i jak była dyskretnie popierana przez Rzym. Tylko

w wyborze nazwisk zasłużonych księży-patrjotów autor postąpił sobie nieco niedbale, wymieniając np. w Czechach Zahradnika, a pomijając Stojana. Podkreśla autor znaczenie enuncjacji Benedykta XV o prawach narodowości do niezależnego politycznego bytu, jak również niezwłocznego nawiązania przez Stolicę Apostolską stosunków z rządami państw nowych po upadku Austrii.

Revolucja rosyjska, osłabienie Niemiec i zniknięcie monarchii Habsburgów z karty geograficznej otwierają dla Kościoła na wschodzie Europy nową erę. Cezaro-papizm petersburski i józefinizm wiedeński paraliżowały działalność Kościoła; obecnie występuje Kościół w nowo utworzonych państwach, jako swobodny czynnik historyczny. Przed Kościołem rozwija autor szerokie perspektywy na wschodzie, ku któremu znowu zwraca się wzrok papieża, tworzącego Kongregację do spraw orjentalnych i Instytut wschodni w Rzymie.

Aż dwa rozdziały książki poświęcił Goyau Polsce. Rozbiór Polski był niegodziwością polityczną. Papież przeciwko tej zbrodni protestował i zdawało się, że przynajmniej władcy Wiednia, których sumienia od niego zależały, dadzą się poruszyć. Owszem, Marja Teresa czuła się wzruszoną: trzymała chusteczkę u oczu, podczas gdy drugą ręką podpisywała traktat rozbiorowy, — żałowała... że dwaj inni rabusie zabrali lepsze kawały. Wolter cieszył się i winszował Fryderykowi i Katarzynie, która okazała się silniejszą od Częstochowskiej Królowej. Oburzały się natomiast lepsze dusze i w zmartwychwstaniu Polski widziały konieczność sprawiedliwości historycznej. Ciepłymi słowami wspomina autor o naszej literaturze romantycznej, krzepiącej duszę narodu i o naszych powstaniach. Pomaga też czytelnikowi do sprawiedliwej oceny stosunku papieża do sprawy polskiej, stosunku nie dość rozumianego nawet u nas. Pamięta się o bulli Grzegorza XVI z r. 1832, a zapomina o protestach tegoż papieża z r. 1842 przeciwko Rosji, prześladowającej kościół katolicki dla jego polskości. Stwierdza też autor zasługi katolicyzmu i kleru względem Polski. Mówiąc o dobie ostatniej, piętnuje traktat brzeski, który Chełmszczyznę zroszoną krwią męczenników oddawał Ukrainie schizmatycznej, raduje się z dobrego stosunku młodej państwowości polskiej do Kościoła, stosunku, który znalazł wyraz w utworzeniu nuncjatury papieskiej w Warszawie. Co się tyczy zjednoczenia kościołów, to Polska, po upadku caratu, który wszystkich modlących się w innym niż łaciński obrządku zagarniał dla schizmy, nie ma powodu zajmować stanowiska niechętnego względem obrządku wschodniego; z drugiej strony katolicyzm nie musi na słowiańskim wschodzie być uważanym za niebezpieczny, skoro nie jest już związany z trupem Austrii. Polska łatwiej będzie mogła nawiązać do tradycji, którym przez wieki służyła.

Dwa końcowe rozdziały dotyczą Ligi narodów i potrzeby wskrzeszenia katolickiego systemu prawa narodów.

Książce Goyau można by zarzucić zbyt optywizm co do wol-

ności Kościoła w nowopowstałych państwach. Tak np. w Czechach nie wiadomo jeszcze, czy na miejsce józefinizmu nie przyjdzie nie lepsza od niego »walka kulturna« z Kościołem. W Jugosławji autor zdaje się nie dostrzegać trudności, jakie Kościołowi katolickiemu czy nie zaczyna prawosławny rząd serbski. Zbyttno też upraszcza autor zagadnienie unji kościelnej na wschodzie. Słowem zbyt różowo wyobraża sobie przyszłość Kościoła w tych krajach. Jeżeli jednak nie brać jego horoskopów za prorocstwo, lecz za ideał, ku któremu dążyć należy, trzeba przyznać, że zrozumiał i ducha Kościoła i cel, któremu on służy. Polacy-katolicy w szczególności znajdują w książce Goyau niejedną wzniosłą myśl wytyczną dla swojej polityki kościelnej.

Ks. Jan Urban.

Z literatury społeczno-ekonomicznej.

Dr. Franciszek Ksaw. Cieszyński: W sprawie wychodźstwa. Poznań, 1919, 8°, 80.

Temat, powiedziałoby się, tysiąc razy omawiany, ale że zawsze aktualny, że obchodzący każdego prawego Polaka, mogącego odczuć doniosłość tego faktu, że bodaj piąta część rodaków zdała od matczynej musi wieść żywot tułaczy i po obcy chleb wyciągać rękę, za cudzą sprawę znoić swe czoła, podczas gdy właśnie na ich rodzinnej ziemi tylu obcych, a nawet wrogich Polsce ludzi znajduje dość i żywności i mienia, zatem nie dziwnego, że poruszył ten temat znów nie kalkulujący na zimno ekonomista, nie czasami zbyt teoretycznie rozpatrujący problemy życia socjolog, ale lekarz, który widział bezpośrednio biedę naszych wychodźców, bo wśród nich pracował.

Rzecz też nie ma większego znaczenia naukowego, choć autor włożył w nią dużo indywidualnej myśli. Ale właśnie tam, gdzie jest najbardziej oryginalny, można podnieść duże wątpliwości. »Najsmutniejszym natomiast punktem, pisze autor, w pasywach bilansu wychodźstwa jest fakt, niedoceniony w literaturze wychodźstwa, że przez osłabienie liczebne i ekonomiczne siły narodu wychodźstwo przyczynia się pośrednio do powolnej utraty prawa narodu do części jego ziem od wieków przezeń posiadanych. Na wyłomach zapoczątkowanych często przez wychodźców, zachłanne żywioły obce robią ciągłe postępy na ziemiach naszych« (str. 31). Otóż jeśli chodzi o kresy zachodnie przyczyną panoszenia się Niemców, czy Czechów na krawędziach polskiej ziemi było wszystko inne, ale najmniej (nie mówimy wcale nie) wychodźstwo. Jak chodzi o resztę naszego kraju i o kresy wschodnie, to łatwo możnaby dojść do wprost przeciwnej konkluzji. W tysiąc-

nych i tysiącznych wypadkach chłop jechał za wody, albo na Saksy, by zarobionym tam groszem spłacić dług ciążyący na jego nowej chałupie, na rozszerzonym osiedlu, by kupić jeszcze kawał ziemi, w którą wrastał naprawdę duszą całą.

Wybijanie zbyt silne przyczyn politycznych wychodźstwa jest może też niedość usprawiedliwione. Polityczne stanowisko rządu tego czy innego wobec zagarniętej części społeczeństwa, bezpośrednio i prawdziwie tylko w wyjątkowych wypadkach było przyczyną emigracji, ale zato było największą przyczyną pośrednią, bo rządy zaborcze rujnowały nas ekonomicznie, a bieda pchała na obczyznę. Chyba że autor chciał tu wyrazić owo scholastyczne *causa causae est causa causati*.

Znalazłoby się jeszcze więcej sposobności do krytycznych uwag, ale to są drobiazgi. Wartość pracy p. Cieszyńskiego w tem leży, że temat ujął ze stanowiska obywatelskiego i przedstawił go tak, że każdy czytelnik pojmie łatwo, jak całe społeczeństwo może i powinno przeciwdziałać wychodźstwu. Nie wierzymy w to, żeby sprawa wychodźstwa miała w samej sobie przewagę wartości ujemnych, mówiąc językiem autora, żeby »bilans wychodźstwa« przedstawił pasywną, nie wierzymy dlatego, żeby falę emigracji można było całkiem wstrzymać, ale praca p. C. przyczynić się może do tego, żeby uregulować tę kwestję, usunąć braki, podnieść strony dodatnie. Przyczyni się do tego bezwątpienia badanie indywidualne przyczyn emigracji zapomocą odpowiedniego kwestjonariusza, projektowanego przez autora.

O tem odczuciu wychodźczej doli i o obywatelskości autora świadczy żywe zajęcie się kwestją powrotu naszych rodaków, której autor poświęca osobny rozdział. Rzuca przytem projekt utworzenia odpowiednich komitetów powrotu i na terenach emigracyjnych i w Polsce w łączności z biurami pośrednictwa pracy.

Broszurę można gorąco polecić wszystkim, którzy nie będąc specjalistami w kwestji społecznej, a w szczególności emigracyjnej, chcą zyskać ogólne pojęcie, pojęcie pobudzające do odpowiedniego czynu w tej sprawie.

Dr. Bronisław Stelmachowski: Krótki zarys pojęć socjologicznych i prawnopństwowych. Poznań 1919, str. 78, 80.

Celem autora, jak sam w przedmowie zaznacza, było »dać wykształconemu ogółowi, szczególnie zaś kształcącej się młodzieży, a mianowicie młodym prawnikom, krótki rzut oka na problemy socjologiczne i prawnopństwowe«. Cel istotnie bardzo piękny i pożądanym przez tych, do których autor adresował swą pracę. Niestety na razie autor celu swego nie dopiął.

Nie chodzi o to, że autor w wielu kwestjach, w których istnieje wiele zdań uczonych, wybiera i przedstawia tylko jedno,

gdyż z góry zaznacza, że staje na gruncie dogmatycznym, czyli to, co uważa za pewne, podaje czytelnikowi. Spierać się o tę pewność nie tutaj miejsce, można tylko kwestjonować, czy nie lepiej w takich »zarysach« zająć raczej stanowisko historyczne niż dogmatyczne, jak to uczynił dr. Stelmachowski, w kwestjach zaś spornych, przedstawia różne zdania.

Główny błąd tkwi w tem, że autor stanowczo za ciasno pojął i przedstawił zagadnienia społeczne. Cała pierwsza część, którą autor poświęca pojęciom socjologicznym, ogranicza się do przedstawienia rozwoju człowieka w grupy społeczne, tworzące rodziny, plemiona, narody. Rozumiemy doniosłość zagadnienia, ale nierozumiemy jak autor mógł w tem widzieć całość pojęć socjologicznych?...

Drugi błąd widzimy we wprowadzeniu do »zarysu« filozofji i pojęć oderwanych, które przy wysiłku autora zaciemniły kwestję jeszcze bardziej. Oto przykład: »W poszczególnych okresach działalność ludzka wykazuje pewną sumę zjawisk o specyjalnem zabarwieniu, mających ilościowo i co do natężenia przewagę nad wszelkimi innemi zjawiskami społecznymi... Gdy natężenie o tych zjawisk dochodzi do pewnego punktu kulminacyjnego, natenczas ważne zdarzenie społeczne lub nowe idee wywołują cały szereg zjawisk, przetwarzających dotychczasowe życie społeczne... Pod wpływem tych wydarzeń lub idei powstaje szereg nowych prądów umysłowych, wyzwalających niejako napiętą energją społeczną i zmieniających przez to dotychczasowy tryb życia społecznego... Są one więc (owe zdarzenia) w rzeczywistości tylko bodźcami, wyzwalającymi napiętą energją społeczną, utaloną w stanie dynamicznym(?)« (str. 34). Takiej historjografji pełno, a ona gruntownie obala zamierzenie autora.

Dodajemy do tego, że dr. Sz. dziwnie w swej głowie godzi rację istnienia Kościoła i świata moralności wewnętrznej z twierdzeniem E. Majewskiego, które przyjmuje za swoje, że »przyczyną w znaczeniu jednego z wielu warunków koniecznych i dostatecznych do uczłowieczenia nie-człowieka była mowa i były narzędzia sztuczne... Mowa wywołała stopniowy rozrost mózgu, kopiąc przez to samo przepaść między człowiekiem a zwierzęciem« (str. 14). Podobnych »dogmatów« można znaleźć więcej. Ale tyle chyba wystarczy, żeby można powiedzieć o Zarysie dr. Stelmachowskiego, że chybił swego celu i przestrzec przed nim tych, którzy ubiegają się za polskim »Göschensem«.

H. Lechtape: Der christliche Sozialismus. Die Wirtschaftsverfassung der Zukunft nach H. Pesch S. J. Freiburg i. B. 1919, 8°, 49.

Niejednego nawet laika w zagadnieniu społecznem uderza fakt, że socjalizm mimo wszystko przynosi z sobą pewne wartości, z drugiej strony wyznawcy zasad chrześcijańskich w całej ich rozciągłości odczuwają mimowolną prawdę, że wiara katolicka, zastosowana w ży-

ciu, powinna przynieść więcej tych wartości. Wytlómaczenie naukowe tego zjawiska, wykazanie, że chrześcijaństwo ma wszystko to, co jest dodatnie w ruchu socjalistycznym i ma to nie drogą jakichś niekonsekwencji, tajonych ustępstw od zasad naukowych socjalizmu i osławionych programów, ale mocą swej wewnętrznej wartości i ma tych wartości i sił twórczych o wiele więcej niż socjalizm, to cel i treść broszury.

Autor oparł swą pracę na obszernych dziełach znanego teoretyka w tej dziedzinie O. Henryka Pescha T. J. Na niewielu kartach bardzo trafnie ujął najważniejsze problemy życia społecznego i podał ich rozwiązanie w duchu katolickim według Pescha. A więc kwestja kapitalizmu jako czynnika destrukcyjnego i twórczego, kwestja solidarności społecznej jako podstawa rozwiązania problemu społecznego, system pracy i wynagradzania według zasad moralności katolickiej, sprawa dobrobytu ogólnego jako zasada regulująca i pretensje jednostek i ogólną wytwórczość, to wszystko znalazło krótkie, ale jasne i dobitne ujęcie w omawianej pracy. Pod koniec osobny rozdział poświęca autor stosunkowi «chrześcijańskiego socjalizmu» do kapitalizmu i komunizmu.

Autor przysłużył się bardzo tym, którzy nie mają czasu do studiowania obszernych prac ks. Pescha, a jednak chcieliby znać założenia i program chrześcijańskiej socjologii i ekonomji. Razi nas tylko tytuł. Wygląda to tak, jakby chrześcijaństwo chciało się zdobić w cudze piórka, albo imponować komuś śmiało przyswajaniem sobie osławionego terminu. Przypuszczamy, że istocie społeczno-ekonomicznego światopoglądu odpowiada lepiej nazwa chrześcijańskiej demokracji, która zresztą ma za sobą już pewną tradycję.

Ks. Walerjan Adamski: Jak zakładać stowarzyszenia młodzieży. Drugie całkiem zmienione wydanie. (Biblioteka organizacyjna Nr. 1). Poznań 1920, str. 56.

Zagadnienie naprawdę trudne, jeśli się uwzględni trudny materiał, jaki wogóle młodzież nasza przedstawia w pracy organizacyjnej, temat trudny i dlatego, że jeszcze wśród tych, którzy w pierwszym rzędzie powołani są do zakładania i prowadzenia stowarzyszeń, pokutuje przekonanie, że praca społeczna ma znaczenie podrzędne. Zabrał jednak głos w tem zagadnieniu człowiek, który od szeregu lat stoi na czele sekretariatu generalnego Związku Stowarzyszeń Młodzieży diecezji gnieźnieńsko-poznańskiej, a od roku nadto jest dyrektorem Zjednoczenia, mającego w przyszłości kierować w całej Polsce ruchem katolicko-organizacyjnym wśród młodzieży.

Rzecz napisana, śmiało można powiedzieć, bez jednego frazesu. Wszystkie zasadnicze sprawy przy zakładaniu, przy t. zw. konstytucyjnym zebraniu poruszone zwięźle, a mimoto jasno przedstawione. Toteż trzeba ją polecić każdemu, kto czuje jakąś chęć organizowa-

nia młodych zastępów, kto widzi tego potrzebę. Trzeba polecić, bo idąc za autorem, kto nie zdobędzie pewnego minimum teorii tej pracy, ten nawet mimo wrodzonych zdolności nie zdoła organizacji młodzieży utrzymać w należyтым stanie, ani nie zdoła założyć na silnych podstawach.

W niektórych kwestiach, mimo respektu dla wielkiego doświadczenia autora, śmiemy podnieść pewne wątpliwości. Za silne wydaje nam się twierdzenie, że »wprost błędną rzeczą jest organizować młodzież na podstawie podziału zawodów« (str. 10). O ile przez to tworzą się karłowate organizacyjki, a więc po wsiach i małych miastach — zgoda, lecz tam, gdzie można zespolic młodzież jednego »zawodu«, a więc kupiecką, rzemieślniczą i t. p., dlaczego to ma być »rzeczą błędną? Kastowość między temi stowarzyszeniami wytworzy się wtedy, gdy się ją będzie prowadzić w duchu kastowym, rozdmuchując słabostki zawodowe, lecz nie wtedy, jeśli się w stowarzyszenie zaszczepi ducha katolickiego, obywatelskiego. A o ileż łatwiej prelegentowi trafić do duszy młodzieży, jeśli stowarzyszeni są tej samej kategorii, o ile łatwiej o pouczające, zawodowe wykłady, o wycieczki naukowe, o zawodową bibliotekę!

Ks. Adamski poleca wprowadzić do stowarzyszeń dwa typy zebrani: »podczas gdy jedno powinno być raczej poważne, drugie niech ma charakter wieczornicy dla członków«, i tak na przemian. Czy nie lepiej jest każdemu zebraniu nadać podwójny ton: poważny i pełen młodzieńczej radości. Nic łatwiejszego, jak do tych »poważnych« zebrani zrazić członków tak, że ich coraz mniej uczęszczać będzie. Dobre to jest tam, gdzie młodzież już jest wyrobiona, umie cenić życie organizacyjne, ale nie tam, gdzie się ją do tego dopiero przysposabia. To też zebrania wszystkie oprócz odczytu i owego stereotypowego porządku dziennego, powinny mieć drugą część swobodnej zabawy.

Czytamy na str. 42 słuszną uwagę, że w młodzieży należy »budzić zdrowe poczucie godności, by mianowicie nie oglądali się za pomocą materialną skądinąd... Ustawiczna gonitwa za subwencjami demoralizuje«. Ale autor powiedział tu coś więcej i, zdaje się, za dużo. »Nawet w stosunku do państwa stoimy na zasadzie, by nie wyciągać ręki do niego o subwencję dla stowarzyszenia... Potępiać należy wszelkie podarki...« A jeśli się okaże potrzeba, albo nawet będzie sposobność wybudować lub nabyć jakiś dom dla stowarzyszenia, czy należy czekać aż stowarzyszenie zbierze kapitał z 20 fenigowych wkładek, do których są obowiązani członkowie co tydzień? Czy państwo nie jest na to, by popierać oświatę i ruch społeczny? Czy do subwencyj państwowych mają mieć prawo tylko organizacje lewicowe? Czyż zresztą autor sam nie suponuje i nie liczy na ofiarność prywatną i publiczną, kiedy np. mówi, że »boisko ofiaruje p. X.«, albo, że boisko powinna dać gmina, że »niejeden gospodarz lub dziecko chętnie odstąpi mniej potrzebną izdebkę« na ognisko, albo kiedy

umeblowanie ogniska powierza członkom, z których »jeden ofiaruje ławeczkę, drugi krzeselko, trzeci wyprosi od matki stół, inny wyciągnie z górki(?) szafę...« Ten ostatni sposób pomnażania inwentarza stowarzyszeniowego bardzo niebezpieczny. Jeśli już coś przyjmować dla stowarzyszenia, to od osób stojących poza niem, ale nigdy od jego członków, bo stąd rodzą się ambicje, pretensje, zawikłania przy możliwym wydalaniu. Rzecz więc należałoby tak przedstawić, żeby podkreślić i zalecić samopomoc, samowystarczalność, ale nie wykluczać pomocy z zewnątrz.

Sądzimy, że czcigodny autor zdoła te wątpliwości w jakiś sposób usunąć w trzecim wydaniu swej broszury.

Ks. R. Moskała.

Do historii kościelnej.

Ks. Teodor Czaputa: *Życie i śmierć męczeńska bł. Jana Sarkandra*. Cieszyn 1920, str. 117.

Książka niniejsza zasługuje na rozpowszechnienie nie tylko między ludem, dla którego jest przeznaczona, ale i między polską inteligencją. Aktualność jej, — pominąwszy już moment czysto religijny, — stąd pochodzi, że podaje nam życiorys syna tej ziemi, o którą zażarty spór się toczy, Śląska Cieszyńskiego. W życiorysie Sarkandra, kapłana i męczennika za wiarę i za sekret spowiedzi, mamy obraz tych zmagających religijnych, jakie na Śląsku i Morawach wywołała pseudo-reformacja luterska, a bez znajomości owych zmagających nie zrozumie się ani historii tych krajów, ani nawet panujących w nich jeszcze obecnie stosunków.

Wojna trzydziestoletnia zaskoczyła Sarkandra na probostwie w Holeszowie na Morawach. Otoczony dokoła przez biorących górę protestantów, ucieka się on o pomoc nadprzyrodzoną do Matki Boskiej w naszej Częstochowie. W powrotnej drodze zawadza o Kraków. Rzucono nań z tego powodu podejrzenie, że szukał pomocy zbrojnej Polaków przeciwko protestantom; najazd »Lisowczyków« na Morawy zdawał się to podejrzenie potwierdzać, a jeszcze bardziej oszczędzenie katolickiego Holeszowa przez naszych partyzantów, nie przepuszczających protestanckim okolicom. Ujęto więc proboszcza, jako porozumiewającego się z Polską. Torturowano go kilkakrotnie, wymuszano wyznanie, jakie tajemnice powierzone mu były na spowiedzi przez politycznie podejrzanego Lobkowitza. Z ran torturami zadanych zmarł 17 marca 1620, więc trzysta lat temu. Beatyfikowany z 1860 r. przez Piusa IX. Podnoszący w naszych czasach głowę

husycki radykalizm jest prostym spadkobiercą heretyków z XVII w. Ucieczka błog. Sarkandra na Jasną Górę zdaje się wskazywać, że i obecnie od Polski wyglądać winny katolickie Śląsk i Morawy tamy przeciwko falam czeskiego kacerstwa.

J. B.

O. Wład. Szoldrski: *Historja kościoła i cudownego obrazu N. Panny w Tuchowie*. Cieszyn, nakładem OO. Redemptorystów 1920, str. 262.

Autor, jak sam zaznacza na karcie tytułowej, zebrał »materiały i źródła« do historii Matki Boskiej Tuchowskiej. Zebrał je skrzętnie zarówno z pomiędzy już ogłoszonych drukiem, jak i z rękopisów i ułożył z nich płynne opowiadanie historii cudownego obrazu, kościoła i parafji na tle dziejów ojczystych aż do ostatniej chwili. Pięknie wydana i licznymi ilustracjami ozdobiona książka O. Szoldrskiego mile powitaną będzie przez czcicieli Matki Boskiej. Rozdział ostatni »Wśród wszechświatowej zawieruchy« służyć będzie też za dokument naocznego świadka. Tuchów w latach 1914 i 1915 znajdował się na linii bojowej i wielokrotnie z rąk do rąk przechodził. Autor nie szczędzi Moskali, ale więcej zarzuca Austriakom, którzy okazali się mniej dbałymi o bezpieczeństwo miejsc świętych, niż schizmatycka armja rosyjska.

J. B.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

V. Cathrein S. J.: *Der Sozialismus*, wyd. 12 i 13. Fryburg Herder, 1920, str. 522, M. 18-40, opr. M. 22.

Dr. Simon Weber: *Evangelium und Arbeit*, wyd. 2. Fryburg, Herder, 1920, str. 363, M. 12-80, opr. M. 15-80.

H. Bockel: *Klerus und Volksmission, Vorträge*. (»Hirt und Herde« zesz. 5 i 6). Fryburg, Herder, 1920, str. 301, M. 14.

O. Wolff O. S. B.: *Mein Meister Rupertus*. Fryburg, Herder, 1920, str. 202, M. 6-80, opr. M. 8-80.

Prof. O. Hellinghaus: *Beethoven* (Bibliothek wertvoller Denkwürdigkeiten, 5 B.). Fryburg, Herder, 1920, str. 270, M. 7-20, opr. 9-20.

Dr. B. M.: *Roman Dmowski*. Poznań-Warszawa, księg. św. Wojciecha, str. 31.

A. Condamin S. J.: *Le Livre de Jérémie*. Paryż, nakł. księgarni Lecoffre, J. Gabalda, 1920, str. 45 i 380.

O. Jacek Woroniecki: *Królewskie kapłaństwo*. Nakł. księg. św. Wojciecha, Poznań-Warszawa, 1920, str. 166.

Ks. Euzebjusz Staceczny: *Listy o wymowie*. Nakł. jak wyżej, str. 173.

Ks. Józef Kruszyński: Żydzi i kwestja żydowska. Włocławek 1920, nakł. druk. diecezjalnej, str. 158.

Kazimierz Nitsch: Rozbiór językowy Ojczenasza. Gebethner i Wolff, 1920, str. 37.

Ks. Dr. A. Szymański: Stanowisko pracy w konstytucji Rzeczypospolitej polskiej. Lublin, 1920, nakł. Tow. popierania ruchu społ. przy Uniw. lub., str. 29.

Leo Wolpert: Die einzige Seele. Sonntagslesungen. Fryburg, Herder, 1920, str. 202.

Die »Übung« der Mutter Klara Fey. Wyd. 7—9, Fryburg, Herder, 1920, str. 98.

Hartmann Eberl: Im Klostergarten. Friedliche Religionsgespräche. Fryburg, Herder, 1920, str. 100.

Rundschreiben u. h. Vaters Benedikt XV... über die Ausbreitung des kat. Glaubens auf dem Erdkreis. Fryburg, Herder, 1920, str. 39.

K. Konarski; Wizerunek prawego polaka. Warszawa, wyd. Polskiej Macierzy Szkolnej, str. 11.

A. Janowski: Potęga Polski. Warszawa, wyd. Polskiej Macierzy Szkolnej, str. 23.

Fr. N. Foerster: Wychowanie i samowychowanie. Tłóm. Dr. J. Kretz-Mirski. Nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 325.

Flugschriften der »Stimmen der Zeit«, nakładem Herdera we Fryburgu.

Wyszły dotąd zeszyty:

1. H. Pesch: Neubau der Gesellschaft.
2. F. Ehrle: Neu-Deutschland und der Vatikan.
3. V. Hugger: Um die christliche Schule.
4. O. Zimmermann: Trennung von Kirche und Staat.
5. H. Pesch: Sozialisierung.
6. B. Duhr: Der Bolschewismus.
7. H. Sierp: Demokratie und Weltanschauung.
8. A. Vöth: Um die Zukunft der deutschen Missionen.
9. C. Noppel: Der deutsche Rätegedanke und dessen Durchführung.
10. B. Duhr: Der Dekalog die Grundlage der Kultur.
11. H. Muckermann: Erbliehkeitsforschung und die Wiedergeburt von Familie und Volk.
12. C. Noppel: Die Soziale Revolution.
13. M. Pribilla: Religionsloser Moralunterricht.
14. J. Overmans: Roman. Theater und Kino im neuen Deutschland.
15. C. Noppel: Deutsche Auswanderung und Auslandsdeutschum.
16. V. Hugger: Die Seele der Schularbeit.
17. J. Kreitmaier: Der Kampf um die neue Kunst.

Sprawozdanie z ruchu religijnego naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika papieska o pokoju. — Zadania katolicyzmu w Rosji.

W dzień Zesłania Ducha Św., 23 maja b. r., ogłosił Benedykt XV encyklikę »*Pacem, Dei munus pulcherrimum*«, skierowaną do biskupów całego katolickiego świata. Stanowi ona jakby bilans sześcioletnich usiłowań papieża, podjętych w celu przywrócenia pokoju, a zarazem jest nowym głosem do sumień narodów chrześcijańskich o utrwalenie pokoju już, acz nie wszędzie, odzyskanego.

Co podczas wojny uczynił Ojciec św. dla znękaney ludzkości, streszczaliśmy na tem miejscu już przed półtora rokiem¹⁾. Sam papież dotyka tej działalności swej zaledwie w kilku wierszach: od samego wstąpienia na apostolską stolicę nie przestawał kołatać do sumień panujących i narodów, aby zaprzestały bratobójczej walki, wskazywał zasady, na podstawie których powinny być rozstrzygnięte międzynarodowe spory, a jednocześnie czynił wszystko, co leżało w jego mocy, by złagodzić nędzę, jaką wojna na świat sprowadziła. Ta sama pobudka miłości Chrystusowej, która natchnęła Ojcu chrześcijaństwa tylé dobroczynnych usiłowań, zniewala go obecnie, by do wszystkich synów Kościoła i ca-

¹⁾ Por. Przegl. Powsz., styczeń 1919, str. 64.

Tej ludzkości zwrócić się z wezwaniem: Usuniecie już z serc nienawiść, utrwalcie wzajemną zgodę i miłość! Dobiera Ojciec św. najsilniejszych akcentów, by do tej wzajemnej zgody i miłości narody zniewolić. Bez niej kruchym będzie pokój, jedynie na sile materialnej i pisanych umowach oparty: bez życzliwości i pokojowego współdziałania narodów zahamuje się nawet rozwój gospodarczy, tembardziej postęp sztuk i nauk; co najważniejsza, najgłębszą ranę odniesie życie chrześcijańskie, którego cała skuteczność polega na miłości. Miłość wzajemna ludzi i narodów należy do istotnych znamion chrześcijaństwa, nakazana nauką Jezusa Chrystusa, poparta własnym Jego przykładem, stwierdzona historią pierwszych wyznawców. Ze szczególnym naciskiem podkreśla encyklika chrześcijański obowiązek darowywania i zapominania uraz i czynienia dobrze nawet nieprzyjaciółom. Ludzkość cała, jak ów podróżny z ewangelji, co wpadł w ręce zbójców, krwią i łzami ocieka; uleczyć i pocieszyć ją zdoła jedynie Boski Samarytanin i Kościół, który Jego dzieło miłosierdzia dalej prowadzi. Dlatego zaklina Ojciec św. biskupów całego świata, aby wszelkimi sposobami starali się natchnąć tych, nad którymi piecza jest im powierzona, duchem przebaczenia wrogom i zachęćli do nawiązania przyjaznych stosunków międzynarodowych. Zwraca się także do pisarzy i dziennikarzy, aby nie tylko unikali rzucania na inne narodowości fałszywych oskarżeń, lecz zaniechali nawet wszelkiej gwałtowności tonu i ostrości stylu, które nie pozwalają zbliżnić się świeżym jeszcze ranom. Uznając wreszcie, że do zacieśnienia międzynarodowych stosunków wielce się przyczyniają zjazdy; wzajemne odwiedziny naczelników państw i ich rządów, zapowiada papież, że będą złagodzone zasady, jakich od zaboru Rzymu musiała się trzymać Stolica Święta względem panujących katolickich, którzy zamierzali odwiedzić króla włoskiego w stolicy chrześcijaństwa. Zastrzega tylko, że ta zmiana nie oznacza zgodzenia się na nienormalne stosunki, jakie przez zabór Rzymu zostały wytworzone dla Stolicy świętej.

Zastosowanie się do nawoływań papieża jest ścisłym obowiązkiem każdego, w kim bije serce katolickie. Przedewszystkiem pragnąć należy, aby głos Benedykta XV wzięła do serca nasza prasa codzienna. Nie można bowiem zaprzeczyć, że i u nas pewne dzienniki, nawet katolickie, kiedy chodzi o inne narodowości, zwłaszcza pozostające z nami na stopie wojennej lub wiodące

z nami spory o terytorja, nie zawsze umieją zachować zupełną rzeczowość. niesprawdzone pogłoski, uogólnianie i rozdymanie faktów nam wrogich, jaskrawe nagłówki, dosadne, czasem brukowe wyzwiska — wszystko to wydaje im się godziwem, kiedy chodzi o wywołanie nastroju nieprzyjaznego względem prawdziwego czy domniemanego wroga. Czyni się z tego patryjotyczną zasługę, o brak miłości ojczyzny pomawia się tych, którzy tej metody jątżenia nie uprawiają. Głos Ojca św. przypomina wszystkim, a więc także pracownikom pióra, kształcącym opinię publiczną, tę chrześcijańską zasadę, że dobrej sprawie najlepiej się służy, kiedy się służy jej prawdą i miłością.

Kojąc ewangelją pokoju rany zadane ludzkości przez rozdarcie na dwa wrogie obozy, nie może Kościół katolicki spuścić z oka innego smutnego w łonie chrześcijaństwa rozdarcia — odszczepieństwa kościelnego i sekciarstwa. Pragnąc, aby narody zwały się we wspólnem współdziałaniu kulturalnem, dąży też ustawicznie do zrealizowania pragnienia Chrystusowego, »aby wszyscy byli jedno« we wspólności wiary i czci Bożej. Dlatego szczególną uwagę zwraca Stolica św. na kościoły wschodnie, od ośrodka jedności oddzielone i nie zaniedbuje żadnych środków, byle je z powrotem dla katolicyzmu pozyskać. Między kościołami wschodniami tak liczbą wyznawców swoich, jak i organizacją pierwsze miejsce zajmuje cerkiew prawosławna w Rosji. Ona dawała materialną i moralną podporę wszystkim innym odszczepionym kościołom wschodnim. Obecnie, gdy wszystko, co było jako tako skonsolidowanego w Rosji, rozpuściło się, że tak powiemy, w stan mgławicy, ciśnie się pytanie: jak się ukształtują z tej mgławicy w przyszłości stosunki religijne i w szczególności jakie są widoki dla rozwoju katolicyzmu w Rosji. Od czasu do czasu pytania takie są roztrząsane w pismach katolickich. Tak np. w rzymskiem czasopiśmie *Civiltà Cattolica* z 5 czerwca b. r. zabrał w tej sprawie głos arcybiskup-metropolita mohylewski, ks. E. Ropp, kreśląc pokrótce dzieje katolicyzmu w państwie carów z dodaniem kilku uwag, co i jak może i powinien uczynić katolicyzm w Rosji w najbliższej przyszłości.

Ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo nasze z Rosją kwestja religijnej przyszłości tego olbrzymiego kraju nie może nas nie obchodzić, tembardziej, że takie czy inne ukształtowanie się

tam stosunków wyznaniowych będzie wywierało wpływ i na nasze wschodnie rubieże, gdzie przecież znaczny odłam ludności wyznaje religję prawosławną. Wypowiemy od siebie kilka myśli w tej kwestji.

Cerkiew prawosławną w Rosji przechodzi obecnie ciężki kryzys. Przywykła do opierania się o tron, naraz znalazła się bez tej opory, owszem rychło stała się przedmiotem zaciętego prześladowania ze strony bolszewizmu. Wiadomo, że obecni panowie Rosji, jak na konsekwentnych wyznawców Marxa przystało, poczytując samą ideę Boga za szkodliwy zabobon i truciznę, wydali zażartą wojnę wszelkiej religji, z wyjątkiem żydowskiej, którą ostatecznie osłonić mogą Bronsteinowie-Troccy i Zinowiewy-Apfelbaumi. Ze szczególną nienawiścią rzucił się bolszewizm na prawosławie, które oddawało tyle policyjnych usług caratowi i bywało niejednokrotnie kuźnią — przyznać to trzeba — pogromowych agitacyj. Dziś urzędowe prawosławie rozbite, obdarte z mienia, pozbawione wszelkiego wpływu na bieg publicznego życia, ma już dość licznych swoich męczenników. Prześladowanie — prawem reakcji — podobno rozbudziło religijność w kołach ludności zwłaszcza wiejskiej, gdzie bolszewicy są znienawidzeni; bądź co bądź trzeba przewidywać, że wytężona propaganda ateizmu zwłaszcza w wojsku i szkole przy popołgowaniu niskim instynktem natury zrobi swoje i że młode zwłaszcza pokolenie albo wiarę utraci, albo wprost w nienawiści do niej się wychowa. Aby na długo większość narodu rosyjskiego wyrwała się z wszelkich instynktów religijnych, o to niema szansy, zbyt bowiem wiele w naturze rosyjskiej tkwi pierwiastków uczuciowych i mistycznych, by możliwy był tam na trwałe zimny i suchy ateistyczny racjonalizm. Rosjanin, któremu zaszczepią nienawiść do cerkwi, popa, obrazów, sam stworzy sobie religję bez obrazów, popa, cerkwi, wszakże bez religji długo się nie obędzie. W tych warunkach prawdopodobnie utrudnionem będzie odrodzenie urzędowej cerkwi prawosławnej, natomiast przygotowuje się gleba pod posiew przeróżnego sekciarstwa, które zresztą kwitło w Rosji nawet za dni najwyższej potęgi »kazionnoj« wiary.

Do pracy na tej roli musi wystąpić i katolicyzm. Ma on do spełnienia misję nie tylko religijną w paraliżowaniu sekciarstwa, ale i kulturalną, dając nowej Rosji nowe podstawy do zorganizowania narodowego życia na modłę europejską. Żeby temu zada-

niu sprostać, katolicyzm w Rosji musi sam ulec gruntownemu przeobrażeniu pod względem swej organizacji. Dotychczas katolicyzm w Rosji był właściwie ciągiem dalszym czy ekspozyturą Kościoła polskiego. Wszedł on do państwa carów, jako zwarta organizacja kościelna, dopiero po rozbiorach Polski, uważany za religję polską. Spełnił on w tej ciężkiej epoce historii naszego narodu misję ochronną względem polskości; zarzuty, że tym charakterem swoim zagradzał sobie drogę do ekspansji, są bezprzedmiotowe wobec okoliczności, że na straży całości prawosławia stał cały aparat państwowo-policyjny i wszelka propaganda katolicyzmu była uniemożliwiona. Wszakże i względem Rosji samej polski katolicyzm spełnił pewną rolę: samem rozszerzaniem się po dalekich przestrzeniach Europy wschodniej i Syberji zaznajamiał ze sobą coraz szersze koła i tępił te uprzedzenia, jakie przez wieki zaszczipiano w umysły ciemnego tłumu, że katolicy to nie chrześcijanie. Wiem z własnej obserwacji, że pobożny prawosławny lud wstępował do naszych świątyń, znajdujących się prawie we wszystkich znacznych miastach, że się w nich modlił, że mu się w nich niejedno podobało. Inną zasługą naszego polskiego katolicyzmu w Rosji to stworzenie tych właśnie licznych punktów oparcia dla katolickiej pracy, jakimi są kościoły i znajdujące się przy nich instytucje.

Główna dotychczasowa rola Kościoła polskiego, jako takiego, w Rosji jest już skończona. Wielka ilość naszych rodaków, których w dalekie wschodnie strony gnała ręka ciemiezy albo potrzeba zdobycia kawałka chleba, już wróciła lub wróci do własnej ojczyzny. Prawdopodobnie niektóre parafje katolickie w Rosji zupełnie znikną z tego powodu. Polskość posiadać będzie naturalnego opiekuna w państwie polskiem. Kościół katolicki w Rosji będzie musiał wystąpić w charakterze misji wśród inowierców, przede wszystkim prawosławnych. To pociągnie za sobą daleko idące zmiany. Najpierw traci rację bytu metropolja mohylewska, jak to uznaje sam obecny jej arcypasterz. Biskupstwa, które kanonicznie od niej zależały, znalazły się już prawie wszystkie poza granicami Rosji w nowopowstałych państwach narodowych. Sama diecezja mohylewska, po utracie diecezji mińskiej, która otrzymała własnego pasterza, i po utworzeniu nowej diecezji ryskiej, do której odeszła prawie połowa dotychczasowych diecezjan mohylewskich, liczbowo bardzo zmalała. Przed wojną

na tem terytorjum, które do niej jeszcze należy, znajdowało się katolików około 100 tysięcy we wschodnio-północnej części Białorusi i około 400 tysięcy rozproszonych po miastach rosyjskich od Petersburga do Władywostoku. Ta ostatnia cyfra, jak powiedzieliśmy, może stopnieć do dość nieznacznej garstki. W tych warunkach byłoby wskazaniem rozbić tę nienaturalną kościelną jednostkę, którą właściwie utrzymywała w całości wola rosyjskiego rządu, uniemożliwiającego tworzenie nowych diecezji. Obecnie ta trudność ustąpiła. Dlatego należałoby przenieść z Petersburga do Mohylewa nad Dnieprem siedzibę biskupią, przy którejby pozostały dekanaty katolickie na Białejrusi. Te 100 tysięcy katolików są to polacy, względnie białorusini, ludność osiadła, która katolicką zostanie bez względu na polityczną przyszłość kraju. Resztę obecnej mohylewskiej diecezji, jak również znajdującą się na południu Rosji diecezję tyraspolską, trzeba będzie traktować jako kraj misyjny, zależny od Kongregacji Propagandy wiary. Dotychczas na tych olbrzymich przestrzeniach Rosji pracowali kapłani polacy lub litwini, w przeważnej części pochodzący z krajów, które od Rosji odpadły. Niema widoków, aby ta garść katolików, co pozostanie we właściwej Rosji, wystarczyła sobie, zwłaszcza aby dała dostateczną liczbę powołań do stanu kapłańskiego, przed którym w dodatku roztacza się nie prawidłowa parafjalna praca, lecz iście misyjny tułaczy zawód. Nasze zaś polskie diecezje nie będą mogły przyjąć z pomocą, już to dla politycznych trudności, już to z powodu wielkiego braku kapłanów w kraju. Trzeba przeto liczyć raczej na pracę zagranicznych, przedewszystkiem francuskich zakonów misyjnych. W związku z tem przewidywanym jest podział całej właściwej Rosji i Syberji na szereg odrębnych jednostek misyjnych, tak zwanych wikariatów, albo prefektur apostolskich. Za podstawę dla ich działalności zapewne posłużą dotychczasowe parafjalne kościoły.

Przed katolicką misją w Rosji stanie pytanie: jaki obrządek propagować, łaciński czy też grecko-słowiański? Że obrządek łaciński w każdym razie musi być utrzymany choćby ze względu na dotychczasowych wyznawców katolicyzmu, to rzecz jasna. Chodzi tylko o to, czy skazać go jedynie na wegetację wśród katolików obcego pochodzenia, dla konwertytów-Rosjan przeznaczając wyłącznie obrządek wschodni, czy przeciwnie obrządek łaciński uczynić jedyną formą katolicyzmu w Rosji, czy wreszcie

pielegnować obydwą obrządki? Pierwsza możliwość odpowiada dotychczasowym zasadom i praktyce Kościoła katolickiego w krajach z ludnością schizmatyczną, np. w Syrii. Konstytucje papieskie surowo zabraniają łacińskim misjonarzom narzucać obrządek łaciński powracającym do jedności kościelnej schizmatykom; mają oni zatrzymać swój obrządek rodzimy. Ale w Rosji prawie że niema organizacji kościelnej unickiej, która mogłaby rozciągać duchową pieczę nad konwertytami. Założonego już podczas wojny przez lwowskiego metropolitę »exarchatu« z kilku kapłanami wschodniego obrządku trudno brać na serio w rachubę, kiedy chodzi o tak olbrzymie przestrzenie. Przytem wielu nawracających się Rosjan, zrywając ze schizmą, pragnie zerwać ze wszystkim, co ją przypomina, a zatem i z obrządkiem dotychczasowym.

Z drugiej strony niepodobna również zagradzać drogi do rozwoju obrządkowi unickiemu. Obok konwertytów, przekładających obrządek łaciński, trafiają się i tacy, co pragną zatrzymać obrządek dawny i Kościół nie ma dogmatycznych powodów do narzucania im obrządku nowego i nigdy tego nie czynił. Nadto nie ulega wątpliwości, że propaganda katolicyzmu wśród szerszych mas, zwłaszcza na północy Rosji, gdzie lud jest bardzo przywiązany do zewnętrznej strony religji, może liczyć na większe powodzenie jedynie przy pozostawieniu przynajmniej języka słowiańskiego w liturgji, a Kościół, któremu chodzi o dusze i o jedność kościelną, winien użyć takich środków, jakie do jego celów okażą się skuteczniejszymi. Wreszcie nieuznanie w praktyce obrządku wschodniego wprost zagroziłoby drogę do Kościoła dla pragnących pojednać się z nim duchownych prawosławnych, a Kościół nie może zamykać swych podwoi przed żadną kategorią ludzi.

Wobec tego wydaje się rzeczą wskazaną pozostawić konwertytom zupełną swobodę wyboru obrządku, w którym to razie obydwą, acz zapewne nierównomiernie, rozwijać się będą. Takie rozwiązanie kwestji ma jednak swoje trudności. Przy istnieniu obok siebie kilku katolickich kościelnych organizacji różnych obrządków wytwarzają się między nimi pewne tarcia i nieporozumienia. Przytem, naturalnie rzecz biorąc, łacińscy misjonarze mogą tracić zapal do pracy, skoro nawróceni przez nich schizmatycy przechodzić będą pod władzę i wpływy kleru innego

obrazdku, ten zaś kler o własnych siłach nie sprosta zadaniu katolicyzacji swych ziomków. Właśnie przykład krajów dawnej Turcji wykazuje pod tym względem duże braki. Otóż, zdaniem arcybiskupa Roppa, należałoby w Rosji utrzymać zasadę jedności jurysdykcji kościelnej. Zgodnie ze starożytną praktyką, niechby był jeden biskup na jednym terytorjum, którego władzy podlegaliby wierni do jakiegokolwiek z obrządków katolickich należący. Zapewne, w myśl ks. Roppa, choć tego wyraźnie nie mówi, taki wspólny biskup czy wikariusz apostolski miałby prawo celebrowania według potrzeby to w jednym to w drugim obrządku. Jego władzy podlegaliby zarówno misjonarze łacińscy, jak i świeżo nawróceni z prawosławia duchowni, lub kapłani we wschodnim obrządku wyświęceni. Obsługiwaliby wiernych tego obrządku, jakiego trzymaliby się sami. A może w konsekwencji mieliby i kapłani prawo odprawiania nabożeństw to w jednym to w drugim obrządku. Takie pomieszanie obrządków najlepiejby symbolizowało jedność wiary przy różności formy.

Trzeba zauważyć, że proponowany sposób organizacji misji katolickiej w Rosji odbiega daleko od zachowywanych dotychczas norm. Różne obrządki żyją obok siebie, a często rywalizują ze sobą, uważane najczęściej za, ostoję tej czy innej narodowości. Jeszcze w ostatnim dziesiątku lat potworzyła Stolica św. odrębne biskupstwa dla rusinów-unitów w Północnej Ameryce, a wikariaty apostolskie w Bośni i Brazylii. Przyjęcie projektu ks. arcybiskupa Roppa stanowiłoby więc wyłom w praktyce dotychczasowej i byłoby śmiałym eksperymentem. Nie przesadzamy więc, jak się odniesie do tego projektu Stolica Apostolska. W każdym razie na obszarach Rosji wyłaniają się nowe problemy i nowe zadania katolicyzmu, które może pociągną potrzebę wyprobowania nowych metod.

Ks. Jan Urban.

Z naukowych odkryć.

Śmierć pozorna. — Uduśnienie. — Głód. — Postępy w budowie latawców.

Śmierć pozorna! Przed kimże, nie stanęły jak straszna zmora słowa powyższe! A tem straszniejsze, że mimo wszystko nauka

nie posiada zupełnie nieomylnych sposobów, zapomocą których w każdym wypadku mogłaby napewne stwierdzić ostateczny zgon człowieka. Gdy patrzymy na gasnące życie umierającego, podlegamy wszyscy mimowolnemu, na sugestji opartemu przekonaniu, że z widocznym tchem ostatnim ustąpiło życie z organizmu, że w tej właśnie chwili dusza rozłączyła się z ciałem. Że tak jednak nie jest, przynajmniej w największej liczbie wypadków, o tem dziś chyba nikt już nie wątpi — lecz po uświadomieniu sobie tego, śmierć tem większą okryła się przed nami tajemnicą, tem cięższą do rozwikłania, że w badaniach wogóle nad zgonami doskonałych doświadczeń przeprowadzić nie można. Albowiem jedno doświadczenie nad zgonem będzie niezupełne, bo nie dochodzące do krytycznej chwili zgonu, albo też jego część najważniejsza, końcowa, śmiertelnym osłonięta milczeniem, przynajmniej dla psychologa doświadczalnego, badającego przedewszystkiem zajścia w cudzej jaźni, nigdy dostępną nie będzie. Trzeba tedy ograniczyć się na badaniach czysto obiektywnych, fizjologicznych, a że i te są niezmiernie trudne i powiedzmy otwarcie przykre, więc każdy przyczynek na tem polu zasługuje na pilną uwagę.

Najlepszy niejako, bo stosunkowo najłatwiejszy do zbadania materiał i najbogatszy w rezultaty przedstawiają wypadki zgonu przez uduszenie, jako to przez zadławienie kogoś, udławienie się, powieszenie lub utonięcie. Temi wypadkami zajmuje się ogłoszony niedawno referat radcy sanitarnego dra Rothenberga z Berlina, gdzie autor zgromadził umiejętnie najważniejsze wydarzenia i doświadczenia z lat ostatnich, by z nich ogólnie wyprowadzić wnioski. Funkcyjnie przyczyną zgonu ostatecznego jest w tych wypadkach porażenie oddechowego centrum nerwowego, porażenie, które zatrzymuje na zawsze sprawę oddychania. Jak stwierdziły doświadczenia, robione przez Kybera na psach, kotach, królikach, szczurach i myszach, śmierć przez utopienie składa się z dwóch okresów: pierwszy, trwający pół do dwu minut, to okres podniecenia i świadomych odruchów, walki osobnika z śmiercią, zakończony wreszcie utratą woli i świadomości. Że przed utratą świadomości wola poddaje się i przestaje walczyć, to rzecz znana zresztą także z opowiadań tych, którzy tonąc przeszli przez ten cały okres aż do utraty przytomności. Po ustaniu świadomości, następuje okres drugi, asfiksja. Zaczyna się rozszerzeniem źrenicy, poczem po jakich pięciu, aż do 15-tu mniej więcej minut ustaje bicie serca tak, że żadnym sposobem, ani nadśledzowaniem, ani dotykiem wykryć go nie można. W tym też czasie krew coraz więcej wysyca się niewydzielanym na zewnątrz bezwodnikiem kwasu węglowego i coraz bardziej ubożeje w tlen. Lecz chociaż wszelkie zewnętrzne oznaki życia zatopionego zwierzęcia ustały, to przecież jeszcze w przeciągu całej godziny można je odratować i tlejącą w organizmie iskierkę rozdmuchać. Gaśnie ona całkowicie u tych zwierząt dopiero mniej więcej w godzinę po nastaniu drugiego okresu,

a więc przez godzinę przynajmniej życie istnieje, choć nie można wykryć na zewnątrz jego istnienia.

Podobnie nieco przebiegały zjawiska, jakie dr. Miloslawich w Wiedniu obserwował w ciągu ostatniej wojny na ludziach, skazanych na śmierć przez powieszenie. W chwili powieszenia, widocznie skutkiem nerwowego wstrząśnienia, ustaje zupełnie zarówno bicie serca, jak i oddychanie, lecz trwa to tylko minutę. Wkrótce serce zaczynało bić normalnie, poczem coraz szybciej, aż wreszcie słabnie i po 7 do 18 minutach — u różnych osobników rozmaicie — ustawało na zawsze. Czy i po jakim czasie możnaby jeszcze życie gasnące przywrócić, oczywiście tego badać nie było wolno. Z doświadczeń swoich wyciąga dr. Miloslawich wniosek, że śmierć przez powieszenie następuje skutkiem następujących trzech przyczyn: przerywania oddychania, zamknięcia naczyń krwionośnych szyi i zaciśnięcia nerwów szyi.

Zgon przez udławienie się należy także do kategorii zgonów przez uduszenie. Kęś pokarmu staje w gardle, dostaje się częściowo do przewodów oddechowych, tamuje oddech i następuje uduszenie. Należy jednak, jak przestrzega słusznie Rothenberg, zwrócić uwagę na dwie okoliczności: najpierw, że śmierć rzeczywista nie następuje odrazu, po paru minutach, jak się otaczającym zdaje, a samo ustanie czynności serca, pulsu i oddziaływania na bodźce zewnętrzne bynajmniej nie dowodzi zgonu. Opisuje on następujący wypadek, jaki jemu samemu się wydarzył z końcem roku 1880 w Schippenbeil w Prusach wschodnich. Przechodził ulicą, gdy z jednego z domów usłyszał rozpaczliwe wołanie o pomoc. Pobiegł tam i ujrzał w jadalni starego mężczyznę, rozciągniętego ze zwieszoną głową na krześle, bez ducha, a przed nim zwykłą potrawę pruską, groch z wędzonką. Skonsatował śmierć z udaru i zabierał się do wyjścia, lecz jeszcze nieco się zastanowił i zwłaszcza wzruszony błaganiami córki zmarłego, postanowił jednak przedsięwziąć próby ratunku. Przy zastosowaniu sztucznego oddychania zauważył po pewnym czasie, że z dróg oddechowych nie wydobywał się szmer wyciskanego powietrza. W tej chwili błysła mu myśl, że może w gardle tkwi jakaś przeszkoda i natychmiast — może w ostatnim już momencie — sięgnął głęboko palcem poza język denata i wyciągnął stamtąd kawałek słoniny wielkości wielkiego palca. Próby sztucznego oddychania zastosował z tem większą energią i wreszcie po długim czasie udało się pozornie zmarłego przywrócić do życia. Oczywiście, gdyby lekarz poprzestał być na pierwszej diagnozie, nastąpiłaby śmierć przez uduszenie. Podobny wypadek opisuje sławny chirurg Dieffenbach: w pewnym towarzystwie w Paryżu jedna rosjanka udławiła się kawałkiem mięsa. Nie było czasu na przyniesienie odpowiednich przyrządów, więc nasz chirurg wskazującym i wielkim palcem wjechał energicznie do gardła damy i wyciągnął stamtąd kawał mięsa — lecz przy tej operacji wytracił jej z ust sztuczną szczękę, która wówczas była jeszcze rzadkością. Dama,

jak opowiada chirurg, wcale nie była wdzięczną za taki ratunek i prawdopodobnie wolałaby umrzeć, niż na taki »wstyd« się narażać.

Jak długo trzeba czynić usiłowania, by pozornie uduszonego, więc czy to powieszzonego, czy udławionego, lub utopionego przywrócić do życia? Pytania tego Rothenberg nie rozstrzyga, bo się go rozstrzygnąć nie da. Zależy przecież wszystko od rozmaitych okoliczności. Przytacza natomiast bardzo ciekawy reskrypt w tej sprawie pruskiego rządu. Mianowicie na mocy rozporządzenia z r. 1821 każdy, kto skutecznie usiłował przywrócić do życia człowieka pozornie zmarłego, otrzymywał wysoką na owe czasy nagrodę 30 marek. Ponieważ nieraz w praktyce zachodziły wątpliwości co do uprawnienia do tej nagrody, więc dekretem z r. 1865 rząd tę sprawę dalej normuje, i między innymi uwagami zachęca tam, by niełatwo zrażać się początkowym brakiem rezultatów w usiłowaniach, bo »jest rzeczą dowiedzioną, że w bardzo licznych wypadkach pozornej śmierci po utonięciu, powieszeniu, uduszeniu i t. p. dopiero po długich i uporczywych, często pięć do sześciu godzin trwających usiłowaniach, udało się tlejącą isierką życia rozbudzić«. Dobrze jest te słowa głęboko w pamięci zachować i innym je ogłaszać, bo nieraz zdarza się, że przy ratowaniu topielców już po paru godzinach otoczenie się nuży i pracę porzuca.

Druga okoliczność, na którą Rothenberg zwraca uwagę w sprawie udławienia, to fakt niezmiernie ciekawy, a niestety bardzo mało ogółowi znany, że zadusić się czy udławić można nie tylko kęsem twardym lub kością, lecz całkiem mięką, zżutą już i nawet połkniętą, szczęśliwie miazdrą pokarmową. Zdarza się to przy nadużyciu pokarmów, gdy się przeładowuje zbyt żołądek, mianowicie przy chorobliwym stanie gruczola sutkowego, przyczem pokarm wypełniający żołądek i przewód pokarmowy sprawia wprost zaduszenie osobnika. Kilka takich wypadków cytuje autor, między którymi opisany przez Aschoffa zgon nagły żołnierza po wytężającej jeździe konnej z wypełnionym żołądkiem, lub nagłą śmierć dwudziestoletniej dziewczyny, u której sekcja pośmiertna wykazała stan chorobliwy opustu, bardzo zwiększonego i żołądek wypchany pokarmami prawdziwie aż poza brzegi, bo miazdra sięgała poprzez przewód pokarmowy aż do gardła. Zadławienie się przy przeładowaniu żołądka nawet u człowieka całkiem zdrowego może nastąpić przy wymiotach, czasem nawet na zewnątrz niewidzialnych. Tak np. pewien robotnik spadł z wysokości tylko dwumetrowej, zranił się lekko, a mimo to zginął na miejscu. Obdukcja pośmiertna wykazała, że wszystkie organa były zdrowe, serce, mózg, a natomiast w tchawicy znaleziono zaschłe resztki miazdzy pokarmowej, wyrzuconej z żołądka. Badania rzeczywiście pokazały, że robotnik ten pojadał sobie nadmiernie, a z powodu upadku, wcale nie niebezpiecznego, nastąpiły wymioty z przepełnionego żo-

ładka, które nie wyszły na zewnątrz przez zamknięte usta, lecz wpadając do tchawicy, zadławily denata.

Smutne te wypadki zgonu przez uduszenie nadmiernie pobraniami pokarmami przywodzą na pamięć jeszcze jedno niebezpieczeństwo, jakie niesie za sobą zbytne pobranie pokarmu. Oto serce, uciśnione niezwykle przeponą, pchaną przez wypełniony żołądek, zmuszone do nadmiernej pracy, nie może wytrzymać wysiłku i nastąpić musi katastrofa, zwłaszcza gdy to przeładowanie zaszło po jakimś zmęczeniu wysiłkiem fizycznym, pracą, marszem i t. p. Iluż to chorobom i przedwczesnym zgonom zapobiegłoby się, gdyby ludzie dobrze zapamiętali i ściśle praktykowali tę kardynalną zasadę higieny: nie jedz nigdy aż do przesyty, a zwłaszcza gdyś zmęczony lub w niedyspozycji. Lepiej stokroć wstać od stołu głodnym, niż z przeładowanym żołądkiem. Głód chwilowy nie zabije nikogo, lecz wielu już jeden zbytni kęs przypłaciło zdrowiem, a nawet życiem. »Mędrzec zawsze wstaje głodny od stołu«, było adagjum dawne, prawdziwe i dawniej i dzisiaj.

Uwaga powyższa nasuwa pytanie fizjologicznie bardzo ciekawe, a dotychczas jeszcze nierozstrzygnięte, chociaż pozornie niezmiernie proste i banalne, mianowicie, skąd się bierze uczucie głodu i pragnienia? Dawna bowiem teoria, pochodząca jeszcze od Hakkera i Darwina, która uczucie głodu tłumaczyła przez ściągnięcie ścian próżnego żołądka, nie zdołała utrzymać się wobec badań, jakie celem jej wyjaśnienia czyniono na poliklinice wüzburgskiej. Pokazało się mianowicie, że z jednej strony, gdy żołądek głodnego człowieka wypełniono masą niestrawną, taką, jakiej używa się celem röntgenowania przewodu pokarmowego, uczucie głodu bynajmniej nie ustępowało, chociaż ściany żołądka nie były skurczone, z drugiej zaś strony, gdy pod skórę wstrzyknięto cukier gronowy, to jest płyn odżywczy, który organizm szybko chłonał, uczucie głodu na pewien czas ustawało, chociaż żołądek był zupełnie pusty. Podobne zjawisko zauważono też przy doprowadzaniu do organizmu hagarem roztworu białka lub mleka. A więc sama próżnia w żołądku uczucia głodu nie wywołuje, jak to zresztą poucza każdego codzienne doświadczenie przedpołudniowe. Małe nasze polskie śniadanie, składające się często z jakiegoś płynu mało pożywnego, jak kawy lub herbaty i kawałka chleba, ulega strawieniu po paru godzinach, a pusty żołądek nie woła o pokarm jeszcze przez kilka godzin, aż do obiadu. Podobnie też co do pragnienia stwierdzono, że przyczyną jego bezpośrednią nie może być suchość w gardle, gdyż na przykład po zastrzyknięciu atropiny do oka wysycha błona śluzowa gardła i ust, a mimo to nie powstaje wzmożone uczucie pragnienia. Podobne zjawiska zauważono też u chorych, oddychających tylko ustami lub u takich, u których zachodziło silnie zmniejszone wydzielanie śliny.

Rozświetlenia zagadki trzeba więc było szukać gdzieindziej. Jak wiadomo, człowiek posiada właściwie dwa systemy pokarmowe:

jeden z nich, którego główną część składową stanowi żołądek, kiszki i należące do nich gruczoły pokarmowe, jak trzustka, wątroba i t. p., służy do pobierania i przyswajania organizmowi od czasu do czasu, lub w miarę potrzeby lub woli osobnika. rozmaitych substancyj tak organicznych, jak nieorganicznych, stałych lub płynnych, i wydalania części niepotrzebnych na zewnątrz. Istnieje jednak substancja, która tak ściśle jest związana z funkcjami życiowymi, że ją organizm żywy musi pobierać ciągle bez przerwy w znacznych ilościach, a substancją tą jest tlen. To też celem zaspokojenia głodu tlenu, posiada organizm ludzki osobny system pokarmowy, zwany płucami, które przez wdychanie wciągają i pochłaniają tlen z powietrza, a przez wydychanie wydają na zewnątrz tlen niejako zużyty, bo związany z węglem. I badania nad sprawą oddychania, która jest bardzo skomplikowaną, pokazały, że jest ona kierowaną ośrodkiem nerwowym, znajdującym się w rdzeniu przedłużonym. Gdy krew z jakiegokolwiek powodu, czy to np. przez szybki ruch i pracę organizmu, czy przez zatrzymanie oddechu na czas jakiś przesyci się znaną kwantą węglową, działa ona energicznie na ów ośrodek nerwowy, który za pośrednictwem odpowiednich włókien nerwowych pobudza odnośne grupy mięśniowe do gwałtownego i szybkiego oddychania. A więc głód powietrza, czyli tlenu nie pochodzi z płuc, jakby się napozór zdawało, lecz z owego centrum nerwowego. Otóż fizjologowie najnowsi, oparci na przytoczonych powyżej faktach, przypuszczają, że podobnie ma się także z uczuciem głodu i pragnienia. Pozbawiona potrzebnych dla odżywiania ciągłego składników krew, oddziaływa na ośrodek głodu, znajdujący się gdzieś w mózgu, a ośrodek ten przez podległe mu drogi nerwowe sprawia skurcz ścian próżnego żołądka i dwunastnicy, który znowu odwrotnymi drogami nerwowymi dochodzi do mózgu wielkiego i objawia się w ten sposób w naszej świadomości, jako uczucie głodu. Podobnie odbywa się sprawa pragnienia, tylko tu ośrodek pragnienia wywołuje, jak pokazały niedawno badania prof. Müllera, kurczowe zaciskanie przełyku, które znowu zapomocą nerwów dochodzi do kory mózgowej i do naszej świadomości, jako uczucie pragnienia.

Z badań i teoryj powyższych widać, jak niezmiernie skomplikowanym, lecz zarazem ściśle jako nierozdzielna całość funkcjonującym jest nasz organizm, kiedy nawet tak proste i zdawałoby się elementarne jego wymagania, jak głód i pragnienie, kilkakrotnie w różnych kierunkach przebiec musi przez system nerwowy i pokarmowy, zanim znajdzie swój wyraz w świadomości i w końcu znajdzie swe zaspokojenie. Jakież płytką była teoria tych przyrodników, którzy organizm uważali tylko za zespół dosyć luźnych samoistnie, jak obywateli w Rzeczypospolitej istniejących komórek. Każde głębsze zbadanie choćby najprostszych zjawisk w tym organizmie, musi kłamać takiemu nieprawdziwemu, apriorystycznemu pojmowaniu przyrody.

Krótką, ale niezmiernie wymowną statystykę, świadczącą o złośliwości influenzy, którą w porównaniu z takimi epidemicznymi chorobami, jak cholera lub tyfus plamisty, uważa się zwykle za coś niezmiernie lekkiego, podaje w jednym z zeszytów majowych londyńska „Nature”. Statystyka ta odnosi się do Szwajcarii i obejmuje tylko lata epidemii 1918 i 1919. Otóż w tym okresie w Szwajcarii, która, jak wiadomo, liczy mieszkańców około 3 miliony 800 tysięcy, było stwierdzonych wypadków influenzy dwa i pół miliona, a z tego aż 17.575 śmiertelnych, a więc, jak dodaje sprawozdawca, śmierć zabierała na influenzę płon daleko obfitszy, niż na jakiekolwiek inne choroby epidemiczne. Jak w innych krajach, tak i w Szwajcarii, śmiertelność na influenzę grasowała głównie wśród młodych, bo 65% całej sumy zgonów przypada na ludzi w wieku od lat 15 do 49, a tylko 5% na osoby liczące ponad lat 50. Influenza więc jest jak gdyby równoważnikiem tyfusu plamistego, gdzie przeciwnie, wypadki śmiertelne są bez porównania częstsze wśród ludzi starszych, a dla młodzieży choroba ta przedstawia stosunkowo małe tylko niebezpieczeństwo.

Ale porzućmy choć na chwilę padół płaczu i łez dolinę i wzniesmy się myślą w przestworza powietrzne, nie na skrzydłach spłoszonej wyobraźni, lecz na realnych przyrządach, latawcach.

O rozmaitych światowych rekordach lotniczych dowiadujemy się szybko z telegramów agencji dziennikarskich, natomiast szczegóły o konstrukcyjnych postępach lotnictwa, z powodu niesłychanie utrudnionego kontaktu Polski z naukowym światem cywilizowanym, tylko niezmiernie skąpo i zwolna do nas dochodzą. Szczegóły te zresztą w przeważnej części interesują głównie tylko fachowców, ale od czasu do czasu zjawia się coś nowego, co i dla dalej stojących jest ciekawem. Do takich zjawień zaliczyć trzeba bezsprzecznie latawiec, obdarzony nie jedną, lub dwiema, jak dotychczas, ale aż trzema płaszczyznami, zbudowany świeżo przez sławnego inżyniera-lotnika włoskiego Caproni'ego, który nad nim pracował już od roku 1915. Nowy trójpłaszczyznowiec przedstawia pod wielu względami znaczny postęp na polu lotnictwa, a choć pomyślany pierwotnie dla celów wojskowych, to jednak i w życiu pokojowym duże może oddać usługi, zwłaszcza ze względu na swoją znaczną siłę unoszącą. Oto jak nowy ten przyrząd opisuje fachowe pismo¹⁾.

Trzy płaszczyzny, każda o rozpięciu przeszło 32 metrów, mają łączną powierzchnię 207 metrów kwadratowych, ponieważ zaś ciężar całego latawca, bez ładunku, wynosi przeszło pięć ton (dokładnie: 5050 kg.), więc przy locie nieobciążonym wypada, na metr kwadratowy 24·3 kg., zaś przy pełnym ładunku około 40 kg. na metr kwadratowy. Gdy bowiem ładunek wynosił 3000 kg., to znaczy 3 tony, latawiec przebywał z łatwością 160 kilometrów na godzinę. Także

¹⁾ Zeitschrift für Flugtechnik, z 4 grud. 1919 r.

i szybkość wznoszenia się w górę latawca jest znaczną. W ciągu sześciu minut latawiec wznosi się na tysiąc metrów, w ciągu 14 minut na 2000 metrów, zaś w ciągu 25 minut na 3.000 metrów. Wzbiwanie się ku górze odbywa się, jak widzimy, nieproporcjonalnie do czasu, co zresztą jest oczywiste wobec tego, że im dalej ku górze, tem powietrze rzadsze, tem więc mniejszy wyprowadzie stawia opór pędzącemu ku górze latawcowi, ale też tem słabsze daje podparcie skrzydłom śrub, a więc i siła popędowa maleje.

Tej siły popędowej dostarczają trzy motory, w trójpłaszczyznowcach najnowszych, są to tak zwane *Liberty-motors*, potężne silniki benzynowe, każdy o sile 400 koni, a odznaczające się niezwykle wielką wydatnością stosownie do swego ciężaru, co w przypadku motorów przeznaczonych do pracy w powietrzu jest rzeczą pierwszorzędną wagi. Gdy bowiem chodzi o maszynę parową lub motor mający pracować w fabryce, lub zwykle stale w jednym miejscu, to konstruktor baczny tylko na to, by wydatność motoru w stosunku do zużytego paliwa była wielką, a o sam ciężar motoru nie chodzi. Inaczej już rzecz się ma z motorami, przeznaczonemi do pędzenia pocągów lub do automobilów, gdzie maszyna nietylko ma wykonywać pracę, lecz nadto ciągnie swój własny martwy ciężar. To też rozwój zwłaszcza techniki automobilowej dodał potężnego bodźca do udoskonalenia w każdym kierunku, tak co do wytrzymałości, jak i co do wydatności, zarówno w stosunku do paliwa, jak i do własnego ciężaru motoru. To też, jak wiadomo, dopiero motor automobilowy, niezmiernie udoskonalony, doprowadził do urzeczywistnienia praktycznego wielkiej myśli Ikara. Jak gorączkowo usiłowania w tym kierunku są prowadzone, widać choćby z tego faktu, że podczas gdy w wypadku motorów włoskich, używanych na nowym trójpłaszczyznowcu, mają taką wydatność, że na silę jednego konia parowego przypada 10-75 kilograma ciężaru motoru, to znaczy, że motor stukonny ważyłby 1075 kilo, to przy motorach typu Liberty, ten ciężar wynosi 6-7 kilogramów, a więc o cztery kilo mniej na jednym koniu, które to cztery kilo pozostają więc do rozporządzenia, i można je zużyć albo pod postacią zwiększonej liczby pasażerów lub amunicji, albo też, gdy chodzi o jazdy dalsze, pod postacią zwiększonych zapasów benzyny i smaru. Całkowita siła nośna naszego trójpłaszczyznowca jest tak wielka, że prócz trzech ludzi i szybkostrzelnego dział, kalibru 3-7 milimetrów, dozwala na zabranie ze sobą 2500 litrów benzyny i smaru i 1360 kilo bomb, dla pomieszczenia których znajduje się pod płaszczyznami w środku osobny magazyn na 5 metrów długi. W razie więc przyszłej wojny, armje powietrzne będą miały do rozporządzenia jednostki bojowe, które z łatwością osiągną najdalej nawet odległych od frontu obiektów, a tem samem mogą niszczyć kraj nieprzyjacielski gruntowniej i rozleglej niż dotąd. Dawniej przed wojną, każdy taki wynalazek witali z radością idealisci, bo utrzymywali, że im przyrządy wojenne będą doskonalsze, bardziej niszczące,

tem prawdopodobieństwo wojny będzie mniejsze. Dziś chyba już wszyscy z takich urojęń się wyleczyli. Jednak mimo to trójplaszczynowiec Carponi'ego może się przydać i dla celów prawdziwie pokojowych i oddać ludzkości niejedną usługę.

Ks. Feliks Hortyński.

Kurs etnologiczno-lingwistyczny dla misjonarzy w Mödlingu.

Przymusowy pobyt wielu niemieckich misjonarzy w ojczyźnie wskutek wrogiej postawy Francji, a zwłaszcza Anglii, podsunął w jesieni ub. r. uczestnikom düsseldorfskiego, misyjnego zjazdu myśl wyzyskania tej okoliczności w kierunku ściślejszego niż dotychczas zespolenia teorii misjoznawczej z praktyką misjonarską. W tym celu urządził prof. Schmidlin od 8 sierpnia do 14 marca b. r. w Monasterze kurs misyjny, w którym wzięło udział przeszło trzydziestu misjonarzy różnych barw i reguł. Oś wykładów stanowiła najnowsza historia misyj, jej dola i niedola, jej dni triumfu i ucisku. Z dziejów wysnuto okazały cykl referatów z zakresu misjoznawstwa, prawa misyjnego i misyjnej teologii pastoralnej, właściwej różnym wiekom i wybitnym osobistościom. Nie zapomniano także o niektórych pomocniczych gałęziach wiedzy misyjnej, jak o topografii, geografii gospodarczej Afryki, kartografii, fonetyce i terapii ogólnej. Wspomniane wszakże przedmioty traktowano bardzo ogólnikowo, a nadto pominięto tak ważny, — jak etnologję. Braki te postanowiła wypełnić Redakcja »Anthroposu«¹⁾ pod przewodnictwem O. Schmidta, zasłużonego badacza na polu historii religij i etnologji.

Zapowiedziano więc kurs lingwistyczno-etnologiczny w Mödlingu pod Wiedniem, gdzie mieści się wspomniana redakcja. Miejsce, mimo pewnych niedogodności, zostało świetnie wybrane, bo uczestnicy pragnący pogłębić wykłady, mogli korzystać z okazałej biblioteki »Anthroposu«, z pięknych domowych zbiorów etnologicznych, a nade wszystko z najbogatszego może na całym świecie muzeum etnograficznego w Wiedniu.

Zjazd rozpoczął się 15 maja i trwał do 26 czerwca. Szkoda, że zaproszenie na kurs skupiło stosunkowo nieliczną garstkę, bo załaledwie dwudziestu paru członków, byłych lub przyszłych misjonarzy. Z natury rzeczy kurs ten spokrewnił się ze zjazdami łowańskimi w latach 1912 i 1913, i omówił niejedną tę samą kwestję, może

¹⁾ Z radością dowiadujemy się z kwietniowej odezwy Redakcji »Anthroposu«, że »stosownie do zmienionych warunków odtąd jeszcze dwa nowe języki dopuszczono do publikacyj w »Anthroposie«, jeden słowiański: polski, — drugi holendersko-flamandzki« — (5 u. 6 Heft XII—XIII B).

nawet temi samemi słowy¹⁾. Zasadniczo wszakże przekroczył ich ramy i wytyczył sobie cel nieco odmienny. Jeśli bowiem »tydzień lowański« miał przygotować do naukowego badania religij nie-chrześcijańskich, to kurs mödliński wytknął sobie za zadanie zapoznać misjonarzy z całokształtem wyników badań katolickiej etnologji, posługującej się metodą historyczno-kulturalną i zarazem wskazać im drogę do dalszych badań na tem polu. Po krótkim więc wstępie, w którym skreślono istotę nowszej etnologji, opowiedziano jej dzieje, — przedstawiono metody, przystąpiono do wyznaczenia epok i kręgów kulturalnych (Kulturkreise, les cycles culturels)²⁾. Można mieć pewne wątpliwości w przyjęciu ich następstwa czasowego, ale bądź co bądź jest to śmiała próba wykreślenia linii kulturalnego rozwoju ludzkości w ciągu jej kilkudziesięciu stuleci, mając do pomocy nieliczne punkty współrzędnych na olbrzymim globie ziemskim. Najlepiej stosunkowo zbadano w tym względzie Australję, Afrykę i południową Amerykę; z tych też krajów zaczerpniętym materiałem najhojniej szafowano przy udowadnianiu poszczególnych twierdzeń.

Przed wzrokiem słuchaczy przesunęły się wszystkie epoki, ze wszystkimi zasadniczymi składnikami kultury, jak: rodzina, narzędzia, gospodarstwo, zwyczaje i wierzenia religijne, a wreszcie ustrój państwowy, sztuka i wynalazki. Nie tajono się z tem wcale, że niektórych epok narodziny jak np. totemistycznej, dotychczas otacza tajemnica, ale ogółem rzecz można, że wszędzie sięgnięto do głębi i wskazano genetyczny związek między poszczególnymi cyklami, nadano im wyraźną i silnie uwypukloną fizjognomję, a każde twierdzenie udokumentowano długą litanją spostrzeżeń czerpanych z pierwszej ręki, bo od naocznych, długoletnich świadków i sumiennych badaczy, przede wszystkim misjonarzy. Jakie to wszystko niepodobne do apriorystycznych konstrukcyj Darwina i Bastiana o powolnem przeobrażaniu się *anthropoida* w *homo sapiens* i t. d. Na najniższych nawet szczeblach kultury (Pigmeje i Pygmeidzi) spotykamy przecież dość jasną ideę Boga i monogamiczne stadło małżeńskie. Nie potrzebujemy wcale szukać zgodności wiedzy z wiarą, a tem mniej obawiać się o całość obozu katolickiego ze strony nowszej, historycznej etnologji. Ona sama, najwymowniej, bo faktami, składa hołd Objawieniu.

¹⁾ Por. W. Schmidt S. V. D. Histoire et nature de l'Etnologie, F. Hestermann S. V. D. Die materielle Kultur der matriarchalen Kulturkreise, D. Kreichgauer S. V. D. Les Mythologies et les Calendriers de l'ancien Mexique, Fr. Bouvier S. J. Le Totemisme est-il une Religion? W. Schmidt S. V. D. Introduction à l'Etude de la Mythologie, por. Semaine d'Etnologie Religieuse, compte-rendu de la II session, Paris, 1914.

²⁾ I. cykl prakulturalny. Z niego równorzędnie wyłonił się:

II. patryarchalno-pasterski,

III. patryarchalno-totemistyczny (egzogamiczny),

IV. ginaikokratyczny. Z nich wytworzyły się pochodne, mieszane:

a) totemistyczno-ginaikokratyczny,

b) patryarchalno-endogamiczny.

Drugim punktem kursu mödlińskiego, różniącym się od programu lowańskiego, to zagadnienia lingwistyczne. Przez kilka godzin tygodniowo różni, zawodowi znawcy, zwykle autorowie gramatyk, usiłowali wprowadzić i przeprowadzić słuchaczy przez labirynt rozlicznych języków Afryki, Australji i południowo-wschodniej Azji. Wykłady ich, należy przyznać, dalekie były od suchej szkolnej drobiazgowości; każde zjawisko fonetyczne, morfologiczne, czy składniowe starano się sprowadzić do ogólniejszej zasady i wyszukać pomost do innych grup językowych. Wiadomo także, iż niektóre języki afrykańskie i azjatyckie — a między niemi chiński — należą do t. z. języków tonowych (Tonsprachen), w których to samo słowo zależnie od wysokości tonu, prostego czy złożonego, w jakim się je wypowie, przybiera odmienne znaczenie. Zasada jasna, ale niewielu uniwersyteckich słuchaczy, może się pochlubić tem, że słyszeli jak ich profesorowie objaśniali ją przykładami. Inaczej na kursie, gdzie byli misjonarze, którzy biegłe władali temi językami. (O. Bröring S. V. D. i Ö. Nekes P. S. M.). To samo można powiedzieć o innych na kursie poruszonych tematach z dziedziny socjologii czy religji odnosnych ple-mion. Wprawdzie niezbyt liczne było grono uczestników, ale wśród niego byli przedstawiciele z różnorodnych i rozległych pól pracy, należących do rozmaitych kręgów kulturalnych, a więc misjonarze południowo-wschodniej Afryki, z Zambezy, Kamerunu, Nubji, 'Assamu, Chin, Mongolji i dalekiej Oceanji. Któż nie wie, jaką magiczną moc przekonywania ma słowo: widziałem na własne oczy, słyszałem na własne uszy! A tak mówili w swoich referatach i w codziennych pogawędkach misjonarze.

Ale i oni nie mogą wszystkiego widzieć i opisać, nie mogą przelać niejako swej wewnętrznej wizji w dusze słuchaczy, ani ich nagle przenieść w odległe kraje i ludy. Cud ten, przynajmniej w części, starają się spełniać muzea — w naszym wypadku przebogate zbiory muzeum etnograficznego w Wiedniu. I to jest, powiedziałbym trzeci punkt wyróżniający — dodajmy: dodatnio — kurs mödliński od lowańskiego. Co tydzień przynajmniej przez jedno półdnia obcowano bezpośrednio z kulturą ludów pierwotnych, wprawdzie martwą, ale przecież jeszcze dość wymowną, żeby opowiedzieć o życiu i zwyczajach, modłach i zaklęciach, śpiewach i tańcach, walkach i zabawach różnych szczepów, z rozmaitych epok i lądów.

Wreszcie choćby już tylko ta okoliczność, że nie przez jeden, ale przez całych sześć tygodni umysłowość uczestników niby film fotograficzny była eksponowana bezustanku na zbieranie wrażeń i pojęć ze świata etnologji i lingwistyki, przemawia za tem, że kurs spełnił swoje doniosłe znaczenie, że nauczył misjonarzy zbierać spostrzeżenia, grupować je i dostarczać katolickim badaczom. Nie kończy się atoli na tem całe jego znaczenie, mające w takim oświe-tleniu pewną wartość, nawet niepospolitą, ale tylko dla nauki katolickiej. Misjonarz powinien pracować w pierwszym rzędzie dla roz-

szerzenia Królestwa Bożego i wszystko musi zmierzać do tego celu, a więc i jego wykształcenie lingwistyczno-etnologiczne. Tak też jest istotnie. Misjonarz musi tworzyć literaturę katolicką, tłumaczyć Pismo św., układać katechizmy i pieśni kościelne; jakżeż zdoła tego dokonać nie wniknąwszy w ducha i filozofję niejako danej grupy językowej i danego kręgu cywilizacyjnego? On musi przemówić do swoich owieczek nie tylko dźwiękami ich mowy rodzinnej, objaśniając im i głosząc dobrą nowinę o jasnym Bogu i Jego aniołach, ale zarazem w tych objaśnieniach musi nawiązać do dawnych wierzeń i wyobrażeń właściwych danemu cyklowi kultury. Doskonała przeto znajomość etnologji i lingwistyki to nieodzowny warunek w przygotowywawczej i późniejszej pracy misjonarskiej. Nieklamana więc wdzięczność należy się inicjatorom kursu za ich trud ofiarny i bezinteresowny, podjęty na większą chwałę³ Bożą.

I jeszcze jedno. Ostatni »tydzień lowański« zapowiadał najbliższy zjazd etnologiczny na 1915 r. do Neuchâtel. Żelazna linja dział i karabinów stanęła temu na zawadzie. Czy atoli kurs obecny, choć w swych skromnych rozmiarach, choć w zmienionej formie, nie urzeczywistnia dawnej, z przed siedmiu lat, zapowiedzi, czy nie przypomina światu katolickich uczonych, że ziarna, rzucone na poprzednich zjazdach, nie zmarniały mimo wojennej burzy, że potrzebują tylko nieco słońca, pokoju a wystrzelą bujnym kłosem nowych zdobyczy i syntez na polu etnologji? Obyśmy je mogli oglądać corychlej.

Ks. J. Krzyszkowski.

W sprawie południowych kresów polszczyzny na Spiszu, Orawie i w Czadeckiem.

A czy znasz ty, bracie młody,
Pograniczne twoje rody
Tych Spiszaków, Orawiaków
I Kisuczan i Ślązaków?

Podnieś wyżej twoje oko
I rozejrzyj się szeroko,
Obacz całą polską ziemię,
Poznaj całe polskie plemię!

Słusznie się skarży na przodków naszych wieszcz polski:
»za co życie w życia chwili z taką pychą roztrwonili, że potom-
kom nie zostało ni potęgi, ni spuścizny, jeno w zamian ich oj-
czyzny rozebrane kraju ciało«. Ale i dziś jeszcze, kiedy Polska,
Polska cała jednem widmem zmartwychwstałem z dni przyszło-
ści się wychyla, my dziś jeszcze nie wszyscy wiemy, dokąd ta
Polska nawet szczuplejsza, nawet etnograficzna sięga. Na połu-
dniowych kresach w węgierskim kraju mamy potężne szmaty
najcudniejszej ziemi, zamieszkałej przez ludność rdzennie polską,
o której pono całkiem u nas zapomniano i dziś ją dopiero od-
krywamy, kiedy już obca zachłanność położyła grabieżczą dłoń na
te kraje, kiedy przebiegłość czeska ubiegła naszą nieświadomość
i brak zapobiegliwości wobec koalicji i bezsprzecznie polskie zie-
mie za czeską własność ogłosiła i zajęła; wtedy dopiero na pro-
test nielicznej garści uświadomionych obrońców kresów polskich
utargowano na koalicji plebiscyt na tych południowych kresach

i to jeszcze w skurczonych do minimum rozmiarach. Jest faktem, że w traktacie wersalskim niema ani słowa o Spiszu i Orawie, że tylko komisji, ze siedmiu mężów złożonej, poruczono wyznaczenie granicy czesko-polskiej, że ta komisja dopiero określiła teren plebiscytowy, opuszczając w nim ziemię najbardziej polską, t. j. Lubowską, Kiezmarską, która o Czechach nie chce słyszeć i rdzenną polską ziemię Czadecką na południe od Śląska z 40.000 Polaków i że o te ziemie dopiero góral ze Spisza, Wojtek Halczyn z Sendaku, w Paryżu u Wilsona upominać się musiał i jeszcze dziś wątpliwem jest, czy czasem komisja ambasadorów te bezsprzecznie polskie ziemie bez plebiscytu nie wyda zachłanności czeskiej na łup. Dlaczego zaś zaszły te przykre dla nas wypadki, tłumaczy się tą okolicznością, żeśmy wzorem przodków o południowe kresy nasze prawie zupełnie nie troszczyli się, zostawiając nasz lud polski na pastwę Węgrów i Słowaków. Myśmy długo wcale nie wiedzieli, że na Spiszu i Orawie i w Czadeckiem mieszkają Polacy i dopiero uczeni czescy, jak Szembera, Poliwka, Pastrnek, Niederle i słowaccy Ćzambel, Miszik wykazali naukowo, że lud, zamieszkujący węgierskie pogranicze Śląska i Galicji, mówi językiem polskim, gwarą tą samą, co nasi górale z pod Tatr i Beskidu. Nie tak systematycznie naukowo sprawą tą zainteresowali się uczeni polscy, że wymienimy tylko Zejsznera ¹⁾, Dzeduszyckiego ²⁾, Gumpłowicza ³⁾, Krotoskiego ⁴⁾, Zawilińskiego ⁵⁾, Eljasza-Radzikowskiego, Kołodziejczyka ⁶⁾, a zwłaszcza Zachorowskiego ⁷⁾ i Smólskiego ⁸⁾ i t. d. Niestety prace ich były społeczeństwu naszemu tak mało znane, że nasi pełnomocnicy w Paryżu nic nie wiedzieli, że ziemia Lubowska na Spiszu, nie włączona

¹⁾ Orawa. Biblioteka warszawska, 1853 III 319—41. Spiż. Biblioteka warsz. 1854 III 1—25, 143—215, 1855 III 197—214, 457—82.

²⁾ Spiż. Przewodnik naukowo-literacki 1876.

³⁾ Polacy na Węgrzech. Lud. VII.

⁴⁾ Stosunki etnograficzne na Spiszu. Odbitka ze Świata Słowiańskiego 1908.

⁵⁾ Z kresów polszczyzny. Kraków 1912.

⁶⁾ Spiż, Orawa i Okręg czadecki. Komisja kartograficzna złożona z S. Eljasza Radzikowskiego, P. Goetla, W. Semkowicza i R. Zawilińskiego. Kraków 1919.

⁷⁾ Węgierskie i polskie osadnictwo Spiszu do połowy XIV wieku, nakładem Akademji Umiej. w Krakowie 1908.

⁸⁾ Polszczyzna na Górnych Węgrzech. Biblioteka warsz. 1912.

do plebiscytu, jest nawskróś polska, a zamek lubowelski tak bardzo polski, iż tylko z Wawelu więcej może przeszłość polska przemawia do widza, niż w tem staropolskiem zameczysku, budowanym przez polskich kasztelanów, utrzymywanem przez polskich starostów, zdobnem w portrety antenatów i znajdującem się dziś jeszcze w ręku polskiem, że mimo wszystko zostawili zamek i miasto polskie bez protestu w czeskiem posiadaniu, jak również szczeropolską ziemię Czadecką. »Nawet w monumentalnym spisie Polski w Słowniku geograficznym, którego 15 sporych i bogatych tomów wiele wolnych i potężnych narodów nam pozazdrościć może...« o Orawie zapomniano zupełnie. A polski chłop orawski, o którym nie pamiętano nigdy, a nie dopiero od czasu polskiej niemocy zapomniano, przechodząc przed wiekami przez bory karpackie ku słońcu niósł ze sobą »słowa« Kochanowskiego, Górnickiego, Skargi! Owe dwa tomy »Żywotów Świętych w wydaniu z r. 1601, odkryte tego roku u chłopą polskiego w Rabczanych na Orawie, to nie zabytek lub pamiątka, to symbol i obraz owego ludu, zakamieniałego w swej polskości, to skarb narodowy, a zarazem żywy wyrzut głośnej skargi, głosem i językiem wypowiedziany Skargi!« Tak pisze słusznie prof. Romer dnia 27 września r. 1918 ¹⁾, a jednak i ten najznakomitszy znawca Polski i polskości obrońca zarówno w swym Atlasie polskim z r. 1916, i w tablicach statystycznych Rocznika polskiego z r. 1919 o Polakach na Spiszu i Orawie zapomniał...

1. Spisz.

Nie wiem, czy obok okolic alpejskich, a może pirenejskich jest gdziekolwiek w Europie okolica piękniejsza od spiskiej. Łańcuch Tatr spiskich, widziany od strony polskiej, od trzygłowego szczytu Rysów i Wysokiej na zachodzie aż po Kołowy na wschodzie, przedstawia szereg turni i wirchów o tak fantastycznych, tak uroczych konturach, że oko ich widokiem nasycić się nie może. Przy tworzeniu się skorupy ziemskiej przywędrowały ongi te olbrzymie szczyty granitowe, ponad 2400 i 2600 m. wysokie,

¹⁾ Słowo wstępne do książki R. Pollaka. Wyprawa Skautów śląskich przez Orawę i Tatry na Spisz 1917.

het z południa, z pod miękciejszych warstw osadowych, wysyłając przed sobą jako przednią czatę pas skałek jurasowych, łączących ze sobą przedgórza Magóry spiskiej i orawskiej, pośredni pas między Tatrami a Karpatami. Cudownie piękne są te najstarsze dzieci Spisza, spiskie Tatry. Ścięty u góry a urwisty Ganek sąsiaduje z Rysami, a za nim rozszarpane Żelazne wrota, a dalej zakrzywiony eliptycznym łukiem od zachodu, król tatrzański Garłuch; jakby jaka zażywna kuma wdzięczy się ku niemu od wieków Szeroka Jaworzyńska i dlatego stroi się tak często w śnieżny płaszcz. Na te umizgi patrzą znów z góry rozszczepione ze zgorszenia Jaworowe Sady, a potem piętrzy się najwspanialsza grupa spiskich olbrzymów: niezrównanej piękności Lodowy ze swym groźnym Konikiem, rozplaszczona piramida Durnego, zębaty Kiezmarski, z poza którego wychyla okrągły swój kołpak zapatrzona snąc w Lodowego kochanka, królowa Tatr, Łomnica. Tak sobie gruchają i siedzą od wieków te granitowe olbrzymy, wiecznie piękne i uroczne, nieśmiertelne, jak bogi olimpijskie, a gruchają i gwarzą, jak same ich nazwy świadczą, w naszej serdecznej polskiej mowie, bo chociaż Niemcy na wyścigi z Węgrami chrzcili je na gwałt po swojemu, te szczeropolskie Kończyste, Łomnice, Wielkie i Małe Wysokie, nawet w niemieckich Bedäckerach zastrzegają najsolenniejszą polskość odwieczną.

Niema wspanialszej doliny w całych Tatrach nad dolinę Zimnej Wody (Kolbachu) w pobliżu Smokowca (Szmeksu). Trzy olbrzymie turnie: Łomnicy, Pośredniej i Sławkowskiej zbliżają się ścianami do siebie. Z czeluści tych ścian tryskają dwa górskie potoki. Jeden z nich, t. z. Mały Kolbach, płynący z pod stóp Łomnicy, stacza się w przepaść kilkudziesięciometrową, rozbija się na pianę, rzuca w uściski bratniego potoku i razem z nim kaskadami po olbrzymich skałach w piekielnych harcach i grzmotach toczy zielonkowato-szare fale — czy może do węgierskiego Dunaju, lub Cisy? Nie! Te fale pędzą w szalonym biegu z wirchów polskiej Łomnicy, by dostać się Popradem i Dunajcem w objęcia naszej polskiej Wisły¹⁾. Cała dolina Popradu — to polski kraj, ku Polsce otwarty, z Polski wzdłuż Popradu i Dunajca otrzymał pierwszych osadników. Świadczą o tem takie nazwy, jak

¹⁾ Krotoski. Stosunki etnograficzne na Spiszu. Kraków 1908 str. 1—3.

Lubowla, Gniazdo, Podoliniec... Tędy szły hufce Chrobrego na podbój całej Słowaczyny, by bić słupy graniczne w dno Dunaju i u »mostów gieńciańskich« na Hernadzie za Koszycami ¹⁾; tędy płynęły tu za Chrobrego czasów pierwsze promienie cywilizacji. Tędy przecież szedł od ujścia Dunajca z Opatowa przez Tropie, Podoliniec, het ku Nitrze święty polski eremita Świerad i jego towarzysz Benedykt. Tędy wyprawiał się do Polski ku nawracaniu ludności eremita Romuald z 25 braćmi. Bolesław Chrobry też prawdopodobnie założył w tej ziemi pierwszy gród, zwany od staropolskiego podatku »sep« sepskim, a później spiskim grodem. W tym spiskim grodzie, dzisiejszym Szepesaralja, t. j. Podehradziu, odsypywano od początku dziesięcinę zbożową na rzecz księcia, a staropolską nazwę przechowali wiernie Węgrzy w swem Se-pes-var ²⁾, zajmwszy ten kraj w XII wieku.

W ruinach tego grodu po dziś dzień drzemie legenda o walczących duchach polskich rycerzy ³⁾. Kasztelanja spiska bowiem była częścią składową Polski tak długo, jak długo Polska była zjednoczona. Już jednak za Bolesława Śmiałego polska część Spisza na południe od Hernadu, t. zw. ziemia górników, należała do Węgier, a miejscowość Grenicz, czyli Hranowica, t. j. Granica, na południe od Hernadu Górnego, świadczy wymownie, dokąd sięgała ongi polską granicą ⁴⁾. Za czasów Bolesława Krzywoustego Węgrzy posunęli swe granice dalej. Władca ten polski, wdawszy się w nieszczęśliwą walkę ze ślepym Belą II, poniósł dnia 12 lipca 1133 r. klęskę nad rzeką Saja na wschód od Spisza. Wtedy to niefortunnemu węgierskiemu pretendentowi, a swemu zięciowi Borysowi oddał uszczuploną, nieco kasztelanję spiską. W tych czasach zdaje się powstały grody Braniszko, Grodzisko, Straża, Straszka. Były to zapewne grody polskie, jak świadczą nazwy, przeciwko Węgom wzniesione, którzy tutaj przeciw Polakom osiedli w okolicy Lewoczy, rycerstwo węgierskie w tak zwanych 10-ciu wsiach szlacheckich Alrahamfalva, Hadufalva, St. Andrej

¹⁾ Dr. Wł. Semkowicz. Śladami kultury polskiej na Spiszu. Miesięcznik krajoznawczy dla młodzieży. Czerwiec 1920 str. 24.

²⁾ Spisz, czy Spiż, próbka historyczno-filologicznego wyjaśnienia i ustalenia pierwotnej nazwy dawnej dzielnicy polskiej, skreślił MiniM (ks. Namysłowski), Kraków 1911, str. 24, 27, 56, 74.

³⁾ Dr. Semkowicz. Śladami kultury polskiej na Spiszu, l. c. str. 24.

⁴⁾ Gumpłowicz. Polacy na Węgrzech. Lud VII str. 74.

i t. d. Borys utrzymał się przy kasztelanji spiskiej tylko do roku 1145. Losy Spisza rozstrzygnęły się pod murami Poznania, gdy oblegające wojska Władysława II uległy rozbiciu przez obleżonych młodszych jego braci i odsiecz możnowładztwa, niechętnego silnym rządóm jedynowładztwa. Syna Krzywoustego najstarszego wygnano z kraju, Polska rozpadła się na dzielnice, a Gejza II, szwagier Mieszka Starego, posiłkując tegoż i jego braci przeciwko bratu, wypędził sojusznika Władysławowego, węgierskiego pretendenta Borysa ze Spisza, w nagrodę za pomoc dostarczoną zatrzymując Spisz, z wyjątkiem okręgu podolinieckiego nad środkowym biegiem Popradu. Okręg ten to polski skrawek ziemi sandeckiej, do Spisza właściwie się nie zalicza. »I tak kasztelanja spiska została od Polski oderwana przez Węgrów i aż po dziś dzień, przez zdradę, znajduje się w posiadaniu Węgrów«, pisze autor Kroniki wielkopolskiej około r. 1300. Zachłanny szwagier i sojusznik Mieszka Starego, Gejza II, celem zabezpieczenia łupu przed Polakami osadza na Spiszu pierwszych kolonistów niemieckich pod wodzą Raynalda, pierwszego wojewody Sasów spiskich ¹⁾. Odtąd, aż po najnowsze czasy Niemcy będą odgrywać rolę przedniej czaty w służbie zachłannych Węgrów na szkodę polskiego stanu posiadania.

Jak dokumenty XII i XIII wieku wykazują, większą część Spisza zalegała ogromna puszcza, nie dziw więc, że rzadkie bardzo pierwotne osadnictwo polskie uległo w krótkim czasie wpływom niemieckim, tak samo, jak na dolnym Śląsku w lesistej bronie nad Bobrzą i Nisą tużycą. W średnich wiekach granice politycznych jeszcze wcale nie wytyczano. Państwa dzieliły olbrzymie puszcze lub góry, a za jedyną granicę polityczną należy uważać granice osadnictwa, w tych puszczach. Karczowali od południa te puszcze koloniści niemieccy w służbie węgierskiej, od północy wdzierają się osadnictwo polskie w służbie rodów szlacheckich i książąt. Ponieważ Węgry były zjednoczone i potężne, ich praca kolonizacyjna, prowadzona przez systematycznych Niemców, robiła olbrzymie postępy, podczas gdy w rozbitej na dzielnice Polsce postępowała bardzo powoli i dopiero w XIV wieku przy pomocy w części również niemieckich osadników mo-

¹⁾ Dzieduszycki. Spiż. Przew. nauk.-liter., 1876, str. 606.

gła się poszczycić większymi rezultatami¹⁾. Z końcem XII wieku za Beli III kolonje saskie związane w odrębną organizację, poddając zarazem parafje w tych wsiach pod zarząd proboszcza spiskiego, a ziemia spiska, poddana pod względem kościelnym arcybiskupowi ostrzychomskiemu, przestaje być archidjakonatem diecezji krakowskiej²⁾.

Powołanie Niemców było w każdym razie krokiem świadomej polityki ekonomicznej. W początkach XIV wieku zajmowali Niemcy na Spiszu już 39 miejscowości w klinie między Hernadem a Popradem od Wallendorfu (Olaszi) po Belę i stanowili osobną prowincję dla siebie ze stolicą w Lewoczy. Praca osadnicza Niemców była systematyczna, powoli zaludniali oni puszcę gęsto rozłożonemi wioskami i ani jedna osada niemiecka nie stała u granic posiadłości polskich. Mimo to jednak osadnictwo niemieckie dla dalszej kolonizacji Spisza na rzecz Węgier miało olbrzymie znaczenie, stanowiąc podstawę dla dalszego osadnictwa osób prywatnych przy pomocy wójtów i gospodarzy niemieckich. I ta to fala osadnicza pochłonięła nam polskie osady na lewym brzegu Popradu w XIII i początkach XIV w.

Dwie główne rodziny magnackie, Berzewiczycy i Görgów, dokonały kolonizacji lewego brzegu Popradu na Spiskiej Magurze po Białkę, Dunajec i Karpaty. Berzewiczowie kolonizują zachodnią połąć tego trójkąta, a pochodzą od niemieckiego księdza Adolfa; Görgowie kolonizują wschodnią połąć i również są pochodzenia niemieckiego, skoro dzierżą godność komesów saskich. A co najsmutniejsza dla nas, kolonizują te pogranicza siłami osadników polskich i nieco ruskich, którzy, uciekając z Polski, szukali tu tem większej swobody³⁾. Co więcej, z początkiem XIV wieku myśmy utracili południową część ziemi rdzennie polskiej, ziemi sandeckiej, t. zw. okręg lubowelski z miejscowościami takimi, jak Lubowla, Gniazdo, Podoliniec, oraz sąsiednimi wioskami. Podoliniec był osadą, założoną przez Bolesława Wstydliwego r. 1244, i należał z nadania Kingi do Klarysek sądeckich; Lubowla i Gniazdo były gniazdami małopolskiego rodu Lubowli-

¹⁾ Zachorowski. Węgierskie i polskie osadnictwo Spiszu do połowy XIV w. str. 9—11.

²⁾ Dzieduszycki, l. c. str. 606.

³⁾ Zachorowski, l. c. str. 27—43 i 88—9.

tów, a później posiadłością Janinów. Straciliśmy ten kęs polskiej ziemi między r. 1315 a 1320 wskutek tego, że czeski Wacław II nadaje r. 1301 Görgom Gniazdo i Lubowlę, a niemiecki sołtys Henryk z Podolińca, który otrzymał od Kingi sąsiednie lasy na własność, ciążył do Spisza, gdzie miał krewniaków swoich i swoje posiadłości. W czasie walki o niepodległość Łokietka z Czechami i Niemcami straciliśmy nasze kresy południowe. W ślad za tem Węgrzy i na polu kościelnem chcą dokonać grabieży i przyłączyć ziemię lubowską pod jurysdykcję arcybiskupa ostrzychomskiego. Na szczęście Kościół polski zdobył się na więcej energii niż państwo polskie i w procesie kanonicznym utrzymał się w posiadaniu ziemi lubowskiej ¹⁾.

W ten sposób cała ziemia spiska, a nawet południowy skrawek sandeckiej dostał się przy pomocy Niemców i zniemczonego króla czeskiego w moc i posiadanie Węgrów. Dopiero pogrom niemiecki pod Grunwaldem przywrócił nam lubowską ziemię i znaczną część ziemi spiskiej. W roku 1412, jak wiadomo, za 37.000 kop groszy praskich (około 2 miliony M. przed wojną) zastawił niemiecki król Węgier, Zygmunt Luksemburczyk, Polskę ziemię lubowską z Lubowlą, Gniazdem i Podolińcem, oraz 13 miast spiskich. Obejmują one 6 enklaw w południowo-wschodniej części Spisza: 1) Podgrodzie, 2) Włochy, 3) Nową Wieś, wszystkie trzy w dorzeczu Hernadu; w dorzeczu Popradu zaś 4) enklawę Lubica, Ruszkin, Wierzbów, Twarożnia na południe od Kiezmarmku; 5) na południowy zachód od Kiezmarmku Poprad, Wielka, Maciejowice, Sobota, Straża, wreszcie na zachód od Kiezmarmku 6) enklawę Białą. Ponieważ 37.000 kop groszy praskich, wypłaconych Zygmuntowi węgierskiemu na zamku Niedzicy na przeciw Czorsztyna, pochodziły z sumy 100.000 kop groszy praskich kosztów wojennych, jakie Krzyżacy zapłacić musieli Jagielle, przeto śmiało stwierdzić możemy, że wolność ziemi lubowskiej i przynależność trzynastu miast spiskich do Polski kupioną była krwią polską, przelaną na polach Grunwaldu. Jak wielką zaś była owa kwota, dana Zygmuntowi na zastaw, świadczy odpowiedź posłów polskich, dana węgierskim w Kiezmarmku r. 1436, że za tę sumę, jaką cesarzowi pożyczono, możnaby nabyć dwa razy tyle, »co wart zastaw, na własność wieczystą«.

¹⁾ Zachorowski, l. c. str. 83—84.

I mieli słuszość polscy posłowie. W czasach, kiedy Zbigniew Oleśnicki nabył całe księstwo siewierskie z trzema miasteczkami i 60 wsiami za 6000 grzywien, 16 miast spiskich, jako zastaw na sumę 6 razy większą, był zapewne nie całkiem odpowiedni, A jednak do r. 1769 ziemia spiska była w Polsce najbogatszem starostwem ¹⁾, które przynosiło rocznie dochodu posiadaczom około 150.000 złp. na czysto. Nie dziw tedy, że na tem starostwie wyrosła głównie potęga Lubomirskich, którzy od końca XVI wieku nieprzerwanie prawie dzierżąc intratne stanowisko starosty ziemskiego, za dostarczanie ochotników wojskowych Habsburgom przeciw buntownikom węgierskim wyrosli tu na Spiszu na hrabiów i książąt z łaski cesarzy niemieckich. Po dziś dzień jeszcze w polskim zamczysku Lubowli, rezydencji Bonarów, Szafranców, Zawiszów Czarnych, Oleśnickich, Kmitów, a głównie Lubomirskich patrzą na widza ze ścian zamkowych portrety tych polskich antenatów, takiego Sebastjana Lubomirskiego, co wybudował pałac Spiski w Krakowie, takiego Stanisława Lubomirskiego, pogromcy Turków pod Chocimem z r. 1620, co założył 1641 klasztor Pijarów w Podolińcu, ognisko odtąd kultury polskiej jeszcze w początkach XIX wieku ²⁾. Wszak w tym Podolińcu patrzą w refektarzu na widza portrety królów polskich: Batorego, Wazów, śliczny Wiśniowieckiego, Sobieskiego, patrzy portret Konarskiego swemi oczyma, jako echo odrodzenia polskim szkoły przed upadkiem tu rządów polskich ³⁾. A że te rządy polskie nie były ciężkie dla miast spiskich, to stwierdza jeszcze w 1845 r. Niemiec spiski z Nowej Wsi polskiemu podróżnikowi temi słowy: »360-letnie pozostawanie miast spiskich w zastawie polskim dotąd nas czcia i uszanowaniem dla Polaków napęlnia. Chociaż ²/₃ części ludności w tych 16 miastach są niemieckie i protestanckie i chociaż urządzenia nasze w najgłówniejszych punktach, jak madziarskim, tak i polskim wprost były przeciwne, jednak sprawiedliwość nakazuje przyznać w obliczu całego świata, iż nigdy nie mieliśmy

¹⁾ Dzieduszycki, l. c. 943.

²⁾ Roman Pollak. Wyprawa Skautów śląskich w Tatry i na Spisz, str. 116.

³⁾ Trypplin. Wycieczki po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów, t. II, 85.

najmniejszego powodu użalania się na uszczerbek praw naszych z polskiej strony¹⁾.

Ziemia spiska padła pierwszą ofiarą zaborczości sąsiadów jeszcze w r. 1769, trzy lata zatem przed pierwszym rozbiorem Polski. Jej zabór, dokonany przez Józefa II za podszeptem Fryderyka II, był zachętą i powodem do rozbiorów Polski, dzięki któremu i Katarzyna II wbrew pierwotnym zamiarom i Marja, Teresa wbrew swej woli zniewolone były do zbrodni rozbiorowej, jak to świetnie wykazuje znakomity francuski historyk Sorel²⁾.

Ziemia lubowelska, oraz 13 miast spiskich o łącznej ludności 40.000, wcielona do Węgier przez t. z. akt rewindykacji z r. 1768/9, zachowała po rok 1876 odrębną administrację, jako »Prowincja 16 miast spiskich« z osobnym królewskim administratorem prowincjonalnym, oraz 3 asesorami prowincjonalnymi i fiskalem i notariuszem, wybieranym dożywotnie przez delegację 16 miast. Miasta te cieszyły się różnemi wolnościami, jak uwolnieniem od kwaterunków wojskowych, autonomicznym rozkładaniem podatków, przywilejami handlowemi, przywilejem zakładania kopali i t. d. Dopiero w 1876 r. nastąpiło wcielenie tych 16 miast wraz z wolnemi miastami Lewoczą i Kezmarkiem do komitatu spiskiego³⁾. Zrazu nie zmieniło się nic pod względem narodowym. Podoliniec pozostał przeszło pół wieku ogniskiem kultury polskiej. Jeszcze około roku 1830 pisze Gorczyński⁴⁾, że niemała liczba górali dochodzi do ukształcenia wyższego w ulubionych przez nich szkołach Pijarów w Podoliniecu. Przejeżdżając zaś tędy w lipcu roku 1832, zapisał: »Miasteczko Podoliniec jest miłe. Słynie szkołami księży Pijarów, z tego to miejsca rozlewa się oświata na kraj góralski. Poznałem jednego z księży Pijarów. Był w Polsce i dobrze mówił po polsku, choć rodem z tamtych okolic«⁵⁾. Ale po r. 1849 ten sam klasztor podoliniecki stał się już

¹⁾ Pietrusiński. Wspomnienia z Wenecji, kolei żelaznej lipnicko-wiedeńskiej Karpat, wadqwickich, Frankfurtu i Tatr spiskich, t. II, Warszawa 1845, str. 262.

²⁾ La question de l' Orient.

³⁾ Pietrusiński, l. c. 249—50.

⁴⁾ Herders Conversation-Lexikon, 1910, t. VIII, 1839.

⁵⁾ Dziennik podróży do Tatrów.

⁶⁾ R. Pollak, l. c. 117.

rozsadnikiem kultury madziarskiej. Wtedy to księżom Polakom, po madziarsku nie dobrze umiejącym, porozdawano probostwa, a w klasztorze osadzono tylko Słowaków po madziarsku dobrze umiejących lub też Madziarów. Naukę madziarsko-słowacką udzielano bezpłatnie, dla uboższych uczniów postarano się o stypendja ¹⁾. W ten sposób wychowano tu słowacko-madziarską generację księży dla całego Spisza. Księża ci stali się gorliwymi apostołami słowaczenia polskich owieczek tem więcej, że w pierwszej połowie XIX wieku zerwano jeden z najsilniejszych węzłów, łączących Spisz z Polską, a mianowicie wydzielono ten obszar z pod władzy biskupów krakowskich. Władze duchowne zakazały jak najsurowiej duchowieństwu utrzymywania jakichkolwiek stosunków z Krakowem, nawet handlowych, np. nabywania dewocjonaljów.

Dla Polaka w roku 1856 Madziarzy, uciskający Słowaków, chcący jednakże, żeby owe kilkanaście tysięcy na pograniczu Galicji mieszkających, a po polsku mówiących poddanych nauczyło się powoli po słowacku, były to dziwne niepojęte sprzeczności ²⁾. Sprzeczności te tłumaczy trafnie Dr. Koneczny ³⁾. Ludność polska, zdaniem tego znakomitego znawcy stosunków słowacko-czesko-polskich, nie madziaryzuje się mimo madziarskich szkół i języka urzędowego, lecz pozbawiona pokarmu duchowego w języku ojczystym, szuka go i chętnie przyjmuje w dostępnej sobie, bo wielce zbliżonej językowo szacie słowiańskiej — i tak zamienia się stopniowo na Słowaków. Madziarzy (najwięksi wrogowie Słowaków) na obszarze polskim, sobie podległym, są dla Słowaczyny względniejsi. Rozumieją, że gdyby w państwie węgierskiem rozbudziło się polskie poczucie narodowe, wyrósłby tam orzech, za twardy dla nich do zgryzienia, zwłaszcza, że i prawa historyczne są Węgrom przeciwnę. Ze Słowakami spodziewają się dać sobie radę. Dążą przez zesłowaczenie do zmadziaryzowania i dlatego słowaczeje ta ziemia z woli największych nieprzyjaciół żywiołu słowackiego ⁴⁾. Jeszcze do roku 1877 konskrypeje

¹⁾ Tripplin II 84—87.

²⁾ Tamże II 180—184.

³⁾ Oświęcimskie niemieckie czy też Cieszyńskie polskie. Kraków 1917, str. 20.

⁴⁾ Pollak I, c. 129.

urzędowe zaliczały łaskawie ludność w 28 miejscowościach Orawy i Liptowa do narodowości polskiej, natomiast po r. 1880 zniesiono nazwę »lengyel« (Polak), zastępując ją wyrazem tót, t. zn. Słowianin, w tym celu, aby przez nieuznawanie w państwie obcej narodowości a jedno tylko szczepowości móc, w myśl szowinistycznego hasła walki ze zniechęconym panslawizmem, tem silniej i gwałtowniej uciskać, wykorzeniać i wynaradawiać polskość. Lud nasz, pozbawiony opieki szkoły, kościoła i państwa, pod względem narodowym wystawiony na systematyczną akcję wynaradawiającą ze strony kleru słowackiego, popierany tajnie przez Czechów, mimo wszystko czuł, że się różni od Słowaków, którzy mu wytykali, że jest polskim, a nie mając czucia narodowego, zwał się »góralami« na Orawie, »magórzezanami« na Spiszu, a w Liptowie »krainakami«¹⁾.

Jedyny węzeł, jaki go łączył z polskością, to pociąg do kościołów polskich, pociąg do pielgrzymek pobożnych na odpusty do Ludzimierza, do Kalwarji, do Krakowa, Częstochowy. Słyszane w polskim języku słowo Boże i książki do nabożeństwa, kupowane chętnie na tych odpustach, podtrzymywały świadomość polskości u tego ludu. W ostatnich czasach potęgowała tę świadomość liczna emigracja podhalańskich górali na Spisz, którzy zdobyty w Ameryce pieniądź wyzyskiwali na parcelacje madziarskich i niemieckich majątków. Wszędzie tych osadników polskich na Spiszu pełno, a że to naród butny, już uświadomiony, a posługuje się tą samą podhalańską gwarą, co Spiszacy w Magórze, nie dziw, że wywiera wpływ na otoczenie. Statystyka węgierska z r. 1900 wykazała w komitacie Spiskim na 3868 klm² 172.000 mieszkańców, w tem 10.843 Madziarów, 42.800 Niemców, 14.330 Rusinów, 99.557 Słowaków. Że jednak sami Węgrzy w tę swą statystykę urzędową nie wierzyli, okazują wybory, gdy przeciw kandydatom słowackim mobilizują Polaków spiskich i każą im głosować na węgierskiego Buriana, który o polskich wyborców troszczy się akurat tyle, co pies o piątą nogę, a nas Polaków w b. Galicji chciał koniecznie uszczęśliwić w 1917 r. berłem pruskiego Wilhelma II²⁾.

Najpewniejszym dowodem polskości w północnych Węgrzech

¹⁾ Langer. Nasz Spisz i Orawa, 1917.

²⁾ Czernin. Im Weltkrieg, IX Polen, str. 273—86.

jest u tej ludności jej charakterystyczne znamię etnograficzne, jak ubiór, budowa chat, zdobnictwo, zatrudnienie, zupełnie identyczne z cechami naszego ludu podhalańskiego. Ludność ta należy do grupy Podhalań i z mieszkańcami północnych tatrzańskich stoków stanowi jednolity typ narodowy, rdzennie polski. Mówi ona do dziś gwarą polską, góralską, pomimo wiekowego ucisku wynaradawiającego. Narzecze jej, bliższe języka piśmiennej polskiego od kaszubszczyzny, posiada brzmienia właściwe polskiemu językowi, oraz wszystkie właściwości polskie: nosówki *ę, a, g* zamiast słowackiego *h*, zmiękczone spółgłoski *ś, ć, ś, ŋ* i brzmienia tylko językowi polskiemu właściwe, jak *t, dz, dź*, i mazurzenia *s, c, z*, zamiast *sz, cz, ž*. Naleciałości języka słowackiego, spotykane z rzadka zwłaszcza w pacierzu, dają się łatwo rozróżnić i wyosobnić¹⁾. Zwrócili na to uwagę nasi uczeni i podróżnicy, jak Zejszner²⁾ w r. 1839, Agaton Giller³⁾, Zawiliński⁴⁾, twierdząc, że nie tylko ludność spiskiej Magóry, ale i ziemi kieżmarskiej, lubowelskiej, czadeckiej jest czysto polską. Świadectwo jednak polskich uczonych może być stronnictwe, dowodzić do pewnego stopnia narodowej zachłanności. Otóż bezwarunkową polskość północnego Spisza w dorzeczu Popradu i Białki, oraz północnej Orawy i Czadecyzny wykazali, nie kto inny, jak uczeni czescy i słowaccy, że wymienimy tylko najpoważniejszych Niederlego⁵⁾ i Czambela⁶⁾. Na mapie prof. L. Niederlego, ogłoszonej w 1907, a wykonanej na zasadzie dokładnych badań językowych uczonego słowackiego Dr. S. Czambela, można ściśle oznaczyć obszar, przez Polaków zamieszkały. Pas etniczny polski, wedle czeskich uczonych, posuwa się het na południe od grzbietu Magóry spiskiej, wyznaczonej nam przez koalicję, jako granica terenu plebiscytowego. A ostatniemi granicznemi wioskami polskimi są, idąc od zachodu ku wschodowi, Jaworzyna nad Białką, Żdżar, Lendak, Krih, Ruźbaki, Kołaczków, Nowa Lubowla, poczem granica zwraca się ku północy, stanowiąc wschodni kres

¹⁾ Langer l. c. 10. Pollak 56.

²⁾ Polacy w Węgrzech. Dodatek tygodniowy do Gazety lwowskiej. Biblioteka warszawska 1855 X, III.

³⁾ Z podróży po kraju słowackim 1876.

⁴⁾ Z kresów polszczyzny, 155—157.

⁵⁾ Narodopisny Věstník česko-slov. 1907 leden.

⁶⁾ Slovenska reč... Turč. S. Martin 1906, str. 63—71.

polskiego stanu posiadania, a idzie przez Lubowlę, Sadek, Krem-pach, Granastów i Pilchów, poczem wkracza już na terytorjum dawnej Galicji. Na całym tym bardzo rozległym, bo obejmującym około 1200 km² obszarze znajdują się zaledwie trzy osady ruskie: Osturnia, Nowy Lipnik i Folwark; reszta osad wszystkie są szczeropolskie. A szczeropolskimi są one od początku swego istnienia, od tysiąca blisko lat i nie mają nic ze Słowaczną wspólnego, skoro wedle świadectwa samego Czambela Polacy na Spiszu nigdy i nigdzie się nie stykali ze Słowakami ¹⁾. Oddzia-łało Słowaków od Polaków osadnictwo ruskie i niemieckie, wśród którego wpływ polski wybitnie się zaznaczył, o ile szereg wsi, zwłaszcza niemieckich, uległ w ostatnich czasach wskutek emigracji Niemców spolszczeniu.

Że żywioł polski sięgał jednak dużo dalej na południe, a cofnął się pod naporem elementu słowackiego do dzisiejszego stanu osiedlenia, tego dowodem szeregi wysp językowych polskich na południe od Tatr w komitatach liptowskim, zwoleńskim, gemerskim, dalej szaryskim i zemplińskim na wschodzie w dorzeczu Oudawy, dopływu Cisy, tego dowodem szeroki pas dialektu przejściowego t. zn. Lachów na pograniczu obszarów gwar polskich i słowackich. Na Spiszu posiadamy 50 przeszło osad czysto polskich, nie licząc mieszanych nad górnym biegiem Popradu u stóp Tatr, razem co najmniej 50.000 Polaków. Z tego zaledwie $\frac{1}{3}$ część przyznała nam koalicja, jako teren plebiscytowy, t. j. obszar leżący na północ od Spiskiej Magóry, z wykluczeniem doliny Popradu, która w górnej części przeważnie, w środkowym biegu prawie wyłącznie przez polski żywioł jest zamieszkała, nigdzie jednak przez słowacki. Mimo to Czesi zajęli szczeropolską ziemię lubowelską i kiezmarską, a w Spiskiej Magórze mimo zarządzeń plebiscytowych wywierają przez swych żandarmów i władze finansowe i aparat urzędniczy terror, nie ustępujący pruskiemu. W tych warunkach plebiscyt staje się komedją polityczną, a nie aktem sprawiedliwości międzynarodowej. Polska, aczkolwiek ma historyczne prawa do południowej części Spisza nad Hornadem, rezygnuje chętnie z Nowej Wsi, Podegrodzia i Włochów, które do r. 1769 stanowiły integralną część Polski, ze

¹⁾ Dr. Czambel, l. c. str. 70, Zachorowski, Węgierskie i polskie osadnictwo i t. d. str. 88—89.

względem, że te okolice należą etnograficznie do Słowaczyny, rezygnować musi z licznych enklaw polskich w otoczeniu słowackiem, ale zrezygnować jej z rdzennie polskich ziem, jak lubowelskiej i kieżmarskiej nie wolno w obecnej chwili, jeżeli zarzut niedbalstwa i nieopatrności nie ma Nowej Polsce przypaść w udziale, jak Starej Polsce.

Spiskie ziemie są najpiękniejszą polską krainą i mogą się stać olbrzymiem letniskiem dla całej Polski, płucami Polski z południowymi stokami Tatr, ze swemi źródłami mineralnemi, ze swemi skałami, lasami. W posiadaniu Czech, obfitujących w uzdrowiska o wszechświatowem znaczeniu, tracą na wartości i pozostaną na zawsze jabłkiem niezgody między pobratymczemi narodami, z których jeden gwałtem i bezprawiem usiłuje się wdrzeć w posiadanie ziemi, do której ani etnograficznych ani historycznych praw nie posiada.

2. Północna część żupaństwa orawskiego.

Podobne, choć nieco odmienne stosunki panują w Orawie północnej na południe od Babiej Góry, w zlewisku Czarnej i Białej Orawy, między Magórą orawską a Karpatami. Kraj tu łączy się od zachodu bezpośrednio z Podhalem, zaludniony jest przez taką samą ludność, jak podhalańska. Ludność ta przed wiekami przybyła z Polski w te góry i dziś mimo, że uległa w znacznej części zesłowaczeniu w południowych częściach trenczyńskiego komitatu, zamieszkuje w zwartym obszarze, wedle uczonych czeskich, jak Sembera i Polivka 23 wsi, które wraz ze sąsiednimi osadami o mieszanym charakterze liczą około 40.000 mieszkańców. Nazwy także tych osad, jak Lipnica, Zubrzyca, Orawka, Podwilk, Piekielnik, Jabłonka, wymownie świadczą o polskości tych osad. Jest to kraj ubogi, lesisty, wygodnemi wąwozami i gościńcami nie tylko z Podhalem, ale i od północy z Małopolską połączony. Trzciana, Twardoszyn i Namiestów stanowią główne centra handlowe i administracyjne. Nie tylko więc dorzecze Czarnej Orawy, jak chce koalicja, ale całe Białej Orawy winne być terenem plebiscytowym, zważywszy, że poza żadaną przez nas granicą znajduje się cały szereg wysp językowych czysto polskich.

Historycznie górna Orawa należała do Polski od czasów Chrobrego aż po wiek XVI, będąc przedłużeniem województwa krakowskiego. Już w XIII wieku oderwaną została dolna Orawa po Twardoszyn, gdzie była przez szereg wieków graniczna komora celna. Mimo przynależności jednak tej części Orawy do Węgier zupaństwo orawskie prawie bez przerwy od końca XIV w. do połowy XVI w. spoczywało w rękach Polaków. Dzierżyli je Władysław Opolezyk, Ścibór ze Ściborzyc, Komorowscy, Rostkowie-Siedleccy, Dubowski. Dopiero w drugiej połowie XVI wieku przeszła Orawa w ręce Turzonów, zmadziaryzowanych Niemców, a później Tökölich. Oni to z czasem jak Perzewicze lub Görgowie spiscy, granice Węgier przesunęli kosztem Polski na północ, aż po grzbiet Beskidów i Babią Górę. Nie tylko więc etnograficzne ale historyczne prawa przysługują Polsce do Górnej Orawy¹⁾. Tem łatwiej ta północna Orawa do Polski się przyłączy, o ile tutaj właśnie więcej niż na Spiszu obudził się żywszy duch narodowy, propagowany przez kilku polsko-orawskich duchownych i świeckich, na czele których stanął ks. Fer. Machaj z Jabłonki, najwybitniejszy działacz Polski na Orawie. Zdanie jego o ruchu polskim w północnych Węgrzech zasługuje też na uwagę tembardziej, o ile jest świadectwem najlepszego rzeczoznawcy i najwiarogodniejszego obserwatora. »Są już wioski na Orawie i Liptowie, pisze rzeczony działacz²⁾, które były polskie, a dzisiaj są już zupełnie słowackimi. Czy się to zresztą kiedy nie stanie? Nie chcę w to wierzyć. Gdyby o nas zapomniano, możeby to kiedyś i nastąpiło. Bo wszystko ku temu jak najlepiej przygotowane. Szkoły mamy węgierskie z językiem pomocniczym słowackim. I katechizm, którego można w języku ojczystym nauczać, uczy się wszędzie po słowacku. Kościoły to już zupełnie zesłowaczone, i kazania i śpiew kościelny słowacki. Młodsza generacja już się nawet w domu po naszymu nie modli. Książki modlitewne prawie wyłącznie słowackie. Gazety, jeżeli jakieś dochodzą, to słowackie. Lud nasz, idąc do księdza, do urzędu, witany wszędzie po słowacku. Nawet i żydzi w karczmach i skle-

¹⁾ Spisz, Orawa i okrag czadecki, opracowała komisja kartograficzna, złożona ze St. Eliasza Radzikowskiego, W. Goetha, W. Semkowicza, R. Zawilińskiego, str. 9—13. -

²⁾ Głos Narodu z 17/11, artykuł »Polacy w północnych Węgrzech«. Pollak l. c. str. 145—6.

pach rzadko po naszymu mówią. Proboszcz, organista, nauczyciel, notariusz i pocztmistrz mieszka 10—20 lat w polskiej wsi, ale po polsku się nie nauczy. Nawet »nasi« inteligenci, jeżeli się na wspomniane stanowiska dostaną, ze swoim ludem po słowacku rozmawiają. Już to u nas taki »bon ton« wstydzić się góralszczyzny. Więc — może zapytać czytelnik — co tam macie jeszcze polskiego? Przecież to już doskonale zesłowaczenie! Znowu nie jest tak źle. Bo największy skarb, lud — jest polski. A ten lud między sobą, w swoich rodzimych kątach po polsku mówi. Tak, Polacy jesteśmy, ale bardzo, bardzo biedni Polacy — na drodze do rychłego zesłowaczenia się. Te dzisiejsze smutne stosunki — to owoce prawie 50-letnich zaniedbań naszych przodków. Przed kilku laty wreszcie powstał na ziemi orawskiej ruch polski. Cel: uświadomienie ludu i poczynienie kroków, aby z tych nielicznych praw, które według ministerjalnych rozporządzeń niby to na papierze mamy, skorzystać. Wydało się broszurę »Co my za jedni«, powstała r. 1913 za sprawą dr. Bednarskiego, około ruchu polskiego na Spiszu i Orawie najbardziej zasłużonego, »Gazeta podhalańska«, wychodząca w Nowym Targu; w lipcu 1914 roku mieliśmy w Zakopanem wiec spisko-orawski, założono po wsiach wypożyczalnie książek; w Jabłonce nawet kółko samokształcenia (gdzie się studenci czytać i pisać po polsku uczyli). Rząd węgierski nam żadnych trudności, ani przeszkód nie czynił. Było już dość nawet i pociechy. Kiedy się praca najpiękniej rozwijała, wybuchła wojna i rozprędziła działaczy na tem polu. Znaki są, że się pracowało, ale bardzo mało. U ludu — do czego się głównie dąży — równają się zeru, u inteligencji jest trochę postępu. Można się już coś od niej spodziewać. Chociaż nie dużo. Ruch polski u nas rozpoczął. Generacja, która w tym ruchu ma udział brać i pracować, już rośnie. Aby się tylko wojna zakończyła, my się tam już jakoś rozruszamy, lud nasz uświadomimy«. Tyle ks. Machaj. A co się stanie, gdy Czesi ten kraj zagarną? Czy tu wtedy wyrośnie bujne życie polskie?

3. Czadeckie.

Jeszcze mniej uświadomienia narodowego posiada lud polski w Czadeckiem, w dolinie górnej Kisuczy, dopływu Wagu.

Jest to kotlina, niskimi przełęczami, jak jabłonkowska, złączona ze Śląskiem cieszyńskim, a oddzielona od Węgier pasmami Beskidu zachodniego. Tędy idzie głośna kolej żelazna bogumińsko-koszycka, tak bardzo przez Czechów pożądana. Ponieważ południowe pasma tej kotliny niedostępne były i pokryte lasami, więc odgrodenie od Węgier było tem silniejsze, to też i zaludnienie tego kraju nastąpiło od strony Śląska cieszyńskiego. Ziemia czadecka jest właściwie przedłużeniem Cieszyńskiego i do Cieszyńskiego jeszcze po r. 1800 należała, jak to wykazuje współczesna mapa Wilanda, wyznaczająca jako granicę południowego Śląska rzekę Kisucę i potok Oszczadnicki.

Pasma Beskidu, biegnące na południe od tych potoków, od góry Lemieszna na granicy węgiersko-morawskiej, aż po górę Wielką Raczę na granicy węgiersko-galicyskiej, winno być nową granicą między Polską a Czecho-Słowacją. Czadeckie tylko gwałtem Węgrzy w początkach XIX w. od Cieszyńskiego oderwali i do komitatu trenczyńskiego przyłączyli. Jest tu trzynaście wsi bardzo ludnych z około 43.000 Polaków, wedle obliczeń czeskich uczonych Sembery i Pastrnaka. Nazwy tych wsi, jak Maków, Wysoka, Podwysokie, Staszków, Oleśna, Świerczynowice, Skalite, świadczą wymownie o polskim pochodzeniu tych osad. Ludność ta, gwałtem oderwana od Śląska, do tego Śląska ustawicznie dąży, tutaj szuka zarobku w przemyśle i kopalniach węgla, dotąd także wywozi swoje płody, zwłaszcza drzewo dla kopalni śląskich.

Stolicą tego kraju jest Czacza z ludnością mieszaną madyarsko-słowacko-polską... Około uświadomienia narodowego tych ludzi nikt prawie nie pracował, nieco ks. Stojałowski, kiedy wygnany z Galicji tu w Czaczy zamieszkiwał i stąd działalność agitacyjną szerzył, nie tylko w Galicji, ale i w Czadeckiem. Czasem tu zawitali polscy podróżnicy, jak prof. Zawiliński, lub skauci śląscy, zresztą nikt z Polaków o ten lud się nie troszczył, a jednak w myśl zasad wilsonowskich ten lud i kraj nawet bez plebiscytu na podstawie badań naukowych czeskich uczonych do Polski należeć winien. Mimo to nawet za teren plebiscytowy nie został uznany.

* * *

Z całego przedstawienia stosunków osadniczych na Spiszu, Orawie i Czadeckiem widzimy jasno, jak na dłoni, polską zdol-

ność kolonizacyjną z jednej strony, a z drugiej brak opieki i zainteresowania u polskich rządów i społeczeństwa, aby utrzymać polski stan posiadania. Tak jak na północy i na zachodzie, tak samo i na południu wdziera się systematycznie ten sam żywioł niemiecki i rozszerza swe posiadanie na rzecz zorganizowanego lepiej, zachłanniej państwa węgierskiego. Ta zachłanność niemiecko-węgierska potęguje się oczywiście w czasach porozbiorowych i objawia się nie tylko w eksterminacyjnej walce rasowej przeciw polskości w granicach byłej monarchji austriacko-węgierskiej na rzecz Niemców, Węgrów, Słowaków i Czechów, ale nawet w kurczeniu granic byłej Galicji na rzecz państwa węgierskiego w bezludnych okolicach tatrzańskich. Węgieńscy urzędnicy kładli granice samowolnie, gdzie chcieli, jeżeli im to się podobło, bez protestu władz austriacko-galicyjskich. Granicę galicyjsko-węgierską od ujścia Białki do Dunajca do Szczawnicy na całej linii tworzy Dunajec. Przed kilkunastu laty Dunajec podmył naprzeciw leżący brzeg prawy spiski i utworzył przy brzegu lewym około Sromowiec dość rozległy kamieniec. Tę stratę powetowali sobie wnet samowolnie Madziarzy. Zjechała ich komisja, odcięła kawałek brzegu i postawiła słupy graniczne z głoškami M. O., to znaczy Mágyar Orszák i G. to zn. Galicja, a pan starosta nowotarski pozwolił grzecznie na wszystko, zadowolony widocznie z tego, że nie całe Sromowce Niżne, ale tylko kawałeczek zabrali Madziarzy i że pozwolili łaskawie na postawienie obok słupów madziarskich i słupów galicyjskich. Jest kwestja, czy o tem wszystkiem wiedziały powołane władze, np. Wydział krajowy i czy to się stało z ich zgodą i że sprawę granic państwa traktowało się jako sprawę powiatową, domową. Prawie na całej linii, oddzielającej Podhale od Spisza, jest rzeka Białka granicą; na tej podstawie żądali Węgrzy, aby i w najbardziej górnym biegu od Roztoki do Morskiego Oka była ona granicą i dlatego chcieli sobie przywłaszczyć połowę Morskiego Oka¹⁾. Ale dlaczego ta Białka nie jest granicą w swym dolnym biegu? Węgrzy zabrali wieś Nową, Białą i połowę tak zwanego lasu harkłowskiego z tego powodu, że ta osada należy do obywatela węgierskiego. Węgierska zaborczość szła jeszcze dalej, twierdząc, że

¹⁾ Zawiliński. Z kresów polszczyzny, str. 123 i 131—2. Przegl. zakop. z 1903 Nr. 30, str. 274.

całe Podhale należało niegdyś do Węgier. Na tej podstawie Czesi grozili niedawno zaborem całego Podhala. Jak przeciw temu wdzierstwu należy wystąpić, nauczył władze i społeczeństwo b. Galicji dopiero właściciel Zakopanego, hr. Wł. Zamoyski z Kórniku. On to zakusom ks. Hohenlohego i władz węgierskich, za nim stojących, stawiał tak energiczny, tak twardy a nieugięty opór, iż władze galicyjskie, od starosty nowotarskiego począwszy aż do marszałka krajowego, nie mogły pojąć, jak można z powodu nagich skał tyle awantur urządzać niemieckiemu księciu i żandarmom węgierskim. Wzruszano ramionami i okrzyczano nieustraszonego obrońcę perły tatrzańskiej, Morskiego Oka, skończonym dziwakiem, a jednak ten dziwaczny na terenie galicyjskim magnat polski obudził sumienie narodowe w społeczeństwie polskim, pobudził naukę polską w osobie prof. Balzera, pobudził całą opinię publiczną polską do obrony słusznych naszych praw i dożył tej satysfakcji, że wynik procesu o Morskie Oko powitano jako triumf narodowy, aczkolwiek o inicjatorze tego triumfu zupełnie zapomniano. Dziś chodzi nie tylko o nagie skały, nie tylko o dzikie jezioro, wśród granitowych turni, dziś chodzi o bez porównania większe skarby, o najcudniejsze góry w całej Europie obok Alp i Pirenejów, chodzi o spiskie Tatry, chodzi o 130.000 polskiego ludu, zamieszkującego te Tatry od wschodu i zachodu, od północy i nawet od południa.

Dr. K. Krotoski.

Dopisek. Artykuł powyższy napisany i złożony przed rozstrzygnięciem sporu czesko-polskiego przez Radę Ambasadorów w Paryżu, rozstrzygnięciem, niestety, dalekiem od sprawiedliwości, nie traci na swej wartości. Wobec utraty terenów z ludnością polską, winniśmy pamiętać o naszym obowiązku podtrzymywania polskiej świadomości wśród tych oderwanych od nas braci naszych.

Redakcja.

Z uroczystości kanonizacyjnej Małgorzaty Marji Alacoque.

Direttissimo »Milano Roma« pędził z błyskawiczną szybkością poprzez liczne tunele i wiadukty przecudnych Apeninów. Co chwila otwierały się wspaniałe widoki na głębokie doliny górskie, dzikie wąwozy, starożytne zamczyska, miasteczka i osady górskie. Za stacją Pracchia pociąg przebył dział wód Adrjatyku i morza Śródziemnego w tunelu na 2.700 m. długim i spuścił się w dół z więcej jeszcze przyspieszoną chyżością w żyzną dolinę Toskany do Pistoii i Florencji. Nie zatrzymywałem się w drodze pragnąc jak najprędzej stanąć u celu podróży, w stolicy chrześcijaństwa, wiecznym Rzymie. Dzień był prześliczny, więc pod czystym lazurem włoskiego nieba kąpały się w blasku słońca urodzajne pola Kampanji, poprzerzynane wzdłuż i w poprzek winoroślami i niskopiennymi drzewami owocowymi, podającami sobie konary niby ramiona do tańca. Dziwny kontrast uczuć przepełniał duszę. Cisza i piękno przyrody zdawały się zapraszać do zażywania dóbr Bożych w pokoju i zadowoleniu, a myśl o walkach na naszym froncie wschodnim i o społecznych zmaganiach w kraju przypominała poorane rowami strzeleckimi ugory, urozmaicone tylko śladami mogił i stosami gruzu. Przyroda, to przecudne dzieło Boże, zachwycała oko i serce, wlewając balsam pokoju w zmęczoną wojennymi wrażeniami duszę, a tymczasem mimowoli cisnęło się na wargi pytanie, czemu to namiętność ludzka wnosi wrzawę, śmierć i pożogę w ten raj szczęścia, jaki dobroć

Boża stworzyła na ziemi dla człowieka? Czemu to narody nie podają sobie nawzajem rąk do zgody i do dzieł błęgiego pokoju, jak te winorośle i drzewa owocowe Kampanji?

Wśród takich refleksyj dojeżdżałem do brzegów mętnego Tybru, zwiastujących bliskość Rzymu. Podróżni tłoczyli się tłumnie do okien, niespokojnie wypatrując na horyzoncie pierwsze kontury wiecznego miasta. Wtem w sienie oddali łagodnym łukiem zarysowała się na lazurze nieba kopuła św. Piotra. Kościół kościołów dominował nad Rzymem, jak Rzym katolicki nad światem. Nie spostrzegłem nic, prócz tej kopuły, na widnokręgu, to też koło niej skupiły się myśli i uczucia moje w tej podniosłej chwili.

W tym punkcie globu styka się naprawdę niebo z ziemią. Tu spoczywa Piotr, którego Chrystus uczynił opoką swego Kościoła, tu na Stolicy Piotrowej zasiada namiestnik Chrystusowy i następca Piotra św., stróż czystości wiary i obyczajów całego świata. Stąd padały od samego początku wojny słowa przestrogi i nawoływania do pokojowego załatwienia sporów; stąd odezwało się sumienie chrześcijańskie do królów i możnych tego świata, pozywając ich przed sąd wiekuistego Sędziego za rozlew krwi i pożogę; stąd szły prośby o złagodzenie strasznych nieszczęść wojennych, zachęty do miłosierdzia i sprawiedliwości wobec nieprzyjaciela; stąd płynęły hojne ofiary na rzecz najbardziej wojną nawiedzonych, tu skupiały się ruchliwe instytucje dobroczynne, działające na korzyść jeńców i inwalidów, skazańców i internowanych. I zdawało mi się, że dopełni się teraz w tym świętym przybytku nad grobem Piotra św. dzieło odrodzenia moralnego, dzieło miłości, uzdrawiające ludzkość po straszliwym tym upuszczeniu krwi i powszechnej gangrenie w organizmie społecznym.

Już w marcu 1918 r. zatwierdził Benedykt XV dekret św. Kongregacji Obrzędów, że śmiało można przystąpić do uroczystej kanonizacji błęgi. Małgorzaty Marji Alacoque, znanej powiernicy Boskiego Serca Jezusowego. Wykonanie jednak tego dekretu odłożył umyślnie aż do czasu po zawarciu pokoju, aby świat cały święcił w tym dniu triumf miłości nad nienawiścią, rzucając się do stóp Boskiego Serca i ślubując Mu odtąd wierność poddańczą, jako swemu królowi i panu wiekuistemu. Wprawdzie nie wszędzie dotąd wygasł pożar wojny, — na wschodzie świecą się jeszcze ogniste łuny, — ale nad zachodnią Europą zajaśniał już

pokój. Papież więc uznał chwilę obecną za stosowną, aby zwrócić uwagę wszystkich na Serce Jezusa, które Leon XIII nazwał arką zbawienia XX wieku. Obrął dzień 13 maja na uroczyste ogłoszenie świętą tej, której P. Jezus objawił tajemnice miłości Serca swego. W świetle nowego blasku, jakim zamierzał otoczyć uczennicę Boskiego Serca, miały społeczeństwu chrześcijańskiemu okazać się hojne obietnice Chrystusowe, jako jasne promienie nadziei na lepszą przyszłość. Jedyne przy Sercu Zbawiciela może chora na ciele i duszy ludzkość ozdrowieć. Nowe strumienie miłości muszą ożywić strupieszwały jej organizm i połączyć znów w jedno rozdarte nienawiścią członki. Zaprzeczenie zasad Chrystusowych w życiu społecznym i politycznym było ostateczną przyczyną krwawej wojny, to też lekarstwa szukać należy w nowym ukochaniu myśli i pragnień Jezusowych, w umiłowaniu wszystkiego, co tak żywo przemawia do nas w symbolu Serca Boga-Człowieka. Miłość, jaką Jezus ukochał Ojca Niebieskiego i dusze ludzkie, musi wykrzesać z serc twardych i skamieniałych wśród materializmu naszych czasów nowe iskry podwójnej miłości Boga i bliźnich i zgasić w nich samolubstwo w rozlicznych jego przejawach, tak w życiu prywatnym, jak i publicznym.

Oto w kilku rysach aktualne znaczenie kanonizacji Małgorzaty Marji Alacoque, z okazji której wezwano mnie do Rzymu na zjazd redaktorski »Posłańców Serca Jezusowego«. Nabożeństwo do Boskiego Serca święciło tu raczej własny triumf, albowiem Małgorzata żyła tylko dla chwały tegoż Najśw. Serca i dla spełnienia wielkiej misji, jaką otrzymała od Zbawiciela, mianowicie rozszerzenia czci i miłości Serca Jego wśród wiernych i zaprowadzenia w Kościele osobnego święta, w które składanoby Sercu Jezusa hołd czci i wynagrodzenia za zniewagi, wyrządzone mu zwłaszcza w Tajemnicy Przenajśw. Eucharystji. Kto był obecny przy tej wspaniałej uroczystości kanonizacyjnej, ten musiał doznać wrażenia, że Serce Jezusa naprawdę triumfuje nad narodami i nad światem całym.

Już około godziny 7 zrana bazylika św. Piotra zaczęła się wypełniać nieprzejrzanymi tłumami 60-tysięcznej rzeszy widzów. Od dwudziestego bowiem maja 1909 r. Rzym nie widział żadnej uroczystości kanonizacyjnej. Na placu św. Piotra roiło się od samochodów, powozów i licznie nadeżdżających grup duchowieństwa i wiernych. Wspaniała o olbrzymich rozmiarach chorągiew

zdobiła fasadę bazyliki, przedstawiając podobizny obydwóch nowych świętych w chwale niebieskiej. Wraz z św. Małgorzatą bowiem miał dostąpić czci ołtarzy także św. Gabrjel od Matki Boskiej Bolesnej, pasjonista. Wszedłszy do przedsionka bazyliki spostrzegłem nad główną bramą imponujący napis łaciński:

*Quisquis ingrederis-reverere-augustiozem humana maiestatem Cathedralae Apostolicae. Gemini christianae perfectionis heroes Gabriel a Virgine perdolente-Margarita Maria Alacoque Benedicti XV Pont. Max. rata divinitus auctoritate Sanctis Christo regnantibus accensentur*¹⁾.

Wnętrze bazyliki bogato udekorowane. Filary nawy głównej ozdobione czerwonymi adamaszkami, a z filarów, dźwigających kopułę, zwisają duże obrazy przedstawiające cuda, zdziałane przez nowych Świętych. O godzinie ósmej nawa zachodnia zajaśniała nagle blaskiem tysiącznych świateł elektrycznych, z których najbardziej uwydatniały się girlandy elektrycznych pajaków, zdobiące jej arkadę frontową. Wnętrze nawy zachodniej zabudowane było trybunami, na których zasiedli w bogatych uniformach dyplomatyczni przedstawiciele wszystkich państw przy Stolicy św. akredytowanych, krewni Ojca św., rycerze maltańscy w czerwonych swych strojach, biali rycerze św. Grobu, szlachta rzymska w poważnych czarnych ubiorach, wreszcie barwne szeregi różnych zakonów męskich i żeńskich. Wojsko papieskie czuwało nad porządkiem przy zajmowaniu miejsc, wyznaczonych poszczególnym uczestnikom uroczystości. Byli tam szwajcarzy w swych malowniczych strojach, w stalowych hełmach i pancerzach i z halabardami w rękach, rośli papiescy żandarmi, gwardja pałacowa z całym sztabem oficerskim, wreszcie elegancka gwardja szlachecka, która otaczała ołtarz papieski nad grobem św. Piotra.

Uroczysta procesja kanonizacyjna rozpoczęła się o godzinie ósmej punktualnie. Otworzyli ją przedstawiciele około 20 zakonów, oraz duchowieństwa z wszystkich kościołów rzymskich, kroczący poważnie ze świecami w rękach wśród podniosłego śpie-

¹⁾ Ktokolwiek wchodzi, złoży hołd nadludzkiemu majestatowi Stolicy Apostolskiej. Dwaj bohaterowie chrześcijańskiej doskonałości Gabrjel od Matki Bolesnej i Małgorzata Marja Alacoque powagą Benedykta XV papieża, udzieloną mu od Boga, zostają policzeni w poczet Świętych, panujących z Chrystusem.

wania hymnów i psalmów. Po nich szła w komplecie kongregacja św. Obrzędów wraz z promotorem Wiary św., t. zw. *advocatus diaboli*, który z urzędu musi w czasie procesu kanonizacyjnego podnosić rozmaite trudności i wątpliwości, aby wszystko należycie było wyświetlone, co się do życia i cnót nowych świętych odnosi. Po krótkiej przerwie ukazały się dwa olbrzymie sztandary, ozdobione wizerunkami nowych Świętych. Przed sztandarem św. Małgorzaty szło sześciu księży z świecami; nieśli go członkowie arcybractwa Najśw. Sakramentu, a czterech księży trzymało jedwabne wstęgi, spływające z poprzecznego drążka sztandaru. Olbrzymi obraz przedstawiał z jednej strony objawienie się Pana Jezusa Małgorzacie, a z drugiej uwielbienie Małgorzaty w niebie. Widok tego sztandaru, posuwającego się zwolna ponad głowami wielotysięcznej rzeszy, wpatrzonej w postać zakonniczy z Paray-le-Monial, zostanie mi wiecznie w żywej pamięci. Czuło się w duszy potężnie i naocznie, jak Bóg wywyższa pokornych, jak Kościół czci swych bohaterów. Stały mi żywo w pamięci słowa, jakie P. Jezus wyrzekł do Małgorzaty w odpowiedzi na jej wątpliwość, czy potrafi być narzędziem w rękach Opatrzności dla rozszerzenia kultu Boskiego Serca: »Zatriumfuję mimo wszystko nad nieprzyjaciółmi moimi!« Zaiste był to triumf nabożeństwa do Boskiego Serca, jak P. Jezus je objawił św. Małgorzacie. Uroczysty pochód tego sztandaru nad głowami wiernych w bazylice św. Piotra był dobitnym wyrazem panowania Serca Bożego nad Miastem i Światem. Że Ojciec św. sam upatrywał w kanonizacji Małgorzaty triumf królewski Serca Bożego, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wszak kazał osobną kaplicę w bazylice św. Piotra poświęcić na pamiątkę tej wzniosłej chwili przez umieszczenie w ołtarzu lewej nawy bocznej obrazu objawienia się Serca Jezusowego św. Małgorzacie Alacoque. Chciał w ten sposób intronizować obraz Boskiego Serca w bazylice św. Piotra i poświęcić ponownie Kościół św. Królowi miłości. Wiadomo, jak Benedykt XV dzieło Poświęcenia rodzin i narodów Boskiemu Sercu zaleca i rozszerza jako własne swe dzieło, przez co już zasłużył sobie w Rzymie na nazwę »papieża Boskiego Serca«.

Po krótkiej przerwie wniesiono do bazyliki sztandar św. Gabryela, pasjonisty, otoczony orszakiem jego braci zakonnych, wśród których powszechną uwagę obecnych zwróciła na siebie

przy boku generała zakonu czcigodna postać starszego brata Świętego, doktora Michała Possenti, poważnego starca o pięknej białej brodzie. Trudno opisać rozrzewnienie tłumów na widok tego starca, któremu przypadła w udziale wyjątkowa w historii łaska, że mógł uczestniczyć w kanonizacji swego rodzonego brata.

Teraz przed oczyma widzów zaczął się przesuwac dwór papieski, stanowiący drugą część orszaku kanonizacyjnego. Na przodzie kroczyli urzędnicy kurji papieskiej, a więc tajni szambelani, duchowni i świeccy, adwokaci konsystorjalni, członkowie najwyższych trybunałów papieskich, potem Msgr. Massimi, audytor Roty, któremu przy Mszy św. papieża przypada funkcja subdjakona w otoczeniu grecko-katolickiego djakona i subdjakona przy Mszy papieskiej, wreszcie penitencjarjusze bazyliki św. Piotra, przed którymi duchowni niesli ozdobione kwiatami pręty, będące symbolem ich duchownej władzy. W nieprzejrzanym szeregu wchodził teraz do bazyliki biskupi, z całego świata przybyli na tę uroczystość w pokaźnej liczbie około 300, ubrani w kapy złociste i mitry. Po nich przyszła kolej na kolegijum kardynałów, których naliczono około 45. Kardynałowie-djakoni wystąpili w dalmatykach, kardynałowie-kapłani w ornatach, nareszcie kardynałowie-biskupi w kapach, a bezpośrednio przed Ojcem św. djakon papieskiej Mszy pontyfikalnej, kardynał Gasquet, wraz z asystującymi papieżowi przy tronie kardynałami-djakonami, Bisletim i Legą.

Wtem srebrne fanfary dają z balkonu nad przedsionkiem bazyliki znak, że zbliża się Ojciec chrześcijaństwa. Drgnęły tłumy, poruszone do głębi na widok sedji niesionej przez szwajcarów, w otoczeniu dygnitarzy dodanych Ojcu św. *ad personam*, oraz prałatów i tajnych szambelanów, niosących za wspianym fotelem pokrytym czerwonym adamaszkiem, wachlarze olbrzymie ze strusich piór. Ojciec św. w drogocennej mitrze i kapie trzyma w lewej ręce zapaloną świecę, a prawą od czasu do czasu udziela błogosławieństwa wiernym, którzy chustkami powiewając witają wspólnego Ojca i zginają przed Jego majestatem kolana. Śpiewacy papiescy śpiewają hymn »Ave maris stella«. Za Ojcem św. postępuje asystent tronu papieskiego, książę Orsini i liczni dygnitarze dworu papieskiego, a w końcu Majordomus Mons. Tacci, protonotarjusze papiescy i generałowie zakonów. Pochód okrąża z prawej strony konfesję św. Piotra i skierowuje się do tronu,

ustawionego przed ołtarzem stolicy biskupiej św. Piotra. Spuszczono sedję, a Ojciec św. zajął miejsce na tronie, aby odebrać hołd od kardynałów, biskupów i prałatów.

Zbliżyła się chwila kanonizacji. Na stopniach tronu ukląkł adwokat konsystorjalny i w imieniu kard. Vico, prefekta Kongregacji Obrzędów, przedłożył Ojcu św. prośbę, aby policzył w poczet Świętych błog. Gabrjela pasjonistę i Małgorzatę Marję Alacoque. W odpowiedzi na to polecił Namiestnik Chrystusa wezwać pośrednictwa Świętych w tak ważnej sprawie, sam ukląkł, a śpiewacy zaintonowali litanje do Wszystkich Świętych. W bazylice budzi się w tej chwili nastrój powszechnej pobożności u ciekawie dotąd przypatrujących się barwnym scenom widzów. Na poszczególne wezwania litanji odpowiadają wielotysięczne rzesze wiernych potężnie rozlegającymi się w świątyni głosami: *Zmiłuj się nad nami — Módl się za nami — Wybaw nas Panie — Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie!* Ponownie zwraca się adwokat konsystorjalny do Ojca św. z prośbą o dokonanie aktu kanonizacyjnego *instante et instantius*. Sekretarz papieskich brewiów oświadcza, że papież chce jeszcze polecić sprawę Bogu w modlitwie i wezwać pomocy Ducha św. Po krótkiej cichej modlitwie papież wstaje i intonuje z książki, podanej mu przez patriarchę jerozolimskiego, hymn *Veni Creator Spiritus*. Po raz trzeci powtarza adwokat konsystorjalny prośbę o rychłą kanonizację, tym razem *instante, instantius et instantissime*. Sekretarz Breviów odpowiada, że Ojciec św. uczyni zadość ponownej prośbie. Chwila podniosła, w której Benedykt *ex cathedra* ma ogłosić chwałę Gabrjela i Małgorzaty, nadeszła. Wszyscy obecni kardynałowie, patriarchowie, arcybiskupi i biskupi, duchowni i świeccy wstali, a Ojciec św., siedząc na tronie, jako nauczyciel i głowa całego Kościoła, wyrzekł uroczyste: »Ku uwielbieniu świętej i nierozdzielnej Trójcy, ku podwyższeniu wiary katolickiej i wzrostowi religji chrześcijańskiej, oświadczamy i określamy powagą Pana Naszego Jezusa Chrystusa, św. Apostołów Piotra i Pawła i Naszą... że błogosławieni Gabrjel od Matki Boskiej Bolesnej i Małgorzata Marja Alacoque są Świętymi i wpisujemy ich w album Świętych, postanawiając, iż pamiątka ich ma być nabożnie obchodzona w całym Kościele corocznie dnia 27 kwietnia dla Gabrjela od Matki Boskiej Bolesnej, a dnia 17 października dla Małgorzaty Marji Alacoque — W imię Ojca i Syna i Ducha Św.«

Było sześć minut po wpół do jedenastej, gdy Ojciec św. wypowiedział te słowa. Adwokat konsystorjalny złożył papieżowi podziękę za dokonanie wzniesłego aktu, a zarazem przedstawił prośbę o wystosowanie pisma apostolskiego o dokonanej kanonizacji. Otrzymaawszy przychylną odpowiedź *Decernimus*, przekazał swą prośbę obecnym protonotarjuszom apostolskim, w imieniu których dziekan protonotarjuszów, Msgr. Wilpert, odrzekł *Conficiemus*, a potem zwracając się do dygnitarzy, otaczających tron papieski, dodał: *Vobis testibus!* Podniósł się teraz Benedykt XV i zaintonował *Te Deum*, które zabrzmiało w bazylice potężnym echem, odśpiewane kolejno przez śpiewaków kaplicy Sykstyńskiej i olbrzymi chór wszystkich w bazylice obecnych. Odezwały się też dzwony bazyliki św. Piotra, a na ich odgłos rozkołysały się tysiączne dzwony całego wiecznego miasta, zwiastując *Urbi et Orbi* chwałę nowych bohaterów świętości. Po skończonem *Te Deum* papież odśpiewał orację do nowych Świętych i udzielił na końcu potrójnego apostolskiego błogosławieństwa, połączonego z odpustem zupełnym dla obecnych.

Uwieńczyła całą uroczystość podniosła pontyfikalna Msza św. papieska, która rozpoczęła się zaraz po odśpiewaniu tercji. Przed offertorium trzej kardynałowie złożyli Ojcu św. symboliczne tradycyjne dary: trzy okazałe woskowe świece, dwie barylki wina, dwa małe chleby, jeden pozłożony, drugi posrebrzony, wreszcie dwoje synogarlic i klatkę z ptaszkami. Obrzędy święte doszły do najuroczystsze go momentu. Ucichły śpiewy w rozległej bazylice, nastała chwila przemienienia. Zamiast zwykłych dzwonek zagrały srebrne fanfary z kopuły św. Piotra, jakby dźwięki muzyki anielskiej. Ojciec św. obraca się przy podniesieniu ku czterem stronom świata i za każdym razem podnosi Przenajśw. Hostję i Kielich Krwi Przenajśw., wystawiając Je na adorację wiernych. Gwardja szlachecka, szwajcarska i pałacowa kłęk na jedno kolano i prezentuje broń. Komunię św. przyjął papież na tronie, do którego asystujący Ojcu św. kardynałowie przynieśli święte postacie.

Skończyły się ceremonie kanonizacyjne około godziny drugiej popołudniu. Mimo to tłumy, które przybyły do bazyliki już od godziny szóstej począwszy, wytrwały do końca. Wszyscy pragnęli przypatrzeć się jeszcze uroczystemu powrotowi papieża do Watykanu. Ustawiła się procesja, jak przy wejściu do bazyliki,

papież zasiadł na *sedia gestatoria*, ubrany w złocisty ornat i z tiarą na głowie. Nadzwyczajny majestat bił z twarzy Benedykta XV. Rysowały się na niej powaga Chrystusowego Namieśnika, złączona z ojcowską miłością, tudzież nadzieją, opromieniona radością duchową i pomieszana z uczuciami głębokiego bólu i smutku. Rzekłbyś wspomnienie cierpień, jakie tłoczą obecnie ludzkość zdziesiątkowaną nieszczęściami wojny, oraz widok posiewu niezgody, jęczącego rany ludów, stały mu przed oczyma jako złowroga wróżba na przyszłość po traktacie pokojowym. Zapewne serce Jego przepełnione było pragnieniami, które w 10 dni później miał ogłosić całemu światu w encyklice o pojednaniu narodów. Na końcu bowiem tej encykliki mówi otwarcie, że wielką wagę dla odrodzenia się świata w duchu miłości przywiązuje do kanonizacji trzech nowych Świętych, Gabryela od Matki Boskiej Bolesnej, Małgorzaty Marji i Joanny d'Arc.

Słusznie spodziewać się możemy, zwłaszcza po kanonizacji św. Małgorzaty Marji Alacoque, spełnienia się nadziei papieża. Nowy wzrost nabożeństwa do Serca Jezusowego pociągnie za sobą odnowienie się świata w miłości, której to Serce jest najwidoczniejszym symbolem i źródłem. Osobiste zbliżanie się do Zbawcy i upodabnianie myśli i uczuć do myśli i uczuć, które Jezus żywi w swem Sercu, musi utorować drogę do powszechnego panowania ewangelji miłości i pokoju w jednostkach i narodach. To też Benedykt XV powitał w rozpowszechnieniu się dzieła poświęcenia rodzin Boskiemu Sercu świt nowej ery, w której królewskie panowanie Chrystusa nad narodami i nad całym społeczeństwem ludzkim powszechnie będzie uznane. Tak wyraził się na konsystorzu dnia 8 stycznia 1919 r. z okazji odczytania dekretu o cudach zdziałanych za wstawiennictwem Małgorzaty Marji Alacoque, wypowiadając życzenie, aby ta era odrodzenia w Chrystusie zajaśniała jak najprędzej w całym swym blasku nad zgłiszczami światowej wojny. Albowiem, jak już dobitnie zaznaczył św. Paweł o Zbawicielu, »potrzeba, aby On królował« — *Opórtet illum regnare!*

Ks. Ernest Matzel.

O filozofji, jako lekarce dusz¹⁾.

Nie przed łatwym zadaniem staje ten, kto zwłaszcza wobec przedstawicieli zawodu spotykającego się codzień z ludzkimi cierpieniami, z jękami i z płaczem żałobnym, zamierza dowieść, że same odpowiednie kombinacje wyobrażeń i sądów, w stosowny sposób wywołanych, zdolne są przywracać zachwianą równowagę i pogodę ducha, wlewać nowe zapasy energii i otuchy, a przynajmniej łagodzić rozstrój.

Najpierw zapobieźmy nieporozumieniu. Grozi ono mianowicie stąd, iż wieloraki sens da się podłożyć pod te dwa z sobą połączone wyrazy: »leczenie dusz«. Sens pierwszy, który zapewne wysunie się przed innymi wobec bolączek powszechnie znanych i najdotkliwiej dolegających dziś społeczeństwu, jest ten: że »uleczyć czyjąś duszę« to znaczy poprawić charakter z wad etycznych takich, jak np. lenistwo, skłonność do wyzyskania przewagi nad bliźnim na jego szkodę, brak ofiarności i t. d. Dziś nie myślimy zajmować się tą sprawą trudną i skomplikowaną, w której muszą współdziałać najróżnorodniejsze czynniki, aby wynik pożądaný był pewny.

Również nie bierzemy tu »leczenia dusz« w drugiem jeszcze możliwym sensie, w sensie leczenia z nielogiczności. Tu znów, o ile niema przyczyn fizjologicznych (a pośrednio anatomicznych) chorobliwego zamętu wrażeń i innych stanów lub aktów psychicznych, których to przyczyny usuwać lub osłabiać jest za-

¹⁾ Odczyt, wygłoszony w Towarzystwie lekarskiem krakowskiem.

daniem psychiatrii — powołani są wszyscy uczeni, a głównie teoretycy zasad poznawania i nauczania do tego, by dając myślącemu ogółowi idee jasne, dokładne, wyraziste, powiązane z sobą przejrzyste i ściśle, żeby pociągnąć go swym przykładem a tem samem odwieść od dróg rozumowania błędnego, zdanego na łaskę popędów i uczuciom.

Wyłączmy także z dyskusji metody t. zw. kuracji duchowej (Mind cure), o których odkąd wyszedł polski przekład dzieła James'a »O różnaitości doświadczeń religijnych«, liczniejsze grona naszych czytelników mają sposobność poinformować się bardziej szczegółowo. Czynimy to zaś dlatego, że w owej »Mind cure«, tak bardzo rozpowszechnionej wśród trzeźwych na ogół Yankeesów, nie zależy wyłącznie na wywołaniu i ustaleniu pogodnego nastroju ducha, ale także, i to zazwyczaj głównie, na uzdrowieniu organizmu zapomocą takiego nastroju. Przez systematycznie ponawiane sugestje, przez pewność wszczepianą pacjentowi o prawdziwości poddanego mu sądu, iż jest on w najściślej szym kontakcie ze źródłem wszelkiego życia, usiłują owi lekarze duchowi spotęgować w nim odporność, znieczulić go na ból, wprowadzić w jak najzławszy i najprzestronniejszy ruch wszystkie funkcje samoregulacyjne jego cielesnego ustroju. A to już zupełnie wchodzi w zakres nauk biologicznych i lekarskich i wielu zapewne jeszcze potrzeba będzie doświadczeń z całą ścisłością wykonanych i uporządkowanych odpowiednio, zanim będzie się miało prawo zawyrokować stanowczo, do jakich granic sięga wpływ przekonań na wymianę materji, na krążenie soków, na odbudowę tkanek, na wytwarzanie przeciwtrutek i t. d. i jakiego rodzaju warunkom podlegają rozmiary tego wpływu, jego szybkość i trwałość. Dziś w każdym razie nie jest rzeczą pracowników filozofji przesądzać cośkolwiek o tych kwestjach.

Przeciwnie od samych niemal początków rozstrząsań filozoficznych zaprzętało myślących greckich pytanie, czy i jak świadomość ludzka może bronić się w sposób racjonalny przed rozkładowym działaniem cierpienia i wogóle zła, które odbiera jej ochotę do życia i paraliżuje jej energję. »Leczyć dusze« w tym sensie, jest to starać się przeciwwazyć pewnemi myślami wpływ przygnębiający, jaki na życie świadomości wywierają cierpienia osobiste i poczucie ujemnych stron własnej umysłowości i woli, obok tego zaś widok cudzych cierpień, braków duchowych i prze-

wrotności pod względem etycznym. Jest to niewątpliwie problem niezmiernej wagi, o doniosłości nie tylko indywidualno życiowej, ale i społecznej, gdy się pytamy, na podstawie jakich to rozważań i jakich to zjawisk wciągnięciem w rachubę może się duch ludzki otrząsać z pod owego przygnębiającego wpływu i odbudowywać w sobie pogodniejszy pogląd na rzeczywistość, a oczywiście razem z tem wypogodzeniem się, za wskrzeszeniem wiary w lepszą przyszłość, odzyskiwać zachwianą równowagę, spokój, energję, zapał do pracy. Gdy tak wielu doznajemy wrażeń, stawiających w świetle ujemnem — ze względu na szanse dopięcia najważniejszych celów życiowych — nie tylko układ zewnętrznych warunków naszej działalności, ale i nas samych jako działaczy, jakież obserwacje, jakie myśli zdolne są służyć człowiekowi za antidotum, jakichże to zjawisk i praw ujęcie ma w sobie dość mocy skutecznej, ażeby rozjaśnić czoła ludzi dobrej woli i utwierdzić w nich pewność, że ostatecznie suma dobra we wszechświecie przeważa, czy też przynajmniej z czasem przeważy nad sumą zła i że mimo wszystko warto wytrwale borykać się z przeciwnościami?

Otóż zdaje mi się, że żadna z nauk nie jest do tego powołana w tej mierze co filozofja. Albowiem ona jedna zwraca się swojemi przemyśliwaniami ku całości bytu. Ona jedna usiłuje nieustrudzenie, niezrażona niepowodzeniami, wytworzyć obraz świata pełny i zgodny w sobie. A ponieważ ten obraz musi być z natury rzeczy niezmiernie pojemny, ażeby mógł stać się przynajmniej w przybliżeniu pełnym obrazem całości, przeto chyba tylko w jego ramach olbrzymich cierpienia i zło wogóle dałyby się zredukować do rozmiarów skromniejszych w stosunku do reszty rzeczywistości. Rzeczywistością nazwijmy to wszystko, co jest albo bezpośrednio dane nam, jako nasz stan lub akt, albo też coś, co drogą poprawnego logicznie rozumowania tłómaczy nam ostatecznie i jednoznacznie treść naszych doświadczeń, nie polegającą na czysto indywidualnej hallucynacji, t. j. na prostej zmysłowej złudzie, ani też na pragnieniu lub nastroju uczuciowym. Jeżeli zgodzimy się na takie określenie, że filozofja jest ową formą refleksji ludzkiej, która objawia dążność do patrzenia na świat pod kątem widzenia jak najszerszym — a jednak zawsze krytycznym — najszerszym zarówno w czasie, jak w przestrzeni, to stanie nam się rzeczą zupełnie zrozumiałą, iż rozporządza ona

znaczłą ilością środków pokrzepienia na duchu tych wszystkich, w których bądź to ugodził jakiś srogi cios osobisty, np. nieuleczalna choroba, kalectwo, utrata drogich osób i t. d., bądź też, których przejmuje zniechęceniem do życia widok panoszącego się uporczywie moralnego zła.

Od wieków pasuje się duch ludzki z okrutną zagadką: do czego są przydatne cierpienia, choroby, zgony przedwczesne, a zwłaszcza krzywdy, wyrządzane przez jednych ludzi drugim. Czy nie jest to wszystko objawem ślepego bezrozumnego mechanizmu, rządzącego światem wszechmocnie? Przeciwnie uprawianiu wszakże do takiej rozpaczliwej odpowiedzi podnosi już zarzuty poważna część nowoczesnych biologów, licząca się ze zjawiskami odporności i regeneracji w organizmach. Dawno już zresztą zwrócono uwagę na to, że ból jest przestrogą pożyteczną dla istot zdolnych do odczucia go, że jest alarmem sygnalizującym niebezpieczeństwo, że pobudza rozwój inteligencji, wymuszając na niej obmyślenia zaradcze i na to także, iż współzawodnictwo walczących z sobą gatunków i jednostek jednego gatunku przyczynia się do wzmocnienia ich energii i sprytu, do rozwinięcia i utrwalenia pamięci.

Oczywiście takie próby obrony celowości cierpień fizycznych i upiększenia brutalności, popełnianych w walkach ekonomicznych i politycznych między ludźmi, nie mogą wystarczyć. Bo stąd, że w mnóstwie wypadków ból jest ostrzeżeniem zbawczem dla zwierzęcia i dla człowieka, nie wynika wcale, żeby liczba tych wypadków była faktycznie większą od olbrzymiej ilości cierpień, łączących się z zagładą organizmów szybszą czy też powolniejszą. A stopień cierpień drugiej kategorii jest, naogół wzięwszy, niewątpliwie wyższy, aniżeli cierpień kategorii pierwszej. Przyznawać zaś pożyteczność pewnych form współzawodnictwa nie znaczy bynajmniej być zniewolonym przez ścisłą konsekwencję do twierdzenia, że więcej korzyści aniżeli szkody przynosi ogólnemu rozwojowi życia walka współzawodników tak bezwzględna, iż sprowadza albo zniszczenie jednej strony i z reguły nie bez pewnego uszczuplenia sił drugiej, albo znaczne wzajemne osłabienie się obu stron. Niezbędne dla metody indukcyjnej założenie jakiejś stałości związków między tem, co poprzedza, a tem, co następuje w przyrodzie, czyli jej praw fizycznych, chemicznych i t. d., może co najwyżej objaśnić nam, dlaczego nie mogło być cierpień

ostrzegawczych bez cierpień towarzyszących zniszczeniu, ani też nie mogło być współzawodnictwa doskonalącego sprawność i siły zapaśników, bez starć między nimi, kończących się częstokroć fatalnie dla jednej ze stron lub dla obu. Wszystkie te jednak rozważania nie przekonają jeszcze chorej, pesymistycznej duszy, nie dowiodą jej, że świat jest lepszy i piękniejszy z cierpieniami i z walkami morderczymi, aniżeli mógłby być bez nich. Pesymista odpowie prosto, że widocznie życie jest mało co warte, skoro nie jest możliwe bez cierpień i bez wzajemnego szkodzenia sobie przez osobniki żyjące.

Na szczęście inna, prostsza i pewniejsza droga otwiera się tym, którzy chcą leczyć dusze ze zgorzkniałości i apatii, a nie widzą na to innego sposobu, jak zbudowanie pogodniejszego poglądu na świat, opartego nie na dyalektyce wyłącznie lub przeważnie, ale na doświadczeniach dających się sprawdzić przez każdego. Taką drogę utorował w ostatnich 25 latach neowitalizm, nawiązujący w osobie swego wybitnego przedstawiciela Hansa Driescha do pojęcia entelechji u Arystotelesa, które wyraża stały, niemechaniczny czynnik procesów życiowych. Z okazałej liczby zjawisk, wywołanych po większej części sztucznie, t. j. za pomocą eksperymentu, wysnuwa ten kierunek tezę swoją naczelną, że życie nie jest czystą maszyną, czyli sumą wydarzeń odbywających się ściśle wedle praw mechaniki, jakie rządzą zjawiskami fizycznymi i chemicznymi. Dowodzi Driesch, że gdyby sposób funkcjonowania i rozwijania się organizmu był czysto mechaniczny, taki jak bardzo skomplikowanego automatu, toby w każdym razie nie były możliwe takie zjawiska, jak np. po wivisekcjach »Clavelliny« (z rodzaju Osłonnice-Tunicata), której części byle nie za drobne, ale z dowolnych miejsc ustroju i w dowolnych kierunkach wycięte, wykształcają się w zupełny organizm, straciwszy poprzednio różniczkujące cechy, jakie posiadały, będąc poprzednio poszczególnymi organami. Np. ta część, która była tylko narządem oskrzelowym pierwotnego organizmu, wykształca się w organizm całkowity. Driesch rozumuje tak: wykracza to zupełnie poza nasze naukowe pojęcie maszyny, ażeby, jakkolwiekby się ją rozbiło, każdy z jej odłamów — o ile tylko reprezentuje pewną minimalną ilość substancji żywej — mógł dojść po pewnym czasie do spełniania takich samych funkcji, co całość i przybrać takie same kształty, jak ona. Jeżeli się uwzględ-

dni, że przy wszystkich — a tak mnogich — zjawiskach regeneracji i odporności występuje ten sam w gruncie fakt, iż za część utraconą, uszkodzoną lub osłabioną w swoich funkcjach, inne części obejmują jej zadania wobec całości, a nawet niekiedy wytwarzają ją zupełnie napowrót, musi się przedstawić uzasadnieniem twierdzenie neowitalizmu, że stosunek między częściami ciała żywego, a jeszcze bardziej między częściami a jego całością jest radykalnie inny, niż stosunki części do części i do całości w ciałach, w których nie zdołano dotąd stwierdzić ogółu specyficznych zjawisk życiowych. Tam, t. j. w świecie organicznym, raczej całość swoim typowym układem wpływa na losy części, na ich rozmieszczenie, na sposób użycia i rozwinięcia się, — tu odwrotnie dopiero ruchy części składają się na zmiany całości, o ile wogóle można mówić o jakichś całościach ze względu na stan skupienia, na stopień wytrzymałości i twardości, a zwłaszcza ze względu na stałość budowy atomowej większej części pierwiastków chemicznych.

Trzeba sobie tylko dość żywo uprzytomnić, jaki ostry wyłom robią w ściśle mechanistycznym obrazie świata wszystkie objawy kształtowań się i różniczkowań, idących od całości jestestwa obdarzonego życiem, płynących z jego wewnętrznego typowego układu, jakkolwiek są też zależne od konfiguracji warunków fizycznych i chemicznych niezbędnych dla procesu życiowego. Pomimo wspomnianej tu zależności całość żywego ustroju utrzymuje się i rozwija pod innemi względami jednakowo i bez różnicy: czy z tej czy z owej strony w przestrzeni wystąpił bodziec korzystny dla jej rozwoju życiowego, czy udało jej się przyswoić cząstki materji tak czy inaczej położone, byle one tylko miały określone własności, potrzebne dla organizmu. Reakcja osobnika organicznego na podniety zewnętrzne przystosowuje się coraz bardziej do znaczenia, jakie te podniety mają dla dążeń życiowych, t. j. w miarę tego, jak sprzyjają, dopomagają ich ziszczeniu lub naodwrot utrudniają to ziszczenie, czy też udaremniają je.

Nie zdaje się być rzeczą możliwą wytłómaczyć tę postępującą autonomizację konkretnych zachowań się ustroju samem magazynowaniem się wpływów przeszłości, śladami przez nią wyciśniętymi na jego tkankach i ich składnikach chemicznych. Przypuściwszy bowiem, że chwiejny stan równowagi, ustawiczne z po-

śród niego wymiany materji, pozwalają na utrwalanie się takich wpływów, musielibyśmy zawsze wyobrazić sobie jakiś początek dla owego zwrotu w sposobie rozchodzenia się energii fizycznej, jaki następuje, kiedy ta energia natrafia na coś, co już nie jest jej biernym przewodnikiem lub akumulatorem, ale co zaczyna już zużytkowywać ją dla swojej tendencji do utrzymania lub rozwinienia własnej struktury morfologicznej. A gdy ponadto widzimy — na tle ciągłego przypływu świeżych a odpływu nieużytecznych już cząstek i połączeń materji — że czynnik stały, objawiający się w uporczywych tendencjach całości, obraca skutecznie na ich spełnienie różne części tej całości, dające się zastąpić wzajemnie i zrekompensować wraze strat lub uszkodzeń, to wtedy wątek wywodów neowitalistycznych zyskuje bardzo na przejrzystości i mocy przekonywającej.

Imbardziej zaś zbliżonem do prawdy przedstawia się stanowisko neowitalizmu, tem więcej zyskuje filozofja środków do leczenia dusz ze zwątpień o wartości życia i egzystencji wogóle. Bo jeżeli konfiguracje całokształtów jestestw żywych, stosunkowo bardzo trwałe, mają większy wpływ na ich losy, aniżeli chaotyczne i zmienne ruchy międzycząsteczkowe, popychania i ciągnięcia jednych elementów przez inne — w takim razie maleje także wiarogodność poglądu, jakoby w szerszych układach rzeczywistości panował prosty traf, czyste zbiegi okoliczności przez nikogo nieprzewidzianych i nieprzygotowanych i żeby o ukształtowaniu się tej rzeczywistości rozstrzygało przedwieczne ściśle maszynowe sprzężenie, a tylko jego nieuniknione skutki dawały się przewidzieć przez inteligencję doskonałą, fikcyjną zresztą w ramach takiego poglądu.

Skoro bowiem już jestestwo, stojące na szczyblu organizacji stosunkowo bardzo niskim, okazuje się całością zdolną do kompensowania wielu swoich strat i szkód i do walczenia skutecznie do pewnych granic z warunkami zewnętrznymi, grozącymi mu rozkładem zupełnym, nie można przypuszczać poważnie, iżby gorzem pod wielu względami było położenie osobników i zbiorów takich jak ludzie i ich społeczeństwa, rozporządzających z pełną świadomością dostępnego im rozumnego wyboru środkami, które są, rzec można bez mała, nieskończenie liczniejsze od tamtych, różnorodniejsze, bardziej skombinowane i ustawicznie się wydoskonalają wciąż z postępami wiedzy, techniki i form współżycia.

Przyznajmy tu, co prawda, że zbawienność form współzycia i techniki zależy od każdorazowego poziomu etycznego, który nie zawsze dotrzymuje równego kroku z rozwojem umysłowym i gospodarczym. Ale i on sam niewątpliwie podnosi się lub opada stosownie do tego, czy człowiek czuje się odpowiedzialnym współsprawcą swoich losów czy też uważa siebie za bierne kółko automatu wszechświatowego. Otóż ten pogląd o powszechnym automatyzmie i połączony z nim pesymizm życiowy, a przynajmniej opór przeciw przyznaniu, że ostatecznie władnie wszystkim jakiś rozumny i sprawiedliwy porządek, pochodzą, zdaniem naszym, ze zbyt ciasnych kątów widzenia tak pod względem obejmowanego czasu, jak pod względem mianej na uwadze przestrzennej rozciągłości kompleksów zjawiskowych. A także i stąd, że się uzależnia oceny wyłącznie lub głównie od ilości ocenianych zjawisk, a nie od ich jakości.

Postarajmy się objaśnić nieco bliżej i uzasadnić te twierdzenia. Nierozsądnym i niesłusznym postępkem byłoby domagać się od jakiejś ofiary dotkliwych cierpień, zwłaszcza fizycznych, aby pocieszała się myślą, że w ogromnym świecie, który ją otacza, jest nieprzebrana moc jestestw w tej chwili zdrowych, niczem niedotkniętych, radujących się życiem, albo jeszcze w dodatku — bo próbowano już i takich sposobów pocieszania — że jest także wiele istot nieszczęśliwszych od potrzebującego pokrzepienia na duchu. To są raczej sposoby na powiększenie cierpień, gdyż taka taktyka niezręczna, nie licząca się ze zwyczajnem zwróceniem widnokregu uwagi, sprawianem przez ból silny — nie mamy tu na myśli dobrowolnych męczenników idei — osiąga skutek wręcz przeciwny: niecierpliwi, rozdrażnia, nawet oburza. Jednakże na szczęście każdy prawie ból ma fazy, w których łagodnieje i z nich to może i powinien korzystać przemyślny lekarz dusz. W jego to jest mocy poddać, obudzić, utrwalić — celem uodpornienia na dalsze przykrości — ściśle związki takich wyobrażeń, których przedmiotem jest wielkie mnóstwo dobrych i pięknych rzeczy przynoszonych w wielowiekowym postępie kultury ducha przez prawdziwą twórczość, przez jej promieniowanie, przez bogacenie się szczerych jej miłośników jej owocami, przez każdą wogóle dodatnią działalność. Już samo odwrócenie uwagi ku jaśniejszym stronom egzystencji ludzkiej jest ważkim atutem w ręku tego, kto usiłuje pokonać stan przygnębienia, podsycanego pamię-

cią nieszczęść własnych i widokiem cudzych. Trzeba tylko umieć zdać jasno sprawę sobie i innym z tego, jak nieporównalnie wielką wartością w stosunku do gorzkich przeżyć osobistych jest każdy cenny utwór artystyczny, każde wykrycie prawdy nowej, choćby na pozór skromnej, ale mogącej być doniosłą w swoich konsekwencjach, każde rozszerzenie widnokregu duchowego w jakimkolwiek umyśle, dojrzałym czy też dziecięcym lub dotąd niewyrobionym — a przede wszystkim każdy czyn bohaterski. Do ważniejszych jeszcze wyników prowadzą refleksje, którym doświadczenia naszych czasów dostarczają podstaw szerokich i silnych. Zawarte w nich punkty wyjścia nie są całkiem nowe, gdyż już od wieków karmił się nimi optymizm. Silnie one zawsze przemawiały do uczuć i do wyobraźni. Miewały głównie charakter estetyczny, wywierały urok przede wszystkim na usposobienia skłonne do poezji marzycielskiej — ale rozum tylko niekiedy interesował się nimi żywiej, gdy mianowicie zauważył niespodziane zbieżności, ziszczanie się dziejowej nemezis wbrew wszystkiemu czego po ludzku sądząc należało oczekiwać, sprawdzenia przepowiedni sięgających bardzo daleko naprzód. Jednak może w ciągu tysięcy lat nie przeżywała ludzkość i jej narody poszczególne doświadczeń, któreby tak natarczywie, jak doba dzisiejsza, kołatały o uznanie za prawdziwe pomysłów historjoficznych, zdolnych przejednać z cierpieniami już przebytymi i z jeszcze przebywanymi.

Jak dawniej już było wiadomem, że twórczość niejednego wybitnego artysty i myśliciela była najbujniej użyźniona przez twarde koleje życia, z którymi się musiała borykać, tak dziś widzimy, iż katusze całych pokoleń, ich uciski i krzywdy, zrywania się do walk z prześladowcami wśród warunków beznadziejnych, mogące zatem całkiem poprawnie uchodzić w świetle trzeźwego rozsądku za bezcelowe lub chybione, że przecież wszystkie one nie były nieużyteczne, że z gleby niemi uprawionej wyrasta wolność wielkiego narodu i wszystkich jemu bratnich. Bez tych udręczeń i upokorzeń, jakie Polska przeszła, nie byłby tak potężnym jej rozmach dzisiejszy ku utwierdzeniu swobody własnej i ku wyswobodzaniu innych ludów. A przytem jeszcze los onych potęg, które zdawały się raz na zawsze ją przygniatać, a które się wzajemnie osłabiły, ostatecznie zaś się starły przez stosowanie względem innych państw i w swoim wnętrzu tych samych zasad i metod postępowania, jakimi Polsce dały się we znaki.

Gdy dziś oglądamy wypadki w rozleglejszej perspektywie, obejmującej nie dziesiątki lat ale setki, przekonujemy się ku niezmiernej radości każdego, w kim nie zamarło poczucie sprawiedliwości, że najbardziej krzyczące w dziejach gwałty i oszukaństwa odnoszą zasłużoną okropną karę, że wielkie cierpienia ludów są po części ekspiacjami za winy popełnione, sposobami oczyszczenia z wad narodowych, zaś w przeważnej niekiedy części są środkami wychowawczemi do przyszłych wielkich zadań dziejowych, że stają się zasiewem pod pokolenia przyszłych bohaterów i genjuszów. Spełniają w organizmie całej ludzkości podobną funkcję celową, jaką w żywym osobniku uskutecznia jego fizyczny ból i trud. Regeneracja, która w świecie zjawisk biologicznych użyczyła tak silnych i mnogich podstaw dla przypuszczenia autonomji życia przez witalistów, zjawia się w nowej szacie na widowni zjawisk społeczno-duchowych. Ukazuje nam rekompensaty strat i krzywd doznanych, wytwarzanie się funkcyj zastępczych, obejmowanych przez inne organy lub inne części organów tej samej całości dla zachowania i spotęgowania jej rozwoju, dokonywane się ze zdumiewającą planowością. To wszystko musi utwierdzać w przekonaniu, że całość wszechbytu nie jest mechanizmem któryby się sprzął tak ni stąd ni zowąd dzięki niepojętemu trafowi, dzięki czystemu zbiegowi konstelacji warunków korzystnych dla rozwoju duchowego, dobranych z pośród miliardów i biljonów możliwych innych mniej korzystnych ewentualności.

Jeżeli filozofja może leczyć dusze ze szkodliwego pesymizmu zapatrywań na życie i wogóle na świat, a jeżeli zarazem — na co się zapewne zgodzimy, — powinna dbać o to, by jej wychowankowie nie popadli w drugą niemniej szkodliwą ostateczność, w optymizm bierny, w owo okrzyczane »jakoś to będzie«, w takim razie musi się ona wystrzegać bardzo rozpowszechnionego błędu, jakim jest ocenianie wartości ludzkich przeżyć, czynów, dzieł na podstawie ilościowej jedynie albo przeważnie. Wprawdzie akt porównywania zdaje się mieścić w każdej ocenie wartości, a porównując jedną wartość z drugą, śledzimy, czy jest ona równa tej drugiej, większa od niej, czy też mniejsza i w tem już kryje się stosowanie kategorii ilości. Naprzykład, jeżeli oceniamy czyjś postępek lub charakter dodatnio, znaczy to, że cenimy odnośną osobę z powodu jej postępków lub charakteru więcej, aniżeli byśmy cenili, gdyby nie była spełniła tego postępków,

albo gdyby nie miała tego charakteru, a przeciwnie gdy ocena wypada ujemnie, cenimy ją mniej, niż bylibyśmy cenili, gdyby się nie było ziściło to, co jest przedmiotem oceny. Do sądu o stopniu, a więc znowu o ilości intensywnej, czyli o nateżeniu zdobytej przez kogoś równowagi duchowej dochodzimy na podstawie tego, co wiemy o wielości i sile wzruszeń danej osoby, która nad niemi potrafiła zapanować. Większej bowiem bezsprzecznie sztuki dokazał ten, którego wzruszenia, radości i przykrości były bardzo silne i mnogie, bardzo różnorodne i rozbieżne, aniżeli ten, kto odczuwał mniej i słabiej i w ciśniejszej sferze zainteresowań. Jednakże w końcu dostrzegamy, że wartość osiągniętej równowagi duchowej, jej owoce w działalności osobnika, w jego zadowoleniu z egzystencji opartem na poczuciu spełnianych w miarę możliwości zadań życiowych, nie zależą od ilości i od stopnia nateżenia ovladniętych wzruszeń, ale od tego, jakie zasady obrał za przewodnie dla siebie. Pytamy, czy te zasady są między sobą zgodne i czy są trafne, t. j. czy odpowiadają rzeczywistym warunkom duchowego rozwoju i współżycia pociągającego za sobą pomyślnie następstwa zarówno dla ogółu jak dla jednostki. Probierze czysto ilościowe odmawiają tutaj posług. Owe zasady są albo trafne albo niemi nie są. Same przybliżenia nie mogą wystarczyć dla odpowiedzi, np. czy jakiś zamiar jest etycznie godziwy czy niegodziwy, tak jak przeciwnie musi na nich poprzestać przyrodnik, kiedy może tylko oznaczyć granice, w obrębie których wahają się błędy jego obliczeń, a nawet obserwacyj. Co więcej i zastosowanie zasad pierwszych i powszechnych, które dopiero umożliwia wydobycie z nich poszukiwanych konkluzyj, jest albo poprawne, ściśle, albo niem nie jest, bo, aby pierwsza z tych dwu alternatyw zachodziła, musi one też płynąć z pewnych zasad naczelných, nie odstępować od nich na jotę.

Jakość pobudek, ich treść różna stosownie do tego, czy mają na względzie tylko interes osobniczy lub grupowy, czy też powszechny, ogólnoludzki, ideowy, rozstrzyga o rodzaju równowagi duchowej, osiągalnej działaniem tych pobudek. Pobudki bowiem o treści zbudowanej także z odniesień czysto przedmiotowych, wyzwolonej też o tyle z indywidualnych okoliczności miejsca i czasu, wśród których osobnik działa, wytwarzają równowagę ducha lepiej zabezpieczoną od nieobliczalnych zbiegów, od

przypadkowych, przejściowych powodzeń i porażek. Wszak już codzienne, najprostsze doświadczenia życiowe pouczają nas, że z reguły zwycięża postępowanie bardziej planowe. To znaczy takie, które troskliwiej i dokładniej bierze w rachubę możliwy komplet czynników składających się na rezultat ze skutkiem dostrzegalnym i wymiernym, i które dostosowuje się w swoich szczegółach proporcjonalnie do sposobu, w jaki owe czynniki wywierają swój wpływ, do ich większej i mniejszej ważkości na szali wydarzeń. A tak wyczucie trafne sytuacji, wymagającej odpowiedniej wobec niej postawy, musi rozpościerać się jakoby na szerszej platformie zetknięć z rzeczywistością, musi jednocześnie baczyć na rozmaite jej strony, mieć na oku ich zespół i nie powodować się zaraz tym szczegółem, który w pierwszej chwili pobudza najsilniej i sprawia pozór przemagającego nad innymi.

Nasunąć się tu mogą rozmaite zarzuty. I tak po pierwsze, że tylko niektórym wybranym naturom dostaje się w udziale owo szczęśliwe »wyczucie« harmonii potęg kształtujących rzeczywistość, podczas gdy ogromna większość innych idzie bez namysłu za motywem, który w danej chwili zagłuszył inne. Dalej, że jak są urodzeni optymiści, którym nie potrzeba żadnej filozofii pocieszającej, bo zachowują wesołość nawet zostawszy kalekami, tak znów, niema sposobu przekonania pesymistów, którzy właściwy im ponury nastrój przynieśli z sobą na świat, albo w których on się rozwinął w związku z jakąś chorobą. Lekarz, który usunie tę chorobę, zdziała w takich wypadkach więcej, niż najzarliwszy i najwymowniejszy krzewiciel antymechanistycznego poglądu na świat.

Przeciw pierwszemu zarzutowi da się zauważyć, że jakkolwiek istotnie tylko niewielu dochodzi pełną rozważą przy wyrobieniu delikatniejszym poczuciu etycznym i estetycznym do zdobycia odrębnej władzy nad sobą dobrze ubezpieczonej i dobrze używanej, to jednak my, znając tylko mało, z luźnych i niedostatecznie sprawdzalnych skutków dziedziny oddziaływań podświadomych, nie mamy prawa twierdzić, że mnóstwo innych ludzi nie ulega wpływowi bezwiednemu dla nich a dobroczynnie kojącemu czy to zobaczonego przykładu, czy pięknej i rozumnej zasłyszanej maksymy; mimo że wówczas przeszli byli obok tych spraw obojętnie, one jednak wbiły im się w pamięć i w chwili ich życia krytycznej odżyły jako bodźce dla decyzji acz bardzo

mało uświadomione. Człowiek, który w wieku późniejszym utracił zupełnie wiarę religijną, działa, jak to stwierdzono wielokrotnie, często bezwiednie pod wpływem wspomnień religijnych wieku dziecięcego. Analogiczne objawy rozciągają się bardzo daleko poza tę specjalną sferę podmiot uczuciowych. Co do drugiego zaś możliwego zarzutu — to między urodzonymi optymistami a między również urodzonymi albo fizycznie chorymi pesymistami istnieje niewątpliwie nader rozległa strefa pośrednia. Jest ona złożona z osób, którym można obrzydzić ich własne myślenie, wolę, ich zachwyty dla dzieł pięknych i dobrych, gdy się w nich wmówi, że są wraz ze wszystkimi swojemi myślami, zachceniami, upodobaniami koniecznym produktem czynników od nich zgoła niezależnych, a w niczem od nich nie doskonalszych, t. j. ani rozumniejszych, ani etycznie lepszych od nich, ani nawet jednolitszych pod względem wytwarzania czegokolwiek, bo się tylko tak dziwnym trafem zbiegły, żeby się razem złożyć na istotę, która właśnie tak rozumuje, postanawia, czemś się cieszy lub smuci. A ten sam wielki zbiór niezdeklarowanych z góry na żadną ze stron, czyli ogół ludzi, nie patrzących odrazu pod wpływem swojej konstytucji cielesnej ani czarno, ani różowo na wszystko, da się zahartować, zapalić do czynu, do nateżeń umysłowo twórczych, gdy się uda w nim wywołać przekonanie, że do etycznego czynu, do twórczych a prawdziwych pomysłów wiedzie go wyższy rozumny porządek, z którym on może współdziałać samoistnie, ale mógłby także i nie poddać się mu, wykroczyć przeciw jego zasadom.

W którąkolwiek stronę rzucimy okiem, czy na przyrodę żywą z jej objawami odradzań się i odporności, czy na dziedzinę kulturalnego i społecznego rozwoju człowieka, czy chociażby na poważne już dziś podstawy dla fizykalno-chemicznych domysłów o nader skomplikowanej i sztucznej budowie atomów z ugrupowaniami perjodycznemi pierwiastków wedle znanej formuły Mendelejewa, skłania nas to wszystko ku jednemu zgodnemu wynikowi, który ma w sobie warunki po temu, ażeby wlewać energję i otuchę w osoby zgorzkniałe na widok cierpień i zła dziejącego się w ludzkim współżyciu. Wbrew wszelkim zgrozom i podłościom, przez które ludzkość przechodziła i jeszcze przechodzi, mnożą się ustawicznie przesłanki dla poglądu na całość istnienia, poglądu, który w tej całości odnajduje wyraźne ślady

sprawiedliwych rządów Rozumu, co prawda zapewne jeszcze na długie wieki niedoścignęło w wielu szczegółach swojego planu ludzkiemu umysłowi.

Przypuściwszy bodaj tylko podmiotowy ideał takich rządów, jużby się musiało jemu przyznać wielce dobroczynną i zbawczą siłę przez to samo, że człowiek przyjęciem racjonalności w układzie wszechświata i przestrzeganiem jej we własnych zaciągach przydaje woli swojej motywów do wytrwałego, owocnego zmagania się z zaporami, opóźniającemi jego postęp duchowy, indywidualny i społeczny, a wszczepianiem coraz większej dozy przedmiotowości i racjonalnego pierwiastka w swoją działalność wywalcza też wzrost szans pomyślnych dla swoich usiłowań. To zaś oznacza ludziom czynnym z dobrą wiarą i wolą znakomicie polepszoną perspektywę ostatecznego triumfu radości nad cierpieniami i dobra nad złem.

Prof. W. Rubczyński.

Przymus pracy w dawnym prawie i praktyce wiejskiej.

Stosunki wiejskie w trzech ostatnich stuleciach niepodległego bytu Rzeczypospolitej cechowała wyjątkowo wielka, bo absolutna władza pana nad włościanami, władza tak szeroko pojęta, że nawet życie i śmierć poddanego obejmowała. O tak wielkich uprawnieniach panów względem poddanych mówią teoretycy dawnego prawa państwowego Polski, a nie inne wiadomości pozo-
stawiała i praktyka dawnego sądownictwa wiejskiego. Tak bowiem Skrzetuski, mówiąc o ludności wiejskiej, wspomina, że »z dawności życia i śmierci ich panami byli dziedzice«¹⁾, a sądy klucza suskiego, lub sądy miejskie myślenickie niejednokrotnie nadmieniają o darowaniu życia poddanemu przez pana. Przecież to wójta krzeszowskiego Piotra Karwata, który »nosił nocnym sposobem ze spichlerza pszenicę, owies, siemię lniane, sól, gwoździe gotowe«, ówczesna posiadaczka włości suskiej darowała życiem, bo nie była »pragnąca krwi« poddańczej²⁾, a we wsi Olszówce Stanisława Mroźka, karbowego dworskiego, który również dopuścił się sprzeniewierzenia na szkodę dworu, ówczesny starosta mszański »darował go zdrowiem«, mimo że za to »złodziejstwo zasłużył był

¹⁾ W. Skrzetuski. Prawo polityczne narodu polskiego II, 149.

²⁾ Rkp. Bibl. hr. Branickich w Suchoj 18, str. 164. Darowanie życia w tym wypadku jest tem znamiennejsze, że sąd wójtowski złożony z ławników chłopów, a orzekający według prawa niemieckiego, wydał orzeczenie, »aby jako złodziej był gardłem karany, gdyż zasłużył«.

szubienicę¹⁾. Nie inną praktykę zastosowano i do Jana Mędralcza, co do którego stwierdzono, że za występki cudzołóstwa »powinien być mieczem karany... jako prawo pisze«, a w rzeczywistości zasądzono go w drodze łaski pańskiej na przymusowe roboty i na odcierpienie kary cielesnej²⁾.

Ta wielka władza dworu nad chatą wiejską była wypływem polityki szlacheckiej, zmierzającej drogą coraz dalej idących ograniczeń swobody włościańskiej do przywiązania prawnymi kajdanami chłopu do gruntu. Zależało szlachcie na tem, aby chłop bez jej zezwolenia nie mógł opuścić wioski rodzinnej, szukając poprawy losu w obcych stronach, aby wszelkie rezultaty gospodarki włościańskiej w swem ręku zmonopolizować, nie dopuszczając »ogranicznych« konkurentów do targu wiejskiego, nie pozwalając swym poddanym na stosunki handlowe z sąsiednimi wprawdzie, ale należącymi do innego pana włościanami. Stąd to wprowadzono w zasady prawa Rzeczypospolitej znane postanowienie z r. 1496: »statuimus quod tantummodo unus filius de villa a patre recedere possit ad servitia et praesertim ad studia, aut literarum aut artificiorum«, a i to tylko wtedy, gdy w rodzinie włościańskiej jest większa ilość synów³⁾. Taką przyczyną utrzymania w wiosce sprowadziła proklamowanie na gruncie wiejskim zasady, że w obrębie wsi najwyższem źródłem władzy sądowej jest pan, że do niego należy pełnia władzy prawodawczej i administracyjnej. On to bowiem ma prawo wydawania ogólnie obowiązujących postanowień z dziedziny prawa karnego i cywilnego, w jego imieniu wykonuje się sądownictwo wyższe i niższe i on to w zasadzie sam lub przez swe organa pilnuje wykonania orzeczeń i stara się o utrzymanie porządku na terytorjum wiejskiem. Co więcej — nawet o wykonanie przez poddanych obowiązków religijnych troszczy się ten miniaturowy władca wiejski, polecając żyć w bojaźni Bożej i uczęszczać do kościoła. Że rzeczywistość i ten kierunek życia poddańczego był uwzględniony w prawodawstwie wiejskiem, to stwierdza ustawa dla klucza strzeszyckiego,

¹⁾ Rkp. Bibl. Jag. 909 fol. 85.

²⁾ Rkp. Bibl. hr. Bran. 18 II 90—91. Postanowiono bowiem, że »ma w kajdanach przez niedziel dwie robicz i sto plag, a jeżeliby pokazało się, żeby kiedy było podobieństwo, że z Stachowiakową gadać będzie, albo tam przebywacz, tedy ma być katu dany w ręce«.

³⁾ Przyłuski, Leges seu statuta, 1566 str. 340.

z której pierwszy punkt takie ma brzmienie: »aby w całym poddanstwie bojaźń Boska kwitnęła, żeby wszyscy, po chrześcijańsku żyjąc przykazania Boskie pełnili, święta w niedziele zwykłym nabożeństwem czcili, do kościoła swego farnego uczęszczali i według powinności spowiedź aby raz w rok w swojej farze odprawiali pod karaniem surowym«¹⁾. Moment życia religijnego uwzględniony jest i w Kasinie Wielkiej, gdzie nałożono na poddanych obowiązek uczęszczania do kościoła parafjalnego w Skrzydłnej i nie zapomniano o nim także w ustawie z r. 1672, wydanej dla klucza paczółtowskiego w słowach: »wprawdzie każdy wszędzie człowiek według przykazania Bożego i powinności chrześcijańskiej żyć powinien, wszelkiej przestrzegając i zachowując pocziwości, jednak tym bardziej ludzie pod iurysdykcją i władzą duchownych będący i rządom jako poddani podlegli przykładem dobrem, nie zgorszeniem, bliźnim swoim, ile sąsiadom wszelkim być powinni, przestrzegając tego pilno, aby się wszelka zachowała podziwłość«²⁾.

Nie jest moim zamiarem przedstawiać poszczególne kierunki władzy pana nad poddanymi. Stąd też obszerniej tylko znamiennejsze składniki tych uprawnień określam, poprzestając przy innych na zaznaczeniu ich istnienia³⁾. Wszystkim jednak tym kierunkom władzy pańskiej wspólnem jest to, że starają się one w rozmaity sposób i różnorodnymi drogami zapewnić dworowi cały zakres pracy poddańczej, starają się o jak najsilniejsze wyeksploatowanie energii włościanina, o jak najdłuższe zachowanie jej dla dworu i folwarku. Tem też należy wytłómaczyć zakazy handlu z obcymi, zakazy wydawane przez dwór, nie dopuszczające z jednej strony poddanym sprzedaży bydła i produktów własnych handlarzowi lub chłopu obcemu, a z drugiej strony usu-

¹⁾ Starod. prawa pol. pomniki XII str. 498. Korzystałem z tomu Pomników łaskawie mi użyczonego przez prof. Kutrzebę, za co mu na tem miejscu najserdeczniejsze składam podziękowanie.

²⁾ Rkp. OO. Karmelitów w Czernej 2, str. 113—118 i Starod. prawa pol. pomniki X, str. 395—396.

³⁾ Pewne rysy tej władzy — choć nie wszystkie — przedstawiam w mych pracach: *Gromada w ustroju dawnej wsi małopolskiej* (Przewodnik nauk. lit. 1919), *Wpływ duchowieństwa na rozwój prawa wiejskiego* (Przegląd powszechny 1919), w mających się w najbliższym czasie ukazać *rozprawach: Dawna wieś polska, jako jednostka prawno-gospodarcza i Sprawa niewolniczego stanowiska chłopu polskiego*.

wające »ograniczonych ludzi«, przychodzących do wsi w celach kupna. Taki to zakaz istnieje w dobrach pazołtowskiich, określony w r. 1672 w następującej formie: »postanawiamy, aby się żaden poddany nie wazył zadnego bydła, tak rogatego, jako nierogatego, nikomu bez wiadomości klasztornej sprzedawać, choćby takowe bydło jego własnego przychowania i nabycia było... pod 50 plag postronkiem kary sprzedającemu, a kupującemu... przeпадnieniem kupionego bydła takiego«¹⁾. Nie inny zakaz wydali OO. Dominikanie jako panowie dziedziczni wiosek podgórskich, jak Jodłownika, Rupniowa, Stróży i t. p. dla poddanych z tychże wiosek pochodzących. W zapiskach bowiem znalazło się następujące postanowienie w tym względzie: »zakazało się, aby nikt z poddanych nie wazył się sprzedawać ani koni, ani wołów, krów, cieląt, świni przez dworskiej wiadomości, ktoby się zaś tego wazył, powinien tracić tę kwotę pieniężną, za coby sprzedał jakiegokolwiek bydłę, które O. Ekonom powinien zabrać«²⁾. Że tego rodzaju postanowienia znajdują się w źródłach, to zapewne w pewnym przynajmniej względzie należy przypisać Haurowi, który w swej Ekonomice w ten sposób mówi do swych czytelników, proponując jeszcze dalsze przedmioty dla ograniczenia ich sprzedaży: »chłop żaden z swojej osady, nie powinien słomy, ani żadnej karmi sprzedawać pod karaniem«³⁾.

Nie poprzestawano na tych postanowieniach. Gdzieniegdzie bowiem celem usunięcia pokusy sprzedaży od poddanych, zakazano obcym pojawiać się w wiosce, nakładano na włościan kary, w razie gdy ci zapewniali nocleg przybyszom. Takie to postanowienie obowiązywało w Stróży i Rupniowie, a nie inne wydano i dla gromady mogilskiej, nakazując, iż »ktokolwiek będzie chciał

¹⁾ Starod. prawa pol. pomniki, t. XII, str. 401. Że to postanowienie nie było grą słów, że rzeczywiście było wykonywane, to stwierdza niewątpliwie nie sprzedaży krowy przez poddanego Piotra Sowkę, który umowę alienacyjną zawarł z poddanym obcym, mianowicie młynarzem Marcinem z Dubia. Tamże str. 404—5.

²⁾ Rkp. OO. Dominik. w Krakowie 9, str. 1223.

³⁾ Haur., Oekonomia generalna str. 44 45. Takie ograniczenia miały miejsce nie tylko u nas. Znajdujemy je bowiem i w dawnej gminie niemieckiej, gdzie bez odpowiedniego pozwolenia nie wolno było sprzedawać drzewa, słomy, siana, a nawet mierzwy. Maurer, Hofverfassung str. 130. Ograniczenia te popiera Anzelm Gostomski, rozszerzając przytem znacznie zakres przedmiotów podlegających zakazowi sprzedaży. Baranowski, Wieś i folwark, str. 68.

przyjąć albo komornika albo komornicę z ludzi przychodnich, powinien się będzie wprzód w klasztorze opowiedzieć i tego człeka wójtowi i przysiężnym prezentować, którzy z niego wyrozumieć powinni, zkąd przyszedł, i czym się do tego czasu bawił«¹⁾.

Cel tych przepisów przedstawia się nam jasno. Oto dwór zamierzał zmonopolizować w swych rękach cały handel w granicach wioski, chciał nie tylko jednostronnie dyktować ceny na produkty wytwarzane w gospodarstwie poddańcem, ale także pragnął stać się jedynym dostawcą dla wszystkich gospodarstw wioskowych. Przeprowadzenie tych zamierzeń powiększyłoby znakomicie cyfry dochodu pańskiego i miałyby może nawet z czasem większe znaczenie, aniżeli korzyści ciągnięte z pańszczyzny, danin i czynszów. Prób zaś urzeczywistnienia takiego planu nie brakło w dziejach wsi polskiej. Dość przewrócić parę kart mówiących o działalności sądów referendarskich, lub materiałów do dziejów robocizny, wydanych przez prof. Kutrzebę, aby dostatecznie się o tem przekonać. Były to jednak tylko próby i to próby stosowane nie do wszystkich przedmiotów majątkowych, lecz tylko do upatrzonych, w danej chwili może najważniejszych, próby ostatecznie nie zawsze uwieńczone pomyślnym skutkiem. Nie udawały się zaś, ponieważ z jednej strony dwór zanadto dbał tylko o własną korzyść, z drugiej zaś chłop zagrożony bronił się wszelkimi środkami, aby się tylko zabezpieczyć przed zdzierstwem i wyzyskiem pana²⁾.

Monopol handlowy na terytorjum wiejskiem był tylko jedną z form, zmierzającą do możliwie największej eksploatacji poddaństwa i jego zdolności gospodarczej. Obok tego bowiem stosował dwór także inne formy, mające to wspólne znamię, iż polegały na jak najdalej idącym wyzysku siły roboczej włościanina, chcąc

¹⁾ Starod. prawa pol. pomn. X str. 463. Zapewne, że tego rodzaju zakaz był wydany głównie celem uniknięcia sporów z obcymi panami o zbiegłych z poddaństwa, ale nie ulega wątpliwości, że i na stosunki handlowe mógł być rozciągnięty.

²⁾ Wyzysk dworu szedł w tym kierunku, ażeby nie tylko być dostawcą wioski, lecz nawet odważał się do narzucania włościaninowi pewnej ilości towaru po oznaczonej — wyższej od targowej — cenie. Mówią o tem Korzon, Wewnętrzne dzieje Polski t. I, Sygański, Arendy klasztoru starsandeckiego, Rakowski, Warszawski, Przyborowski i wielu innych badaczy, zajmujących się dziejami włościan. Toż samo ma miejsce i w Niemczech. Schrider, Lehrbuch der deutschen Rechtsgeschichte str. 466. Mówią o tem także Knapp, Grünberg, Jaanssen i inni.

go zmusić nie tylko do jak najwydajniejszej pracy, ale i do jak najdłuższego jej trwania w tych czy owych kształtach. Formy te ze względu na wybitne stanowisko, jakie zajmował pan w wiosce, objawiają się jako przymus pracy, obowiązujący wszystkich poddanych, zdolnych do pełnienia pewnych zadań, przyczem rodzaj zajęcia, czas trwania pracy, wynagrodzenie, sposób wykonania zadania i inne tym podobne essentialia, a nieraz i accidentalia negotii oznacza jednostronnie dwór.

Jako głównie formy tego przymusu pracy, ciążącego na wszystkich poddanych, z wyłączeniem dzieci, chorych i starych ¹⁾, możemy rozróżnić: a) przymus służby we dworze i we folwarku pańskim; b) przymus objęcia urzędu dworskiego (karbowy, leśny gospodarz i włodarz); c) przymus objęcia urzędu gromadzkiego w wioskach, w których nominacja urzędników należy do dworu; d) przymus objęcia gospodarstwa włościańskiego i rzemieślniczego; e) przymus pracy na polach folwarcznych lub dla dworu, niezależnie od dni pańszczyźnianych, za wynagrodzeniem oznaczonem jednostronnie przez dwór.

Pod przymusem służby rozumiemy taką instytucję prawną, na podstawie której młodzież wiejska obojej płci obowiązana jest przed małżeństwem zaofiarować swe usługi dworowi na pewien określony zwyczajami lub przepisem przeciąg czasu. W ten sposób rozumiano ten przymus w najbliższych nam okolicach — Morawach, Śląsku, Czechach, Brandenburgji i Pomorzu, obowiązywał zaś on w wielu prowincjach, tak że uznawano go niemal za regułę ²⁾. Wykonywano go zaś w ten sposób, iż w oznaczonym dniu cała młodzież pewnej wioski stawiała się we dwo-

¹⁾ Ale i ci, chcąc się uwolnić od przymusu pracy, musieli uzyskać zwolnienie pańskie. Uwaga. Sprawę przymusu pracy oświecam głównie pod kątem widzenia stosunku chłopca do pana, pomijam zaś stosunek chłopca do gromady jako całości, bo i tutaj przymus ten mógł się objawić.

²⁾ O tym przymusie mówi Knapp, Bauernbefreiung, Grünberg, określając stosunki poddańcze na Śląsku, Morawach i Czechach, wspomina o nim także Knapp, Hern. Die ländliche Verfassung Niederschlesiens, a ostatnio Ziehursch, Hundert Jahre schlesischer Agrargeschichte. Wszyscy ci badacze oświadczają, że rzadkiemi były osady, w którychby przymus ten nie obowiązywał.

rze¹⁾, z której pan wybierał potrzebną dla siebie służbę, reszta zaś, nie pociągnięta do służby, mogła być użyta w charakterze parobków i dziewczek w gospodarstwach poddańczych. Były rozmaite odmiany tego obowiązku. I tak w niektórych stronach obowiązkowa ta służba trwała dłużej, ponieważ w miarę potrzeby coraz dalej odsuwano możliwość małżeństwa poddanego lub poddanki²⁾, w innych znówu krócej, ponieważ gospodarze mogli swych synów i córki wykupić od tej powinności, składając umówioną lub zwyczajem postanowioną sumę pieniężną. Gdziekolwiek był nawet zwyczaj, że składano stałą opłatę dworowi za ten obowiązek, to znówu wymagano, ażeby gospodarz wiejski w braku dzieci na własny koszt wynajął zastępcę i tego przesłał do dworu w charakterze służącego.

Służba taka przymusowa nie była bezpłatną z reguły. Zwyczajnie bowiem dwór był obowiązany do utrzymania wziętego do służby syna poddańczego, ponadto zaś płacił mu za usługi pewną kwotę pieniężną, z reguły mniejszą od tej, któraby mu się należała, gdyby zawarł z panem formalny i żadnym przymusem nie ograniczony kontrakt najmu usług.

Przymus służby uczeni niemieccy zaliczyli do zasadniczych ograniczeń osobowości prawnej poddanego, pomieszczając go obok *glebae adscriptio*, pozwolenia na wybór zawodu i zawarcie związku małżeńskiego. Jako zasadnicze ograniczenie, jest on naturalnem następstwem tego faktu, iż poddany bez zezwolenia dworu nie może opuścić rodzinnej wioski, że należy on nie tyle może do samego dworu, ile do folwarku i jego gruntów, że całą swą pracę i energję winien nie komu innemu, ale swemu panu, jako właścicielowi obszaru poświęcić.

W Polsce sprawa przymusu służby i jego istnienia dotąd nie została poruszona. Mamy właściwie w tym względzie tylko jedno oświadczenie Rozwadowskiego, który za Knappem twierdzi, że obowiązek przymusowej służby dzieci poddańczych we dworze nie istniał w Prusach zachodnich³⁾, inni zaś badacze, okre-

¹⁾ Grünberg, Bauernbefreiung I 13. Młodzież obojej płci obowiązana była stawić się w pierwszą niedzielę adwentu we dworze.

²⁾ Tamże. Można stwierdzić, że służba przymusowa w rozmaitych wioskach trwała od 3—7 lat.

³⁾ Rozwadowski. Die Bauern des 18 Jahrh. w Schmollera Jahrbücher 120, str. 354.

ślając stosunki poddańcze, tą powinnością się nie zajęli ¹⁾, wypadłoby więc opierając się na przekazach źródłowych zbadać istotny stan rzeczy, wypadłoby zaś tem więcej, że nauka polska skłonna jest — przez swe milczenie — do nieuznawania tego obowiązku w granicach Rzeczypospolitej.

Otóż w tym względzie trzeba stwierdzić, że w zapiskach dochowały się nam wzmianki, mówiące o przymuszaniu własnych poddanych do służby we dworze, że jednak przymuszano nie ogół włościaństwa, mających synów lub córki, lecz tylko pojedynczych chłopów. I tak dowiadujemy się, że poddany ze wsi Ślemienia, należącej do Wielopolskich, był przymuszony przez swego pana do objęcia służby lokaja we dworze. Mówi on bowiem w swej prośbie, podanej potem do rządu austriackiego, iż »ja Tomasz Łyzowski służyłem u dworu J. W. Chrabi w Żywcu i Pieskowy Skale przez lat 15 i miesięcy 9, trzyżwo i pościwie, na co mam testimonium, od którego J. W. Pana na miesiąc tylko brałem po zł. pol. 3, bom był przyniewolony do tej służby, a gdym się chciał odprawić, żadnym sposobem mnie uwolnić nie chciano, tak żem służył przez lat 6 i brałem na miesiąc po 2 zł.« ²⁾. Podobnie z przypadkiem przymusowej służby mamy do czynienia w Olszówce, kiedy to za Wojciecha Biłka, poddanego z tejże wioski, muszą ręczyć czterej poddani, »jako tenże Wojciech Biłek będzie dobrze i podciwie służył za kuchtę, jeżeliby zaś gdzie uszedł, niżej podpisani powinni więzienie wszyscy zasieść, póki go nie stawia i grzywien każdy po 30 (mają zapłacić)« ³⁾. Wspomniany zaś włościanin był wzięty na służbę dworską przez ówczesnego dzierżawcę Romana Sierakowskiego, sędziego ziemskiego krakowskiego.

Nie są to jedyne wzmianki, jakie się nam udało w źródłach wyszukać. Na fakt ten bowiem przymusowej służby wskazuje i jeden z punktów instruktarza jaworowskiego z r. 1765 w słowach: »poddanego z roli, ani ciągłego, ani pieszego za parobka, pastucha nie brać, ponieważ przez to w pańszczyźnie, daninach i innych powinnościach inwentarskich niemała szkoda i uszczer-

¹⁾ Poza ulotną wzmianką, jaką znajdujemy u Lubomirskiego, Rolnicza ludność w Polsce. B. w. 186. t. I, str. 13.

²⁾ Rkp. Bibl. hr. Bran. 18, str. 116—117.

³⁾ Rkp. Bibl. Jag. 909 fol. 86. Ręczy zaś brat Bartłomiej Biłek i trzech poddanych nazwiskiem Cieluch.

bek«¹⁾. Co więcej i w starostwach królewskich wymagano od poddanych tej powinności, skoro ci skarżą się w sądzie królewskim na dzierżawcę, iż im zabiera dzieci na służbę²⁾. Rzecz przy tem charakterystyczna, że sąd królewski uznał w pewnej mierze uprawnienie starosty do brania włościańskich dzieci w swą służbę, skoro stwierdził, że w razie gdy te służą w obcych miejscowościach innym panom, to właściwy ich dziedzic ma prawo w pierwszej linii korzystać z ich usług.

Z przedstawionych przypadków zdaje się nie podlegać wątpliwości, iż w Rzeczypospolitej stosowano w sporadycznych wypadkach przymus służbowy względem poddanych, że jednak z drugiej strony nie był on uznany ogólnie, skoro nie wszędzie z niego korzystano. Ma się wrażenie, że przymus ten zastosowywano tylko wtedy, gdy po stronie dworu zachodziła konieczność, gdy nikt z poddanych nie zgłosił się do pana z propozycją objęcia służby na podstawie dobrowolnej umowy. W tym wypadku zwierzchność dworska robiła użycie ze swej władzy nad włościaństwem i zlecała jednemu z poddanych objęcie określonych funkcij służbowych. Przy tej sposobności nie obeszło się nieraz bez oporu interesowanego, niejednokrotnie też bogatsi synowie poddańczy wykupywali się umówioną kwotą.

Przymus służby na ziemiach polskich wykazuje ponadto pewne specjalne odróżnienie w porównaniu z takimże przymusem, stosowanym w terytorjach pogranicza zachodniego. Nie jest to przede wszystkim obowiązek, któryby obciążał całą ludność wiejską i to nawet w tym przypadku, gdy pan służby nie potrzebuje, kiedy to poddani muszą dworowi składać pewną opłatę jako ekwiwalent. Co więcej, przymus polski ma pewien charakter dodatkowy, stosuje się go bowiem w zasadzie tylko w razie potrzeby, przyczem jednak obowiązkowi temu podlega nie tylko młodzież męska i żeńska, ale i osiadli gospodarze, począwszy od komorników, a skończywszy na kmieciach. Z całego bowiem ukształtowania się stosunków wiejskich odnosimy wrażenie, że pan wioski mógł usunąć kmiecia z roli, przez niego posiadanej na prawie niezakupnem, i pomieścić go na swym folwarku w charakterze służącego. Tego rodzaju postąpienie leżało w granicach

¹⁾ Pawlik, Instruktarze ekonomiczne, str. 23.

²⁾ Castr. sand. I, 156, str. 699—701.

możliwości, a jeżeli go nie stosowano lub rzadko, to tylko dlatego, że zwyczajnie nie przedstawiało ono korzyści dla pana.

Rzadkie stosowanie przymusu służby w Polsce tłumaczy się przede wszystkim tem, że na objęcie funkcji służebnych we dworze i na folwarku znalazło się zawsze dosyć kandydatów w gronie poddanych, że w okresie »gód«, t. zn. Bożego Narodzenia i Trzech Króli, zawierał dwór umowy ze zgłaszającymi się synami i córkami gospodarskimi. Że rzeczywiście taka praktyka mniej lub więcej dobrowolnej umowy miała w Polsce zastosowanie, to stwierdza księga rachunków prądnickich, zawierająca liczne wzmianki o takich umowach, podającą wysokość wynagrodzenia pieniężnego, wraz z deputatami żywnościowymi, pewną ilością obuwia, płótna i t. p. I tak pod rokiem 1620 pod rubryką »zjednanie czeliadzi na folwarku prądnickim«, czytamy, że dwór dawał »Bartoszewi gospodarzowi i s żoną jego złotych jedenaście, potów po trzy pary, to jest boty nowe jedne, podszicie dwoje, kazdemu z nich roli na polia na konopie albo na lien zagonów 4«¹⁾. Podobnie i przy innych funkcjonariuszach mamy wynotowane pozycje pieniężne i naturalne im się należące, spis zaś cały zamyka stwierdzenie, że »ty wszitki czeliadzi zapłaciło się mytko według umowy kazdego, takze i płotno wszitkim według ujednania«, stwierdzenie tem charakterystyczne, że niedwuznacznie powiadamia nas o dobrowolnym charakterze umowy między dworem a poddanym. Czy służącemu, rekrutującemu się z poddaństwa wioskowego, przysługiwało w pewnych przypadkach przewidzianych zerwanie umowy, na to pytanie wypadnie odpowiedzieć twierdząco, chociaż z drugiej strony i w tym kierunku mogły się dziać nadużycia. Prawdopodobnem jest jednak, że dwór rzadko chwycił się tej drugiej drogi, skoro w zasadzie nie przedstawiała ona dla niego wartości, ponieważ chcąc się upewnić co do poddanego służącego musiał się posługiwać nie zawsze odpowiednie rezultaty dającym rękojemstwem.

Mówiąc o stosunkach służbowych, na jeden jeszcze moment należy zwrócić uwagę. Oto przeważnie poddani garną się chętnie do służby dworskiej. Ma to zaś miejsce przede wszystkim w majątkach większych, gdyż włościanie, wszedłszy w latach młodych w obowiązki we dworze lub folwarku, dosługiwali się nieraz po-

¹⁾ Rkp. OO. Dominik. Rachunki prądnickie i zapiski 1613—1640, fol. 2.

każnego majątku, który im pozwalał na starość dożywać spokojnych dni. Co więcej, za wierną służbę mieli oni możliwość uzyskanie specjalnych uprawnień, które ich wynosiły ponad szary tłum współbraci. Stąd to niejaki Mamcarczyk, służąc w zamku suskim, uzyskał darowiznę zagrody bez obowiązku odrabiania z niej robocizny ¹⁾, inna zaś poddanka z klucza łąckiego za pełnienie funkcji mamki otrzymała jednorazowo kwotę 300 złp., która to kwota pozwoliła jej zakupić gospodarstwo kmiece ²⁾. Znany nam już Kizowski ze Ślemienia, opuściwszy po śmierci swego pana dwór, uzyskał zwolnienie od robocizny z gruntu przez siebie posiadanej ³⁾.

Ponadto inna jeszcze okoliczność pociągała synów poddańczych do służby dworskiej. Oto w stosunku do pracy na roli zajęcie dworskie hajduków, żołnierzy, pasterzy, lokajów i t. p. przedstawiały się im jako lżejsze, mniejszej wymagające pracy, które dawały im przytem możliwość wyniesienia się we wsi na wyższe stanowisko, skoro w przyszłości mogła ich czekać nominacja na przysiężnego lub wójta, w przypadku gdy pan rościł sobie prawo do nominacji tych urzędników.

Ogólnie więc, przypatrując się stosunkom poddańczym pod kątem widzenia obejmowania zajęć służebnych, zauważamy, że rzadko musiała się objawiać konieczność przymusu służby, skoro zajęcia dworskie naogół przedstawiały się jako uprzywilejowane. Niemniej jednak nie należy zapominać, że był on w praktyce przeprowadzany, przyczem o tym charakterystycznym obowiązku przypominało sobie nieraz wtedy, gdy poddany ośmielił się służyć u obcego pana w obcej miejscowości. Wtedy to z całym naciskiem podkreślano konieczność pracy poddańczej nie gdzieindziej, tylko we własnej wiosce rodzinnej, dla własnego pana rezydującego we dworze. Ten moment zauważyliśmy już uprzednio przy omawianiu praktyki w dobrach królewskich, kiedy to sąd wyraźnie stwierdził, że poddani przedewszystkiem winni się wy-

¹⁾ Rkp. Bibl. hr. Bran. 18, str. 296.

²⁾ Arch. kraj. w Krak. 236, str. 69.

³⁾ Rkp. Bibl. hr. Bran. 1, str. 116—117. »A ponieważ ja ubogi człowiek nie wiedziałem, com miał dalej począć z sobą, tak tedy dopraszałem się u J. W. Pani, abym się powrócił do ojczyzny swojej i gruntu, który mam w Ślemieniu i abym dopóki żyć będę pańszczyzny z tegoż gruntu nie robił, na com odebrał dokument z podpisem ręki jej własnej«.

najmować na służbę własnemu dzierżawcy¹⁾, znalazł on także urzeczywistnienie i w dobrach dziedzicznych. W nich to bowiem uznawano zasadę, że poddań o tyle tylko może iść na służbę do obcego pana, o ile uzyska na taki krok pozwolenie własnego dziedzica, którego zapewne udzielano za odpowiednią zapłatą. Wzór takiego pozwolenia zachowały nam akta dominikańskie w następującem brzmieniu, odnoszącem się do Jana Wypary z Dziekanowic: »Jan Wypara z Dziekanowic chcąc gdzieindziej szukać sposobu do pożywienia, dają jemu pozwolenie oddalenia się, bez uwolnienia jednak od poddaństwa i ze nic nie winien do dworu i dobrze sprawował się, dają świadectwo«²⁾. Zapewne niejednokrotnie dodawano do takich pozwoleń czas, na który uwalniano poddanego na obcą służbę, a zapewne i inne okoliczności, zależnie od warunków. W zasadzie też, gdy brakowało takiego pozwolenia, to obcy pan nie miał prawa przyjmować poddanego na służbę, ten zaś ostatni ponadto narażał się na odpowiedzialność sądową. Jedną z takich to spraw zajmował się w r. 1647 sąd rugowy w Kasinie Wielkiej w następujących słowach: »Usadzony był Bartosz syn Mikołaja Pawlarczyka, który służył o granice a nie chciał bydz posłuszny, ani panu swemu dziedzicznemu, ani ojcu swojemu. Ja Brat Hilarius na ten czas factor majtności Kasiny, dałem go okować na kielka niedziel, potim za uproszeniem ludzi, którzy tesz ręczyli za niego, ze się nie będzie więcej tego wazył, żeby miał o granice służyć, a jeśli by albo takie nieposłuszeństwo miał pokazać panu, albo rodzicom swoim, tedy ma robić w okowach roli bez żadnego miłosierdzia, a jeśli by tesz miał ustąpić, powinni go cisz rękownicy stawić panu, albo dać winy kazdy z nich grzywien dziesięć«³⁾. Takich przypadków praktyki sądowej możnaby przytoczyć więcej, stwierdzają zaś one niedwuznacznie panowanie we wsi zasady, że poddany ma obowiązek pozostawania nie tylko w rodzinnej wiosce, ale że razem ciąży na nim obowiązek pracy nie gdzieindziej, tylko we wsi, do której jest przynależny.

¹⁾ Lubomirski. Rolnicza ludność w Polsce. B. w. 1852, I 13.

²⁾ Rkp. OO. Dominik. 9, str. 1163. W Niemceżach za udzielenie pozwolenia na służbę u obcych płacono od 16—30 centów.

³⁾ Starod. prawa pol. pomn. X, str. 348. Jako rękojemcy występują Jakub Kaczor, Jędrzej Kaczor, Wojciech Piechówka i Mikołaj Pawlarczyk.

Podobnie jak włościanin w razie potrzeby mógł być przymuszony do objęcia niższego stanowiska służbowego, tak samo ciążył na nim obowiązek przyjęcia pewnych wyższych funkcyj w gospodarstwie pańskim, jak karbowego, włodarza i t. p. Moment ten łączył się z charakterem miniaturowego państwa wiejskiego, w którym wybór zawodu dla włościanstwa należał do pana wioski. Pan, korzystając z tego uprawnienia, przymuszał poddanych do obejmowania wyższych czynności w gospodarstwie folwarcznem. Że rzeczywiście tak było, tego mamy kilka dowodów. Oto słyszymy o Klimku Smoliku w kłuczu suskim, że był »wzięty za dwornika«, a w jednym z inwentarzy czytamy skargę na dzierżawcę, że »chłopa, który inwentarzem podany nie był, zagrodnika trzechdniowego, do pilnowania lasu przymusił, na dworską sobie służbę, przez co większa lasu desolacya i chałupa zrujnowana i spustoszona«²⁾.

I tu jednak nie zawsze ten moment przymusu występuje na jaw. Godność bowiem karbowego czy włodarza dawała nie tylko duże uposażenie w postaci ordynacji, zapłaty pieniężnej i pewnej ilości uprawnych zagonów, ale co więcej uwalniała od robocizny. Nie koniec na tem, karbowy czy włodarz w tej czy owej formie mieli udział w produkcji rolnej folwarcznej, doglądali robocizny i prowadzili własną hodowlę bydła, która przysparzała im znakomitych dochodów. W przypadku niezbyt ścisłego nadzoru ze strony zwierzchności dworskiej wynajmowali oni dni robocze, uwalniali poszczególnych poddanych od pańszczyzny za odpowiedniemi wynagrodzeniem, a nawet tak umieli dawać się we znaki włościanom, że ci byli zmuszeni opuszczać gospodarstwa przez siebie posiadane. Dość wspomnieć gospodarza paczółtowskiiego Pawła Kowalika, który »wiernie panszczyznej od gromady swojej należącej nie przestrzegał, robociznę mieszał według swego upodobania, któremu chciał chłopu panszczyznę odpuszczał, zamieniał«, — ponadto »bydło nad pozwolenie pańskie w gminie chował na oborze dworskiej, dlatego i siano nim spał, ponieważ jak natenczas owiec nie było, świni także, co chciał, na swoją stronę chował«³⁾. Podobnie i sołtysi suscy mu-

¹⁾ Rkp. Bibl. hr. Bran. 18, str. 84.

²⁾ Castr. sand. 157, str. 2041—2054.

³⁾ Starod. prawa pol. pomniki XII, str. 405 410. Bliżej zajmujemy

sieli robić duże nadużycia z robocizną poddańczą, skoro Anna Wielopolska w ustawie swej wydanej w r. 1696 groziła karami przestępnym¹⁾. Umieeli także myśleć o sobie karbowi. Oto bowiem o jednym z nich dowiadujemy się, że »mierząc zboże na ordynarję dwornikowi Tarnawskiemu ze spichlerza odmierzył nie strychując«, za co wsadzono go do więzienia i dopiero za rękostwem dwóch sąsiadów wypuszczono go na wolność²⁾. W Olszówce zaś Stanisław Mrozek miał ukraść zboża 23 korce i 2 ćwierci ze spichlerza, za co miał być na śmierć skazany i tylko łasce pańskiej zawdzięczał życie³⁾.

Bacząc na najrozmaitsze korzyści, jakie przynosiła ze sobą funkcja dworska, poddani zwyczajnie nietylko że nie opierali się wezwaniu dworskiemu, ale co więcej niejednokrotnie najrozmaitszych dokładali starań, aby ją otrzymać. Stąd to dawny gospodarz dominikańskiego folwarku w Przeciszowie, Józef Kajdas, prosi przeora: »abym się mógł na tym folwarku, na którym ja byłem rok utrzymać w Przeciszowie, ponieważ terazniejszy gospodarz z tego miejsca nie kontent jest«⁴⁾. Podobnie, gdy w innym wypadku jeden z poddanych miał obiecaną dla siebie godność gospodarza jednego z folwarków, a formalne wezwanie z klasztoru dłuższy czas nie nadchodziło, to poddany ten pisze uniozoną prośbę do klasztoru z przypomnieniem obietnicy. Píše on zaś w ten sposób: »miałem deklarację od samego Przewielebnego Mci Dobrodzieja na folwark Załowickowy, tak dotychczas tego się spodziewam, lubo już pięć niedziel minęło, a skutku żadnego jeszcze nie odebrałem, więc nie wiem Przewielebny Mci Dobrodzieju czego się mam trzymać«⁵⁾. Dodaje przytem: »słyszałem także, że in-

się tą postacią i jej stosunkiem do poddanych w pracy: *Ucisk włościański w dawnej wsi polskiej*. Przegl. pow. 1920.

¹⁾ Chomentowski. *Materiały do dziejów rolnictwa w Polsce*, st. 411—416.

²⁾ Rkp. Bibl. hr. Bran. 18 st. 166. Zaręczyli oni za niego, »jako ben-dzie, wiernie i zyczliwie służył i doglądał wiernie dobra pańskiego, na którego gdyby najmniejsza rzecz, gdyby się pokazała na gardle ma bydz karany«.

³⁾ Rkp. Bibl. Jag. 909 fol. 86.

⁴⁾ Rkp. OO. Dominik. w Krak. 9. str. 1287. Obiecuje on przy tej sposobności, że klasztor nie poniesie przez uwzględnienie jego prośby żadnej szkody, ponieważ gospodarstwo po nim mogą objąć brat wraz z szwagrem.

⁵⁾ Tamże, 9, st. 1291.

szego już na tamto miejsce obsadzić mają«, na czem ostatecznie mu nie zależy, ale jednak wkońcu celem uzyskania tego pożądanego przez siebie miejsca takich określeń używa: »więc powtórnie upadam pod stópki Przewielebnego Mci Dobrodzieja prosząc i żebząc pokornie, aby ta prośba moja skutek swój jaki wziąć mogła, za co ja z dziaćkami swemi za zdrowie długoletnie Przewielebnego Mci Dobrodzieja Pana Boga prosić będę«¹⁾.

Co więcej, poddani celem uzyskania tak intratnego w niektórych okolicach stanowiska, gospodarza folwarku, nie cofali się nawet przed denuncjacją, nie gardzili wysyłaniem do dworu rozmaitych oczernień i zmysłów. I tak w dobrach wspomnianego już konwentu dominikańskiego Jan Olesiński w piśmie wystosowanem do przeora w ten sposób oskarża gospodarza folwarku Załowickiego: »oznajmuję gospodarza załowickiego Mendika, jako sobie poczynął, naprzód stawków dwa posieklł na siano, za które wzion czerwony złoty, na stawie Nowinczyka szedł z pługami, kazał sobie orać, sześć pługów orało na proso, które zasiał i zebrał, należy od orania i za pole złotych 20. Na tymże stawie posieklł siano, którego wzion wozów ośm, za które należy złotych 40 Mci Dobrodziejowi, za które powinien zapłacić«. Lista grzechów i przestępstw względem klasztoru gospodarza folwarcznego nie była jeszcze w ten sposób wyczerpaną. Oto miał on jeszcze sprzedać cztery fury węgla drzewnych, a ponadto, mocząc konopie, dopuścił się niedbalstwa, ponieważ przy wybieraniu konopi, »zostawił ociepi 13, które dotychczas w wodzie sąm«²⁾.

Tak przy obejmowaniu stanowiska służącego, jak i obowiązków wyższego funkcjonariusza w gospodarstwie folwarcznem, poddany zrzekał się dotychczasowego miejsca poddańczego, aby spełniać nowe swe zadanie. Inaczej było przy mianowaniu poddanego przysiężnym lub wójtem gromadzkim w wioskach, w których panu przysługiwało z rozmaitych tytułów prawnych prawo nominacji na te urzędy. W tym wypadku bowiem nowomianowany zatrzymywał swe dawne gospodarstwo,

¹⁾ Tamże.

²⁾ Tamże. Charakterystycznym jest również, że denuncjujący poddany nie wszystko jeszcze w swem piśmie wypisał, skoro na końcu dodaje: »co szerzej w osobności Mci Dobrodziejowi opowiem«.

zatrzymywał zaś dlatego, że nowa funkcja nie wykluczała dawnej, że co najwyżej do dotychczasowych obowiązków przybywał nowy — rządu gromadą. Znamienne jest, że i przy tych godnościach na poddanym ciążył obowiązek przyjęcia urzędu, który w razie oporu interesowanego mógł być poparty przymusowymi karami. Że rzeczywiście tak było, to świadczy wzmianka zaczerpnięta z dóbr kustodji krakowskiej. Tam to sąd kustoszowski, rozpatrując sprawę Łukasza Janika, »ponieważ Łukasz Janik Zwierzchności Kustoszowskiej nie jest posłuszny, że nie chce być wójtem, a żadnych na to konwinkujących słusznych racyi nie daje«, przeto skazano go wyrokiem tegoż sądu, »aby odniósł 50 plag«¹⁾. Że i w wielu innych wioskach istniał przymus objęcia godności wójtowskiej lub przysiężniczej, tego dowodzi fakt zwalniania wójtów i przysiężnych z urzędu, jaki nieraz ma miejsce. Przymus ten mógł być zastosowany do wszystkich poddanych płci męskiej, odpowiednich do pełnienia urzędu, zamieszkujących we wsi, wyznaczeni zaś włościanie mogli się od niego uwolnić, o ile podali uzasadnione przyczyny, przemawiające przeciwko ich kandydaturze. Oczywiście przyczyny te różne były w rozmaitych wioskach, zwyczajnie jednak zwalniano od niego w razie słabości, choroby i pełnienia opieki nad którem z większych gospodarstw wioskowych. Stąd to we wsi Markowej składa urząd wójta Marcin Bienczak, »ponieważ mu się uprzykrzyło w jego słabości na tym urzędzie«²⁾, podobnie zaś we wsi Górkach zaznaczono w księdze gromadzkiej, zwalnając wójta: »ponieważ wójt stary w Górkach dla słabości swojej zadosyć powinności swojej czynić nie może«, przeto obrano nowego³⁾.

Jeżeli zdarzały się we wsi polskiej przypadki stosowania przymusu w sprawie objęcia urzędu przełożonego nad gromadą, to widocznie urząd ten nie zawsze był celem dążeń poddanych

¹⁾ Starod. prawa pol. pomn. X st. 334.

²⁾ Tamże st. 712.

³⁾ Tamże st. 292. Analogicznie było wogóle i w miejscowościach, w których gromadzie przysługiwało prawo obioru urzędu. Tylko że tutaj wobec własnych sąsiadów łatwiej się było wytłomaczyć, o ile się nie chciało objąć proponowanego stanowiska. Zaznaczyć przytem wypadnie, że o ile i dzisiaj ciąży na obywatelach ten sam obowiązek — mamy go u nas, w Anglii, Niemczech i t. p., to już jest on tylko dalszym ciągiem dawnego. Górski, Samorząd, I, 138; Kamocka, Ustrój samorządowy Anglii, st. 20.

widocznie poszczególne jego funkcje dawały taką sumę odpowiedzialności, że lepiej było się od nich uwolnić. I rzeczywiście w wielu, a nawet w bardzo wielu wypadkach tak było. Oto wójt był obowiązany wypędzać na pańszczyznę, nieraz obowiązywano go do dozoru jej, czyniąc go odpowiedzialnym za wykonanie ściśle określonej ilości pracy przez powierzonych jego dozorowi poddanych. Nie zawsze zaś było to możliwem dla niego wobec wygórowanych żądań dworu. Ponadto przy tej sposobności mógł sobie zasłużyć na nienawiść swych współbraci, jako zbyt gorliwy wykonawca poleceń pańskich. Że rzeczywiście czasami wójta nienawidzono w społeczeństwie wiejskiem, to fakt ten potwierdza szereg przykładów. I tak Gromada Trąbkowska... uskarżała się na wójta Józefa Grabka o różne dolegliwości, bicie, kalectwo, na drodze zastępowania, a najbardziej, że jest człowiek zawzięty i kiedy się rozgniewa, zabiłby człowieka...¹⁾, a we wsi Kasinie Wielkiej w r. 1629 podczas posiedzenia sądu rugowego, »wystąpiwszy Kuba wójt przed Ojca Przeora, skarżył się na gromadę, że na niego było zły woli a tho dla tego, iż rozumieli na niego i zadawali mu tho, jakoby on miał odnosić i uskarżać gromadę do Pana, dla czego się tyż prosił, aby mógł być wolny od urzędu wójtoskiego«²⁾.

Były i inne ciężkie obowiązki urzędu wójtowskiego, które odstraszały kandydatów. Należało do nich utrzymanie dobrego rządu w gromadzie i dopilnowanie, aby karczmarze i poddani nie przywozili obcych trunków do wsi. Kiedy do wsi Krzeszowie w kluczu suskim jeden z poddanych przywiózł pewną ilość gorzałki »ograniczonej«, a wójt targowy z nieświadomości o tem nie doniósł, to zagrożono mu na przyszłość pokazałą karą pieniężną, o ile nie będzie rzetelnie spełniał swych obowiązków³⁾. Co więcej, dwór czynił nieraz wójta odpowiedzialnym za ściąganie czynszów i danin z gromady i nierazdko powierzał mu także zebranie podatków państwowych ze wsi.

¹⁾ Starod. prawa pol. pomn. X. 297. Wzmianka ta i następne pochodzą z wiosek, które cieszyły się samorządem pewnego rodzaju, można je jednak z całą słuszością dostosować i do wiosek, w których wola pana była wszytkiem.

²⁾ Tamże st. 330.

³⁾ Rkp. Bibl. hr. Bran. 18. st. 93.

Wskazując przykładowo na ciężkie obowiązki urzędu wójtowskiego, nie możemy pominąć ważnych jego czynności przy wejściu żołnierza do wsi. Wtedy to bowiem wojsko pierwsze swe kroki skierowywało nie gdzieindziej, tylko do wójta, wymagając od niego coraz to nowych opłat, zabierając mu z chaty posiadane produkty i czyniąc go odpowiedzialnym za terminowe złożenie nałożonych na wieś furazów i danin. Jak zaś wielką była obawa przed przychodnim żołnierzem, nie przebiegającym w środkach w tych niespokojnych czasach XVII wieku, to świadczy o tem ustawa dla klucza pacołtowskiiego z r. 1672, w której zwierzchność dworska posunęła się do nałożenia kar na opieszłych tak w składaniu pieniędzy poborowych, jak i w wywiadywaniu się o żołnierzu. Mówi ona bowiem: »wiedząc, jak ciężki jest wszelki żołnierz, gdy się jusz noclegiem we wsi roztaszuje i stanie gospoda, doznawając do tego na grzbietach, nie tylko na mieszkach, po komorach i oborach widząc szperających, plondrujących, a przecie znajdują się niektórzy poddani na siebie samych tak okrótni i niebaczni, iż dla poprzedzenia żołnierza i zabiegania, aby z tak wielką szkodą nie stanął we wsi, nie chcą kilku groszy według słusznego porachowania i tasy do wspólnej składki oddać, choć iusz doznał, że go kilka złotych żołnierz stanąwszy kosztuje. Uważając taką krnąbrność i hardość w nieoddaniu składki, postanawia się, aby takowy w kunie siedział, póki nie odda, choć i trzy grosze, kiedy chłop uporny przeciwko swemu dobru. Tych zaś, co się według porządku i kolejiny przypadającej ociągają, albo też nie chcą dla zwiadów pojąć i jechać, pytając się, gdzie się żołnierz obraca, karać bez folgi postronkiem pięciadziestą plag bez wszelkiej ujmę, abowiem i on jako niemiłosierny nie ochrania od szkody i ruiny sąsiadów swoich, godzien surowego karania, a ta straż bardzo potrzebna«¹⁾).

Gdy taki strach przed żołnierzem objawia się po stronie dworu, to nie możemy się dziwić, że i wójt nie miał ochoty narażać się na straty, uciążenia cielesne a nieraz nawet i na śmierć. Nie miał ochoty narażać się tem więcej, że ustawowo już zlecono mu zastępstwo wioski przed żołnierzami. Tak to w Kasinie Wielkiej polecono w r. 1695: »jak wiele razy przytrafia się podejmować żołnirzy przechodzących, powinien każdy z nich poczuwać

¹⁾ Starod. prawa pol. pomn. XII, st. 398.

się w powinności swojej i strawować ich według swojej możności, kiedy zaś ich ugodzą, według umowy powinni będą oddawać do wójta«¹⁾. Co więcej, nakazywano wójtowi podejmować reprezentantów żołnierskich, obiecując mu nagrodzić straty. W tejże bowiem wsi Kasinie w wspomnianej ustawie z r. 1695 postanowiono ten obowiązek w następujących słowach: «pisarzów zaś, których na ugodzie wójt podejmuje, powinna mu będzie gromada nagrodzić i wydatki przywrócić«²⁾. Podobny obowiązek ciążył i na wójcie mogińskim, jak o tem świadczy tamtejsza »dyspozycja uczyniona w Mogile an. 1756 d. 6. Decembris według affektacyi i propozycyi od całej gromady Mogińskiej«³⁾.

Nie koniec na tem uciążliwym obowiązkom wójtowskim. Jemu to bowiem jeszcze zlecono podejmowanie egzekutorów podatkowych, zjeżdżających do wsi. I ich to bowiem »powinien wójt przyjmować, a gromada albo strona na to się składać«⁴⁾ powinna«⁵⁾. Do tego zaś trzeba dodać, że niejednokrotnie wójt, aby uniknąć grożącej wsi egzekucji, albo sam z własnych środków opłacał podatki zaległe, albo też w tym celu zapożyczał się u żydów czy bogatszych sąsiadów. Tak to postąpił wójt zagorzański Tomasz Weron, przyczem o sumę sobie należną musiał się aż w sądzie dopominać, ponieważ niesumienny kontrybuent uchylał się od jej zapłacenia⁶⁾.

Były ponadto i inne czynności wójtowskie, których epilog układał się nieraz smutnie dla tego urzędnika. Musiał on więc uważać na sprawiedliwość swych orzeczeń, składanie urzędowych zeznań, dobre przeprowadzenie pomiarów i oszacowań nieruchomości i t. p. Chociaż zaś za te obowiązki był nieraz w zupełności zwolniony od pańszczyzny, jak to miało miejsce w Krowodrzy⁷⁾,

¹⁾ Tamże, t. X. st. 375, 376.

²⁾ Tamże, st. 375—376.

³⁾ Tamże, st. 462—463. Postanowiono bowiem: »tenże wójt zapomocą przysiężnych podczas przechodzących żołnierzy, starać się będzie, jako najlepszą uczynić dyspozycję, żeby ani w żywieniu żołnierzy i koni, ani w dawanu podwód żadnemu z ludzi krzywdy nie było«.

⁴⁾ Tamże, st. 604—605. «Taką skargę o zapłacenie »hiberny, pogłównego i owsianych pieniędzy« wniósł on przeciw Kazimierzowi Zmigrodzkiemu.

⁵⁾ Tamże, str. 668. Wójt nowo teraz obrany... który od wszelkich składek, opłatek i innych podatków gromadzkich z tej ćwierci roli za swoje

lub w Suchej ¹⁾, chociaż czerpał pokaźne dochody z sądów, przeprowadzania pomiarów, to przecież korzyści te niejednokrotnie równoważyły odpowiedzialność i stąd to nieraz mianowani wójtowie albo w ogólności proponowanego sobie urzędu przyjąć nie chcą, lub też starają się co najprędzej od niego uwolnić. Zapewne że i w naszych wioskach zwalniano niektórych poddanych od pełnienia funkcji wójtowskich. Wprawdzie nie mamy w tym względzie wyraźnych śladów, jednak taka praktyka istniała już ówczesnie po miastach i miasteczkach polskich ²⁾, znaną zaś była i w miejscowościach niemieckich ³⁾.

Przymus objęcia służby we dworze lub we folwarku, zarówno jak przymus przyjęcia stanowiska wójta lub przysiężnego, nie wyczerpują jeszcze zagadnienia. Obok tego bowiem pan wioski, rozporządzający nie tylko stanowiskami urzędowymi, ale i nieruchomościami położonemi w granicach wioski, podobnie jak miał prawo wybrać dla poddanego zawód lokaja czy żołnierza, tak i był uprawniony do osadzenia tegoż na miejscu poddańcem, rolniczem w charakterze kmiecia czy też zagrodnika. I to bowiem była tylko inna forma służby dla pana, inna forma wyzysku energii roboczej włościanina. I w tym wypadku osadzenia poddany winien był ugiąć się przed wolą pana wioski, winien był spełniać zlecone mu powinności i prace. Gdy tego nie uczynił, gdy nie chciał objąć powierzonego sobie gospodarstwa, to panu służyło prawo przymuszenia go wszelkimi środkami do posłuchu.

Że panu przysługiwało prawo przenoszenia poddanego z miejsca na miejsce, że służyło mu prawo zrobienia kmiecia z chałupnika i odwrotnie, stwierdzili to już inni badacze, zaznaczając

prace, według dawnego zwyczaju powinien być wolny, w czym go gromada bez wszelkiej ekskuzy zastępować powinna.

¹⁾ W Suchej dowiadujemy się, że wójt Andrzej Herencyk, mając dwie zagrody i karczmę, żadnej powinności dworowi nie oddaje.

²⁾ Specjalnie w granicach wojew. krak. dało się stwierdzić takie zwolnienie od pełnienia czynności wójta w mieście Kętach. Z drugiej jednak strony nie myślimy zaprzeczać, iż mogły się znaleźć w granicach wioski osoby, które dążyły do godności wójta, nie odstraszać się odpowiedzialnością.

³⁾ Maurer, *Geschichte der Dorfverfassung in Deutschland*, II. st. 43.

zupelną dowolność organów dworskich w tym względzie. Pisząc się na ich przekonania, musimy jednak w tej sprawie zrobić pewne zastrzeżenie. Oto pan miał wprowadzić prawo przenoszenia włościanina z miejsca na miejsca, ale to uprawnienie odnosiło się przede wszystkim do posiadaczy niezakupnych, ponadto zaś w praktyce prawo to stosowane było zwyczajnie tylko w tym wypadku, gdy poddany gospodarował źle, gdy nie poprawiał budynków, gdy zapuszczał inwentarz i t. p. Wtedy to rzeczywiście usuwano go, ale, rzecz znamienita, gospodarstwo opróżnione w pierwszej linii ofiarowywano najbliższemu krewnemu ostatniego posiadacza, a dopiero gdy ten wymawiał się, to pan mógł albo użyć przymusu względem niego, lub też zaproponować objęcie któremukolwiek z mieszkańców wioski. Tym sposobem przymus miał przeważnie zastosowanie do gospodarstw pustych, zwanych w księgach »pustkami« i to nie tylko dlatego, że nie miały one gospodarza, ale że rzeczywiście na ich obszarze nie było ani zasianego zboża, ani tem mniej zabudowań mieszkalnych i gospodarczych. Do objęcia zaś takich obszarów nic dziwnego że nie kwapili się poddani. Nie kwapili się zaś oni nie tylko dlatego, iż one rzeczywiście były puste, bo na nich »ani kawałka koła« nie można było odnaleźć..., z tą bowiem okolicznością można było sobie łatwo poradzić. Istniały przecież wielkie lasy pańskie, istniała pańszczyzna, którą dwór mógł ofiarować dla postawienia budynków i zasiania roli, wchodziła wkońcu w grę i samopomoc włościańska, tak dobre nieraz dająca rezultaty¹⁾.

Inna też była przyczyna, dla których chłopci nie chcieli osiadać pustych gospodarstw. Oto odstraszało ich niepewne posiadanie. Do opuszczonego bowiem gruntu, gdy przez nowego posiadacza został zagospodarowany, zgłaszali się dawni właściciele i żądali oddania sobie tegoż na podstawie przysługującego im prawa bliższości. Ten to moment podkreśla władza dworska w Kasinie Wielkiej w r. 1624, mówiąc, że dużo poddanych odbiega swego dziedzictwa, które przez dwór zasiedla się nowym

¹⁾ W starostwie grybowskiem istniał przepis następującej treści: »kiedy zaś z nich który pocznie się na nowym budować placu, temu aby pomogła bez dnia pańskiego gromada i przez rok jeden od zaczęcia tego budynku żadnej robocizny odbywać, ani czynszu nie dawać i do żadnej nie powinni należeć kontrybucyi«. *Castr. Sand. I. 152, st. 1038—1048.*

gospodarzem, »potym gdy się majątność naprawi, albo tesz dziedzicowi biegunowi naprzykrzy się gdzieindziej mieszkać, wracają się i trudności zadają tym, których panowie poosadzali i którzy tamże ubezpieczyli się jusz jako w swym własnym«¹⁾. Że rzeczywiście obawa nowych posiadaczy co do ustępstw była uzasadnioną, że rzeczywiście dawni właściciele usuwali od posiadania nowych, tego mamy liczne dowody. W tejże wsi Kasinie Wielkiej bracia Trzostowie domagali się od rugu w r. 1690 uznania ich praw do zarębkę, na którym już osadzono braci Nowaków. I nie pomogło w tym wypadku, że »bronili się Nowakowie i puścić tego zarębkę nie chcieli dlatego, że objęli pustki i naprawiali te pola z wielką pracą, do tego że pobudowali pięknie swoim przemysłem i kosztem«, nie pomogło, bo sąd. uważając »że ten zarębek należy dziedzicznym prawem Trzostom«, oddaje im go po wypłaceniu wkładów²⁾. Podobnie we wsi Olszówce jeden z poddanych-zbiegów, powróciwszy po pewnym przeciągu czasu do wioski, uzyskał jednak zwrot swej majątności.

Wprawdzie zwierzchność dworska usiłowała przeciwdziałać tej praktyce, postanawiając, że raz opuszczone gospodarstwo, po upływie pewnego czasu, nie ma już nigdy wracać do dawnego właściciela i jego potomstwa³⁾, jednak przepis tego rodzaju nie zawsze był przez sąd wiejski wójtowski wykonany, nie zawsze doznawał urzeczywistnienia. Rezultatem tego rodzaju praktyki była niechęć do obejmowania pustych zagród i ról kmiecych. Czasami niechęć tę ze strony dworu uwzględniono i w razie odmowy poddanego, do objęcia pustki go nie przymuszano, czasami jednak było inaczej, bo stosowano przymus. Że rzeczywiście przymus ten miał w stosunkach wiejskich zastosowanie, tego liczne przykłady mamy zaznaczone w księgach sądowych wiejskich. I tak na zagrodę Skorubkówkę w Olszówce trzeba było gwałtem

¹⁾ Starod. prawa pol. pomn. X. st. 324—325.

²⁾ Tamże st. 369—370. Wkłady te miał ocenić wójt z Jodłownika — ocenił zaś je na 150 złp.

³⁾ W Kasinie Wielkiej postanowiono na przyszłość: »ktoby wyszedł z państwa, będąc przy rozumie, nimając pozwolenia zapisanego, a doszedłby jakich dóbr, bądź ruchomych, bądź nieruchomych, tym samym traci wszystko i nima prawa wienczej upominać się... Starod. prawa pol. pomn. X. str. 324—325.

przewieźć Jana Masła¹⁾, w Łące zaś tamtejszy administrator »Józefowi Golonce sto kijów obiecował dać, ażeby ten pułrolek, na którym teraz siedzi obejmował«²⁾. Nie inaczej było też w majątności suskiej, skoro tam po Błażeju Szmacie »naznaczono na ten grunt wziąć gwałtem i osadzić Jakóba Zawilę«³⁾. Na przymus objęcia gruntu wskazują i wzmianki zaczerpnięte z dóbr kapituły krakowskiej. Tam to, gdy we wsi Dzierązni było kilka ról pustych, to postanowieniem dworskiem wyznaczono trzech zagrodników, Adama Nagierza, Tomasza Zająca i Wojciecha Zmarzłego, do ich objęcia, zlecając zarazem, że na opróżnione przez nich zagrody mają przyjsć inni poddani⁴⁾. W innym przypadku przymus ten i obowiązek poddańczy do objęcia gospodarstw pustych wyraźnie jest zaznaczony. Gdy bowiem kapituła krakowska wydzierżawiła w r. 1722 kanonikowi Lochmanowi pomienioną wieś Dzierąźnię, to w jednym z punktów umowy polecono mu: »a ponieważ ról pustych jest kielka, na których niemasz osiadłości, więc Jego Mć Xdz Kanonik z zagrodników na małe role postanowi ze dwóch, aby na nich osiedli, którym obmyśli in parte sprzężaj i zasiewki«⁵⁾.

Najdosadniejszym przykładem jednak tego przymusu jest ustawiczne spędzanie poddanych z gruntu, a przenoszenie ich na inny. Taką praktykę stosował Gardulski w Rupniowie w stosunku do tamtejszych włościan, a taka sporadycznie musiała mieć miejsce i w dobrach kapitułnych, skoro na rewizji w r. 1751 »niejaki Antoni Bogusz skarżył się, że go z roli na rolę już trzecią zganiają z jego zubożeniem«⁶⁾.

Obowiązany do objęcia gruntu w granicach wioski byli wszyscy poddani płci męskiej, żyjący w małżeństwie, o ile z innych przyczyn jak np. choroby, starości nie byli od tego obowiązku zwolnieni. Obowiązek ten jest dalszym przejawem zasady,

¹⁾ Rkp. Bibl. Jag. 909, fol. 8.

²⁾ Arch. kraj. w krak. dep. 239, st. 3—4.

³⁾ Rkp. Bibl. hr. Bran. 18, st. 355—356.

⁴⁾ Arch. kap. krak. Akta wsi Dzierąźni fol. 68. Korzystałem z oryginalnych odpisów dotyczących poszczególnych wiosek i kluczy dzięki uprzejmości Przewielebnego ks. Prałata Dra Nikła, za co Mu na tem miejscu najserdeczniejsze składam podziękowanie.

⁵⁾ Tamże, fol. 66.

⁶⁾ Tamże, fol. 21.

że każdy zdolny do pracy poddany winien pracować i to nie gdzieindziej tylko w granicach wioski. Oczywiście przytem jest rzeczą, że poddani, powołani do objęcia gospodarstwa, starali się rozmaitemi wymówkami zwolnić się od tego obowiązku, przedewszystkiem zaś przy pomocy opłat pieniężnych starali się od niego wykupić. W ten to sposób wykupili się od objęcia roli w Kasinie Wielkiej Ziemianin, Skwarczek i Chęci, składając większą sumę pieniężną. Uzyskali też za to wyraźne oświadczenie przeora w sprawie zwolnienia ich, ponieważ ten »uczynił ich wolnemi od tej roli i deklarował, aby ich na potym dwór z ich zarębków nie ruszał, ani na puste role osadzał«¹⁾.

Mówiąc o przymusie objęcia roli, wypadnie na jeden jeszcze moment zwrócić uwagę. Oto dwór zdawał sobie dokładnie sprawę, że przymuszony do objęcia gospodarstwa poddany nie jest nabytkiem dobrym, że może on skorzystać z nadarzonej sposobności i uciec z wioski. Chcąc tej ewentualności uniknąć, wprowadził on w stosunki wiejskie formę kolektywnej odpowiedzialności, posługując się instytucją rękojemstwa. Ręczyli więc za nowoosadzonego gospodarza sąsiedzi, ciesząc się mniejszem lub większem poważaniem we wsi, że będzie on dobrze prowadził gospodarkę, że będzie sprawiał budynki, a w końcu że z wioski nie ucieknie. W ten to sposób w Olszówce ręczą w r. 1733 za Jana Kusia czterej jego krewni wraz z wójtem Waclawikiem, że »nigdzie ze wsi nie pójdzie, ale owszem gdzie go Zwierzchność postanowi Dworska i osadzi statkować będzie«²⁾, w następnym zaś roku ręczą dwaj inni poddani za Jana Sochaczaka, »jako półrolek statecznie trzymać będzie«³⁾. Podobnie w innym wypadku ręczą za Jana Kaczmarczyka poważni gospodarze, przy czem zaręczony przez nich »deklaruje się zaraz po zbiórkach domostwo swoje należycie ze wszystkim sporządzić i zbudować należycie, wszystko nowe podawać, jako to krokwie, łąty i gonty, także drzewa nie spruchniałki w ścianę dawać«⁴⁾.

Rękojemstwem posługiwano się przy zmuszaniu do objęcia gospodarstwa i w kluczu pacołtówickim. I tam to bowiem w r. 1672

1) Starod. prawa pol. pomn. X. st. 365.

2) Rkp. Bibl. Jag. 909, fol. 51.

3) Tamże, fol. 52.

4) Tamże.

ręczą dwaj starzy ludzie za Krzysztofem Strycharzem, »że już będzie statkował i więcej tego się nie będzie ani czynił, submitując się przerzeczeni rękojmowie bona fide, przyrzekając za to, iż gdyby znowu miał uciec, oni go mają stawić klasztorowi, a jeżeliby co zabrał, oni będą powinni nagrodzić to wszystko, albo jeżeliby jaką szkodę uczynił i złość wyrządził, zgola cokolwiekby z strony tego to zbiega zaręczonego szkodliwego się klasztorowi stało, oni za to odpowiadać obowiązują (się) aere et corpore«¹⁾.

Czasami i rękojemstwo zawodziło. Doświadczył tego klasztor OO. Karmelitów w Czernej, któremu »za Michalczyka kmiecia złożonego dla hultajstwa i niegospodarstwa swego z rolej« zaręczyli »niektórzy osiedli kmiecie... że się poprawi i dobrem będzie gospodarzem kmieciem, dworowi dosyć czyniacem i pożytecznem, zarówno z drugimi pańszczyzną pociągającym«, a tymczasem kiedy on »w kilka niedziel ze dwora frantowskim sposobem krowę wyprowadziwszy sprzedał i przemarnował«, to przecież rękojemcy nie wynagrodzili tej szkody dworowi²⁾. Nic też dziwnego, że po tym wypadku dwór wydał w r. 1672 ustawę w sprawie rękojemstwa tej treści: »żeby się ostrożnie na potym podejmowali rękojemstwa, nie na oszukanie panów swoich i ochydę dobra klasztornego, tedy jeśli kto będzie ręczył za kogo, powinien będzie odpowiadać i dosyć uczynić za tego, za kogo ręczył i wszelkie szkody nagrodzić, jeśli się jakie stały przez zaręczonego, pod więzieniem i winami, według zdania pana własnego«³⁾.

Podobnie jak poddany był obowiązany do przyjęcia miejsca poddańczego rolniczego, podobnie też ciężył na nim obowiązek w razie, gdy był rzemieślnikiem, objęcia zagrody rzemieślniczej. Stąd to każdy z młodzieńców wiejskich, idąc na naukę rzemiosła, musiał dać zaręczenie, że wróci do wsi i będzie pełnił obowiązki swego fachu. Tak to za Witkiem Rychlakiem, idącym na naukę do sztuki młynarskiej i ciesielskiej, ręczy Zofja Wawrzeniaszkowa i Antoni Wacławik, że wyuczywszy się »nazad

¹⁾ Starod. prawa pol. pomn. XII. st. 407.

²⁾ Tamże, st. 403. Stąd to dwór stwierdza, mówiąc o szkodzie: »któraby de iustitia powinni rękojmowie zapłacić i odpowiadać za ladajakie po staremu postępkowi jego, niedobrego kmiecia«.

³⁾ Starod. prawa pol. pomn. XII. st. 396.

do ojczyzny swojej, którą ma na Rabie, wróci i jako nie tylko się w Mszany i w inszym Państwie żenić nie będzie, ale wyuczywszy się pozwolonego sobie rzemiosła, powróci do swojej ojczyzny«¹⁾.

Co więcej, panowie chcąc mieć odpowiednich rzemieślników, sami wysyłali młodzież na naukę, oczywiście z obowiązkiem powrotu i objęcia zagrody. Tak to postąpił starosta olszowski Roman Sierakowski, wysyłając Michała Rączkę dla wyuczenia się »kunsztu garncarskiego« do Suchej i Jasienicy, przyczem wszelkie koszta w postaci pieniędzy i ordynarji sam ponosił. Żle mu się jednak odplacił pupil. Korzystał bowiem z pierwszej sposobności, aby uciec i dopiero pochwycony w Krakowie, został w kajdanach przyprowadzony do Olszówki i wrzucony do więzienia. Kiedy potem prosił o wypuszczenie go z więzienia, obiecano mu to, ale zażądano od niego, »aby się ręczył, jako się ożeni i ożeniwszy we wsi jako własny poddany będzie siedział«.²⁾ Oczywiście, że przy tej sposobności nie zapomniano i o osiedleniu go na jednej z zagród wiejskich, który to warunek więzień musiał przyjąć.

Istniał więc przymus obejmowania ról i zagród w dawnej wiosce polskiej³⁾. Z drugiej jednak strony wypada zaznaczyć, że przecież nieraz nie trzeba było poddanych przymuszać do obejmowania pustkowi, że włościanie nieraz chętnie brali się do zagospodarowania opróżnionego gospodarstwa. Co więcej, księgi wiejskie, zapisujące skrzętnie każdą zmianę własności na terytorjum wiejskiem, dostarczają nam mnóstwa przykładów, iż poddany stara się zdobyć opróżniony kawał gruntu, że nawet stara się złożeniem pewnej opłaty upewnić się w posiadaniu gospo-

¹⁾ Rkp. Bibl. Jag. 909, fol. 58. Dodano przy tem: »a jeżeliby tego nie dotrzymał i swoich rękowników zawiódł, wtedy przerzeczeni rękownicy o niego starać się będą, aby go stawili na sześciu niedzielach od rozkazania Pańskiego, a w niedostawieniu winę grzywien pięćdziesiąt będą powinni«.

²⁾ Rkp. Bibl. Jag. 909, fol. 59—60. I tu znowu nałożono wielką odpowiedzialność na rękojemców, albowiem w razie ucieczki Rączki mieli zapłacić starości 200 tynfów, jako wynagrodzenie kosztów starosty, poniesionych na naukę tego rzemieślnika.

³⁾ Wyrażnie o tym przymusie mówi z praktyki własnej Popiel, Wiesz dawna a dzisiejsza. Przegl. polski. 1910. T. 175, st. 284.

darstwa. Ta jednak okoliczność faktu istnienia przymusu nie zmienia.

Przymusy, mające związek z pracą dla pana i jego folwarku, nie kończyły się na objęciu gruntu przez poddanego i na odpowiedzialnej gospodarce na nadanym zagonie. Oto bowiem poza dniami pańszczyźnianymi, poza tłokami, powabami i szarwarkami, jeżeli pan jeszcze potrzebował robocizny, to chłop miał obowiązek nadprogramowej pracy na folwarku pańskim za wynagrodzeniem. Wynagrodzenie zaś to obejmowało albo utrzymanie w naturze z pewną ilością groszy, albo też tylko było obliczone w pieniądzu, zwyczajnie zaś było niższe od ceny najmu płaconej robotnikowi wolnemu. Musiało być zresztą niższe, skoro pomieszczano ten obowiązek nieraz w inwentarzach, ponieważ te zaś utrzymywały się dłuższy czas, przeto i wynagrodzenie wobec ustawicznej dewaluacji pieniądza musiało przedstawiać się zaledwie jako cząstka właściwie się należącego¹⁾. Że już w inwentarzach poddańczych pomieszczano ten obowiązek nadprogramowej pracy, o tem świadczą liczne zapiski. W Jazdowie postanowiono, iż komornikom należy płacić za dzień spędzony przy żniwie jarzyny 2 grosze, a oziminy 3 grosze przy równoczesnem utrzymaniu komornicy²⁾. Podobny obowiązek znajdzie się i w innych wioskach, podlegają mu zaś nietylko komornicy i komornice, ale chałupnicy, zagrodnicy, a nawet w jednym wypadku i kmiecie. Wynagrodzenie za dzień roboczy waha się w rozmaitych wioskach, wynosi ono więcej przy ozimieniu, mniej przy jarzynie, w każdym jednak razie w znanych nam inwentarzach z XVIII wieku nie przenosiło ono kwoty 12 groszy (takie to wynagrodzenie płacono we wsi Dąbrowicy).

Gdziekolwiek wymagano tej nadprogramowej pracy nawet w tym wypadku, gdy w inwentarzu o tym obowiązku nie było żadnej wzmianki. O przymuszaniu do tego rodzaju pracy słyszymy we wsi kapituły krak. Sieciechowie³⁾, ponadto i Smyko-

¹⁾ Takie stosunki miały miejsce i na Śląsku, Morawach i w Czechach, co poświadcza Grünberg, Bauernbefreiung, I. st. 15.

²⁾ Rel. Crac. t. 140, st. 2630—2844. I Firlej, wydając ustawę dla Strajniowa, pomieszcza w niej obowiązek nadprogramowej pracy.

³⁾ Arch. kap. krak. Akta dotycz. wsi Sieciechowa, fol. 19. Przy re-

wie, gdzie w r. 1698 skarżą się poddani na dzierżawcę Bielskiego, »że na nich kład robociznę, jako to odrobiwszy powinność dworską, nie komu innemu tylko jemu musieli robić, a na dzień im płacono tylko po groszy trzy«¹⁾.

O ile ten przymus, w granicach umiarkowanych trzymany, nie dawał się we znaki, o tyle nadużywany był uważany za wielkie bezprawie, był zaś uważany zwłaszcza wtedy, gdy dzierżawcy wiejscy ciągnęli z niego wielkie dochody, wynajmując wprost obcym dworom tę nadprogramową pracę. Tak zaś robił dzierżawca Sieciechowa około r. 1753, kiedy to — jak mówili chłopci — »do inszych postronnych wsiów« musieli chodzić, aby pracować za małym wynagrodzeniem. Tak stosowany przymus uważali światlejsi właściciele za nadużycie. Za nadużycie też i to krzyczące uważał je Popiel, który na podstawie własnej praktyki gospodarczej stwierdził, że ten najem przymusowy był bardzo często we wsi polskiej używany²⁾. Pouczającem też byłoby przyrzec się sposobowi, w jaki go przeprowadzano. Oto autor ten proceder tego rodzaju tak opisuje. »Polowy dworski według dyspozycyi ekonoma do tyłu, ilu ich było na razie potrzeba zagrodników, przychodził z rozkazem stawienia się jutro do tej a tej roboty, a dawał w zamian zwykle dziesięć groszy, jeśli zaś chłop przyjąć nie chciał, kładł mu je na próg i odchodził, a chłop choć już odrobił należną pańszczyznę, do roboty pod karą stawać musiał«³⁾.

Inną tylko formą najmu przymusowego była praca rzemieślników wiejskich. I oni bowiem, poza odrobieniem zwyczajnej swej pańszczyzny w przedmiotach i wytworach swego fachu, musieli nadprogramowo za niższem, niż należało wynagrodzeniem, pracować dla dworu. Tak to Knapowie robili w Przeciszowie dla dworu płótno, od którego płacono im w stosunku od 1 łokcia po 1 do 3 groszy, zależnie od gatunku wyrobu. Podobnie wyznaczoną była z góry zapłata i szewcom garbującym skórę. I oni

wizji tej wioski rewizorowie wyraźnie zaznaczyli, aby dzierżawca poddanych, gdy dzień swój odrobią pieszy, pieniędzmi na najem nie zarzucał. Na innem zaś miejscu zaznaczono, że na taką robotę dzień na dzień poddanych goniono.

¹⁾ Tamże, Akta wsi Smyków. fol. 98.

²⁾ Popiel, Wieś dawna a dzisiejsza l. c. st. 175.

³⁾ Popiel, l. c. st. 285.

bowiem od wygarbowania cielej skóry mieli otrzymywać groszy 6, zaś od wołowej 1 złp. Co więcej w zapisce zaznaczono, że »kował jak przeciszowski tak i podolecki we dworze kiedy potrzeba powinni robić bez zapłaty, chyba z dyskretyi mu dać co, chyba żeby jaką wielką robotę robili«¹⁾.

I w innych wioskach nieraz oznaczano w inwentarzu cenę pracy rzemieślniczej. We wsi Dąbrowicy młynarz powinien być »do siekiery, kiedy potrzeba za pieniądze iść, a dzień jemu ma być rachowany po gr. 15«; zaznaczono jednak przytem, że »mała reperacya jako to do poprawy dachu lub folwarku nie ma być rachowana«²⁾.

Czasami i tego małego wynagrodzenia rzemieślnikowi nie wypłacano. Oto we wsi Biadolinach »kowale uskarżali się... że płatni nie byli od roboty, którą na insze gronta robili«, a podobnie analogiczne zażalenie wniosli bednarze, którym nietylko — jak się wyrażali — »nie płacono od takowej roboty, ale insuper z swoich materyałów tę robotę robić musieli«³⁾.

Dobiegliśmy tym sposobem do końca naszych wywodów. Rozpatrując poszczególne elementa przymusu pracy, można stwierdzić, że wypływały one przedewszystkiem z wybitnego stanowiska, jakie zajmował pan w wiosce, który wymagał, ażeby podany całą wartość swej pracy jemu ofiarował, ażeby cała energia jego twórcza jemu tylko służyła. Stąd to starał się on energję tę na rozmaitych polach wyzyskać, starał się zaś ją wyzyskać do tego stopnia, że bolało go, gdy chłop na chwilę chociaż nie miał zajęcia. I wtedy to bowiem żądał, ażeby go pociągnąć do jakiegokolwiek pracy, jaka się tylko na folwarku lub we dworze nadarzyła — jak tego wybitny dowód daje nam wojewoda Anzelm Gostomski w swem »Gospodarstwie«.

Dr. Józef Rafacz.

¹⁾ Rkp. OO. Dominik. w Krak. 9, st. 1312. Tak samo bez zapłaty miał pracować kołodziej wiejski, a do tego zaznaczono, że »kiedy potrzeba do dworu ryb na kuchnię podczas jakiego gościa, powinni szewcy na rzekę pójść z włokiem, ale ich też powinien ekonom pro tunc będący poczęstować podczas i chleba kawałek podać«.

²⁾ Rel. Crac. t. 181, st. 717—733.

³⁾ Arch. kap. krak. Akta wsi Biadolin i Bogumiłowice, fol. 33.

Dzieło Francuza o Skardze.

Nasza, jakby we krwi tkwiąca, sympatja dla Francji nie cieszyła się od lat dziesiątek do ostatnich niemal wypadków wielką wzajemnością. Interes polityczny i ekonomiczny zaważył na opinji w kierunku przyjaźni z Rosją, która to przyjaźń ipso facto musiała wyjść na szkodę Polsce¹⁾. Wpływowi temu uległy, świadomie lub nie, te sfery nawet, które w czasach pokojowych przynajmniej zdala stały od polityki. Wystarczy wymienić dzisiejszego następcę Mickiewicza w *Collège de France*, którego mała i bardzo powierzchowna znajomość rzeczy polskich jest jeszcze mniejszem złem od zacięcia wybitnie rusofilskiego aż nadto widocznego w jego dziełach. A i ludzie prawdziwej nauki woleli zajmować się rzeczami rosyjskimi niż naszymi. Od sławnej a świetnej książki Voguë'go o »powieści rosyjskiej« do gruntownych studjów o Tołstoju, pisanych przez wytrawnych filozofów (Dumas) roi się na pułkach księgarskich i w czasopismach francuskich od prac czy artykułów, dotyczących piśmiennictwa rosyjskiego, a pisanych przez Francuzów. Kto wie, czy temu »duchowi czasu«

¹⁾ Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny miałem u siebie sympatyczną wizytę współpracownika wybitnego czasopisma katolickiego we Francji, który zbierał informacje, dotyczące katolicyzmu w Polsce. Kiedy mówiłem o ciężkiem położeniu religijnem pod zaborem rosyjskim i wyraziłem zdziwienie, że w katolickich pismach francuskich tak oburzająco mało się o tem pisze, że opinja francuska poprostu nie ma wyobrażenia o tem, co się dzieje, usłyszałem odpowiedź, że redakcje są bezsilne wobec nacisku »z góry«; »wolno nam pisać o sprawach poznańskich, ale niepodobna umieścić artykułu kompromitującego Rosję; były usiłowania, niestety bezskuteczne«.

nie należy też przypisać onego raczej chłodnego przyjęcia, jakiego doznało w krytyce francuskiej »Quo vadis?«

Zaznajamianie z rzeczami polskimi było dziełem prawie że tylko samych Polaków, którzy w dodatku napotykali często nielada trudności w umieszczaniu swoich artykułów. Francuzi, jak Sarrazin, należeli do wyjątków, nie mówiąc, że zazwyczaj brali tę znajomość rzeczy polskich z drugiej ręki, a więc ich prace miały znaczenie raczej tylko popularyzacyjne.

Otóż wojna światowa sprowadziła korzystną dla Polski zmianę; że na polu politycznym, o tem wiemy skądinąd, nie potrzebujemy zaś wątpić na chwilę, że ta zmiana wkroczy i w dziedzinę literatury, która wbrew naiwnym zdaniom przeciwnym idzie znacznie więcej za życiem, aniżeli naodwrot.

Za zapowiedź tego pożądanego dla nas faktu możemy uważać dzieło niepośledniej miary, które ukazało się w czasie wojny o naszym Piotrze Skardze ¹⁾.

I nie dość na tem; aby tego kaznodzieję polskiego pokazać, jakim on był, ten sam uczony, jak skądinąd dowiadujemy się — kapłan francuz, wydał równocześnie przekład kazań sejmowych z obszernym wstępem i uwagami ²⁾.

Nie jest to rzecz z drugiej ręki, ale oparta na sumiennych badaniach autora, który, język nasz poznawszy gruntownie, zaznajomił się z przedmiotem w sposób nie pozostawiający pod względem naukowym prawie nic do życzenia. Ton całości nie jest ani panegiryczny, ani też nie zdradza uprzedzenia; autor chętnie, nieraz z ciepłem widocznem podnosi strony dodatnie Skargi, ale i ujemnych nie pomija; owszem nie szczędzi surowej krytyki naszym biografom wielkiego kaznodziei, którzy nie umieli się wznieść na wyżyny bezstronnego sądu. Że zaś dzieło to obejmuje całokształt życia i pism Skargi, jest przeto pierwszą krytyczną, prawdziwie naukową monografią, obejmującą cały przed-

¹⁾ Un prédicateur de la Cour de Pologne sous Sigismond III. Pierre Skarga (1536—1612). Etudes sur la Pologne du XVI siècle et le protestantisme polonais, par A. Berga, docteur ès lettres. Ouvrage couronné par l'Académie française. Paris, 1916, str. 376.

²⁾ Les Sermons politiques (Sermons de diètes. 1597) du P. Skarga S. J. Prédicateur du roi de Pologne Sigismond III. Traduits pour la première fois intégralement du polonais en français et accompagnés d'une introduction et des notes critiques. Par A. Berga i t. d. (j. w.).

miot, jakiej dotąd u siebie nie posiadamy; bo książka Rychcieckiego jest zbyt naiwna, a drobne broszury, wydane w roku jubileuszowym, nie mogą mieć pretensji do wartości naukowej. Ale też właśnie dlatego warto się z dziełem Bergi bliżej zapoznać, by wiedzieć, jak też się przedstawia nasz wielki Skarga cudzoziemcowi kulturalnemu, bez uprzedzeń do Polski i katolicyzmu, ale i człowiekowi nauki, nadto Francuzowi, który ma u siebie najbogatszą literaturę kaznodziejską w świecie?

Otóż Skarga, jako człowiek, jest dla autora bez zarzutu: »Polska traciła w Skardze — czytamy pod koniec żywota — nie tylko swego największego kaznodzieję, ale także syna najbardziej oddanego, bo nikt nie był bardziej przywiązany do swej ojczyzny, nikt nie posiadał więcej poczucia narodowego. U niego miłość do Kościoła była zawsze złączona z miłością ojczyzny, i nie mógł on mówić o jednym, aby mu na usta nie cisnęło się imię drugiej. Nie jest naszym zadaniem pochwała zakonnika. Ci którzy zechcą wiedzieć, jak daleko posuwał ducha posłuszeństwa i ubóstwa, niech tylko przeczytają jego listy, a będą zbudowani. Jest on zawsze gotów złożyć w ofierze swoją własną wolę... jest on, jak tego chciał założyciel jego zakonu, sicut cadaver... Fenomenalnie czynny, odpoczywa on po jednej pracy, zabierając się do drugiej; zawsze zajęty, każe sobie czytać Pismo św.; w podróży... modli się, pisze, rozmyśla, każe, spowiada, odwiedza biednych i strapionych... Człowiek się pyta, jak znajduje czas na to wszystko. Surowy dla siebie aż do twardości, ma złote serce dla drugich. Małuczy, chorzy, uciskani, wszystko co cierpi, budzi jego współczucie... Temperamentem żywy, a może z natury gwałtowny, umiał się opanować. Nie nienawidził nikogo. Nie nienawidzi on heretyków, ale jedynie herezję, a w najzaciętszych swoich polemikach, jeśli godzi niekiedy z gwałtownością w doktrynę, oszczędza zawsze osoby. Słowem, Skarga daje nam obraz wielkiego serca i wielkiego charakteru« (str. 259 i 260).

Autor to życie przedstawia bardzo gruntownie, dyskutując każdą sporną kwestję sumiennie, czy to pochodzenie Skargi (oświadczają się za mieszczańskim), czy to »pamiętny sejm« r. 1606, który roztrząsa bardzo rzeczowo, ostatecznego sądu o tej ciekawej kwestji nie wydając. Przytoczywszy pełen siły ustęp ze skargowskiego »Dyskursu na konfederacyę«, taką czyni uwagę: »W ustępie tym wybucha wiara gorąca i niewzruszona Skargi;

jest to jakby echo onego non possumus apostołów i pierwszych męczenników. Chciałoby się jednak być pewnym, że Skarga uczynił zastosowanie słuszne i stosowne tego non possumus, gdy odepchnął jako zbrodnię ów kompromis, który poważni i uczeni biskupi aprobowali zrazu, nie znajdując w nim nic złego, a nabiera się uzasadnionej obawy, gdy się wie, że Skarga głęboko przesiąknięty był ową wątpliwą maksymą, którą uważał za niewzruszoną zasadę, że mianowicie jedność religijna jest istotną podstawą jedności politycznej¹⁾.

Portret duchowy kaznodziei nie wypadł pod piórem ks. Bergi tak plastycznie, jakbyśmy tego pragnęli, prawda, że tego portretu nikt nam jeszcze nie dał i u nas także; do tego bowiem brak dokumentów, nie są bowiem niemi nawet listy Skargi, które w przeciwstawieniu do listów Bossueta, a cóż dopiero św. Franciszka Salezego i Fenelona, są tak bezosobiste, tak tylko »lettres d'affaire«, że aż zdumiewa zdanie uczonego Francuza, który twierdzi, że »listy Skargi mogą być cennymi dla psychologii zakonnika« (s. 147¹⁾). Niestety one dają za mało i stąd tej »psychologii zakonnika« nie uchwycił ani ks. Berga ani Dzieduszycki, Tarnowski czy którykolwiek z badaczy. Wolałoby się jednak w dziele Francuza widzieć więcej uwidocznioną różnicę między Bossuetem a Skargą pod tym właśnie względem; obaj różnią się tu i jako ludzie i jako pisarze-kaznodzieje. Jako człowiek, Bossuet odsłania nam znacznie więcej swego »ja poufnego« (moi intime); jako kaznodzieja, przeciwnie, swoje »ja« usuwa niemal

¹⁾ Autor przy tej sposobności cytuje zdanie innego Jezuita O. Vermeersch'a S. J. (La tolérance, str. 213), który twierdzi, że »maksyma ta (jedność religijna stanowi jedność państwa), wzięta dosłownie i jako prawdziwa zawsze, prowadzi do bezwzględnej nietolerancji, narzucającej jedność religijną jako istotną państwu, a nawet więcej, jako jego konieczny obowiązek«. O rozprawie O. Sasa T. J. twierdzi autor, że ona »tylko zaciemnia kwestję; »jest to raczej obrona aniżeli obiektywne studjum historyczne«. Podobnie w innem miejscu sąd ujemny wypowiada o historii Jezuitów w Polsce O. Załęskiego, która »nie wydaje się by stała na wysokości krytyki«, i wyraża żal, iż Niemiec O. Duhr S. J. nie objął także Polski swem dziełem, poświęconem historii Jezuitów w Niemczech (str. 154²). O zakonie Jezuitów wogóle nie czytamy w dziele ks. Bergi nigdzie sądu ujemnego; owszem dużo dodatnich, zwłaszcza gdy mówi o ich działalności w Polsce w w. XVI, o znaczeniu, jakie zdobywali sobie przedewszystkiem swą gorliwością, nauką i t. d., słowem rzetelną wartością.

zupełnie, a już mu na myśl nie przyjdzie występować wobec swych słuchaczy w roli szczególnego wysłańca bóżego, jak to czyni Skarga tak w kazaniach, jak w innych dziełach: różnica to charakterystyczna nie tylko dla pisarzy, ale i dla obu narodów, z których wyszli i mająca swoją rację w najgłębszych pokładach psychiki narodowej. Autor, dając w pierwszej części swego dzieła szeroko zakreślony obraz Polski XVI w. i niejedną cechę psychiki naszej bardzo trafnie odsłaniając, tę stronę rzeczy po-
miął.

Nie sądzę też, aby autor miał słuszość, twierdząc, że Skarga ogłaszał swoje kazania jedynie na życzenie przełożonych. Czy istotnie dowodzi tego zdanie, przytoczone z listu Skargi: *Optarem aliquid, ex consilio R. P. Provincialis, scripto aliquo Dei gloriam et animarum utilitatem promovere?* Jest tu »rada« przełożonego ale i »życzenie« własne (*optarem*). Zresztą, że kaznodzieja z przyjemnością ogłaszał kazania, dowodzą wyraźniejsze już słowa z listu innego, gdzie mówi o jednym ze swych kazań: »Słowa moje zostały za pomocą Bożą przyjęte od wszystkich z wielkimi oklaskami i zadowoleniem, o czem pisze osobno O. Fryderyk B., który był przytomnym. Com powiedział, ogłoszę drukiem, jeśli to przełożeni uznają za stosowne«. Myśl ogłoszenia tu wychodzi od kaznodziei, który ma ambicję autorską, bardzo widoczną i w tem starannem przygotowaniu do druku dzieł swych i w niedwuznacznych wypowiedzeniach się w przedmowach (do Kazań czy Żywotów świętych).

Jeśli jednak rysów indywidualnych w tym portrecie brak, to jako człowiek czynu ukazuje się nasz kaznodzieja w dziele francuskim bardzo plastycznie; zwłaszcza że autor dał za tło nader dokładny obraz Polski w. XVI z szczególnem uwzględnieniem walk religijnych, w których Skarga tak dominującą odgrywa rolę; rzecz ta napisana jest z wielką erudycją, choć możnaby się pospierać z autorem, czy nie za czarno to tło dziejowe podmalował; to pewna, że i w tem nie znać bynajmniej tego stronniczego uprzedzenia, którem nas rażą piszący w tym przedmiocie cudzoziemcy, czasem nawet... Polacy.

Najlepszą jednak częścią dzieła i dla nas najcenniejszą i najciekawszą jest to, co ks. Berga mówi o Skardze jako pisarzu, w szczególności zaś jak okaznodziei, bo ostatecznie to jest główny tytuł jego do sławy u nas i za granicą. Dla nas zaś ten sąd

uczonego a nieuprzedzonego cudzoziemca jest tem cenniejszy, że bezstronność w ocenianiu tej postaci właśnie jest nam osobliwie trudną. Przed Mickiewiczem nie było pisarza polskiego, któryby tak za serce chwycił każdego Polaka, jak Skarga; a więc i w sądzie o nim to serce polskie miewa głos silniejszy aniżeli rozum w postaci zmysłu krytycznego. Zauważył to także Berga i w dziele jego roi się od uwag nieraz bardzo złośliwych pod adresem naszych krytyków. Najwięcej zaś zdaje się drażnić autora pomysł równania Skargi z Bossuetem, który nazywa wprost »dziecinnym i śmiesznym« (puérile et ridicule, str. 272).¹⁾ W zasadzie daleki jestem od przeczenia uczonemu badaczowi; sam, poznawszy nieco gruntowniej Bossueta, nie miałem chwili wątpliwości co do tego, że Skarga Bossuetowi »nie dorówna jako człowiek kultury i jako mistrz słowa«¹⁾; ale właśnie tem śmieiej staję w obronie tych naszych krytyków, w których godzi uczony Francuz, o tyle mianowicie, że oni naprawdę Bossueta nie znali tak, jakby należało. Wprawdzie może autor zarzuci, że w takim razie nie powinni byli porywać się na to porównanie; ale z drugiej strony czyż to nie objaw powszechny w literaturze, iż naród, mający epopeję, porównywa ją często bezkrytycznie z Homerem, komedję z Molièrem, a tragedję z Szekspirem? Czy i we Francji Corneille'a a zwłaszcza Racine'a nie równa się z Szekspirem, na które to równanie nikt prócz Francuzów się nie zgodzi? Rodacy Bossueta mają piękne przysłowie: »wszystko wyrozumieć to znaczy wszystko wybaczyć«; przyznam się, że wolałbym więcej zastosowania tej maksymy w owych wycieczkach ks. Bergi przeciw naszym krytykom.

¹⁾ Muszę tu, niestety, cytować własną rozprawkę, p. t. Skarga i Bossuet (Tarnów 1913), której ks. Berga widocznie nie zna, skoro nigdzie nie wymienia; szkoda o tyle, że wyczytawszy w tej pracy uwagi bardzo zbliżone do swoich — nieraz poparte nawet identycznymi argumentami — autor możeby złagodził nieco swą surowość dla naszej bezkrytycznej apoteozy Skargi. Przypominam też, że już prof. Windakiewicz powiedział, iż »także w pogrzebowych kazaniach (Skarga) do Bossueta porównanym być nie może. Brakowało mu tego szerokiego wykształcenia... i wysokiego poziomu cywilizacyjnego«. (Kaznodziejstwo Skargi. *Przegląd Powszechny*, Sierpień, 1912). Dziwi mię trochę, że ks. Berga dostrzegł w *Przegl. Powsz.* rozprawkę bardzo młodzieńczą zmarłego dziś już autora, a pomiął tak gruntowne studia prof. Windakiewicza, zamieszczone w tymże samym roczniku (1912) tegoż *Przegl. Powsz.*

Oczywiście autor ma zupełną słuszość, podkreślając niższość Skargi jako teologa; nasi teologowie tu niestety zgrzeszyli rażąco bezkrytycznością; błąd ich musieli naprawiać badacze świeccy; na wpływ Bellarmina wskazał pierwszy Tadeusz Grabowski, a za tą wskazówką idąc, wykazał ten wpływ w »Kazaniach Sejmowych« Ignacy Chrzanowski. Ks. Berga te prace rozszerza; bardzo szczegółowo studjuje wpływ ten nadto w dziele »O jedności Kościoła« i w »Kazaniach na niedziele i święta«¹⁾ i dochodzi do wniosku, który aż nadto jasno uzasadnia, że kaznodzieja nasz nietylko pełnemi dłońmi z Bellarmina czerpie swoje argumenty, parafrazując je lub tłumacząc dosłownie, ale z tegoż autora bierze cytaty z Ojców Kościoła, przy których przytaczaniu popełnia błędy czasem niemal zabawne; słowem teologia Skargi jest z drugiej ręki²⁾. Słusznie jednak krytyk francuski zauważa, »że co do kwestji uczciwości, jaką podnosi za dni naszych plagjat, to nie stawiła się ona zupełnie w XVI w. i Skarga siedł za przykładem powszechnie przyjętym równie dobrze u protestantów jak katolików. Zresztą jezuita Skarga, kopiujący drugiego jezuity, mógł

¹⁾ Gdzieindziej (str. 309¹⁾) zauważa nadto autor, że o »Kazaniach o 7 Sakramentach« da się powiedzieć, że »wszystko prócz stylu jest z Bellarmina (sprawdziliśmy czternaście pierwszych w przekonaniu, że ta próbka wystarczy i znaleźliśmy, że wszystkie cytaty są u Bellarmina. Skarga niekiedy przemienia porządek albo okrawa). Im więcej się będzie szukało źródeł, w których czerpał Skarga, tem więcej znajdzie się Bellarmina. Nie jakoby Bellarmin był dla niego jedynem źródłem, ale to jest najobfitsze i główne. W kazaniu o Sądzie po śmierci (kazania przygodne)... cytuje na marginesie Stapletona. Oczywiście więc zna Stapletona i nim się posługuje; nie podaje wszakże, czy to dotyczy jego *Promptuarium catholicum* czy też *Promptuarium morale*... Porównaliśmy trzy pierwsze kazania adwentowe Skargi z kazaniemi odnośnemi z *Promptuarium catholicum* i znaleźliśmy te same cytaty Ojców Kościoła i heretyków, tylko niezawsze w tym samym porządku. Pewna liczba kazań, gdzieśmy nie rozpoznali inspiracji Bellarmina, mogłaby pochodzić od Stapletona; ale to nie ma wielkiego znaczenia. Legenda erudycji patrystycznej Skargi należy do przeszłości«. Zaznaczamy tutaj, że na wpływ Stapletona zwrócił pierwszy uwagę Tadeusz Grabowski (Piotr Skarga na tle literatury kat.).

²⁾ Warto dodać, że zupełnie to samo trzeba powiedzieć o kontrowersyjnych dziełach św. Franciszka Salezego (współczesnego Skardze), który także z drugiej ręki bierze swą erudycję teologiczną, często z błędami drukarskiemi cytując swoje wzory (Wykazuje to Fortunat Strómski w swej monografii o św. Franciszku Sal.).

myśleć, że używa dobra rodzinnego. Wolałoby się jednakże ze względu na reputację jego skromności, aby niekiedy był zacytował tego, któremu zawdzięczał coś ze swojej sławy» (str. 225). Nietylko to, ale »przez dziwne zapomnienie« Skarga, wymieniając raz kontroversistów katolickich, cytuje ich aż siedmiu (Cochlausa, Ecka i t. d.), nie wymienia zupełnie Bellarmina» (str. 307).

Skarga, jako historyk, budzi także w autorze wątpliwości; przyznaje mu wprawdzie, iż »opowiada ze swobodą i wkłada w swe opowiadania wiele wdzięku, a niekiedy zacięcie poetyczne«, ale »z punktu krytycznego« czyni autor »poważne zastrzeżenia«: »Skarga jest adwokatem równie jak historykiem i każe historii służyć ku obronie swej tezy. Dlatego to dyskredytuje Greków, by oderwać od nich (i od Moskali, ich satelitów) Rusinów; przesadza naprzykład znaczenie Unji florenckiej¹⁾... a za mało sobie waży przyczyny historyczne pogardy, niechęci i nienawiści wzajemnej, jaka istniała między łacinnikami a Grekami... naogół w książce tej nie widać dość walki dwóch ras i dwóch cywilizacji, nie mówiąc o walce interesów ekonomicznych« (S. 197/8), Ks. Berga ma słuszną; ale spytajmy, ilu to historyków do w. XVI w Europie rozumiało »walkę ras» lub różnych »cywilizacji?»

»Żywoty Świętych« wydają się autorowi »wybitnem dziełem literackiem i wzorem najczystszej polszczyzny w. XVI«; jednakże protestuje przeciw zdaniu Dzeduszyckiego i Załęskiego, jakoby to było dzieło oryginalne i genialne.

Rzecz o kazaniach jest bardzo gruntowna. Autor uważa Kazania na niedziele i święta za »typowe« u Skargi; omawia obszernie ich układ w porównaniu z układem kazań w Kościele

¹⁾ Bierze też za złe autor Skardze ton, w jakim przemawiał do schizmatyków w dziełku przeciw nim wymierzonym: »Po prawdzie książka Skargi była stronnicza i nie liczyła się z naciskiem i gwałtami, jakich dopuszczano się względem Rusinów schizmatyckich... Schizmatycki kościół ruski miał pewną słuszną skargę i Skarga mógł być okazać się dlań mniej twardym...« Wymieniwszy niesprawiedliwości znane z dziejów, tak autor kończy: »Byłoby godnem serca Skargi, który umiał znaleźć tak szlachetne wyrazy na rzecz maluczkich, nieszczęśliwych i uciśnionych, byłoby godnem jego duszy tak wzniosłej i tak niezależnej wobec możnych, zaprotestować przeciw tej niesprawiedliwości i temu brakowi zmysłu politycznego, które kompromitowały Unję i przeszkadzały w jej utrwaleniu się« (s. 245).

przed w. XVI i po nim i dochodzi do wniosku, że »jest to rodzaj przejściowy« między »czystą homilią« a »rodzajem regularniejszym i doskonalszym kazania dogmatycznego lub moralnego«; »razem wzięwszy, kazanie Skargi jest jakby szkicem naszego kazania, przynajmniej w swem powiązaniu i w swej treści«.

»Skarga — czytamy dalej — jest kaznodzieją z zamiłowaniem i powołaniem; we wszystkich swych dziełach czuje on się na kazalnicy i we wszystkich przechodzi w ton kaznodziejski... tworzy on sobie zresztą wysokie wyobrażenie o swych obowiązkach kaznodziejskich i liczy na pomoc bożą w tem ciężkiem zadaniu, z którego trudności zdaje sobie dobrze sprawę...« To samo co prawda da się powiedzieć i o Bossuecie i o każdym mniej więcej kaznodziei »z bożej łaski«; główny kierunek talentu musi zaważyć na całej twórczości pisarza; tak liryzm zaważy na dramatach Victora Hugo i Słowackiego, a zmysł malarski na twórczości Wyspiańskiego.

Ciekawe są uwagi autora o wyobraźni u Skargi, jako jego »faculté dominante«. »Widać, że Skarga liczy znacznie mniej na czysty rozum (rozumowania Skargi bywają bardzo słabe) aniżeli na wyobraźnię, by uderzyć umysł swych słuchaczy... jest w nim coś z poety, a jego wyobrażenia porusza się z tak przedziwną łatwością, że nie może on chwycić za pióro, aby natychmiast idea, którą chce wyrazić, nie przekształciła się w obraz... W tej obfitości nie wszystko posiada równą wartość... znaczna liczba tych obrazów... jest banalna... Nie trzeba zresztą dziwić się temu charakterowi banalnemu: Skarga bierze sporą część swych obrazów z Biblii, a zwłaszcza z Ewangelji, ponieważ jego kazanie zwraca się przede wszystkim do ludu, a nie jest bardziej ludowem nad obrazy Ewangelji. Nadto obrazy biblijne są wzięte z życia wiejskiego, a lud polski je rozumie i w nich smakuje o tyle lepiej, ile że jest ludem rolniczym«.

Obok wyobraźni najważniejszym czynnikiem twórczym u naszego kaznodziei jest uczuciowość. Autor z wielkiem ciepłem pisze o tem: »Powiedzieć, że Skarga jest uczuciowy, to nie dosyć: jest on namiętny. Ma on temperament gorący... Skarga jest zapalony miłością Boga: dowodem tego są wylewy pobożności, które się spotyka wszędzie nietylko w jego kazaniach, ale także w jego książkach i przedmowach. Jego miłość Boga posuwa się

aż do pragnienia męczeństwa. Kocha on Kościół całą duszą: by go bronić przed herezją, zrzekł się świetnego stanowiska i perspektywy biskupstwa, by wstąpić do Towarzystwa Jezusowego, i do ostatniego dnia życia nie przestał walczyć za ten Kościół. Kocha on swoich bliźnich bez wyjątku, ale zwłaszcza ubogich, maluczkich, uciskanych: świadczą o tem jego wymowne ujmowania się za nimi i jego dobroczynne fundacje. Tak samo jego prace apostołskie i jego gorliwość w nawracaniu heretyków pokazują, że kocha on dusze i że gotów jest, jak dobry pasterz, poświęcić się cały dla nich. Kocha on swoją ojczyznę, dla której obawia się gniewu bożego z powodu zbrodni narodu, i w swej trosce nie ustaje głosić grózb proroczych, wylewając krwawe łzy. Wszystkie te szlachetne namiętności wybuchają w kazaniach Skargi. Wypowiadają się one zazwyczaj w modlitwach końcowych, gdzie dusza jego wylewa się przed Bogiem... (str. 297/8). Autor oczywiście popiera swoje zdanie licznymi cytatami, a nadto, by dać wyobrażenie o konstrukcji całości, podaje we własnym a pięknym przekładzie jedno z kazań w całości (na 2-gą niedzielę po Wielkiejnocy).

Co do wartości estetycznej kazań, autor czyni liczne zastrzeżenia. Uwagi jego są bardzo ciekawe: i tak co do cytatów z Pisma św. zauważa, iż Skarga »nie posiada sztuki św. Bernarda albo Bossueta, u których znachodzi się zdania utworzone prawie całkowicie z wyrażań biblijnych, ale tak doskonale złane z tekstem kazania, że trzeba gruntownie znać Pismo św., by je tam odkryć. On cytuje, cytuje ciągle, nie zadając sobie czasem nawet trudu powiązania tekstów, chyba sposobem zbyt prymitywnym: ten powiada... drugi powiada...«

Osobny rozdział poświęca ks. Berga »retoryce, językowi i stylowi Skargi«. Odrzuca całkiem słusznie twierdzenie niektórych z naszych krytyków, jakoby Skarga gardził sztuką, ale i twierdzi, że »sztuka jego ma w sobie coś prymitywnego, że jego plany (kazań) są często źle zbudowane, że zaniedbuje on zazwyczaj przejścia (z jednego przedmiotu do drugiego) i że jego metoda ekspozycji nie jest dość oderwana od homilji, by być prawidłową«. Ostatnie zdanie tłumaczy obszerniej: »Zwyczaj, jakiego nabrał, stałego dzielenia kazania na dwie części, jakakolwiekby była ewangelja dnia i zachowania pierwszej części dla dogmatu, nie jest bez poważnej niedogodności; albowiem jedność kazania

na tem cierpi i niemal zawsze dwie części kazania tworzą dwa kazania odrębne, niejednokrotnie bez żadnego związku jednego z drugim. Otóż bez jedności niema dzieła sztuki. Wszyscy teoretycy w tem się zgadzają«. Uwaga to godna Francuza, z natury wrażliwego na tę jednolitość artystyczną; i niema chyba dwóch zdań, że ona potęguje wartość dzieła. Ale czy istotnie »bez tej jedności niema dzieła sztuki?«. Czy niejedna z tragedyj Szekspira, czy zwłaszcza »Faust« Goethego nie grzeszą przeciw tej jedności — a przecie są arcydziełami.

Mówiąc o języku i stylu, autor słusznie zauważa, że styl ten musiał się dostosować do poziomu audytorjum, które było bardzo niepodobne do audytorjum Bossueta, że cechą Skargi zatem to popularność; ten ton popularny ma swój wdzięk ale i swe niebezpieczeństwo wpadnięcia w trywialność; zdarza się to kaznodziei bardzo często. Autor z łatwością cytuje przykłady z kazań i zauważa nie bez słuszności, że »plamy te przyćmiewają blask dzieła, w którym się je znachodzi, a u autora dowodzą złe wyrobionego smaku, tem bardziej, że w tylu wydaniach następnych kazań na niedziele i święta nie poprawił żadnego z błędów, któreśmy codopiero wskazali.— Pospieszymy jednak dodać — kończy autor — że Kazania Sejmowe usuwają się niemal w zupełności z pod tych zarzutów i okazują się najlepszem z dzieł kaznodziei; plany ich są bardziej prawidłowe i lepiej zarysowane, a styl na ogół jest wolny od emfazy, wyszukania, trywialności«. »Kazaniom sejmowym« też poświęca autor bardzo dużo miejsca, analizując każde z osobna już w monografii ¹⁾, a osobno poświęca im obszerny wstęp do swego przekładu tych kazań. O przekładzie tym powiedzmy odrazu, że jest naprawdę piękny i pozwoli z pewnością czytelnikowi francuskiemu nie tylko poznać, ale i odczuć piękno tego arcydzieła naszego kaznodziejstwa. Uwagi ²⁾ zaś

¹⁾ Oto urywek z uwag o 2-iem kaz. sejmowym: »Nigdzie mowca nie rozwinął wymowy bardziej wzruszającej na usługach wielkiej sprawy... naprawdę któż był bardziej patryjotą od Skargi? Brückner zauważa ze zdziwieniem, że polscy Jezuici byli wszyscy patryjotami. Ta uwaga odnosi się zwłaszcza do Skargi, którego całe życie było poświęcone ojczyźnie... mówi on o niej zawsze z głębokiem wzruszeniem i ze łzami w głosie... to samo uczucie miłości ojczyzny ożywia wszystkie kartki drugiego kazania sejmowego i stanowi jego piękno« (str. 339).

²⁾ Autor dzieli się między innemi ciekawem odkryciem; oto od syna

niezmiernie liczne a gruntowne dodają, niejedno nawet do tak doskonałej adnotacji; jaką nam dał w swem wydaniu Kazań sejmowych prof. Ignacy Chrzanowski, z którym ks. Berga toczy zawzięty spór o wygłoszenie tych kazań. Obawiam się jednak, że obaj uczeni nieprędko się porozumieją, albowiem stoją na stanowiskach biegunowo przeciwnych. P. Chrzanowski twierdzi, że skoro tylko niema konkretnych danych, iż Skarga kazań nie wygłosił, to tem samem trzeba przyjąć ich wygłoszenie za fakt; ks. Berga zaś brak wiadomości współczesnych o wygłoszeniu czy wrazeniu, jakie wywołały kazania, uważa za dowód, iż wygłoszone nie były. Sprawa, zdaje się, pozostanie nadal nierozstrzygniętą.

Wracając do monografji, żalować wypada, iż autor za mało uwagi poświęcił kazaniom triumfalnym Skargi (str. 342 ledwie kilkanaście wierszy!), a przecie należą one do najlepszych, i, co ważne, do najoryginalniejszych dzieł kaznodziei. Jest bowiem obawa uzasadniona, że z wielkich tomów kazań skargowskich coraz więcej okaże się tylko przeróbką wzorów obcych, a coraz mniej dziełem naprawdę własnem; ostoją się wtedy obok »Kazań sejmowych« i »Przygodnych« owe »triumfalne« właśnie, którym zatem coraz więcej uwagi poświęcać będziemy. Natomiast trudno się nie pisać na surowy sąd ks. Bergi o kazaniach pogrzebowych Skargi; był to rodzaj zupełnie nie odpowiadający talentowi i umysłowości naszego kaznodziei, który był za mało myślicielem i za

poety, Władysława Mickiewicza, otrzymał egzemplarz Kazań na niedziele i święta oraz Kazań sejmowych z datą 1595, a więc o dwa lata wcześniejszą od daty znanego nam dotąd pierwszego wydania Kazań sejmowych. »Tytuł — opowiada ks. Berga — zapowiada tylko kazania niedzielne bez żadnego dodatku i aż do str. 655 tom jest zupełnie identyczny z egzemplarzem tego pierwszego wydania; te 655 stron zawierają przedmowę i kazania niedzielne. W dalszym ciągu tychże kazań znajdują się zawarte na 80 stronnicach kazania sejmowe, mowa na pogrzebie królowej Anny Jagiellonki, przekład polski krótkiego kazania O. Tucci'ego i wielkie kazanie o miłosierdziu, poczem następują dwa spisy rzeczy. Te 80 stron są z tego samego papieru i z tym samym drukiem co tamte; podpis i sygnatura również te same«. Zastanawiając się nad rzeczą, dochodzi autor do wniosku, że Skarga umyślnie tak puścił pierwszy raz w świat Kazania Sejmowe z datą o 2 lata wstecz), »by uniknąć zbyt wielkiego rozgłosu«; słusznie przypomina też ks. Berga, że kaznodzieja »nigdy tych kazań osobno nie ogłosił«.

mało miał zmysłu historycznego, by zwłaszcza w tym rodzaju choć zbliżyć się do Bossueta. Nasi Dzieduszyccy, a i Tarnowscy niestety, popisali tu takie monstrualności, że aż trochę wstyd na myśl, co sobie, czytając takie rzeczy, pomyśleć musiał rodak i znawca wielkiego Bossueta!

Zbytecznem będzie chyba rozwodzić się obszernie nad znaczeniem książki ks. Bergi; każdy następny badacz Skargi będzie musiał się z nią liczyć — i oczywiście wiele z niej korzystać. Na drodze do ostatecznego, t. j. wszechstronnego i gruntownego poznania naszego kaznodziei stanowi to dzieło znaczny krok naprzód.

M. Paciorekiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Zagadnienia aktualne.

Dr. Fr. W. Foerster: Weltpolitik und Weltgewissen. München, 1919, str. 218.

Wiosną r. 1919, gdy niemiecki imperjalizm leżał już w gruzach, a panowanie Hohenzollernów należało do przeszłości, głośny uczony monachijski skreślił powyżej w nagłówku przytoczone dzieło, zawierające krytykę niemieckiej polityki i niemiecki rachunek sumienia wobec bezbrzeżnej katastrofy światowej. Miał prawo do takiej krytyki postępowania własnego rządu i narodu, do takiego sądu o sumieniu świata, ten myśliciel, który na początku wojny, gdy szowinizm narodowy w Niemczech spotęgował się do szalu, a do ślepoty umysłowej doszedł cały naród niemiecki, miał odwagę otwarcie cisnąć w twarz szaleńcom, że wojnę światową rozpętali i że głównym sprawcą tej wojny był nie kto inny, jak ubóstwiany przez cały naród twórca jedności niemieckiej — Bismarck. Foerster to otwarte słowo przypłacił utratą wszelkiej popularności, podpadł pod interdykt nacjonalistyczny i musiał szukać schronienia w wolnej Szwajcarii. Po katastrofie dziejowej, jaka Niemców dzięki ich własnej winie spotkała, autor stara się otumanionym w moralnym zaduchu przez prasę urzędową ziomkom otworzyć oczy na istotny stan rzeczy i przywieść ich do rozumu, aby im umożliwić pokój z całym światem, który bez moralnego porozumienia się narodów staje się niemożliwym. Czyni to w 15 rozdziałach, z których najważniejszy jest: »Przyszłe zadanie światowe«. Posłannictwem Niemiec, zdaniem autora, jest być ośrodkiem wyższej humanitarności i europejskiej federacji. Niemcy są, byli i pozostaną nauczycielami, filozofami, teologami Europy i całego świata. Zamiast tego zapragnęli, dzięki polityce Bismarka i Wilhelmów, stać

się nacjonalistycznymi panami świata i to spowodowało ich katastrofę. Dziś należy zawrócić do dawnych uniwersalnych tradycji dziejowych i swe idealistyczne zdolności wprzągnąć znowu w służbę nowego porządku międzynarodowego. Dziś przeważny odłam niemieckiego narodu, oszołomiony nacjonalizmem wszechniemieckim, zżyma się na te kosmopolityczne problemy przyszłości, ale tak samo, jak niegdyś czarno-czerwono-złota prawda zwalczana była przez partykularyzm, dzieje się i dziś z ową wyższą prawdą, wobec której czarno-czerwono-złoty ideał jest tylko partykularyzmem. Niemieckie hasło na przyszłość musi brzmieć: *Pro patria per orbis concordiam!*

Z poglądami Foerstera chciałoby się nieźaz spierać, ale ten wyjątkowy myśliciel niemiecki posiada taką głębię pomysłów i siłę etyczną argumentów, że polemika z nim dla niewczesnych krytyków staje się z reguły blamażem. W jego każdym ze wspomnianych 15 rozdziałów jest tyle głębokich poglądów, trafnych spostrzeżeń, szlachetnych sądów, że streścić ich niepodobna i raczej chciałoby się czytelnikowi przy każdym z rozdziałów dać radę: »Bierz i czytaj!«, tak interesujące, tak pełne aktualności są zawarte w nich wywody. Weźmy n. p. tak aktualne a napozór tak łatwe do rozwiązania zagadnienie o moralnych przyczynach wojny światowej. Nic łatwiejszego, jak powiedzieć, że imperjalizm i militarizm pruski wywołał wojnę. A jednak takie orzeczenie nie wyczerpuje zagadnienia i jest jednostronne. Daleko głębiej ujmuje kwestję tę Foerster, gdy opierając się na angielskim dziele »International Anarchy« Lowes'a Dickinsona twierdzi: Machiawelizm jest wspólnym grzechem wszystkich narodów od czasów Odrodzenia; wszyscy mężowie stanu, historycy i publicyści przyjęli go pod mniej lub więcej gęstą obłonką trafiających do przekonania sofizmatów! Następstwem tego było wytworzenie się atmosfery wzajemnych podejrzewania i niepewności, w wśród której każdy czuł się od sąsiadów zagrożonym. Jeżeli wśród tego powszechnego podejrzewania się zjednoczonego niegdyś chrześcijańskiego zachodniego świata powstała w najbardziej zagrożonej środkowej Europie niesłychanie rozwinięta organizacja wojskowa, tedy był to całkowicie zrozumiały, choć krótkowzroczny wyraz niepewnego położenia europejskiego. Tak zwany zbrojny pokój nie był winą jakiegoś pewnego burzyciela pokoju, którego należy uczynić nieszkodliwym, lecz najsilniej zamarkowanym zewnętrznym wyrazem całego europejskiego rozkładu, a niemiecko-pruski militarizm był tylko skoncentrowanym objawem ogólnej niepewności anarchicznej w międzynarodowych stosunkach. Wobec tego rzeczywiste głębsze przyczyny dzisiejszych stosunków w całym świecie tylko wtedy trafnie określimy, gdy każdy naród, bijąc się w piersi, wypowie: »*mea culpa*«.

Z pewnością rację ma Foerster, twierdząc, że każdy naród do własnej katastrofy się przyczynił; nie ma racji jednak, żądając, by każdy naród przyznawał się do największej winy. Muszą się przyznać Polacy, Serbowie, Czesi, Litwini, Łotysze, Słowacy i t. d. do

win zaniedbania, niesolidarności, lecz nie mogą się przyznać do zbrodni gwałcenia, gnębienia słabszych, do czego przyznać się muszą Niemcy, Rosjanie, Węgrzy, Turcy. Stwierdza to w dalszych rozdziałach o Niemcach autor, czyniąc za militarizm pruski odpowiedzialnym nie tyle samych wojskowych, ile raczej uczonych niemieckich. »Naszą najgorszą kastą wojskową byli przecież wyżsi nauczyciele i profesorowie« (str. 11). Największą winą Niemców było to, że praktykowaną przez innych wstydliwie politykę machiawelizmu dumnie okrzyczeli za jedynie mądrą i słuszną realną politykę, że politykę brutalnej germanizacji wobec Polaków, Słowian, Duńczyków uznali za konieczność życziwą nacjonalnego egoizmu, że piorunując przeciwko ukróceniu Niemiec, sami na konferencjach haagskich sprzeciwiali się wszelkiej polityce pojednania i zgody, aby mieć ręce wolne do wojny o panowanie nad światem.

Najgorętszymi obrońcami brutalnego machiawelizmu byli niemieccy uczeni; prawie wszyscy niemieccy teolodzy (protestantcy) i socjologowie byli w tem zgodni, że polityka i moralność muszą odrębnymi chadzać drogami, zapominając o tem, że człowiek nie może żyć z dwoma sumieniami, że wyniesienie »sacro egoismo« w narodzie do godności racji stanu musi prędzej czy później rozum polityczny wydać na pastwę krótkowzrocznej zaborczości i tyranji.

Mówią, że zasadami, głoszonymi przez Chrystusa w ośmiu błogosławieństwach nie można rządzić państwem, głoszą to nawet teolodzy protestantcy, nie wiedząc, że tem samem podpadają w dawną herezję manichejską o dwoistości świata, gdzie naturalny świat widomy stoi w diametralnem przeciwieństwie do duchowego świata. Zdaniem Foerstera kazanie na górze wyklucza zwykłą, świecką czy sto biologiczną obronę zupełnie, a temsamem uśmierza ją także w przeciwniku; należy się samemu rozbroić, aby innych rozbrajać. A jakkolwiek zaciekleści o krótkowzroczność powstrzymują naśladownictwo, tedy mimo to prawdą pozostanie, że w oddziaływaniu człowieka na człowieka, w wyrównywaniu wzajemnych pretensyj, w usuwaniu nieprzyjacielskich afektów nic wielkiego nie można zdziałać bez prawdy i mądrości kazania na górze. Kazanie na górze przeto jest ostatnim tajnikiem organizacji.

Najbardziej jednak boleje Foerster nad fatalnem stanowiskiem inteligencji w czasie wojny. Uniwersytety, pisze on w rozdziale »Inteligencja a wojna wszechświatowa«, zamiast być schroniskiem sprawiedliwości i roztropności i stanąć wysoko ponad delirjum europejskiem, w przeważnej części u wszystkich narodów, wojnę prowadzących, stały się przedstawicielami narodowych namiętności, a wielka liczba ludzi intelektualnych okazała się ludźmi namiętnymi bez hamulca, rzecznikami najwstrętniejszej nagonki na inne narody. Wszędzie to się działo, ale bodaj czy nie najgorzej w Niemczech, gdzie przeciwko umiarkowanej pokojowej uchwale sejmu Rzeszy miało odwagę aż 1100 profesorów zaprotestować (str. 82).

Dnia 11 października 1914 miało odwagę 93 uczonych techników, filozofów, publicystów i duchownych niemieckich obwieścić urbi et orbi: »Nie jest prawdą, że Niemcy tę wojnę wywołały; ani lud ani rząd, ani cesarz nie pragnęli wojny«. Zdaniem Foerстера, można darować inną przesadę patryotycznego zapału; czego jednak zagranica nie zrozumie i nie przebaczy — to tego tonu nieomyślności, w którym tutaj stwierdzano lub zaprzeczano fakta, których absolutnie wiarogodnego wyjaśnienia mąż wiedzy obowiązany jest odczekać, zanim sąd swój wyda. Z ironją tedy zapytuje się autor: »Ilu z tych przedstawicieli umiejętności, od których honor zawodowy wymaga odnoszenia się do źródeł, czuło się obowiązany do przeczytania uważnego angielskiej Księgi błękitnej (str. 85)? Nie dziw, że wobec tego bezkrytycznego postępowania, niemieckiego świata naukowego, mógł nie bez słuszności Clemenceau w senacie francuskim w październiku 1919 oświadczyć: »Jeżeli najznakomitsi mężowie kraju, powołani kierownicy etycznego usposobienia i umysłowości, któremi ludy kierować się mają, tak bezzczelnie kłamać się odważają, tedy wolno jest wątpić w przyjsie do rozumu Niemców«.

Publicysta Foerster oczywiście musiał potępić pokój brzeski jako pokój gwałtu, który niepotrzebnie sprowokować musiał opinię polskiego narodu, a całemu światu otwierał oczy na zabórcze plany niemieckich polityków; stwierdza dalej, że Anglja wojny nie chciała, lecz do niej była zmuszona podeptaniem neutralności Belgji przez Niemcy; wykazuje, że Niemcy nawet w razie wygranej byli zależni od zagranicznego dowozu, który 10 blisko miliardów marek wynosił, że zatem nawet zwycięstwo militarne mogło przynieść tylko pokój bankrucki dlatego, że Niemcy na polu ekonomicznem byłyby odosobnione; sławi dalej ks. Lichnowskiego za to, że swoim pamiętnikiem rozwił legendę, przez rząd pruski stworzoną o angielskim spisku i okrażaniu Niemiec. Jednem słowem Foerster prawdzie zajrzał otwarcie w oczy i starał się ją otumanionemu przed wojną i w czasie wojny niemieckiemu Michałkowi w całej nagości odsłonić, wykazując mu, że prawo zwierzęcej walki, któremu narody wyrównanie swych interesów poddać się odważyły, stało się dla nich prawem samobójstwa.

Wszystkie bożyszczka nowoczesnego świata runęły i okazały swoją nicość i szkodliwość, jeden tylko stoi niezwruszony krzyż Chrystusowy. *Stat crux — volvitur orbis*. Im straszliwiej i potworniej okazał człowiek czem jest, tem wymowniejszym staje się cichy, milczący krzyż, tem silniej i potężniej chwyta jego drgająca życiem prawda za serce bezradnego człowieka. Zaiste dopiero w dzisiejszej tragedji naszej kultury pojmujemy całą doniosłość w Chrystusie wiekowej prawdy życiowej i poznajemy »Pana żywota«. Wszystko się mści w małym zakresie czy wielkim, co przeciw Niemu działano i żaden człowiek ani naród nie będzie szczęśliwym z sukcesów bez Niego zdobytych. Dzisiejszej nędzy światowej nie zapobiegnie świecka

chęć pokoju. Tylko z owego pokoju, w głębiach duszy powstałego, który kurcz egoizmu usuwa, powstanie zewnętrzny trwały pokój. »Tene te primo in pace, et tunc poteris alios pacificare! Homo pacificus magis prodest, quam bene doctus« — temi słowy Tomasa a Kempis kończy swe roztrząsanie sumienia i polityki niemieckiej protestancki myśliciel. Czyż to nie *signum temporis*?

Praca niniejsza Foerстера jest najznakomitszem dziełem niemieckiem obok Greelinga »J'accuse«, jakie się o wojnie światowej pojawiły.

Dr. K. Krotoski.

Georges Valois: Le Cheval de Troie. — Réflexions sur la philosophie et sur la conduite de la guerre. Nouvelle librairie Nationale. Paris, 1918, pages 302.

»Wy, którzy znacie znaczenie ofiary, towarzysze broni, bądźcie naszym natchnieniem. Wy znacie pozytywne powody, dla których się bijemy, wy, coście wciąż powtarzali, że bronimy świętej ziemi ojczystej, walczymy za nasze żony i dzieci, za nasze pola i domy, aby z tej wojny wyszła Francja lepsza i wzmocniona. Zadaniem wojny jest przywrócenie narodom ładu i spokoju«.

Nad brzegami Marny uderzyły na siebie dwie cywilizacje, sprzeczne w swojej istocie i w środkach, jakimi się uzewnętrzniają. Niemiecka pojmuje cywilizację tylko pod mianem i pod rozkazaniem niemieckiem i chce poddać świat cały pod moralne, intelektualne, społeczne, polityczne, religijne panowanie niemieckie. Jest to istny szal zbiorowy. Niemcy są w tem swoim pojęciu wyrazem woli Bożej, sumieniem świata. Cywilizacja, którą przedstawiają armje sojusznicze, jest powszechna, ogólnie-ludzka; nie narzuca się żadnemu narodowi. I tu szukać należy najgłębszej przyczyny, jaka wywołała wojnę światową; tu leży zrozumienie, czem ma być zwycięstwo i pokój, jeżeli mamy być prawdziwie wolni, stosownie do naszych tradycji, obyczajów, charakteru narodowego i zgodnie z zasadami ogólnej cywilizacji. Słynne pismo 93 uczonych niemieckich głosi, że militarystm powstał w Niemczech dla obrony kultury, z czego wynika, że myśl niemiecka wypływa z potęgi materialnej, a militarystm jest tej myśli służą.

Ta myśl kazała uczonym narzucać światu nie odkrycia umysłu ludzkiego w ogóle, lecz naukę i metody niemieckie, a przemysłowcom i ludziom pracy organizację niemiecką, katolikom nawet nie światło Kościoła powszechnego, lecz katolicyzm niemiecki. Ta myśl każe się Niemcom uważać jako naród-wódz, naród-bóg. Niemiecka kultura, utożsamiając cywilizację i germanizm, odłączyła się tem samem od cywilizacji ogólnej. Filozoficzne zasady niemieckie są motorem niemieckich wojsk. Zwyciężyć je, to znaczy odjąć niemieckiej kulturze możność gromadzenia wojsk przeciwko innym narodom, rozbić pan-germanizm, aby niemieckie ludy wróciły do ogólnej cywilizacji ludzkiej, do prawdziwego chrystjanizmu.

Zreformujmy nasze myśli i nasze obyczaje. Pozbądźmy się złudzenia, że myśli są tylko refleksami. Powtarzamy jeszcze, że one są motorami i bez względu na to, czy są dobre czy fałszywe, pchają świat na inne tory, prowadzą narody do upadku lub do wzrostu. Zmusimy do milczenia intelektualne bożyszcza ubiegłego stulecia. Wojna światowa mówi nam, że żyjemy w dobie, kiedy Ojczyzny staną się silniejsze, niż kiedykolwiek; są one środkami zbawienia, przez które ludzkość przechowuje i powiększa materialny i moralny dorobek cywilizacji i broni się przed podwójnym niebezpieczeństwem. Walcząc przeciw germanizmowi, odsuwamy niebezpieczeństwo monarchji powszechnej — drugim byłaby powszechna demokracja bez poszczegółnej ojczyzny.

Te dwa grożące nam widma byłyby zmierzchem cywilizacji. Mają one jeden cel: unifikację świata, zniesienie narodowości. Ewolucjoniści sądzą, że ludzkość wyszła z indywidualizmu, przeszła potem do rodziny, do szczepu, do feudalizmu, wreszcie do narodu; kresem ewolucji byłoby zlanie narodów w zjednoczonej ludzkości. Do tego kresu dochodzi myśl niemiecka, łącząc narody w jednym morzu pan-germańskim pod berłem powszechnej, niemieckiej monarchji. Utopja powszechnego pokoju jest tą psychologiczną platformą, na której spotyka się idea demokracji i monarchji powszechnej.

Nie na darmo walczymy o ojczyznę. Ojczyzna nie jest etapem w życiu ludzkości; ona jest koniecznością dla niej. Ojczyzna to nie ugrupowania rodzin, posiadających wspólną ziemię, wspólne pomniki, instytucje i myśli; ona jest ogniskiem, mającem realizować specjalne zadanie w życiu ludzkości. Jedno ognisko nie wykarmiłoby trwale rosnącej cywilizacji. Nieustanne przemiany instytucyj politycznych, ekonomicznych i społecznych są koniecznością rozwoju; ta sama konieczność oddala ludzkość od jedynej kultury, jedynej organizacyjnej metody, w którejby się rozpadła w okruchy lub stężała w martwość. Ojczyzna jest najwyższym środkiem zbawienia ludzkości. Koalicja ojczyzn wytworzy tę nową równowagę, którą narody się obronią przed śmiertelną utopją powszechności.

Ale biada narodowi, któreby założyły ręce w beczynnym pokoju! Niepodległość jest ich udziałem, o ile z posiadanych skarbów umieją korzystać dla ogólnego dobra; marnotrawiąc je, tracą do nich prawo. Podnieście w górę pochodnię cywilizacji, aby wszystkim uczyniło się jaśniej.

Helena Skolimowska.

P. Martin Jugie: *La prière pour l'Unité chrétienne*. Paris, 1920, Maison de la bonne presse, str. V i 356.

W działalności apostolsko-społecznej Leona XIII często występuje na pierwszy plan idea zjednoczenia schizmatycznych Kościołów. Jego encyklik, listów, allokucyj, dotyczących sprawy wschodniej, nie można czytać bez zwruszenia. Tętni w nich serce ojca, który szcze-

rze pragnie przycisnąć do swego łona zbuntowaną dziatwę. Wielki ten papież otaczał niezwykłym pietyzmem liturgje Wschodu. Dla Kościołów orjentalnych stworzył osobną komisję kardynałów. Dla rozbudzenia i ożywienia ducha zakonnego reformował klasztory bazylijańskie. Nie szczędził miljonowych wydatków na budowę szkół, kolegjów i seminarjów.

Myśl Leona XIII podejmuje znowu Benedykt XV. Wnet po wstąpieniu na tron stwarza osobną Kongregację dla spraw wschodnich. Otwiera w Rzymie »Instytut Orjentalny« w celu specjalnego kształcenia przyszłych pionierów i szermierzy unji. Z baczną uwagą śledzi rozwój nowych republik, powstających na byłem terytorjum rosyjskiem i tureckiem i wszelkich dokłada starań o nawiązanie z nimi jak najlepszych stosunków dyplomatycznych.

Nie pierwszy to i nie ostatni krok, zmierzający do usunięcia bolesnego nad wyraz rozdziwienia. Historia przekazała nam już nie jedno nazwisko w rodzaju Bessarjona, Izydora kijowskiego i ks. Piotra Skargi. Przeszła też do porządku dziennego nad plikami aktów, konferencyj, zjazdów, a schizma jak dzieliła tak dzieli wysokim murem wschód od zachodu. Przebrzmiały uroczyste obietnice soboru florenckiego. Gmach unji, z nadludzkim mazołem wzniesiony, runął, jak domek z kart! Przyczyny jej unicestwienia są dobrze znane. Wśród wielu innych zaważył znacznie na szali jej istnienia brak głębszego przygotowania ogółu wiernych, brak zrozumienia jej potrzeby i doniosłości, wreszcie co najważniejsza, brak gorącej modlitwy o jedność i zgodę Kościołów. To ostatnie twierdzenie brzmi nieco paradoksalnie, ale uznamy jego słuszość, jeśli się zastanowimy nad rolą modlitwy w dziele zjednoczenia.

Stańmy przed ruinami Kolosseum. Na widok jego omszałych, poszczerbionych murów, chętnie opowiadających potęgę Romy, popadam w zadumę. Jak z jednej strony olśniewa nas genjusz rzymski, co nie lękał się tak gigantycznych pomysłów, tak z drugiej dochodzimy do wniosku, że czarujące koncepcje architektów pozostałyby na zawsze w krainie marzeń, gdyby nie twarde barki niewolnika, który z krwawym mazołem dźwigał, ciosał i spajał te olbrzymie złomy. Również w dziedzinie czystych urojeń bujałyby do dziś dnia genialne szkice Bramantego, Michała-Anioła lub Maderny, gdyby nie pracowita dłoń robotnika, który szkicowane z rozmachem kontury sklepień i łuków bazyliki św. Piotra, z mrówczą cierpliwością, z mistrzowskim artyzmem przyodziewał w szaty rzeczywistości. Otóż czem w architekturze znój rzemieślnika, czem w stretegice hart i poświęcenie prostego żołnierza, wykonywującego rozkazy wodza, tem modlitwa w dziele zjednoczenia i zwalczania schizmy. Bez niej wszystkie wysiłki najwplywowszych jednostek, zjazdy, konferencje i układy rozwieją się. Powrót schizmatyków na łono Kościoła to owoc wytrwałej modlitwy ogółu wiernych.

Modlitwa bowiem to płodna matka powołań kapłańskich, a ka-

plani głównie przez setki lat będą musieli w pocie czoła przygotowywać szeroką i trwałą podstawę pod przyszły gmach zgody. »Proście tedy Pana żniwa, aby posłał robotników na żniwo swe« (Mt. 9, 38). Usunięcie schizmy to dzieło arcytrudne, przechodzące zakres wysiłków ludzków, dzieło nadprzyrodzone. A ponieważ w ekonomji łaski istnieje nieugięte prawo modlitwy, obowiązujące tak jednostki jak społeczeństwa, przeto w obecnych rządach Opatrzności bożej to tylko osiągniemy, o co prosić będziemy. »Dzieje Apostolskie«, a zwłaszcza listy św. Pawła wymownie stwierdzają, że modlitwa wiernych towarzyszy rozwojowi Kościoła, że uskrzydla płomienne słowo Apostołów, że im przygotowuje i użyźnia rolę serc pod zasiew ziarna bożego. Dlatego św. Paweł tak usilnie błaga wiernych o modlitwę, aby »gdy otworzy usta, dane mu było słowo do śmiałego głoszenia tajemnicy Ewangelji« (Efez. 6, 19). »Naostatek, bracia, módlcie się za nas, aby się rozchodziło słowo Boże i było wślawione, jako u was, abyśmy byli wyzwoleni od ludzi przewrotnych i złośliwych« (II. Tesal. 3, 12).

Czem ongiś dla Apostoła narodów byli Żydzi, tem dzisiaj w głoszeniu ewangelji są w znacznej mierze odszczepieńcy. Jak schizmatycy skutecznie tamowali apostolską pracę wśród pogańskich plemion wschodu, dla jak wielu bałwochwalców niezgoda chrześcijan, dzieląca ich na wrogie obozy, była kamieniem zgorznienia — o tem mogłyby nam dużo opowiedzieć roczniki misyj katolickich. Więc jeśli gorąco pragniemy szybkiego rozprzestrzenienia się granic Królestwa Chrystusowego, módlmy się szczerze o nawrócenie odszczepieńców. Gdyby tylko Rosja pozostawała była przez dziewięć minionych stuleci pod intensywnym wpływem łaski, tak żywotnie pulsującej w organizmie Kościoła katolickiego, iluż świętymi, apostołami, męczennikami, misjonarzami poszczyciłyby się mogły pokrewne nam plemiona słowiańskie, z natury zapalne i zdolne do poświęceń?... Niestety, dziś gnuśniejają one i kostniejają w sztywnym bizantyńizmie.

Albowiem z woli Chrystusa Pana wszyscy muszą się przeprawiać na drugi brzeg do wieczności łodzią Piotrową. Tymczasem schizmatycy świadomie i dobrowolnie opuszczają tę barkę, rzucając się w fale, by w nich zginąć. Czyż możemy zimni i obojętni, szybując w bezpiecznym okręcie, patrzeć na naszych braci, tonących w odmęcie? Pamiętajmy, że w normalnym trybie rządów bożych niema zbawienia poza Kościołem katolickim! Prawda, że schizmatycy, o ile są w dobrej wierze, doznają ożywczego wpływu łaski sakramentalnej, ale jakże ona słabiuchno i nieznacznie dociera do latorośli odciętych od winnej macicy!

Wiadomo nam dalej, że warunkiem wydatności i intensywności życia nadprzyrodzonego była zawsze i będzie gruntowna znajomość objawienia Bożego. Jeśli w Kościele katolickim mimo tylu kazań, katechizacji, konferencji, misyj, rekolekcji gruba warstwa nieświadomości zaległa umysły wielu, to jakąż noc musi zaciemniać horyzont religijny odszczepieńców, skoro na ogół pop rosyjski lub »papas«

grecki, nauczający wiernych, jest chlubnym wyjątkiem. I nie dziw. Wszak ich brak wykształcenia poszedł w przysłowie. Nizki zaś poziom moralny i kulturalny cerkiewnego duchowieństwa chyba nie sprzyja rozwojowi życia nadprzyrodzonego. Jego zastój i kompletne odrętwienie potęguje brak częstej spowiedzi, częstej komunji św., zanik prawie zupełny eucharystycznego kultu, przy bałwochwalczej niemal czci »ikonów« i zewnętrznej okazałości liturgicznej.

Wreszcie jedna uwaga. Jak w przyrodzie nic się nie dzieje bez powodu, tak w historii niema wypadku bez zrządzenia Opatrzności. Wśród powodów tragicznych niespodzianek, których nam nie brakowało podczas wojny światowej, niezawodnie do najosobliwszych należy wskrzeszenie Polski i upadek Wszech-Rosji. Wraz z caratem i całym mechanizmem czynowniczym runęła granitowa ostoja schizmy! W oczach naszych rozpadają się stalowe obrycze i spoidła, które brutalną siłą podpierały chylącą się do upadku cerkiew. Czy to czysty przypadek i jedna z wielu politycznych kombinacji? Czy widok tego, co się dzieje w schizmatycznej Rosji, nie nakłoni nas do gorącej modlitwy o liczne zastępy robotników do winnicy Pańskiej zdeptanej, stratomanej, ociekającej krwią, dyszącej mordem i pożogą?

Oto garstka myśli, zebranych dorywczo z dziełka ks. M. Jugie. Uczony ten profesor Instytutu orientalnego w Rzymie zszeregował wiele pobudek i argumentów, które mają nas przekonać o konieczności i doniosłości modlitwy w sprawie zjednoczenia Kościołów. Dziełko jego cechuje ujmująca prostota, chwytająca za serce i głębokie wykształcenie teologiczne, które go czyni wymownym orędownikiem tak doniosłej sprawy.

Ks. Wł. Lohn.

Teologia.

Franciscus Rosłaniec: *Sensus genuinus et plenus locutionis »Filius hominis« a Christo Domino adhibitae. Dissertatio critico-exegetica. Romae, 1920, str. VII + 206.*

Przy czytaniu ewangelji rzuca się w oczy, »że Zbawca, mówiąc o sobie, prawie wyłącznie nazywa się »Synem człowieczym«. W ewangeljach spotykamy ten tytuł 84 razy. Czy to czysty przypadek? A jeśli nie, to dlaczego P. Jezus tej nazwy tak często używał?

Według protestanckich i modernizujących hiperkrytyków tytuł »syn człowieczy« jest prostym równoznacznikiem zaimka osobistego »ja« lub pojęcia »człowiek«. Zdaniem Ojców i pisarzy kościelnych Chrystus, zwiąc się Synem człowieczym, chciał przede wszystkim podkreślić i uwydatnić prawdziwość swej ludzkiej natury. Pseudo-Barnabasz, św. Ignacy M., a później Justyn, Ireneusz, Tertuljan i Epifa-

njusz wskazywali na ten tytuł, gdy dowodzili rzeczywistości człowieczeństwa w Chrystusie. Tłumaczenie Ojców utarło się i przyjęło powszechnie w szkołach katolickich. Czy jednak wyraża ono pełny sens tytułu »Syn człowieczy«? Czy Chrystus, posługując się tą nazwą z takim upodobaniem, chciał przez nią jedynie uwydatnić swą naturę ludzką, czy też w ustach Jego tytuł »Syn człowieczy« wyraża coś więcej? Na to pytanie stara się odpowiedzieć ks. Dr. Rosłaniec w swej rozprawie teologiczno-biblijnej.

Rdzeń monografii ma dwie części i obszerny dodatek, który można uważać za część trzecią. W pierwszej (str. 39—53) metodą lingwistyczno-filologiczną usiłuje autor ustalić właściwe znaczenie słowa: »ben-adam« w języku hebrajskim, »bar-enaś«, »bar-naśa« w języku aramajskim, »ho hios tou anthropou« w języku greckim. W drugiej części (str. 59—150) metodą egzegetyczno-historyczną stwierdza, że w księgach Starego Przymierza, w tradycji żydowskiej, (Księga Henocha, IV Ezdrasza, talmud) i w ewangeljach tytuł »Syn człowieczy« bynajmniej nie jest równoznacznikiem zaimka osobistego »ja«, lecz wprost albo typicznie oznacza przyszłego Zbawcę-mesjasza. Więc Chrystus Pan, używając tej nazwy, chciał zwrócić uwagę Żydów, a zwłaszcza rabinów, że jest właśnie owym »Synem człowieczym«, którego Daniel opisuje w swym jasnowidzeniu. A zatem »Syn człowieczy« to tytuł wyrażający godność i rolę mesjaniczną P. Jezusa.

W końcowym dodatku (str. 157—197) ks. Rosłaniec wykazuje, że już u Daniela i w Księdze Henocha (r. 48) »Syn człowieczy« zjawia się jako najwyższy sędzia ludzi i aniołów, wśród okoliczności, towarzyszących jedynie teofanom Jahwy. Były to wszelako pierwsze przebłyski. Na boską naturę »Syna człowieczego« zwraca uwagę swych rodaków sam Chrystus. By się o tem przekonać, wystarczy przeczytać bodaj Jego rozmowę z Nikodemem lub Natanaelem, uzdrowienie paralityka, dysputę (Jan 5, 17) z faryzeuszami o najwyższej władzy sędziowskiej. A więc »Syn człowieczy« w całej pełni swego znaczenia uwydatnia w Chrystusie nie tylko naturę ludzką i godność mesjańską, lecz także jego odwieczną naturę boską. Nie dziw tedy, że Zbawca z takim upodobaniem zwał się »Synem człowieczym«; tym bowiem tytułem najkrócej i najdobitniej objawiał swą mesjańsko-ludzko-boską rolę. Zatem »Syn człowieczy« znaczy tyle, co Mesjasz Bóg-Człowiek.

Swą monografią wniósł autor dużo światła nie tylko w dziedzinę egzegezy, ale też apologetom dał do ręki solidny i jasny dowód na bosko-mesjańskie posłannictwo Chrystusa. Rzecz swą tak w całości jak i w szczegółach przedstawił jasno, przejrzyście, przekonująco. Wślizgnęły się atoli do rozprawy pewne niedokładności. Często (n. p. str. 154, 155, 156, 167, 171) zwie autor królestwo Chrystusa królestwem czysto duchowem: »pure spirituale, naturae pure spiritualis«. Rozróżniam: że królestwo Chrystusa jest także duchowe, nie

jest tylko polityczno - ziemskie, to prawda, ale nie jest czysto duchowe. Boć królestwo Jego, konkretnie wzięte, to Kościół. Kościół zaś jest organizmem społecznym, o ustroju widzialnym, a jako taki nie jest i nie może być królestwem czysto duchowym. Nie bardzo też mię przekonywa jeden z dowodów (str. 181). Autor chce dowieść, że P. Jezus, przypisując sobie władzę sądzenia wszechświata, tem samem przypisywał sobie naturę boską. Więc rozumuje tak: Chrystus przypisuje sobie władzę sądzenia wszechświata; zaś Pismo starego przymierza przedstawia taką władzę jako przymiot i własność wyłącznie bożą. Zatem, przynajmniej Żydzi, znający Pismo św., winni byli z tego wynioskować, że Chrystus jest Bogiem. — Godzę się na przesłankę pierwszą, że Chrystus przypisuje sobie taką władzę, ale co do przesłanki mniejszej czynię pewne zastrzeżenia: naprzód teksty przez autora przytoczone (Gen. 18, 25; Ps. 7, 9; 93, 2; 95, 10, 13; 97, 9) dowodzą tego tylko, że Bóg sądzi i sądzić będzie świat, lecz nie, zdaje się, nie mówią, że ten przymiot jest wyłącznie Bogu właściwy. To zaś ma być udowodnione; inaczej przesłanka mniejsza będzie gołosłownem twierdzeniem. Lecz zgódźmy się, że w Starym Test. są teksty, z których jasno wynika, że władza najwyższa sędziowska jest wyłącznie własnością Bożą. Czy stąd wolno nam już wnioskować, że kto przypisuje sobie najwyższą władzę sędziowską, tem samem przywłaszcza sobie naturę boską? Czyż tej władzy nie mógłby Bóg komuś udzielić? Lecz jak i skąd udowodni autor to ostatnie założenie? Czy sam Zbawiciel nie przyrzekł Apostołom, że będą sędziami 12 pokoleń żydowskich?

Jeszcze jedna uwaga co do sposobu ujęcia rzeczy i szaty literackiej. Autor jest w wykładzie przejrzysty, przystępny. Lecz byłby stokroć jaśniejszy, gdyby się liczył z każdym przymiotnikiem i słowem. Niekiedy tą samą myśl powtarza, rozcieńcza bez najmniejszej potrzeby. Słowem, gdyby był jędrniej, a krócej przedstawił skrętnie zebrany materiał, byłby był niezmiernie ułatwił korzystanie z niego. Rozwlekłość utrudnia też bardzo odczucie siły dowodowej.

Forma literacka poprawna. Styl na ogół płynny i gładki, lecz nie bez »ale«. Choć dzieło naukowe nie wymaga języka Cicerona, to jednak w łacinie nawet »kulinarnej« orzeczenie stoi z reguły na końcu zdania. Niektóre perjody niedokończone, bez odpowiednika, n. p. pierwsze zdanie przedmowy (str. VII), albo »Nisi quod saec. XIX i t. d.« (str. 27).

Ks. Wład. Lohn.

Kaznodziejstwo.

Ks. Euzebjusz Stateczny O. F. M. *Listy o wymowie*. Poznań. Księgarnia św. Wojciecha 1920, str. VI+173.

Ceniony biograf św. Franciszka z Assyżu O. Stateczny wydał w ostatnim czasie nader pożyteczne i pouczające dziełko o sztuce krasomówczej. Nadał mu tytuł: *Listy o wymowie*. Jest tych listów pięć. Były one już ogłoszone drukiem w latach 1900 i 1913 do 1914 w »Gazecie Kościelnej« i w »Nowej Bibliotece Kaznodziej-skiej«. W myśl autora Listy mają być litylko »próbą zachęty rzuconej w serca ludzi młodych«, którzy z powołania swego będą musieli częściej jawić się na ambonie kościelnej czy też na trybunie. Śmiałem jednak twierdzić, że Listy O. Statecznego są nie tylko próbą zachęty — ale prawdziwą zachętą, a nawet czemś więcej. Przed oczyma czytelnika, może nieco zaskóconego martwym rozkładem przedmiotu, roztacza się wnet wyrazisty obraz mówcy skreślony ręką doświadczonego kaznodziei i wytrawnego szermierza słowa. A więc w liście I omawia O. Stateczny zalety zewnętrzne i podmiotowe mówcy: jakość, natężenie i barwę żywego słowa i akcję zewnętrzną.

Wielki nacisk kładzie autor (L. II) na logiczny rozkład i układ przedmiotu; logika jest ogniem zimnym, ale wiecznym, uczucie i wyobraźnia ogniem gorącym, ale słomianym. W układzie treści postępować należy zazwyczaj drogą analityczną, droga syntetyczna jest o wiele trudniejsza i właściwa wielkim umysłom. Szablonowe podziały i drobiazgowe rozkawałkowanie treści nużą słuchaczy i odwracają uwagę nawet od skądinąd pociągającego przedmiotu.

Obok jasnego rozumu mocna wola, głębokie przekonanie i namaszczenie jest głównym czynnikiem wymowy. Mocna wola czyni mówcę tem, czem być powinien. Stąd starać się mu trzeba, żeby nie tylko opanował i zgłębił rzecz całą, którą chce podać słuchaczom, ale żeby się nią ze wszechmiar przejął. Przekonanie jest tą tajemniczą siłą, której oprzeć się trudno.

Treść przemówienia, choć doczesna, nie powinna być nigdy trywialna albo gołosłowna. Mowca religijny, opierając się na Piśmie św. i podaniu chrześcijańskim, rozwijać będzie swą rzecz spokojnie, szlachetnie, z namaszczeniem i przekonaniem aż do oddania życia. Plastyczne przedstawienie, nadanie tragiczności, w szerszym tego słowa znaczeniu, omawianemu przedmiotowi, jako też pewnego kolorytu poezji, zwłaszcza gdy ma się przed sobą wykształconych słuchaczy, czynią mówcę królem serc.

Nadzwyczaj ważną rolę odgrywa w wymowie doświadczenie życiowe: bez niego przemówienie, choćby najlepiej opracowane, traci szkołą, nie trafia do serca. Zwłaszcza kaznodzieja musi znać do głębi tajniki duszy, rozumieć potrzeby i słabości swoich słuchaczy i stosow-

wać zaradcze środki. Stąd każde słowo winno drgać życiem, być czynem.

Najwięcej siły i werwy posiada List V, w którym autor przedstawia, jakie pobudki mają ożywiać mówcę każdego. Jest on owcem serdecznego rozmyślenia i szczerego przejęcia się szczytnem powołaniem mówcy, dlatego siłą rzeczy nieci w sercu czytającego prawdziwy szacunek i umiłowanie sztuki krasomówczej.

Listy O. Statecznego nazwaćby można wizerunkiem doskonałego mówcy, którego poszczególne rysy naszkicowane są ręką tego, który umiował serdecznie wszystko, co wzniosłe, boże, szlachetne, nasze, do cna polskie. Można tylko żałować, że autor nie wyzyskał swego rozległego wykształcenia i nie dorzucił tu i ówdzie praktyczniejszych wskazówek, nie podał liczniejszych przykładów z wybitniejszych naszych czy też zagranicznych mówców, wtedy nie potrzebowałby może za często powracać do uwielbianego przez się O. Montefeltro. Za śmiałym wydaje się również autor w wypowiedzianiu zdań czy o talencie mówców i pracy, czy też w przeciwstawianiu własnych poglądów zasadom ogólnie przyjętym w wymowie. Pożądanaby była wkońcu większa prostota stylu, czego się domaga nawet sam charakter Listów.

Ks. A. Żukowicz.

Ekonomja.

Dr. Józef Eberle: Die Überwindung der Plutokratie, Verlagsanstalt Tyrolia, 1918, 8°, str. XV + 360.

W pracy tej chodziło autorowi, znanemu z wielu gruntownych dzieł gospodarczo-ekonomicznych, o przewartościowanie pojęć panujących dziś powszechnie w świecie ekonomicznym. Zadania tego podjął się już częściowo w dziele, poprzedzającym omawianą tutaj pracę, p. t. »Zertrümmert die Götzen«. Od początków XIX stulecia liberalizm ekonomiczny z niesłychanem dotąd i coraz bardziej rosnącym powodzeniem mnożył majątek materialny w państwach zachodnich, niszcząc równocześnie kapitał moralny, jaki jeszcze pozostał po wieku oświecenia z odwiecznych praw bożych. Reakcja wywołana w połowie tegoż stulecia, w postaci socjalizmu nie zwróciła uwagi na moralne podstawy wytwórczości i podziału dóbr i wysunęła równie krańcowe zasady komunizmu. Stąd powstało jeszcze większe zamieszanie w poszczególnych społeczeństwach, które w wielkiej mierze przyczyniło się do wywołania nieszczęsnej wojny. Uleczenie społeczeństw i stosunków międzynarodowych, które dziś w przeważnej mierze mają charakter ekonomiczny, możliwe jest tylko przez zastosowanie w dzie-

dzinie wytwórczości i podziału dóbr materialnych zasad chrystjanizmu.

Oto główna myśl, którą autor omawia najpierw ogólnie w rozdziale I, a następnie szczegółowo rozwija i stosuje do nowożytnego przemysłu i rzemiosła, do obecnego rolnictwa, banków, giełd i do t. zw. gospodarstwa światowego.

Jest to pierwsza część dzieła, obejmująca dziewięć rozdziałów. Rzecz, jak chodzi o przedstawienie zgubnych faktów, znakomita; również doskonała w swej krytyce dotychczasowego porządku, a raczej nieporządku i w przedstawieniu zasad chrześcijańskich, rzecz można, radykalnych, ale koniecznych. Podkreślić warto szczegół, iż autor, piętnując gospodarkę wytwórczą i finansową, zwrócił baczną uwagę na element żydowski, odgrywający w niej dominującą rolę. Wprost całe stronicie zasiał nazwiskami Żydów, właścicieli największych firm bankierów i giełdżarzy. Dodatnie wrażenie w tej części psuje nieco tendencja polityczno-nacjonalistyczna. Autor boleje, że w wojnie, która jeszcze trwała wówczas, gdy nad dziełem swem pracował, Niemcy tyle ekonomicznie ucierpiali; gdzie tylko może, winę zwała na przebiegłych, zmateralizowanych Anglików i ma się wrażenie, że swe wskazania praktyczne pisze raczej dlatego, by Niemcy w przyszłości nie potrzebowały obawiać się blokady, a nie z umiłowania sprawy ogólnoludzkiej.

Część druga do rozdziału XIV ma charakter prawie wyłącznie polityczny. Wstępem do niej jest rozdział X, omawiający stosunek państwa do Kościoła. Ta część przedstawia stanowczo mniejszą wartość. Usiłowania autora celem wykazania, że tylko ustroj monarchiczny jest w duchu bożym i chrześcijańskim, są zupełnie poronione, choć, nawiasem mówiąc, ciekawe. Również fałszywy, zdaje się, jest wniosek autora, skoro po stwierdzeniu faktu, że dotychczasowa demokracja ma pełno braków, jest niebezpieczna, mówi, iż trzeba nawrócić do ustroju monarchicznego, zostawiając między rządem a ludnością państwa łącznik z arystokracji. Tutaj autor odmiennie, jak w kwestji społeczno-ekonomicznej, okazał się klasycznym konserwatystą. Kiedy ludzkość w swym pochodzie na terenie państwowego ustroju stanęła na grząskim gruncie, radzi jej zawrócić, zamiast zastanowić się nad tem, w jakiby sposób można grunt osuszyć, lub gdzieby należało posunąć się krokiem naprzód, na grunt twardy i trwały.

Mimo wszystko praca autora jest godna zalecenia przedewszystkiem dla mnóstwa ciekawych szczegółów i bardzo jasnego i trafnego ujęcia zagadnień.

Ks. Romuald Moskała.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

J. Kallenbach: *Triumf Filomatów*. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 34.

X. Leop. Petrzyk, misjonarz: *Kościół św. Krzyża w Warszawie*. Warszawa, nakł. Zgrom. XX. Misjonarzy, 1920, str. 134.

Święta Małgorzata Marja Alacoque, apostołka Najśw. Serca Jezusowego. Nakł. księg. św. Wojciecha, Poznań, 1920, str. 46.

Ks. J. Ciemniowski: *O reformie nauczania religji*. Nakład księg. św. Wojciecha, Poznań, 1920.

Alfons Parczewski: *W sprawie zachodnich granic Polski*. Warszawa, wyd. »Przeglądu dyplomatycznego«, 1919, str. 55.

X. M. St.: *Cerkiew unicka we wschodniej Małopolsce w czasie inwazji rosyjskiej*. Lwów, 1920, str. 80.

A. Lehmen, S. J.: *Lehrbuch der Philosophie*. II. B. Kosmologie. 4 i 5 wyd. u Herdera we Fryburgu 1920, str. 232.

Johann Umberg, S. J. *Die Schriftelehre vom Sakr. der Firmung*. Herder, Fryburg, 1920, str. 214.

Dr. Aug. Raetz: *Das theologische System der Consultationes Zacchaei und Apolonii*. Herder, Fryburg, 1920, str. 153.

Dr. Max Hompel: *Das Opfer als Selbsthingabe und seine ideale Verwirklichung im Opfer Christi*. Herder, Fryburg, 1920, str. 230.

Ath. Müller, O.S.B.: *Die Psalmen* (»Ecclesia orans«, IV B.). Herder, Fryburg, 1920, str. 295.

H. Muckermann S. J.: *Neues Leben*. Herder, Fryburg, 1920, str. 86.

A. Wynyen: *Die Rechts- und insbesondere die Vermögensfähigkeit des Ap. Stuhles...* (»Das Völkerrecht, 8 i 9 H.«). Herder, Fryburg, 1920, str. 119.

P. Bonawentura Krotz: *Das ewige Licht, Predigten und Reden*, Herder, Fryburg, 1920, str. 420.

Franz Esser S. J.: *Der stille Klausner in Tabernakel*. Herder, Fryburg, 1920, str. 172.

Jacob Hoffmann: *Katholische Akademiker und die neue Zeit*. Herder, Fryburg, 1920, str. 117.

Bernard Arens S. J.: *Das Buch*, 2-3 wyd. Herder, Fryburg, 1920, str. 153.

Rud. Meyer S. J.: *Erste Unterweisungen in der Wissenschaft der Heiligen*. Herder, Fryburg, 1920, wyd. 2, tom 2, str. 452.

Sprawozdanie z ruchu religijnego naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Bolszewizm, chrześcijaństwo, a Żydzi. — Modły za Polskę. — Rewolucje meksykańskie a Kościół.

Głosy opinii, albo — dokładniej się wyrażając — kapitalistycznej prasy zachodnio-europejskiej i amerykańskiej o bolszewizmie rażą dziwnem przeoczeniem. To samo przeoczenie spostrzegamy i we wszystkich dotychczasowych notach dyplomatycznych, wymienionych z rządem sowieckim lub obracających się około zagadnienia stosunku zachodniego świata do republiki bolszewickiej. W prasie zachodniej i nawet w urzędowych enuncjacjach stwierdzano niezliczoną ilość razy już to barbarzyństwo metod rządzenia, jakimi posługują się obecni władcy Kremlu, jużto wyraźnie złą wiarę i brak wszelkiej etyki w prowadzeniu pertraktacyj i dotrzymywaniu umów, jużto wreszcie ich swego rodzaju imperjalizm, że wszelkimi sposobami, orężem zarówno jak pieniędzmi i propagandą, usiłują narzucić całemu światu swój system i Moskwę uczynić ośrodkiem nowego ustroju świata. Jednej wszakże rzeczy czy nie spostrzegają, czy nie śmiało głośno powiedzieć usta dyplomatów, jednego zarzutu nie spotykamy pod adresem bolszewików na łamach wpływowych europejskich i amerykańskich dzienników, mianowicie, że bolszewizm to zdeklarowany wróg i dziki prześladowca chrystjanizmu. Dlatego i żądania, stawiane bolszewikom rosyjskim przez dyplomację

koalicji, opuszczają rzecz najważniejszą. Domagając się jużto uznania zagranicznych długów carskiej Rosji, jużto nowych ekonomicznych koncesyj, zastrzegając się przed propagandą bolszewizmu w ościennych krajach i żądając zaniechania teroru w samej Rosji, żadna z not dyplomatycznych ani słówkiem nie ujmuje się za prześladowaniem chrześcijaństwem, nie piętnuje przymusowego szczepienia ateizmu, żaden głos urzędowy z Europy ani Ameryki nie upomina się o prawdziwą wolność religijną w Rosji.

Czy powodem tego przemilczania jest nieznamość istotnego stanu rzeczy w bolszewickiej republice? Ależ niepodobna, by faktów takich, jak wyzucie społeczności religijnych ze wszelkiego mienia, więzienie setek i tysiocy sług ołtarza, należących zarówno do religii narodowej prawosławnej, jak i katolickiego Kościoła, krzyżowanie dziesiątkami kapłanów, a nawet biskupów, obracanie świątyń na kina i sale mityngowe, zabronienie nauczania wszelkiej religii w szkołach, — niepodobna, powtarzamy, by faktów takich nie zauważyła żadna z tych komisji, które z krajów europejskich były wysyłane do Rosji dla badania tamtejszych stosunków. Niepodobna, by umysł zachodniego Europejczyka nie wyczytał cynicznego szyderstwa w konstytucji sowieckiej, gdzie obok zapewnienia zupełnej wolności wszelkim wierzeniom figuruje wyjęcie z pod prawa przedstawicieli organizacji wyznaniowych, pozbawionych za to samo praw wyborczych narówni ze zbrodniarzami i idjotami. Niepodobna, by nie spostrzegł obywatel Francji czy Anglii, że nie może być mowy o wolności sumienia i propagandy tam, gdzie rząd wziął w swe ręce zadanie szerzenia przez prasę i szkołę ateizmu, a Kościół, zarówno prawosławny, jak wszelki inny, pozbawiony został wszelkich środków bronięcia swych wierzeń, gdzie przy zmonopolizowaniu drukarni i fabryk papieru w rękach rządu niemożliwą się stała wszelka prasa religijna, niemożliwą wszelka książka nawet do nabożeństwa służąca.

Niepodobna, żeby wszystkich tych rzeczy nikt z ludzi Zachodu nie spostrzegł, a jednak o stosunku bolszewizmu do religii nic się nie pisze w wielkiej prasie europejskiej! Słychać nawoływanie: ratujmy nasze miljarady, utopione w Rosji! Czasem dołącza się głos: ratujmy kulturę! Nie słychać hasła: ratujmy chrześcijaństwo!

Nie w braku znajomości faktów leży przyczyna tego mil-

czenia wpływowej opinii i urzędowej dyplomacji zachodniej, ale w tem, że tym samym duchem apostazji od pozytywnej wiary, jaki w sowieckiej Rosji wyraża się w jawnem prześladowaniu religij, zarażonemi są i na Zachodzie te sfery, do których decydujący głos należy w sprawach polityki światowej. Dwie potęgi zmagają się dziś w świecie o decydujący wpływ: broniący się kapitalizm i nacierający nań socjalizm różnych stopni i nazw, lecz w stosunku do zagadnień obie te potęgi idą dość zgodnie, różniąc się nie w ostatecznych zasadach, które zaczerpnęły ze wspólnego źródła materialistycznego poglądu na świat, tylko w stopniu radykalizmu, z jakim religję z życia publicznego usunąć usiłują. Pod tym względem Clemenceau z r. 1905 i Łunaczarski z r. 1919, to dwaj bracia rodzeni: pierwszy starszy, nieco bardziej umiarkowany, drugi młodszy, konsekwentniejszy i zawziętszy. I czy wypada podnosić głos w obronie chrześcijaństwa w Rosji, lub bronić je przed zalewem bolszewickim w ościennych z nią krajach tym, którzy w traktacie wersalskim, wypełniającym kilkaset stron druku, nie znaleźli miejsca ani sposobności do wymienienia choć raz imienia Boga? Czy w duszach zagorzałych europejskich zwolenników rozdziału Kościoła i państwa, zeświecczenia szkoły etc. nie budzi się nawet ukryta zazdrość, że to, co im we Francji nie zupełnie się powiodło, a w innych krajach jeszcze mniej, udało się w zupełności bolszewikom?

Wobec poprzysiężenia zagłady chrześcijaństwa przez jednych, a uporczywego milczenia o tem drugich, tembardziej narzuca się czynnikom katolickim wszystkich krajów powinność uświadomienia sobie niebezpieczeństwa, grożącego temu, co jest najdroższe dla wierzących i wydobyć z siebie wszystkich sił do odparcia wroga, który przedewszystkiem jest wrogiem królestwa Chrystusowego. Mam wrażenie, że wśród katolików zagranicą za mało się bierze rzeczy pod tym kątem, a może nawet za mało spostrzega się niebezpieczeństwo, grożące wierze i Kościołowi. Dlatego za wielką zasługę wobec chrześcijaństwa należy poczytać polskim biskupom, że do episkopatu całego katolickiego świata wystosowali list, w którym ukazują w prawdziwym świetle oblicze bolszewizmu. Podobno to pierwszy publiczny dokument, w którym nie zawahano się nazwać rzeczy po imieniu: »bolszewizm prawdziwie jest żywym wcieleniem i ujawnieniem się na ziemi ducha Antychrysta«. On jest »ostatnim wykвитem wszel-

kich zasad negacyj hodowanych przez całe stulecie, które godziły w rodzinę, w wychowanie, w ustrój społeczny, w religję, a nadto dziś godzą w samą do niedawna ubóstwianą jeszcze przez siebie wiedzę. Tylko, że bolszewizm przyłączył do doktryny czyn; przeprowadza on zasady swe w życie mordem, kwią, dyktaturą i despotyzmem jednostek». Episkopat polski otwiera oczy swoim współbraciom na całym świecie, że bolszewizm nie myśli się zatrzymać z respektem u jakichkolwiek granic: on już »siecią agitacji, niby pajak, opętał najdalej nawet leżące od Rosji narody«, że »Polska w pochodzie bolszewizmu na świat jest już ostatnią dla niego barjerą, a gdyby się ta załamała, rozleje się on po świecie falami zniszczenia«. I słusznie przed tem przestrzegają świat katolicki biskupi nasi; wszak bolszewizm rosyjski — w odróżnieniu od konstytucyj wszystkich państw i narodów — wyraźnie stawia na czele swej konstytucji, że zadaniem rosyjskiego proletariatu jest zaprowadzenie ustroju komunistycznego w całym świecie. Mamy tu więc do czynienia z imperjalizmem o wszechświatowych ambicjach i dlatego nie może być mowy o zgodnem z niem pożyciu narodów, które jego teorji w życie wprowadzić nie chcą. Zabezpieczyć się przed bolszewizmem można tylko przez zupełne jego zgnięcie; ani żadna *truga Dei*, ani zasada niewtrącania się w wewnętrzne sprawy obcego kraju nie mogą mieć tu rozumnego zastosowania. Biskupi polscy przedewszystkiem proszą cały świat katolicki o »szturm modłów do Boga za Polską«; katolicy wszakże obydwóch półkuli rozumieją, że tu chodzi jednocześnie o modlitwę za całe chrześcijaństwo i że modlitwę po-przeć musi zbiorowy wysiłek do pokonania jego najzaciętszego, jakiego historia widziała, wroga.

W liście polskich biskupów jeszcze na jedno należy zwrócić uwagę. Nasi pasterze, znowu pierwsi publicznie i urzędowo wobec całego świata, odważyli się wskazać, kto w rzeczywistości bolszewizmem kieruje. Jeżeli ktoś na dalekim Zachodzie, zwłaszcza wśród katolików, poczytywał może za rzecz przypadku, że dyktaturę »proletariatu« w sowieckich republikach, gdziekolwiek się one utworzą, dzierżą w swych rękach w dziewięciu dziesiątych częściach bracia po krwi i religji Trockiego-Bronsteina, Beli Kuna, Kurta Eisnera, to przynajmniej zaciekość przywódców bolszewizmu względem chrześcijaństwa zrozumiała się staje w oświe-tleniu listu naszych biskupów. Sterownikami bolszewizmu są ci,

k którzy we krwi swojej noszą tradycyjną nienawiść ku chrystjanizmowi. Można spór toczyć o to, czy rasa, która faktycznie bolszewizmem kieruje, wywołała go świadomie w swoich nacjonalistycznych celach, czy też tylko do gotowego ruchu tłumów przystąpiła, można powątpiewać o autentyczności ogłoszonych w Anglii (i u nas w broszurze »Bacność«), »protokółów rady najwyższej mędrców Sjonu«; bądź co bądź rasa ta osiąga przez bolszewizm, choć w inny sposób, te same cele, o jakich marzy od tysięcy lat mesjanizm »wybranego« narodu — panowanie nad światem. Czy pomiędzy mamonizmem Rotschildów, który już w znacznej mierze dzięki złotu i bankom to panowanie nad światem zdobył, a zasadniczym wrogiem kapitalizmu — komunizmem Trockiego, który o takie panowanie dopiero walczy, istnieje jakie ciche porozumienie na korzyść całego żydostwa, można i o tem wątpić; niepodobna wszakże nie spostrzec, że oba te kierunki mają źródło w ostatnich głębiach żydowskiej duszy, przesuwającej punkt ciężkości w sferze ludzkich zainteresowań od tego, co jest duchowe i wieczne, ku temu, co materialne, poziome, doczesne. »Ewangelja« Marksa najłatwiej mogła skryształizować się w tej atmosferze, w której najbardziej kwitł kult złotego cielca. W tem głębokiem pokrewieństwie dzisiejszego bolszewizmu z wczorajszym mamonizmem może też tkwić jedna z przyczyn, dlaczego świat Zachodu nie śmie wskazać palcem na istotnych przywódców nowożytnej barbarji i dlaczego tak słabo i połowicznie reaguje na widmo niebezpieczeństwa, zagrażającego dotychczasowemu ustrojowi, kulturze i cywilizacji. Mimo sprzeczności ekonomicznych interesów, głębsza solidarność rasowa nie pozwoli bankierowi angielskiemu, czy francuskiemu — a w jego rękach jest cała niemal prasa — powiedzieć głośno: poza bolszewizmem stoi Żyd! I trudno dyplomatom, z których niemal każdy ma w liczbie swych doradców albo i przyjaciół przebiegłych synów Judy, poruszyć świat do walki z hordami, którym przywodzą Sobelsony i Bornsztajny. Może list biskupów polskich przynajmniej katolickim mężom stanu i kierownikom opinji publicznej otworzy oczy na tę okoliczność.

Bolszewizm jest zaprzeczeniem chrystjanizmu. Tylko w łonie uświadomionego katolicyzmu może się począć skuteczny przeciwko niemu odruch.

W liście swoim prosili nasi biskupi swoich współbraci całego świata o »szturm modłów« za Polskę. Sami, zjechawszy się w końcu lipca na wspólną konferencję do Częstochowy, ponowili oddanie Ojczyzny pod opiekę Tej, która już tyle razy ratowała ją z »potopu«, Królowej Korony polskiej. Katolicki świat nie pozostał głuchy na wołanie Polski: wielu zrozumiało, że w krwawych jej zmaganiach z najeźdźcą chodzi o wspólną, wszystkich sprawę i że, kiedy się ma do czynienia z wrogiem religii nadprzyrodzonej, trzeba się uciec do nadprzyrodzonych środków. Krucjata modlitwy rozpoczęła się w stolicy chrześcijaństwa, gdzie na zarządzenie kardynała-wikariusza Pompili, pochwalone osobnym listem Ojca św. odbyło się w świątyni al Gèsu 8 sierpnia błagalne nabożeństwo za Polskę przy udziale przedstawicieli ciała dyplomatycznego, hierarchji kościelnej, zakonów i licznego tłumu pobożnych. Data tych modłów rzymskich przypadkowo zbiegła się z datą podobnych modłów w Warszawie, kiedy to dziesiątki tysięcy mieszkańców stolicy wobec zbliżającej się grozy wyległy na plac Zamkowy, wiedzione przez swego arcypasterza, kard. Kakowskiego i ks. biskupów Galla i Szelążka. I stąd przypuszczono nadprzyrodzony »szturm do nieba« przez przyczynę świętych patronów Polski, Ładysława z Gielniowa, Klemensa Dworzaka i Andrzeja Boboli, których też relikwie wyniesiono w procesji. Za tydzień, — czytaliśmy o tem w dziennikach, — zarządzone były modły za Polskę w stolicy Francji i w całej archidiecezji paryskiej, a zapewne dowiemy się, że modlono się za naszą Ojczyznę i w wielu, wielu punktach katolickiego świata. Jeden z wodzów naszych, generał Haller, publicznie od 13 sierpnia brał codziennie udział w nowennie w kościele Zbawiciela.

Obok wiadomości o tych modłach, dość postawić fakty: w tydzień po poświęceniu się Warszawy Bogu przez swoich patronów, a w sam dzień suplikacyj paryskich, — a był to dzień wyznaczony przez Trockiego na zajęcie naszej stolicy, — prysła pod jej murami potęga dzikich barbarzyńców i rozpoczął się niechlubny ich odwrót.

Kraje Ameryki łacińskiej są typowymi ogniskami rewolucyj. Przewroty wszakże w nich są spowodowywane nie tyle walką klas i światopoglądów, jak raczej konkurencją żądnych władzy jednostek i rodów. Meksyk właśnie jest takim kotłem, w którym

prawie ustawicznie wre i w którym dłuższy spokój wewnętrzny wydawałby się wprost anomalją. Naród, który powstał ze zlania się gorących i awanturniczych kastylczyków z krwawymi Aztekami, co to jeszcze w XVI suleciu składali tysiącami swym bóstwom ofiary z ludzi, prawie nie może żyć bez ciągłych walk domowych.

Rzeczpospolita od skazania Maksymiljana Habsburga w r. 1867, Meksyk, składający się z 31 stanów, posiadających szeroką autonomję, liczących razem przeszło 31 milionów mieszkańców, obiera co sześć lat wspólnego, prezydenta; wybory te wszakże rzadko obchodzą się — nie już, jak gdzieindziej, bez wyteżonej agitacji — ale bez krwawych zapasów pretendentów do prezydjalnego krzesła. Wrzenie ciągle podtrzymują w Meksyku Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Trzeba bowiem wiedzieć, że bogaty Meksyk obfituje przedewszystkiem w naftę, na której oddawna zaciążył północno-amerykański kapitał; nie też dziwnego, że miliardery Stanów Zjednoczonych zainteresowani są w tem, aby jeśli nie da się zniszczyć politycznej niezawisłości Meksyku, przynajmniej mogli rozpościerać w nim swoje polityczne wpływy i mieć w swych rękach prezydentów rzeczypospolitej. Stąd jednostki, żadne władzy, niekiedy pospolici awanturnicy i bandyci ubiegają się o poparcie z Waszyngtonu i przy tem poparciu osiągają swe ambitne cele.

Takimi metodami osiągnął przed sześcioma laty godność prezydenta Meksyku radykał i rewolucjonista Carranza, osobista kreatura Woodrowa Wilsona. Sześć lat jego rządów to jeden ciąg materialnej i moralnej dewastacji kraju. Dusząc przy pomocy Północnej Ameryki cały szereg buntów, jakie powstawały przeciwko niemu i przeciwko jego rządom, Carranza ma na sumieniu, jak oblicza imiennik prezydenta Stanów Zjednoczonych Henry Lane Wilson (cytowany przez J. Boubée w »Etudes« ⁵/₇, 1920), trzysta tysięcy meksykańczyków, poległych lub skazanych na śmierć i przeszło milion tych, co zginęli z głodu, nadto 665 obywateli północno-amerykańskich, którzy stracili życie w zamieszkach meksykańskich. Prawdziwie aztekowska hekatomba!

Ofiarą zaciekłości i okrucieństw Carranzы padł w pierwszej linji Kościół katolicki. Mimo, że katolicyzm jest religją narodową Meksyku i ludność jest gorącą w swem przywiązaniu do wiary, Kościół meksykański, dzięki częstemu dochodzeniu do władzy

żywiółów awanturnicznych, przechodził niejednokrotnie ciężkie koleje. Prawodawstwo meksykańskie zna już i »rozdział Kościoła od państwa«, i konfiskaty dóbr kościelnych, i laicyzację szkół, i inne wynalazki antyreligijnego radykalizmu. Za rządów Carranzy ucisk Kościoła doszedł do zenitu. Dość powiedzieć, że tysiące kościołów sprofanowały bandy Carranzy, że 1500 kapłanów wypędzono z kraju, że skasowano zupełnie zakony i zamknięto klasztory i szkoły klasztorne, dopuszczając się przytem w żeńskich zgromadzeniach ohydnych nadużyć względem samej czci niewieściej ich mieszkank. Prześladowanie doszło do tego stopnia, że biskupi prawie wszyscy (Meksyk liczy 31 diecezję) zmuszeni byli opuścić swoje stolice i szukać schronienia w Stanach Zjednoczonych, a niektórzy aż w Europie. Tylko względem religii swoich protektorów, protestanckich miljonerów, okazały się rządy Carranzy łaskawymi, wspomagając nawet pieniędzmi protestanckie zakłady misyjne i wychowawcze. W Stanach Zjednoczonych robiono też szerokie projekty »ewangelizacji« sąsiedniego Meksyku, jako niezawodnego środka utrwalenia wpływów Północnej Ameryki.

Pod koniec roku zeszłego nieco osłabił terror rządów Carranzy. Może wobec kończącego się sześćdziesiątka swych rządów, pragnął krwawy dyktator utorować tym sposobem drogę do rządów swemu protegowanemu Bonillasowi. Korzystając ze względnej ciszy, powrócili do kraju z wygnania biskupi. Wjazd ich do swych stolic był pochodem prawdziwie triumfalnym, ludność witała ich z entuzjazmem. Na spotkanie biskupa Orozco z Guadalajara wyległa cała ludność kilka mil za miasto. Podobne przyjęcie zgotowano arcybiskupowi Ruiz z Michoacan. Po powrocie swoim zajęli się biskupi dziełem restauracji katolicyzmu w kraju. Zarządzono odprawianie po parafjach misyj i rekolekcji, wskrzeszono katolicką prasę, poczęto zwalczać idącą z północy protestancką propagandę, nadto organizować katolicką ligę agrarną w celu przeprowadzenia wskazanych reform rolnych, wszczęto akcję w celu zwalczania analfabetyzmu, tu i ówdzie otwarto katolickie szkoły. W styczniu tego roku nawiedziło Meksyk wielkie trzęsienie ziemi, które powtarzało się kilka tygodni i obróciło w gruzy szereg wsi i miast. Niektóre miejscowości znikły z powierzchni ziemi wraz z mieszkańcami, potoki i rzeki zmieniły swe łóżyska, góry swą konfigurację. Kościół rozwinął po tej ka-

tastrofie swą akcję ratowniczą i dobroczynną, która tem wspa-
niałsze wydała owoce, ponieważ Meksykańczycy słyną z ofiarno-
ści na dobre cele.

Gdy się Kościół dźwiga z ruin i koi rany społeczne, wy-
bucha w maju tego roku nowa rewolucja w związku z przypa-
dającymi na jesień wyborami prezydenta republiki. Przeciwno
Carranzy i jego protegowanemu występują dwaj generałowie,
Obregon i Gonzalez; w stanie Sonora wytwarza się nowe ogni-
sko ruchu rewolucyjnego. W dodatku Carranza zdążył już nara-
zić się Amerykanom, podnosząc znacznie cła wywozowe na me-
ksykańską naftę. Nic więc dziwnego, że antaŃoniści jego znaleźli
poparcie Stanów Zjednoczonych. Po szeregu odniesionych zwy-
cięstw nad oddziałami Carranzy, generał Obregon zdołał wypę-
dzić samego prezydenta ze stolicy i otoczyć pozostałe wierni mu
wojska. Po bezskutecznych pertraktacjach o kapitulację, ręka ja-
kiegoś spiskowca przecięła dni żywota wczorajszego dyktatora
Meksyku.

Obecne połoŃenie polityczne jeszcze nie wyjaśnione; Ame-
rykanie stoją na granicy, gotowi do wmieszania się w wojnę do-
mową Meksyku, oczywiście na swoją korzyść; oprócz wojsk Obre-
gona buszują po kraju luźne bandy nowych pretendentów. Jakie
losy czekają w najbliższej przyszłości Kościół meksykański, nie
wiadomo; to tylko wiadomo, że Obregon i Gonzalez popierali po-
litykę kościelną Carranzy. Może jednak krwawy terror, przeła-
many stałością wyznawców i przywiązaniem do wiary szerokich
mas ludu, już nie powróci i wspaniałe świątynie meksykańskie
bez przeszkody będą rozbrzmiewały chwałą BoŃą.

Ks. Jan Urban.

Ogniskowanie katolickiej akcji społecznej.

Nie brak ani w naszym ani w innych społeczeństwach wielkich
poczyńań, szlachetnych porywów, wyrastających z przeŃywnych prawd
naszej wiary i moralności, jednakŃe często inicjatywa, zakreślona na
szeroką i głęboką skalę, wnet karłowacieje, a indywidualny zapał
staje często bezradny wobec ogromu zadań i nieprzeliczonych tru-
dności. Na systematyczną pracę i wielkie rezultaty moŃe liczyć tylko

to dzieło, które znajdzie oparcie o jakąś instytucję stałą, posiadającą wytrawnych teoretyków i praktyków społecznego dzieła. Taką instytucją są sekretarjaty, biura społeczne.

Mamy przed sobą kilka zeszytów *Les Nouvelles religieuses* ze sprawozdaniami o działalności sekretarjatów społecznych na terenie francuskim. Francja posiada 6 sekretarjatów dla katolickiej akcji społecznej. Są one rozłożone w ten sposób, by mogły swą pracą objąć cały teren francuski. Na zachodzie znajduje się jeden w mieście La Roche sur Yon i w Nantes, na wschodzie w Besançon, w Lyonie i w Grenoble, a szósty największy w centrum Francji, w Paryżu. Powstawały powoli, poczynając od r. 1907, w którym właśnie ks. Rutten, Belgijczyk, przybył do Paryża z referatami o konieczności tego rodzaju instytucyj, popierając swe wywody doświadczeniem, zebraniem na rodzimej ziemi.

U nas znane są ogółowi t. zw. sekretarjaty jeneralne różnych organizacyj katolickich, mające pewną analogję z sekretarjatami francuskimi i belgijskimi. Są one w tem do nich podobne, że koncentrują ruch społeczny całej Polski, albo pewnego ściśle określonego terytorjum, a różnią się tem, że nie zajmują się wyłącznie jednym typem organizacyj, jak n. p. u nas sekretarjat jeneralny stowarzyszeń kulturalno-oświatowych, ale usiłują stworzyć oparcie dla wszystkich poczynañ katolicko-społecznych. Chodzi im przedewszystkiem o to, żeby zbierać dokładne wiadomości o wszystkich organizacjach, mieć w odpowiedniej sekcji ustawy, daty statystyczne, sprawozdania i bogatą bibliotekę, a przytem ludzi wykształconych i doświadczonych w pracy społecznej, którzyby mogli informować i poszczególne osoby i istniejące lub powstać mające stowarzyszenia o sposobie prowadzenia organizacji i wogóle o życiu i pracy społecznej. Pierwszym celem sekretarjatów nie jest koncentracja pracy organizacyjnej, ale wiadomości o niej, w ten sposób, by każdy mający jakieś projekty czy dobrą wolę w tym kierunku, mógł w sekretarjacie zasięgnąć pewnych wiadomości, co i jak należy organizować i prowadzić. Jasną jest rzeczą, że skoro sekretarjat posiada dokładne dane o ruchu społecznym, łatwo spostrzeżać, w jakim kierunku robi się za dużo, gdzie natomiast brak pracy i inicjatywy i sam wtedy występuje z pewną inicjatywą, że patrząc krytycznie i porównawczo na poszczególne prace, łatwiej dostrzeżać wtedy, prędzej zauważyć szkodliwą lub zbawienną oryginalność i może tych spostrzeżeń udzielić innym. To też sekretarjaty ustawicznie prawie prowadzą jakieś kursy na temat organizacji, urządzają odczyty nie tylko w miejscowościach, w których się znajdują, ale w razie potrzeby na prowincji w poszczególnych stowarzyszeniach. Zrozumiałą jest też dążność do wydawania odpowiedniego pisma, któreby zainteresowanym dostarczało źródłowych wiadomości i praktycznych wskazań.

Wojna przerwała działalność sekretarjatów, głównie dlatego,

że personal został powołany pod broń; z chwilą zawarcia pokoju podjęto tem intensywniejszą pracę.

U nas potrzeba podobnych instytucyj' była wprost krzycząca. Przez pewien czas miało się wrażenie, że rolę sekretarjatów będzie mogła odegrać R. G. O., likwidując częściowo swoją aktywność, a zachowując i rozszerzając jeszcze bardziej swą wszechstronność, a przede wszystkim szeregując ludzi wybitnych, pełnych inicjatywy i doświadczenia. Niestety, te tak dzielne, zdawałoby się epokowe organizacje, jak K. B. K. i R. G. O., mimo swej' początkowej siły i tężyzny, tak przedwcześnie i tak niespostrzeżenie zeszyły prawie zupełnie z powierzchni życia społecznego.

Ponieważ jednak świadomość potrzeby ześrodkowania pracy katolickiej i stworzenia dla niej mocnych podstaw teoretyczno-praktycznych była zbyt silną, wśród osób zajmujących się nią powstała w Warszawie z początkiem bieżącego roku myśl założenia »Towarzystwa Pracy Katolickiej«, przy którym ma powstać »Biuro Pracy Katolickiej«. Ma ono przez odpowiednią biblioteczkę i czytelnię, a sądzić wolno i przy pomocy ludzi rytunowanych w społecznej działalności »szybko i kompetentnie przychodzić z pomocą i radą tak pojedynczym działaczom przy katolickiem rozwiązaniu zadań i zagadnień, które ich działalność i życie postawi przed nimi, jako też przez współpracę w opracowywaniu programów, ustaw, odezw, referatów dopomóc wszelkim towarzystwom i organizacjom w spełnianiu ich właściwego działania«¹⁾.

Program T. P. K. jest prawie identyczny z programem, jaki mają sekretarjaty francuskie, wykazujące tyle wpływu na katolicką akcję społeczną. Można by więc z radością powitać tę instytucję powstałą na naszym gruncie. Z pewną niecierpliwością oczekujemy sprawozdania z rozwoju i działalności w pierwszych miesiącach T. P. K. i Biura Pracy. Dotychczasowe milczenie w tym względzie nasuwa nie zbyt wesołe przypuszczenia. Być może, że wiązanie, przynajmniej tymczasowe, propagandy za Towarzystwem z pismem tak silnie partyjnie zabarwionem, jak »Sprawa«, nie przyczynią się do budzenia tej sympatji, na jaką zasługuje samo dzieło.

Obok rodzącego się »Towarzystwa Pracy Katolickiej« istnieje od lutego w Polsce przy Uniwersytecie Lubelskim »Towarzystwo Popierania Ruchu Społecznego«. Z wykreślonego celu Towarzystwa widać ideowe braterstwo z Towarzystwem Pracy. Ma ono na celu popieranie usiłowań społeczeństwa w kierunku organizowania samopomocy społecznej na gruncie działalności ekonomicznej i społeczno-kulturalnej drogą krzewienia zasad organizacji i ładu społecznego, oraz drogą badań naukowych i wspólnych obrad nad sprawami życia społeczno-ekonomicznego i kulturalnego²⁾. Różni się jednak znacznie

¹⁾ Odezwa T. P. K. »Do ogółu świadomych katolików«.

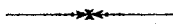
²⁾ Statut, § 1.

od warszawskiego T. P. K. głównie ściśle określonym terenem działalności, uwzględniając szczególnie ziemię lubelską oraz przyległe jej kresy. Nadto, rzecz znamienita, towarzystwo w swej ustawie nigdzie nie zaznacza swego katolicyzmu. Wątpić jednak nie wolno, że praca Towarzystwa będzie podejmowana tylko w duchu katolickim, wszak wyłoniła się z uniwersytetu katolickiego, ma na swym czele ks. prałata I. Radziszewskiego, rektora uniwersytetu, i rozwija się pod bezpośrednim wpływem ks. biskupa Fulmana.

Sprawozdanie z trzymiesięcznej działalności Towarzystwa świadczy o intensywniej pracy jego Zarządu i członków. Pracę Towarzystwa charakteryzują szczególnie dwa przedsiębiorstwa: »Kursy Nauk Politycznych i Administracyjnych« i wydawanie »Przewodnika Administracji Polskiej« z subwencji Towarzystwa. Na razie faktycznie pierwiastki prawno-państwowe wzięły górę nad społeczno-ekonomicznymi i kulturalnymi. Prawdopodobnie jednak w przyszłości, zwłaszcza po stworzeniu na Uniwersytecie Lubelskim specjalnego wydziału społeczno-ekonomicznego, praca Towarzystwa w tym kierunku będzie jeszcze wydatniejsza.

Notując te wielkie poczynania w dziedzinie społecznej, wyrażamy życzenie, by inicjatywie odpowiadała wielka wytrwałość w pracy i wzięcie z czynnem poparciem w całym polskim społeczeństwie.

R. M.



Kraśiński wobec Komunizmu.

Wśród genjuszów naszych nikt z taką bystrością i dokładnością nie przepowiedział dzisiejszego stanu społecznego u nas i w Europie, jak Z. Kraśiński. Sam siebie w późniejszych swych latach nazywał Kasandrą niesłuchaną, a objaśniał dar swój niezwykły naturalnem usposobieniem: »Wiekuiста ku losom pódejrzliwość i druga wiekuiста ku naturze ludzkiej, Kasandrowe mi słowa sprowadzała na usta«.

Usposobienie takie odziedziczył poeta po matce, skłonnej do przywidzeń, urojeń, przeczuć, na tle stałej melancholji, pod wpływem nerwów rozbujających. Nadmiernie czuły organizm, wrażliwy na wszelkie objawy zła na świecie, będzie stale reagował na to zło nieprzebranym zapasem dobroci wrodzonej. Fenomenalny zaś rozum będzie się starał od najwcześniejszych lat szukać sposobu na złagodzenie antagonizmów społecznych.

Jak wcześniej Z. Kraśiński zaczął się zastanawiać nad niedolą ludzką, świadczy fakt następujący: z początkiem września 1825 r. odbył 13-letni chłopiec pierwszą podróż dłuższą z Warszawy na Podole do dziedzicznych Dunajowiec w towarzystwie surowego mentora, Chlebowskiego. Na każdym popasie notował mały Zygmunt swe wrażenia w dzienniku podróży. Zdziwiał tam nas swemi spostrzeżeniami. Lud go obchodził żywo, a porównawszy dolę wieśniaka mazowieckiego z niedolą chłopu ruskiego, do takich wniosków doszedł 13-letni myśliciel: »Chłop ruski często zamożniejszy od mazowieckiego, ale uciśniony przez panów... nie śmie podnieść głowy. Każdy pan jest królikiem u sie-

bie despotycznym. Pan, otoczony kozakami, patrzy bez litości na męki zadawane z jego rozkazu włościanom, a ludzkość spodłona wygląda zbawiciela. Takim zbawicielem mógłby być mąż cnotliwy, którego wymowa miękcyłaby serca panów, skamieniałe na cierpienia włościan... Takim zbawicielem mógłby się stać rząd, wglądając w postępowanie nieludzkie panów z włościanami. Trzeci środek najlepszy i jedyny jest: większa oświata...«¹⁾.

Nie wiem, czy jest drugi przykład tak wczesnego zastanawiania się nad niedolą społeczną... Gdyby ten list nie dochował się w autografie i z wyraźną datą, a tylko w kopji, budziłby mógł wątpliwości, czy to na prawdę list trzynastoletniego chłopca? Ktoby zaś podejrzewał, czy to przypadkiem nie towarzysz podróży, nauczyciel Chlebowski, podsuwał chłopcu takie rozmyślania nad dolą wieśniaków ruskich, ten niech się rozczyta w innych ustępach z listów podolskich z r. 1825, a przekona się, że to nie z głowy płynęły takie rozmyślania, ale przede wszystkim z serca, czułego na niedolę bliźnich, z pod pióra chłopaka, który już na lat trzy przedtem w 1822 r. w albumie swym dziecinny dużemi literami i nieortograficznie wypisał sobie sentencję taką, z francuskiego przejętą: »Trzeba kochać rodzinę swą więcej niż siebie, ojczyznę więcej niż rodzinę, ludzkość więcej niż ojczyznę«. A temu hasłu, od dziecka przejętemu, pozostanie wierny i poeta i człowiek przez całe życie, do grobowej deski.

Koleje wykształcenia młodzieńczego sprawiły, że Z. Krasiński bardzo wczesnie wyrzwał w świat, poza Polskę, a przez studia genewskie i pobyt w Rzymie rozszerzył nadzwyczajnie horyzont swych myśli społecznych; zawdzięczał pod tym względem bardzo wiele przede wszystkim Rossiemu, Chateaubriandowi i Micheletowi. Wiadomo, że katastrofa r. 1831 była dla niego katastrofą podwójną: narodową i — rodową. Stanowisko Jenerała Winc. Krasińskiego w r. 1831 było dla syna próbą najcięższą w życiu; to, że nie wziął udziału w wojnie narodowej, odbiło się jak najfatalniej na zdrowiu wątłego młodzieńca. Cały rok 1831 zeszedł mu na przetrwaniu zagadnień społecznych, tembardziej, że ojciec jego — poniekąd na usprawiedliwienie swej karygodnej bezczynności w powstaniu listopadowem — twierdził w listach

¹⁾ Kallenbach: Z. Krasiński t. I, 43—45. Lwów 1904.

do Zygmunta w stylu »jeneralskim«, ale co do przekonań bardzo jasnym: »Narodowości poznikały. Dwa kolory rządzą światem: porządek i rozruch, a to na to, żeby ci, co posiadają, nie posiadali — a ci, co nie posiadali, żeby posiadali. Stąd to ten ruch nieznosny partji, który w całym świecie się rozszerza, a przybiera preteksta najszczytniejsze...« (14 maja 1831). Jakby na potwierdzenie słów ojca miał Z. Krasiński w ciągu roku 1831 przekonać się, że istotnie w Europie niedobrze się dzieje. Parlament angielski odrzucił (8. X. 31) bill reformy społecznej, a z rodzinnego Norwich przyjaciel Zygmunta, H. Reeve opisywał, jak robotnicy angielscy i lud gotują się do rewolucji. W końcu listopada r. 1831 w Lionie przyszło do krwawego starcia robotników z wojskiem; fabryki jedwabiu stanęły w ogniu, a tysiąc kilkaset trupów padło na bruku lionskim; w Paryżu St.-Symoniści szczyli swe utopje nowej wiary dla odrodzenia starego świata, a niedaleki twórca Nieboskiej zapewniał ojca, że »stoimy zawieszeni między przeszłością a przyszłością; zapewne kilka generacyj jeszcze męczyć się i silić będzie... Jedynym puklerzem wiara w Chrystusa«. Już w końcu roku 1831 jest dla Z. Krasińskiego »oczywistem, że szybko zbliża się upadek teraźniejszego towarzystwa europejskiego«. Upewniał Reeve'a, że olbrzymia przepaść otwiera się kędyś, aby pochłonać stare społeczeństwo; między despotyzmem a demokracją, któż dziś wybierze? Pytam się, czy nie gardzisz tą biedną ludzkością, zakneblowaną w Rosji, belkocącą we Francji i w Anglii wyrazy, których nie rozumie... Mikołaj, czy St.-Symoniści, toć to błoto — tak, błoto, mój przyjacielu«.

W tych zapatrywaniach, Krasiński nie był wówczas bynajmniej odosobnionym. Można powiedzieć, że wszystkie dzielniejsze umysły na Zachodzie przewidywały i przepowiadały konieczność rewolucji powszechnej. I tak: X. Lamennais — znany obrońca sprawy naszej w r. 1831 — na wielu miejscach zapowiadał »powszechne przeobrażenie społeczeństwa«: »zbliżamy się — pisał on 10. II. 32 — do wypadków największych, jakie świat widział od wieku. Walka straszna rozpocznie się na wszystkich punktach Europy, a wynik jej nie jest wątpliwy bez względu na to, jakie będą alternatywy powodzenia... To, co się przygotowywa, to nie jakaś z przemian, co się kończą transakcjami, regulowaniami przez traktaty; ale to przewrót całkowity i powszechny społeczeństwa.

Żegnaj przeszłości, żegnaj na zawsze! nie z niej nie pozostanie» (I. XI. 32).

Zapatriywania Lamennego były niewątpliwie znane Krasińskiemu jeszcze z Rzymu za pośrednictwem domu Ankwiczów, gdzie bardzo często przebywali X. Lamennais i Montalembert, a gdzie stałym bywał gościem Krasiński w ciągu r. 1831.

Ale więcej od X. Lamennais przemawiał do bliskiego już twórcy Nieboskiej Mickiewicz, który wywarł na nim potężne wrażenie w ciągu wspólnej podróży szwajcarskiej w r. 1830 i później w r. 1831 w Genewie. Mickiewicz był — rzec można — duchowym współpracownikiem Krasińskiego (jak o tem sam wspomniał w rozmowie z A. Chodźką¹⁾) i dlatego odczuł potem tak kongenjalnie wartości Nieboskiej w Collège de France. Przyszły redaktor *Trybuny Ludów* wiedział doskonale od czasu rozgromu dekabrystów rosyjskich w r. 1825, ku czemu Rosja i Europa zmierzają, a wyraził to najzwięźlej w znakomitym artykule o Sejmie Polskim z r. 1833, który streszcza poniekąd rozumowania jego o tem, że świat idzie ku wielkim odmianom. Mickiewicz stwierdza tam, że »przepowiadają tę burzę filozofowie, poeci, księża... na różnych punktach ziemi, w różnych partjach i religiach. Dość podnieść oczy w górę: tam X. Lamennais, Schelling, Lamartine, Chateaubriand i mnóstwo innych, jak chorągwie na wieżach pokazują, skąd wiatr zaczyna wzmagać się; dość ucho przyłożyć do ziemi: tam w tawernach niemieckich, w forburgach paryskich, nawet w chatach włoskich jeden rodzi się huk, wróżący trzęsienie ziemi. Kiedy nastąpi burza, za rok, czy za lat sto, dla mnie obojętne pytanie; czuję, że nastąpić musi« (IV, 324—5).

Otóż ta pewność zasadnicza, której w słowach powyższych Mickiewicz dawał wyraz, a którą obok wymienionych przezeń poetów głosili ludzie tej miary, co Michelet, Quinet, Ballanche i w. i., ta sama pewność rosła w Krasińskim z roku na rok, aż wydała na świat utwór genialny, przewidująco proroczy: *Nieboska Komedja*. Zdaje się jednak, że ani obawy Mickiewicza i wymienionych poprzednio filozofów i poetów, ani rozruchy St. Symonistyczne, głośnie w Paryżu, a dobrze znane Krasińskiemu przez świadka naocznego Reeve'a, nie były tą ostateczną pobudką

¹⁾ Wład. Mickiewicz. *Żywot A. M. Poznań 1894, t. III, 481.*

do ujęcia nagromadzonych obaw i przeczuć w całość artystyczną. Taką nicią, około której rozczyłn idej społecznych ściał się w kryształ Nieboskiej, był polski głos emigracyjny z nad Sekwany, na który wzdrygnęła się szlachetna dusza poety.

W sierpniu 1833 r. ukazał się w Paryżu wśród emigracji prospekt na pismo *Nowa Polska*; wychodziło ono już w czasie rewolucji w Warszawie, a w Paryżu wznowione zostało przez redaktora, słynnego J. B. Ostrowskiego, najczervenieszego z czerwonych, który potem bardzo lichy zakończył swą działalność społeczną, jako denuncjant na usługach policji paryskiej. Otóż w tym prospekcie *Nowej Polski* mógł Krasiński taką czytać zapowiedź: »Wolność ludzkiego ducha, zupełne usamowolnienie myśli i ludzkich towarzystw, powstanie przeciw przeszłości, powszechne przekształcenie Europy, nowy kierunek ludzkiej wiedzy, wzniesienie jednej i ogólnej syntezy myślenia, nowa wiara, nowa ludzkość, nowa jej przyszłość: ten jest symbol *Nowej Polski*«. Pismo to nie zawiodło nawet najśmielszych oczekiwań; wywodziło ono konsekwentnie wszelką własność z rabunku, twierdząc: »jest pewna, że dziś wielki posiadacz ziemi, że książę, że hrabia, że pan, że szlachcic obszerne posiadający włości, jest dziedzicem rabunku, posiada przez wojnę, jest synem szczęśliwego wojownika...« *Nowa Polska* zapowiadała dosłownie, że »nadchodzi sąd ostateczny¹⁾, świta dzień naprawienia historycznych zbrodni. Ujarzmieni, złupieni, ciemnieni, niewolnicy, nie mający nic powstają przeciw dziedzicom rozboju... Społeczeństwo (»towarzystwo«) najazdów i wojny jest rozwiązane i niewolnicy są usamowolnieni; człowiek uznał swoją godność: uznał, że jest równy dziedzicom swoich zwycięzców, że ziemia powinna być wspólna i wolna, że przeto społeczeństwo swoim początkiem niesprawiedliwe, musi być zniszczone, że przez zniszczenie nadużyć zajaśnieje nowy wiek ludzkości, odrodzenie, naprawienie. Używaliście — ustąpcie! wrócił prawdziwy właściciel; społeczeństwo usamowolnione samo chce siebie urządzić«. (N. P. 1833, str. 114).

Tak pisał reformator społeczeństwa, polski Pankracy nad Sekwaną, a niebawem w arcydziele Krasińskiego powtórzy dosłownie wobec hr. Henryka: »Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju

¹⁾ Pankracy w Nieboskiej: »dzień sądu bliski«.

i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym!» Nie mogło zatem być wątpliwości dla 20-letniego autora Nieboskiej. Komunizm przemówił nie tylko teoretycznie z francuskich, lionskich i genewskich zebrań, propagatorskich i prowokujących, — ale odezwał się jasno i praktycznie — po polsku — z łamów *Nowej Polski*. Kiedy redaktorowi tego pisma zarzucano, że doktryny swej nie sformułował dokładnie, stwierdził on na str. 144, że »pismo *Nowa Polska* chce zupełnie nowej Polski pod względem naukowego, umysłowego, politycznego i religijnego przeobrażenia. Musi nastąpić nowa kreacja: wszystkie kamienie starej budowy odrzucone. Zstąpi na ziemię Jeruzalem Apokalipsy...«

Z przeszłości Polski nie się nie nadawało, zdaniem *Nowej Polski*, do odbudowy: »wszystko, co za nami, jest przeszłością bezsilną, umarłą«. *Nowa Polska* gardziła nawet konstytucją Trzeciego Maja, skoro ta zatwierdzała przywłaszczenie ziemi i ujarzmienie ludu, uświęcając starodawne panowanie szlachty nad ludem. Dosłownie uragała *Nowa Polska* konstytucji trzeciego maja w tych słowach: »Ten szpargał nie zaprowadził ani jednej, zbawiennej, bądź społecznej, bądź politycznej zmiany, nic nie ulepszył... Czy chcielibyście na tronie światłości usadowić straszny szkielet starej Polski?« (str. 147). Aby nie pozostawić wątpliwości co do stanowiska swego wobec katolicyzmu, *Nowa Polska* oświadczyła, że »przez zasadę katolicyzmu rozumie nie kościół rzymsko-katolicki, ale tylko umiętny, filozoficzny system katolicyzmu, który wszystkie europejskie ludy chciał zamienić na jedno społeczeństwo, na jedną ludzkość, jako pięknie mówił Tertullian o chrześcijanach: *unam rempublicam agnoscimus: mundum!*«

Krasiński miał zatem całkiem realne tworzywo w budowaniu artystycznej wizji nowego przyszłego społeczeństwa, miał się na czym oprzeć, miał z czego czerpać. Nie mamy w Nieboskiej do czynienia z gorączkowymi wizjami, ale z genialną projekcją rzeczywistych przesłanek ówczesnych na ekran wiekowego tła przyszłości. Bystro ocenił i przewidywał on rolę żydów w każdym fermentie społecznym, przyczem znowu nie tylko opierał się na wpływowem znaczeniu żydów w St. Symonizmie (Carnot, d'Eichtal, bracia Rodriguez), ale miał przecie w emigracji tak znamienne i destrukcyjne typy przechrztów, jak: Krępowieckiego

i Czyńskiego. Rola zatem, jaką odgrywają w Nieboskiej Przechrsta i Żydzi, nie tyle z antysemityzmu poety jest zaczerpnięta, ile z rzeczywistości ówczesnej, której, jak wiemy, teraźniejszość Radków i Trockich kłamu nie zadaje.

Wiadomo, że jednym z największych uroków Nieboskiej jest zadziwiająca w tak młodocianym wieku autora bezstronność, z jaką traktował główne osoby dramatu społecznego, tak, że jest to walka dwu tytanów, dwu sił duchowych, równych sobie rozumem. Do osiągnięcia tej równowagi nie mogła oczywiście w niczem przyczynić się drażniąca swym tonem wyzywającym *Nowa Polska*. Ale był inny wówczas autor, paladyn legitymizmu, były minister Burbonów, który na stare lata, na krótko przed śmiercią melancholijnie, ale stanowczo stwierdził, że zanosi się w Europie na zwycięstwo demokratyzmu¹⁾. Autora tego, otoczonego powszechnem wtedy uznaniem, znał osobiście Krasiński z salonów genewskich, znał na wylot jego arcydzieła — można zatem zrozumieć, z jakim zaciekawieniem przeczytał niewielki, ale brzemienisty treścią artykuł Chateaubrianda w *Revue des deux Mondes* pod tyt.: *L'Avenir du Monde (Przyszłość Świata)*. Mały ustęp z tego artykułu przekona, do jakiego stopnia Chateaubriand okazał się przewidującym: »Europa szybko pospiesza ku przekształceniu demokratycznemu... Europa musi naprzód przyjąć jednostajny system polityczny. Lecz, aby ten jednostajny system polityczny założyć, jest prawie rzeczą widoczną, że wybuchną wojny zewnętrzne, że trzeba będzie przejść przez podwójny bezrząd: fizyczny i moralny. Gdyby szło tylko o samą własność, to zachodzi pytanie, czy będzie ona zmieniona, czy też jej urządzenie pozostanie nietknięte? Społeczeństwo, gdzie jeden człowiek ma dwa miljony dochodu, inni zaś ludzie muszą napępniać naczynia kawałkami zgnilizny, aby zebrać robaki, które sprzedane rybakom są jedynym sposobem egzystencji dla życia rodzin —

¹⁾ Trafnie charakteryzuje Chateaubrianda z powodu innej broszury politycznej (z końca 1831 r.) młody Reeve w liście do Z. Krasińskiego: »le républicain par nature, le monarchiste par raison et le bourboniste par honneur«.

²⁾ *L'Avenir du Monde*, artykuł Chateaubrianda ukazał się po raz pierwszy w *Revue des deux Mondes* w Paryżu 15 kwietnia 1834. *Nowa Polska* skwapliwie zamieszczała na swych łamach przekład »Przyszłości Świata« w końcu kwietnia t. r. na str. 151—2.

takie społeczeństwo, na podobnych oparte zasadach, czy może się ostać wśród postępu wyobrażeń? — Jeśli jednak własność będzie naruszona, wynikną natychmiast nieogarnione wstrząśnienia, które się nie uśmierzą bez rozlewu krwi. Prawo krwi i ofiary jest wszędzie. Bóg, aby odnowić porządek świata, wydał swojego Syna na śmierć krzyża. Jaka będzie nowa społeczność, nie wiem. Nie znam jej praw. Tak samo jej nie pojmuję, jak starożytni nie mogli wyobrazić sobie społeczeństwa bez niewolników, założonego przez chrystjanizm. Jakim sposobem nastąpi zrównanie majątków? Zrównoważenie pracy i zapłaty? Jaką drogą kobieta uzyska zupełne swe usamowolnienie? tego także nie wiem. Dotychczas społeczeństwo miało metodę zrzeszania się, łączenia się w rodziny. Czemże się stanie, jeśli indywidualizm weźmie przewagę, jak to już widzieć można w społeczeństwie Stanów Zjednoczonych? Ludzkość, rodzaj człowieczy, prawdopodobnie zwiększeje, ale sam człowiek zmaleje; władze genjuszu ludzkiego znikną częściowo, wyobraźnia, poezja, sztuki skonąją między dziurami pszczelnika społecznego, gdzie każda jednostka ludzka będzie tylko pszczolą, kółkiem maszyny, atomem materji żyjącej.

»Gdyby zaś wiara chrześcijańska miała zagasnąć, społeczeństwo skamieniałoby przez wolność...

»...Widzę Lud wstrząsający się, ogłaszający swą potęgę, Lud, który woła: *chcę! będę!* przyszłość dla mnie — przedemną nie widziano nic! świat mnie oczekiwał! Moi ojcowie byli dziećmi i niedołęźnikami...

»Należymy do pokoleń przechodnich, środkowych, skażanych na niepamięć, tworzących łańcuch, mający osiągnąć rąk, które zbiorą żniwo przyszłości«²⁾.

¹⁾ »Przyjdą czasy, w których świat mój — mówi Pankracy w Nieboskiej — zrozumie siebie i powie o sobie: *Jestem*, a nie będzie drugiego głosu na świecie, któryby mógł także odpowiedzieć: *Jestem*«. Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów«.

²⁾ »Gniew Boży świat odradza... Wszystko runie, spłynie i zgnije, ale nadejdzie dzień, kiedy na tych samych miejscach zboże będzie się kołysało. Nie nam to myśleć o złotych kłosach. Dzieci nasze będą je zbierały na kościach naszych zbiegających... (Kraśński do Reeva, listop. 1831). Ob. Kallenbacha monografię o Z. K. t. I, 291, 323. »Ja wiem, że cywilizacja nasza ma się ku śmierci... Dopiero to, czego... nikt nie zna, nie pojmuję, nadejdzie i świat nowy z woli Boskiej zbuduje — ale wtedy i twoje i moje kości

Chateaubriand wskazał wyraźnie niebezpieczeństwa, grożące światu w razie zwycięstwa komunizmu. Miał jednak za wiele rozumu i uczciwości w rozumowaniu, aby zaprzeczyć *a priori* możliwości urzeczywistnienia się kiedyś komunizmu na świecie. Artykuł o Przyszłości Świata wyrzucić musiał wrażenie na Krasińskim, a powaga tego artykułu oddziaływała z pewnością na utrzymanie powagi w części społecznej Nieboskiej. Pierwotnego tekstu Nieboskiej nie znamy; były w nim z pewnością ustępy jaskrawe, nie licujące z powagą całego przedmiotu, skoro K. Danielewicz mógł ojcu poety donieść 4 lipca 1833 r., że »bohater dzieła... wśród politycznych wypadków gra bardzo zabawną rolę, bo nie nie działającą... i trochę na arlekina zakrawa... (autor) daje mu postać *tragico-buffo* ¹⁾.

Otóż obok innych powodów, które wpłynęły na zmianę zasadniczą w pojęciu i wyrazie postaci hr. Henryka, wymienić należy wpływ artykułu Chateaubrianda o przyszłości świata. Przewidywania sędziwego autora »Męczenników« były zbyt serjo, zbyt stanowczo wyrażone, aby nie wyrugować całkiem z Nieboskiej pierwotnych pomysłów *tragico-buffo*... — Nieboska była wielką przestrogą dla Europy całej, ale przeszła prawie nie zauważoną, nawet przez emigrację polską. Dopiero w kilkanaście lat potem przy blaskach pożogi rewolucyjnej r. 1848, a jeszcze jaskrawiej w 35 lat po wyjściu Nieboskiej, na przykładach komuny paryskiej ukazała się doniosłość tego potężnego utworu. Każde pokolenie polskie coraz lepiej rozumiało Nieboską, która przenikała do sumień naszych, obnażała grzechy zaniedbania społecznego, wypominała czas stracony, »wahanie się i bojaźń« i uporczywie powtarzała zdanie, umieszczone na samym tytule, wiekopomne, a dziś dla narodu całego tragiczne zdanie: *Być, albo nie być!*

Nieboska była tylko skrótem genialnym, zarysem najogólniejszym palących kwestyj społecznych, które domagały się dalszego rozwinięcia. Jakoż poeta zaraz po wydaniu *Irydiona* wrócił w r. 1837 do spraw społecznych, ujmując je zrazu w *Herbucie*, którego sen jest tylko pierwszą próbą nakreślenia tych

próchnem gdzieś będą...» (Krasiński do Gaszyńskiego, 17, I, 1834). Zadziwiające są tu zbieżności myśli, wcześniejszych u Krasińskiego w listach, niż u Chateaubrianda w druku.

¹⁾ Kallenbach, Z. Krasiński, II, 58.

samych głównych objawów czyśca i piekła ziemskiego, które z czasem rozwinięte będą w t. zw. *Niedokończonym Poemacie*. Rok 1846 ukazał niespodziewanie dla wszystkich rozłam społeczny w Polsce, który umiał ku swej wiecznej hańbie wyzyskać Meternichowski rząd wiedeński. »Nieboskiej dożyliśmy na jawie« — pisał wtedy Krasiński do przyjaciela. Powstanie krakowskie z proklamacją bardzo czerwoną napełniło Krasińskiego smutkiem. Ogłoszenie komunizmu uważał za błąd, który »mogli popełnić tylko niedowarzeni«. Wtedy to w liście do Małachowskiego z dnia 12. III. 46 sformułował jasno, jak się zapatrywał na komunizm. Zadziwia tam spokojne, filozoficzne ujęcie kwestji, a spokój ten bardzo podobny do spokoju Chateaubrianda:

»Komunizm* szaleństwem! Stan komunistyczny Państwa może być celem, ku któremu ciąży historia świata...; by nie być najstraszniejszą ironią, najszałem despotyzmem, musi nastać dopiero w dni owe, gdy Chrystusowe oświecenie wszystkich uświęci. Po prostu, to reguła klasztorna, do społeczeństwa całego zastosowana. Dziś pytam, czy ją można, czy podobna zastosować i czy ją lud zrozumie? Lud właśnie tylko własność zrozumie... a nie wyrzucie z wszelkiej własności. Trzeba przyjąć za zasadę prawo, nadające własność włościanom gruntów przez nich uprawianych i posiadanych... Komunizm — to idea raczej wschodnia, niż zachodnia«¹⁾.

Krasiński ostrzegał, aby nie wlewać jadu w lud. Przeczynał bowiem, że »lud na gruzach i trupach obalonych wieków, puściłby się na nowe kształty społeczne, niezawodnie komunistyczne... świat by chrześcijański tak skończył, jak pogański, tylko, że przez napływ wewnętrznych barbarzyńców... Do takiego chaosu wiodą nas rządy europejskie monarchiczno-absolutne i ministrowie rządów konstytucyjnych... My bardzo nieszczęśliwi, bo znamy prawdę, znamy i obliczyć możemy matematycznie przyszłość, a ręce nam związane, skrepowano nas i nie czynić nie możemy...« (do Mał. 105—6).

Poeta wiedział, że »należy ubiec nieprzyjaciół dwóch: rząd i komunizm; należy chłopów usamowolnić, by stali się ludźmi,

¹⁾ Do Małachowskiego, 12. III. 1846, str. 64. Tekst pełniejszy tego listu podał zbiór Gaszyńskiego: »Wyciąg z listów Z. Krasińskiego«, Paryż 1860, str. 215.

a wpływ polityczny nad nimi zachować, by nie przestali być Polakami. Od rozwiązania tej zagadki, straszniejszej niż wszystkie sfinksowe, zależy nasza przyszłość». I dlatego, nie poprzestając na listach do przyjaciół, zwrócił się poeta znowu do społeczeństwa, ogłaszając dawne swe z r. 1840 myśli, pierwotnie zatytułowane: *Fantazja konania*, a w r. 1847 wydrukowane jako *Dzień dzisiejszy*. Mieszczą się tam świetne charakterystyki stronnictw ówczesnych w Polsce, a przedewszystkiem charakterystyka własnego rozumu, panującego ponad stronnictwami. Każdy powinien dziś odczytać na nowo *Dzień dzisiejszy* i pokrzepić się nim na duchu, powinien zwłaszcza rozważyć ocenę komunizmu tam zawartą i sposób argumentowania jego zwolenników: »Despotyzm zbijesz tylko despotyzmem... — czuć się nad wyrzut wyższym i nad zbrodnię... — —

Bo oczywiście komunizm tyraniją
 Ni takiej znają niewoli na świecie
 Ci, których Turek, albo Chińczyk gniece.
 Przed komunizmu dopiero obliczem
 Każda jednostka w społeczeństwie — niczem.
 Własność przepada — twe włosy, twa skóra
 Nie twe, lecz rządu — to mi dyktatura!...
 Rząd, gdy jedynym właścicielem będzie,
 Zaraz się zjawi moc i pogrom wazędzie.
 Ci wywłaszczeni wszyscy w jednej chwili,
 Jak lwy się będą — obaczycie — bili.
 Nic tak człowieka w animusz nie wpędza,
 Jak zwrot do stanu zwierząt: głód i nędza!...
 Więc dla mas wynajdź jakby kształt caratu,
 Więc pódnieś Moskwę, jakby do kwadratu,
 A taką Moskwą obalisz Moskale...
 Piekłem na piekło!...»

I wizję takiego piekła, zaiste Dantejską, daje nam w dniu dzisiejszym wieszczu poeta:

»Bagnetów tysiące. Działa, lonty tłące.
 Wśród dział trony i korony,
 Flag purpury...

I żelazo tych żołnierzy
 Uderzy, uderzy w chłopów ród...
 I będzie się pasowało
 Z ślepem ciałem, ślepe ciało,
 Z brudem — brud.

I będzie świat cały nadgrobowym progiem
 Bez Boga... Ostatnim mu bogiem — wszechtrwoga!
 Przed strachu bałwanem zgniją ludzkie serca...
 Widnokreżna podłość wszędzie!...

Znakomitem jest tam dalej wykazanie, jak teorie wywrotu społecznego szły »od pruskich włości«, od wywodów filozoficznych Hegla, iż niema Boga ni nieśmiertelności:

Oto prawda oczewista, tak, jakem heglista...
 Zrównam wszystkie ciała, zrównam wszystkie dusze...
 Choćby rozwiać gmach w perzynę,
 Ja się stwarzam w Katylinę,
 Chcecie? w Bonaparta!
 Chcecie, to i w Chrysta?
 W cobądź... hej! ja, komunista!«

Zaledwie *Dzień dzisiejszy* zdażył wyjść z druku, a już rozpętała się w Europie zachodniej od Wiednia do Paryża i od Berlina po Rzym rewolucja r. 1848. Nie była ona żadną dla Krasińskiego niespodzianką. Przepowiadał ją oddawna, a to, co w ciągu tej rewolucji duchowo przecierpiał i przeżył, dało mu wątek do dalszych przewidywań, które miały się urzeczywistnić dopiero za dni naszych i stają się w oczach naszych faktem dziejowym.

Obfitość materiału z tych lat, zawartego w memorjałach i listach Krasińskiego, jest tak wielka, że z konieczności poprzestaniemy tu tylko na przytoczeniu najważniejszych wróżb poety, które nie potrzebują żadnego komentarza, gdyż każdy z nas ma komentarz w znękaney swej duszy. Z Heidelbergu (25. VII. 48 do Trentowskiego, 220) zapowiada poeta-wieszcz:

»Będą dni, w których dla nauki i przestrogi przyszłych wieków, a kary przeszłych, rzeczpospolita czerwona górę weźmie i taką górę, że podły niemiecki ród zatęskni do knuta moskiewskiego, modlić się doń będzie i wołać: »Ano, teraz przyjdź, zbawicielu mój! I przyjdzie knut i padną na kolana przed nim znękane i znużone bratobójstwami europejskie ludzie. A w oną porę zstąpi sąd wielki, święty, sąd Boga wiekuistego przeciw Moskwie. Knut w samej chwili triumfu rozprysnie się. Przez czerwonych — króle i książątka, przez knut — czerwoni, przez Boga i Polskę knut przepadnie! Odmęt sądów będzie się ciągnął... i tak długo będą jedni sądzeni przez drugich, karani nawzajem, aż...

świat cały wróci do miary i prawdy, a w on dzień przybierze wszędzie dawny kształt Polski... Byleby naród w mierze i zacności dotrwał, byleby zemsty nie przeniósł nad żywot...»

Stanisław Egbert Koźmian świadczy, że w lipcu 1848 r. Z. Krasiński, bawiąc *incognito* w Paryżu, zwiedzał z wielką ciekawością ślady walk czerwcowych rewolucyjnych i raz na Pont Neuf w nocy parę godzin snuł najstraszniejsze obrazy, jakby nowy jaki poemat o piekle... Koźmian w objaśnieniach do listów Krasińskiego zanotował: »Gdy dziś (t. j. w r. 1873) przywiodę sobie przed oczy najszkaradniejsze sceny z dziejów komuny, zda mi się, że wtedy wszystkie on je wywróżył i na tem ciemnem tle Paryża wypłomienił..., wydobywając wieszczym swym wzrokiem to, co lat później 23 miało się na wierchu rozwieliżyć i zapanować«. (Do Koźmiana, 90—91).

W tymże miesiącu i tegoż roku przepowiadał, że »Moskwa i rzeczpospolite czerwone będą grasowały na przemian przez świat. Ni jednej ni drugim nie powinniśmy hołdować, ale walczyć do ostatniego za ocaleniem zacności na ziemi. Tem, nie czem innym, zwyciężym i świat i śmierć«.

W rozpatrywaniu i ocenianiu form rządu w państwach europejskich dochodził Krasiński do wniosków niemal beznadziejnych: »I królom i komunistom o to samo chodzi — o władzę nad zwierzęcym rodem ludzkim. Pierwsi mówią: nic na ziemi, wszystko w niebie! co znaczy: na ziemi daj się knutować bez miary. Drudzy wrzeszczą: Nic w niebie! wszystko na ziemi! co znaczy: rznij drugich, pał, siecz, morduj bez miary. Wiesz, jabym na jednym kołku powiesił jednych, na drugim drugich, a we środku zjawiłby się ukrzyżowany Chrystus — między dwoma łotrami... Co to za zła wiara i u tych i u tamtych! Czemuż tak skapią sobie ludzie to Boga, to człowieczeństwa? Czy ich nędzne serca na te dwie miłości nie dość szerokie?« (Do Cieszkowskiego II, 409).

Ale w czem przedewszystkiem celował Krasiński, w czem dał dowód nie tylko instynktowych obaw polskiego swego serca, ale także ogólnie ludzkiego ogromnego rozumu, to w krótkim, tacytowsko-głębokim i tacytowsko-zwięzłym charakteryzowaniu tendencji szatańskich Moskwy. Niepodobna tu wchodzić w szczegóły, ale każdy może sobie w tomie VII wydania jubileuszowego Pism Poety odczytać memoriał taki, jak *Polska wobec burzy*,

gdzie wykazane po mistrzowsku, jak Moskwa czyha na rozkład cywilizacji zachodniej, aby w stosownej chwili »dać suchotnikom europejskim do pocałowania knut«. W innym memorjale (*Deux pmissances*) wykazał na pół wieku naprzód, do czego doprowadzi Mikołajowski rząd, deprawując pokolenia całe młodzieży polskiej, zdesperowanej i znieprawionej umysłnie.

Koroną tych przewidywań Krasińskiego jest przepowiednia, że nadejdzie czas, który za dni naszych dopiero się wypełnił. W liście do W. X. Stefanji Badeńskiej (8. III. 54)¹⁾ przepowiedział, że »ta biedna Polska, o której nikt nie mówi ani słowa, jest naprawdę kluczem sklepienia przyszłej równowagi Europy. Z wyciąży ten, kto ją potrafi przywrócić do życia. I tu wyznać muszę, że daleka odemnie obawa, by Polska znikła zupełnie. Bałbym się raczej, żebyśmy w niedługim czasie nie mieli kłopotu różnych Polsk rozmaitych! Będą między niemi fałszywe, będą i prawdziwe. Mogłaby być jakaś Polska niemiecka; idę dalej, mogłaby być i Polska rosyjska. Car w opalach... mógłby w ironji swej hypokryzji, albo w ironji swojej rozpaczy posunąć się aż do ogłoszenia jakiejś Polski... W takim razie — gdyby mu się udało oszukać nas tak, iżbyśmy zapomnieli naszych dawnych krzywd, naszych niezmierzonych cierpień, gdyby przez jedno złudzenie więcej i przez najbezbożniejsze ze swoich kłamstw zdołał nas przywiązać do swojej sprawy — w takim razie biada światu!«

Kto drugi tak głęboko, jak on, sięgnął w gehennę dni naszych i na lat przeszło siedmdziesiąt przepowiedział i przeczuł stan rozpaczliwy naszego »dnia dzisiejszego«?

»Świat ku zamętowi się stacza. Na śliskiej spadzi-
stości chciałby się utrzymać, a nie sposób mu. Czuję zawczasu
pęd nadchodzących burz, wpijam się nerwami w niedalekie jutra
i jad ich wszystek przejmuję. Będą szaleli jedni i drudzy. Mo-
skwa i rzeczypospolite czerwone będą ściągać się nawzajem, pło-
dzić się nawzajem i nawzajem wytracać²⁾. Same moce niebieskie
będą według przepowiedni Chrystusowej wstrząśnięte. Czemże one
w każdym z nas? Naszemi mocami niebieskimi, to wiara
w opatrzny rząd Boga, to miłość bliźnich, ojczyzny, ludzkości, to

¹⁾ List drugi w tomie VII Pism, wyd. jubil. str. 545—6.

²⁾ Denikin, Kołczak, Judenicz — a Lenin z Trockim!

zaczność, cnota, odwaga, cześć. Otóż zdarzy się, że te wszystkie sumienia ludzkiego anioły nagle odlecą od wielu sumień — lub jeśli ostaną się w nich, to jak pijane od boleści i zewnętrznych okropnych wrażeń, po nich zataczać się muszą. Wielu będzie, którzy zważają o Bogu, wielu, którzy o narodzie i ojczyźnie, wielu, — którzy o nieśmiertelności własnej, wielu, którzy o miłości, wielu którzy o harmonii losów człowieczeństwa, wielu, którzy o cnocie zrozpaczą tak, jak niegdyś on najzaciętszy patrycjusz rozwiązujących się dni starożytnych, uwielbiany przez wszystkie nowożytnie demagogie, on nieszczęśliwy Brutus... Tak, moce niebieskie zatrzęsą się w każdym człowieku, a kto nie dotrzyma... ten zbrodnie i gwałty popełniać będzie, dowiedlszy sobie loicznie albo mistycznie, że nadeszła epoka zbrodni i że zło stało się dobrem — i ten zgubi się na wieki, a za to może osięże na ziemi kilka dni władzy nad rozpasanymi towarzyszami — zaprzeda szatanowi duszę za potęgę, ową rozkosz pychy! ¹⁾).

Do kogóż miał się zwrócić niesłuchany, złowróżny wieszcz z większą ufnością, jak do Głowy Kościoła, do Piusa IX, którego ostrzegał przed katastrofą roku 1848? Memorjał do Papieża zawiera tyle znakomitych spostrzeżeń o roli papieżstwa w świecie, o obowiązku inicjatywy w sprawach sprawiedliwości powszechnej, że głos ten brzmieć powinien przez pokolenia katolickie, jako dzwon donośny, pokutny a zbawczy zarazem... Krasiński wykazał papieżowi jak na dłoni ²⁾, że »od powtórnego ukazania się Polski w świecie zależy dziś (1848 r.) na Wschodzie postęp, na Zachodzie ratunek cywilizacji... Polska ginąc, zostawi świat na pastwę europejskiej anarchji i wschodniego barbarzyństwa; oboje będą nieuniknione. Anarchja europejska, rozdzierając się własnymi rękami, ułatwi spełnienie bezbożnych marzeń wschodniego barbarzyństwa. Ukaże się na horyzoncie sztandar moskiewski, będzie rósł, będzie się przybliżał, a w Europie ludzie, skalani krwią swoich braci, uwielbią to godło azjatyckiej idei wśród zwalisk, jakich sami narobią, aż ich obejmie szła Kaina i zbydlęcenie Nabuchodonozora«.

I pod koniec memorjału swego szturmował Krasiński do

¹⁾ »Polska wobec burzy« t. VII, 276—7.

²⁾ Memorjał do Piusa IX, t. VII, 514—515.

Papieża zaklęciami zaiste strasznemi, jeśli się zważy całą grozę przepowiedni w nich zawartą:

»W imię rodu ludzkiego, zagrożonego przez Rosję w swoim postępie, zlituj się nad nami!

»W imię ludzkości, zagrożonej w tradycjach swych przez komunizm, zlituj się nad nami!¹⁾

»Z głębi przepaści wołamy: zlituj się nad nami!«

Ostrzegał wreszcie w memorjale dla Napoleona III po mistrzowsku, że »największa siła Rosji w jej stosunku do Europy nie jest ani w Moskwie, ani w Petersburgu, ani w Krymie — ale w Kijowie, w Wilnie i Warszawie« — tak jak po mistrzowsku, a na wieki prawdziwie orzekł krótko i węzłowato²⁾: »Anglicy — to morsecy Moskale«.

Wiadomo, że ostatnie lata życia swego poświęcił Krasiński nie poezji, ale czynom w służbie narodowej, tajnej, w konferencjach, listach, memorjałach, politycznych dla Guizota, Lamartina, Montalemberta, Piusa IX, Napoleona III i t. d. Rwał się i tęsknił do czynu orężnego³⁾ w r. 1848.

Przekonaniom swym i nadziejom narodowym nie sprzeniewierzył się nigdy. Na przekór strasznym czasom Metternicha i Mikołaja wierzył stale, że jest Duch Mściciel, co z Bożej zarady tkwi w dziejów głębinie, że giną fałsze, wiarołomstwa zdrady, lecz Polska nie zginie. Tkwiała w nim zawsze historjograficzna pewność, że:

•cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
jedno wiem tylko: sprawiedliwość będzie...
jedno wiem tylko: na dziejów przestrzeni,
grób nasz-nam w życia gnjach się przepromieni«.

¹⁾ Przez niedopatrzenie, brak tego zaklęcia w przekładzie polskim memorjału (VII, 519); ale jest w oryginale francuskim (na str. 269): *Au nom du genre humain, menacé dans ses traditions par le communisme, ayez pitié de nous!*

²⁾ 25 lutego 1851 w liście do St. E. Koźmiana.

³⁾ Iluż to ludzi, głośnych w nauce, mogłoby z Krasińskim dziś powiedzieć: »Wolałbym umieć, co prosty żołnierz umie lub podporucznik, niż mieć w głowie tyle ksiąg, systematów... Jak Dr. Faust czuję się porwanym ku prostej Małgorzacie — lecz moją Małgorzatą w tej chwili byłby rekonesans, koń i szabla. Na psy poszło życie...« (Do Cieszkowskiego II, 155). Oby młodzież dzisiejsza wzięła te słowa do serca i oceniła to szczęście: przelewania za Ojczyznę nie tylko atramentu...

Póki tehu starczyło, dodawał znękanym rodakom otuchy i nadziei. Na kilka miesięcy przed śmiercią napisał wiersz potężny, testament swój duchowy, odezwę do tej Polski, której nie dożył, ale którą całe życie przepowiadał, przeczuwał:

W Twoim ze śmierci ku życiu odrodzie,
Choć miotan będziesz po dziejów przestrzeni,
Choć świat się tobie w beznadzieję zmieni —
Bądź pełen wiary, bądź pełen nadziei,
Ty, wśród olbrzymiej klęski i prób zawiei,
Zmartwychwstający mój polski narodzię!
Wytrwaj, o wytrwaj w tym strasznym pochodzie!
Bądź męstwem wielki, cierpliwością święty,
Bądź przed wrogami wolą nieugięty,
I niech ci z serca nie wydrze ojczyzny
Żaden gwałt ziemski, ni ziemska pokusa;
Nie wierz w podrzuty pychy, ni wścieklizny,
Wierz tylko w słowo i w przykład Chrystusa!

Józef Kallenbach.

Z ENEJDY WERGILEGO

Z księgi II-giej

Walka o pałac Prjama. Zburzenie Troji.

od w. 437—634.

Tu bitwę srogą widzimy, jakby mord szaleł
Nie huczał gród, nie ginał nikt po mieście całem:
Tak Grecy prą na dachy, rozpętan Mars warczy,
Oblega wejście zewsząd spiętrzony dach z tarczy. 440
Tkwią drabiny, w mur wsparte, tuż przy samej bramie,
Pną się Grecy, tarcz wznosząc ponad lewe ramie,
Przeciw strzałom, za gzymsy chwytają prawicą.
Dardanie zasię wieże rwą, dachy rozechwyca,
Pałacowe; takimi, ujrzawszy zgon bliski,
W ostatniej walce bronić się myślą pociski...
Ozdoby przodków stare, wyzłacane tramy
Toczą, z mieczem dobytym u wewnętrznej bramy
Czuwają inni tłumnie, na wszystko gotowi. 450
Powziąłem chęć biec w pomoc króla pałacowi,
Wesprzeć mężów, pobitym otuchę wlać w łona.

Był próg, skryty dla oka i furtka tajona,
Łącząca gmachy Prjama, opuszczone w tyle
Podwoje; tu, gdy państwo szczęsne wiodło chwilę,
Nieraz szła Andromacha z Astjanaksem rada,
Bez sług, dziecię do teściów prowadząc i dziada.
Wstępuję na szczyt dachu najwyższy, gdzie z góry

Pociski próżne Teukrzy miotali za mury,
 Wnet wieżę, co nad dachy się strome, wysoka 460
 W gwiazdy spiętrza, skąd Troja widoczna dla oka,
 Wszystkie łodzie Danajów i obóz ich cały,
 Tam, gdzie górne wiązadeł spojenia się chwiały,
 Żelazem rąbiąc wokół, zrywamy z wysoczy
 I pchniem w dół, ona z nagłym łoskotem się stoczy
 I szeroko na szyki Danajskich rot przednie
 Upada; lecz prą inni, tymczasem nie rzędzie
 Grad głazów i strzał różnych.

W przedsjonku samym Pyrrus, na schodów krawędzi
 Błyskając miedzią w słońcu, oręża nie szczędzi. 470
 Tak waż, jadę opity, którego wprzód zima,
 Spiącego kryła w ziemi, na światło pierś wzdyma,
 Zbywszy skóry, znów pełen młodzieńczej ponęty,
 Wypiętym grzbietem, w tyle ośliżle gnąc skręty,
 W słońce wstaje i język drgający wychyla...
 Razem groźny Peryfas i giermek Achila,
 Woźnica Automedon z całą Skirów zgrają
 Pod dach wchodzą i ogień na szczyty miotają.
 On wśród pierwszych toporem dwu-siecznym przełamie
 Dębowy próg, zawiasy wyrywa wnet w bramie 480
 Spiżowe, potem belkę wyciąwszy, ku tyłom
 Wgiął wrota i szeroki otworzył w nich wyłom...
 Głęb się domu z długimi krużganki odsłania,
 Błysną Prjama, prastarych królów pomieszkania
 I widać szereg zbrojnych, stojących za progiem —
 Wraz tylni dom, wśród jęków zamieszaniem srogiem
 Napęlnia się po krańce, sklepionych sal wnętrza
 Od płaczów grzmia niewieścich, krzyk w gwiazdy się spiętrza,
 Dokoła trwożne matki zbiegają gmach wielki,
 Ramiony obejmując, całują bram belki. 490
 Prze Pyrrus z mocą ojca, ni wrót go wierzeje,
 Ni straż strzyma, pod częstym taranem się chwieje
 Bramica, z zawias zdarte podwoje upadną.
 Dan sile wstęp. Tnąc pierwszych gromadą bezładną
 Wtargną Grecy, od wojsk ich wnet cały gmach pełny.
 Nie tak, tamy zerwawszy, pian brudnych śląc wełny,

Wezbrany potok pędzi, w wir wodnych niesnasek
 Rwąc skały, przez ugory, przez wszystkich pól piasek,
 Na falach niosąc stada z resztkami ich obór!
 Krwawego Neoptola, Atrydów, wojsk dobór 500
 Wiodących w dom, Hekubę i Prijama zbliśka
 Widziałem, jak krwią broczył swe święte ogniska!
 Pięćdziesiąt łóżnic, wnuków nadzieje tak duże,
 Bramy, w złocie tonące, w zdobycznej purpurze
 Runęły, łupią Grecy, gdzie ogień ustawa...

Zapewne dola Prijama obejdzie się krwawa:
 Gdy ujrzał klęskę miasta, wśród bitew pożogi
 Strzaskane drzwi i w gmachu tłoczące się wrogi,
 Na drżące z wieku barki zwolna starowina 510
 Odwykłą kładzie zbroję, do boku przypina
 Miecz próżny i w tłum wrogów bieży, by lec społem
 Ze swemi. W środku domostw pod niebem stał gołem
 Ogromny ołtarz; nad nim pochylony laty,
 Wawrzyn cieniem swych liści osłaniał penaty:
 Tu Hekuba i córki przy ołtarzy zrębie,
 Jak czarną zawieruchą spłoszone gołębie,
 Tłoczą się, próżno bogów ściskając posagi.
 Gdy Prijama w zbroicy spostrzegła, jak ongi
 Za młodych lat: »O mężu, jakaż złość zaciekla
 Skłania cię brać tę zbroję? Gdzie pędzisz?« — wyrzekła — 520
 »Nie takich dziś obrońców ciężka wzywa pora!
 Na nic dziś dłoń samego się zdała Hektora!
 Pójdźże tutaj, ten ołtarz nas śmierci odejmie,
 Lub umrzem razem!« — Rzekłszy to starca uprzejmie
 Na tronie poświęconym przy sobie sadowi.

Wtem oto Polit, wyrwan z ręki Pyrrusowi,
 Prijama syn, przez strzały, przez wroga rój tłumny
 W głąb pustych sal mknie między kruzganków kolumny,
 Ranny; za nim, krwią dysząc, pędzi Pyrrus zbliśka
 Już dłonią go dosięga i włócznią naciska! 530
 Ow zbiegłszy przed twarz ojca z jękiem niepowszednim
 Runął i we krwi hojnej życie oddał przed nim.
 Tu Prijam, choć już śmiercią zagrożon dokoła,

Powstrzymać oburzenia i głosu nie zdoła:

»Za zbrodnię — krzyknął — twoją, za bezwstyd dłoń boska,

Jeśli w niebie jest słuszność, co o to się troska,

Niech dzięki i nagrodą cię godną uwieńczy,

Iżes sprawił, żem ujrzał zgon syna młodzieńczy

I mordu krwią zboczyłeś ojcowskie me lica!

Nie takim, kłamstwem przez cię głoszon za rodzica, 540

Był Achil dla mnie, wroga, lecz święte czcząc prawa

Proszących, martwe ciało Hektora oddawa

Na pogrzeb, mnie odsyła bez szkody w kraj miły!«

To rzekłszy starzec włócznie niezdadną bez siły

Wyrzucił, ona próżno w spiż dźwięczny uderza,

Odbije się i zwiśnie z naczółka puklerza.

Tedy Pyrrus: Więc pójdziesz w poselstwie me zbrodnie

Pelidzie głosić, o tem jak działa wyrodnie

Neoptol, wraz z nim sobie do syta pogawędz!

Teraz giń! — To wyrzekłszy nad ołtarza krawędź 550

Drżącego, co się ślizga w obfitej krwi syna,

Przyciąga, lewą rękę w kędziory mu wpina,

Prawą w bok, po rękojeść lśniący wbija brzeszczot.

Takim był kres Prijama, wśród takich go pieszczot

Los zgładził; Troji pożar i Pergam w ruinie

Ujrzawszy, ziem i ludów potężny pan ginie,

Król Azji; leży wielki trup nad brzegów skałą,

Odcięta z barków głowa i bez nazwy ciało...

Natenczas srogi przestrach i mnie się udziela,

Zdrętwiałem, drogi obraz wstał mi rodziciela, 560

Gdym ujrzał, jak rówieśni mu król ciężką raną

Wyzionął życie, Kreuzem wspomniał zaniedbaną,

Łupiony dom i Julus w myśl przyszedł mi mały:

Rozglądam się, czy jakie gdzie resztki zostały?

Pierześli wszyscy, w poskokach swe ciała znużeni

Walać w ziemię, lub w morze huczących płomieni.

Sam już byłem, gdy w dali, gdzie świątynia stara

I próg Westy, kryjącą się córkę Tyndara

Spostrzegłem, przy pochodze, co jasny blask przedzie,

Tu i ówdzie się błąkam i rzucam wzrok wszędzie. 570

Ona Teukrów, zawistnych dla zburzenia Troji,
 Kar Danajów i gniewu małżonka się boi
 Zdradzonego; klęsk Troji i kraju współwinna,
 Siedzi skryta za ołtarz, posępna Erynną...
 Gniew spłonął w piersi mojej, zapagnę gorąco
 Skarać zbrodnie, ojczyznę pomścić padającą.
 Więc ona ujrzy Spartę, łan Mycen ojczystych,
 Królowa, triumfalnych usłyszy pień dystych?
 Małżonka, dom, rodziców i dziatki zobaczy,
 W Iljadek rzeszy, w tłumie Fryskich posługaczy, 580
 Choć Prijam padł od miecza, choć Troja w pożodze,
 Dardański brzeg tak często krwią pocił się srodze?
 O nie tak! bo choć nie ma głośnego nazwiska
 Kobiety kaźń i chwały zwycięstwo nie zyska,
 Zglądze winną i chwałę wezmę, gdy czyn skarce
 Niegodny, a wywarłszy pomstę na zbrodniarce,
 Gniew ukoję i braci nasycę popioły!

Tom ważył i już biegłem, szalejąc na poły,
 Gdy zbliśka, nigdy oczom tak jasna, widoma
 W czystym świetle, co z nocy głębokich głusz tło ma, 590
 Błysła mi matka miła, czią boską okryta,
 Jak wśród niebian, prawicą za rękę mnie chwyta.
 I słodkim ust różanych głosem zastanowi:
 »Synu, cóż za ból źródło dał temu gniewowi?
 Przecz szalejesz? Gdzie troska o nas? Nie chcesz dociec,
 Co porabia Anchizej, sędziwy twój ociec
 Pozostawion, czy żyje Kreuza małżonka
 I dziecię Askań? Wkoło nich zewsząd się błąka
 Czerń greckich wojsk i gdybym nie miała ich w pieczy,
 Zmiotłby ich pożar, wrogich wytepił rój mieczy! 600
 Ni wrogiej Tyndaryjki, Lacieńki ty nie gań,
 Ni Parysa, dla bogów, dla bogów zabiegań
 Niechętnych, można Troja w gruz pada od posad!
 Spójrz, bowiem ja wszystkim skłębionej mgły osad,
 Co wzrok twój ludzki tłumi i chmurą wkrąg mroczy
 Wilgotną, wnet rozproszę, ty słuchaj ochoczy
 Słów matki, jej rozkazom powolne daj ucho:
 Gdzie domy roztrącone, walące się głucho

Głazy widzisz, kurzawę, klębiącą się w dymie,
Tam Neptun z posad samych wzruszone, olbrzymie 610
Trójzębem tłucze mury i miasto od proga
Wywraca, Skejską bramę dzierży Juno sroga,
Pierwsza w szale i z łodzi sprzymierzone rotę
Zakuta w stal przyzywa...
Na szczycie zamku, patrząc, odziana w blask złoty,
Z Gorgoną dziką siedzi Trytońska Pallada,
Sam ojciec Grekom męstwa i mocy dokłada
Niezlomnej, sam śle bogów przeciw Troi znakom!
Uciekaj synu, na trud się nowy nie łakom,
Ja bliska zawsze, ojców cię wrócę krainie! 620
Rzekła i gęstym nocy się mrokiem obwinie:
Bóstw wielkich, wrogich Troji twarze, dzikie srodze
Ukażą się mym oczom...

Ujrzałem całe Ilium, tonące w pożodze,
Neptuna gród, płomieńmi w przepaści dno niesion!
Tak pośród gór wysokich, kiedy stary jesion,
Podcięty już żelazem, siekiery częstymi
Ciosami wałą chłopi, on jeszcze olbrzymi
Sterczy w niebo, drżąc wstrząsa liśćmi korony
Aż wreszcie, zwolna rany ciężkimi zmożony, 630
Z ostatnim jękiem pada, od skały oddarty.
Zstępuję za boginią przez żar, wroga warty,
Uchodzę, miecz się cofa, uchyla pożoga...

Tłumaczył

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Kilka słów o sejmowym projekcie konstytucji.

Wypadki wojenne i przyspieszone wskutek nich wakacje sejmu nie pozwoliły dotąd uchwalić konstytucji, jakkolwiek projekt jej został wniesiony na plenum sejmu i debaty nad nim rozpoczęto. To odsunięcie ostatecznego uchwalenia ustawy konstytucyjnej pozwala jeszcze na poczynienie pewnych uwag nad przedłożonym projektem.

Jak pokazuje porównanie z innemi projektami, które w ciągu ubiegłego roku z różnych stron wysuwano, nie jest to projekt całkiem oryginalny. Nosi on na sobie nie tylko cechy zależności, ale w przeważnej części artykułów zarówno co do treści jak i co do brzmienia jest identyczny z pewnemi częściami dawniejszych projektów, a zwłaszcza z projektem, opracowanym przez rządową ankietę, a znanym pospolicie pod nazwą projektu Bobrzyńskiego.

Że tak się stało, nie należy żałować, gdyż projekt Bobrzyńskiego, opracowany przez rzeczoznawców, problem konstytucyjny ujmując ściśle, rozwiązanie jego z uwzględnieniem podziału władz przeprowadza konsekwentnie — a zatem pod względem polityczno-prawnym, poza pewnemi drobnymi usterkami, posiada niezaprzeczoną wartość. Ale projekt sejmowy, obok wspólnych z powyższemi częściami, ma także nawskróś oryginalne i to nie małego znaczenia, które, wyciskając na całości swoiste piętno, nadają mu mimo wszystkie zapożyczenia charakter prawdziwie »sejmowego« projektu ¹⁾. Znamionną bowiem cechą projektowanej ustawy jest to, że wszystkie czynniki ustroju państwowego osłabia na korzyść izby poselskiej, nazwanej w projekcie sejmem.

Wprawdzie według tego projektu obok sejmu istnieje także senat, ale sprowadzony do roli czynnika li tylko hamującego, bez

¹⁾ Mamy tu na myśli także zmiany, jakie wprowadził rząd w drugim swoim projekcie do projektu Bobrzyńskiego, gdyż zostały one dokonane nie bez wpływu kół sejmowych.

prawa inicjatywy, bez żadnego niemal pozytywnego wpływu na zwykłe ustawodawstwo; tylko w wypadku, gdy chodzi o zmianę konstytucji, senat na równi z sejmem dopuszczony jest do głosu.

Podobnie prezydent, któremu inne zachodnie konstytucje przyznają prawo sankcjonowania ustaw, a przynajmniej w każdym wypadku zakładania choćby ograniczonego »veta« — według projektu sejmowego ma prawo sprzeciwu tylko wtedy, gdy proponowane przez senat zmiany pierwotnej uchwały sejmu zostaną przez sejm w całości lub w części odrzucone zwykłą większością głosów¹⁾; poza tem ma on być ślepo posłusznem narzędziem sejmu. W zakresie władzy ustawodawczej nic innego nie czyni, jak tylko zarządza ogłaszanie uchwalonych przez sejm ustaw, a w zakresie władzy wykonawczej niemal automatycznie podpisuje dekrety sprawujących faktyczne rządy w kraju, odpowiedzialnych przed sejmem i z pośród jego członków przeważnie wybranych, ministrów. Tylko jako wódz naczelny sił zbrojnych cieszy się on większą swobodą, choć i tu także według projektu sejmowego powinien się liczyć z ministrem wojny, gdyż ten za akty naczelnego dowództwa przed sejmem odpowiada.

Nawet w kompetencje sądów na mocy art. 34 projektowanej ustawy mógłby się sejm, przynajmniej w pewnych, bliżej nieokreślonych wypadkach, mieszać, gdyż jak opiewa rzeczony artykuł »sejm może wyłaniać dla zbadania poszczególnych spraw Nadzwyczajne Komisje, z prawem przesłuchiwania stron interesowanych i wzywania świadków«. Jak bardzo szerokie pole dla samowoli sejmu otwiera ten artykuł, wskazuje drugie jego zdanie: »Zadania i kompetencje tych komisji będą każdorazowo przez sejm uchwalone«.

Czy takie wszechwładztwo sejmu przy słabem u nas rozwinięciu zmysłu państwowego i braku politycznego wyrobienia u większej części posłów nie naraziłoby Rzeczypospolitej na żywot burzliwy, pełen niebezpieczeństw? Czy nie byłoby dla niej hamulcem swobodnego, prawdziwie demokratycznego rozwoju?

Wewnętrzne dzieje polityczne Francji, gdzie zasada supre-

¹⁾ Gdyby propozycje senatu zostały przez sejm odrzucone większością $\frac{2}{3}$ głosów lub też jeżeli odrzucony przez senat projekt uzyska w sejmie większość $\frac{2}{3}$ głosów, Prezydent Rzeczypospolitej — jak przepisuje art. 35 — zarządzi ogłoszenie ustawy, w brzmieniu ustalonym ponowną uchwałą sejmu.

macji parlamentu w trochę mniej radykalnej niż ta, jaką u nas projektują, formie oddawna już obowiązuje, dają na to nie podlegającą żadnej wątpliwości odpowiedź. Rządowi, zależnym od zmieniającego ciągle swoją fizjonomję parlamentu, brak ciągłości i jasno sformułowanego politycznego programu — to zaś fatalnie się odbija na interesach państwa, zwłaszcza w dziedzinie socjalno-ekonomicznej. Ciągłe zmiany gabinetów ¹⁾ zmniejszają siłę i sprawność administracji, w ciągu krótkiego bowiem czasu urzędowania ministrowie nie mogą się dostatecznie zapoznać z agendami swego ministerstwa, nie mogą przeprowadzić głębiej sięgających reform, nie są w stanie skutecznie kontrolować działalności zawodowych urzędników, a wskutek tego nie mogą przeciwdziałać ujemnym stronom rozwielnionej biurokracji. A trzeba pamiętać, że parlament francuski, w którym dość dużą rolę odgrywa senat, jest znacznie mniej radykalny od naszego sejmu, takiego, jakim go projekt ustawy chce mieć. Jak smutny więc obraz pod względem politycznym i socjalno-ekonomicznym przedstawiałyby nasze wewnętrzne stosunki, gdyby kierowniczą siłą całego państwowego życia miała być zmienna w nastrojach, z natury swojej burzliwa izba poselska! Bo nie można liczyć na to, iż w sejmie w większości zasiadać będą zawsze ludzie pełni ducha obywatelskiego i poczucia odpowiedzialności wobec narodu, ani że względy partyjne, a nawet indywidualne interesy nie będą dyktowały uchwał niezgodnych z dobrem ogółu. Ani wiek posłów, ani wymagane przez ustawę kwalifikacje, ani sposób wyborów nie dają rękojmi tego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa polityka zasad ustąpi na stałe miejsca polityce interesów. Jak fatalne następstwa musi to pociągnąć dla całego państwa — nie trzeba długo rozwodzić się.

Konstytucja amerykańska, zdaniem Wilsona, opiera się na tej zasadzie, iż naród nie może darzyć bezwzględnem zaufaniem swych posłów, gdyż ci, według trafnego spostrzeżenia jednego ze współczesnych politycznych pisarzy (T. Curti), są zbyt skłonni do przemieniania się w odrębną kastę, strzegącą więcej swoich interesów, niż interesów ogółu. Dlatego jako środek zaradczy

¹⁾ Od roku 1879 do 1902 miała Francja 29 gabinetów, z których jeden tylko (gabinet Waldeck-Rousseau) trwał 3 lata; inne — przeciętnie po 8½ miesięcy.

przeciw możliwym i w praktyce nierzadko zdarzającym się nadużyciom ze strony władz ustawodawczych też konstytucja stanowi, iż sądy mają prawo badania, czy uchwalona przez parlament ustawa sprzeciwia się konstytucji, czy nie. Takiej kontroli i ograniczenia swobody ustawodawczego organu konstytucja polska nie tylko nie przewiduje, ale wprost go nawet wyklucza¹⁾. Także referendum ludowe, praktykowanego zarówno w Ameryce jak w Szwajcarii w celu kontroli działalności sejmu, ustawa nasza, dla zrozumiałych zresztą i całkiem słuszych powodów nie wprowadza. A i możliwość rozwiązania sejmu, które w pewnych, wyjątkowych zresztą wypadkach może być jedynym i koniecznym środkiem uchronienia państwa od niebezpieczeństw, na jakie w danych warunkach wystawiają je stosunki sejmowe, według projektu komisji konstytucyjnej bardzo jest ograniczona. Tylko bowiem za zgodą trzech piątych części ustawowej liczby członków senatu Prezydent Rzeczypospolitej może to uczynić, a czy łatwo taką zgodę da mu się uzyskać, można o tem wątpić, ze względu na drugą część danego artykułu, który orzeka, iż w tym wypadku musiałby także z samego prawa rozwiązać się senat²⁾. Czy więc wobec tego wszechwładztwo sejmu nie jest posunięte do możliwie najdalszych granic, wyjęte z pod wszelkiej skutecznej kontroli, całkiem wolne od jakiejkolwiek odpowiedzialności? Niedługo zapewne będziemy musieli mówić o sobie to, co znany polityczny pisarz Barthelemy powiedział o Francji: »Proklamowaliśmy dogmat suwerenności narodowej, w rzeczywistości jednak zastąpiliśmy suwerena-króla suwerenem zbiorowym, praktycznie nieodpowiedzialnym i brutalnie absolutnym, t. j. sejmem... Teoretycznie jesteśmy demokracją, w praktyce jednak oligarchją, mającą na swe usługi ogromną maszynę biurokratyczną«. Do tego w konsekwencjach swych doprowadzić musi przyjęcie ustroju przez komisję sejmową projektowanego.

¹⁾ Art. 83 opiewa: Sądy nie mają prawa badania ważności ustaw nałożycie ogłoszonych.

²⁾ Według konstytucji francuskiej senat nie może być nigdy rozwiązany. W jednej trzeciej części członków odnawia się on co trzy lata. Według projektu Bobrzyńskiego, senat może być rozwiązany, ale nigdy razem z izbą poselską. Rozwiązanie izby poselskiej nie pociąga za sobą automatycznie, tak jak w projekcie komisji, rozwiązania senatu. Cf. Projekty konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, str. 143, art. 27.

Jak dalekiem wobec tego od prawdy jest twierdzenie art. 2 omawianej ustawy: »Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu!« Według projektu komisji konstytucyjnej należy ona do suwerennego sejmu. Słuszny zatem, bo zgodny z treścią i z duchem ustawy jest wniosek grupy Wyzwolenia P. S. L., by zamiast słów »należy do Narodu« umieścić słowa: »pochodzi od Narodu«. Mówiąc więcej, stwarza się bałamucenie, choć może bezwiedne, opinii. Przy takim ustroju nazwa Rzeczypospolitej ludowej jest tylko na agitację obliczonym frazesem albo pustą przechwałką.

Nie mając zamiaru poddawać sejmowego projektu szczegółowej ocenie, pomijamy szereg drobniejszych artykułów, nasuwających także niejedną wątpliwość, jak np. bardzo niejasno sformułowany art. 21 o nietykalności poselskiej, nie znający prawie dla niej granic, art. 22, który zakazuje wprowadzić posłom kupna lub dzierżawy dóbr państwowych na własne, a także na obce imię, nadto przyjmowania dostaw publicznych i robót rządowych, a także jakichkolwiek rządowych koncesyj, pozostawia jednak wbrew swemu pierwowzorowi ¹⁾ szeroko otwartą dla posłów drogę do uprawiania we wszelkich dziedzinach życia państwowego zgubnego systemu protekcji. Przechodzimy do omówienia dwóch spraw, pierwszorzędnej równie doniosłości, na które ogół społeczeństwa bardzo silnie reaguje — sprawy Kościoła i szkoły.

Poręczywszy w art. 114 wszystkim obywatelom wolność sumienia i wyznania, a w art. 116 uznanym przez państwo związkom religijnym prawo wewnętrznej autonomji, w następnym artykule sejmowy projekt orzeka o stanowisku i prawach rzymsko-katolickiego Kościoła. Przedewszystkiem więc stwierdza, że »religia rzymsko-katolicka, będąca religją przeważającą większości narodu, zajmuje w Państwie naczelne stanowisko«, dalej że »Kościół rzymsko-katolicki rządzi się swojemi prawami«, wreszcie zapowiada, że »stosunek Państwa do Kościoła będzie prawnie określony na podstawie porozumienia ze Stolicą Apostolską«. Te trzy

¹⁾ Odnosny artykuł projektu rządowego, który dla komisji konst. służył za formalną podstawę obrad, brzmi jak następuje: »Poseł nie może kupować ani dzierżawić dóbr państwowych lub przyjmować robót rządowych; nie może otrzymywać żadnej koncesji od rządu. *Posłom nie wolno zabiegać u władz państwowych w żadnej podobnej sprawie na rzecz osób prywatnych*« (podkreślenie nasze).

punkta wyczerpują wszystko, co ustawa mówi o katolickiej religji i Kościele.

Czy to wystarcza?

Wychodząc zarówno z tradycyj naszego narodu jak i boskiego charakteru Kościoła, należałoby stanowisko religji katolickiej i jej prawa podkreślić mocniej. Wyrażenie: »religja rzymsko-katolicka zajmuje w państwie naczelne stanowisko« — tak jest nieokreślone, tak różnym może podlegać interpretacjom, iż samo nie daje gwarancji, że stosunek władz państwowych do niej będzie taki, jakim być powinien zarówno ze względu na wielowiekowe tradycje narodu, jak i na wolę jego większości. Polacy-katolicy mają prawo żądać i żądać powinni nie tylko poszanowania dla swoich wierzeń i pierwszego miejsca wśród wyznań dla swego Kościoła, lecz nadto, by Państwo całe, jako takie, nosiło na sobie wyraźny charakter katolickiego państwa i aby ten katolicki jego charakter uroczystą ustawą był zapewniony. Nie potrzebuje Polska pod tym względem ani sięgać po wzory do państw średniowiecznych, ani oglądać się za obcemi przykładami w teraźniejszości. Wystarczy, by pozostała wierna samej sobie, swojej tradycji i duchowi, który ją dziś jeszcze, choć może nie we wszystkim, ożywia. Bo co to znaczy państwo katolickie? Państwem katolickiem jest to, które w pewnych momentach swego życia publiczny daje wyraz swego wewnętrznego związku z Kościołem, to państwo, które najbardziej uroczyste chwile swych dziejów uświęca publicznie religijnym aktem, a przede wszystkim to, które w prawach swoich nie staje w sprzeczności z prawami Kościoła.

Ostatni punkt wprowadzie po części gwarantuje wniesiona w formie projektu konstytucyjna ustawa, zapewnia bowiem Kościołowi w jego wewnętrznym życiu pełną autonomję. Mówimy jednak tylko »po części«, ponieważ w wielu sprawach, wychodzących poza sferę czysto wewnętrznych stosunków Kościoła, częstokroć z natury rzeczy zainteresowane jest również Państwo jak Kościół; w tych więc sprawach nie trudno o konflikt. Do rzędu takich spraw należy np. sprawa małżeństw, przynajmniej pomiędzy katolikami, sprawa służby wojskowej duchownych i sądów nad niemi, sprawa beneficjów w roli, różnego rodzaju patronatów, sprawa obsadzania katedr na teologicznych wydziałach wszechnic i nie mało innych. Tu państwo katolickie powinno się

ogłądać na prawa Kościoła i przynajmniej bez porozumienia się ze Stolicą Apostolską nie im przeciwnego nie stanowić.

Że to zostanie zachowane — takiej gwarancji omawiana przez nas ustawa już nie daje. Wprawdzie w tym sensie można by interpretować dalszy ciąg ustawy: »Stosunek Państwa do Kościoła będzie prawnie określony na podstawie porozumienia ze Stolicą Apostolską«. Mogą jednak te słowa znaczyć coś więcej. Zamiast obietnicy uzgadniania prawodawstwa państwowego w tych stycznych sprawach z duchem i zasadami Kościoła mogą oznaczać zapowiedź targów z Rzymem na niekorzyść Kościoła i poręczonej mu ogólnej autonomji. Bo co ma być właściwie w myśl autorów projektu przedmiotem porozumienia Państwa ze Stolicą Apostolską? Czy tylko te sprawy, które i państwo prawami swemi zwykło normować? Ale w takim razie czy nie lepiejby było odnośny punkt ustawy sformułować w ten sposób: »Sprawy, co do których możliwy byłby konflikt praw Kościoła z ustawami Państwa, zostaną uregulowane na podstawie porozumienia ze Stolicą Apostolską«. Czy też może Państwo ma zamiar ubiegać się w Rzymie o różne przywileje, a raczej o ustępstwa z praw Kościoła, które regulują wewnętrzne jego stosunki, jak np. prawo obsadzania stanowisk kościelnych, a przedewszystkiem katedr biskupich?.. Byłoby to krzywdą Kościoła, przeciwko której w imię choćby tejże samej ustawy najenergiczniej należałoby zaprotestować — byłoby naruszeniem tego prawa samorządu, jaki ustawa w art. 116¹⁾ nie tylko Kościołowi, ale wszystkim związkom religijnym, uznanym przez Państwo, poręcza.

Ale, jakśmy wyżej powiedzieli, państwo katolickie powinno nie tylko szanować prawa Kościoła i w ustawach swoich niczem tym prawom się nie sprzeciwiać, lecz nadto powinno przynajmniej w pewnych chwilach dawać wyraz swego wewnętrznego związku z Kościołem w uroczystym religijnym akcie. Dla nas to nie jest rzeczą wcale nową. Wszak my wszystkie pamiątki, wszystkie dni wielkie święciliśmy dotychczas zawsze nabożeństwami,

¹⁾ Art. 116: »Każdy związek religijny, uznany przez Państwo, ma prawo urządzać zbiorowe i publiczne nabożeństwo, może samodzielnie prowadzić swe sprawy wewnętrzne, może posiadać i nabywać majątek ruchomy i nieruchomy, zarządzać nim i rozporządzać, pozostaje w posiadaniu i używaniu swoich fundacyj i funduszów, tudzież zakładów dla celów wyznaniowych, naukowych i dobroczynnych.

na których naród stawał za swemi wodzami. W modlitwie publicznej krzepiliśmy ducha w chwilach ciężkich, w niej składaliśmy Bogu dzięki za iście cudowną opiekę nad nami, nabożeństwo było pierwszym punktem każdego wielkiego prawdziwie narodowego programu. Czy odtąd miałoby być inaczej? Czy mielibyśmy jako państwo wstydzić się naszego związku z Bogiem i Kościołem? Wyznanie publiczne Chrystusa zostawić tylko jednostkom? Czy my, naród cały, mielibyśmy zgodnie z uchwałą sejmu stawiać świątynię Opatrzności za wyzwolenie z potrójnego jarzma, by potem w tej świątyni nigdy się zbiorowo i urzędowanie nie stawić? Potrzeba złożenia publicznego hołdu Bogu, zamianifestowania religijnych uczuć i przekonań, potrzeba stwierdzenia, że Polska jak przed wiekami, tak i teraz Kościołowi zawsze wierna, tkwi jeszcze na szczęście głęboko w duszy narodu. Powinna też ona w konstytucyjnej ustawie znaleźć dla siebie wyraz i ochronę. Pojmował to snąć Związek ludowo-narodowy, bo w art. 18 wniesionego w swem imieniu przez posła Głębińskiego projekcie konstytucji, stwierdziwszy, podobnie jak to ma miejsce w omawianej obecnie przez nas ustawie, że religja rzymsko-katolicka zajmuje w państwie naczelne stanowisko, dodaje: »akty religijne, towarzyszące uroczystościom państwowym, odbywają się według obrządku kościoła rzymsko-katolickiego«. Nie pojmujemy, dlaczego w obecnym projekcie ani śladu z tego dodatku nie zostało.

Przejdźmy teraz do szkoły. Kwestja to ważna, niemniej jak poprzednia, i z tamą jak najściślej związana.

W ustawie konstytucyjnej — trzeba przyznać — naogół korzystnie się ona przedstawia. Wprowadzając przymus szkolny w zakresie początkowego nauczania (art. 122), ustawa nie proklamuje w tej dziedzinie państwowego monopolu, lecz podobnie, jak w zakresie szkolnictwa średniego, zostawia całkowitą swobodę inicjatywie osób prywatnych, a nawet wolność tę pod pewnemi warunkami uroczyscie poręcza (art. 120). W szkołach początkowych i średnich, utrzymywanych w całości lub w części przez Państwo lub ciała samorządowe, przepisuje obowiązkowo naukę religji, której kierownictwo i nadzór, z zastrzeżeniem prawa naczelnego nadzoru dla państwowych władz szkolnych, pozostawia właściwym władzom kościelnym (art. 125). Stwierdza przytem (art. 126), iż »każdy obywatel ma prawo kształcenia i wy-

chowowania swoich dzieci w szkole powszechnej przez nauczycieli tego samego, co dzieci wyznania, w granicach możliwości.

Ten ostatni punkt nie podoba się oczywiście żydom i socjalistom. Pierwszym, gdyż zagradza im drogę na pewien dość szeroki i ponętny teren zarobkowania, nadto pozbawia ich w pewnej mierze nad wyraz pożądanego wpływu na duszę polskiego ludu; drugim, bo obala jeden z głównych punktów przyjętego przez nich wewnątrzno-politycznego programu o świeckim charakterze szkoły, i razem z artykułem, nakazującym w szkołach państwowych naukę religii, utrudnia przyjęcie się w narodzie wywrotowych haseł. Podyktował go jednak zdrowy instynkt narodu, odczucie ważności religijnej atmosfery dla dzieła wychowania.

Szkoda tylko, że zasada, tak jasno wyrażona o ile chodzi o nauczanie początkowe, została pominięta odnośnie do nauczania średniego. A przecież powody, przemawiające za wyznaniowym charakterem szkoły powszechnej, nie mniej silnie domagają się — oczywiście w granicach możliwości — wyznaniowych szkół średnich. Wszak charakter dziecka, na którego wyrobienie religja wywiera wpływ dobroczynny, kształtuje się nie tylko w latach 7—14, ale i później. Owszem, wiek przełomowy, tak ważny dla całej człowieka przyszłości, którego niebezpieczeństwa religja łagodzi, właśnie na okres późniejszy przypada. Wprowadzenie szkół wyznaniowych w państwie pociągnęłoby co prawda za sobą pewne niedogodności — mniejsze jednak, niż to się z daleka patrzącym wydaje — byłoby atoli jedynie konsekwentnem i pedagogicznemi względami nakazanem rozwiązaniem problemu szkolnego u nas. Boć jest to zasadniczym postulatem pedagogiki, by wychowanie młodzieży opierało się na jednolitej podstawie. A czy o jednolitej wychowawczej podstawie można mówić tam, gdzie się wprowadza obowiązkowo naukę religii, a równocześnie toleruje w nauczaniu lub popiera rzeczy, które z tą religją się kłócą?... W ten sposób zamiast harmonii wprowadza się w duszę młodzieńczą rozterkę, budzi się wewnętrzne konflikty, które jakże często niestety bywają początkiem moralnego bankructwa! Oceniając więc rzecz z czysto pedagogicznego stanowiska, trzeba wyznaniową szkołę uznać za jedynie właściwą¹⁾. Szkoda, że sejmowa komi-

¹⁾ Na to zgadzają się także protestanci. Prof. Noth w *Encyklopädi-*

sja, układając projekt konstytucyjnej ustawy, nie miała tego na oku. Wszak jeżeli uznaje się religję za rzecz fundamentalną w życiu — a na tem stanowisku stoi z pewnością większość naszego narodu, a także, nie wątpimy, większość naszych posłów, — to konsekwentnie należałoby, zostawiając całkowitą swobodę osobom prywatnym w ich zakładach wychowawczych, otworzyć w szkołach utrzymywanych przez państwo takie warunki, aby ta religja mogła głęboko przeniknąć myśl i serce młodego pokolenia.

Konstytucyjna ustawa czyni to, ale połowicznie. Być może, iż zewnętrzne względy, a także trudności natury praktycznej powstrzymały komisję sejmową od rozciągnięcia i na szkoły średnie uchwały art. 126. Obawiano się może, by, proklamując zasadę szkoły wyznaniowej na obudwu stopniach nauczania, nie stanąć w sprzeczności z zasadą tolerancji, jaką nowoczesne państwa lubią się chlubić i której strzec zwykły niby żrenicy oka, by nie rozbudzić przypadkiem religijnego fanatyzmu? Sądzymy, że zbyteczna to obawa. Tolerancja bowiem religijna to bynajmniej nie obojętność, bierność i brak zasad i silnych przekonań. Tolerancja — to przy całej sile własnych przekonań poszanowanie przekonań innych, płynące z miłości i szacunku bliźniego, to umiejętność spokojnego współżycia z ludźmi, różniącymi się od nas swemi poglądami. Taka tolerancja jest prawdziwie moralną cnotą, lecz cnotę taką może i powinna wyrabiać w młodzieży każda prawdziwie chrześcijańskim duchem przejęta wyznaniowa szkoła. Trzymać się zdala od niej, walczyć z nią lub jej się pozbywać, by zachować ducha tolerancji, znaczyłoby to, jak mówią Niemcy, das Kind mit dem Bade ausschütten. Państwo nie będzie miało z pewnością korzyści z tego, jeśli jego obywatele odznaczać się będą religijną obojętnością, sceptycyzmem w zakresie wiary. A takie owoce z konieczności rodzić musi szkoła, pod względem wyznaniowym teoretycznie bezbarwna, a praktycznie częstokroć poza nauką religji w całym tego słowa znaczeniu bezwyznaniowa. O tem powinien pamiętać sejm, gdy będzie uchwałiał ogólne normy dla naszego szkolnictwa.

sches Handbuch der Pädagogik 10 B Langensalza 1910³ s. 1004 powiada: Vom rein pädagogischen Standpunkt kann... allein die konfessionelle Erziehungsschule die Normalschule, das Ideal sein.

Przyznajemy, iż wprowadzenie szkół wyznaniowych napotyka w praktyce na pewne trudności; te jednak nie są tak wielkie, by dla nich powstrzymywać się od realizacji jednego z głównych postulatów zdrowej pedagogiki z oczywistą szkodą nie tylko jednostek, ale całego narodu. Na nieco większe z tego powodu obciążenie budżetu, na pewną komplikację w działalności ministerstwa oświaty Państwo powinno być gotowe, gdyż tu o prawdziwie wielkie rzeczy chodzi — tu chodzi o zdrowie i siłę moralną przyszłych pokoleń.

Poza temi sprawami, przy których ze względu na ich doniosłość nieco dłużej się zatrzymaliśmy, w sejmowym projekcie ustawy konstytucyjnej jest wiele jeszcze punktów, które bądź ze stanowiska prawa państwowego, bądź z innych powodów można by kwestjonować. Nie będziemy się niemi zajmowali — uczynią to inni. Ale dla ogólnej charakterystyki omawianego projektu dodamy, iż nie brak w nim nawet najoczywistszych sprzeczności. Boć nie można inaczej jak sprzecznością nazwać tej różnicy, jaka zachodzi między art. 114 i 119 projektu. Pierwszy z nich opiewa, iż »wszyscy mieszkańcy Polski mają prawo wolnego wyznawania zarówno publicznie jak prywatnie swej wiary i wykonywania przepisów swej religji lub obrządku, o ile to nie sprzeciwia się porządkowi publicznemu i dobremu obyczajom« (jedeny warunek ograniczający tę wolność), zaś art. 119 swobodę publicznego wyznawania wiary przyznaje tylko tym, których wyznanie w drodze ustawy zostało przez Państwo uznane, głosi bowiem, że »członkowie wyznań prawnie nieuznanych mogą spełniać czynności religijne w miejscach zamkniętych«.

W jaki sposób wytłumaczyć tak rażącą sprzeczność? Zdaje się, że powstała ona wskutek bezmyślnej, czysto mechanicznej kombinacji gotowych już paragrafów, należących do zasadniczo różnych całości. Drugi ustęp art. 114 jest różniącą się tylko kilkoma wyrazami drugą częścią art. 2 Dodatkowego Traktatu, zawartego w Wersalu pomiędzy Polską a sprzymierzonymi mocarstwami ¹⁾, artykuł zaś 119 jest dosłownem powtórzeniem art. 20

¹⁾ Ustęp ten Dodatkowego Traktatu opiewa: »Wszyscy mieszkańcy Polski będą mieli prawo swobodnego wykonywania praktyk zarówno publicznie jak i prywatnie każdej wiary (foi), religji (religion) lub wierzenia

projektu, wniesionego do sejmu przez posła Stanisława Głabińskiego i tow. w imieniu Związku Ludowo-Narodowego¹⁾. Podobnie można też wytłumaczyć genezę wewnętrzną, choć choć nie tak już jaskrawej sprzeczności art. 117, dotyczącego stanowiska i praw rzymsko-katolickiego Kościoła, o czym wyżej mówiliśmy, i innych.

Także rozkład materiału zdradza w niejednym miejscu albo powierzchowność pośpiesznej roboty, albo brak jasno wyrobionych pojęć. Boć przecie art. 75, zapowiadający powołanie osobnego sądownictwa administracyjnego z Najwyższym Trybunałem Administracyjnym na czele do orzekania o legalności aktów administracyjnych, ma jedynie odpowiednie dla siebie miejsce przed art. 88 lub 86 w rozdziale o sądownictwie, tymczasem w sejmowym projekcie przyczepiony on jest jako ostatni artykuł do rozdziału o władzy wykonawczej. Także wnioski N. P. R. i P. P. S przy art. 70 są całkiem nie na miejscu. Izba Pracy, o której w tych wnioskach mowa, ma wybitny charakter organu ustawodawczego, wzmianka więc o niej w formie wniosku mniejszości powinna być w rozdziale, poświęconym władzy ustawodawczej, tymczasem w naszym projekcie i to też wciągnięto do rozdziału o władzy wykonawczej. Ale największym *curiosum* jest to, że wnioski P. P. S. 70—70 c), dotyczące ochrony prawnej robotników²⁾, zostały umieszczone nie w rozdziale o prawach i obowiązkach obywateli, ale także w rozdziale o władzy wykonawczej. Wnioski te razem z wnioskami, dotyczącymi Izby Pracy, tworzą w projekcie socjalistycznym, wniesionym d. 27 maja 1919 przez

(croyance), o ile te praktyki nie będą w niezgodzie z porządkiem publicznym i dobrymi obyczajami». Traktat Pokoju. Warszawa 1920, str. 206.

¹⁾ Projekty Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Warszawa 1920, str. 67, art. 20.

²⁾ Art. 70. Praca zarobkowa dzieci poniżej lat 15, praca nocna kobiet i robotników młodocianych w gałęziach przemysłu, szkodliwych dla ich zdrowia, jest zakazana. Art. 70 a): Wszyscy, utrzymujący się z pracy zarobkowej, będą mieli, zgodnie z przepisami, które ustali ustawa specjalna, zapewnioną pomoc i opiekę prawa, całkowitą swobodę organizowania się i walczenia o lepsze warunki bytu, zabezpieczone utrzymanie na wypadek choroby, kalectwa, braku pracy, a także starości. Art. 70 b) Wolność strajków jest zagwarantowana. Art. 70 c) Ustawy osobne określą minimum płacy zarobkowej i maksymalny dzień pracy w poszczególnych gałęziach przemysłu. To wszystko w rozdziale o władzy wykonawczej!!!

posła Niedziałkowskiego i tow., specjalny rozdział zatytułowany: »Praca i jej przedstawicielstwo«. W projekcie komisji sejmowej cały ten rozdział poprostu przyczepiono jako wniosek mniejszości do art. 70, zgola nie uwzględniając, iż układ sejmowego projektu domaga się rozbicia go na dwie części i odesłania jednej do rozdziału o władzy ustawodawczej, drugiej zaś do rozdziału o prawach i obowiązkach obywateli. Znowu więc ta sama bezmyślność czy pośpiech!

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach sejmowy projekt konstytucyjnej ustawy Rzeczypospolitej Polskiej. Czy zostanie on tylko projektem, czy też stanie się obowiązującą ustawą — trudno jeszcze przewidzieć. Zasady naszej konstytucyjnej ustawy, stopień jej celowości, wewnętrzna spoistość i zgodność z duchem narodu będzie miarą politycznej dojrzałości naszego sejmu ustawodawczego.

Ks. Edmund Elter.

Małżeństwo wobec Kościoła i państwa.

Ciężkie, bo trudne i brzemiennie w następstwa zadanie spada na karki prawodawców odrodzonej Polski. Zakładając fundamenta pod jej budowę tem samen biorą na siebie odpowiedzialność za jej przyszłość.

W rozległej zaś tej dziedzinie pracy jedno z pierwszorzędnych miejsc zając musi ustawodawstwo małżeńskie.

Pierwszorzędne ze względu na jednostkę, by nie zadawać gwałtu jej sumieniu i przekonaniom, oraz pozostawić wolność w najbliższym i najdroższym kole interesów. Pierwszorzędne ze względu na społeczeństwo, bo małżeństwo to związek rodziny a rodzina to najpierwotniejsza komórka wszelkiej społeczności państwowej. Trzeba więc postawić je na możliwie wysokim poziomie i zabezpieczyć istnienie. Pierwszorzędne wreszcie ze względu na wiarę. Naród polski, w olbrzymiej większości katolicki, ma prawo spodziewać się, że ci, których obrał jako przedstawicieli, odpowiedzą też jego życzeniom i uszanują przekonania religijne.

Kwestja to więc niezmiernie doniosła.

Tymczasem ze smutkiem zaznaczyć wypada, że sprawa ta, obchodząca tak żywo ogół, nie u wszystkich spotyka się z należytem zrozumieniem, nawet ze strony dobrych zresztą katolików. Małżeństwo i rodzina są u nas wprawdzie w wielkiem poważaniu i pod tym względem stoimy bezsprzecznie wyżej od niektórych społeczeństw europejskich, jednakże stosunki dzisiejsze, przeróżne hasła i nienajlepsza literatura porobiły na pięknem tem tle dość głębokie rysy. Okazuje się często brak wyrazistości i pewności

poglądów co do pewnych szczegółów i mało zrozumienia świętości małżeństwa chrześcijańskiego. Ależ to razy spotyka się z ostrą krytyką orzeczeń i przepisów kościelnych, która już po krótkiej rozmowie ustępuje zupełnie, ponieważ okazało się, że jedyną jej podstawą była nieznamość rzeczy. Trzeba więc koniecznie usunąć te braki; obecna zwłaszcza chwila żąda jasnych i zdeklarowanych poglądów, aby każdy Polak katolik wiedział, jakiego prawodawstwa na polu małżeńskim domagać się powinien w wolnej, odrodzonej ojczyźnie.

Artykuł niniejszy dalekim jest naturalnie od wyczerpania tej materji, tak rozległej i skomplikowanej. Zadaniem jego wskazać na świętość małżeństwa¹⁾ chrześcijańskiego i wynikający stąd stosunek jego do Kościoła i państwa. Pokaże się wtedy z jednej strony, jak głęboko i silnie uzasadnione są wymagania w tej dziedzinie Kościoła, a z drugiej, że poszanowanie praw tego ostatniego jest zarazem najskuteczniejszą podporą państwa. Inaczej zresztą być nie może w religji, której boski Założyciel powiedział wyraźnie: »Oddajcie więc, co jest cesarskiego cesarzowi, a co bożego Bogu (Mat. 22, 21).

Zarówno historia ludzkości, jak i dzisiejsze badania nad kulturą ludów nicywilizowanych stawiają w coraz pełniejszym świetle tę wielką dziejową prawdę, że małżeństwo wszędzie uchodziło za rzecz świętą, a zawarcie jego wiązało się zawsze z odpowiednimi ceremonjami religijnymi.

Zajrzyjmy do ludów najbardziej kulturalnych starożytności. Do nich naprzód się zwracamy, ponieważ jako więcej do nas zbliżone, są wymownym dowodem, że wyższy ten poziom nie żądał u nich zerwania z kultem, ale przeciwnie złączył instytucję małżeńską ścisłym węzłem z religją i jej obrzędami.

U starożytnych Greków zawarcie małżeństwa składało się z trzech aktów, a każdemu z nich, zarówno w domu ojca panny młodej, jak w drodze i w nowym mieszkaniu u męża, towarzyszyły modlitwy, śpiewy i różne ceremonje religijne. W Atenach nie zawierano z reguły związku bez złożenia ofiar Dianie i Mi-

¹⁾ Małżeństwo oznaczać może albo akt zawarcia go, czyli ślub, albo też trwały stan, wynikły z tego ostatniego. W artykule uwzględniamy głównie pierwsze znaczenie.

nerwie. Sam Platon w projektowanej przez siebie republice żąda zachowania tych zwyczajów i ogłasza za nieprawę to małżeństwo, »któremu nie będą towarzyszyły odpowiednie ofiary i modlitwy, złożone bogom przy każdym ślubie przez kapłanów i kapłanki« (Ks. V).

Podobnie było w Rzymie, w okresie wewnętrznej tężyzny i siły. Ognisko domowe i grób, przechowujący szczątki zmarłych, to dwa sanktuarja, które łączyły wszystkich członków rodziny. To też zawarcie małżeństwa i sprowadzenie panny młodej do nowego mieszkania polegało właściwie na obrzędzie religijnym, który przenosił ją z kultu dotychczasowego domu ojcowskiego do kultu domu męża. Ceremonję tę odbywano bardzo uroczystie przy udziale kapłanów i złożeniu ofiary, a najwyższą patronką związku była sama Junona, która strzegła jego świętości i pod różnemi wezwaniami (Lucina, Viriplaca itd.) zapewniała mu błogosławieństwo. Jak wysokie wyobrażenie miano tam o małżeństwie, świadczy sama jego definicja. »Nuptiae — powiada prawo rzymskie — sunt coniunctio maris et feminae, consortium omnis vitae, divini et humani iuris communicatio« (małżeństwo jest to związek męzczyzny i niewiasty, wspólność wszelkiego życia, korzystanie z przyśługujących praw boskich i ludzkich).

Z upadkiem religji i obyczajów zatarł się powoli w Grecji i Rzymie ów wzniosły charakter małżeństwa, lecz był to zarazem okres wewnętrzznego rozkładu społeczeństwa i bliskiej ruiny państwa.

Religijny charakter małżeństwa zastajemy również u innych ludów kulturalnych, jak w Chinach, Indjach, Meksyku. Niektórzy odmawiali go Żydom, lecz nieskutecznie. Księgi święte starego zakonu i starodawne formuły ślubne, ułożone przez rabinów, wykazują dostatecznie religijny charakter ślubów żydowskich.

Świadectwa te, które możnaby mnożyć w dalszym ciągu, są w każdym razie dowodem, że Kościół katolicki, miesząc się czynnie do spraw małżeńskich, nie wprowadził pod tym względem nic nowego.

Skoro fakt powszechności przestrzennej i czasowej bywa zawsze uważanym za silny dowód praw moralnych, rządzących ludzkością, to i w obecnym wypadku musimy uznać jego moc przekonywującą. Ścisła łączność, jaką napotykamy wszędzie mię-

dzy małżeństwem a religją, nie może zatem być tylko czysto zewnętrzną, przypadkową, lecz musi sięgać głębiej i mieć źródło swe w samej istocie tego związku. Rzeczywiście, rozpatrując bliżej małżeństwo nawet z czysto naturalnego punktu widzenia, dochodzi się do przekonania, że jest to instytucja wyższa od innych, »święta mocą swej istoty, natury«. Jakże niezrównanie wznosi się bowiem ta umowa między mężczyzną a kobietą ponad wszelkie inne prawne kontrakty!

Przedewszystkiem przez cel swój. Podczas gdy te ostatnie mają na celu dobro jednostki lub pewnych tylko społeczności, małżeństwo służy oprócz tego i interesom całej ludzkości.

Powtóre przez istotę swą. We wszystkich innych kontraktach przedmiot zawisł od wyboru i umowy, tu zaś jest on ściśle oznaczony przez samą naturę, dzięki czemu istota małżeństwa została raz na zawsze ściśle określona i wyjęta z pod wszelkiej samowoli ludzkiej. Zmieniać się mogą okoliczności i warunki, a w ślad za nimi różne poboczne urządzenia, ale co do swej istoty małżeństwo pozostaje zawsze to samo, niezależne zarówno od jednostek, jak od przelewających się w wirze dziejowym państw i narodów. W tym bowiem względzie, który powoduje konieczność związku małżeńskiego, człowiek pozostał ten sam i zapewne najśmielszy nawet ewolucjonista nie marzy, by mogło być kiedyś inaczej.

Zestawiając całą rzecz krótko, trzeba zatem powiedzieć, że małżeństwo nie jest umową jedynie prywatno-prawną, powstałą dopiero w późniejszym okresie ewolucji ludzkości i opartą tylko na zwyczaju lub pozytywnem prawie ludzkim — lecz jest kontraktem naturalnym, który ma z góry określoną, niezmienną treść. Istniał bowiem zawsze i wszędzie, sama natura wiodła ludzi do niego, oraz dyktowała cele i prawa.

Powtóre, małżeństwo uchodzi wogóle za związek święty, przypisuje się mu charakter religijny. Lecz w jakim znaczeniu? Oczywiście nie w tem, jakoby zawarcie małżeństwa było w pierwszym rzędzie aktem religijnym, lecz ponieważ pociąga za sobą obowiązki, należące do tej kategorii i umożliwia ich wypełnienie. — Bóg stworzył świat widzialny dla chwały swojej, lecz chwałę prawdziwą oddać mu może tylko istota rozumna, jaką jest człowiek na ziemi. Wszystkie gwiazdy i ziemia wraz z tętniącem na niej życiem roślinnem i zwierzęcem, to jakby in-

strument muzyczny, wykonany bez zarzutu, lecz który spoczywa bezwładny i głuchy; dopiero gdy przyjdzie mistrz i uderzy w jego struny, rozbrzmi pieśnią i wprawi w zachwyt. A tym mistrzem jest człowiek — jeśli jego nie stanie, zamilknie pieśń. I dlatego musi on istnieć, by głosić nieustannie hymn uwielbienia dla Stwórcy — to zaś istnienie podtrzymuje właśnie małżeństwo. Dzięki jego współdziałaniu z odwiecznymi planami bożymi, ród ludzki utrzymuje się w ustawicznej ciągłości i na każdym miejscu oddaje chwałę Najwyższemu.

A ponieważ chwała, jaką Bóg odbiera przez usta i czyny ludzi, pociąga za sobą cały stosunek stworzenia do Stwórcy i stanowi istotną treść religii, przeto religijny charakter małżeństwa występuje tu w całej pełni.

Lecz czy wobec tego nie było rzeczą konieczną, by Bóg ujął je w szczególniejszy sposób w swe ręce? — Na to odpowiada nam objawienie. W przeciwstawieniu do krótkiego: »Niech się stanie!«, jakim Stwórca powołał do bytu cały ten bezmierny wszechświat, ileż zabiegów i ojcowskiej troskliwości widzimy przy utworzeniu pierwszego związku małżeńskiego.

Zwięźle i treściwie przedstawia to księga Rodzaju (2, 18. 21—24).

»Rzekł też Pan Bóg: nie dobrze być człowiekowi samemu; uczynimy mu pomoc jemu podobną... Przypuścił tedy Pan Bóg twardy sen na Adama, a gdy zasnął, wyjął jedno żebro z niego i nappełnił ciałem miasto niego. I zbudował Pan Bóg z żebra, które wyjął z Adama, białogłową i przywiódł ją do Adama. I rzekł Adam: to teraz kość z kości moich i ciało z ciała mego; tę będą zwać mężyną, bo z męża wzięta jest. Przeto opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej i będą dwoje w jednym ciele«.

Powszechny fakt dziejowy, wiążący ściśle małżeństwo z religią, znajduje więc uzasadnienie w Piśmie św. Bóg jest twórcą małżeństwa i pierwszym jego prawodawcą, do niego zatem należy ono w szczególniejszy sposób.

Jeszcze wyraźniej i ściślej okazało się to w Nowym Zakonie.

Gdy przyszło wypełnienie czasów, sam Syn Boży zstąpił z nieba i stał się człowiekiem, by odnowić i podnieść podupadłą naturę ludzką, a zarazem podać światu najwyższe prawdy i za-

sady. Krótkiem było jego życie publiczne na ziemi, nie mógł więc rozwinąć wszystkiego. Ale wśród najważniejszych spraw, jakie poruszył w tym przeciągu czasu, małżeństwo zajęło jedno z pierwszych miejsc. Działalność swą apostolską rozpoczął od cudu w Kanie Galilejskiej, dokąd udał się po to tylko, by obecnością swą uświęcić nowo zawarty związek małżeński i zaznaczyć przez to jego ważność. Gdyby mu bowiem chodziło jedynie o rozbudzenie u apostołów wiary w swe posłannictwo, byłby prawdopodobnie obrał inną, odpowiedniejszą od tego sposobność.

»Nie czytaliście — powiada znowu przy innej okazji do faryzeuszów — iż który stworzył człowieka od początku, mężczyzną i niewiastę stworzył je; i rzekł: dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się z żoną swoją i będą dwoje w jednym ciele. A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niechaj nie rozłącza«. (Mat. 19, 4—6). Zaznacza więc Chrystus Pan wyraźnie, że małżeństwo »Bóg złączył« a nie ludzie i zastrzega sobie co do niego szczególniejsze prawa.

Owszem, nie poprzestaje na tem. Małżeństwo jest dla niego czemś tak wielkiem, że nie chce go zostawić na dotychczasowym poziomie naturalnej tylko świętości, jaką miało od początku, ale podnosi je niezrównanie wyżej do porządku nadprzyrodzonego. Odtąd akt zawarcia małżeństwa stanie się jednym z siedmiu sakramentów, z przyjęciem jego związane będzie udzielenie łaski, a głównym jego szafarzem stanie się sam Chrystus Pan.

Co więcej, nadnaturalna ta moc nie będzie czemś dodatkowem tylko, jak mylnie sądzi wielu katolików, w oczach których akt zawarcia związku małżeńskiego obejmuje dwie oddzielne części: z jednej strony umowę małżeńską, dokonaną przez nowożeńców, z drugiej obrzęd religijny, stanowiący właściwy sakrament i spełniony przez księdza, udzielającego ślubu. Nie tak uczynił Pan Jezus; On wyżej cenił małżeństwo i sprawił, że ta sama umowa, która dawniej wystarczała do zawarcia go, została u chrześcijańskich małżonków wyniesioną do nadprzyrodzonej godności znaku sakramentalnego i to na zawsze.

Jasno i dobitnie stwierdza to Leon XIII w encyklice »Arcanum« z dnia 10-go lutego 1880 r. »W małżeństwie chrześcijańskim — pisze — nie można oddzielić umowy od sakramentu; i dlatego nie może być prawdziwego i legalnego kontraktu, któ-

ryby nie był tem samem sakramentem. Albowiem Chrystus Pan podniósł do godności sakramentu małżeństwo, małżeństwem zaś jest sama umowa, byle była zawarta prawnie».

Każde małżeństwo chrześcijan jest więc sakramentem i to nierozdzielnie: gdzie jest małżeństwo, tam jest sakrament, gdzie niema sakramentu, niema i małżeństwa.

W tem wzniosłem świetle zapatrywał się na małżeństwo św. Paweł, kiedy wskazywał na nie, jako na symbol łączności Chrystusa z Kościołem. »Mężowie — powiada on — miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół i samego siebie... Sakrament to wielki jest, a ja mówię: w Chrystusie i Kościele« (Ef. 5, 25, 32).

Wyniesienie to pociągnęło jednak za sobą poważne następstwa prawne.

Całą naukę objawioną i wszystkie środki łaski oddał Chrystus Pan w ręce założonego przez siebie Kościoła. Małżeństwo więc, tem samem że stało się nierozdzielnie sakramentem, przeszło co do istoty swej pod wyłączną władzę Kościoła, jako szafarza wszystkich sakramentów.

Ten punkt jest dla każdego katolika zupełnie oczywistym. Sakramentalność małżeństwa jest bowiem dogmatem wiary (C. Trid. sess. XXIV Can. 1), zaprzeczenie jej byłoby zatem herezją, wykluczającą z łona Kościoła.

Zrozumiałem staję się wobec tego stanowisko prawne, jakie od początku swego istnienia zajmował Kościół względem małżeństw chrześcijan. Nie dążności zaborcze i chciwość władzy kierowała jego postępowaniem, lecz wyraźne rozporządzenie boże. Nie ustąpił tu nigdy i nie ustępuje dziś, bo nie ma na to władzy, nie wolno mu. Może bowiem cofać i przeinaczać te jedynie prawa, które sam wydał. Względem innych zaś, jakie podyktował boski Założyciel, spełnia tylko rolę stróża i czuwać musi nad ich bezwzględnem wykonaniem. Nie może np. ani papież ani sobór powszechny zmniejszyć albo zwiększyć liczby sakramentów lub zmienić ich istoty, bo tak ustanowił sam Chrystus Pan. Może przekształcać poboczne przepisy i warunki, cofać jedne a wprowadzać drugie odpowiednio do wymagań czasu i tak też zawsze

czynił. Lecz dalej iść mu nie wolno. Żądanie więc, by Kościół wypuścił ze swoich rąk małżeństwo chrześcijan, może być zrozumiałem w ustach poganina lub odszczepieńca, lecz nigdy katolika.

Stanowcze zaprzeczenie tych praw Kościołowi byłoby herezją. Sobór trydencki oświadczył bowiem wyraźnie (sess. XXIV. can. 4, 12): »Jeśli kto twierdził że Kościół nie mógł ustanowić przeszkód, unieważniających małżeństwo lub pobłdził w ich ustanowieniu, niech będzie wyklęty«. »Jeśli kto twierdził, że sprawy małżeńskie nie należą do sądów kościelnych, n. b. w.«

Leon XIII objaśnia to bliżej w encyklice »Arcanum«: »Skoro więc Chrystus podniósł małżeństwo na nowo do takiej i tak wysokiej godności, całą nad nim pieczę powierzył i porучzył Kościołowi. Ten zaś wykonywał swą władzę nad małżeństwami chrześcijan zawsze i wszędzie tak, aby było widocznem, iż władza ta należy ściśle do niego i nie pochodzi z nadania ludzi, lecz z woli boskiego Założyciela«. Przypomniawszy następnie sakramentalną godność małżeństwa, mówi papież dalej: »Ustanawianie zaś i nakazywanie czegokolwiek odnośnie do sakramentów, należy z ustanowienia Chrystusa Pana tak wyłącznie do samego Kościoła, że niedorzecznem jest żądać, by nawet najmniejszą część jego władzy przenieść na władzę państwową«.

I Kościół trzymał się też niezłomnie tej zasady, bo trzymać się musiał. Ustępował, jak mógł daleko, ale gdy doszedł do wyznaczonej granicy, trwał niewzruszenie na straży powierzonych sobie praw. Historia świadczy o tem niezłomności. Już w pierwszych czasach istnienia zajął Kościół odmienne od panujących ustaw rzymskich stanowisko względem konkubinatu oraz ogłosił, że każdy niewolnik ma równe prawo do małżeństwa, a niezgodzenie się jego pana nie stanowi bynajmniej przeszkody nieważniącej. Tej samej taktyki trzymał się przez wszystkie wieki następne, jak o tem świadczą dekreta różnych synodów oraz sprawy rozwodowe, zaszłe z powodu nieporozumień małżeńskich niektórych panujących.

Przytem pozostawiał jednak Kościół swoim członkom możliwie rozległą swobodę i mieszał się jedynie do rzeczy najważniejszych. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że do wieku XVI-go nie wydał żadnego ogólnego przepisu co do sposobu zawierania małżeństwa; dopiero błędy reformacji zmusiły go do tego kroku. Z faktu powyższego nie trzeba naturalnie wnioskować, że

aż do tej chwili zawierano małżeństwa poza kościołem. Przeciwnie, łączność z nim była zawsze jak najściślejsza, a liturgia starożytna przewyższała dzisiejszą bogactwem modlitw i obrzędów. Świadectwem tego są liczne napisy i obrazy na pomnikach chrześcijańskiej starożytności oraz literatura tego okresu. Trudno np. o wyraźniejszy dowód nad słowa Tertulliana († około r. 220): »Któż zdoła opisać szczęście tego małżeństwa, które przygotowuje Kościół, umacnia ofiara mszy św., uświęca błogosławieństwo, zwiastują aniołowie i potwierdza Ojciec niebieski« (Ad. ux. II, 9).

Tak przedstawia się zasadniczo stosunek małżeństwa do Kościoła. A względem państwa?

Można śmiało powiedzieć, że państwo stoi na małżeństwie. Narody, które utraciły niepodległość, ale zachowały rodzinę nie-naruszoną, były zawsze zdolne do obudzenia się na nowo i czekały tylko na sposobną chwilę; za najlepszy przykład może posłużyć nasza ojczyzna. Ale gdzie ognisko domowe zaczęło psuć się i rozpadać, tam gangrena objęła stopniowo wszystkie członki organizmu państwowego, aż wyniszczony i zatruty upadł bezpowrotnie, jak niegdyś Rzym cesarzów. To też małżeństwo, jako podstawa bytu i wzrostu państwa, cieszyło się wszędzie szczególniejszą jego opieką, a Kościół, który stojąc na straży porządku moralnego, był zawsze najpewniejszą ostoją pomyślności społecznej, nie tylko nie przyniósł tu uszczerbku, lecz owszem udzielił wydatnej pomocy. Prawa więc, jakie sobie rości na polu małżeńskim, nie mogą w żaden sposób wejść w konflikt z cywilnemi, pomiędzy niemi panować musi najzupełniejsza zgoda i harmonja.

Chodzi tylko o określenie kompetencji każdej strony.

Rozgraniczenie to nie jest trudnem do uskutecznienia, jeśli się tylko rozumie naukę katolicką. Podnosząc małżeństwo do godności sakramentalnej, wskazał Chrystus Pan niedwuznacznie, że chodzi mu o istotę tegoż, t. j. o samą umowę małżeńską oraz niezbędne jej warunki i następstwa. Ten dział zastrzegł sobie i powierzył go Kościołowi. Nie wdawał się Zbawiciel w regulowanie szczegółów majątkowych, gospodarczych i obywatelskich — te pozostawił czynnikom cywilnym. On stwarzał instytucję świętą, któraby mogła się przyjać na każdym terenie, bez względu na czas i miejsce i rozwijać wszędzie zbawienną swą działalność.

Sytuacja jest więc jasna. Do Kościoła należy cały zakres praw dotyczących samej umowy małżeńskiej, jej ważności i istotnych następstw; on rozstrzyga, czy w danym wypadku istnieje prawdziwe małżeństwo, czy też tylko pozorne, od czego to zawisło i jakie są nieodłączne prawa tej instytucji. Państwo zaś obejmuje całą pozostałą dziedzinę cywilnych następstw małżeństwa. Do tej należą wszystkie prawa małżonków i dzieci odnośnie do przynależności państwowej i stanowiska społecznego, godności, tytułów, majątku i dziedzictwa, obejmują więc dział bardzo rozległy i skomplikowany. Aby umożliwić państwu spełnienie wielorakich tych funkcji, trzeba mu nadto przyznać prawo rejestracji małżeństw; bez znajomości stanu cywilnego obywateli nie mogłoby bowiem czuwać nad wykonaniem ustaw do niego przywiązanych. Władze państwowa i kościelna muszą w tym celu wejść w porozumienie i ułożyć zgodny sposób postępowania, któryby zadośćuczynił potrzebie, nie naruszając praw żadnej strony.

Taki podział władzy w zakresie prawa małżeńskiego będzie ze stanowiska religijnego jedynie słusznym rozwiązaniem i dlatego należy go postawić jako postulat ze strony wszystkich katolików, czyli ogromnej większości narodu polskiego. Nawiasem zaś dodajmy, że podobne stanowisko, jak względem Kościoła, powinno też państwo zająć wobec innych wyznań; niech prowadzi rejestrację i strzeże praw do siebie należących, ale wszystko, co dotyczy węzła małżeńskiego, niech zostawi danej religii, jeśli ona tego wymaga.

Projekt ten wiąże się zresztą tak ściśle z interesem państwa, że już dla tego samego powinien znaleźć poparcie nawet u ludzi hołdujących innym przekonaniom, lecz pragnących szczerze dobra ojczyzny. Doświadczenie wieków pokazuje bowiem dostatecznie, że stan małżeński tam tylko znajdował się w powołaniu i odpowiadał swemu celowi, gdzie zawieranie związku pozostawało w łączności z religją. Jeżeli więc Kościół będzie miał swobodę wykonywania swych praw, wtedy potrafi utrzymać małżeństwo i rodzinę na poziomie instytucji świętej, a państwo odniesie stąd największą korzyść, gdyż zyska obywateli prawych i oddanych sobie. Katolicy popierać będą taki rząd, bo ujrzą w nim władzę ojcowską, dbającą o ich dobro i szanującą to, co dla nich najświętsze: wiarę i wolność sumienia. Cenić go będą

również członkowie innych wyznań, ponieważ pozwoli im korzystać z tej samej swobody religijnej.

Nie wszyscy jednak pojęli tę prawdę i poszli za nią. Brak panowania nad namiętnościami, antagonizmy religijne, a w końcu filozofja wszechwładzy państwa sprawiły, że wielu uznało, iż państwo powinno iść dalej i ująć wszystko w swe ręce: nie tylko cywilne następstwa małżeństwa lecz i samo jego zawarcie.

Nie odrazu do tego przyszło. Można powiedzieć, że aż do XVI-go wieku, a w każdym razie do epoki odrodzenia nie doszło do poważnego konfliktu pomiędzy władzą państwową a kościelną. Dopiero kiedy Luter oświadczył, »dass die Ehe ein äusserlich weltlich Ding ist, wie Kleider und Speise, Haus und Hof, weltlicher Obrigkeit unterworfen« ¹⁾, rządy protestanckie skorzystały z tego, by pozbawić Kościół jego wpływu, i przejęły wszystkie jego prawa. Fakt ten wyjaśnia dostatecznie trudność, dlaczego Kościół dopiero na soborze trydenckim rozstrzygnął dogmatycznie, iż sprawy małżeńskie chrześcijan należą wyłącznie do niego. Odpowiedź jest prosta: przedtem orzeczenie takie nie było potrzebnem, ponieważ rzecz wszędzie uznawano.

W ślad za krajami protestanckimi zaczęły podobne dążenia objawiać się i w katolickich, w których reformy soboru trydenckiego nie zdołały zagoić wszystkich ran, zadanych przez pogański odłam humanizmu, pseudoreformację i niedomagania pozostałe z wieków poprzednich. Drogę do tego kroku utorowali niektórzy teologowie, jak Marcus Antonius de Dominis, Jan Launoi, a nawet zbłądził tu tak wybitny uczony, jak Melchior Canus, w ślad zaś za nimi pospieszyli liczni gallikańscy, febronjańscy i józefińscy prawnicy kościelni. Zdaniem ich sakrament małżeństwa jest czemś odrębnem i oddzielnem od umowy małżeńskiej; stanowi on tylko dodatek, obejmujący błogosławieństwo kapłańskie, którego szafarzem jest sam ksiądz. Może więc istnieć małżeństwo chrześcijańskie bez sakramentu.

Była to naturalnie teoria fałszywa, według nauki katolickiej bowiem sakramentem jest sama umowa małżeńska, a szafarzami jego są nowożeńcy. Jakkolwiek błędna, odpowiadała jednak zarówno wrogom Kościoła, jak zaborczym popędom niektórych rzą-

¹⁾ Ehesachen, Wittenberg, 1530.

dów. Tu i owdzie wyciągnięto też z niej praktyczne konsekwencje i zaprowadzono śluby cywilne.

Wyłoniła się zatem nowa forma zawierania małżeństwa, która zrywała zupełnie z dotychczasową praktyką i miała zastąpić śluby kościelne. Państwo stawalo się tu wszystkim. Ono określało warunki i przeszkody, ono wyznaczało wzajemne prawa i obowiązki małżonków. Kościół pozostał na uboczu, nie dbano o niego, ignorowano w najlepszym wypadku a nawet prześladowano. Za prawne uchodziło to jedynie małżeństwo, które zostało zawarte na podstawie ustaw państwowych i wobec przedstawicieli rządu.

Z takiego założenia wypływa jasno, jaką wartość przedstawia ślub cywilny dla katolików. — Oczywiście żadnej. Jest to tylko ceremonia urzędowa, po odbyciu której on i ona pozostają tem samem, czem byli i muszą dopiero zwrócić się do odpowiedniej władzy kościelnej, jeżeli chcą zawrzeć prawny, rzeczywisty związek. Bo gdzie niema sakramentu, tam niema dla nich i małżeństwa. »Wszyscy powinni to zrozumieć — powiada Leon XIII («Arcanum») — że każdy związek zawarty u chrześcijan pomiędzy mężczyzną a kobietą bez sakramentalnego uświęcenia, pozbawiony jest tem samem charakteru i znaczenia prawnego małżeństwa; i choćby był zawarty podług ustaw państwowych, nie może jednak być niczem więcej, jak tylko ceremonją lub zwyczajem wprowadzonym przez prawo cywilne; do prawa zaś cywilnego należy ułożenie i pokierowanie temi jedynie sprawami, które zaliczają się do cywilnych następstw małżeństwa; oczywiście zaś jest, że te ostatnie mogą o tyle tylko zachodzić, o ile istnieje prawdziwa i ważna ich podstawa, jaką jest węzeł małżeński.

Miejsce to nie pozostawia chyba najmniejszej wątpliwości. O ile chodzi o samą istotę małżeństwa chrześcijan i to, co się z nią ściśle łączy, państwo niema żadnej władzy. Z pod jego kompetencji wyjętem jest zatem:

- 1) ustanawianie przeszkód, wzbraniających lub unieważniających zawarcie związku;
- 2) prawne dochodzenie, czy w danym wypadku zachodzą wszystkie warunki, potrzebne do tego, aby związek by dozwolonym lub ważnym;
- 3) mieszanie się prawne, bądź przez ogólne ustawy, bądź w poszczególnych wypadkach do kwestji zaręczyn oraz bezpo-

średnich następstw związku (np. pożycie małżeńskie, legalność dzieci);

4) udzielanie rozwodów.

Chcąc wyrobić sobie należyty pogląd na śluby cywilne, nie można jednak poprzestać na ogólnikowym tem określeniu, lecz trzeba rozpatrzyć trzy odrębne ich kategorie; różnią się one znacznie między sobą, tak że wobec poszczególnych wypadnie zająć odmienne stanowisko.

Pierwsza z nich, t. zw. ewentualny ślub cywilny (u Niemców *Notcivilehe*) polega na tem, że państwo daje możność zawarcia związku przed swoim forum tym jednostkom, które nie wyznają żadnej religji lub nie należą do żadnej z pośród istniejących na danem terytorjum organizacyj religijnych. — Przeciw tej praktyce (względny ślub cyw.) nie można zasadniczo nic powiedzieć, gdyż co najmniej ze względów praktycznych będzie ona zwykle konieczną. Nie można jej uznać tylko wtedy, kiedy państwo pozwala zawrzeć przed sobą legalny związek tym, którym zabrania tego ich religja. Postępowanie takie podkopuje powagę władzy wyznaniowej, a pośrednio wszelkiej innej.

Drugą kategorię stanowi dowolny ślub cywilny (*facultative Civilehe*), polegający na tem, że nowożeńcom pozostawia się do wyboru zawarcie związku albo według przepisów kościelnych, albo przed władzą państwową i w obu wypadkach przyznaje im się takie same prawa. — Ten system prawny jest niedobrym, ponieważ stawia na równi kościelne i cywilne zawarcie związku, przez co prowadzi do indyferentyzmu religijnego. Odnosnie do katolików staje się on nadto źródłem wielu nieważnych związków, mianowicie tych wszystkich, które zostały zawarte jedynie przed forum państwowem.

Ostatnim i najgorszym rodzajem jest obowiązkowy ślub cywilny (*obligatorische — Zwangs — Civilehe*), zmuszający do zawarcia związku przed władzami cywilnymi, pod groźbą nieuznania go w przeciwnym razie przez państwo. — System ten nie tylko nie stawia małżeństwa kościelnego na równi z cywilnem, ale uważa je w najlepszym wypadku za obojętne, nie istniejące, a w pewnych warunkach nawet podlegające karze. Jest to więc wzgarda religji i małżeństwa, jako sakramentu, całkowity rozdział Kościoła i państwa na polu prawnomałżeńskim. I jeśli ślub cywilny ewentualny może być usprawiedliwionym, a do-

wolny przynajmniej tolerowanym, to ślub obowiązkowy, stosowany względem katolików, jest policzkiem wymierzonym religji, gwałtem zadany sumieniu, ironją wszelkiej wolności osobistej, nadużyciem ze strony państwa,¹⁾ a zatem powinny być przez katolików zwalczane wszelkie próby wprowadzenia go u nas.

Tak przedstawia się w najkrótszym zarysie zagadnienie prawnego stosunku małżeństwa do Kościoła i państwa. Miejmy nadzieję, że przedstawiciele wszystkich warstw, pomni na odpowiedzialność, jaka ciąży na nich przed Bogiem i ludźmi, uwzględnią przy uchwaleniu kodeksu małżeńskiego należne prawa Kościoła katolickiego i przyczynią się tem samem najskuteczniej do dobra ojezyny.

Mówimy zaś to tem śmieiej, że broniąc praw Kościoła, występujemy zarazem w obronie wolności wszystkich wyznań. Przyznajemy bowiem najzupełniej, że jeśli w państwie istnieje ich więcej, byłoby niesprawiedliwością układać całe prawo tylko według jednego z nich.

Dlatego sprawiedliwy kodeks prawa małżeńskiego powinien obejmować dwie główne części. Pierwszą z nich, mianowicie kwestje dotyczące samego węzła małżeńskiego pozostawi poszczególnym wyznaniom, państwo zaś ujmie w swe ręce drugą, zawierającą wszelkie cywilne skutki małżeństwa i obejmie kontrolę nad rejestracją zawartych związków. O ile chodzi o obywateli, nie wyznających żadnej religji, państwo przejmuje także prawa pierwszej części, układając dla nich osobny, zgodny z prawem przyrodzonym kodeks, normujący wszelkie przepisy odnośnie do węzła małżeńskiego.

Jedynie takie uregulowanie sprawy uszanuje prawa boskie, pozostawi wszystkim prawdziwą swobodę sumienia, oraz zapewni wolność w dziedzinie, która będąc żywotną dla państwa, jest równocześnie najbardziej prywatną i osobistą.

¹⁾ Dla wyjaśnienia dotychczasowych stosunków na ziemiach polskich dodajemy, że podczas gdy w byłym zaborze rosyjskim nie uznawano żadnych ślubów cywilnych, istniały w zaborze austriackim ewentualne, a w niemieckim obowiązkowe śluby cywilne (Por.: Wł. L. Jaworski: Prawo cywilne na ziemiach polskich, t. I, str. 34—35. 122—141).

Józef Wereszczyński, biskup kijowski.

Ksiądz Józef Wereszczyński, biskup kijowski, opat sieciechowski, to postać piękna i fantastyczna, biskup zakuty w hełm i pancerz, hetman z infułą na głowie i z pastorałem w ręku¹⁾. Jakaś moc młodzieńcza, jakaś szlachetność rycerska bije od tego męża, który wsparty na pastorału w swej kresowej diecezji, sam nieustraszony, ale o przyszłość ojczyzny ukochanej drżący, umie przenikliwym okiem spoglądać w dal, potrafi dojrzeć, skąd niebezpieczeństwo idzie dla Rzeczypospolitej, której się szczyści być senatorem. »Oglądając się, miłościwi panowie bracia, na przysięgę swą, w którejem poprzysiągł panu swemu *consulere et me opponere* na każdy upadek Rpltej a iżbych nie został z tej miary krzywoprzysięcą, zdała mi się rzecz słuszna i przystojna, W. M. z urzędu swego senatorskiego oznajmić o niebezpieczeństwie wielkim, które się dzieje z strony niegdy stolicy zacnej księstwa kijowskiego od nieprzyjaciela pogranicznego«²⁾. Żołnierz i kapłan, zakonnik i rycerz w jednej osobie. Jest w nim coś z papieża Urbana II, który zapalem swoim potrafił natchnąć olbrzymie tłumy, zebrane w Clermont, że z okrzykiem »Bóg tak chce«,

¹⁾ Aleksander Zdanowicz. Rys dziejów literatury polskiej podług notat A. Zdanowicza, opracował Edward Łoziński. Tom I. Wilno. Nakład Zawadzkiego 1874, str. 478.

²⁾ Sposób osady nowego Kijowa i ochrony niegdyś stolicy księstwa kijowskiego od niebezpieczeństwa wszelkiego bez nakładu J. K. M i kosztu koronnego. Ich M. panom posłom na sejmie krakowskim przysług podany. Wyd. Józ. Turowskiego str. 35.

przypiąwszy krzyże czerwone na ramieniu, ruszyły na wojnę świętą do Palestyny. Jest w nim coś z Piotra z Amiens, pustelnika, na którego głos zbroili się co żywo ludzie wszelkiego stanu i wieku; jest w nim »popęd zapалу i wiary, jaki był w apostołach wojen krzyżowych«¹⁾. Ma w sobie hart i ducha Zbigniewa Oleśnickiego, rojącego plany mocarne o wypędzeniu Turków z Europy. Gorliwy szermierz wiary, a równocześnie patrjota bez skazy, jak współczesny mu Piotr Skarga rozumny patrjota czynu. Marzy o podbojach krain rozległych aż do Archipelagu, o wyprawach krzyżowych, o zakonach rycerskich, o walkach z niewiernymi, o parę wieków jak gdyby zapóźno się urodził, to też męczy się i szarpie ten duch potężny wśród »moczygębów i wydmiukufłów«²⁾, którychby rad napróżno ze snu gnuśnego rozbudzić. Mistyczną wiarę posiada w swoje posłannictwo, w znaki cudowne, towarzyszące jego urodzeniu. »A gdy wychodził na świat, pisze o sobie, z żywota matki mojej, tedy był głos w szumie wielkim słyszany od domowników, na on czas pod jednym dachem będących, temi słowy: Daję go światu na pociechę chrześcijańską, a na hańbę pogańską, a iżby wykonywał wolę moją, daję mu krzyż za charakter i tarczę«³⁾.

Rusinem z pochodzenia był Józef Wereszczczyński, a Polakiem z kultury, z przekonań; biskupem na Rusi, ale biskupem katolickim i senatorem polskim, stąd połączył gorącą miłość Ukrainy z miłością całej Rzeczypospolitej, stąd spoił pragnienie ocalenia staroruskiej stolicy z pragnieniem ratowania świata chrześcijańsko-katolickiego od inwazji turecko-tatarskiej, stąd bolał nie tylko nad tem, że piękna, urodzajna Ukraina w pustynię bezludną jest obrócona, ale i nad tem, że Polska niedość potężna, by dzicz tatarską od najazdów powstrzymać, oraz, że chrześcijan tyle w niewoli nikczemnej u bisurmanów jęczy.

¹⁾ Stanisław Tarnowski. Pisarze polityczni XVI w. Kraków 1886 r. Tom II str. 91.

²⁾ Gościniec pewny niepomiernym moczygębom a obmierzłym wydmiukufłom świata tego, do prawdziwego obaczenia a zbytków swych pohamowania.

³⁾ Publica księdza Józefa Wereszczczyńskiego z Wereszczyna, z łaski bożej biskupa kijowskiego a opata sieciechowskiego, Ich. M. rzeczyposp. na sejmiki przez list objaśniona. Wyd. Turowskiego str. 16.

Pochodził Józef Wereszczyński z ziemi Chełmskiej ¹⁾ ze starożytnego ruskiego rodu, pieczętującego się herbem Korczak. Tam to znajdowało się rodowe gniazdo jego Wereszczyn. Dziad jego Fedor i babka Małgorzata z domu Sosnowska — oboje byli greckiej wiary. Małgorzata Wereszczyńska miała dwóch braci: jeden, Iwan, był dygnitarzem cerkwi greckiej, władką t. j. biskupem chełmskim; drugi, Grzegorz, przeszedł na religję katolicką, został księdzem i kanonikiem chełmskim. Kiedy Wereszczyńskim miało dziecię przyjść na świat, obydwaj kapłani przemysłiwali nad tem, jakby ubiec jeden drugiego i ochrzcić je według swojego obrządku. Księdzu katolickiemu udało się uprzedzić brata i skoro tylko się dowiedział, że siostra jego powiła syna, natychmiast pośpieszył ją odwiedzić, potajemnie wziął niemowlę z kolebki i ochrzcił je, nadawszy imię Andrzej. Spełniwszy tę czynność, wyjechał pośpiesznie, nie chcąc się narażać na gniew rodziców, a szczególnie brata władki. Tak ojciec naszego pisarza został ochrzczony według obrządku rzymsko-katolickiego. Istotnie wielki był gniew władki, oraz niezadowolenie rodziców, gdy się dowiedzieli o tej czynności ks. Grzegorza Sosnowskiego. Władka nie chciał znać siostrzeńca, ojciec go nie lubił, nazywając »biesowym lachem«, ale matce za trudno nie kochać własnego dziecięcia, zdawszy więc wszystko na wolę Bożą, uczyniła zadość obowiązkom macierzyńskim, piastowała, kołysała, żywiła, a gdy doszedł do lat ośmiu, przyjęła mu do nauki djaka cerkiewnego, aż wreszcie uprosiła władkę Iwana, by wziął go do siebie i pokierował dalszą jego nauką.

Spostrzegł się ks. kanonik, że nie dosyć było ochrzcić siostrzeńca według obrządku katolickiego, gdyż wychowanie zrobi z niego wyznawcę greckiej wiary. Jakoż potrafił pieśzcotami tak usposobić dla siebie małego Andrzeja, że ten uciekł od władki do swojego drugiego wuja, odtąd jednak tak ojciec, zagorzały Rusin, jakoteż i wuj, biskup grecki, widzieć na oczy go nie chcieli. Tymczasem Andrzej mieszkał teraz w Krasnymstawie u ks. Grzegorza, który nie szczędził starań, aby mu dać wychowanie jak najlepsze. Niewielkie młody Andrzej, późniejszy ojciec

¹⁾ Wizerunek na kształt kazania uczyniony, o wzgardzie śmierci i świata tego nędznego, a o chwale owego wdzięcznego a wiecznego królestwa niebieskiego. Kraków u And. Piotrkowczyka 1585, str. 103.

naszego biskupa, posiadał zdolności, ale za to chęć dużą do nauki, tak, że robił postępy dzięki usilnej pracy. Wuj pragnął, aby został księdzem, ale on, nie czując powołania do stanu kapłańskiego, ożenił się z trzynastoletnią Anną Jaworską herbu Rawicz, Polką, pochodzącą z ziemi radomskiej, synowicą biskupa poznańskiego Branickiego. Z tego to właśnie małżeństwa, prawdopodobnie w r. 1533 ¹⁾, urodził się Józef Wereszczyński.

Ojciec Józefa zdobył sławę wojenną pod Obertynem, majątek, urząd podsędka chełmskiego, a kiedy poratował groszem swoim podupadłą majątność ojcowską, załatwił procesy z sąsiadami i opieką otoczył ostatnie lata starego ojca, to przestał już być dla niego »biesowym Lachem«, a stał się dobrodziejem i pociechą w starości.

Jak widzimy, niezmiernie ciekawe i pouczające jest pochodzenie naszego pisarza, w podobny bowiem sposób polszczyły się inne ródziny rusko-szlacheckie, w ten sposób polszczyła się i spajała z Koroną Litwa i Ruś.

Powołanie duchowne władzyki Iwana Sosnowskiego, kanonika Grzegorza Sosnowskiego, oraz biskupa Branickiego przełało się na Józefa Wereszczyńskiego. Otrzymał wykształcenie w Krasnymstawie, w szkole przy kościele katedralnym, pod kierunkiem mistrza Michała Radrużyana, w młodocianym jeszcze wieku przyjął święcenia kapłańskie, i wkrótce zasłynął pobożnością, gorliwością kapłańską, a także i wymową kaznodziejską. W 1579 roku został kanonikiem kapituły chełmskiej, a w r. 1581 przez Benedyktynów w Sieciechowie został wyniesiony na godność opata, po dobrowolnem złożeniu tej godności przez ks. Kaspra Koźmieńskiego. Na tem stanowisku, jak świadczy Paprocki ²⁾, był »kapłanem dobrym a przykładnym, nie tylko że urzędowi swemu dosyć uczynił, każąc, nauczając, Panu Bogu pilno służąc, ale też i wiele ksiąg napisał«. Działalność jego w klasztorze sieciechowskim była bardzo ożywiona. Tak o niej pisze Klonowicz: »Na to opactwo drzwiami jako pasterz wstąpiwszy, to zacne spokojne i zdawna Bogu poświęcone miejsce (pochlebstwo na stronę) promujesz; już murami, już budowaniem szlach-

¹⁾ Storozhenko A. W. Małoizwiestnyja soczynienija kijewskawo biskupa Josifa Wereszczynskawo. Kijów 1845, str. 2.

²⁾ Bartosz Paprocki. Herby rycerstwa polskiego, str. 543.

cisz, malowaniem zdobisz, ołtarzami krasisz, municjami opatrzasz, o dobra klasztorne prawem czynisz, sumy swoje przez antecesorów swoje po kilka tysięcy złotych na dobra klasztorne wniesione, przez zapłacenie ich znosisz, czego są dobrym świadkiem dwie wsi, Szawłowice i Nasilów. Nie wspominam ozdoby krasnostawskiego kościoła, gdzie W. M. ku czci i chwale świętszej bożej, dał sprawić z dziewięćset złotych organy, tak i kilkaset złotych na reformowanie organ klasztoru swego nałożyć nie litowałś. Jakoteż i niezmierne prace i koszt przez wydanie ksiąg ponosisz¹⁾. Poświadcza to również i Paprocki. Wereszczczyński, jako opat sieciechowski »wiele pożytku klasztorowi onemu przyczynił, zawiedzione wsi od antecesorów swoich wyswobodził, klasztorą rządnie oparwił i zozdobił malowaniem, porządek wielki w kościele uczynił, w którym już był barzo wyniszczal dla niedbałych opatów, przodków jego. Uczonych ludzi wspomagał dosyć znacznie, był wstrzemięźliwym, więcej wody aniżeli piwa, a wino bardzo rzadko pijał, przyjaciela hojnie częstował, był to wszystkich chudych pacholków ojciec prawy i hojny chlebowdawca²⁾.

Tym sposobem, zostawszy opatem sieciechowskim, Józef Wereszczczyński natychmiast ujawnił swą czynną, energiczną i ruchliwą naturę. Ale działalność Wereszczczyńskiego w tym okresie nie miała jeszcze charakteru politycznego i głównym jego celem było dobro kościoła, klasztoru i podwładnych zakonników. Jeżeli Wereszczczyński wychodził poza te ramy, to tylko wtedy, gdy udzielał wsparcia poetom i uczonym, którymi lubił się otaczać, lub też zasilal pomocą pieniężną tak niezmiernie pożyteczną dla kraju uczelnię, jaką była akademja krakowska. Tak np. w 1588 r. czynsz, otrzymany od wójta Bary, w sumie sto złotych polskich odstąpił pocie Sebastjanowi Klonowiczowi. Już wtedy jednak uczynił coś poniekąd dla obrony kraju, więcej wszakże mając wówczas na myśli bezpieczeństwo klasztoru od ewentualnego napadu nieprzyjaciół; klasztor swój ufortyfikował na kształt zamku i bronią opatrzył³⁾. Przywiązany do rodu Jagiellońskiego, popierał Wereszczczyński słowem i pismem kandydaturę na tron polski

¹⁾ Wyjątek z Dedykacji Sebastjana Klonowicza, tłumaczenia reguły św. Benedykta ks. Józefowi Wereszczczyńskiemu. Wyd. Józefa Turowskiego, str. 179.

²⁾ Paprocki, jak wyżej.

³⁾ Storożenko, *Małoizwiestnyja soczynienija*, str. 12.

Zygmunta III, który zostawszy królem, wystarał się dla niego o nominację na biskupstwo kijowskie.

W roku więc 1589 został nasz pisarz zwierchnikiem diecezji kresowej i senatorem Rzeczypospolitej¹⁾ i to stanowisko dziesięć lat ostatnich życia swojego godnie piastował († 1599 r.). Teraz dopiero zetknął się Wereszczyński bezpośrednio z najżywotniejszymi sprawami swej ojczyzny obrony granic i kolonizacji olbrzymich wschodnio-południowych obszarów. Wereszczyński odrazu zorjentował się w sytuacji, duszą i sercem przylgnął do swojej diecezji i jak pierwaj był gorliwym opatem, tak teraz potrafił stać się nie tylko najprzykładniejszym pasterzem, lecz i jednym z najdzielniejszych senatorów Rzeczypospolitej, najbardziej dbałych i troskliwych o jej dobro. O ile twórczość jego literacka miała poprzednio charakter religijno-ascetyczny, o tyle teraz prawie wyłącznie prace polityczne wychodzą z pod jego pióra. Ten uczony kapłan-asceta umiał odrazu przekształcić się na męża stanu, a nawet dostawszy się na pogranicze, nawiedzane bezustannie przez Tatarów, wciągnąć się do życia wojennego, niemal obozowego. Z kozakami zaporoskimi pozostawał w jak najlepszej zgodzie i wielkim cieszył się u nich uznaniem. W zatargach z załogą zamku kijowskiego pośredniczył, o wymiar sprawiedliwości i nagrody krzywd dla nich się upominał; w liście do hetmana Zamojskiego, opisującym przebieg zajścia kozaków z załogą kijowską, tych pierwszych stronę trzymał. Od kozaków otrzymywał wieści o ruchach band i hord tatarskich w stepach²⁾. Gdyby więcej takich dygnitarzów kresowych miała Rzeczpospolita, nie doszłoby pewno do buntów kozackich; do wojny domowej i okropnych jej skutków.

Krew szlachetna rycerska po ojcu rycerzu z pod Obertyna płynęła w żyłach tego biskupa. Nieraz na czele najemnego wojska i kozaków nadwornych uganiał się po stepie za Tatarami³⁾. Raz, stanąwszy na czele 3000 rycerzy, odpędził od granic Rzeczypospolitej carzyka perekopskiego z całą jego hordą, za co ten

¹⁾ Hołowiński Ignacy ks., Kazania Józefa Wereszczyńskiego biskupa kijowskiego. Petersburg-Mohylew 1854, str. III.

²⁾ Listy Stanisława Żółkiewskiego 1584—1620 wydał T. L. dla miłośników języka i dziejów. W Kijowie 1868, str. 28—33, list nr. 18.

³⁾ Aleksander Zdanowicz. Rys dziejów literatury polskiej. Tom I, str. 478.

przysłał mu podartą i stratowaną książkę arabską, odgrazając się, że po ciele biskupa tak traktować będzie, ale odważny kapłan ani myślał uciekać i kryć się, lecz wysławszy list o pomoc do hetmana, postanowił z 2000 strzelców i z dziesięciu hakownicami stawieć czoło — kilkudziesięciotysięcznej, jak przypuszczał, hordzie. Na sztuce wojennej znał się doskonale. W liście, skierowanym do jakiejś osoby, stojącej blisko hetmana koronnego, daje rady ile piechoty, ile jazdy należy wysłać na pomoc kozakom do pobicia i zhołdowania hord tatarskich, gdzie wyprowadzić żywność i jakiego rodzaju, gdzie najprzód uderzyć wypadnie, czyli w krótkich żołnierskich słowach cały plan wojenny kreśli ¹⁾.

Oko miał bystre nasz biskup, nic nie uchodziło jego uwagi, cokolwiek się tylko działo czy to na Zaporozu, czy w dzikich polach, czy u Wielkiego Kniazia Moskiewskiego, i o wszystkim składał raporty odpowiednim władzom Rzeczypospolitej. Tak zawiadamia kanclerza Zamojskiego, że cesarz niemiecki za pośrednictwem wojewody krakowskiego i kniazia Bułgi obiecał kozakom wypłacać po 20 złot. polsk. i po suknie na konia pod warunkiem, że utrzymywać będą własnym kosztem 24 armaty polowe; pyta się Wereszczczyński, czy to z wiadomością hetmana i kanclerza zostało uczynione. Obawy biskupa były tutaj bardzo słuszne, a przezorność i gorliwość chwalebna. Cesarz Rudolf pobudzał wówczas darami i upominkami kozaków, pod zwierzchnim rządem Rzeczypospolitej będących, do najeżdżania prowincyj tureckich, powodując się bezwątpienia nadzieją, że gdy najazdy kozackie spowodują odwetowe tatarskie zagony do dzierżaw polskich, łatwiej będzie wciągnąć Polskę do wspólnej przeciw Turcji, a bynajmniej niepożądaney dla Rzeczypospolitej wojny ²⁾. Innym razem przestrzega Wereszczczyński panów koronnych przed niebezpieczeństwem od cara moskiewskiego, który dopuścił się niebываłego zuchwalstwa: na gruncie Rzeczypospolitej zamek własny obronny zbudował na Horodyszczu Marowiejskiem o trzynaście mil od Kijowa ³⁾.

¹⁾ List ks. Józefa Wereszczczyńskiego, Pisma polityczne Józefa Wereszczczyńskiego, wyd. Józefa Turowskiego, str. 183.

²⁾ Szmidt Henryk, Rokosz Zebrzydowski. Lwów 1858, str. 48.

³⁾ Publica ks. Józefa Wereszczczyńskiego. Wyd. J. Turowskiego, str. 2.

Umiał Wereszczyński nie tylko do cudzej ofiarności pukać, ale własny worek otworzyć na potrzeby ojczyzny, nie tylko nawoływać do obrony jej granic, ale sam obronę jej tworzyć. Oto własnym kosztem wybudował zamek warowny na tem miejscu, gdzie obecnie Fastów się mieści, otoczył rowami i wałami i nazwał Nowym Wereszczynem. Troszcząc się o zaludnienie Ukrainy, sam czynnie rękę do tego przykładał, kolonizując okolice Fastowa¹⁾. Pisarz połowy XVIII w. Orłowski, opierając się na Okólskim i Nakielskim, bardzo pięknie ale i trafnie charakteryzuje naszego działacza: twierdzi, iż był on »probitate, vitae sanctimonia maxime commendatus«, że był podporą Kościoła, ojcem ubogich, że był pasterzem, który z ogromną wiedzą umiał połączyć dobroć i łaskawość ludzką, w ciężkich i trudnych naukach wykazywał zadziwiający rozsądek, a w wysokich swych sądach — dojrzałą mądrość²⁾. To zdanie Orłowskiego, Okólskiego i Nakielskiego nie jest bezpodstawne. Józef Wereszczyński był istotnie podporą i filarem Kościoła na wschodzie, gdyż krzewił gorliwie wiarę katolicką nie tylko między chrześcijanami schizmatykami, ale i pomiędzy niewiernymi; pisał płomienny list do sułtana tureckiego, namawiając go, żeby chrzest przyjął, nawracał żydów; jeden neofita, ochrzczony przez niego, wydał odezwę do swoich byłych współwyznawców nawołującą, by przyjęli religję chrześcijańską, by zaprzestali czekać Mesjasza, który już przyszedł był na świat, Wereszczyński zaś to pismo wydrukował³⁾.

Oddany całkowicie swej powinności świętej, przedstawia Wereszczyński, jako biskup, wizerunek najgorliwszego pasterza: sam kazania mówił, sam uczył katechizmu prostaczków i dzieci, sam chorych do śmierci przygotowywał, słowem »był wszystkim dla wszystkich« jak wyraża się ks. Hołowiński. »Jego świętobliwość przez to samo, że była doskonała, nie miała w sobie nic surowego«⁴⁾. Tym sposobem zajmując się sprawami, które miały

¹⁾ Storozhenko, Małoizwiestnyja soczinienija etc., str. 20.

²⁾ Orłowski Karol Nepomucen ks. Defensia biskupstwa i diecezji kijowskiej rzetelnym opisaniem i przydatkami niektórymi dla niej potrzebnymi światu remonstrowana J. W. Najprzew. księdzu Samuelowi Janowi z Ossy Ozdze, Kijowskiemu i Czernichowskiemu Biskupowi. Lwów 1748, str. 91.

³⁾ Aleksander Zdanowicz, Rys dziejów literatury polskiej, Tom I, Wilno 1874, str. 480 i 481.

⁴⁾ Hołowiński, Kazania Józefa Wereszczyńskiego, str. III.

ważne państwowe znaczenie, budując w swych pismach projekty niezmierniej doniosłości politycznej, Weresczczyński nie zaniedbywał obowiązków swojego stanu duchownego i spełniał je w jak najszerszym pojętym zakresie.

Wiedzę posiadał nasz biskup, jak na owe czasy, istotnie niepospolitą. Znał doskonale literaturę ojczystą złotego wieku, szczególniej Mikołaja Reja i Marcina Bielskiego czytywał pilnie, znał doskonale filozofję i lubił cytatami z Platona i innych filozofów greckich i rzymskich się posługiwać, znał historję starożytną i średniowieczną, z której nieraz czerpał przykłady na potwierdzenie swych sądów. Już ta wiedza obszerna, to odwoływanie się do mądrości nie tylko pogańskich filozofów, ale nawet i pisarzy heretyckich dowodzi obszernego i niepospolitego umysłu. Nie tylko od kalwinisty polskiego Reja wiele przejmował nasz biskup ¹⁾, ale w »Kazaniu przy przyjmowaniu świętości małżeństwa« odwoływał się do zdań Marcina Lutra, ilekroć je zgodne być widział z przepisami Kościoła rzymsko-katolickiego, co dowodzi, jak słusznie twierdzi Maciejowski, że »nasz prałat nie był wcale uprzedzonym teologiem, chociaż nader gorliwym obrońcą religji i praw Kościoła katolickiego we wszystkich okazał się pismach« ²⁾. Nawet z naukami przyrodniczymi był stosownie do swego czasu obeznany, chociaż wyobrażenia jego pod tym względem były nieco przestarzałe. Znajdujemy oto u niego takie poglądy, jak Salamandra, fenix, struś karmiący się żelazem, jaskółki zimujące w wodzie, i t. p.

Wiele pisał, ale przez skromność niewiele drukował ³⁾. Dzieła jego o charakterze teologicznym posiadają wartość niepospolitą. Wydawca kazań Weresczczyńskiego, ks. biskup Ignacy Hołowiński, zalicza go do najlepszych naszych kaznodziejów, przypisując mu nawet pod pewnym względem wyższość nad innymi. »Skarga, według Hołowińskiego, przechodzi Weresczczyńskiego rzewnością i wymową, Białobrzęski większym i obszerniejszym wykładem, Karnkowski powagą opowiadania, uczoną metodą i traktowaniem rzeczy z wyższego poglądu, Wujek treściwością i obfitością uwag, spostrzeżeń i zastosowań w krótkich, jakby do medytacji słowach,

¹⁾ Ptaszycki S., Mikołaj Rej i ks. Józef Weresczczyński. Wilno 1880.

²⁾ Maciejowski, Piśmiennictwo polskie. T. II, Warszawa 1852, str. 409.

³⁾ Hołowiński, Kazania Weresczczyńskiego, str. XIII i IV.

ale Wereszczyński przechodzi wszystkich praktycznością zastosowania się do prostego ludu, mocą i wyrazistością dziwnie rodową w opisach. Kazania Wereszczyńskiego »są to nauki parafjalne, w każdym czasie równie przydatne, pełne prawdy i niepospolitego wdzięku, pełne łagodnego, a miłego pociągu, ożywione wszędzie ogniem, prawdziwym światłem gorliwości«¹⁾. Oprócz »Kazań albo ćwiczeń chrześcijańskich«, wydanych przez ks. Hołowińskiego, Wereszczyński pozostawił jeszcze inne pisma o charakterze moralno-religijnym, jakoto: »Gościniec pewny niepomiernym moczygębom, a obmierzłym wydmikuflom świata tego do prawdziwego obaczenia, a zbytków swych pohamowania, Kraków, u Andrzeja Piotrkowczyka 1585, »Reguła albo postępek dobrego życia króla każdego chrześcijańskiego«, Kraków u Andrzeja Piotrkowczyka, »Wizerunek nakształt kazania uczyniony o wzgardzie śmierci i świata tego nędznego«, Kraków u Andrzeja Piotrkowczyka 1585. Miały te pisma na celu szerzenie życia moralnego, powstrzymywanie od zbytków i nadużyte moralnych.

Tak oto w pierwszym dziele występuje nasz autor przeciw pijaństwu i obżarstwu, grasującemu w ówczesnem społeczeństwie szlacheckiem. Treścią drugiej rozprawy jest wystawienie próżności świata i nędzy doczesnego życia. W trzeciem dziele mieszczą się nauki moralne dla króla, roztrząsanie obowiązków jego stanu. Wszystkie te pisma świadczą o niepospolitym rozumie autora, wszędzie przemawia z tą wymową prostą i silną, jaką daje prawdziwa i wielka żarliwość, wszędzie je zdobi i ożywia spokojna moc przekonania i rzewna a głęboka pobożność. W sposób prosty i naturalny oddaje Wereszczyński swoje myśli, nie siłąc się na styl niezwykły, nie goniąc za poetycznością. Lecz najwięcej swego »zadziwiającego rozsądku«, »mira prudentia«, owej »w wysokich sądach dojrzałej mądrości«, »matura in arduis disjudicandis sapientia«, o której pisze Okolski, przez Orłowskiego cytowany, wykazał ksiądz biskup Wereszczyński w swoich pismach politycznych. Dotyczą one dwóch spraw ściśle się ze sobą wiążących: kolonizacji Ukrainy i obrony wschodnio-południowych granic Rzeczypospolitej. Z niemi w przyszłości zaznajomimy czytelników »Przeglądu«.

Edward Winkler.

¹⁾ Tamże, str. VII.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Jan Chrzeciel: Bolszewizm, jako zagłada wszelkich zdobyczy kulturalnych i co się właściwie kryje pod jego potworną maską. Kraków 1920, str. 170.

Od początku do końca czyta się tę broszurę z zapartym tchem, bez chęci przerywania lektury bodaj na chwilę. Ze wszystkich napisanych u nas broszur o bolszewizmie, ta jest bezwątpienia najbardziej fascynującą. Sprawia to nie tylko styl autora, który patosem, jakby przemawiał do obecnych tłumów, podnieca i rozciekawia wciąż czytelnika, ale i treść, która wyobraźnię napelnia obrazami takiego piekła, wobec jakiego pono błędnie piekło dantejskie. Mówi się sobie: jeśli połowa tego, co autor opowiada, jest prawdą, to zaiste ludzkość znalazła już na ziemi swoją gehennę. A jednak ma się żal do autora za pewne braki, które mogą bardzo zaszkodzić celowi broszury. Dlaczego nie wystąpił z odkrytą przyłbicą, lecz ukrył się pod kryptonimem? Czytelnik nie wątpi ani na chwilę, że broszurę mógł napisać tylko człowiek, który do wczoraj jeszcze przebywał w bolszewickim »raju« — tyle w niej kolorytu i soczystości lokalnej. Ale gdy zwraca się do czytelników ze słowami: »to stwierdza wam ten, co do wczoraj siedział im (bolszewikom) na karku, na wszystko patrzał lat kilka i myśli ich czytał dosłownie«; — gdy od czasu do czasu daje do zrozumienia, że miał dostęp do ukrytych sprężyn bolszewickiej polityki, czytelnicy gotowi zapytać się: kimże więc jest autor? nawróconym i pokutującym bolszewikiem wczorajszym, czy człowiekiem na tyle sprytnym, że potrafił wkraść się w konfidencję kół bolszewickich, nie dzielając ich zasad, — a wkraść się mógł chyba w każdym razie tylko oddając im jakieś usługi? Głównie ma żal czytelnik, dlaczego autor, malując barwnie piekło bolszewickie, nie cytuje oficjalnych dekrétów, które ten piekielny stan zaprowa-

dają, dlaczego wyraźniej nie wskazuje na źródła, z których ten czy ów zamysł tajny bolszewików wyczytał? A są tam takie zamysły, jak opanowanie całej ludności Rosji pod maską komunizmu i świadome jej rzucenie przez prowodyrów bolszewickich na pastwę nowego kapitalizmu (główna teza autora!), jak zamiar obwołania Lenina carem, jeśli inaczej nie da się uratować pozycji obecnych panów Rosji!! Chciałby czytelnik mieć jakiś dowód, że przytoczona tajna rozmowa Litwinowa z Lloyd Georgem, która z tego ostatniego miała uczynić aż członka honorowego bolszewickiej szajki najmitów kapitalizmu — nie jest mitem! Czytelnik religijny chciałby oprócz tego dowiedzieć się czegoś o stanie religijności ludu, o stosunkach kościelnych, czy kościoły i cerkwie jeszcze są czynne, czy lud do nich uczęszcza. Z tego niema nic poza paru ogólnikami. Uważnego czytelnika dziwią też nieco takie niedopatrzienia autora, jak zestawienie co do czasu złożenia broni przez pobite Niemcy z wysłaniem przez nie znanych zaplombowanych wagonów do Rosji, albo jak zapewnienie, że nazwiska menerów bolszewizmu to wszystko pseudonimy, właściwe bowiem ich nazwiska (nie wyłącza Lenina!) są inne — czysto niemieckie. Wszyscy oni mają to być »niemieccy bezwyznaniowi eks-żydzi«. Czyżby pochodzenia rzeczywistego, bliższego, wielu z nich nie znał autor, podający się za tak wtajemniczonego w sprawy bolszewickie? Te braki, których trudno za drobne usterki uważać, znacznie zaszkodzić mogą zaufaniu czytelników do autora może nawet w rzeczach, gdzie on bez żadnej przesady maluje rzeczywistość.

Ks. Jan Urban.

P. Pourrat: *La Spiritualité Chrétienne des Origines de l'Eglise au Moyen-Age*. Paris, księg. J. Gabaldy, wyd. 4, 1919, str. XII i 502.

Pisanie historii pobożności chrześcijańskiej nie należy do zadań łatwych. Trudność pochodzi z samego przedmiotu: pobożność to przede wszystkim niedostępny dla obserwatora wewnętrzny stosunek człowieka do Boga; można go czuć bezpośrednio tylko we własnej duszy, u innych wnioskować o nim jedynie z zewnętrznych jego objawów i form. Lecz i te zewnętrzne objawy i formy pobożności trudne są do uchwycenia dla historyka, gdyż zaledwie w małej mierze kryształizują się w pomnikach rzeczowych i piśmiennych, mogących służyć za materiał przy historycznym badaniu. Wreszcie trzeba wyodrębnić kształty wybitniejsze, w jakie pobożność chrześcijańska przybierała się w różnych czasach i jakie stanowią charakterystyczne znamię tej lub innej epoki, od form bardziej codziennych, bardziej stałych, będących wyrazem pewnego minimum wewnętrznego chrześcijańskiego życia.

Mimo tych trudności zabrał się do dzieła uczony francuski, przygotowany do tego przez doskonałą znajomość literatury patrystycznej i średniowiecznej, uczony przytem, który już w poprzednich

swych pracach, jak np. studjum o rozwoju nauki o sakramentach, dał dowody rozumienia tej ewolucji, jaka znamionuje naukę i praktykę Kościoła, co do istoty zawsze te same, w wyrazie swym wciąż do postępu i potrzeb czasu przystosowujące się.

Tom pierwszy zamierzonego na szerszą skalę dzieła doprowadza nas do progów właściwego średniowiecza (mniej więcej do 8 stulecia). Jak został przyjęty przez czytającą francuską publiczność — rzecz znamionująca jej gusta i zainteresowania — wnioskujemy z tego, że w przeciągu paru lat wyszedł już w czterech wydaniach.

Nie można powiedzieć, aby książka P. Pourrata odznaczała się jednolitością budowy: trudności, zaznaczone przez nas wyżej, wycisnęły i na niej swoje piętno. Tak np. chciał autor w rozdziale pierwszym przedstawić »naukę ascetyczną Jezusa i Apostołów«, oczywiście na podstawie pism Nowego Testamentu. W rzeczywistości zmuszony był dać zwizję, aż do suchości zwizję, szkic całej mądrości praktycznej chrześcijaństwa, obejmującej nie tylko objawy pobożności, ale podstawy wspólnej wszystkim wiernym etyki chrześcijańskiej. W rozdziale drugim już zacieśnia swój temat, malując interesujące najważniejsze praktyki nie ogółu chrześcijan, ale osób pobożniejszych — ascetów w okresie prześladowań. Tu czytelnik dowiadyuje się ciekawych szczegółów o rozszerzaniu się praktyki celibatu najpierw wśród osób w świecie żyjących, gdyż klasztorów w naszym pojęciu nie znała starożytność chrześcijańska. Rozdziały IV, VI, XI, XII, kreślą historję powstania i rozwoju życia zakonnego w Kościele, — mamy tu więc do czynienia z jednym prawdziwie dla historyka dostępnym objawem, raczej wykwitem pobożności chrześcijańskiej. Uzupełniają obraz rozdziały V, VIII, IX, X, streszczające naukę ascetyki i mistyki, — ale jakże już odbiegają swym charakterem od tamtych rozdziałów, analizując już nie życie chwycione w swej świeżości konkretnej, w obyczajach owych Pachomjuszów, Antonich, Bazylich, Kolumbanów, lecz doktryny często bardzo abstrakcyjne, bardzo głębokie, zapewne nie we wszystkich swych częściach jednakowo dla wszystkich dostępne, a przytem nie dla tego lub owego stanu, lecz znowu dla ogółu chrześcijan przeznaczone! Niech za przykład posłuży cały spór dogmatyczny św. Augustyna z pelagianizmem, a następnie rozwój doktryn augustjańskich. Mimo to i te rozdziały, wchodzące już w historję dogmatyki, są pouczające dla tych, którym ta dziedzina nie jest obcą zupełnie. Interesujące są też rozdziały, które nam opowiadają tak o prądach wewnętrznych, jak i zewnętrznych wpływach, co usiływały wypańczy zdrowy rozwój pobożności chrześcijańskiej, zwłaszcza o enkratyzmie i montanizmie — próbach zarażenia tejże pobożności zbytnim rygoryzmem, o błędach Helwidjusza, Jowinijana i innych, pragnących pobożność chrześcijańską skojarzyć z epikureizmem życia. Czytelnik z ciekawością się dowie, jak właściwie takie tendencje materialistyczne w życiu wpływały na powstawanie błędów dogmatycznych, np. uwłaczających czci Marji, jak

też z drugiej strony walka z temi błędami była zarazem obroną etyki chrześcijańskiej.

Książka Pourrata może być czytana z pożytkiem przez inteligencję świecką; dla kierowników dusz i konferencjonistów stanowi ona bogatą skarbnicę wskazówek. Zwłaszcza znajdzie się w niej przewodnika bezpiecznego po ascetycznej literaturze Ojców i starożytnych pisarzy Kościoła.

Ks. J. Urban.

Dr. Joseph Zahn: Einführung in die christliche Mystik. Zweite, vielfach umgearbeitete und ergänzte Auflage, Paderborn, Ferd. Schöningh, 1918, 8-o, XI + 642.

Książka powyższa nie należy już do najświeższych na księgarskich półkach, ale porusza taki temat, że zasługuje na omówienie, choćby nieco spóźnione. Pojawiają się bowiem u nas coraz częściej prace traktujące o mistyce wprost czy ubocznie. Dla ilustracji wystarczy przytoczyć oryginalną i śmiałą tezę Gąsiorowskiej, że pełne zrozumienie psychiki Towiańskiego osiągnie się dopiero wtenczas, kiedy się go zaliczy do typu świętych i mistyków katolickich. Na tę hipotezę pisze się i Pigoń. Warto więc zaznajomić się z wybitniejszymi dziełami o mistyce katolickiej, a do takich bezsprzecznie należy książka Zahna.

Różne są mistyki, a raczej mistycyzmy. To też już w przedmowie zaznacza autor, o jakiej mistyce jego książka traktuje. A czyni to w energicznych słowach: nie o tej mówić będzie, co zaprasza do fantazjowania i duchowej śpiączki, ani o tej, co się szołomi panteistycznymi marzeniami, ani wreszcie o tej, co zrywa z faktami historycznymi, oddala od Chrystusa i podkopuje wartość orzeczeń katolickich, lecz o mistyce, która czerpie swe życie z osoby Jezusa, z prawdy i łaski, którą zostawił w Kościele swoim.

Dzieło rozpada się na trzy księgi. Pierwsza z nich omawia zasadniczy charakter mistyki. Porusza w niej autor szereg kwestyj wstępnych, które służą do rozproszenia uprzedzeń i zarzutów, jakie podnoszono przeciw mistyce. Przedstawia następnie intelektualną stronę życia mistycznego, jego charakter kościelny i kreśli wreszcie ideał życiowy mistyki katolickiej. Krótkość miejsca nie pozwala choćby na sumaryczne streszczenie bogatego i nader instruktywnego materiału, jaki autor zamieścił w tej księdze. Ograniczymy się przeto do niektórych szczegółów.

Każdy, kto mistykę utożsamiał mniej więcej z dowolnymi rojeniami, które nie mają podstawy w rzeczywistości, lub z bezpłodnym marzycielstwem, albo też z pewnym rodzajem literackich pomysłów, może pięknych, ale dalekich od życia — przekonuje się z postępem czytania, że mistyka katolicka bynajmniej tem nie jest. Dalej, że nie ma ona nic wspólnego z dziwactwem umysłowym, które pomiata

zdrowym rozsądkiem, lekceważy dorobek rzetelnej nauki i nie liczy się z historycznym objawieniem, danem przez Chrystusa. Zarzuty te słuszne i to w wielkiej mierze, kiedy chodzi o mistycyzmy różnych sekt, grasujący dziś spirytyzm i okultyzm, są nieuzasadnione w odniesieniu do mistyki katolickiej. Ta bowiem nie czem innym jest, jak w szczególniejszy sposób spotęgowanem życiem religijnem. Jeśli zaś życie religijne już na niższych stopniach daje zdrowie moralne duszy, wyzwala ją z ciasnoty zmysłów, podnosząc do bożych wyżyn i wlewa w serca pokrzepienie i męstwo na trudy codzienne, to cóż powiedzieć o tych wyżynach, na których stoi mistyka. Nie pomiata też mistyka katolicka słusznymi prawami rozumu i nauki. Pewne zaś wyrażenia w pismach mistyków, nieco wzdurliwie dla zwyczajnego poznania, są raczej silnem stwierdzeniem, że wobec tej pełni światła, jaką się cieszą mistycy czasu kontemplacji, małe ogniki naturalnego poznania są bardzo blade.

Ktoby więc za typ mistyka katolickiego brał człowieka zupełnie oderwanego od świata, pogrążonego w głębokiej kontemplacji, zapatrzonego w zaświaty, a zupełnie pozbawionego wrażliwości na obecne życie i zainteresowania dla niego, tenby się dopuszczał dużej jednostronności. Prawdą jest, że dusza mistyka cała jest zwrócona ku owej najwyższej rzeczywistości, jaką jest Bóg, wobec której cała realność świata i życia, podpadającego pod zmysły, zaledwie na miano rzeczywistości zasługuje. Atoli ideałem mistyki nie jest kompletne izolowanie się od życia, ale najintensywniejsze przepojenie go wartościami religijnymi, a zwłaszcza żarliwą miłością Dobra Najwyższego. Stąd to wśród św. mistyków Kościoła katolickiego znajdujemy szereg ludzi o wysokiej inteligencji, uczonych w różnych zakresach wiedzy, ludzi czynu, inicjatywy, społecznych działaczy, których wpływy trwają po czasy obecne. Zresztą i ci ukryci w zaciszach klasztornych mistycy wywierali nieraz bardzo głęboki wpływ, — żeby wspomnieć św. Małgorzatę Alacoque.

Błąka się u nas po niektórych głowach mniej lub więcej świadome przekonanie, jakoby na entuzjazm religijny, rozżarzenie dusz, słowem na pełne, głębokie a gorące życie religijne nie było miejsca w Kościele. Jego formalizm, obrzędowość, hierarchja tłumić ma to wszystko w zarodku. Tymczasem autor szeregiem historycznych faktów stwierdził coś wręcz przeciwnego. Najbogatsze w wewnętrzne życie religijne jednostki, tacy mistycy jak Franciszek z Asyżu, Teresa, Jan od Krzyża, Tauler, Suso, Ruysbroek, byli właśnie dlatego takimi, że prawdę i łaskę, którą Chrystus zostawił Kościołowi, czyniły życiowem dziedzictwem i ukochaniem swoim. Prawdziwy mistyk stoi silnie na gruncie dogmatów Kościoła i czerpie łaskę z Sakramentów św. i stąd jego żywy, serdeczny udział w liturgicznym życiu kościelnem. Kościół popiera i pielęgnuje życie mistyczne, ale i czuwa nad jego czystością, bo nic łatwiejszego, jak zabląkać się i ulec iluzjom na tych wyżynach ducha.

Druga księga traktuje o stopniach życia mistycznego i jego końcowem wydосkonaleniu, czyli o życiu modlitwy. Przechodzi autor wszystkie jej rodzaje, poczynając od zwykłej prośby aż do najwyższej kontemplacji wlanej. Pełnemi garściami rozrzuca wiele trafnych uwag o stosunku zwykłej pobożności i doskonałości do mistycznego zjednoczenia się z Bogiem. Na szczególne uwzględnienie zasługuje wewnętrzne powiązanie wszystkich etapów życia duchownego w jednolitą całość. Nie nagłe przeskoki, lecz harmonijne wznoszenie się ku górze — oto prawo, które i w ewolucji pobożności ma zwykle zastosowanie.

W określeniu kontemplacji wlanej, która jest zasadniczym pierwiastkiem mistycznego życia, idzie autor za Suarezem. Na pytanie: czy można wysłużyć sobie stany mistyczne, słusznie odpowiada, że zwykle zachodzi dość silny paralelizm między wewnętrznym wydосkonaleniem się a stopniami życia mistycznego. Nie znaczy to jednak, jakoby pewien stopień doskonałości wymagał *connaturaliter* łask mistycznych, bo te zawsze pozostają szczególnym darem Boga, zależnym zupełnie od jego woli.

Wielu mistyków akcentuje silnie pewnego rodzaju ustanie działalności władz duszy zwłaszcza na wyższych stopniach kontemplacji. Trafne są wywody autora, w których udowadnia, że w prawdziwych stanach mistycznych niemożliwa jest zupełna bierność duszy, zaprzestanie wszelkiego działania, gdyż byłoby to próżniactwem i moralnem unicestwieniem, w jakie popadł potępiony przez Kościół kwietyzm. Wyrażenia takie, jak kontemplacja włana, bierna, cisza wewnętrzna i t. d., oznaczają naprzód wielką przewagę działania bożego nad pracą rozumu i woli tak, że zdaje się ona zanikać, powtórę oznaczają ogromne uproszczenie aktów duszy. Przemieniają się one w pewnego rodzaju stany pełne słodkiego spokoju. Otóż to silne działanie boże w czasie kontemplacji, które góruje i opanowuje zupełnie działanie duszy i pewna niezmienność, stałość w trwania aktów rozumu i woli, wywołują wrażenie, jakoby zagasła naturalna ich działalność.

Jak zwykłą doskonałość chrześcijańską ujęto w pewne stopnie, tak też i w bogatym życiu mistycznym zaczęto je wyróżniać. Panuje tutaj wielka rozmaitość, niektórzy stawiają po kilkanaście, lub kilkadziesiąt nawet stopni mistycznych. Autor, wykazując bezpodstawność takiego szatkowania, oświadcza się za ich zredukowaniem. Sprowadzenie jednak całego obszaru mistyki do dwu stopni jest dość dowolne i mało przydatne tak dla samych kontemplatyków, jak i dla kierowników. Bardziej uzasadniony i praktyczniejszy wydaje się nam podział Poulaina na cztery stopnie.

Życie mistyczne w najwyższych swoich stanach uchodzi za najdoskonalsze zjednoczenie duszy z Bogiem, jaką można tu na ziemi osiągnąć. Kteby jednak uważał tę doskonałość za bezwzględna, nie pozostawiającą już miejsca dla dalszego postępu, zgutowałby grób

życiu mistycznemu, pchnąłby je bowiem w martwość kwietyzmu. Autor wykazuje, że ta doskonałość jest względna, zdolną do ciągłego postępu. Dużo praktyczności zawierają wskazówki, jak się zachować podczas doświadczeń i pociech życia mistycznego.

W trzeciej księdze omawia autor nadzwyczajne zjawiska mistyki, jak znajomość serc, dar uzdrawiania, stygmaty, ekstazy, wizje, objawienia. Idąc za św. Janem od Krzyża i wybitniejszymi teoretykami, zalicza je do drugorzędnych czynników życia mistycznego. Poddaje je naprzód zasadniczej ocenie, zastanawia się nad ich możliwością i stosownością, przeciwstawia im pseudo- i antymistyczne zjawiska, jak okultyzm, spirytyzm i t. zw. »djabelską mistykę«. Omawiając ekstazy, wizje i objawienia, częste w życiu mistyków, uwzględnia najświeższe wyniki psychologii. Przestrzega z jednej strony przed aprioryzmem, który nie tylko rzeczywistość ale i możliwość tych zjawisk wyklucza, przestrzega jednak i przed zbytnią łatwowiernością w ich nadprzyrodzone pochodzenie. Cytuje dość liczne przykłady, w których objawienia okazały się błędne, a zachwyty psychicznymi zboczeniami. Tak np. Katarzyna Emerich otrzymała pouczenie w jednym z widzeń, że w objawieniach Marji Agredy znajdują się błędy, ta zaś poczytuje za grzech każdemu, kto by w jej objawienia nie wierzył. Dodajmy, że to nawet przeciwne nauce Kościoła, który tylko publiczne objawienie nakazuje przyjąć pod grzechem, zaś względem prywatnych zostawia podobną swobodę, jaką się ma w przyjęciu czy odrzuceniu faktów historycznych.

Oto bardzo pobieżny przegląd książki, która rzeczywiście jest bardzo pouczającą. Cechuje ją ścisłość naukowa, która bada zjawiska dokładnie i niemilosierdzie odcina wszelkie zapędy w stronę cudowności, ilekroć się okażą nieuzasadnionymi. Wywody autora cechuje duża oględność i trzeźwość sądu. Gdzie jednak tłumaczenie naturalne nie wystarcza, tam autor nie waha się silnie zaakcentować interwencji łaski mistycznej. A czyni to z pewnem ciepłem i namaszczeniem, tak, że jego książka nie tylko kształci, ale i pobudza do dążenia na wyżyny życia wewnętrznego.

Ks. J. Andrasz.

O. A. Gratry: *Credo w rozważaniu filozoficznym*. Poznań, księgarnia św. Wojciecha, 8-o, str. 189.

Są książki, które rozjaśniają duszę, jak słońce rozjaśnia oblicze ziemi, ale przez gęste chmury — to jest z pewnym trudem, wysiłkiem i bez dostatecznej wyrazistości. Dzieje się to dlatego, że prawdy w tych książkach zawarte przedzierają się również z trudem do umysłu czytającego poprzez splątany styl, który nie jest dość lekki i przejrzysty, by pozwolił swobodnie działać treści na duszę, albo też dlatego, że psychika autora jest bardzo niewspółmierna z psychiką odbiorcy.

Nic z tego nie można zarzucić książce O. Gratry'ego. Styl jego to najwyżej lekki obłok, który z łatwością przepuszcza światło, a na psychice autora znać głębokie wczucie się w »duszę człowieka społecznego, nerwową, lękliwą, dla której światło prawdy musi mieć ciepło, by ją do siebie pociągnąć«.

To też, kiedy się czyta jego *Credo*, prawdy w niem zawarte zdają się same przez się wlewać w duszę, w sposób tak miły, ujmujący, często radosny, jak radosne jest to słońce wiosenne, które wszad usuwa martwość zimy, a nieci nowe życie. A im dalej zagłębia się człowiek w treść, tem większe zdziwienie go ogarnia, że to, co tylekroć słyszał — niestety nazbyt często w formie suchej — ma tyle w sobie piękna niespodziewanego i tak, doskonale harmonizuje z szlachetną naturą człowieka, choć ją wznosi niezmiernie wyżej ponad te widnokreśli, które zwykle roztacza przed nim nowożytna kultura.

Credo jest bowiem wykładem zasadniczych dogmatów, które zlewają się u autora w jeden pogląd katolicki na wszechświat. Pogląd niezmiernie rozległy, bo obejmujący nie tylko teraźniejszość, ale i przyszłość zakrytą — i niezmiernie zarazem głęboki, bo pod boskim kątem widzenia ujęty.

W siedmiu rozmowach między inteligentem świeckim a O. Gratry przesuwają się następujące tematy: I. Wiara. — Bóg. — Stwórca, II. Wcielenie. — Bóstwo Jezusa Chrystusa, III. Trójca św., IV. Odkupienie, V. Kościół, VI. Sakramenty. — Łaska, VII. Życie wieczne.

Rozmowy prowadzone są nie tyle w tonie polemizującym, ile raczej wyjaśniającym. Autor nie chce burzyć wprost stosu zarzutów, który się nagromadził przez wieki przeciwko Kościołowi i jego nauce, a który się składa prawie w całości z fałszu, uprzedzeń, a nade wszystko z ignorancji tego, co Kościół rzeczywiście naucza. Stos sam się rozpada i to na skutek prostego wyjaśnienia nauki Kościoła. W ciągu lektury czuje się, jak raz w raz pryskają trudności, nikną wątpliwości nie tylko w duszy fikcyjnego interlokutora, ale i w umyśle rzeczywistego czytelnika.

Nie uchyla się autor przed żadną trudnością, jaka nękać może umysł nowoczesny w stosunku do Kościoła i jego nauki. Począwszy od zdawkowego zarzutu inkwizycji, której naturę i nadużycia świetnie tłumaczy, a skończywszy na bardzo metafizycznych — odnośnie do Trójcy św. i tak specjalnie szkolnych, jak rozwój dogmatów — przed żadnym się nie cofa.

Rezultat, jaki się rodzi w umyśle po przeczytaniu tej książki, to wspaniały obraz ekonomji bożej względem swego stworzenia — wspaniały ale jakas wielkością, rozmachem, głębią i serdecznością, która nie z tej ziemi pochodzi. Obrazem takim chyba tylko Kościół katolicki pochlubić się może. Inny rezultat to jakiś tłoczący serce smutek, że na studjum błahych drobiazgów łoży się tyle wysiłku

i czasu, a koło tego, co jedynie wielkie i ważne, przechodzą nie tylko tłumy, ale i głowy oświecone z dziwną obojętnością, zapatrzone w dół.

O przekładzie można spokojnie powiedzieć, że w wysokiej mierze dostroił się do »swobodnego, a zarazem przedziwnie miękkiego tonu mowy O. Gratry'ego«.

Za książkę niniejszą powinny chwycić przede wszystkim te duże inteligentne, u których jasny pogląd katolicki na życie, wieczność i na Boga zagasł, lub został zmacony, mniejsza z tem czy wskutek wątpliwości teoretycznych, czy praktyki niezgodnej z wiarą. Jedni i drudzy znajdują w niej serdecznego przyjaciela i przewodnika ku Temu, ku któremu ostatecznie zmierza każda istota.

Ks. J. Andrasz.

Dr. Jakób Hoffmann: Der katholische Akademiker und die neue Zeit. Freiburg, 1920, str. VIII + 117.

Przyczyna klęski, poniesionej w wojnie światowej, tkwi między innymi także w materialistycznej kulturze, którą tak się chełpili Niemcy, przekonani, że do nich należy przodować całemu światu. Wypowiedziawszy gorzką tę prawdę, stwierdza autor, że odbudowę ojczyzny trzeba rozpocząć od podstaw, a praca ta, jako wymagająca szczególniejszego wyężenia sił i hartu woli, jest w pierwszym rzędzie obowiązkiem młodzieży, zwłaszcza akademickiej.

Do niej więc, i to do katolickiej, zwraca się z wezwaniem do dzieła, wskazuje na wielkie posłannictwo, jakie ma do spełnienia i podaje cenne wskazówki, które rozwija szerzej w tej książce. Przede wszystkim żąda, aby wyrobili się na ludzi charakteru i w tym celu oparli się na zdrowym poglądzie na świat, jaki im daje wiara i nauka. Wtedy nie poprzestaną tylko na teoretycznem uznaniu prawd religijno-moralnych, ale wcielą je w czyn na każdym polu, względem siebie i drugih, w pracy, w zabawie i stowarzyszeniach, oraz w sumiennem przestrzeganiu wszystkich przepisów kościelnych i praktyk religijnych. Raz obrawszy sobie zawód, trzeba wytrwale i konsekwentnie dążyć do zdobycia go, nie zaniedbywać jednak przytem ogólnego kształcenia się i pracy na polu społecznem i politycznem, rozumie się na gruncie ściśle katolickim. Okres studjów uniwersyteckich jest wreszcie chwilą sposobną do namyslenia się i rozpoczęcia przygotowań nad założeniem przyszłego ogniska domowego, co autor uważa za szczególne wskazane w dzisiejszych czasach, w których wielu usuwa się od małżeństwa jedynie dla niskiego egoizmu i chęci użycia.

Książka ta, treściwa a jednak jasna i przejrzysta, będzie prawdziwą pomocą i zachętą dla religijnie wychowanego abiturjenta i akademika. Znać, że ułożył ją długoletni praktyk i doświadczony w pracy nad młodzieżą pisarz.

Ks. St. Podoleński.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Dr. Otto Schilling: *Der wirkliche Eigentumsbegriff*. Herder, Fryburg, 1920, str. 73.

»Biblioteka narodowa«, wyd. krakowskiej Spółki wydawniczej:

Nr. 9: A. Feliński: *Barbara Radziwiłłówna*. Oprac. M. Szykowski, str. 104.

Nr. 10: K. Brodziński: *O klasyczności i romantyczności*. Oprac. J. Kallenbach, str. 150.

Nr. 11: A. Mickiewicz: *Dziady wileńskie*. Opracował J. Kallenbach, str. 150.

Nr. 12: St. Żółkiewski: *Pamiętniki o wojnie moskiewskiej*. Oprac. W. Sobieski, str. 124.

Nr. 15: M. Kopernik: *Wybór pism*. W przekładzie polskim, opracował L. Birkenmajer, str. 144.

Nr. 16: J. Słowacki: *Lilla Weneda*. Opracował Dr. M. Janik, str. 147.

Jansen-Henze: *Der h. Alfons M. Liguori und die Gesellschaft Jesu*. Herder, Fryburg, 1920, str. 108.

Chr. Pesch: *Unser bester Freund. Erwägungen für den Herz-Jesu-Monat*. Herder, Fryburg, str. 323.

Dr. Karl Rieder: *Frohe Botschaft in der Dorfkirche. Homilien*. Herder, Fryburg, str. 277.

Dr. Wiktor Hahn: *Stanisław Żółkiewski w poezji polskiej*. Nakł. księg. św. Wojciecha, str. 80.

Dr. St. Szymonowicz: *W miesiąc po angielsku*. Nakł. księg. św. Wojciecha, str. 94.

Jan Sitowski: *Dwory i dworki w Sądeckiem w XIX w.* Mordarka, 1920, str. 22.

Tad. Karyłowski: *Sonety z Tatr*. Kraków, 1920, str. 40.

Ks. Jan Nuckowski T. J.: *Początki logiki ogólnej dla szkół*. Wyd. 3. Kraków-Warszawa J. Czernecki, Lwów St. Rehman, 1920, str. 124.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nuncjatura papieska w Szwajcarii. — Ruch wśród katolików czeskich. —
Polska placówka misyjna w Rodezji.

Stwierdziliśmy już raz na tem miejscu, że zawiodły rachuby tych, co przepowiadali rychłe usunięcie Stolicy Apostolskiej z widowni międzynarodowych stosunków. Stało się inaczej: nie tylko że wojna światowa nie rozłaziła stosunków urzędowych z Watykanem w tych państwach, gdzie one istniały, ale odczuto potrzebę nawiązania podobnych stosunków tam, gdzie ich przedtem wcale nie było lub zerwane zostały. Nowe niezależne państwa Polska, Czechy, Jugosławja, Węgry, wchodzą w porozumienie ze Stolicą św. i przyjmują ustanowienie u siebie papieskich nuncjatur; wiele akatolickich krajów śle do Rzymu przynajmniej nadzwyczajne misje, a u siebie gości przysyłanych przez papieża wizytatorów. Francja, której obóz niewierzący za największą sobie poczytywał zasługę zupełne zeświecczenie publicznego życia i zerwanie stosunków z Rzymem, widzi się zniewoloną już choćby interesami swej polityki do odrobienia błędu niedawnej przeszłości i gotuje się do wznowienia swej ambasady przy Watykanie.

Co we Francji musi jeszcze walczyć z oporem kół, których jakobiński honor czuje się upokorzonym drogą do Kanossy, to przechodzi zupełnie gładko w sąsiedniej Szwajcarii. Kraj ten, uważany za ojczyznę wszelkich wolności, dał się w ciągu ubie-

głego stulecia mocno we znaki Kościołowi katolickiemu. Związek miniaturowych kantonów o szerokiej samodzielności nawet w zakresie prawodawstwa, mozaika języków i wyznań, stała się Szwajcarja jakby polem doświadczalnym dla wrogich katolicyzmowi pomysłów. W jednych kantonach panoszyła się nietolerancja większości protestanckiej, w drugich — »liberalizm« kół rządzących usiłował wtłoczyć w biurokratyczne formy całe życie kościelne. Ograniczano więc prawa biskupów, wtrącano się do wewnętrznych spraw Kościoła, kasowano zakony i instytucje wychowawcze katolickie. Po Soborze Watykańskim wzięto urzędowo w opiekę tę garstkę duchowieństwa, która nie chciała uznać nieomyślności papieskiej; klerowi w tym duchu usiłowano narzucić w r. 1873 w niektórych kantonach nowe przepisy o obieralności przez parafjan, a kiedy ogół duchowieństwa wraz z biskupami oparł się tym zamachom, dziesiątki księży wyrzucono z parafij, powierzając je posprowadzanym z różnych stron »starokatolikom«. Ludność wierna Kościołowi pozostała bez świątyń i pasterzy. Niebawem, w r. 1874 opiekę nad »starokatolicyzmem«, pozbawionym prawie całkowicie wyznawców, posunięto do tego stopnia, że uczyniono zeń Kościół narodowy szwajcarski, pod mianem chrześcijańsko-katolickiego, obdarzając go nawet wydziałem teologicznym w Bernie i oddając mu najważniejsze świątynie. Oczywiście, że Rzym przez swego nuncjusza w Bernie musiał protestować przeciwko tym rażącym niesprawiedliwościom i zachęcać biskupów do wytrwałej walki z radykalizmem. Poczytano mu to za winę; zerwano stosunki dyplomatyczne ze Stolicą św., i ostatni nuncjusz, Mgr. Agnozzi, 23 stycznia 1874 r. opuścił Berno.

Kulturkampf szwajcarski oczywiście nie złamał stałości przedstawicieli Kościoła, skoro nie zdołał dopiąć tego nawet tak potężny kulturkampf bismarkowski w Niemczech; przeciwnie w ogniu prześladowania bardziej zwały się i umocniły szeregi katolickie. Stąd już około 1884 r. znacznie pofolgowano w walce z Kościołem i osiągnięto w umowie z Leonem XIII pewien *modus vivendi*, znośny dla katolików. Nie przywrócono wszakże nuncjatury papieskiej, upatrując w niej niebezpieczeństwo dla suwerenności szwajcarskiego narodu. Życie wszakże zrobiło swoje. Radykalny liberalizm bankrutował coraz bardziej w Szwajcarji; natomiast podnosił głowę socjalizm. Wtedy zrozumiano w Szwajcarji znaczenie papieństwa i katolicyzmu, jako czynnika i ostoji społecz-

nego ładu. Starokatolicyzm też zdażył udowodnić, że był tworem sztucznym, bez szerszych podstaw w ludzie. Katolicyzm wzmacniał się stale nawet liczebnie i w r. 1910 osiągnął cyfry 1,600.000 wyznawców, co stanowi 42% ogółu ludności. Coraz to więcej i poważniej należało się z nim liczyć. Podczas wojny światowej Szwajcaria, dzięki swej ścisłej neutralności i środkowemu między walczącymi stronami położeniu, okazała się najwygodniejszym punktem do akcji, łagodzącej skutki wojny; zrozumiała też to swoje posłannictwo, a pełniąc je spotkała się z podobną działalnością Benedykta XV. Okazała się potrzeba bliższych z Watykanem stosunków i przedstawiciel Stolicy św. półoficjalnie przebywał już i znosił się z władzami na gruncie Szwajcarii. Kraj, w którym zabronioną była wszelka działalność Jezuitów, gościł u siebie generała tegoż zakonu, który musiał opuścić chwilowo Rzym. Te wszystkie precedensy przekonały czynniki kierujące w Szwajcarii, że bliższe stosunki ze Stolicą św. nie tylko nie kryją w sobie żadnego niebezpieczeństwa dla kraju, ale owszem są pożądane i pożyteczne jak dla religii, tak i dla państwa.

I dlatego 20 czerwca r. b. Rada Związkowa Szwajcarii uchwaliła podjąć urzędowe dyplomatyczne stosunki z Watykanem, wysyłając swego przedstawiciela do Rzymu i przywracając nuncjaturę papieską w Bernie. Uchwała ta, przygotowana zapewne przez półurzędowe porozumienie się stron obu, przysłała wszakże tak niespodzianie, bez żadnej zapowiedzi, bez uprzedniej polemiki w prasie, że podziwiać należy dyskrecję najwyższej szwajcarskiej władzy wykonawczej. Nie spotkała się też z żadną poważniejszą krytyką; parę nieśmiałych protestanckich zgrzytów utonęło w harmonji powszechnego uznania dla celowości uchwały. Pierwszym nuncjuszem w Bernie zamianowany już został przez Ojca św. Mgr. Mağlione, który dotąd sprawował w tym kraju nadzwyczajną papieską misję. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Rzymem przez Radę Związkową katolicy szwajcarscy przyjęli z wdzięcznością, witając w niej początek nowej ery w rozkwicie Kościoła. Jednocześnie z tem założył Ojciec św. kolegium szwajcarskie w Rzymie, by ułatwić wychowanie kleru w stolicy chrześcijaństwa.

Kiedy w jednych krajach zaciera się ślady przebytej niesławnej walki z Kościołem, w innych, politycznie młodszych

i, mniej wytrawnych, walka taka jest przygotowywaną jakby na stwierdzenie, że więcej ludzie uczą się z własnych zawodów niż z cudzych doświadczeń. W republice czeskiej formuje się front bojowy przeciw Kościołowi. Stanęli w nim ramię przy ramieniu radykali z »Wolnej Myslénki« i husytyzmem owiany odłam kleru, międzynarodowi socjaliści i ultra-narodowi demokraci. Co, zdawałoby się, powinno stać dalej od sporów teologicznych, jak związki sportowo-gimnastyczne? A oto całe czeskie sokolstwo na tegorocznym swym zlocie w lipcu oświadcza się za wojnę z katolicyzmem. »Po zrzućeniu jarzma rakuskiego, musimy rzucić jarzmo Rzymu!« głosi rozkaz dzienny dowództwa tych nad-patrjotów. Socjaliści przez ręce swego posła Bartoszką wnoszą do izby poselskiej projekt rozdziału Kościoła od państwa, który w gruncie rzeczy jest projektem rozdziału między religią a życiem. Wyeliminować doszczętnie Boga z życia publicznego, ze szkoły, zatrzeć nawet ślady chrystjanizmu przez usunięcie krzyżów z miejsc publicznych, obedrzeć kler ze środków utrzymania i pozbawić go najistotniejszych praw obywatelskich, a nad zapędzonym w głąb murów świątyni kultem rozciągnąć wszakże drobiazgową rządową kontrolę — oto treść owego projektowanego tak zwanego »rozdziału« Kościoła od państwa. Dzienniki nasze notowały nam też dwa przemówienia znamienne: jedno ustępującego ministra Habermána, który poczytuje sobie za zasługę, że przygotował warunki do przeprowadzenia rozdziału, drugie samego prezydenta rzeczypospolitej do nuncjusza Mgra Micary, w którym Masaryk również rychły rozdział zapowiada, dodając, że leży on nawet w interesie samej religii.

Dzienniki nasze dorzuciły też wiadomość, że na rozdział Kościoła od państwa w Czechach jakoby zgadzał się sam papież, byleby nad tą kwestją nie dyskutowano w parlamencie. Otrzymując wiadomości dopiero via Paryż lub Londyn o tem, co się dzieje u naszych sąsiadów, nie wiemy na razie, ile jest prawdy w tych doniesieniach prasy. Wiadomo, że jak są rozmaite rodzaje »związku« między Kościołem a państwem, nawet takie, gdzie Kościół staje się niewolniczym narzędziem opiekującego się nim państwa, tak mogą też być różne formy »separacji«, takie nawet, które na dobre Kościołowi wyjdą. Nie jest więc wykluczonem, że na pewien system rozdziału mógłby w zasadzie zgodzić się i Rzym, i rozdział taki nie wykluczałby nawet utrzymy-

wania stałych dyplomatycznych stosunków między danym rządem a Stolicą św., jak to widzimy na przykładzie Belgji. Można wszakże z całą pewnością powiedzieć, że rozdział taki, jaki projektują Bartoszek i jego towarzysze, spotkałby się musiał z kategorycznem potępieniem Rzymu i przejść w ostrą walkę religijną na miejscu.

Czy do walki takiej dojdzie, jeszcze nie wiemy. Pociuszającą jest wszakże rzeczą, że gotują się do niej i katolicy. Odbyty w ostatnich dniach lipca w Pradze, prawie równocześnie ze zlotem radykalnego sokolstwa, kongres katolików czeskich był właśnie rewją sił gotowych do możliwej niedalekiej batalji o wolność Kościoła. Pochód kilkudziesięciu tysięcy wiernych ulicami Pragi musiał dać liberałom i socjalistom dużo do myślenia. Kongres, stwierdziwszy swą lojalność względem rzeczypospolitej, zaproteutował przeciwko wszelkim zamysłom walki z religją i Kościołem, w szczególności potępił projekt Bartoszka i zapowiedział ostry przeciwko niemu sprzeciw ze strony katolików, napiętnował wreszcie stanowisko czynników rządowych, otaczających opieką księży apostatów na przywłaszczanych przez nich placówkach katolickich. Katolicy czescy nie zadawalniali się przytem protestami i pochodami, lecz pospiesznie skupiają się w zwarte szeregi. Zwłaszcza postępuje organizowanie młodzieży katolickiej tak w samych Czechach, jak na Morawach i Słowaczynie. Przeciwno zarażonemu niewiarą sokolstwu organizuje się związek gimnastyczno-sportowy »Orłów«, liczący już 40 tysięcy członków obojej płci, a wyraźnie zaznaczający swoje katolickie przekonania. »Stowarzyszenie młodzieży katolickiej«, założone dopiero przed dwoma laty, dosięga cyfry 17 tysięcy i wydaje własne pismo w 10 tysiącach egzemplarzy. Organizuje się podobnie osobno i nauczycielstwo katolickie i inne zawody. Ten ruch organizacyjny napędlą, że katolicyzm czeski, choćby mu walkę kulturalną narzucono, nie pozwoli się w niej zgnębić, lecz, jak już tyle razy historia stwierdziła, wyjdzie z niej zwycięski i oczyszczony z elementów marnych i obojętnych. Każda taka walka jest owem ewangelicznem wiejadłem w ręku Gospodarza świata, którem oddziela On plewy od pszenicy.

18 września zegnano w kolegium księży Jezuitów w Krakowie gromadkę misjonarzy, udających się do Afryki.

Gdzieindziej, np. we Francji, chociaż podobne wyjazdy są na porządku dziennym, wszakże pożegnania misjonarzy odbywają się zwykle z większą uroczystością i przy udziale szerszych kół wiernych. U nas pożegnanie miało charakter ściśle domowy. Poczytujemy je wszakże za fakt ogólniejszego znaczenia, zasługujący na wzmiankę w »Sprawach Kościoła«.

Ojczyzna nasza nie wielki brała udział w ewangelizacji zamorskich krajów. Od czasu do czasu trafiały się powołania misyjne wśród polskich kapłanów, należących do różnych reguł zakonnych; tacy musieli przyłączać się do jednej z zagranicznych misyjnych drużyn i pracować niejako na cudze dobro. Misji wśród pogan, któraby była utrzymywaną i obsługiwaną przez Polaków, do niedawna nie posiadaliśmy wcale. Taką placówkę i to w Afryce południowej zawdzięczamy dopiero — kto by to pomyślał? — rewolucji portugalskiej. Stało się to tak. W Zambezie, należącej do Portugalji, pracowało wśród murzynów kilku Jezuitów prowincji galicyjskiej, oddanych wszakże pod zwierzchność władz kościelnych portugalskich. Kiedy pod koniec 1910 r. wybuchła rewolucja w Lizbonie i Jezuitci zostali wypędzeni z granic nowej republiki, musieli i misjonarze zambescy opuścić z bólem serca swych czarnych pupilów i szukać nowych placówek dla swej apostołskiej gorliwości. Nie było potrzeby daleko ich szukać, bo oto północna część Zambezy, zwana także Rodezją, a należąca do posiadłości angielskich, przedstawiała ziemię dziewiczą, nie tkniętą misjonarskim pługiem. Uzyskawszy więc pozwolenie od rządu angielskiego, osiedlili się w Rodezji w latach 1910 i 1911 nasi polscy misjonarze, podczas gdy ich portugalscy bracia odjechali do Brazylii lub Indyj. Misja w Rodezji, licząca na razie dwie stacje, została w maju 1912 r. oddana na stałe pod opiekę galicyjskiej prowincji Jezuitów, choć w niej pracowało jeszcze paru księży pochodzących z prowincyj innych. Z Polski wyruszyło na parę zawodów kilku księży i braci zakonnych, między niemi w r. 1913 ks. Apolonjusz Kraupa, upatrzony na przełożonego całej misji. Był to kapłan, który już bliżej, bo wśród Unitów podlaskich, próbował misjonarskiego zawodu w r. 1904, co też przypłacił więzieniem na zamku lubelskim. Koniec 1919 r. zapisał się smutno w historii misji w Rodezji: 9 grudnia umarł ks. Kraupa, który zdołał położyć świetne podwaliny pod jej organizację, a w parę dni po nim jeden z misjonarzy, ks.

Bulsiewicz. Katalog prowincji polskiej Jezuitów z początku bieżącego roku wymienia 4 stacje misyjne w Rodezji (Czingombe, Kapocze, Kaisi i Katondue), obsługiwane przez 6 kapłanów przy pomocy 6 braci zakonnych. Na pomoc tej szczupłej garstce wyruszyli właśnie obecnie dwaj księża, Seidel i Spendel, z pochodzenia górno-ślązacy, i dwaj bracia, Jędrzejczyk i Markiewicz.

Jak widzimy, misja rodezyjska jest jeszcze w zawiązku; dla rozkwitu jej potrzeba wielu powołań i niemałych środków materialnych. Społeczeństwo nasze winnoby się zainteresować tą jedyną polską placówką misyjną, która i nam pozwala stanąć w rzędzie narodów, niosących chrześcijańską kulturę w głąbie puszczy afrykańskich.

Ks. Jan Urban.

Szkolnictwo katolickie w Holandji.

Prawdziwy triumf święcił nieugięty duch katolików holenderskich w dniu 30 czerwca b. r. Pięćdziesięciodwuletnia walka o sprawiedliwe traktowanie katolików na polu szkolnictwa zakończyła się świetnem dla nich zwycięstwem. Krótkie sprawozdanie o przebiegu akcji i jej wynikach zamieszcza J. Van der Heyden w »America« z d. 31 lipca b. r.

Poważne niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać religji katolickiej w Holandji, kiedy po r. 1857 wszystkie szkoły państwowe uczyniono neutralnemi, wyrzucając z nich naukę religji. Wolno było wprowadzić korzystać z wyznaniowych szkół prywatnych, lecz liczba ich była niewielka, a przytem koszta utrzymania czyniły je niedostępnymi dla znacznej części młodzieży. Należało działać stanowczo. Biskupi zabrali głos i wydali 22 lipca 1868 r. wspólny list pasterski, w którym wezwali wszystkich do gorącej modlitwy i energicznej akcji.

Odezwa nie pozostała bez skutku. Zakaz posyłania dzieci do szkół neutralnych w tych wszystkich miejscowościach, w których istniały szkoły katolickie, przyczynił się do szybkiego zakładania tychże po całym kraju, a dzięki niezwykłej ofiarności mieszkańców liczba ich pomnożyła się szybko. Taki stan rzeczy nakładał jednak zbyt wielkie ciężary na barki ludności katolickiej. Wszystkie koszta budowy i zaopatrzenia budynków szkolnych, oraz utrzymania ich i całego grona nauczycielskiego musieli ponosić sami, a oprócz tego płacić podatki na szkoły państwowe, z których korzystali inni. Była to rażąca niesprawiedliwość i ciężka krzywda, jaką wyrządzał rząd wiel-

kiej części własnych obywateli przez nierówne traktowanie ich z resztą ludności. Taki stan rzeczy nie mógł więc istnieć dalej i musiała rozpocząć się walka — w imię sprawiedliwości.

Na czele stanęli biskupi i cały szereg wybitnych działaczy katolickich. Nie prędko jednak mieli się doczekać owoców swej pracy. Przez długie lata spotykali się ze zdecydowanym oporem, podsycanym ustawicznie przez wrogie stronnictwa socjalistów i postępców. Nieraz zdawało się, że już wszystko stracone, lecz żelazna wytrwałość i nieustanne modły, zanoszone do Boga, miały wkońcu odnieść zwycięstwo. Poddając się istniejącym prawom, wskazywali ciągle na pokrzywdzenie tylu współobywateli, a odwołując się do wrodzonego wszystkim poczucia sprawiedliwości, zdołali zyskać sympatję szerokich warstw, nawet z pośród innych obozów. Rok 1889 uwieńczył ich zabiegi pierwszym pomyślnym wynikiem. Przez prawo Mackay'a przyznano prywatnym szkołom wyznaniowym wsparcie ze skarbu państwa, które powiększono w dwanaście lat później przez prawo Borgesius'a, a następnie jeszcze dwukrotnie w latach 1905 i 1912.

Lecz do zrównania szkół prywatnych z państwowymi było jeszcze daleko. Te ostatnie pobierały bowiem znaczne zasiłki ze strony gmin, zbierane naturalnie znowu drogą podatków, podczas gdy szkoły prywatne nie otrzymywały z tego źródła żadnego wsparcia. Usunąć tę ostatnią zaporę i postawić na równi szkoły rządowe i prywatne, wziął sobie za zadanie minister oświaty i sztuki Dr. De Visser. Wniesiony przez niego w ubiegłym jeszcze roku projekt domagał się, aby prywatnym szkołom elementarnym, pierwszym trzem stopniom szkół średnich i wszystkim seminarjom, przygotowującym nauczycieli do tychże przyznać to samo wsparcie z funduszy publicznych, jakie pobierają zakłady państwowe.

Ponieważ projekt spotkał się z przychylnem przyjęciem w komisji, spodziewano się ogólnie, że jeszcze przed upływem roku przejdzie jako prawo. Tymczasem zamieszki polityczne odwlekły nieco całą sprawę, a nadto teraz dopiero rozpoczęła się gwałtowna kampanja ze strony przeciwnych obozów. Socjaliści i postępcy zaczęli zwalczać po kolei wszystkie 208 artykułów projektu, podawać niezliczone poprawki i dodatki do tychże, jednym słowem posługiwać się wszelkimi rodzajami obstrukcji, byle tylko sparaliżować całą akcję.

Lecz tu wystąpił w całej pełni talent polityczny Dra De Visser. Nie dając się niczem wyprowadzić z równowagi, zbijał zarzuty jeden po drugim z nadzwyczajną znajomością rzeczy i taktem, który budził podziw nawet u oponentów, aż wreszcie dokazał swego. Kiedy 30 czerwca przyszło do ostatecznego głosowania, ustawa przeszła 75 głosami przeciw trzem.

Skoro przeczytano wynik głosowania, na sali zapanowało prawdziwe uniesienie. Ten triumf sprawiedliwości tak potężnie przemówił

do serc i przejął obecnych, że cała opozycja socjalistyczna i liberalna razem z pozostałymi składała gratulacje zwycięskiemu ministrowi, a wszyscy złączyli się w wyrazach uznania dla żywych i zmarłych bojowników dobrej sprawy. Wzruszającą zwłaszcza była chwila, kiedy przy zwyczajowym uściśnięciu ręki zeszli się z sobą Dr. De Visser i sędziwy członek parlamentu, ośmdziesięcioletni Dr. de Savorin Lohman, który od samego początku, od r. 1868 brał niestrudzenie udział w walce o zwycięstwo sprawiedliwości i teraz mógł je oglądać własnymi oczyma. Kiedy obaj mężowie przez dłuższy czas w milczeniu zamieniali uścisk, cała izba wybuchła grzmiącym oklaskiem, oddając hołd niezłomności osiwiąłego w bojach bohatera, a równocześnie przedpokój parlamentu zapełniał się kosztami kwiatów od tłumnie zebranej publiczności.

Zwycięstwo katolików przeszło wszelkie oczekiwania. Prywatne szkoły elementarne mają być odtąd stawiane i utrzymywane z funduszków publicznych, tak samo jak państwowe, grono nauczycielskie i cały personal ma być pod względem uposażenia zrównany z rządowemi, tak w okresie czynnej służby, jak i po zaprzestaniu jej z powodu choroby lub podeszłego wieku. Przy średnich i wyższych szkołach prywatnych państwo pokrywa trzy czwarte kosztów utrzymania. Owszem posunięto się w hojności tak daleko, że za używanie w przyszłości tych wszystkich budynków szkół elementarnych i średnich, które były wystawione lub znajdowały się w budowie przed zapadnięciem uchwały, przyznano roczne wynagrodzenie, wynoszące $6\frac{1}{2}\%$ od ich wartości. Zaznaczyć jednak należy, że nie wszystkie z tych szkół są katolickie, ponieważ protestanci utrzymują również prywatne szkoły wyznaniowe, które w wielu okolicach służą za ognisko propagandy przeciw Kościołowi.

Jeden jeszcze szczegół musimy podnieść przy tej okazji. Katolicy Holandji świecą nam nie tylko przykładem bezgranicznej ofiarności i bohaterskiego poświęcenia dla sprawy bożej w chwilach ciężkich, lecz także prawdziwie chrześcijańskim zachowaniem się po ich przebyciu. W szale zwycięstwa nie zapomnieli oni, komu je zawdzięczają; we wszystkich mowach i odezwach, wydanych z okazji uroczystej tej chwili, płynęły słowa podzięk i uznania dla nieznużonych działaczy parlamentarnych i społecznych, w których ręce powierzono tę sprawę, ale nie w mniejszym stopniu przypisano pomysły jej uwieńczenie modlitwom rodziców, dzieci i duchowieństwa, które krzepiły w walczących ducha i wyjednały ostateczny triumf.

Ledwie uporano się z kwestją szkół niższych, przystąpili katolicy holenderscy do urzędywistnienia drugiego, dawno układanego projektu: założenia uniwersytetu katolickiego. Zebrano już znaczne sumy, a biskupi rozwinęli w prasie ożywioną dyskusję, rezultatem której jest obranie na ten cel miasta Nymwegen, jako położonego w cen-

trum części kraju, zamieszkaney przez ludność katoličką. Dotychczasowa jej działalność pozwala wróżyć, iż wykonanie planu ziści się w najkrótszym czasie, a nowa wszechnica stanie się ogniskiem, z którego wychodzić będą ludzie ożywieni duchem wiary i umiłowaniem sprawiedliwości i prawdy.

St. P.

Potrzeba inteligencji katolickiej u nas.

Niejednemu sam nagłówek niniejszego artykułu wyda się nonsensem albo rzuconą w twarz narodowi katolickiemu obelgą. Co to takiego?! Czy u nas można się żalić na brak inteligencji katolickiej, u nas, którzy jesteśmy, z małemi wyjątkami, społeczeństwem katolickiem we wszystkich warstwach swego ustroju? Czyż to nie obelga zarzucić brak religijności przedewszystkiem całej niewieściej połowie naszych klas przodujących? Prawda, między mężczyznami u wielu jeszcze katolicyzm polega na tem, że niekiedy towarzyszą żonie do kościoła, jedzą święcone na Wielkanoc i przed śmiercią coś tam z księdzem muszą zrobić, aby zaoszczędzić rodzinie kłopotu przy pogrzebie¹⁾; ale czyż nie widzimy także zastępów inteligentnych mężczyzn, modlących się przykładnie, przystępujących do sakramentów świętych, słuchających rekolekcyj, owszem należących do sodalicyj i innych zrzeszeń pobożnych?

A jednak nie przekreślę nagłówka; artykułu i postaram się udowodnić, że u nas inteligencję katolicką potrzeba dopiero wytworzyć.

Co to jest inteligencja i co to jest katolickość?

Wyodrębnienia inteligencji z całości społeczeństwa w osobną grupę nie chcę dokonywać na podstawie takiego czy innego

¹⁾ Według trafnej charakterystyki autora, który w chwili pisania tej uwagi sam stał zdala od Kościoła, — St. Brzozowskiemu w „Legendzie Młodej Polski”.

nakrycia głowy, fasonu noszonych trzewików, używania lub nieużywania chustki do nosa. Inteligent prawdziwy może się ukrywać pod bluzą robotniczą, jak przeciwnie wykwinny surdutowiec może być grubym prostakiem. By zasługiwać na miano inteligenta, trzeba posiadać w jakiejś wyższej mierze to, co sama nazwa wyraża, — rozumienie. Rozumienie nie samych tylko swoich codziennych zwierzęco-życiowych potrzeb, ale rozumienie otaczającego nas świata, rozumienie życia i rozgrywających się w niem wypadków i dokonujących się w niem przemian, jakieś przynajmniej rozumienie celów, do których się dąży i dróg, jakimi się zamierza ku nim kroczyć. Z natury rzeczy wynika, że tego rodzaju rozumiejących — inteligentów szukamy przede wszystkim wśród adeptów tych zawodów, które wymagają pewnego wykształcenia ogólnoludzkiego, wśród pracujących nie tyle mięśniami, jak raczej mózgiem. Stąd uciekamy się do zewnętrznych kryteriów w sądzeniu o przynależności czyjejs do klasy inteligentnej, kryteriów, niestety, częstokroć zawodzących.

Od tej elity domagamy się, aby przodowała społeczeństwu w jego zbiorowym życiu, szła z pochodnią w pierwszym szeregu w jego pochodzie ku światlejszemu jutru, myślała nie tylko za siebie i o sobie, ale za masę szarą i o jej dobru. Inteligencja wszędzie i zawsze jest mózgiem narodu. Nawet tam, gdzie zapanuje kultura liczebności i siły fizycznej, gdzie wszyscy bez względu na swe wykształcenie zrównani są w obywatelskich prawach (np. w prawie wyborczym), inteligencja jest tą sprężyną, której ulega i daje się kierować ogół równych i wolnych obywateli. Hasło »precz z inteligencją!« może gdzieś w chwilach zbiorowego szału motłochu rozbrzmiewać czas jakiś i wtedy pięść wyzwolona z pod przewodnictwa mózgu naczyni spustoszenia wiele, ale wkrótce i hasło takie ucichnie i siła brutalna opadnie w bezwładzie, niezdolna sama zwłaszcza zbudować niczego, i z chaosu znowu wyłoni się inteligencja, jako czynnik konieczny ładu i twórczości.

Oczywista, że każde społeczeństwo, każdy naród, który wyszedł z okresu barbarzyństwa i godzien nazwy narodu, posiada i posiadać musi swoją inteligencję. Zwykle posiada jej kilka odmian. Niepodobna bowiem wystawić sobie partji politycznej, ani zorganizowanej klasy społecznej, którejby nie przewodziła własna jej inteligencja. Niechaj się partja nazwie, jak chce: chłopską, robotniczą, proletarjacką, — ostatecznie w każdej rej wodzi intelligen-

cja, czasem z tegoż, co i ogół partji, środowiska wyłoniła, często się jej z zewnątrz narzucająca. Mogą się partje różniczkować podług przeciwieństw ekonomicznych, lecz bez inteligencji tłum nie doszedłby nawet do uświadomienia sobie tych przeciwieństw, ani nie byłby zdolny ustawić się w karne szeregi, by praw swych dochodzić. I u nas, jak wszędzie, nie można wprost przeciwstawiać interesów partji, np. socjalistycznej, interesom inteligencji wogóle, jak to czasem się czyni; socjalizm posiada przecież swoją własną inteligencję, która w jego szeregach zarówno dobrze się czuje, jak inteligencja innych obozów politycznych u siebie.

Z tego, co się powiedziało, widać, że inteligencję trudno uważać za jakąś zamkniętą w sobie i odgradzoną od innych warstw społecznych całość, spotykamy ją bowiem na czele wszystkich społecznych formacyj, i jakkolwiek życiowo, ekonomicznie mogą różne jej odłamy zbliżać się do siebie, owszem organizować się wspólnie na gruncie zawodowym, to ideowo są one sobie nawzajem często bardzo obce albo nawet wrogie. Dlatego też pono najtrudniej zorganizować inteligencję, jako taką, gdyż właśnie w tem, co stanowi jej istotę, w poglądzie na świat i życie, różni się ona między sobą, hołdując rozbieżnym kierunkom i usiłując innym je narzucić. Mamy więc inteligencję zachowawczą i inteligencję postępową lub nawet wywrotową, mamy liberalną i socjalistyczną, pańską i ludowcową, kosmopolityczną i narodową i t. d., według tego, jakie koło zagadnień wysuwa się na miejsce naczelne, jaką ideę najwięcej się kocha i czyni sprężyną swego publicznego życia.

Jeżeli mamy tyle rodzajów inteligencji i takie między niemi widzimy różnice, zdawałoby się, że najpierw i najwyraźniej rzucać się winien w oczy podział jej na religijną i niereligijną, albo — pominąwszy subtelne odcienia i biorąc rzecz w konkretnych warunkach naszych — na katolicką i wrogą katolicyzmowi. Tutaj bowiem chodzi o przekonania, dotyczące najogólniejszych przeznaczeń człowieka w czasie i wieczności, przekonania, które muszą zabarwić pogląd na życie i jego cele, na prawa i obowiązki. I w istocie w wielu krajach o wysokim poziomie kultury inteligentne klasy dzielą się na te dwa obozy, wzajemnie się zwalczające w imię najdroższych sobie haseł. W takiej np. Francji czy Belgji widzimy zastępy zdeklarowanych wrogów wiary i Kościoła, przeważnie stojących pod znakiem masonerii, ale za to widzimy

i szeregi uświadomionych i inteligentnych katolików, z głębokiego przekonania karnie i ofiarnie walczących o katolicką prawdę i obyczaje katolickie i prowadzących za sobą w bój niemniej liczne zastępy wierzącego ludu.

O nas tego powiedzieć nie można. Zdeklarowanych wrogów katolicyzmu posiadamy i my, i w zwalczaniu katolickiego światopoglądu przewodniczy radykalna inteligencja oddanym sobie tłumom zgodnie, jako wyraźnie zarysowany i uszykowany obóz; niestety, nie można czegoś podobnego powiedzieć o obrońcach wiary i interesów katolickich: tych wśród naszej świeckiej inteligencji spotykamy niewielu, nie cechuje ich głębia przekonań, nie stanowią oni zwartych szeregów. Ogół naszej inteligencji raczej przypatruje się obojętnie i z odcieniem pobłażliwości walce, którą poczytuje za rozprawę prywatną między duchowieństwem a garścią radykałów. Mamy dość wielu inteligentnych katolików, lecz jeśli chodzi nie o jednostki, ale zwarty obóz — to nie posiadamy inteligencji katolickiej.

Jak rozumiem katolickość inteligencji, postaram się wyjaśnić paru przykładami, wziętymi skądinąd, a które właśnie stwierdzą dowodnie brak inteligencji katolickiej u nas.

Zacznijmy od stanu lekarskiego. Oczywiście u nas tłoczy się samo pytanie na usta: co mają lekarze, jako tacy, do powiedzenia w katolicyzmie, albo co ma katolicyzm do powiedzenia medycynie? A jednak czytaliśmy niedawno w zagranicznych piśmach, że w Anglii, kraju o większości protestanckiej, katolickie towarzystwo lekarzy imienia św. Łukasza odbyło podczas tego lata zjazd w Glasgowie, na którym obradowano, między innymi zagadnieniami, nad uzgodnieniem praktyki lekarskiej z wymogami etyki chrześcijańskiej. Dowiadujemy się więc, że w kraju, który conajmniej... nie ustępuje naszemu w ogólnym stopniu kultury, a zapewne i w sztuce lekarskiej, lekarze katolicy odczuwają potrzebę organizowania się w osobne towarzystwo. Zrzeszają się zapewne nie w celu ekonomicznej walki z kolegami, należącymi do innych wyznań, ale właśnie z pobudek ideowych, religijnych: rozumieją, że ich wiara rzuca pewne światło na ich zawodową praktykę, że lekarz, wierzący w absolutną prawdę chrystjanizmu, religii spirytualistycznej, w wielu wypadkach musi inaczej postąpić, aniżeli jego kolega zdeklarowany materjalista, religijny sceptyk, lub choćby protestant, nie uznający w Kościele nieomylnego

stróża obyczajów. I oto doktorzy słynnych uniwersytetów w Cambridge czy Oxfordzie nie uważają za nie właściwego ani kompromitującego dla swej naukowej powagi zrzeszyć się około imienia pierwszego chrześcijańskiego lekarza, by wspólnie radzić nad stosunkiem swego zawodu do chrześcijańskiej etyki i zobowiązać się zapewne do bezwzględnego jej zachowania. Tam, w Anglii, Ameryce, a zapewne i w innych wielu krajach zachodnich już wierzący student medycyny uważa za obowiązek sumienia poinformować się, co etyka katolicka mówi np. w dziedzinie płciowej, w kwestji pewnych operacyj w ginekologii; na uniwersytetach katolickich są osobne wykłady z zakresu etyki lekarskiej, dla użytku adeptów tej sztuki wydaje się specjalne tejsze etyki podręczniki ¹⁾. Wystawmy sobie, że pewnego dnia odkryto w Polsce towarzystwo lekarzy katolickich, że zjechali się oni w Krakowie; coby to była za wdzięczna dla wielu okazja do conceptów na temat naszego obskurantyzmu! Nie obawiajmy się: u nas nie prędko zostanie odczuta potrzeba takiej organizacji; u nas długo jeszcze studenci medycyny słuchać będą z katedr zdań niby etycznych, przez Kościół wprowadzone potępionych, — o czym się zresztą nie wie i wiedzieć nie chce, — zdań za to takich, jakie z łatwością przyjmie i żyd i sceptyk i materialista. U nas nie łatwo się znajdzie nakładca dla podręcznika katolickiej etyki lekarskiej. Bo u nas ledwie tu i owdzie wśród inteligencji świta zrozumienie, że religja i jej kierownictwo nie kończy się na wielkanocnem święconem, ani na łamaniu opłatka, ani nawet na wykonywaniu religijnych praktyk.

Z tego samego powodu nie posiadamy i zapewne długo nie będziemy posiadali katolickiej palestry, gdzieindziej w katolicyzmie uświadomionej i na podstawie tego uświadomienia organizującej się, palestry, któraby korporacyjnie czuła się zobowiązana w swych adwokackich przemówieniach do uwzględniania katolickiego dogmatu i etyki. I dlatego amatorzy sensacyjnych procesów będą mieli zapewne niejedną i nie dziesięć sposobności słyszeć z ust kryminalnego obrońcy, że ostatecznie winą tego zabójstwa jest twarde, niedopuszczające rozwodów prawo kościelne, winą tej malwersacji obowiązkowość praktyk religijnych w szkole,

¹⁾ Np. istnieje podobny podręcznik amerykański Koppensa, tłumaczony i na francuski i na niemiecki języki.

paczą rzekomo charaktery, i mówcy tego rodzaju długo u nas będą mogli być pewnymi, że ich frazesy, przyjmowane z aplauzem przez tłum, nie spotkają się też z żadnym protestem z łona samejże advokatury, ani poważniejszych czynników w społeczeństwie.

Że sztuka nowoczesna, a zwłaszcza teatr nie są skłonne do oglądania się na etykę katolicką, to rzecz jest powszechnie wiadoma. Lipski prof. Volkelt udowadniał przed dziesięciu laty, że nowoczesna sztuka i teatr w gruncie rzeczy służą celowo niższemu popędowi człowieka, zwłaszcza erotykę rozbudzając i potęgując. Jeszcze w wyższym stopniu jest to prawdą w odniesieniu do belletrystyki. Rozumiejąc to niebezpieczeństwo dla obyczajów, a często i dla wiary, płynące z neo-pogańskiego kierunku twórczości artystycznej, uświadomione koła inteligencji katolickiej na Zachodzie walczą z tym zalewem trucizny moralnej. Jeżeli przed kilku laty, podczas jakiejś wystawy w Gandawie dzieł sztuki, kłócących się z moralnością, biskupi belgijscy (a na czele ich stoi tak wszechstronnie światły umysł kard. Merciera!) zabronili katolikom zwiedzać ową wystawę, jeśli się nie mylę, nawet pod grozą jakichś kar kościelnych, to krok ich można zrozumieć jedynie w przypuszczeniu, że liczyli na posłuch szerszych kół tak wyrobionej w Belgji katolickiej inteligencji. Czy u nas dużo naliczylibyśmy inteligentów, gotowych posłuchać podobnego pasterskiego ostrzeżenia; czy nie więcej znalazłoby się takich »katolików«, którzyby je poczytali za zuchwałe zamachy na dogmat niezależności sztuki od etyki? Do walki z widowiskami niemoralnymi występuje się gdzieindziej przez otwieranie teatrów i kin, szanujących katolickie przekonania i obyczaje; katolicki teatr posiada Paryż, a cieszy się on wielkiem powodzeniem; w Niemczech usiłowania stworzenia chrześcijańskiej sceny są bliskie urzeczywistnienia. Wśród belletrystów zagranicznych możemy napotkać nie tylko wyznawców, ale apologetów i apostołów chrześcijańskich pojęć. U nas nie tylko nie czyni się prób w kierunku rozwoju chrześcijańskiej sztuki czy literatury nadobnej, lecz nawet nawoływania do walki z jawną pornografią w powieści, ilustracjach, teatrze lub kinie, nawoływania zresztą rzadkie i nieśmiałe, gubią się bez echa w próżni obojętności szerszych kół światlejszej części naszego społeczeństwa. »Katolickość« przybytków sztuki czy też instytucyj naukowych lub oświatowych upatruje się u nas nie

w ich wewnętrznej treści i wartości, lecz w zewnętrznej inscenizacji, np. w urządzeniu jakiegoś nabożeństwa inauguracyjnego, w poświęceniu lokalu. Tym sposobem »chrzci« się rzeczy, nie mające nic wspólnego z chrześcijaństwem. To znowu dowód, że trudno u nas mówić o istnieniu rozumienia katolicyzmu tam, gdzieby się je najbardziej chciało widzieć, t. j. wśród inteligencji.

A nauka katolicka? Gdzie u nas towarzystwa w rodzaju niemieckiego Towarzystwa Görresa, lub choćby austriackiej Leo-Gesellschaft? Jeżeli podjęta zostanie u nas próba powołania do życia podobnego dzieła, to nie wychodzi ono poza szczupłe grono pierwotnych założycieli i wiedzie suchotniczy żywot. Mamy, dzięki Bogu, zawiązek uniwersytetu katolickiego, lecz i ten powstał nie jako owoc szeroko odczuwanej potrzeby, lecz dzięki energji paru jednostek i ofiarności jednego człowieka. W szerszych kołach czynnego poparcia on nie ma i ogół nie zbyt interesuje się jego katolickim charakterem. Inaczej zagranicą: wszechnice katolickie w Ameryce, Belgji lub Szwajcarji uważane są przez światlejszą część katolickiego społeczeństwa za własne dzieło i chlubę.

Na pole polityki nowoczesnej katolicyzm, jako czynnik współtwórczy, wystąpił stosunkowo późno. Wielkie przeobrażenia końca XVIII i XIX stulecia, streszczające się w demokratyzacji społeczeństw, czerpały natchnienie w prądach myśli obcych religji tradycyjnej i dokonywane były siłami wrogimi względem Kościoła, w którym upatrywano ostoję reakcji i hamulec postępu. Tem się tłumaczy pewien absenteizm katolicyzmu, jako czynnika samodzielnego w sprawach publicznych: występowali na tę arenę poszczególni katolicy, ale w obcej liberji i występował kler, jako stan broniący resztek tradycyji i swoich praw nabytych; mało zaś zaznaczał się katolicyzm, jako idea i jako siła zdrowego rozwoju i postępu. Te atoli nieporozumienia już dawno w wielu krajach się wyjaśniły, i katolicyzm, oświecony wiekopomnemi encyklikami Leona XIII, wyłonił ze siebie organizacje, które weszły w życie polityczne nie tylko z zasadą konserwowania *status quo ante*, ale z pozytywnym programem daleko sięgających przeobrażeń społecznych. Dość wspomnieć o niemieckiem »centrum«, o obozie chrześcijańsko-społecznym w Austrii, o zwartym obozie katolickim w Holandji, o nowej formacji »*il partito popolare*« we Włoszech. Cechą tych wszystkich formacyji jest to, że stoją

w jej szeregach olbrzymie masy ludowe i robotnicze, ale przewodniczy im przejęta chrześcijańskim światopoglądem inteligencja. Jeżeli u nas próby stworzenia wyraźnie katolickiego stronnictwa nawet wśród najbardziej do wiary przywiązanej warstwy ludowej nie wydały pokaźnego rezultatu, jeżeli program chrześcijańskiej demokracji nie znalazł zrozumienia wśród szerokich mas robotniczych, to zdaje mi się przedewszystkiem dlatego, że wysiłki duchowieństwa w tym kierunku podejmowane nie znalazły wydanej pomocy ze strony inteligencji świeckiej i w ten sposób dawały wrogim stronnictwom możność denuncjowania każdej katolickiej akcji o klerykalizm i interes stanowy kleru. Stąd pochodzi dziwna w tak katolickim kraju, jak nasz, anomalia, że milionowym rzeszom wierzącego ludu przewodzi w życiu politycznem garść radykalnej, wrogiej wierze i Kościołowi, inteligencji, i druga pono niemniejsza anomalia, że nasi księża posłowie, tak liczni przecież w Sejmie, nie znajdując w nim zwartego katolickiego obozu, rozchodzą się po różnych stronnictwach, których programy polityczne nie zawsze ożywia duch chrześcijański, i tem rozproszeniem swoim zdają się potwierdzać dość rozpowszechnione mniemanie, jakoby katolicyzm, którego są wszak urzędowymi przedstawicielami, nie posiadał ustalonych zasad w zakresie życia publicznego.

Nie mnożmy już przykładów. Z tego, co się powiedziało, a powiedziało, mam nadzieję bez przesady, wynika, że słuszność miał cytowany już wyżej Brzozowski, z przekonań socjalista, kiedy pisał: »pewna, że w życiu umysłowem oświeconych laików katolicyzm nie odgrywa niemal żadnej roli«, a nie odgrywa nie z powodu ubóstwa swej treści, bo rzeczony autor widział we wrogu sobie katolicyzmie głęboki, subtelny i poważny system, lecz z powodu że nasza oświecona klasa, o ile chodzi o zagadnienia religijne, »ukula sobie religję poprostu z niechęci myślenia«. Słusznie i Z. Dębicki w swoim »Kryzysie inteligencji polskiej« skarży się na brak udziału inteligencji naszej w wielkim ruchu religijno-moralnym, jakiego widownią są inne kraje, choćby »bezwyznaniowa« Francja, i jeżeli ubolewa nad tem, że duchowieństwo »opiera się więcej na bierności ludu i na indyferentyzmie religijnym warstw inteligentnych, niż na świadomej woli budowania społeczeństwa katolickiego«, to tem samem stwierdza brak takiej inteligencji świeckiej, na której kler mógłby się oprzeć.

Świeżo w Krakowie toczyła się dyskusja nad odczytami o «Chrześcijańskim Stowarzyszeniu młodzieży męskiej» (Y. M. C. A.), o którym *Przegląd* nasz już pisał w lipcowym zeszytzie tego roku. W toku dyskusji przewodniczy takowej, prof. J. Chrzanowski, zaznaczył dobitnie ubolewanie nad faktem, że zagadnieniami religijnymi mało kto zajmuje się u nas poza duchowieństwem. A wszak to są rzeczy, które powinny wszystkich obchodzić, bo od nich w wielkiej części zależy odrodzenie narodu. Wspomniał nawet o tem, że świeccy mogliby pisać o tych zagadnieniach. Przez swoje odezwanie, któremu tylko przyklasnąć należy, powtórzył prof. Chrzanowski to samo, o co dopomina się Z. Dębicki. I rzeczywiście, żeby sięgnąć znowu po wzory zagraniczne, inteligencja świecka w innych krajach wydała nie tylko działaczy katolickich, nie tylko uczonych na polu historii kościelnej, ale nawet teologów w całym znaczeniu tego słowa i nikt z pomiędzy duchowieństwa przeciwko temu nie myślał protestować. Czyż katolickie koła nie zaczytywały się artykułami takiego np. Brunetière'a z ostatnich lat jego życia, choć między nimi pojawiały się rzeczy wprost teologiczne? I u nas nie brak pisarzy świeckich, literatów, historyków, filozofów, którzy często potrącają w swych pracach o zagadnienia religijne. Domaga się snąć praw swoich *anima naturaliter christiana*. Do takich pisarzy należy i sam prof. Chrzanowski; obok niego postawić możemy nazwiska młodszych: Artura Górskiego, Kota, Pigonia i innych. Lecz cóż? Oto ci pisarze, skoro o dogmat, o Kościół, o historję Kościoła potrąca, zdradzają zawsze szczególne sympatje dla protestantów, dla Arjanów, dla różnych pseudomistyków i dziwaków, dla utworów poetów naszych z doby ich oddalenia się od Kościoła, podczas gdy dla katolickiej prawowierności mają tylko cierpkie słowa sarkazmu, wyrzutów i zarzutów. To jest, że katolickiego uświadomienia, a przynajmniej katolickich przekonań brak i u samych wzmiankowanych pisarzy i u czytającej publiczności świeckiej, z pomiędzy której nie podniesie się w takim razie głos polemiki o prawdę katolicką. Oczywiście podobny głos z pośród kleru poczytany będzie za obskurantyzm, za inkwizycję, i do inteligencji świeckiej nie dotrze.

Pogódźmy się więc z przykrą dla nas myślą: nie posiadamy inteligencji świeckiej katolickiej, godnej tego miana. Mamy wśród naszych klas inteligentnych jednostki wierzące i wykonujące obowiąz-

zki religijne, nie mamy jednak zwartej ich falangi, już to z powodu braku pogłębienia przez te jednostki ducha katolicyzmu, już to z powodu nieumiejętności czy też braku cywilnej odwagi do zaznaczania swych religijnych przekonań na zewnątrz. Ci, co wierzą i praktykują, zdają się hołdować zasadzie: religja jest rzeczą prywatną, i jeśli nasz socjalizm często przypomina tę zasadę i domaga się jej zastosowania, to jest to przysłowiowe łomotanie w otwarte drzwi.

Jeśli katolickiej inteligencji nie posiadamy, to należy ją stworzyć. Gdyby dziś rozpisano ankietę na temat najpilniejszych potrzeb katolicyzmu w Polsce, to odpowiedziałbym bez wahania: najpilniejszą potrzebą jest wychowanie zastępów inteligencji katolickiej. Katolicyzm w Polsce musi ten cel osiągnąć pod karą, że inaczej stanie się i pozostanie jedynie wspomnieniem przeszłości, może prywatną dewocją, w najlepszym razie zewnętrzną publicznego życia dekoracją. Tymczasem ma on do spełnienia u nas, jak i wszędzie, doniosłą rolę, zleconą mu przez Boskiego Założyciela, i dobro naszej ojczyzny domaga się, aby tę rolę odegrał. Nie skądinąd, jedno z religii naszej, może wyjść oczyszczenie obyczajów, nie skądinąd sprawiedliwe rozwiązanie zagadnień społecznych; tylko przejęcie się ewangelją Chrystusową, nie zaś podkreślanie jednostronne interesu narodowego, wniesie pierwiastek etyczny w politykę i wskaże sposób łagodzenia sąsiedzkich zatargów i sporów. Lubimy się chlubić tem, że najszlachetniejsi przedstawiciele naszej literatury podkreślali obowiązki wniesienia etyki ewangelicznej w stosunki międzynarodowe i że Polsce przypisywali misję urzeczywistnienia w świecie tego ideału; lecz jakże często nasza publicystyka, a może i enuncjacje politycznych partij z politowaniem lub przekąsem wspominają o tym romantyzmie i każą nam brać lekcje politycznej mądrości u tych, których najbardziej potępiamy za grzechy względem nas popełnione, u tych, co bezwzględnie wielali w czyn zasadę narodowego egoizmu, jako ostateczny regulator politycznych dążeń! Katolicyzm musi u nas dążyć do »odnowienia wszystkiego w Chrystusie«, poczynwszy od odnowienia dusz, a skończywszy na »odnowieniu« chrześcijańskim wszystkich naszych stosunków, »odnowieniu« naszego prawodawstwa. A widzieliśmy, jak to odnowienie daleko iść może, skoro nie pomija nawet ustawy le-

karskiej lub procedury sądowej. Jeżeli katolicyzm u nas nie stanie się takim odnawiającym pierwiastkiem, to społeczeństwo nasze i młode państwo nasze, choćby mu przyznano w zasadniczej ustawie miano katolickiego, będzie takim tylko z imienia, jako pozbawione katolickiego ducha i katolickiej kultury.

Lecz katolicyzm nie spełni swej misji względem Polski, jeśli nie znajdzie czynnych twórców katolickiej odbudowy w zwartych szeregach inteligencji świeckiej. Dodajmy: twórców świadomych celu, do którego by dążyli i głęboko przekonanych o świętości katolickiej akcji i zbawienności jej dla Polski. Ostatecznie i dziś niejedna katolicka sprawa znajdzie poparcie u pewnego odłamu inteligentnych warstw; lecz często w takim powodzeniu odnosi się wrażenie, że ci, co tę sprawę popierają, co idą za głosem biskupów, czynią to jakby od niechcenia, by nie narazić się na zarzut wrogiego stanowiska wobec wiary i Kościoła. Wolą mieć spokój z duchowieństwem, od którego pewnych usług oczekują. Jest to w gruncie rzeczy katolicyzm tego samego rodzaju, co pobożność owych mężów, którzy towarzyszą swym żonom do kościoła, by uniknąć niemiłych scen domowych, a prztem dać przykład tym, dla których religję uważają jeszcze za potrzebną. I tacy też, kiedy nawet są gotowi bronić praw Kościoła, czekają zwykle na reżyserję ze strony księży, przypominając znowu owych pobożnych mężów, którzy na mszy czekają na skinienie swych połowie, kiedy i co mają ze sobą uczynić, by przynajmniej grubszych niezręczności w zachowaniu się w świątyni nie popełnić.

Inteligencja świecka katolicka będzie tem pożyteczniejsza sprawie odbudowy katolickiej, im mniej będzie odczuwała potrzebę suflerów. Do tego jednak musi umieć doskonale na pamięć swą rolę. Niesprawiedliwe są zapewne domagania się skrajnych partyj, aby duchowieństwo zostało usunięte zupełnie z publicznego życia: przysługuje mu bowiem prawo brać w niem udział już choćby z tytułu człowieczeństwa i obywatelstwa, jak mają do tegoż prawo przedstawiciele każdego innego godziwego zawodu. Atoli może rzeczywiście byłaby mniej potrzebną obecność księży w społecznej pracy, czy na politycznej arenie, gdyby tam stały szeregi świeckich inteligentnych katolików. Wtedy możnaby było zwrócić się do nich ze słowami apostołów do pierwotnej gminy jerozolimskiej: »Nie jest rzeczą słuszną, abyśmy zaniedbywali

słowa Bożego, a obsługiwali stoły; upatrzcie z pomiędzy siebie... mężów... pełnych Ducha świętego i mądrości, których moglibyśmy wyznaczyć do tego zadania; my zaś pilnować będziemy nabożeństwa i głoszenia słowa». Niestety, takich mężów, którzyby przy »mądrości« byli pełni Bożego ducha, brak wśród świeckiej inteligencji i dlatego wprost poczucie obowiązku względem społeczeństwa zmusza duchowieństwo do wybitniejszego udziału w akcji społecznej i politycznej, żeby jako tako ratować na tych polach katolickie zasady. Jeżeli jednak stanie do czynu katolicka inteligencja świecka, musi ona umieć działać więcej samodzielnie bez ciągłego podpowiadania, co czynić należy, ze strony Kościoła. I w katolickim obozie jest to łatwiejsze, niż gdzieindziej. Kiedy bowiem innym partjom brak często stałych przewodnich zasad i ich działalność dyktowaną jest oportunistycznymi względami chwili i taktyki, a te mogą być znane jedynie tylko szczupłemu gronu przywódców, to katolicyzm, przeciwnie, posiada zasady stałe, płynące z ewangelji, skrystalizowane w nauce Kościoła i wskazaniach papieży; kto będzie uświadomionym katolikiem, ten przy całej uległości powadze Kościoła i łączności z episkopatem, nie będzie zmuszony co chwila zwracać się po wskazówki do zakrystji. Wtedy zblednie i widmo »klerykalizmu«, tak wyzyskiwane przez wrogi Kościołowi obóz.

Jak stworzyć tę potrzebną inteligencję katolicką? Oczywiście trudniej na to odpowiedzieć, niż wykazać potrzebę takiej inteligencji. W ramach tego artykułu odpowiem dwoma słowami: skupić rozproszone wierzące jednostki i zabrać się umiejętniej do katolickiego wychowania młodego pokolenia. Tym, co wierzą, dopomóc do pogłębienia ich znajomości katolickiej nauki, zwłaszcza jej życiowych zastosowań, i dodać bodźca do skupienia się pod sztandarem katolickim. Fałszywą zenadę usunie wskazanie na przykład innych, bardziej od naszego kulturalnych krajów, gdzie wszakże inteligencja wszelkich stopni i zawodów nie krepuje się jawnie i czynnie stwierdzać swego katolicyzmu. Może na razie szczupłe tylko da się utworzyć kadry, początek wszakże zrobić trzeba może z mniej licznym, ale staranniej dobranym materiałem. Takim kadrom odrazu wskazać bliższe, możliwe na miejscu do osiągnięcia cele; w pracy łatwiejszej nabędą one wprawy i siły do trudniejszych zadań. Pod tym tylko warunkiem nie podziela

losu niejednej już u nas próby, kiedy się to urządzało kongresy i tworzyło zrzeszenia o szerokim rozmachu, nie obliczwszy się z realnymi środkami i siłami: mowy programowe obracały się w martwą literaturę, a z organizacyj pozostawały tytuły prezesów i sekretarzy. Na wielkie, scentralizowane, całą Polskę obejmujące organizacje czy dzieła, pono jeszcze nas nie stać. Wołano u nas niejednokrotnie: stwórzmy prasę katolicką! Gdzieindziej za takim wołaniem poszedł potężny czyn: w takich Węgrzech umiano w krótkim czasie zebrać dziesiątki milionów na podobny cel i w tej chwili obóz katolicki posiada tam kilka wielkich dzienników, wytrzymujących konkurencję z całą prasą liberalno-żydowską. U nas na stworzenie wielkiego dziennika, któryby posiadał wyraźnie katolickie oblicze, jeszcze nie czas, nie tylko z powodu braku materialnych środków, ale głównie dlatego, że do obsługi takiego dziennika nie znalazłoby się dosyć wyszkolonych sił. Gotujmy najpierw ludzi, a potem dopiero twórzmy wielkie dzieła.

• Młodemu pokoleniu musimy poświęcić najlepsze nasze siły i całą naszą uwagę. Nigdy nie dość przypominać, jakie znaczenie dla wychowania wierzącej inteligencji ma umiejętna nauka religii w szkołach. Nie będąc kompetentnym w tej dziedzinie, nie chciałbym się mieszać do debat, wciąż prowadzonych, o reformie nauczania religii po gimnazjach i podręczników do tego służących. Chciałbym wszakże podkreślić wielkie znaczenie dwóch zwłaszcza działów religii do celów, o których mowa. Są niemi apologetyka i nauka obyczajów. Apologetyka winna być tak postawiona, aby zaniechawszy przebrzmiałe zarzuty i trudności przeciw wierze, wzmocniła podstawy chrześcijańskiej religii, wykazując boski charakter Chrystusa i jego dzieła i wszechstronną piękność chrystjanizmu. Dzisiaj dostarczają zarzutów już nie tyle Darwin i nauki przyrodnicze, ile raczej historia porównawcza religij. Na tę też stronę apologetyki pilniejszą należy zwrócić uwagę. W nauce obyczajów, jeśli uczeń ma pokochać chrześcijańską etykę, przesuniemy punkt ciężkości z wyliczania i katalogowania grzechów na pozytywne przedstawienie ideału cnoty i najszlachetniejszych pobudek czynów ludzkich i ukażemy nie tylko obowiązki prywatne człowieka, ale i chrześcijańskie zasady życia publicznego. Uczniowie starszych klas będą zdolni zrozumieć w głównych konturach i socjologję katolicką i teorję

państwa. Encykliki Leona XIII winny być wyzyskane już w nauce średniej, by ci, którym nie będzie danem zakosztować wyższych studiów, powiększając szeregi inteligencji średniej, wynosili ze szkoły dostateczną znajomość praktycznej strony chrystjanizmu i zapal do realizowania katolickich ideałów w życiu.

Młodzież uniwersytecka winna też być otoczona szczególną opieką ze strony Kościoła, a zwłaszcza ze strony wierzącej świeckiej inteligencji. W innych i katolickich i inowierczych krajach katolicy uważali za jedno z najpilniejszych zadań religijno-moralną opiekę nad studentami. W całym szeregu miast uniwersyteckich pozakładano katolickie domy akademickie, gdzie młodzież obok opieki materialnej znajduje i możność wspólnej modlitwy, i katolicką lekturę, i moralną podpórę, i rozwiązanie dręczących ją pytań i wątpliwości. - I nie myślm, że z tych internatów korzysta tylko jakaś szczupła garstka dewotów. Mieszkańcy ich liczeni są na setki i tysiące. W takim np. Budapeszcie dla samej młodzieży męskiej uniwersyteckiej istnieją aż dwa katolickie internaty, mieszczące razem 540 słuchaczy szkół wyższych. Kolegjaści słuchają co tydzień egzort religijnych, bywają zbiorowo na mszy, kilka razy do roku przystępują do sakramentów św. Wykłady apologetyczne i z zakresu socjologii uzupełniają wyniesioną przez nich z gimnazjum naukę wiary. Zaobserwowano, że najlepsze postępy w naukach na uniwersytecie wykazują właśnie mieszkańcy owych kolegów.

W wielu też miastach dla młodzieży uniwersyteckiej wyznaczani są przez władzę duchowną osobni duszpasterze z pomiędzy kapłanów uczonych i cieszących się uznaniem i zaufaniem młodzieży. Zadaniem ich jest być gotowymi, by spieszyć nie tylko z duchową posługą potrzebującym, lecz przede wszystkim, by rozwiązywać rozmaite trudności przeciw wierze, wskazywać odpowiednią literaturę, dostarczać książek, urządzać odczyty.

Oto praktyczne sposoby pomnażania zastępów wierzącej i czynnej inteligencji świeckiej. Do tego celu winny być zwrócone wszystkie wysiłki ludzi dobrej woli. Do dzieła, póki jeszcze czas, byśmy snąc nie skazali na zagładę resztek katolickiej kultury w drogiej nam Ojczyźnie wolnej.

Ks. Jan Urban.

Stosunek filozofji do teologii¹⁾.

Przez filozofję rozumiem tu naukę, dociekającą najgłębszych tajników bytu, prawdy i dobra, — szukającą odpowiedzi na najdalej idące pytania, jakie sobie stawia w każdym zakresie umysł ludzki, — dającą rozwiązania najtrudniejszych nawet zagadnień, dotyczących wszechświata, o ile tylko rozum ludzki na nie odpowiedź znaleźć może; rozumiem słowem przez filozofję to, co Scholastycy nazywają »nauką o ostatecznych przyczynach wszechrzeczy, osiągniętą siłą przyrodzoną ludzkiego rozumu«, a co nowsi filozofowie unikający skrzętnie wyrażu »przyczyna«, zowią »zdobywaniem sobie ogólnego i możliwie najgłębszego światopoglądu, któryby zadośćuczynił żądaniom naszego rozumu, oraz potrzebom naszego serca«²⁾. Jeśli naukę tę zestawię z poszczególnymi gałęziami wiedzy, to określić ją wypadnie jako »umiejętność ogólną, która usiłuje ułożyć w jednolity system rezultaty badań poszczególnych nauk oraz sprowadzić do ogólnych zasad i prawideł metody badania i pewniki, używane w dociekaniach naukowych«³⁾.

Przez teologję zaś rozumiem wiedzę o prawdach przez Boga objawionych, ale nie prostą wiedzę katechizmową, lecz wiedzę pogłębianą, w system ujętą; wiedzę, o której powiada Leon XIII w encyklice »Aeterni Patris«, że zadaniem jej jest »liczne

¹⁾ Odczyt, wygłoszony na uroczystej Akademji ku czci nowo konsekrowanego N. Ks. Biskupa, Stanisława Łukomskiego, w Poznaniu 17 czerwca 1920 roku.

²⁾ Por. W. Wundt: *Einleitung in die Philosophie* str. 5.

³⁾ W. Wundt, tamże, str. 19.

i różne części nauki niebieskiej w jedno niejako ciało zczłonkować, odpowiednio ugrupować, by każda według swej godności dobrze się na całość składała, a każda niewzruszonemi poparta była dowodami».

Jasnym z tego, że zagadnienie w jakim stosunku pozostaje filozofja do teologii, nie istnieje wogóle dla tych, którzy nie uznają żadnego Bożego objawienia, — którzy nie chcą przyznać słuszności nauce Watykańskiego Soboru, że »podwójny mamy sposób poznania prawd: jeden zapomocą rozumu własnym siłom przyrodzonym zostawionego, — drugi zapomocą wiary w objawienie Boże«¹⁾. Jeśli więc ktoś albo nie uznaje istnienia Boga wogóle, albo, przyjmując jego istnienie, odrzuca możliwość czy fakt Bożego objawienia, dla tego istnieć będzie tylko rozum, starczący mu za wszystko, a z nim ostatecznie filozofja, jako pani i królowa niezależna wszechwiedzy, a nie będzie nawet miejsca w jego światopoglądzie na wiarę i teologję. Takimi są wszelkiego rodzaju racjoniści, odrzucający istnienie Boga, albo przestający na religji czysto przyrodzonej, to jest na świetle rozumu sobie samemu zostawionego opartej.

Właściwe zagadnienie stosunku filozofji do teologii staje dopiero przed tymi uczonymi, którzy przyjmują i światło rozumu i światło wiary. Czy filozofja jest czemś różnem od teologii, — czy ona dochodzi kiedy do odmiennych wniosków niż teologja, — a jeśli to ma miejsce, czy trzeba wtedy słuchać teologii czy też filozofji, — oto na co chciałbym w niniejszej pracy pokrótce, a możliwie jasno odpowiedzieć.

Byli tacy myśliciele, którzy przyjmując Boże objawienie, ciesząc się światłem wiary, lekceważyli sobie albo za nie mieli światło rozumu i całą filozofję. Luter, Melancton, Kalwin, a za nimi Janseniści, w przekonaniu, że rozum nasz po upadku w raju użyty do teologii może tylko sfałszować wiarę, rzucali gromy na teologów scholastycznych za to, że czynili w rzeczach wiary panem rozum ludzki, zamiast Ducha św.²⁾

¹⁾ Por. Denzinger-Bannwart: *Enchiridion Symbolorum et Definitionum*¹² n. 1795.

²⁾ Por. H. Denzinger: *Vier Bücher von der religiösen Erkenntnis*, Würzburg 1857, II Band, S. 549 nn., 568 nn.

Wśród katolików należałoby tu wspomnieć niektóre zbyt śmiało wyrażenia Tertulliana, apologety II wieku, paru przesadnych mistyków średniowiecza, a w wieku XIX, przeceniających na niekorzyść rozumu ludzkiego Boże objawienie, Tradycjonalistów.

Drugi, krańcowo przeciwny, to pogląd tych myślicieli, którzy usługi filozofji względem teologii do tego stopnia przeceniali, że spodziewali się od filozofji gruntownego, zupełnie przejrzystego zrozumienia i udowodnienia nawet Boskich tajemnic, już to z samej natury rzeczy je wywodząc »per rationes necessarias«, już to poddając je przynajmniej wszystko wyjaśniającej analizie, skoro się już te prawdy przyjęło drogą objawienia. Kusili się o to taki Jan Szkot Eriugena w IX w., tacy hyperdialektycy w XI w., zarzucano to Abelardowi, a nawet św. Anzelmowi z Canterbury; starali się to systematycznie przeprowadzić Rajmund Lullus w dziele *Ars magna* w XIII, a Rajmund de Sabunda w swej *Theologia naturalis* w XV w.; tej dążności ulegli też w XIX w. Jerzy Hermes, profesor teologii w Monasterze i w Bonn, oraz Antoni Günther, wiedeński pisarz licznych dzieł filozoficznych i teologicznych.

Trzecie stanowisko w sprawie stosunku filozofji do teologii, to tak zwana teoria dwóch prawd, to jest uważanie tych dwóch gałęzi wiedzy za dziedziny tak dalece odrębne, że coś może być prawdą w filozofji, co jest fałszem w teologii i naodwrot. To sławna teoria niektórych filozofów arabskich z Averroesem w XII wieku na czele. Chcieli oni przy jej pomocy pogodzić twierdzenia Koranu z rozumem; podtrzymywana przez Averroistów łacińskich średniowiecza, doczekała się ta teoria wznowienia i usystematyzowania, na tle filozofji agnostyczno-kantowskiej oraz filozofji immanencji, przez modernistów. Oto główna treść zapatrywań tych ostatnich: Wiara i wiedza, filozofja i teologia, — to dwie całkiem odrębne dziedziny. Wiedza, filozofja, — to rzecz rozumu, — wiara — to rzecz uczucia, woli. Kiedy mię rozum doprowadzi do innych wniosków niż wiara, — ja, jako filozof, będę utrzymywał za prawdę to, co mi mówi o danej rzeczy rozum, — jako zaś człowiek wierzący przyjmę za prawdę religijną to, co mi mówi wiara.

To rozwiązanie spodobało się u nas bardzo prof. Twardowskiemu, który z lubością pisze: »Średniowiecze zespoliło filozofję z teologją, odrodzenie i humanizm słusznie(?) oddzieliło wiarę od

wiedzy, teologję od filozofji. Z takiego stanu rzeczy wyłonił się na nowo dla myśli nowożytnej problemat, który zaprzętywał już umysły w wiekach średnich. Jak mianowicie ma się ułożyć stosunek wiary do wiedzy, — teologii do filozofji, skoro nie mają już tworzyć jednolitej, harmonijnie zespolonej całości? Żadna z nich drugiej poddać się nie chce, każda chce sobie zachować niezależność. Stąd liczne powstają starcia i walki... które wnoszą niepokój i rozterkę w duszę nowożytnego człowieka. Położenie zdaje się bez wyjścia; w istocie jednak nauka wkroczyła już w sposób całkiem wyraźny na drogę, na której dojść można do usunięcia konfliktu. Drogę tę wskazała filozofja nowożytna, zwróciwszy się ku badaniu podstaw i granic rozumowego poznania i przekonawszy się (?), że Bóg i jego stosunek do świata i człowieka nie może być przedmiotem wiedzy rozumowej, lecz jedynie wiary religijnej, że tedy filozofja w sprawach tych wyrokować nie może, gdyż leżą one poza zakresem jej środków poznawczych. Ograniczywszy w ten sposób... swe badania do tego, co podlega doświadczeniu, pozostawiła wolne miejsce teologii do rozpamiętywania spraw, leżących poza zakresem doświadczenia. I jeżeli teologia podobnie postąpi ze swej strony i do tych właśnie spraw się ograniczy, nie wkraczając w sferę zagadnień, podlegających rozumowi i badaniu naukowemu, znikną między filozofją i wiedzą świecką wogóle, a teologją wszelkie powody starć i walk¹⁾.

Wielu zachwyca bardzo takie rozwiązanie naszego zagadnienia, ale czy to prawda, że Bóg i jego stosunek do świata i człowieka leżą, jak chce Kant i wszyscy agnostycy, poza zakresem naszego poznania rozumowego? Czy to prawda, że filozofja ogranicza swe badania do tego tylko, co podlega doświadczeniu (jak chcąpozytywiści), — a nie wznosi się z doświadczenia zapomocą rozumu do szukania ostatecznych przyczyn wszechrzeczy, do tworzenia zdrowej metafizyki? Czy to prawda, że teologia nic nie ma do powiedzenia o rzeczach doświadczeniu podlegających, jak o faktach różnych historycznych, zawartych np. w Piśmie św. Nowego i Starego Zakonu, jak o objawieniu pierwotnem, o działalności proroków, o zmartwychwstaniu Chrystusa? Czy to prawda, że wiara jest tylko rzeczą religijnego uczu-

¹⁾ O filozofji średniowiecznej, Lwów 1915, str. 106—107.

cia, a nie aktem uległego światłu Bożemu rozumu? Czy to prawda, że musi istnieć rozłam i rozterka wewnętrzna w duszy nowożytnego człowieka, wierzącego i filozofa zarazem, i że tylko przy pomocy teorii dwóch prawd dojść on może do duchowej równowagi?

Bardzo to wątpliwe i dlatego nie dziwnego, że istniało i istnieje po dziś dzień czwarte rozwiązanie naszej kwestji, a mianowicie, że teologia i filozofja to dwie odrębne wprawdzie dziedziny, ale nie wykluczające się, tylko się uzupełniające w miłej harmonji i zgodzie; — a jeśli się czasem pojawi niezgoda, to łatwo da się usunąć, gdyż pochodzi ona stąd, że albo teolog źle rozumie jaką prawdę wiary, albo filozof podaje za niewzruszony pewnik to, co jest tylko mniej lub więcej prawdopodobnym naukowym postulatem, przypuszczeniem, hipotezą. I jasna, że zgoda między filozofją a teologją być musi; wszak filozofja opiera się na świetle rozumu, teologja na objawieniu Bożem. I rozum i objawienie dał nam Bóg, — objawienie zaś dał na to, by uzupełnić światło przyrodzone rozumu; to też Bóg sam sobieby się sprzeciwiał, gdyby coś przeciwnego rozumowi kazał wierzyć w objawieniu. Wszak każdy chyba najgłębiej o tem przekonany, że jedna jest tylko prawda, że teorii dwóch prawd na serjo brać nie można, bo ona utrzymać się nie da, ani krytycznego umysłu zadowolnić nie potrafi.

Czwarty ten, pogląd podziela cała filozofja katolicka, z małymi wspomnianymi wyjątkami. Bronili go już pierwsi pisarze kościelni: apologeci, posługując się filozofją grecką dla obrony i głębszego wyjaśniania prawd wiary; wydoskonalili go Ojcowie Kościoła w walce z herezjami; zastosowali go w szczegółach, budując jednolity system filozoficzno-teologiczny, pisarze scholastyczni, — a Kościół św. urzędowy uznawał i uznaje ten pogląd za jedynie słuszny. Przeto nie może być obojętnem dla katolika to zagadnienie. Zabierali bowiem głos w tej sprawie nie tylko poszczególni myśliciele katoliccy, nie tylko papieże, zwłaszcza Leon XIII w encyklice: *Aeterni Patris* o nauce filozofji i Pius X w encyklice: *Pascendi* przeciw modernistom, — ale nawet Sobory powszechne, jak V Sobór laterański w XVI w., a Sobór watykański w XIX.

Jakże więc podług zapatrywań katolickich przedstawia się k filozofji do teologji?

Oto główne zarysy: rozum nasz zdolny jest do poznania przedmiotowej prawdy, zdolny do poznania, nawet istoty rzeczy pod zmysły podpadających, owszem zdolny do stwierdzenia istnienia oraz i poznania istoty Bóstwa, ale ponieważ jest władzą skończoną bytu skończonego, przeto sam sobie pozostawiony wszelkiej prawdy, zwłaszcza prawdy nieskończonej przeniknąć, ogarnąć, wyczerpnąć nigdy nie zdoła. Jeśli więc P. Bogu spodoba się w swej dobroci wzmocnić łaską swoją jego przyrodzoną siłę, by wznosił się do poznania prawd, przekraczających zakres jego przyrodzonej zdolności, to stanie się on zdolnym do zaczerpnięcia z onego oceanu bezbrzeżnego prawdy dobra i piękna nowych i cennych światel. Tak więc światło objawienia i wiary uzupełnia światło rozumu, rozszerza zakres jego widnokregu, teologia jest uzupełnieniem filozofji.

Pobudką przyjęcia rozumowego prawd przyrodzonych, prawd filozoficznych, jest oczywiste przekonanie o ich wartości wewnętrznej; dlatego przyjmuję, że $2 + 2 = 4$, że istnieje Bóg, że dusza jest nieśmiertelna, — gdyż rozum mój już to samorzutnie, już to poddając namysłowej dobrowolnej próbie te prawdy, znajduje na nie oczywiste racje czy dowody. Pobudką zaś do przyjęcia prawd wiary, np. dogmatu Trójcy Przen., nie jest ich wewnętrzna dla umysłu oczywistość, ale powaga nieomylnego, a objawiającego nam je Boga.

Tak więc akt naszej wiary, — to nie akt mętnego uczucia, — lecz jest to akt rozumu, poddającego się pod powagę Nieskończonego Rozumu Bożego, — to uczyniony wprowadzić pod wpływem Bożej łaski, ale uczyniony dobrowolnie akt uległości rozumu naszego wobec wszechmądrości Bożej, a nie akt ślepego jakiegoś instynktu religijnego. My wiemy dlaczego wierzymy; by się poddać Bożemu objawieniu, musimy wprzód wiedzieć, że Bóg istnieje, że Bóg coś objawił, że to objawienie doszło do nas nie skażone, a wszystko to udowadnia nam wyrobiony, zwłaszcza filozoficznie, rozum.

Jeśli już wiem, że P. Bóg coś objawił, że tak a nie inaczej objawił, — nie wolno mi odrzucić samej objawionej prawdy, nie wolno mi np. przeczyć Trójcy Przen., obecności P. Jezusa w Przenajświętszym Sakramencie, wieczności kar piekielnych; — fakt sam muszę przyjąć z ust nieomylnego Boga, choćbym nie bardzo pojmował całą głębię jego wewnętrznej zawartości, — po-

dobnie jak przyjmuję fakt istnienia światła, elektryczności, magnetyzmu, kosmicznego eteru, choć nauka nie bardzo potrafi mi dać zupełnie zadowalającą odpowiedź na to, czem jest istota tych zjawisk przyrody.

Tak więc rozum, zwłaszcza wyrobiony filozoficznie, toruje drogę aktowi wiary, by ten akt był »rozumną służbą Bożą« — *rationabile obsequium Deo* — jak chce Apostoł narodów (Rzym. 12, 1).

Wszelako nie kończy się na tem zadanie rozumu względem wiary, filozofii względem teologii. Umysł nasz pragnie wejrzeć jak najgłębiej w samą zawartość objawionych prawd, a do tego pomagają mu właśnie wyrobione filozoficzne pojęcia i poglądy. Pamiętać bowiem trzeba, że P. Bóg, by być zrozumianym, przemawia do ludzi ich językiem, używa ich pojęć rozumowych przez zmysły ze świata widzialnego zaczerpniętych¹⁾. Pojęcia te są obrazami właściwemi tylko rzeczy pod zmysły podpadających; stosując je do Boga i rzeczy niematerialnych, np. duszy naszej, trzeba już bardzo uważać i bardzo je oczyszczać od zmysłowych naleciałości, a jeszcze ostrożniej wypadnie postępować, gdy się zechce przy ich pomocy wglądać we wnętrze samych Bożych tajemnic. Choć jednak pojęcia te dają nam niedokładne i analogiczne tylko poznanie Boga i jego tajemnic, to przecież wzbogacają one skarb naszej wiedzy niezmiernie, jak się łatwo przekonać o tem, gdy się studjuje teologję.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w skarbnicy objawienia znajdują się nie tylko tajemnice, których istnienia nigdyby nie odkrył rozum samemu sobie pozostawiony, — ale i takie także prawdy, do których sam rozum zdrowo myślący napewno dojść może, np. istnienie Boga i jego doskonałości, nieśmiertelność duszy, nagroda i kary za zachowanie lub niezachowanie Bożego prawa i t. d.

Dlaczego Bóg i takie prawdy objawił, oraz uczynił przedmiotem naszej wiary, na to odpowiada zwięźle a głęboko św. Tomasz z Akwinu²⁾: By poznać prawdy, dotyczące Boga i jego stosunku do świata, trzeba się oddać badaniu prawdy. Wielu zaś ludzi z natury upośledzonych umysłowo nie bardzo to czynić

¹⁾ Zob. św. Tomasz *Summa theol.* 2, 2-ae q. 173 a. 2 c.

²⁾ Por. *Summa contra Gentiles* ks. I. r. 4.

może, więc bez objawienia byłiby oni pozbawieni (może na czas długi) znajomości Boga i swych względem niego obowiązków. Wielu też musi się zajmować troską o rzeczy doczesne i nie bardzo się kwapią do filozoficznych roztrząsań. Inni, choć mają talent, poddają się lenistwu, — ażeby gruntownie poznać Bożą istotę, trzeba przestudjować całą prawie filozofję. Objawienie zaś Boże daje wszystkim gotowe te prawdy, tak że nikt nie może się wymawiać od spełnienia swych religijnych obowiązków. Wreszcie nawet co do tych prawd religijnych i moralnych, do których rozum sam dojść może, nie jest on — głównie pod wpływem namiętności — pozbawiony wahań i niepewności, czego świadkiem tak filozofja starożytna pogańska, nawet platońska i arystotelesowska, jak i filozofja nowoczesna ze swymi najróżnorodniejszymi, wzajemnie się zbijającymi systemami.

Słusznie zatem powiada Sobór Watykański, że Bożemu objawieniu zawdzięczamy, iż nawet te prawdy, które skądinąd są przystępne dociekaniu rozumowemu, obecnie wszyscy, łątwo, z całą pewnością i bez błędu poznać mogą¹⁾. A na innem miejscu poucza: »Rozum i wiara nie tylko nie mogą się sobie sprzeciwiać, ale się nawet wzajemnie wspomagają i uzupełniają: zdrowy bowiem rozum udowadnia podstawy wiary, a światłem tejże oświecony uprawia z powodzeniem naukę o rzeczach Bożych (teologję), — wiara zaś uwalnia rozum od błędów, broni go od nich i obdarza go nowem światłem pod wieloma względami«²⁾.

Pewna to rzecz, że wiara obejdzie się bez filozofji; boć i prostaczek, zdrowego używający rozumu, wsparty łaską Bożą, wierzyć może w objawienie Boże i to nie bezmyślnie, lecz oparty na samorzutnem poznaniu przesłanek wiary. Teologja jednak, to jest głębsza i w system ujęta nauka o prawdach objawionych, nie obejdzie się bez filozofji. Jakiemu kto hołduje systemowi filozoficznemu, takim będzie też teologiem. Teologja bowiem jest albo pozytywna, albo racjonalna. Pozytywna poprzestaje na zestawieniu zdań Pisma św., Ojców Kościoła, dokumentów kościelnych na potwierdzenie danej religijnej prawdy. Racjonalna, opierając się na tym materiale, stara

¹⁾ Zob. Denzinger-Bannwaart: *Enchiridion*¹² n. 1786.

²⁾ Tamże, n. 1799.

się wniknąć w samą istotę prawd objawionych, a nie potrafi tego dokazać bez używania pewnych filozoficznych pojęć i poglądów.

Ważna to rzecz odróżniać wiarę od teologii. Wiara to przyjmowanie pewnej sumy prawd od Boga objawionych: teologia, to nauka starająca się pogłębić treść tych prawd. Co innego dogmat wiary, — co innego zapatrywanie tego lub owego teologa. Może mi się nie podobać zdanie tego lub owego teologa o danej tajemnicy wiary, mogę go nie uznawać, a jeszcze nie przestaję być dobrym katolikiem. I nie wolno mi triumfować, żem obalił całą świętą wiarę, skoro obaliłem zdanie tego lub owego teologa; wszak i teologowie sami zbijają nieraz wzajemnie swoje rozumowe tłumaczenie prawd wiary.

Bo też zwłaszcza, gdy chodzi o niektóre najgłębsze tajemnice wiary św. np. Trójcy Przen., Wcielenia Syna B., wszechwiedzy i rządów Bożych, Przen. Sakramentu i t. d. i najbystrzejszy rozum teologa niewiele nam powiedzieć może. Rozumie on, czego uczy Kościół św., — przyjmuje daną tajemnicę dopiero po przekonaniu się rozumowem, że ona jest prawdziwie od Boga objawiona, — nie potrafi jednak zgłębić całej zawartości tajemnicy, — owszem, broniąc jej przed zarzutami wrogów, nie kusi się o pozytywne tych zarzutów rozwiązanie; wystarczy mu nieraz, że wykaże, iż zarzuty te dla tej lub owej racji nie przekonują i nie wykazują wewnętrznej w tajemnicy sprzeczności.

Takie jest znaczenie sławnego wyrażenia, że tajemnice wiary naszej nie są »*contra rationem*« — przeciwne rozumowi, — choć są »*supra rationem*« t. j. przekraczają jego zdolność dojścia do nich własnymi siłami, oraz do całkowitego i przejrzyściego zgłębienia ich, nawet po otrzymanem objawieniu.

Stoi więc filozofja na usługach teologii katolickiej »*philosophia est ancilla theologiae*«, jak się wyrażają Ojcowie Kościoła, scholastycy, a nawet Papieże w swych dokumentach urzędowych ¹⁾. Ale czy przez to tak bardzo poniżona i pokrzywdzona ta »panna służebna« — *a b c d* (św. Jan Damaśceński), jak się o to boi nowsza filozofja, żądając dla niej zupełnej emancypacji od teologicznych wpływów, — czy też może przez to postawiona

¹⁾ Por. np. Grzegorza IX (Denz-Bannw. nr. 442), Piusa IX (tamże nr. 1656, 1710), Leona XIII (Aeterni Patris), Piusa ✱ (Denz-Bannw. nr. 2087, 2120).

jest tylko na właściwem, należnem sobie miejscu? Cóż większego godne zaufania, czy teologia, opierająca się ostatecznie na słowie nieomylnego Boga, czy też filozofja, płód i wytwór naszego bądź-cobądź omylnego, bo ograniczonego rozumu? Nie krzywdzi więc filozofji taki Klemens Aleksandryjski, sam wielki filozof, kiedy mądrość chrześcijańską, mądrość po prostu (*sophia*) nazywa panią filozofji¹⁾; nie krzywdzi filozofji taki Albert Wielki, sam filozof i przyrodnik zawołany, gdy o teologii pisze: »Ta przeto umiejętność jest celem innych umiejętności, do którego wszystkie zmierzają, odnoszą się jako służebnice«; nie krzywdzą jej nowocześni papieże, kiedy żądającym zbytniej swobody myśli filozofom i teologom przypominają, że »w rzeczach wiary rozum i filozofja nie panować lecz służyć powinny«²⁾. Tak służyć, znaczy królować. *Sic servire, regnare est.*

Przeciwnie krzywdzą bardzo teologję ci wszyscy, którzy odmawiają jej miana prawdziwej nauki. Jeśli ona oświeca ludzki rozum i to w rzeczach dla człowieka najżywotniejszych i to najpewniej, dzięki nieomyłnej powadze Bożej, jeśli posługuje się najgłębszą filozofją, — a mimo to nie jest prawdziwą gałęzią wiedzy, — to chyba wszelkie poznanie rozumowe, wszelka filozofja, nie zasługuje na miano prawdziwej nauki. A niema się co zżymać filozofja, że teologia katolicka wdziera się na jej pole poszukiwania, krępując swobodę badania, gdyż w wielu kwestjach o których Bóg nic nie powiedział w objawieniu, albo które nie niszczą bezpośrednio podstaw tegoż, — teologia zostawia filozofji zupełną swobodę; w innych zaś kwestjach wspólnych przypomina filozofowi objawioną prawdę i przestrzega, aby przeglądnął swe rozumowanie, jeśli ono prowadzi do wniosków, wierze przeciwnych, bo w niem napewno jakiś błąd się mieści (*norma negativa*).

Po tem, co powiedziano, dosyć chyba widoczne, jak rozumem i jedynie słusznem jest czwarte zapatrywanie na stosunek filozofji do teologii, jak przesadnemi są zbytnie poniżania czy filozofji na niekorzyść teologii, czy teologii na niekorzyść filozofji, jak nielogiczną i niepotrzebną dla zdrowo myślącego człowieka jest teoria dwóch prawd.

¹⁾ Strom. ks. I. n. 5.

²⁾ Pius IX przeciw Güntherjanom, Denz.-Bannw.¹² n. 1656.

Niech mi wolno będzie tylko dodać, że kwestja ta jest już, jak wspomniałem, definitywnie rozstrzygnięta dla wierzącego katolika, przedewszystkiem na Soborze Watykańskim. Przytaczam stamtąd charakterystyczny ustęp; wprawdzie mowa tam wprost o stosunku rozumu do wiary, — ale prawie to samo dotyczy stosunku filozofji do teologii: »Chociaż wiara przewyższa rozum (*est supra rationem*), nigdy jednak nie może zachodzić prawdziwa sprzeczność między wiarą a rozumem; ten sam bowiem Bóg, który objawił tajemnice i wlewa wiarę, dał duchowi ludzkiemu światło rozumu; Bóg zaś nie może sam sobie przeczyć, ani prawda prawdzie się sprzeciwiać. Pozór zaś tej sprzeczności stąd się przedewszystkiem rodzi, że albo dogmatów wiary nie zrozumiano i nie wyłożono podług myśli Kościoła, albo mrzonki i mniemania filozoficzne wzięto za pewniki rozumu«¹⁾.

I rzeczywiście wykazuje apologetyka na faktach historycznych, że o ile kiedykolwiek zachodziła ta pozorna niezgoda, winną była nie wiara, ale zbyt porywcze zapędy teologów, albo zbyt szybkie trąbienie na zwycięstwo filozofów²⁾.

I dodano na tymże Soborze kanony: »Ktoby twierdził, że Boga jednego i prawdziwego, Stworzyciela i Pana naszego, nie można poznać przyrodzonym rozumem z tych rzeczy, które są uczynione, — niech będzie wyklęty«.

»Ktoby twierdził, że objawienie Boże nie zawiera prawdziwych i ściśle wziętych tajemnic, lecz że wszystkie dogmaty wiary może umysł dobrze rozwinięty zrozumieć i udowodnić z zasad czysto przyrodzonych, — niech będzie wyklęty«.

»Ktoby twierdził, że z taką swobodą należy zajmować się naukami ludzkiemi, że twierdzenia tychże, choćby się sprzeciwiały nauce objawionej, można uważać za prawdziwe, a Kościół ich nie może potępić, — niech będzie wyklęty«³⁾.

Przypomniał tę naukę Soboru Watykańskiego Modernistom papież Pius X. Jeśli więc ktoś uważa się za wierzącego i praktykującego katolika, a mimo to głosi potępione tu zasady, ten

¹⁾ Zob. Denz.-Bannw. n. 1797.

²⁾ Por. X. Dr. Jdźi Radziszewski, Teologia a nauki przyrodnicze. Włocławek 1910.

³⁾ Por. Denz.-Bannw. n. 1806, 1816.

jest ofiarą grubego nieporozumienia i braku orjentacji w przedmiocie.

Kościół nie jest wrogiem nauki, nie jest wrogiem filozofji. Lecz jak broni wartości rozumu przeciw wszelkim pseudomistykom, tradycjonalistom, agnostykom, tak też ostro strofuje i potępia wszelkich, przeceniających wartość tej władzy: racjonalistów, lullistów, semiracjonalistów. Życzy on sobie, by się rozwijały wszelkie nauki, a wśród nich teologia i filozofja, ale jak powiadają Ojcowie Watykańskiego Soboru ¹⁾ »każda w swym zakresie«, podług przysługujących sobie zasad i metod, nie przekraczając zakreslonych im przez Boga granic i nie zajmując miejsca wiary. Z tego bowiem tylko powstaje wszelkie zamieszanie. Gdy zaś teologia i filozofja pilnować będą swych dziedzin, a gdzie trzeba wspomagać się wzajemnie, wielka zgoda między nimi panować będzie, która im pozwoli zaprowadzić ludzkość aż na wyżyny wiecznej Bożej światłości ²⁾.

¹⁾ Por. Denz.-Bannw, n. 1799.

²⁾ Por. o tym temacie: Marjan Morawski T. J.: Filozofja i jej zadanie, — rozdział XV: Rozum i wiara, — oraz X. Dr. Franc. Barda: Wiara a wiedza (Poznań, św. Wojciech).

Ks. F. Kwiatkowski.

Najnowsze dzieło o unji polsko-litewskiej.

Jeszcze przed wojną rozpoczęto badania na szeroką skalę nad unją jagiellońską; z Akademji Umiejętności wysyłano ekspedycje naukowe do Nieświeża, Wilna, Królewca, których wynikiem dużo nowych źródeł przygotowanych do wydawnictw Akademji. Okazało się kilka prac nowych, pośród których znakomite monografie profesorów Abrahama, Kutrzeby, Fiałka, Brücknera, W. Semkowicza, Rozwadowskiego, pomieszczone w pomyślnym dziele: »Polska i Litwa w dziejowym stosunku«, wydanem w Warszawie ku uczczeniu 500-lecia unji horodelskiej. Przygotowanego do druku »Dyplomatarjusza unji« nie wydała Akademja do tej pory, natomiast prof. O. Halecki wydał w Archiwum kom. histor. ważne do dziejów unji wyimki z Inwentarza archiwum koronnego, sporządzonego ongiś przez wielkiego kanclerza Jana Zamojskiego, objaśniające i genezę i wzrost unji, podczas gdy rzecz prof. O. Balzera o Unji Horodelskiej wydała Akademja w swym Roczniku. Już z tych wzmianek o ruchu na polu badań Unji Polski z Litwą okazuje się że wielu autorów podjęło badania celem rozjaśnienia kwestji unji. I tak Balzer zwrócił uwagę na pierwiastek dynastyczny w unji i objaśnił znaczenie horodelskich aktów; pod względem rozwoju ustrojowego opracował ją Kutrzeba i to od zawiązków aż po lubelski akt z 1569 r.: co do zaprowadzenia chrześcijaństwa, ustalenia katolicyzmu z zachowaniem języka litewskiego, jak również co do wpływu naszego na literaturę litewską, ważne są prace pp. Abrahama, ks. Fiałka, Brücknera, Rozwadowskiego, wreszcie co do

braterstwa szlachty z bojarstwem — prace W. Semkowicza, Haleckiego i t. d., tak, że najważniejsze zagadnienia, z unją związane, zostały opracowane na podstawie nowych źródeł.

Jeżeli uwzględnimy, że już dawniej pojawiło się wiele źródeł, a nadto i prac monograficznych, odnoszących się do unji, zrozumieć łatwo, że nadeszła stosowna pora do podjęcia pracy nad całością, do napisania dzieła, dającego jasne pojęcie o genezie, fazach i skutkach unji w dziejowym jej rozwoju od początku aż po akt lubelski. Podjął się tej pracy prof. O. Halecki w dziele na szerszą miarę, którego pierwszy tom mamy w ręku ¹⁾. Doprowadza w nim dzieje unji do końca XV w. Tom drugi, mający wkrótce wyjść z pod prasy, obejmie dalsze jej dzieje do wiekopomnego aktu lubelskiego. Zbytecznem byłoby dodawać, że autor »Ostatnich lat Świdrygiełły« znawca źródeł archiwalnych, który sam w licznych monografiach porozwijał dużo najtrudniejszych zagadnień, który poodkrywał nowe, nieznane źródła, był najodpowiedniejszą siłą do ujęcia licznych zagadnień w całość dziejów unji Jagiellońskiej. Już w poprzednich pracach zaznaczył autor sąd przedmiotowy, zwięzłość i jasność w charakterystykach tak osobistości jak i epizodów dziejowych, umiejętność podnoszenie rzeczy ważnych, grupowanie materiału obok zasadniczych faz rozwojowych, ostrożność w przechylaniu się do sądów innych badaczy, słowem zalety, nie pozwalające wątpić, że wywiąże się z trudnego zadania dziejopisa Unji ku chlobie naszej nauki. Trudności były niemałe, o ile że w wielu kwestjach, nawet zasadniczych, sądy były rozbieżne, że trzeba było je z rozpatrzeniem całego aparatu naukowego rozstrzygnąć, wybrać z pośród zapatrywań różnych te tylko, które odpowiadały obiektywnej prawdzie dziejowej.

Dzieje unji do końca XV w. ujmuje autor w trzy rozdziały główne, z których pierwszy poświęcony genezie Unji, drugi okresowi Jagiełły, a trzeci okresowi Kazimierzowskiemu, stanowiącemu wraz z okresem za syna jego Jana Olbrachta jedną całość, wtedy to bowiem unja tak się rozluźniła, że trzymała się jedynie jednością dynastji. W pierwszych zaczątkach unji zwraca au-

¹⁾ Oskar Halecki: *Dzieje Unji Jagiellońskiej*, nakł. Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom I. *Dzieje Unji do końca XV wieku*. Kraków 1919.

tor uwagę na czynniki polityczne i społeczne, wreszcie osobiste, a w końcu i dynastyczne, o ile one na zadzierzgnięcie węzłów unji wpływały. Zaraz w pierwszym rozdziale wprowadza nas we właściwy przedmiot z przedstawieniem najdawniejszych stosunków polsko-litewskich, w czasach dzielnicowych zatargów o Ruś południową, wskazując czytelnikowi na tok przyczyn, mających ułatwić kiedyś ściślejsze związki narodów tak na terytorjum jak w dziedzinie życia politycznego i społecznego te terytoria zajmujących. Z wielką znajomością dziejów XIII i XIV w. wnika autor w przyczyny ekspansji litewskiej, w rywalizację Litwy z Moskwą i Polską i na szerokiem tle, a zawsze w związku z głównem zagadnieniem przedstawia walkę pomiędzy Polską a Litwą o Ruś halicką za Kazimierza Wielkiego i Ludwika Węgierskiego. Ochroniona od Tatarów z jednej strony przez Litwę, z drugiej przez Polskę, staje się Ruś terenem rywalizacji pomiędzy Polską a Litwą, ale wspólne niebezpieczeństwa od Niemiec z zachodu a od Rusi ze wschodu grożące, stają się powodem porozumień, ostatecznie zawiązania unji w Krewie. W akcie tym Krewskim widzi H. słusznie program przyszłości, który już Kazimierzowi W. przyświecał, a zarazem i rozwiązanie decydujących zagadnień, przed którymi stała Litwa: jej chrzest, uwolnienie jeńców polskich, odzyskanie ziem tak przez Polskę jakoteż i Litwę utraconych, usunięcie sukcesji austriackiej w Polsce, a to wszystko na skutek inkorporacji Litwy do Polski, a dodałbym obronę Litwy przed krzyżackim mieczem, który uważał ją za teren wyłącznie swej na wschód ekspansji.

Inkorporacja ta, należy zaznaczyć, była koniecznością. Litwa chociażby przy pomocy Polski przyjęła chrzest, mogła wrócić do pogaństwa, jak to się za Mendoga przydarzyło, kiedy to przy pomocy Inflant chrzest przyjęła, a powróciła do pogaństwa, o którym to niebezpieczeństwie przestrzegał Europę t. j. Kurję apostolską i Rzeszę niemiecką Mistrz Krzyżaków. Musiał przeto ktoś ręczyć za Litwinów wobec Europy, a rolę tę objęła Polska, w taki sposób, że Litwa inkorporowana staje się jednostką wobec Zachodu, łącznie z Polską, która też broni Litwy przed napaściami Krzyżaków i niemieckiego imperjum, ale zarazem broni ją krwią i mieniem swych poddanych od Krzyżaków, mających przywilej, powszechny mandat Europy do zawojowania pogan i barbarzyńców. Jasne jest, że gdyby nie taka inkorporacja Li-

twy, tak później przez Litwinów na skutek przyczyn zewnętrznych znienawidzona, — unja w tej lub owej formie byłaby się rozchwiała, a Litwa, której groziło podbicie krzyżackie z zachodu a zruszczenie od wschodu, byłaby narażona na wielkie niebezpieczeństwa.

Przez mianowanie Skirgiełły swym zastępcą na Litwie, a Skirgiełło był to brat Jagiełły wyznania wschodniego, zaznaczył król troistość związku i królestwo swe nad Polską, Litwą i Rusią, z których dwie ostatnie ziemie podlegały Koronie. Przez mianowanie starostów Polaków na Litwie, przez związanie książąt lennych przysięgą Koronie i królowi składaną, przez obdarcie książąt Mazowieckich na Rusi i na Podlasiu paraliżowano opozycję, z jaką oparty o Krzyżaków Witold występował przeciwko Polsce na Litwie i na Rusi. Oddaniem Litwy i Rusi, jako całości administracyjnej Witoldowi, zaspokojono tego ambitnego księcia, a uspokojono Litwę, którą energiczny książę wiódł do coraz większej samodzielności, usunąwszy system dzielnicowych rządów na Siewierszczyźnie w Witebsku, w Kijowie na Podolu, co wszystko prowadziło do konsolidacji z Litwą łącznie z nią związanych terenów ruskich, o które równocześnie wszczął się dawny spór pomiędzy Polską a Litwą. Siegnął bowiem Witold po cały Wołyń, a nawet po Podole, które to nadał w połowie Jagiełło Spytkowi z Melsztyna prawem książęciem, wywołując tem niezadowolenie Korony, także i przeciwko stanowisku Witolda jako samodzielnego księcia zwrócone, o ile że równocześnie miano bronić Litwy przed Krzyżakami, usiłującymi podbić ją pod swą władzę. Z obroną Wilna runął plan krzyżacki, musieli się oni zadowolnić walką o Żmudź. W dążeniu swem począł Witold używać tytułu wielkiego księcia Litwy, opañował Smoleńsk, począł rozwiązywać kwestję tatarską i oparł swe panowanie o dolny Dniepr i ujścia Dniestru. Skłonny do poświęcenia Krzyżakom bałtyckiego wybrzeża Litwy stworzył u brzegów czarnomorskich podstawy jej politycznej i ekonomicznej potęgi.

Z Polski wychodzi protest przeciwko temu biegowi wypadków. Królowa Jadwiga przypomina księciu, że Litwa i Ruś są jej wianem zapisane ¹⁾ i żąda czynszu z tych ziem. Witold odwołuje

¹⁾ Zapisu takiego nigdy nie było — i żądanie Jadwigi musiało mieć inną formę, aniżeli ją podaje kronikarz Zakonn.

się do przedstawicieli społeczeństwa swego, do książąt i bojarów, którzy obwołują go królem Litwy i Rusi, z Krzyżakami zawiera przymierze na wyspie Salin, wszystko za wiedzą i zgodą króla poróznionego z bezdzietną królową, na skutek czego groziło mu, że prawa dynastyczne rodu Gedyminowego ustąpią władzy przyszłego króla z innego zupełnie rodu.

Mimo to Witold w zgodzie z rycerstwem polskim, mazowieckiem, uskutecznia wyprawę na Tatarów, zakończoną klęską nad Worskłą. Pogodzono się z nim kompromisem, przyznając mu godność wielko-książęcą w zawisłości od Polski, a król w nadziei potomstwa godzi się na plan wyodrębnienia Litwy na czas życia Witolda. Zgon królowej Jadwigi i dziecięcia zachwiał temi planami i Jagiello objawił chęć opuszczenia Polski i powrotu na Litwę. Zagrożeni zachwianiem unji Polacy wybierają go ponownie królem już jako dynastę dziedzicznego, na skutek czego trzeba było zachwiany stosunek z Litwą ukrzepić związkiem nowym.

Witold, zagrożony przez działalność Świdrygiełły na Podolu wę spółce z Krzyżakami decyduje się na to, co mu dobrowoltnie ofiarują Polacy. W styczniu 1401 r. Witold wydał nowy akt hołdowniczy Jagielle, Litwa z dzielnicami ruskimi stała się osobistą dzielnicą Witolda, odżyła jako całość i to nie tylko terytorjalnie ale i prawnopaństwowo. Nowy ten stosunek Litwy do Korony zbliżał się najbardziej do lennego. Nie monarchą opartym na elekcji jak 1398 r., ale dożywotnim zastępcą Jagielle miał być W. Ks. Witold. Był on hospodarem książąt na Litwie i Rusi, którzy mu składali przysięgę hołdowniczą, a nie jak dawniej Jagielle. Bojarzy i w stosunku do Korony zyskują prawo, oświadczają się za unją, a polska szlachta, w Radomiu zgromadzona, odpowiada na ich akt wileński. Litwie zastrzeżono, że w razie śmierci Jagielle Polska nie wybierze sobie króla bez ich wiedzy i rady.

Upadłszy z swym programem wschodnim zniszczenia Tatarów, umiał przyjąć Witold polski program uwolnienia zjednoczonych państw od krzyżackiej przewagi. Usunawszy przeszkodę na wschodzie ze strony Smoleńska i Moskwy, oparłszy się na wschodzie o Ugrę i Okę, mógł przystąpić z Jagiellą do walki z Krzyżakami, popartymi przez brata Czeskiego Wacława i brata tegoż króla Węgierskiego Zygmunta luksemburczyków, na drodze dyplomatycznej. Zakusy zerwania unji przypłacili Krzyżacy

klęską pod Grunwaldem. Nie wyzyskano zwycięstwa, gdyż Witold kierował się partykularnemi Litwy interesami nie zaś interesami unji, którą jeszcze przez długi czas podkopywać mieli Krzyżacy. Zyskał tylko Żmudź i to z zastrzeżeniem, że po śmierci Jagiełły i Witolda powrócić miała do Krzyżaków. Wbrew radzie Korony nadał mu Jagiełło Podole, wprowadzając jako lenno, ale i ta darowizna wywołała niezadowolenie szlachty miejscowej, lubo lennem tem wiązał król brata wspólnością interesów z Koroną, gdyż do Podola rościł pretensje król Zygmunt luksemburczyk, przeciwko któremu odświeżył Jagiełło przymierza z hospodarami mołdawskimi i Wołoszczyzny. Pretensje wspomniane do Podola a także do Rusi przyznał król Zygmuntowi na zjeździe w Lubowli¹⁾ z tem, że po śmierci króla lub Witolda, wreszcie Zygmunta, prawa i pretensje kontrahentów lubowelskich będą poddane osobnej rewizji. Także i do przymierza Jagiełły z Habsburgami przystąpił Witold i stosunek jego do króla przybiera formę współrzędów nad całym państwem polsko-litewskim. Wpływ Witolda na sprawy polskie jest faktycznym wynikiem jego znaczenia i potęgi. Tkwiło w tym stosunku niebezpieczeństwo, gdyż przy najniższem z Polską nieporozumieniu rozbieżność pomiędzy zależnością księcia od Korony a faktyczną władzą mogła go pobudzić do opozycji przeciwko wewnętrznej budowie wspólnego państwa.

Trafnie podnosi autor, że powodem do zjazdu w Horodle były usiłowania mistrza krzyżackiego Henryka Plauena w kierunku zniweczenia unji. Solidarność umocniono na zjeździe rozszerzeniem jej na szersze koła litewskiego społeczeństwa przez adopcję bojarów do herbów polskich rodzin, tudzież nadaniem obszernego przywileju sumującego ich prawa, uzyskane przy chrzcie Litwy, z rozszerzeniem tychże i na żmudzkie bojarstwo. W braterstwie szlachty z bojarstwem stworzono czynnik wzmacniający unję na wypadek, gdyby osłabić ją zapragnął czynnik dynastyczny. Pozostała jednak w uchwałach horodelskich pewna rozbieżność pomiędzy władzą W. Księcia a jej przynależnością

¹⁾ Tylko, że układem lubowelskim nie zapewniono sobie ze strony Polski i Litwy dostępu do morza, o ile że taki dostęp już był i port budowano, jak nas o tem zapewnia współczesny Gilbert de Lannoy.

do Korony, oraz między stanowiskiem dynastji a społeczeństwa w sprawie dziedziczności Korony.

Czy za rozbieżnością tą, którą podkreśla autor, ma przemawiać opuszczenie w akcie unji z 1413 r. ustępu zawartego w unji poprzedniej wileńsko-radomskiej, że Polacy bez wiedzy i rady Witolda nie wybiorą króla na wypadek, gdyby Jagiełło umarł bezdzietnie, bez sukcesorów prawnych? Wszakże w 1413 r. była już córka królewska Jadwiga sukcesorem (*iuvenis regina*), a Witold był jej opiekunem, niezawodnie przez panów koronnych naznaczonym, przeto artykuł ów unji 1401 r. był zbytecznym. Nie należało też powątpiewać w przekaz Długosza co do rad Zygmunta Luksemburga w kierunku ukrzepienia unji środkiem adopcji bojarów litewskich do herbów polskich. Powód, który autor podaje, że Zygmunt stał w sprzeczności do polityki Jagiełły i Witolda, jest tu nie wystarczający. Zygmuntowi szło o wpływ na radę koronną i na bojarów przez owo doradzanie i niezawodnie wpływ ten pozyskał, co mu się później w Łucku sowicie opłaciło, chociaż, jak wiemy dowodnie, wydatkował też немало na tę radę. Zresztą sam autor przyznaje, że w braterstwie szlachty z bojarstwem stworzono czynnik poparcia unji, gdyby jej groził czynnik dynastyczny.

W Horodlu stworzono ściślejszą spójnię przeciwko Krzyżakom, z którymi jeszcze po trzykroć w obronie unji miano walczyć, zanim nie zabezpieczono Żmudzi dla Litwy. Żmudź tę wyrokiem swym wrocławskim przysądził król Zygmunt Krzyżakom, czem oburzył Witolda, który wyrok odrzucił. Przyszło do nowej wojny unji z Krzyżakami, zakończonej pokojem melneńskim, na mocy którego Żmudź miała pozostać przy Litwie. Uzyskała więc ona wszystko, czego zapagnęła zawierając unję, podczas gdy Polska nawet nie uregulowała swego stosunku do Zakonu, gdyż nawet sporne granice odesłano do przyszłych zjazdów.

Na zjazdach tych udało się Krzyżakom osłabić zgodę i wspólne porozumienie, wiążące Jagiełłę z Witoldem, który jako polubowny sędzia w sprawach spornej granicy, przysądził młyn nad Drwęcą, Lubicz, Krzyżakom, a gdy Polska odrzuciła wyrok, obiecał Krzyżakom ustąpić Poługi. Senatowi polskiemu udało się przywrócić zgodę pomiędzy władcami. Wpływ Witolda, sięgający portów czarnomorskich z jednej strony, z drugiej zaś Moskwy, gdzie objął opiekę nad wnukiem następcą tronu, podjęcie walk

z Pskowem i Nowogrodem obudziły niezadowolenie w Polsce, rozdziwieniem pomiędzy faktycznem księcia stanowiskiem, a zależnością Litwy od Polski, o ile że dążenia Witolda do stworzenia osobnej metropolji litewskiej w Wilnie zdawały się świadczyć o zamiarze jego ugruntowania odrębności Litwy od Polski, jak je zdradzało przyłączenie Podlasia do Litwy, po śmierci Janusza Mazowieckiego przez Witolda zarządzane.

Spór o to stanowisko faktyczne Witolda zamącił stosunek Litwy do Korony, gdy Zygmunt Luksemburg zamierzył wynieść księcia w Łucku na króla Litwy. Zamiarowi temu nie sprzyjała Korona, mimo że król, mający dwóch synów i dla jednego z nich następstwo na tronie polskim zapewnione, godził się na koronę dla Witolda i z dynastycznego stanowiska, wyodrębnienie Litwy, jako państwa równorzędnego Koronie a dziedzicznego w rodzie Gedymina, zabezpieczało rodowi i dawną ojcowiznę i w dalszej konsekwencji obiór na tron polski, chociaż elekcja miała pozostać wolną.

Wśród takich wątpliwości, nieporozumień i zamieszania umiera Witold, pozostawiając nadto społeczeństwo litewskie, rozdzielone na uprzywilejowaną połowę t. j. Litwę właściwą i na bez przywilejów pozostającą Ruś litewską.

Unja popada po śmierci Witolda w kryzys. Co do wyboru następcy Witolda stanęli Polacy konsekwentnie przy unji horodelskiej, t. j. że władcą Litwy będzie ustanowiony przez króla książę za radą i zgodą Litwinów i Polaków, że król i Korona pozostaną zwierzchnikami wyodrębnionej jako lenno Litwy. Wystąpiono przeciwko Świdrygielle na Litwie, gdyż został wybrany bez udziału Polaków, i powinien złożyć władzę i prosić o jej nadanie. Bojarzy znowu stanęli na stanowisku zupełnej niezależności swego państwa, które na skutek podjęcia planów Witoldowych przez Świdrygiellę stać się miało królestwem. Jagiello z jednej strony zastrzegł sobie zwierzchnicze prawa nad Litwą przez wręczenie Świdrygielle pierścienia, z drugiej znowu zawarł z bratem ugodę, że do 15 sierpnia 1430 r. pozostaną w sąsiedzkim pokoju, a w tym dniu zjadą się celem zawiazania nowej unji. Stosunek ten został zwichnięty zajęciem Podola przez Koronę, w odpowiedzi na co Świdrygiello uwięził króla. By uniknąć wojny z bratem, obiecuje król wydać mu zamki zachodniego Po-

dola, które ksiązę zobowiązał się zwrócić Koronie, gdyby rada królewska sprzeciwiła się nadaniu.

Polacy nie tylko że nie oddali zachodniego Podola, ale zażądali nadto zwrotu ziemi łuckiej. Ratując sytuację, zażądał król od brata przyznania, że dzierży księstwo od króla i Korony, co Świdrygiello brutalnie odrzucając, zawarł w czerwcu 1431 r. za radą Zygmunta Luksemburczyka przymierze z Krzyżakami, zapewniając sobie pomoc ich na wypadek wojny z Polską. Gdy zaś zawrzała wojna na Wołyniu, Zakon uderza na nieprzygotowaną Polskę. Wtedy zawarto z Świdrygiellą dwóchletni rozejm, ale porozumienie, jakie w Sieradzu z Polską ksiązę ten zamyslał uczynić, rozbiło się o stałe jego żądanie, że tylko przy współudziale Krzyżaków pogodzi się z Koroną.

Wtedy to postanowiono usunąć z Litwy Świdrygiellę, a na miejscu jego postawić księcia starodubowskiego, brata Witoldowego, Zygmunta Kiejstutowica. Plan udał się w połowie. Zygmunta wprawdzie posadzono na Wilnie, ale Świdrygiello, napadnięty w Oszmianie, umknął do Połocka. Było tedy na Litwie dwóch władców i dokonał się rozłam jej na dwie części. Zawie-rszyla ją wojna domowa na tle wyznaniowem i narodowościowem, głównie zaś na tle osobistych zawiści dwóch współzawodników, jak sądzi autor. Podział Litwy, na mocy którego przypadłaby Zygmuntowi część właściwa litewska, a Świdrygielle Ruś, odrzucili obaj współzawodnicy. Ci zaś chcąc umocnić swe stanowisko jednali sobie przywilejami najwybitniejszych możnowładców; gdy zaś Zygmunt Kiejstutowic, opanowawszy Litwę, umyślił zgnieść potęgę możnowładców, ci połączyli się przeciwko księciu i ofiarą sprzysiężenia padł Zygmunt, który dzięki poparciu Polski zasiadł na tronie Witoldowym i przy jej pomocy w Grodnie rozszerzył przywileje Litwy na ruskie tejsze dzielnice. Wtedy złożył też hołd Jagielle z tem, że po śmierci jego Litwa wraca do króla i Korony, tudzież że po jego śmierci Litwini z udziałem Polaków wybiorą sobie wielkiego księcia. Nie usunięto jednak wątpliwości, czy po tej śmierci zwycięży zasada inkorporacji Litwy do Korony, czy też wyodrębnienie jej pod osobnym księciem. Nie rozwiązano też sprzeczności co do prawa dziedzictwa Jagielly do Litwy z elekeyjnością w Koronie, owszem przyznano dziedziczne prawo i Jagielle i synom tegoż i Koronie. Zrównaniem praw Rusi Litewskiej umocniono stanowisko Zyg-

munta na Litwie, a Ruś pchnięto w ramiona Świdrygiełły, o ile że Podole włączono do Korony, a i Wołyń oddano Zygmunutowi w dożywocie; Wołyń, Podole, Kijów, Smoleńsk powoli odpadały do Świdrygiełły, którego, dzięki pomocy polskiej, zwyciężył Zygmunta nad Świętą. Tylko Smoleńsk, Połock i Witebsk poddały się Zygmunutowi. Siewierszczyzna, Kijów, Wołyń, Podole wytrwały przy Świdrygiełle, który w sierpniu 1437 r. poddał się Koronie i zaraz ustąpił jej ziemię łucką, reszta zaś posiadłości przypaść jej miała dopiero po śmierci księcia. Gdyby zamiary tej unji (jak ją autor nazywa) ze Świdrygiełłą przysły były do skutku, byłaby ona przybrała formę, jaką jej nadano w 1569 roku w Lublinie.

Ale odnawiając z Zygmuntem unję, obiecując mu Polacy nie przeszkadzać w wyparciu Świdrygiełły z jego posiadłości — wyrzucił go tedy Zygmunta najpierw z Łucka, potem z Kijowszczyzny, wchodniego Podola, tak, że książę umknął na Wołoszczyznę. Ziemie ruskie księstwa złączyły się w rękę Zygmunta z wyjątkiem Latyczowa i Chmielnika, przyłączonych do Polski. Zygmunta, pozostawszy sam jeden na Litwie, doradzał królowi Warneńczykowi posadzić brata Kazimierza na tronie czeskim, a gdy na skutek wyprawy do Czech wybuchnęła wojna Polski z królem rzymskim Albrechtem Habsburgiem, Zygmunta wysłał do tegoż z projektem wspólnego przymierza Litwy z Niemcami. Nie dopuścili Polacy do zdrady, musiał podpisać unję, a dziedziczne prawa syna swego Michała ograniczyć do Trockiej dzielnicy. Zamiar zniszczenia bojarstwa przypłacił życiem — możnaby dodać i zamiar zniszczenia unji.

W r. 1440, roku upadku Zygmunta Kiejstutowica, unja wchodzi w nowy okres. Litwa zrywa stosunek przynależności do królestwa, staje jako równorzędne z Polską państwo z wspólną tylko dynastją względnie władcą, co wszystko stwierdzono zawartym dopiero w r. 1499 nowym aktem unji. Autor wypowiada swe zdanie, oparte na głębokiem znawstwie stosunków ówczesnych, że polityka dążąca do ścisłego dotrzymania unji dopiero wówczas na Litwie rozwijała się pomyślnie, gdy ją kształtowała dobra wola stron.

Trudności w sprawie zacieśniania unji wychodziły przedtem od książąt litewskich, którym trzeba było powierzać rządy, a któ-

rzy uważali się za pokrzywdzonych dziedziców państwa litewskiego lub jego dzielnic, teraz wobec osłabionego ich stanowiska, żaden nie zdołał osiągnąć tronu, który nie wychodził z linii jagiellońskiej. Natomiast możnowładztwo litewskie stanęło na tak wysokim stopniu, że poczęło rozstrzygać o stosunku Litwy do Polski. Uznali możnowładcy zwierzchność Warneńczyka, lecz zażądali, by sam objął rządy W. Księstwa, a gdy tenże z powodu wyprawy węgierskiej wysłał w swem zastępstwie brata Kazimierza, zaraz po tegoż przybyciu wynieśli go na tron wielkoksiążęcy. Uratowano unję wspólnością dynastji, która nie zagrażała odrębności i równorzędności Litwy. Możnowładcy, korzystając z nieletności władcy, ugruntowali swój wpływ polityczny i położyli podwaliny pod swą potęgę ekonomiczną przez liczne nadania ziemskie w tym okresie pozyskane.

I w Polsce magnaci objęli rządy, gdy król włożył na swe skronie koronę węgierską, ale podzieleni byli w stosunku do Litwy na dwa stronnictwa, z których jedno dążyło do ścisłego spełnienia umów zawartych z Zygmuntem Kiejstutowicem, drugie poparło Świdrygiellę, który złożył swemu bratankowi królowi hołd jako wielkiemu księciu Litwy. Równocześnie objawia się separatyzm dzielnicowy, jak w Smoleńsku, gdzie ostatecznie objął rządy możny Sakowicz krewny Dowgirda, jak w Kijowie, gdzie władzę uzurpował słucki książę Olelko szwagier Gasztolda; w Żmudzi, która zawiązała stosunki z Michałem Zygmuntowiczem, rywalem Kazimierza do godności wielkoksiążęcej; na Wołyniu zaś, ziemie łucka, włodzimierska i krzemieniecka odpadły od Kazimierza i poddały się 1442 roku Świdrygielle, który wówczas objął rządy i w Łucku, jako w części wielkiego księstwa, do którego całości rościł prawa. Po upadku powstania na Żmudzi, checiano Michała Zygmuntowicza zaopatrzyć w Małopolsce i obiecując mu księstwo trockie, zaproszono na zjazd z królem. Podlasie zasię otrzymać miał Bolesław Mazowiecki, który je zajął po śmierci Zygmunta. Reszta wielkiego księstwa, ograniczonego do wileńskiej dzielnicy i Białej Rusi, musiała uznać zwierzchnictwo Korony.

Nieporozumienia z Mazowszem pragną pośrednictwem swem uspokoić polscy panowie, ale rozjemstwo swe pragną połączyć z odnowieniem unji. Bolesław zwrócił Litwie Drohiczyn, a Mazowszanie wnet poczęli opuszczać Podlasie i zatrzymać ich zdo-

łał Kazimierz tylko nadaniem prawa polskiego. Ono to stawało się drogą, po której wpływ polski docierał w głąb Litwy. Uspokojono Michała Zygmunto-wicza nadaniem Klecka; udaremniono zamachy na Kazimierza. Tego zachęcają magnaci do naśladow-nictwa Witolda, a po zawarciu przymierza z Pskowem, Nowo-grodem, Mołdawją, korzystając z wojny domowej pomiędzy Wa-silem Moskiewskim a Szemiaką, zerwano z Moskwą napadem na Wiazmę. Wtem przybywa wieść o zgonie króla pod Warną.

Nie ulegało wątpieniu, że Kazimierz zostanie królem pol-skim. Walkę o zasady elekcji uspokoił Kazimierz oświadczeniem Polakom, iż jest władcą Litwy z pełnią praw monarszych i nie ścierpi, by w Polsce kogo innego, prócz niego, obrano królem. Celem nacisku zaproponował Krzyżakom przymierze przeciwko Polakom, podczas gdy ci grozili elekcją innego króla, tak potęż-nego, że mu Kazimierz musi ulegać.

Na zjeździe brzesko-parczowskim sporne sprawy polsko-li-tewskie chciano pogodzić nową unją, nie przyjęto atoli planu, który rozstrzygał wszystko na korzyść Litwy, a wpływ polski ograniczał do wieczystego przymierza dwóch niezależnych państw z możliwością obioru osobnych władców po śmierci Kazimierza, granice zaś miałyby powrócić do czasów jak było za Witolda. Litwini zastrzegli sobie miejsce w otoczeniu króla, gdziekolwiekby on przebywał, w Koronie, czy na Litwie. Napróżno obawiali się wpływu Polaków na króla i swe sprawy, król bowiem zaraz spór drobny terytorjalny pomiędzy Parczowem a Brześciem rozstrzy-gnął na rzecz Litwy. Owszem przed koronacją, przed zatwierdze-niem praw koronnych 5 maja 1447 r. zatwierdził prawa i przy-wileje Litwy, a na pierwszym sejmie koronnym, odbytym pod koniec sierpnia odrzucił wszelkie żądania Polaków. Michałowi Zygmunto-wiczowi odmówił zwrotu ojcowizny, postanowił bowiem, by nie było osobnego księcia Litwy, dokąd zaraz po koronacji pośpieszył, by całą Ruś i Moskwę podbić pod zwierzchnictwo Litwy. Możajski książę Iwan miał uznać brata starszego w Ka-zimierz, gdyby go tenże posadził na moskiewskim tronie. Celem zapewnienia sobie w tej akcji pomocy polskiej, należało wielką wspólną akcję oprzeć na nowej unji. W Lublinie 1448 r. wystą-pili Litwini z żądaniem zwrotu zachodnich włości wołyńskich, gdzie się toczyła walka pomiędzy Świdrygiełłą a Władysławem Mazowieckim. Litwini zapragnęli też usunąć z dawniejszych trak-

tatów unji wyrazy o inkorporacji wielkiego księstwa do Korony. Polacy natomiast pragnęli urzeczywistnienia tego wcielenia przez usunięcie wielkiego księstwa nawet z tytułu i zmianę jego na poszczególne części, podobnie jak w Polsce ziemie koronne się dzieliły na krakowską, sandomierską i t. d. Pragnęli przeto Polacy inkorporacji, a spór o przynależność ziem ruskich był tem samem usunięty. Po swej stronie mieli Litwini króla, dla którego unja personalna była środkiem zapewniającym dynastji jagiellońskiej dziedziczną władzę w obu państwach. Polacy powołują się na tylekroć już dawniej zaprzysiężone unje. Zjazd spełził na niczem.

Mimo to posiłki polskie przybyły na rozpoczęcie wojny moskiewskiej, zajęły gród graniczny, gdy wtem dalszy pochód utrudnił straszliwy napad tatarski na Litwę, wywołany przez Michała Zygmuntowicza, który z Mołdawji dostał się do Said-Achmata i skłonił go do najazdu na wiosnę 1449 r. Tatarzy zajęli Siewierszczyznę i Kijów. Kazimierz wyruszył aż pod Brjansk i zawarł z Moskwą w sierpniu pokój z warunkiem, by Moskwa nie popierała Michała Zygmuntowicza. Litwa przechodzi w okres, w którym przewaga przechyla się na stronę Moskwy; porzuca nawet plany unji cerkiewnej i metropolitę Jonę moskiewskiego uznaje także na Rusi litewskiej. Michał znalazł poparcie u Said-Achmata; gdy atoli pojechał do Moskwy, celem rokowania z posłami Kazimierza, został tam otruty.

W Parczowie pod koniec września 1451 r. miano rozstrzygnąć sporne kwestje pomiędzy Koroną a Litwą, a gdy w czerwcu król przybył do Polski, prośbie o potwierdzenie praw koronnych, w formie zapewniającej przynależność Litwy do Korony, odmówił król, a nawet i co do przyłączenia ziemi łuckiej do Korony wobec choroby sędziwego Świdrygiełły odpowiedział wymijająco obawia się bowiem, by mu Litwa nie wypowiedziała posłuszeństwa. I znowu w Parczowie odłożono zgodę na rok następny. Litwini tymczasem porozumieli się z Wołyńcami, którzy po śmierci Świdrygiełły postanowili poddać się Litwie. W Koronie tymczasem postanowiono Łuck odebrać z bronią w rękę, skoro się atoli dowiedziano, że Litwini już opanowali gród ten i to za zgodą króla, skierowano się z opozycją przeciwko niemu, postanawiając, że gdyby na przyszłym sejmie przyznał Łuck Litwie, natenczas obiorą innego króla. Na to w odpowiedzi pogrozili Litwini, że

w razie nieprzyznania im Wołynia i niezmienienia postanowień unji w duchu równorzędnego przymierza, znajdą sobie pomoc u sprzymierzeńców za granicą. Rozpoczęli też z Krzyżakami rokowania, a Said-Achmata nakłaniali do dalszego pustoszenia Korony. Co więcej, Gasztołd przygotował zamach na króla, którego na stolicy w Wilnie zastąpić miał Radziwiłł Ościkowicz, oddany Gasztołdowi możnowładca.

Znowu król pragnie pogodzić strony. Na zjeździe w Parczowie w czerwcu 1453 r. nie przyszło do zgody. Rozgoryczeni Polacy zagrozili detronizacją lub konfederacją w obronie praw; uzyskali też potwierdzenie praw od króla, ale bez jakiegokolwiek wzmianki o Litwie lub o ziemiach z Koroną spornych. Co do odzyskania Łucka uwzględnił król żądanie polskie o tyle, że w przysiedze na przywileje umieścił ogólnikowy zwrot odzyskania w miarę możliwości oderwanych bezprawnie ziem od Korony.

Dynastyczne stanowisko umocnił Kazimierz małżeństwem z brataną cesarza Fryderyka, co jednak nie wpłynęło na złagodzenie sporu litewsko-polskiego. Wprawdzie wołyńscy panowie postanowili wydać Łuck Koronie, atoli spisek został stłumiony. W tych stosunkach nie mogła się wyłonić nowa koncepcja unji, którą chyba wspólną jaką akcją polityczną, na zewnątrz skierowaną, można było utwierdzić, gdyby akcja taka przyniosła korzyść wszystkim trzem czynnikom, od których zależało jej utwierdzenie: od Polski, Litwy i od dynastji.

Wobec Moskwy rzeczono się już ekspansji. Nadarzyła się sposobność osiągnięcia celów unji, jakie przyświecały pierwszym jej zawiązkom, odzyskania morza i Pomorza, rozwiązanie problemu bałtyckiego, nad bałtykiem zaś panował Zakon krzyżacki, odciąwszy już prawie oba państwa unji od morza. Kazimierz przyjął poddaństwo uciskanych przez Krzyżaków pruskich poddanych. Zaządali też Polacy narady z Litwinami, już to żeby zabezpieczyć się od nich na czas wojny, już żeby skłonić do współdziałania i do współkorzyści z ujść Niemna i Dźwiny. Niestety Litwini jakkolwiek na początku wojny dali czynną pomoc, wnet potem wszczęli rozruchy pod Gasztołdem, dowodząc tem samem, że stracili rozumienie sprawy krzyżackiej, odkąd posiedli Żmudź i chętnie usłuchali prośby krzyżackiego mistrza, żądającego odmówienia królowi pomocy. Skrajne stronnictwo wzięło górę na Litwie, porozumiało się z mistrzem, z którym wojny stanowczo

nie chciano. Gasztołd przeciąga na swą stronę Jerzego Olszańskiego, wuja królewskiego. Stronnictwo to naraża Litwę na niebezpieczeństwa od wschodu, drażni Polaków stanowiskiem co do Podola, a Semena Olelkowicza pragnie wynieść na stolicę wielkksiążęcą.

Dzięki królowi, który obiecał Polakom, że żadnej z dwóch najważniejszych spornych kwestyj nie przesądzi na rzecz Litwy, a ziemianom Rusi dał zapewnienie, że bez ich reprezentacji nie będzie rozstrzygał o ich losie na Litwie, spowodował przy wpływie żony i matki zmianę stanowiska litewskich panów wobec Krzyżaków i wobec Polski, i po śmierci Gasztołda poczęli Litwini wspierać Polaków w wojnie z Zakonem, król zaś obsadzał najwyższe na Litwie stanowiska swymi stronnikami.

W 1459 r. na sejmie (drugim) Piotrkowskim wystąpił Jan z Rytwian przeciwko Litwinom ze słynną mową, przypominając ubytki terytorjalne na rzecz Litwinów, którzy przy stronnictwośći króla, lubo są lennymi poddanymi, mogą się wyłamywać z obowiązków dawania posiłków w wojnie z Krzyżakami. Ci zaś ostatni, odsuwając Litwinów od Korony, pozbawili Polskę korzyści wojny. Owszem Litwini poczęli popierać Krzyżaków w ich rokowaniach o pokój, a na sejmie litewskim brzeskim cała rada skłaniała się do wojny z Polską o Podole, podczas gdy Korona zaprzątniętą była walką o Prusy. Co więcej zażądano od króla, by nie mogąc przebywać na Litwie, ustanowił Semena Olelkowicza wielkim księciem Litwy. Ustępstwami i łaskami, świadczonemi przeciwnikom swym na Litwie, udało się królowi złagodzić antagonizmy. Nawet zatarg o zachodnie Podole, żądanie Litwinów oddania ziemi bełzkiej 1462 roku wcielonej do Korony, udało się królowi odesłać na zjazd pojednawczy w Parczowie. Zatarg próbowano złagodzić ofiarowaniem Krzyżakom Podola w zamian za Prusy. Pograniczne zjazdy lat następnych w sprawie podolskiej spełzły na niczem, zjazdów nie powtarzano, a od 1465 r. nie powtórzyły się zatargi o Podole, dzięki kompromisowemu podziałowi spornych terytorjów, zarządzonemu przez króla. W oblężeniu Chojnic bierze udział wojsko litewskie pod Iwaszkiem Chodkowiczem.

Krzyżacy jednak podburzali wciąż radę litewską przeciwko Polsce i nadaremnie król dowodzi Litwinom, że Zakon czyni to celem wyłudzenia korzystniejszych warunków pokoju. W Toru-

niu zawarto pokój z Krzyżakami bez udziału Litwinów. Tak tedy Polacy zdobyli sobie ujścia Wisły; Litwini zaniedbali odebrać ujścia Niemna, a i na wschodzie stanowiska swego bynajmniej nie umocnili.

Dzięki taktyce króla zdołano w Kijowszczyźnie obalić udzielność Olelkowiczów, król bowiem nadaniem przywileju Kijowianom skłonił ich do przyjęcia swego namiestnika Marcina Gasztoldowicza. Dzięki tej taktyce nie dopominali się Polacy uznania przynależności Litwy do Korony i pominięto tę sprawę w 1470 r. przy zatwierdzeniu przywilejów koronnych przez króla, co się równało przyznaniu równorzędności i czem przygotowano grunt do nowej unji.

Na skutek wojny Polski z Maciejem Korwinem zaniedbano obronę na wschodzie od Moskwy, pozostającej w sojuszu z Mendli-girejem, tudzież od Turków, coraz silniej rozsiedlających się nad Dunajem. Mistrz krzyżacki podburza znowu Litwinów do nieposłuszeństwa królowi i wraz z biskupem warmińskim Tungenem wchodzi w przymierze z królem Maciejem, psując zarazem porozumienie się z Litwą króla, który zarządził sejm litewski w Brześciu w 1478 r., gdzie odmówiono Polakom pomocy przeciwko Maciejowi, chętnie ofiarując ją przeciwko Moskwie i Tatarom. Ale Moskwa, korzystając z niezgód Litwinów, owładnęła Nowogrodem Wielkim, sięgnęła po Smoleńsk i Witebsk. Tatarzy odrzucili Litwę od morza aż po kresowe zamki litewskie. Żądaniu Litwinów, by król nadał im osobnego władcę w osobie jednego z królewiczów, odmówił Kazimierz, nie chcąc za swego życia osobnego na Litwie księcia, atoli pod koniec 1479 r. odebrał od rady swej i od przedstawicieli niektórych dzielnic przysięgę wierności dla tego z synów, który zapanuje na Litwie. Rozłam na Litwie nastąpił na skutek przymierza Michała Olelkowicza z Moskwą i Mołdawją przeciwko Kazimierzowi, które przypłacił księżę ten życiem w 1481 r., Kijów zaś zniszczeniem 1481 r. przez Mendli-gireja i wzięciem do niewoli Iwaszka Chodkowicza.

Zagroził ten rozłam na Litwie także unji z Koroną. Król pragnie umocnić stronnictwo swe na Litwie, pozyskując Bohdana Sakowicza, Mikołaja Radziwiłła, Jana Zabrzezińskiego; jedzie potem na sejm do Lublina, skąd zaproponowano Litwinom wspólny zjazd dla zawarcia unji obu państw. Do porozumienia ostatecznego, który z synów obejmie po ojcu Litwę, który zaś Polskę,

nie doszło przed śmiercią króla, mimo to umierał spokojny o losy unji, gdyż zastrzeżono sobie obustronnie: Polacy i Litwini mają sobie być radni i pomocni przeciwko każdemu nieprzyjacielowi, gdzie tylko zajdzie najpierw potrzeba. W obu zaś państwach Kazimierz pozostawił zastęp mężów, przekonanych o konieczności związku i gotowych do pracy nad jego unormowaniem.

Według woli Kazimierza († 7/VI 1492) syna jego Aleksandra, który pozostał na Litwie dla bezpieczeństwa od nieprzyjaciół, obrano wielkim księciem 30 lipca na sejmie wileńskim, skąd też wysłano do Polski dwóch z rady na elekcję polską, gdzie proponowano wzajemną pomoc za ścięśnienie unji i wybór Olbrachta, w myśl woli zmarłego króla i czem przyczyniono się też do elekcji Olbrachta. Pomoc atoli przeciwko Iwanowi Moskiewskiemu 1493 r. uczynili Polacy zawisłą od ponowienia unji jeszcze 1440 r. zerwanej. Olbracht zaś poradził bratu Aleksandrowi, że względu na niebezpieczeństwa grożące bratu Władysławowi Węgierskiemu, zawrzeć pokój z Iwanem i poślubić tegoż córkę. Skoro Helena przybyła na Litwę, Jagiellonowie podnieśli już kwestję czarnomorską wspólnymi siłami Litwy i Polski i to w ten sposób, by bratu Zygmuntowi zapewnić Kijowszczyznę, czyli — jak autor słusznie podnosi — podniesiono myśl trialistycznej formy unji. Litwini nie przystali wszakże na taki podział Litwy, oświadczyli jednak gotowość pieniężnego odszkodowania Zygmuntowi. Natomiast widoki unji były najlepsze. Polacy bowiem zapragnęli odnowić ją na zasadzie dyplomu horodelskiego, w redakcji panów litewskich przyjętego przez panów koronnych, w którejto o podrzędności Litwy, o wcieleniu jej nie było mowy. Nie przyjęli jednak Polacy tego dokumentu, a to na skutek dodatku, że elekcja w każdym państwie miała być ograniczoną do wypadku wygaśnięcia linii jagiellońskiej, że następcę należało wybrać z linii tej w drugim państwie pozostałej, co by oczywiście pozbawiło Polaków wolnej elekcji. Gdy jednakże Litwini uparcie trwali przy potwierdzeniu unji 1413 r. we wspomnianej redakcji, rzecz pozostała w zawieszeniu. Mimo tej niezgody co do redakcji dokumentu, omawiano w Parczewie wyprawę czarnomorską. Sam Aleksander z wodzem swym Konstantym Ostrogskim wyruszył na Olbrachtową wyprawę. Gdy jednak w wyprawie zaszedł zwrót, że trzeba było ukarać Stefana Mołdawskiego za na-

jazd Pokucia, Litwini odmówili dalszego poparcia. Klęska bukowińska i najazd Stefana na państwa Jagiellońskie wspólnie z Turkami sprawiły, że nadzieja odzyskania brzegów czarnomorskich była straconą.

W 1449 r. Litwini na skutek zagrożenia im równoczesnego od Moskwy, od Tatarów i od Turków, wysyłają posłów celem odnowienia unji z Polakami, ale na zasadzie równości i uzyskują unieważnienie poprzednich zapisów o podrzędności Litwy mówiących. Nad dynastją o tyle odnieśli wówczas Polacy zwycięstwo, że postanowiono, by elekcje tak króla, jak i w. księcia nie następowały bez wiedzy i rady panów, a co do Polski także i bez szlachty drugiego państwa.

Tak przeto unja staje się przymierzem dwóch państw. Współcześni wszakże uważali ten związek za unję, zwłaszcza gdy przyszedł do skutku z odnowieniem dawniejszych. Usankcjonowano rozluźnienie związku, podczas gdy dynastja zastrzegła sobie, że i przy przyszłych elekcjach na Litwie wybór chociażby i przy współudziale Polaków musi doprowadzić do elekcji Jagiellończyka. Unja 1499 r. przyobleka w przepisy prawne to tylko, co się wytworzyło w ostatnich 50 latach. Co do ziem ruskich, uznano milcząco stan posiadania. Unja ta była niedostateczną i z tego względu, że pominięto przedstawicieli dzielnic ruskich, dopominających się już nieraz o udział w sprawach ogólnopaiństwowych; wszakże brali już udział w sejmach wileńskich, wszakże w Polsce Ruś miała już głos w najważniejszych nawet sprawach Europy.

Rezultat pracy naszego uczonego w pierwszej części dzieła jest ten, że unja, jak się w ciągu XV w. rozwija, jest najpierw inkorporacją Litwy do Korony, potem unją personalną, dynastyczną, wreszcie luźnym tylko związkiem narodów i państw, • który jednak przez samych związkowych był za unję poczytany i wolą kontrahentów bardziej aniżeli przepisami prawnymi utrzymywany. Unja, w myśl Haleckiego, jest wypadkową trzech czynników: Polski i Litwy-Rusi, tudzież dynastji. Ten czynnik ostatni najgłówniejszą w związku narodów odgrywa rolę; on bowiem usuwa z drogi nierówności, pochodzące i z charakteru różnego narodów i z ich rozbieżności w dążeniach, łagodzi scysje i nieporozumienia wzajemne, buduje zgodę, umacnia wzrastającą ufność

i wiarę w korzyści wspólne, wreszcie w najtrudniejszych chwilach świeci ofiarnością, jak ów Jagiełło, który koronę własną kładzie na ołtarzu unji, lub jak Kazimierz, narażający się na niebezpieczeństwa utraty życia, aby ratować dzieło ojca. Tylko dzięki czynnikowi dynastycznemu unja, stającą się z postępem czasu coraz luźniejszym związkiem, utrzymuje w nim narody w najpoważniejszych dla nich chwilach wzajemnych niebezpieczeństw, czy to krzyżackich przewag za Jagiełły, czy też moskiewskich i tatarskich, za jego synów i wnuków. Jeżeli oba państwa, lubo nie ściśle złączone, stanęły wałem broniącym Europę od Tatarów i Turków, i pomyślały o odzyskaniu na nich brzegów czarnomorskich, działo się to głównie dzięki poważnemu czynnikowi dynastycznemu, za słabemu wprawdzie, aby przeprowadzić wspólną ofensywę narodów, ale zdolnemu zasłonić je od klęski, a Europę od najazdów barbarzyńskich. Uchrześcijaniona Litwa, wyodrębniona jako państwo, a tylko lennemi niejako związkami spojona z Koroną, poczyną u siebie rozwijać życie zachodnie przez szlachtę i bojarów, biorące coraz większy udział w pracach obronnych, w zasłanianiu Europy od nacisku barbarzyńców. Co prawda, nienaturalnego a niepomiernego doznaje wzrostu możnowładztwo litewskie, od którego wychodzi opozycja i przeciwko unji i przeciwko dynastji, ta ostatnia jednakowoż i te zapory przezwycięża, usuwa głowy opozycji, a osłabia ją tak wysuwaniem na czoło Litwy swoich stronników, jakoteż rozszerzaniem przywilejów na szersze kręgi ruskiego ziemianstwa. Co do tego ostatniego inicjatywa wychodzi od Polski. Szlachta polska jest dźwignią wyniesienia bojarstwa ruskiego do wysokości szlachty zachodniej za pomocą rozszerzenia praw i przywilejów polskich na ziemie ruskie. Podnosi to autor, dowodząc konsekwencji w postępowaniu Polaków wobec Rusi a niekonsekwencji Litwy, gdzie partykularyzm Rusi o wiele silniejszy był aniżeli w Koronie, na której stosunki zapatrując się, litewska Ruś dąży do praw dobrych chrześcijańskich jak w Koronie. Ale Kazimierz nie spełnił tych żądań, zabezpieczył księstwom i ziemiom połockiej, witebskiej, smoleńskiej, kijowskiej partykularne prawa, toż ziemianie załatwiali swe sprawy na zjazdach dzielnicowych, o ogólne sprawy dzielnicowe nie dbali, i tą obojętnością ułatwiali odpadanie dzielnic nadokskich do Moskwy. Co do niezadowolenia z powodu wyłączości, z jaką magnaci litewscy kierowali po-

lityką wschodnią, podnosi autor, że ruch ten nie miał charakteru narodowościowego, możnowładztwo bowiem litewsko-ruskie było już jednolite i jednością swą zastępowało braki jednolitości państwa.

Nie ze wszystkimi, jednak twierdzeniami autora o stosunkach czy to Litwy czy dynastji do Rusi litewskiej można się zgodzić. Przyjmuje np. autor, że Podole, nadane w lenno Spytkowi Melsztyńskiemu, który tą dzielnicą władać miał jak inni książęta Litwy i Rusi, pozostawało pod naczelnem zwierzchnictwem Witolda, a więc Litwy. Bardzo wątpić należy, by nadanie uskutecznione w stolicy Polski, wobec rady wyłącznie polskiej i na ręce kanclerza polskiego Zakliki, w którym ani wzmianki nie było o Witoldzie i o Litwie, a tylko o lennej służbie Melsztyńskiego wzorem innych książąt litewskich i ruskich, mogło być uważane za poddanie Spytka pod rządy Witolda. Owszem, król polski wyjmuje z lenna Spytkowego dwa powiaty: Trębowłę i Ściankę i dodaje, że te zostaną na prawach, na jakich pozostawały za króla polskiego Kazimierza W., tudzież za rządów Opoleczyka, — tych zowie król swymi przodkami, chociażby niewątpliwie był pomieścił tutaj Olgierda, gdyby był nadał lenno, jako litewskie. O Litwie ani słowa; nawet ustęp, że Międzyborze i Winnica pozostaną przy królu i jego sukcesorach, nie może ściśle biorąc odnosić się do Litwy, tem mniej do Witolda. Co do Spytka samego zastrzega wyraźnie król, że jemu i sukcesorom, królom Polski, lenną służbę oddawać będzie. Niezadowolenie z powodu tego nadania lennego, wywołane w Polsce, nastąpiło nie z powodu oddania Podola pod litewskie zwierzchnictwo, gdyż o takowem i mowy być nie może, ale z powodu utworzenia lenna na ziemi polskiej. Wszakże przyrzekał król nie dawać grodów na Rusi książętom!

Świdrygiellę pojmuje badacz ostatnich lat tego księcia, jako meża, który zaraz po śmierci Witolda, podejmując tegoż plany koronacyjne, nie chciał zerwania unji, owszem upatruje nawet podstęp Korony w stosunku do Świdrygielly (274), nie bacząc, że wobec księcia, który tylekroć już złamał przysięgi i wysługiwał się zawsze Krzyżakom, musiał król działać z wielką ostrożnością. Co do stosunku tego księcia do unji, wystarczy chyba zaznaczyć, że samo podjęcie zamiaru koronacji, od którego już Witold z obawy zerwania unji odstąpił, było oznaką zerwania, a uwięzie-

nie króla, układy z tegoż wrogiem królem Zygmuntem i z Krzyżakami, brutalne traktowanie posłów polskich, toć przecież dowody jaskrawe wprost wrogiego stanowiska, jakie ten książę zajął zaraz po wyniesieniu swem wobec unji. Autor sądzi, że ten, który i Polskę zapragnął mieć w swem przymierzu z królem Zygmuntem, nie związał się z nim przeciwko Koronie, nie bacząc że wszakże chęcią takiego włączania i Polski do przymierza obłudnie pokrywał swe wrogie zamiary. Świdrygiello, który tyle czasu bawił w Malborgu, tyle stosunków miał z Krzyżakami, bawił na ich żołdzie, był na wskrós uczniem ich, a tem samem politykiem przebiegłym, umiejącym stosownie do chwilowej potrzeby rozmaita przybierać postać, tak dobrze życziwego dla unji księcia, jak i gorliwego katolika, praktykującego nawet najakuratniej nakazy Kościoła — autor jednak nie wierzy źródłom podającym w podejrzenie katolicyzm księcia, mówiącym o stronnictwie przez tegoż księcia wynoszeniu Rusi (290—291), i stara się tłumaczyć wojnę jego z Zygmuntem Kiejstutowiczem czysto osobistym antagonizmem. Co prawda umiał Świdrygiello upozorować katolicyzm swój i pismem do soboru, dowodzącem zamiarów unji cerkiewnej i prośbą do papieża o dyspensę od łaźni (por. 307), ale te i inne jeszcze osłaniania szkodliwej dla katolicyzmu akcji księcia, nie zmieniają sądu o nim współczesnego Długosza, sądu dodajmy popartego tem, że na skutek podjętej przez księcia akcji nastąpiło osłabienie katolicyzmu na Litwie, który był i podstawą i tarczą unji. Zastój, jaki nastąpił na skutek zgubnej wrogiej unji akcji tego księcia, spowodował zastój w obsyłaniu przez Litwinów krakowskiego uniwersytetu, jak to podniósł ks. prof. Fiałek, zastój w akcji Kościoła na Litwie, upadek katolicyzmu tak umocnionego przez twórcze prace Jagielly, Witolda z wielką korzyścią i Litwy i cywilizacji chrześcijańskiej. Dodajmy i to, że tak przewrotny człowiek nie mógł przecież działać tylko jako antagonistą Zygmunta Kiejstutowica, a chociażby i z takich wyłączenie działał pobudek, to w skutkach jego akcja była dla unji zgubną, czego jednak nie zaznaczył autor. Natomiast, widocznie pod wpływem nieprzychylnych unji zapatrywań, obciążył niesłusznym zarzutem Polaków, że ci w przywileju krakowskim z 1433 roku (Cod. ep. II N. 212 § 18) pominęli postulat zrównania Rusi litewskiej co do praw i przywilejów z Litwą. Bezpodstawność zarzutu wynika chociażby stąd, że w przywileju, dotyczącym wewnątrz-

nych stosunków Korony polskiej, nie można było tykać i przesądzać stosunków wewnętrznych Litwy. Stany zresztą sejmujące w Krakowie, rozciągając podówczas prawa i przywileje polskie i na koronne ziemie ruskie, spełniły temsamem pośrednio postulat, którego braku niesłusznie dostrzega autor, albowiem uprzywilejowanie Rusi polskiej było dyplomatyczną wskazówką dla Litwy w kierunku zrównania co do praw Rusi litewskiej z Litwą właściwą.

Wszakże te i tym podobne niedokładności i opuszczenia nie uwłaczają dziełu, wnoszącemu do nauki, jak już ze streszczenia wypływa, cały zrab rezultatów głęboko umotywowanych, jak np. co do wpływu uprzywilejowania ruskiego bojarstwa w Koronie na przywileje ich na Litwie, co do możnowładztwa litewskiego, paralizującego ściślejszą unję, jak co do charakteru walki na Litwie w czasach powitołdowych o charakterze bardziej antagonizmów i osobistych zawiści aniżeli na tle religijnych lub narodowościowych zapasów toczonej, a w szczególności o wpływie pierwiastka dynastycznego na kształtowanie się unji i tyle innych jeszcze ważnych punktów wytycznych w dziejach unji, podniesionych, rozjaśnionych, ujętych w całość, dającą nam prawdziwy obraz dziejowy głównych faz ewolucji, jaką przechodziła unja jagiellońska w XV w. Drugi tom »Unji Jagiellońskiej«, który się ukazał w czasie składania niniejszego sprawozdania, będzie omówiony oddzielnie.

Dr. Antoni Prochaska.

Norbertanie i Norbertanki w Polsce¹⁾

Według źródeł historycznych posiadał zakon Premonstratenński w Polsce 15 klasztorów, mianowicie 4 męskie pod zwierzchnością opatów i 11 żeńskich, których przełożonymi byli proboszczowie; jedynie proboszczowi z Czarnowasa przysługiwał od r. 1738 tytuł opata-infulata.

Nie mamy dokładnej pewności, w którym roku został do Polski wprowadzony zakon norbertański. Przywilej Aleksandra, księcia kujawskiego, podaje jako datę założenia opactwa premonstratenńskiego przy kościele Trójcy św. w Strzelnie r. 1124, ten zatem klasztor strzeleński powinien być za pierwszy a więc i za najstarszy klasztor norbertański uważany. A przecież rzecz ta jest więcej niż wątpliwa. W tym roku bowiem posiadał założyciel zakonu dopiero 5 klasztorów na zachodzie; bulla papieska, potwierdzająca zakon, z roku 1126 wymienia ich 9, ale nie przywodzi żadnego z Polski. Wprawdzie obszary tej ziemi nie mogły być obce św. Norbertowi, który w r. 1126 podniesiony został do godności arcybiskupa magdeburgskiego († 1134) i jako taki wyrobił sobie u Stolicy Apostolskiej potwierdzenie praw metropolji magdeburgskiej nad podlegającymi jej biskupstwami w Polsce i na

¹⁾ Autor niniejszego szkicu, Norbertanin austriacki, jest autorem obszerniej historii swego zakonu w języku niemieckim, dotąd z powodu trudności wydawniczych nieopublikowanej. O autorze to jeszcze dodać należy, że podczas wojny światowej zyczliwą opieką otaczał naszych uchodźców z wschodniej Galicji, którzy w krajach austriackich schronienia szukać musieli.

Pomorzu (w r. 1133). Także gorliwy biskup płocki Aleksander (1129—1165) i brat jego Walter, proboszcz kapitulny płocki (później biskup wrocławski 1149—1169) pochodzący z Malsum w Belgji i dobrze znający opactwo Floreff, mogli rozszerzyć sławę nowo założonego premonstratenskiego zakonu i w polskiej ziemi¹⁾. Założenie żeńskiego klasztoru Norbertanek w Strzelnie należy raczej przenieść w lata 1148—1153.

Jeżeli nie strzeleński klasztor, to najstarszym klasztorem w Polsce byłoby opactwo św. Wawrzyńca pod Kaliszem, które założył roku 1139 Piotr Włast Dunin († 1153), a które w r. 1180 zostało przeniesione do klasztoru pobenedyktynskiego, św. Wincentego pod Wrocławiem, a w r. 1529 pod temże wezwaniem do samego miasta Wrocławia (na miejsce pofranciszkańskiego klasztoru). Drugie opactwo z rzędu powstało za czasów Bolesława Kędzierzawego († 1173) pod Brzeskiem, około r. 1170, przeniesione w XV wieku do Hebdowa, dla bezpieczniejszego położenia. Stare podanie zakonne twierdzi, że pierwsi zakonnicy tego opactwa pochodzili z Pragi, z opactwa strahovskiego (założonego 1142), dlatego prałat tamtejszy rościł sobie prawa opata-ojca do klasztoru hebdowskiego.

Pomiędzy rokiem 1149 a 1164 powstał klasztor Norbertanek na Zwierzyniu, pod Krakowem, fundowany przez Jaxę z Miechowa († 1176); po roku 1179 opactwo męskie w Wito-wie (w dekanacie piotrkowskim), założona przez Wita, biskupa płockiego, który w czasie swoich rządów djecejalnych (1179—1205) dał zarazem początek klasztorowi Norbertanek w Płocku. Następnie powstały klasztory żeńskie w Busku, przy Stopnicy (około r. 1190), Czarnowąs pod Opolem (początkowo założony w Rybniku przed r. 1211, następnie przesiedlony do Czarnowąsa r. 1228), Żuków, na Pomorzu (zwany niegdyś Stolpa, po niemiecku Zuckau) około r. 1226; Imbramowice (powiat Olkusz) między r. 1223—25, Krzyżanowice, nad Nidą (1254); później po 200 latach, powstało męskie opactwo w Nowym Sączu, pod wezwaniem św. Ducha (1410), którego pierwszym opatem był »mistrz Jan z Pragi« — wreszcie fundowane w XVII wieku klasztory panińskie: Łęczycza (1609), św. Norbert w Krakowie (1636) i Bolesławiec (1646).

¹⁾ Barbier, Histoire de Floreffe, Namur 1892, I. T. 72.

Najdawniejsze wiadomości, dotyczące stosunków zakonnych Premonstratensów, sięgają roku 1218, w którym opat generalny Gerwazy z Prémontré (porównaj Karola Ludwika Hugona »*Sacrae antiquitatis monumenta*« I; *Epistolae Gervasii*) mianuje opata Norbertanów z Milewska (Czechy) imieniem Gerlak (Jarloch) sławnego annalistę, wizytatorem klasztorów w Czechach, Morawach, w Polsce i na Węgrzech, z mocą subdelegatom przysługującą. W listach swoich wspomina klasztor płocki, także biskupa Iwona z Krakowa, wielkiego dobrodzieja zakonu, z którym utrzymywał zdawna przyjaźń, poznawszy go w Paryżu. W roku 1320 podzielono zakon na cyrkarje (provincje) stosownie do narodowości i układu państwowego, wtedy wyłoniła się także cyrkarja polska. Najwybitniejszymi w niej były opactwa w Witowie i Hebdowie; wrocławskie św. Wincentego, nad którym prawo ojcostwa przyznawał sobie opat z Steinfeldu nad Renem, wyodrębniło się (*exempcja*) w r. 1415 zupełnie, otrzymawszy bezpośrednio nad sobą zwierzchnictwo Stolicy św., w roku 1641 zrezygnowało wreszcie i z tego wyjątkowego stanowiska swego i przyłączyło się wraz z klasztorem w Czarnowąsie do czeskiej cyrkarji zakonnej.

Napady tatarskie, które z tego zakonu w Polsce dostarczyły niebu męczenników, jakoteż niepokoje husyckie i inne zamieszki wojenne, trafiające się w ciągu wieków, zadały klasztorom norbertańskim wiele krzywd i strat materialnych i moralnych. W roku 1415 starano się przyłączyć klasztory żeńskie w Imbramowicach i Krzyżanowicach do klasztoru w Busku, tworząc z trzech jeden centralny, lecz po 70 latach wyzwolił się, wracając na swe pierwotne miejsce, klasztor imbramowicki, natomiast Krzyżanowice zajęli zakonnicy bracia, utworzywszy z klasztoru żeńskiego, męski z probostwem w r. 1660 (gdzie nawet jakiś czas istniał nowicjat) zawisłem od opactwa w Witowie.

Sławny opat Loheliusz ze Strahowa (Praga) i niektórzy z jego następców (Kwestenberg, Hochmann), zamianowani przez generalnego opata wikariuszami zakonnymi dla prowincyj, do których liczono i Polskę, przedsiębrali kilkakrotnie wizytacje klasztorów, tamże i postanawiali odpowiednie reformy. Od czasu do czasu odbywały się też kapituły prowincjonalne w Polsce, lecz dla zbyt znacznej odległości, rzadko przybywali opaci polscy na kapituły generalne do Prémontré. Miała Polska i z pośród swo-

ich opatów, mianowanych przez generała zakonu, generalnych wikariuszów dla swojej cyrkarii, jak proboszcza Mikołaja ze Strzelna (1671), Jana, Teofila Grzembskiego (1682), Michała Wilkońskiego z Hebdowa (1692—1727) i t. d.

Opactwo w Hebdowie poszło w komendę już w drugiej połowie XVI wieku i pozostało w niej do końca — i Witów miał opatów komendatariuszów (1601—1736), z których niektórzy, objawszy to stanowisko, przyjęli i białą suknię zakonną. Kilku z polskich Norbertanów otrzymało godność biskupią, jak np. mistrz Piotr Thomas z opactwa św. Wincentego, jako biskup suffragan ze Sarepty (1354), Wojciech Tolibowski, profes witowski, od r. 1636 proboszcz w Płocku, następnie r. 1654 biskup w Poznaniu; Stanisław Całowański, także z Witowa, proboszcz płocki, a później tamże, t. j. w Płocku, biskup († 1690); Ludwik Stepkowski, opat hebdowski, biskup kamieniecki († 1664); następca jego w opactwie Michał Wilkowski, zrezygnował z ofiarowanej mu godności biskupiej. Ostatni wikariusz generalny, Eustachy Stanisław Suchecki de Suchezyce, podpisywał się (w latach 1771 a nawet 1790) »prałat królestwa polskiego, opat witowski, opat-ojciec Bolesławca, Płocka i Krzyżanowie, wizytator i gen. wikariusz w Wielko- i Małopolsce i w Prusiech« († 1803). Ostatni opat z Witowa, Wojciech Kamiński zmarł r. 1833.

W r. 1772 dostały się Strzelno i Żuków, a jeszcze r. 1742 Wrocław i Czarnowąs pod rządy pruskie. Zwierzyniec wraz z Krakowem po rozbiorach należał do rzeczypospolitej krakowskiej, a ostatecznie od 1846 do Austrii. Z polskich klasztorów zniesiono najprzód za Józefa II Nowy Sącz r. 1782, po śmierci tamtejszego opata Lassoty (1781), klasztor służył długi czas za magazyń. wreszcie zajęli go OO. Jezuici 1831. Klasztor św. Norberta w Krakowie zamknięto r. 1803, zakonnice tamtejsze wróciły na Zwierzyniec, kościół zaś z klasztorem oddano grecko-katolickiej parafji. W r. 1810 skasował król pruski klasztory we Wrocławiu i w Czarnowąsie, kościoły pozakonne służyły dotąd za parafjalne wiernym, zaś w budynku opactwa wrocławskiego umieszczono sąd wyższy krajowy; klasztor czarnowąski służył za przytulisko i dom sierot. Jeszcze w r. 1793 istniała przy klasztorze wrocławskim publiczna szkoła przemysłowa. Opactwa w Hebdowie i Witowie zniesiono r. 1819 za carskich rządów, kościoły zakonne zamieniono na parafjalne. Podczas walk nad Nidą (w ostatniej wojnie)

zniszczyły pociski armatnie wieżę kościoła hebdowskiego (Nowości ilustr. Kraków 1915, Nr. 18). Podobnie i żeńskie klasztory w Łęczycy i Bolesławcu zamknięto w r. 1819, a budynki oddano na cele świeckie; Krzyżanowice w tymże roku obrócono na parafję, przy której pozostał proboszczem X. Isfryd Biegański, profesor ze zniesionego Witowa. Klasztor panieński w Strzelnie przeznaczył rząd pruski na wymarcie (w r. 1847 żyły jeszcze 4 zakonnice i ostatni proboszcz-infułat Ksawery Salmoński), podobnie klasztor w Żukowie (gdzie wymarły r. 1862); kościoły obadwa zamieniono na parafjalne; budynki klasztoru żukowskiego sprzedano 1863 r. Ze zniesionego (1819) klasztoru w Busku przeniosły się zakonnice do Pińczowa, a stamtąd r. 1864 do Imbramowic, gdzie wymarły do r. 1871. Z Płocka (zniesionego 1819 i zamienionego na kasarnię) przeniesiono zakonnice do Czerwińska, a w roku 1902 do Imbramowic, gdzie dotąd jeszcze jedna z nich żyje (p. Stanisława Marchwica). W klasztorze imbramowickim ograniczył rząd rosyjski liczbę zakonnic najprzód na 16 później na 14, wreszcie zamknął nowicjat; po wojnie japońskiej, gdy wydany ukaz toleracyjny na to pozwolił, otworzono w Imbramowicach nowicjat z pomocą klasztoru zwierzyńskiego, który na ożywienie klasztoru liczącego już tylko kilka staruszek, wysłał z swego grona siły potrzebne r. 1907. Przy klasztorze imbramowickim istniało w latach 1834—1864 instytut wyższy naukowy dla panien, cieszący się znaczną frekwencją i uznaniem obywatelstwa. Z odrodzeniem się obecnie klasztoru rozpoczęły Norbertanki imbramowickie znów pożyteczną działalność dla społeczeństwa, otwierając szkołę ludową dla miejscowych dzieci, a w roku 1919 szkołę gospodarczą wiejską, wzorowaną na zakopiańskiej.

Jedynie klasztor zwierzyński ostał się wśród burz i przewrotów społecznych w całości. Obecnie liczy 49 zakonnic i prowadzi VI-klasową szkołę żeńską. Ostatnim polskim proboszczem Norbertaninem na Zwierzyńcu był X. Mikołaj Norbert Wolski, profesor z Witowa († 1844), od r. 1847—1881 zarządzał parafją zwierzyńską, czeski Norbertanin, X. Eugeniusz Tupy, znany poeta (Boleslav Jablonský); od śmierci jego zajmują probostwo księża świeccy, prezentowani przez Zgromadzenie klasztoru pp. Norbertanek miejscowych. Parafja św. Salwatora na Zwierzyńcu jest bowiem od najdawniejszych czasów inkorporowana do kla-

sztoru Norbertanek, zarządza nią proboszcz (*praepositus*) nadto jest dwóch księży wikariuszów. W roku 1907 otrzymał klasztor zwierzyniecki papieskie pozwolenie na właściwy, jemu przysługujący kalendarz i wydał drukiem dla swego jakoteż imbramowickiego klesztoru osobne *Proprium Officiorum* (Wiedeń 1908), drukuje też corocznie własne *Directorium chori*.

Do trzeciego zakonu premonstratenskiego (tercjarstwa) przyjmuje się czasami osoby godne, pragnące bliższego związku duchowego z rodziną norbertańską¹⁾, tutaj też, w klasztorze zwierzynieckim odebrały wychowanie zakonne pierwsze członkinie III. zakonu prem., prowadzące życie wspólne, których Kongregacja pod wezwaniem św. Józefa (fundowana r. 1902 przez opactwo strahowskie w Pradze) w domach swoich, rozsianych w Czechach i na Morawie wychowuje dzieci w ochronkach, żłóbkach i sierocińcach, pielęgnuje chorych i zaopatruje w bieliznę i aparata świątynie Pańskie. Klasztor zwierzyniecki jest siedzibą Arcybractwa Mszy św. wynagradzającej na całą Polskę (od r. 1890), liczącego dotąd przeszło 18.000 członków. Jak wiadomo spoczywają w kościele norbertańskim na Zwierzyńcu śmiertelne szczątki Bł. Bronisławy Odrowążówny, która w XIII w. jaśniała świętością w kraju naszym, którego jest patronką, wzywana osobliwie jako lekarka chorych i obroicielka dobrej sławy. Wzywana przez cały szereg wieków od pobożnych czcicieli w potrzebach duszy i ciała, wslawiona licznymi cudami, została beatyfikowaną przez Grzegorza XVI r. 1839. Obok niej jaśniały szczególnie świętością życia — Judyta Krakowianka († 1255), Weronika, wzywająca do pokuty w XV w., Zofja Lubomirska († 1606) i wielu innych, których imiona i czyny zapisali pisarze nasi (Pruszczy, Jaroszewicz, Kraszewski) i kroniki zakonne, choć nie dostąpiły dotąd zaszczytu ołtarza.

¹⁾ Nekrolog zakonny zwierzyniecki zachował niektóre imiona tych członków III. Z. Prem., jak: Sdislaus Miles, confrater noster † 6/1; Elisabeth Regina, quae erat suscepta per Dominum Premonstratensem † 5/5; Magnif. Dominus Michael Szykowski Confr. n. † 15/9; Illustr. Vincentius Comes Ducatus Masovieysis, Confr. n. † 18/9; Serenissimus Boleslaus, Dux Poloniae † 26/9; Joannes, civis de Kleparz, Confr. n. † 23/12; Serma Maria Ludovica Regina Poloniae (żona Jana Kazimierza) przyjęta do konfraterji przez X. Wojc. Tolibowskięgo, bpa poznańskiego, Z. Prem. i t. d.

Znane jest powszechnie męczeństwo Norbertanek z Witowa, pomordowanych przez Tatarów (1241); potem pod nahajkami Kozaków zginęły dwie Anny (Młodziejowska i Myszkowska 1657 roku) z Zwierzynieckiego klasztoru, padło i kilku Norbertanów w Hebdowie za wojen szwedzkich, a całe szeregi braci z Nowego Sącza, usługujących dotkniętym morową zarazą, złożyło w ofierze drogie swe życie dla dobra bliźnich. Utrzymywali oni też szkołę w Nowym Sączu (w XVII w.) gdzie między innymi pobierał nauki początkowe X. Stanisław Papczyński, późniejszy założyciel zakonu Marjanów.

Opactwa w Hebdowie, Witowie, Wrocławiu, w N. Sączu obsadzały członkami swoich klasztorów parafie do nich wcielone, które po sekularyzacji i wymarcu zakonników przeszły w ręce świeckich plebanów. Przełożone klasztorów żeńskich, nosiły początkowo tytuł mistrzyni, później przeoryszy; niemniej widzimy w Busku już w XV w. ksienią (abbatissa Jachna 1415) na Zwierzyniecu od r. 1501, a w Imbramowicach od samego początku klasztoru (bullą Grzegorza IX z r. 1229 d. 11 lipca). Prawie każdy klasztor posiada swoją literaturę. Nekrologi Strzelna, Wrocławia, Czarnowąsa, Żukowa wyszły drukiem, także księga przywilejów klasztoru czarnowąskiego; opisy klasztorów ś. Wincentego w Wrocławiu, N. Sącza, Żukowa, Buska, Czarnowąsa, ś. Norberta w Krakowie i inne. Wspominał też okolicznościowo polskie klasztory opat Karol Ludwik Hugo (*Annales Praem. Nancy 1734—36*, II r.), który się starał o wiadomości z Polski, — także uczony opat witowski Daniel Antoni Józef Kraszewski w swoim dziele: »Życie Świętych... Zakonu Premonstratenskiego (Warszawa 1752 II tom); Dr. Władysław Knapieński w studjum krytycznem »Św. Norbert i jego Zakon« (Warszawa 1884), drukował o tym zakonie w Polsce również »Przewodnik katolicki« (Poznań 1917, Nr. 30 i 35 »Norbertanie i Norbertanki w Polsce) dalej: *L'Ordre de Prémontré en Pologne*« (*Bibliothèque Norbertine; Louvain 1906*, p. 193 - 208). Wiele innych druków wydał zakon w Polsce, z dziedziny teologii, żywotów świętych, Statutów, Oficium o N. M. P. (według Dr. L'Ecuy 1790 i 1823), a w nowszych czasach sam klasztor zwierzyniecki wydał nowy Ceremoniał zakonny (1910), życiorysy Bł. Bronisławy, Bł. Hroznaty, siostry Róży, założycielki arcybractwa Mszy św. wynagradzającej, książeczki wpisowe i modlitewne, służące temu arcybractwu i t. p.

Uniwersytet krakowski przyjął w r. 1684 opactwo w Hebdowie do swego związku, miewał też profesorów z tego opactwa, jakoteż i z Witowa, np. około r. 1723 profes hebdowski, Norbert, Franciszek Mitulski, Dr. filozofji, r. 1726 również z Hebdowa Dr. filoz. Florjan Bakowski, a około r. 1780 Dr. Herman Vogel z Witowa i t. d.

Nader rzadko tylko spostrzegamy zajmowanie się klasztorami polskimi przez generalne opactwo w Prémontré. I tak w r. 1416 generał zakonu Piotr d'Hermi potwierdza koncentrację żeńskich 3 klasztorów w Busku; r. 1456 reguluje w Krakowie prawa opatów-ojców w Polsce komisarz zakonu, przeor Jan Sigmern, a w r. 1587 zajmuje się reformą polskich klasztorów generalny opat Jan Despruets. Klasztory żeńskie na Zwierzyńcu i w Imbramowicach, które od r. 1596 podlegały wyłącznie jurysdykcji biskupiej (w Krakowie, później w Kielcach), pozostały samodzielne i niezależne i nadal, pomimo nowego zorganizowania zakonu w r. 1883. Niemniej zaszczylicili je wizytami swemi generałowie zakonni (w r. 1890) X. Zygmunt Stary i jego następcą X. Norbert Schachinger (1907); czasami nawiedzi przejeżdżający Norbertanin z Węgier, Czech lub Austrii swe siostry zakonne w Polsce; był na Zwierzyńcu w r. 1880, przeor francuski Gonzaga i biskup Heylen z Namur, Norbertanin (1896) i misjonarz z afrykańskiego Congo, X. Derix, Belgijczyk, tegoż zakonu (r. 1913). Przed laty (1855—57) bawił na studjach przy krakowskiem obserwatorjum astronomicznem Dr. Adalbert Kupes z Tepl (Czechy), a Dr. Antoni Lischka ze Strahova (Praga) był prefektem gimnazjum w Bochni od r. 1826 († 1847).

Obecnie liczy zakon premonstratenński w Polsce już tylko dwa klasztory żeńskie, a mianowicie: Zwierzyniec (1 ksieni, 32 kanoniczki, 3 nowicjuszki, 11 konwersek, 2 probantki, razem 49 osób). Imbramowice (1 ksieni, 6 kanoniczek, 2 nowicjuszki, 2 donatki, razem 11 osób).

Ks. Alfons Żák, O. Prem.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z wydawnictw „Biblioteki Narodowej“.

Kazimierz Brodziński, O klasycyzmie i romantyzmie, tudzież
O Duchu poezji polskiej, opracował prof. dr. Aleks. Łucki;
Adam Mickiewicz, Dziady wileńskie, oprac. Józef Kallenbach prof.
uniw. w Wilnie; Dziady, część trzecia, oprac. tenże; Księgi
Narodu i Pielgrzymstwa polskiego, oprac. prof. Stanisław Pigoń.

Biały rząd tomików Biblioteki Narodowej wydłuża się niemal z tygodnia na tydzień, a każdy z nowo przybyłych przypomina wykształconemu ogółowi kogoś z »pierwszych« lub »największych« na przeróżnych szlakach myśli polskiej i uczucia. Przypomnienie miłe i pożyteczne. Dzięki wstępom i objaśnieniom najlepszych znawców nawet zapomniani stają nam się bliźcy, lepiej ich rozumiemy i serdeczniej kochamy.

Do grona takich »pierwszych« należy także Kazimierz Brodziński. Nie ulega wątpliwości, że już na kilka dziesiątek lat przed epoką romantyzmu, bo od ostatniej ćwierci 18 w., byli u nas romantycy i rozbrzmiewały romantyczne hasła. Czytywano zrazu w oryginalne, potem w przekładach Russa, Gessnera, Ossjana i starano się ich naśladować w sentymentalnem umiłowaniu ludzi i przeszłości narodowej. Pojawiają się także, choć zrazu nieśmiało, nawoływania do oryginalności, do zrzucenia francuskiego stroju w piśmiennictwie. W pierwszych latach XIX w. głosy te odzywają się coraz częściej i donioślej, wzrasta niepomniernie ilość przekładów z angielskiej i niemieckiej literatury, postulat poezji narodowej śmielej niż przedtem wysuwają: Woronicz, ks. Wirtemberska, Zaborowski, Wężyk i inni. Ale wszystkie te głosy pojawiają się przygodnie raczej i bez programu. Ująć je w system i wyjaśnić pomiędzy nimi

związek wewnętrzny — postanowił i dokonał tego dopiero autor rozprawy: O klasyczności i romantyczności. I dlatego jego występ rozpoczął nowy okres w dziejach recepcji romantyzmu w Polsce, a tem samem odegrał u nas podobną rolę jak p. Staël we Francji, Lessing, Herder, Schleglowie, Schiller w Niemczech, z tem wszakże, rzecz jasna, zastrzeżeniem, że stopień oryginalności polskiego herolda romantyzmu redukuje się jedynie do zlania w jedną całość skądinąd zaczerpniętych haseł i poglądów, do przepojenia ich własną organizacją duchowną. Stąd rozprawa Brodzińskiego ważną jest i z tego także względu, że, jak zauważa prof. Łucki, stanowi u nas może pierwszy dokument krytyki subiektywistycznej. Krytyk bowiem, — świadomie czy mimowoli, trudno dociec, — ulegając swemu na sielską nutę nastroszonemu temperamentowi, zgodnie z tymże ustrojem psychicznym określił romantyzm i wskazywał nowe drogi genjuszowi narodowej poezji. Pozostanie dużą zasługą prof. Łuckiego, że w sposób jasny, zarówno w rozprawadzeniu twierdzenia, jak i w końcowych wnioskach, wykreślił linię prądów polskiego preromantyzmu i zaakcentował dobitniej niż inni analogiczną rolę Brodzińskiego z działalnością p. de Staël. Gdyby jeszcze szan. prof. zdolał w swój styl więcej wlać ognia i barwy w swoich wywodach i objaśnieniach, a przytem ustrzegł się powtarzań, możnaby ów wstęp nazwać znakomitym.

Wcześniej, aniżeli spodziewali się warszawscy krytycy, i nie w tak ciasnych ramach, jakie zakresił polski Herder — Brodziński, został urzeczywistniony postulat narodowej literatury. Oto na północno-wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej powstał olbrzym — Mickiewicz i uderzył nie w jedną tylko tkliwą, sielankową strunę, ale we wszystkie, jakimi dzwoni przebogata narodowa harfa. A uderzenie było tak potężne, pieśń tak harmonijna, że dotychczas cały naród wsłuchuje się w jej dźwięki z największą czcią i miłością. Z miłością, — bo on pierwszy w »Dziadach« wileńskich ze swojej własnej nieszczęśliwej miłości spowiada się tak szczerze, a zarazem z taką tytaniczną siłą uczucia, jak nikt przed nim; bo on pierwszy z nadmiaru ukochania swego narodu, co wił się z bólu, w prometejskim obłędzie walkę wypowiada Bogu — przed Nim się korzy i wzbija do seraficznej miłości w postaci ks. Piotra z »trzeciej części Dziadów« i w rzetwych przypowieściach »ksiąg Pielgrzymstwa polskiego«. On pierwszy, w wichurze podniebnych lotów otrząsa z siebie, niby zeschłe liście, wszelkie bezduszne formuły artystyczne minionych epok. Bolesna i nieubłagana prawda wydobywa z samego dna duszy wszystkie uczucia: jasne i ciemne, wzniosłe i ponure, w miarę tego, czy jest w »niebiosach albo w piekła mękach«. Taż sama życiowa prawda daje nam odrębny gest, nową indywidualną formę.

Dłuższe obcowanie z hierarchiami ducha tej miary, co twórca »Improwizacji«, musi odbyć na umyśle niezatarte znamię; zaostrza

wzrok przy czytaniu tajemniczych run, jakimi zapisano dzieje myśli ludzkiej i w piersiach roznieca płomień na wielkie ukochania. Dowodem na to omawiany wstęp prof. Kallenbacha, zwłaszcza do »Dziadów« drezdeńskich. Z fotograficzną prawie wiernością, z intuicją jasnowidza maluje nam szan. profesor stopniową przemianę Gustawa Konrada i kaznodzieję narodu. Wywody jego ma się ochotę powtórzyć innym w całej ich rozciągłości, bo każde zdanie, niemal słowo, zda się nieraz od niechcienia rzucone, kryje w sobie syntezę długoletnich własnych i obcych poszukiwań do duchowych złożysk mickiewiczowskiej twórczości.

Wykład płynie gładko i spokojnie; nie tamują go liczne odsyłacze i uzupełniania; nie gubi się w piaskach drobiazgowej historyczno-filologicznej szperaniny. Przyjacielski ton opowiadania, w którym zawsze drga miłość twórcy i arcydzieła, od czasu do czasu podnosi się, potężnieje i wybucha hymnem zachwytu i uwielbienia, wszakże bez uszczerbku dla obiektywnej oceny poematu. Forma zestraja się z treścią, krytyk staje się artystą, umiejącym odszukać we wszystkich tak odrębnych częściach poematu jedną złotą nić idei przewodniej: wiarę we wpływ nadziemskiego świata na losy człowieka.

Wstęp, dający pogląd na genezę, układ, idee, znaczenie arcydzieła, to dopiero pierwsza część opracowania; zostaje druga — objaśnienie tekstu, stanowiąca ciągły komentarz. Żmudna to praca, ale może być wdzięcznym polem do popisu erudycją historyczno-bibliograficzną. Prof. Kallenbach szafuje nią umiejętnie, jedynie w tym celu, aby czytelnikowi wskazać jeszcze obfitsze źródło informacyjne. Przytacza chętnie i liczne warjanty, z różnych rękopisów, najczęściej — jeśli chodzi o »Dziady« drezdeńskie — z tak zwanego »dru-giego« (R²), który sam autor przed paru laty (1916) opracował. Tu i ówdzie w »Dziadach« wileńskich, opierając się na korespondencji Filomatów, zmienia dotychczasowe brzmienie tekstu, a w IV części wprowadza do niego znany obrazek pierwszej komunji św. (Słuchaj... Czy byłeś pobożny za młodu?), zamieszczany dotychczas jedynie w przypiskach. W egzegezie liczby 44 uwzględnia szan. profesor notatkę M. Świerza i studjum prof. Sinki,* z których niezbiecie wynika, że owym mężem opatrznościowym, to sam Mickiewicz. Skąd jednak ów symbol 44? Prof. Kallenbach zdaje się pisać na przypuszczenie prof. Sinki, zdaniem którego wspomniana cyfra byłaby poprostu bezwiednym refleksem pamięci, zostającej pod wpływem czytanych ustępów Apokalipsy św. Jana, gdzie liczba 40 i 4 często się powtarza. Dla uzupełnienia kwestji ośmielam się dodać od siebie, za prof. Chrzanewskim, iż kabalistyczna cyfra 44 powstała z 404, co w masonskim cyfrowym alfabecie, według wszelkiego prawdopodobieństwa nieobcym wodzowi Filomatów, oznaczało właśnie Mickiewicza. Redukcja 404 na 44 jest tylko chwilowem maskowaniem. Jeszcze jedna uwaga. Wobec najnowszych odkryć p. Borowego, wykazują ych

zależność twórcy »Dziadów« od »Pamiętnika Magnetycznego«, zdaje się, że sformułowanie idei »Dziadów« musi ulec rozszerzeniu. Będzie nią nie tylko wiara we wpływ świata nadprzyrodzonego na losy ludzkie, ale i wiara w magnetyczną potęgę woli człowieka.

W tym samym mniej więcej czasie, co Dziady drezdeńskie powstają Księgi Narodu i Pielgrzymstwa polskiego. Powtarzamy: »mniej więcej w tym samym czasie«, bo chociaż ideowo i chronologicznie krążą około postaci ks. Piotra, to jednak, jak wyznaje prof. Pigoń — największa powaga w tej kwestji — »nie da się na podstawie istniejących źródeł oznaczyć z bezwzględną ścisłością, kiedy Mickiewicz zaczął, a kiedy skończył pisać »Księgi«. Prawdopodobnie pierwszy rzut dziełka powstał w Dreźnie, w błogosławionym okresie bujności tworzenia poetyckiego, choć ostatecznie dojrzało na gruncie paryskich stosunków polskiej emigracji. Na jego treść ideową o zabarwieniu religijnem składały się powoli: lektura Pisma św., spotkanie się z Oleszkiewiczem i ks. Chołoniewskim, rozczytywanie się w książeczce »O naśladowaniu Jezusa Chrystusa« i w pismach ks. Lamennais'ego. Pod względem politycznym i historjograficznym można wykazać pokrewność poglądów z Lelewelem i Saint-Martinem. A czy Mickiewicz znał przed napisaniem swoich Ksiąg mowę Brodzińskiego, czy jej zawdzięcza swój obraz Polski — Chrystusa? Prof. Pigoń w niniejszem opracowaniu kwestję tę pomija milczeniem. O biblijnym stylu ksiąg pisano wiele, ale niemniej oryginalnym od niego jest ich historjograficzny podkład. Złożyły się nań dwa elementy pozornie sprzeczne: wiara w pierwotną doskonałość ludzkości, a zarazem w jej postęp. Godzi je wszakże i rozwój dziejów umożliwia z jednej strony czynnik obniżania się, descendencji, a z drugiej oddziaływa na nie siły nadprzyrodzonej — Boga. W momencie, kiedy wolność pierwotna zamienia się na powszechną niewolę, a na miejsce wiary w jednego Boga przychodzi wiara w bałwany, wtenczas wkracza w bieg dziejów Bóg i przez narzędzie swe sprowadza zasadniczy przewrót, wielką naprawę... Ponieważ zaś zewnętrznym objawem i owocem descendencji jest zepsucie form ustroju i stosunków społeczno-politycznych, przeto ingerencja Boża w dziejach wyraża się w formie przewrotu dotychczasowego porządku państwowego (24 nn.).

W takim oświeceniu autor Ksiąg rehabilituje rewolucję, owszem widzi w niej narzędzie myśli Bożej. Takim wielkim rewolucjonistą według Mickiewicza — referuje dalej prof. Pigoń — był także Chrystus na przełomie pierwszego okresu dziejów. Odegrał on rolę raczej politycznego reformatora, aniżeli pogromcy grzechu. Jego dziełem naczelnem było to, że z tronu duszy zło moralne, lecz że imperatorom z tronu władzy stracił i rozpoczął drugi okres dziejów, zakończony niestety wielkim, najniższym upadkiem: rozbiorem Polski. Ale w myśl swej historjografji wieści Mickiewicz pielgrzymstwu polskiemu, że wkrótce rozgorze łuna nowej, wielkiej re-

wolucji, w pożarze której runie dotychczasowy porządek społeczny. A przewrotu tego dokona Polska — drugi Chrystus narodów. Owym radosnym heroldem Wolności, wieszczącym świt jęczącym w cieniach niewoli ludom Europy — to pielgrzymstwo polskie, nowi apostołowie. Po spełnieniu tego zadania wobec obcych czeka emigrację drugie, może ważniejsze: budowa własnego państwa na wewnątrz przez doskonalenie w sobie etycznych pragnień i czynów. Na pracę wewnętrzną położono taki silny nacisk zapewne i dlatego, że było to w ówczesnych warunkach emigracji jedyne pole do swobodnej działalności, ale w nierównie większej mierze z tego powodu, że zgodnie z odwiecznym porządkiem doskonałość moralna jest celem dziejów i państwa muszą być współczynnikami ruchu na tej drodze. Polska więc staje wobec dylematu: albo się odrodzi i zmartwychwstanie do nowego, państwowego bytu, albo nie, — a wtedy... Lecz tej konsekwencji nie dopowiada Mickiewicz i wogóle w tak bezwzględnej formie nie stawia dylematu, bo ani na chwilę nie wątpi o zdrowiu moralnem swego narodu, na który spogląda przez pryzmat Chrystusowości. Emigracja więc winna być solą ziemi, bo wielkie jej zadanie: niechże się odgrodzi od obcych, ażeby nie zwietrzała.

Naumyślnie rozwiódłem się nieco szerzej przy streszczaniu mickiewiczowskiej historjografii, bo jej zrab, budowę i ostateczne wiązania przedstawił prof. Pigoń tak jaśno i konsekwentnie, jak nikt dotąd, jak nawet on sam nie uczynił tego w słynnej monografii, wydanej przed dziesięciu laty, nie mówiąc już o wstępie do eleuzyjskiego wydania Ksiąg Narodu. Kto był jego przewodnikiem w tej konstrukcyjnej pracy, trudno dociec; to pewne, że orjentację ułatwiło mu gruntowne zapoznanie się z Saint Martinem, którego wpływ na Mickiewicza w tej epoce jest niezaprzeczalny. I tego wpływu podkreślenie w obecnem opracowaniu stanowi także nowość w stosunku do dawniejszych.

Wdzięcznym również będzie szan. komentatorowi każdy czytelnik, nie będący zawodowym krytykiem literackim, że nie stawiając skomplikowanych rusztowań krytycznych, historycznych i bibliograficznych, zbudował całość harmonijną i przejrzystą. W jednym wszakże miejscu, mianowicie kiedy szan. profesor powtarza sąd Grzegorza XVI o Księgach (41), tam przypisek, wskazujący tajemne sprężyny takiej nagany i jej dyscyplinarną doniosłość, nawet konieczność, naszem zdaniem, nie byłby zbyt cennym dodatkiem. Owszem, ze strony autora, tak dbałego o idealne wychowanie narodu, byłoby to dla społeczeństwa przesłiczną lekcją taktu, a dla wrażliwej psychy pewnych kół naszej inteligencji oszczędziłoby się niepotrzebnej irytacji. Dziwi nas także fakt, albo raczej smuci, że pozostawiono bez żadnego komentarza zestawienie Polski z Chrystusem, lub niedocenienie przez Mickiewicza Jego soterjologicznego dzieła. Byłoby to złudzeniem, nie do darowania u pedagoga, sądzić, że nasz ogół czytający ma pod tym względem jasne w duchu katolickim urobione pojęcia. J. K.

Hermann Muckermann S. J.: *Der Urgrund unserer Lebensanschauung*, Fryburg, Herder, 1920, str. 98.

Przed nami leży pierwszy tomik jednego z najpotrzebniejszych dziś wydawnictw, bo wykazujący naukowo, jak ścisła zgoda i jedność panuje pomiędzy religią katolicką a wiedzą. Ks. Muckermann, będący zarówno dobrym teologiem i filozofem, jak fachowym przyrodnikiem, autor licznych rozpraw i pięciotomowego, obecnie wychodzącego »Zarysu biologji«, jest przedewszystkiem do tej pracy powołanym i okazał niezwykle mistrzostwo przez umiejętne skupienie w szczupłych ramach kwestyj niesłychanie rozległych i głębokich. Przekonamy się o tem najlepiej, jeżeli przejdziemy krótko bieg myśli tu zawartych.

Celem książki jest naukowe wykazanie, że te proste słowa katechizmu, iż »człowiek znajduje się na ziemi na to, aby Boga znać, kochać i jemu służyć«, są najwyższą mądrością i podstawą życia.

Odpowiednio do wymagań dzisiejszych rozpoczyna autor od krytyki poznania i wykazuje prawdziwość zasady przyczynowości, stanowiącej przejście ze świata zmysłowego do nadzmysłowego. Krytycyzmowi robi słuszny zarzut braku obiektywności, a przytem odwołuje się do jego niektórych wybitnych zwolenników dzisiejszych, którzy, nie wyjmując samego Kanta, uznają teoretycznie nawet istnienie czegoś odrębnego od świata i stanowiącego podstawę całego porządku moralnego, w nim panującego. Odnośnie do Pisma św. przypomina autor, że jego autentyczność, wierne przechowanie i wierzytelność są dziś krytycznie udowodnione i pewne.

Upewniwszy się co do prawdziwości zasady przyczynowości, przechodzi autor do podstawowego zagadnienia: jakim jest pochodzenie człowieka i wszechświata? Ze źródeł historycznych nie możemy się tu nic pewnego dowiedzieć, musimy więc zwrócić się do wykopalisk, będących jedynym śladem pierwotnej kultury ludzkiej. Dokładne ich badanie pokazuje jedno: oto kultura okazuje się odrazu jako istniejąca i nie znajdujemy żadnych śladów, wskazujących na rozwijanie się jej z jakiegos stanu bezkulturalnego. Tu zatem nie dowiemy się więcej.

Pozostaje tylko zwrócić się do filozofji. Może ona zdoła więcej powiedzieć. I rzeczywiście psychologia porównawcza wykazuje, że zwierzęta zachowują się wprawdzie z podziwu godną celowością, lecz nie są w stanie poznać jej same z siebie, by na tej podstawie oprzeć swój sposób działania. Przyczyną tego jest brak poznania umysłowego, które jako nadzmysłowe nie mogło oczywiście powstać ze zmysłowego, gdyż byłoby to niezgodnem ze zasadą przyczynowości. Lecz jeśli pierwiastek myślący, czyli dusza ludzka nie powstała przez ewolucję, to jedno tylko pozostaje wyjście, że została stworzoną przez Boga. Tak też mówi Pismo św.

Lecz czy Bóg stworzył także ciało człowieka? — Trudniejsza to kwestja. Przedewszystkiem nie można obecnie oznaczyć, na jakim stopniu skali istot żyjących należy umieścić te, które znaleziono

w najstarszych formacjach ziemi. Powtórę, w żaden sposób nie można wytłumaczyć, w jaki sposób z tych niższych organizmów powstały wyższe. Wreszcie dzisiejsza nauka o dziedziczności kazuje cały problem ewolucji postawić inaczej, niż to czyniono dotychczas. Sprawa jest więc tak zaciemniona, że ze stanowiska czysto przyrodniczego nie można pochodzenia ciała człowieka ze zwierzęcego ani przeczyć ani twierdzić; to ostatnie tem mniej, że tem samem uznałoby się istnienie ewolucji wszystkich organizmów, na co brak materiału dowodowego. Pozostaje więc jedno: zapatrywać się na przeszłość w świetle praw obecnych.

Badania dzisiejsze rzuciły tu wiele światła. Nie udało się wywołać życia z materji nieorganicznej, zawiodła teoria samorodztwa. Pomiędzy materją żyjącą a nieżyjącą zachodzi zresztą istotna różnica, gdyż tańta stanowi, mimo całej komplikacji budowy wewnętrznej, jedną harmonijną całość, dążącą celowo do zachowania siebie i gatunku. Istnienie więc istot żyjących, które, choć same nie mają świadomości celu, jednak tak celowo działają, zrozumieć można jedynie, jeśli znajduje się niesłychanie mądra i potężna przyczyna sprawcza — Bóg.

O to jedno tylko, o wykazanie pochodzenia wszystkiego od Boga, chodzi też w Piśmie św. i dlatego pomiędzy opisem Księgi Rodzaju a wiedzą niema żadnej sprzeczności.

Pozostaje jeszcze pytanie, czy także ów „proch“, o którym wspomina Pismo św., ową materję pierwotną stworzył Bóg? Chociaż kosmogonja jest dotąd problemem, a filozoficznie trudno jest wykazać, że materja nie mogła istnieć bez początku i końca, nie wynika jednak z tego, że mogła się ona obejść bez Stwórcy. Ruch bowiem jej części świadczy na podstawie zasady przyczynowości, że istnieć musi ostatnia jej przyczyna, która sama nie potrzebuje drugiej, poruszającej ją, a taką właśnie jest Bóg. Do tego samego wniosku dojdzie każdy, kto wychodzi z konieczności istnienia materji. Filozoficznie zatem rzecz jest pewna: wszechświat istnieje dzięki Stwórcy. Objawienie stwierdza to samo i dodaje to, czego rozum nie zdołał zbadać: że świat miał początek.

Taki jest wynik ostateczny: Bóg stwórca duszy i ciała człowieka, oraz całego wszechświata; wszelki byt i stawanie się od niego zależy. A wniosek stąd: człowiek jest bezwzględną własnością Boga i dlatego powinien zawsze pełnić jego wolę, nie z przymusu lecz z miłości, jako istota rozumna i wolna. W tem jego godność, bo „służyć Bogu, znaczy królować“.

Tak przedstawia się treść. Wobec bogactwa jej i odwoływania się do pozytywnych danych i literatury naukowej, nie powinno nikogo dziwić, iż rzecz przedstawia się miejscami, zwłaszcza na początku, trochę ciężko. Dla ludzi jednak wykształconych jest ona przystępna i trzeba tylko wyrazić żal, że w naszej literaturze polskiej nie możemy się poszczycić podobnemi wydawnictwami.

Ks. St. Podoleński.

X. Józef Stanisław Adamski T. J.: *Kazania na uroczystości Polskich Świętych i Błogosławionych*, Poznań-Warszawa 1920 r. T. I i II, str. 396+334.

Idealnem kazaniem patryjotycznym nowszych czasów jest kazanie o Patronach narodowych, bo praktycznie i wypukle uwydatnia ścisły węzeł zadzierżgnięty między Kościołem a duchem narodowym, objawionym w duszy świętej jednostki, bo uczy wymownie, że Kościół nie ściera z człowieka indywidualności narodowej, ale ją jeszcze rozpromienia i całemu światu na pokarm niesie, stawiając ją w niebiańskich blaskach rozjarzonych ołtarzy. I dawniej czczono Świętych polskich kazaniem, jak o tem świadczą już *Kazania na niedziele i święta z połowy XVI wieku*, wydane przez dr. Bolesława Erzepkiego¹⁾. I Skarga ma w swych kazaniach odświętnych kazania — ale jedynie te dwa — na cześć św. Wojciecha i św. Stanisława Biskupa i Wujek w swych Postyllach ich nie pomija, ale z natury ducha ówczesnego pierwiastek patryjotyczny występuje u nich nie tak wyraziście, jak w kazaniach nowszych. Nową pod tym względem epokę otwiera właściwie Kajsiowicz, bo on głosi takie wspaniałe patryjotyczne kazania sławiące św. Jacka, Józafata Kuncewicza, Jana Kantego (*Pisma* t. II, Berlin 1870).

Już wprost cały zbiór kazań narodowych polskich Świętych pisze X. Aleksander Jełowicki²⁾, poświęcając im, jak czytamy w przedmowie, a raczej w liście do X. Marjana Kamockiego (str. XII), najwięcej karności i pracy. Z właściwym sobie ogniem i temperamentem kreśli i na tle szerokim życia narodowego i kościelnego maluje wyraziste postacie bohaterów cnoty i poświęcenia.

Lecz bezwątpienia najpełniejszy zbiór kazań hagiograficzno-patryjotycznych wydał w Poznaniu X. Adamski, bo w olbrzymich dwóch tomach zawarł długi szereg kazań na cześć 25 Świętych, nie licząc już kazań zbiorowych i marjologicznych, szereg tem dłuższy, że autor na każdą uroczystość przeznaczył trzy lub dwa kazania.

Więc z ksiąg tych cennych idzie ku nam cała uroczysta procesja przejasnych duchów, prawdziwych królów-duchów naszego narodu, idzie rozmodlona, rozśpiewana przez szerokie ugory polskiej ziemi i wszędy znaczy swoje błogosławione ślady. I chociaż święci uczestnicy tej niebiańskiej procesji nie zdobni w purpurę i złotogłowy, lecz skromni w bieli komż lub w szarzyźnie prostych habitów zakonnych, chociaż nie szczękają mieczami zwycięskimi, co w złote waliły bramy miast zdobytych, lecz w cichości przesuwają ziarnka zużytych różańców lub szelestnie przewracają listy ksiąg dostojnych, jednak rwą za sobą oczy całego narodu: taka z nich bije moc i potęga, iż nie tylko jaśnią aureolą kładzie im się dookoła niewinnych skroni, ale wonią cnót najróżnorodniejszych przepelnia serca wier-

¹⁾ Poznań 1899 r.

²⁾ *Kazania o Świętych polskich*, Berlin 1869.

nych i nęci i wabi i ciągnie do naśladowania wzniosłych czynów. I chociaż w tej aureoli świętości dzielą ich jeszcze stopnie czci kościelnej, wszyscy jednak Kościoła i narodu najukochańsze dzieci, jako gwiazdy najpromienniejsze, świecą i świecić będą wiecznie na firmamencie dziejów naszych. I któż nie będzie podziwiał ich Pawłowej rozmaitości! Obok synów i cór królewskich, jak Kazimierza, Salomei, Kunegundy, jaśnieją na polskim niebie świętych prostego lub nieznanego pochodzenia pustelnicy: Andrzej Żórawek, Benedykt lub Męczennicy z puszczy Kazimierskiej, obok dostojnych biskupów Wojciecha, Stanisława, Jakuba Strzemię, Józafata Kuncewicza, — prości, lecz rozgłośni działalnością zakonną, Jacek i Czesław Odrowążowie, pierwsi w Polsce Dominikanie, Andrzej Bobola, z którego przyszlą kanonizacją, wedle świadectwa Jełowickiego; lud łączył zmartwychwstanie Polski i drugi męczennik, Melchior Grodzicki; obok poważnego i uczonego profesora wszechnicy Jagiellońskiej, Jana Kantego — rozkwitające dopiero młodzieniaszki Stanisław i Kazimierz. I gwiazdy śląskiego Jana Sarkandra i wielkomiejskiego Klemensa Dworzaka i poety Ładysława z Gielniowa cudnym płoną blaskiem. Słowem całe niebo polskie zaklęte w księgach pracowitego kaznodziei i patryjoty.

Przejdźmy do szczegółowego rozpatrzenia kazań ks. Adamskiego. Jest to kaznodzieja wysoce doświadczony, który plugiem misjonarskim przeorywał szerokie połacie kraju naszego, a przytem autor kazań jeden z najpłodniejszych. W Poznaniu wydał 1905—1906 r. w 2 tomach »Kazania świąteczne na uroczystości Pańskie«, po jakim czasie obdarza autor »Hołdu Niepokalanej Dziewicy Marji« homiletykę nowym zbiorem, a zwłaszcza »Kazaniami na uroczystości i święta Niepokalanej Dziewicy Boga Rodzicy« (Warszawa 1908—9), znowu po latach paru ukazują się w 3 tomach jego »Kazania na niedziele całego roku kościelnego« (Kraków 1910—11). Ten bogaty plon literacki w zakresie homiletyki staje się nader bogatym, jeśli się doń doda najnowsze dzieło, które stanowi chlubne uzupełnienie dawniejszych. I tu, jak tam, okazuje się autor myślicielem głębszym i zapuszczającym oko badawcze w dziedziny filozofji i dogmatyki, ale w ostatnim zbiorze spełnia jeszcze do pewnego stopnia wymagania swoich krytyków dawniejszych. Zarzucono mu bowiem brak uczucia, a przecież właśnie uczuciem odznaczeni się Skarga, Kajsiiewicz i Stablewski; więc w najnowszym zbiorze kaznodzieja-patryjota rozedrgany takim uczuciem, że musi słuchacza niekiedy wprost porwać za sobą. Abstrakcyjność i spekulatywność długoletnich nauk ściśle i analitycznie myślącego teologa jeszcze i tu czasem się panoszy, ale dzięki jasnym i silnym postaciom, około których refleksja może się owijać, dzięki wiośnie dziejowej, jaka wionie nad narodem naszym, a i dzięki starości, która, błogosławiona artystka, umie najczęściej najczystsze i najgorętsze wydobyć na jaw uczucie, promieniejące jak zachód jesiennego słońca — autor jest żywy, czasem gorący, płomienny.

Jakkolwiek jestem zwolennikiem krytyki twórczej, to jednak nie mogę przeoczyć braków dzieła. Wolałbym u tak oryginalnego kaznodziei widzieć jeszcze mniejszą zależność od Jełowickiego, a zwłaszcza od Kajsiewicza; niekiedy autor nawet nie podaje w kreskach, że coś zaczerpnięte. A cudną parafrazę orzeczenia Platonego o pięknie i prawdzie znajdujemy w Kajsiewiczu; podobnie one lilje młodości »wiedniejące« (II, 300), ale widocznie żywy i wrażliwy umysł autora bezwiednie je zaczerpnął. Lecz czy można w życiorysie Kuncewicza dziś jeszcze po niemal stu latach iść za Kajsiewiczem dość bezpiecznie? Czy można dziś jeszcze po badaniach Brücknera i innych przesuwać powstanie pieśni »Bogarodzica« aż w epokę Bolesława Wielkiego? (I, 148); łatwiej już przyjąć hipotezę, że uczony św. Jacek, jak dowodzi tego Jan Grzegorzewski¹⁾ był autorem tej pieśni raczej, niż św. Wojciech.

Dalej, pisząc dla inteligencji — boć tylko dla niej kazania przeznaczone — należało jednak wziąć pod uwagę choć nieco zarzuty Gumpłowicza i Wojciechowskiego co do kwestji św. Stanisława i dać im należytą odprawę. Co do przytaczania autorów zdaje się jest zasadą homeletyczną, że słów autorów świeckich, a zwłaszcza współczesnych nie przytacza się, chyba mężów znacznych, a do takich Dr. K. L. zaliczyć nie można, żeby go aż taki zaszczyt spotkał! Najważniejsza to jednak kwestja cudów. Już Stanisław Karnkowski w swoich »Constitutiones in diocessana synodo Vladislaviensi« Coloniae 1572 r., w rozdziale De concionatoribus (str. 142) ostrzega, żeby nie rozpowszechniać opowiadań o cudach, a i dzisiejsza homiletyka głosi zasadę, by jak najmniej przytaczać zjawisk cudownych z życia Świętych. Co innego rozumie się cuda z Pisma św. i z życia świętych pewno stwierdzone. Co do pierwszego rodzaju cudownych zjawisk wymagałoby się więc od autora więcej ogłędności!

Z drugiej strony raz i znowu taki sposób wyrażania się średnio-wieczny, czy barokowy, czy ekspresjonistyczny, kiedy to autor maluje obraz, jak Bóg karzący mieczem wymierza nam cios w samo serce, albo jak to Duch św., który w tajemnicy Trójcy Przenajśw., że się tak wyrażę, rzuca Ojca w Syna i Syna w Ojca, tak iż obaj pozostają w tej jednej miłości, jaką jest on sam, rzuca też Boga w tę duszę, a duszę w Boga tak, że mieszkanie, o którem mówi Zbawiciel, jest wzajemne: »W(?) mnie mieszka, a ja w nim« (214 i 15). A co do Pisma św. przydałaby się w niektórych kazaniach większa obfitość, zwłaszcza w użyciu prototypów starozakonných. Dalej szkoda, że autor więcej jeszcze uwagi nie poświęcił formie. Jak już zaznaczyliśmy, język jest piękny, drga życiem literackim, lecz niestety, zeszpecony obcemi wyrazami i nowotworami. Owe »alternatywy«, »motory nadprzyrodzonego naszego życia«, »dewizy«, »rehabilitacje«

¹⁾ »Polska w kulturze powszechnej«, Kraków 1918, Cz. I, »Działalność Polaków na Bałkanie i na dalszym Wschodzie«.

i »akty ekspijacyjne«, owe nowotwory jak »płodotwórcza służba narodowa« i »nieodbita« potrzeba, tak często się powtarzająca, »opancerzować«, »znałogować«, »unadnaturalnione«, »otrupiały młody starzec«, »nadgranitowy«, »podoba«, choć już nie są tak brzydkie jak »niepożytność« i »sklejność«, zachodzące w kazaniach na uroczystości Pańskie, można było spokojnie w inny sposób określić. A i ulubiony przez mowców wyraz »znicz« zwalcza stanowczo kompetentny Brückner (»Walka o język polski«, Lwów 1917). Także forma homiletyczna, acz nie zła, wykazuje braki zwłaszcza w opracowaniu wstępów i peroracji i przejść, bo autor, jak się czuje, za mało poświęca uwagi sztuce kaznodziejskiej, a przecież niekiedy daje peroracje wspaniałe, jak na uroczystość bł. Czesława i św. Stanisława.

Pomijając te braki, zaznaczyć śmiało możemy, że poważne dzieło uczonego kaznodziei stanowi nie tylko dla homiletyki ale i dla historii literatury zabytek wcale pokaźny. Tem samem nabiera i nabrac powinno kaznodziejskie autora oblicze, bezbarwne dotąd w dziełach Pelczara czy Bruchnańskiego, wyrazistości i znaczenia i wysunąć się w pierwszy szereg naszych homiletów-literatów.

Ks. Nik. Cieszyński.

Klerus und Volksmission, Vorfrage. (Hirt und Herde. Beiträge zu zeitgemässer Seelsorge 5 und 6 Heft), herausgegeben und ergänzt von H. Bockel. Fryburg, Herder 1920, str. 301.

Dr. K. Rieder: Frohe Botschaft in der Dorfkirche; wyd. 8, Fryburg, Herder 1920, str. 277.

1. Potężne uderzenia wojny wszechświatowej poczyniły szereg wyłomów i nieprzewidzianych przewrotów również i w dziedzinie ducha. Chrześcijańska moralność a raczej stosowanie jej zasad w życiu jednostek a nawet społeczeństw ucierniały bardzo. Groza wojenna i walka wewnętrzna zamiast zbliżyć — wielu odwróciła od Boga i Kościoła katolickiego. Duszpasterstwo staje wobec poważnego zagadnienia, jak pozyskać z powrotem zbłąkanych Chrystusowi. Zdaniem członków »Misyjnego Instytutu« w Fryburgu, który wydał w tym duchu szereg prac omawianych w *Przeglądzie*, niezbędnem jest ożywienie gorliwości religijnej przez metodyczne przeprowadzenie misyj w poszczególnych parafjach i diecezjach. 5 i 6 zeszyt wydany staniem wspomnianego Instytutu p. t. »Klerus und Volksmission« zawiera szereg wyczerpujących rozpraw doświadczonych działaczy na polu misyjnym, pouczających, jak się wywiązać z tak ważnego zadania. Z wielką znajomością stosunków społecznych i najgłębszych tajników duszy tych, co wojnę na froncie spędzili, jakoteż i tych, którzy jej skutków w kraju doświadczyli, analizują autorowie drugiej i trzeciej rozprawy psychologię różnych warstw społecznych, odkrywają ich rany i niedomagania. Na pierwszy plan wysuwa się mężczyzna. Wiele z tych głębokich spostrzeżeń mutatis mutandis można przenieść na naszą glebę polską. Dalsze rozprawy dotyczą przeważnie tematów porusza-

nych na misjach. Obszerne schematy przemówień misyjnych mogą oddać interesowanym wielką przysługę.

2. Podtrzymanie zapалу religijnego rozbudzonego przez misję jest już zadaniem każdego duszpasterza w parafji. Głównym środkiem w tym względzie jest głoszenie słowa Bożego. Dziełko Dr. Riedera może być tu wielce pomocnem. Jest to zbiór homilij dla ludu wiejskiego na niedziele i święta całego roku. Autor buduje swoje przemówienia nie tylko na tle perykop niedzielnych, ale też bierze za podstawę ważniejsze opisy i wydarzenia ze St. Testamentu jako też Listy apostolskie. Są to t. zw. homilje retoryczne, uwzględniające jedną, drugą myśl główną w danem opowiadaniu. Rozprowadzenie jej jasne, nad wyraz zrozumiałe, nie pozostawia nic do życzenia. Styl może służyć za wzór, jak przemawiać do ludu, jak stosować się do poziomu słuchaczy. Niektóre homilje, jak np. na czas adwentowy, stanowią logiczną całość i są bardzo dobrem przygotowaniem na przyjście duchowe Zbawiciela. Zaznaczyć też wypada, że autor sumiennie podaje we wstępie źródła, z których korzystał w swej pracy, nie obawiając się wcale, by to miało przynieść ujmę jej oryginalności. Wszystkie przemowy owiane są duchem serdecznej miłości, to też zapewne zdobywały serca.

Ks. A. Żukowicz.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

P. Bonawentura Krotz: *Mein Rosenkranz. Erwägungen*. Freiburg, Herder, 1920, str. 80.

Jan Łada: *Antychryst. Opowieść z ostatnich dni świata*. Nakł. księg. św. Wojciecha, Poznań-Warszawa, str. 352.

Ks. Dr. W. Kosiński: *Pedagogika. Podręcznik dla wychowawców i nauczycieli*. Nakł. księg. św. Wojciecha, Poznań-Warszawa, str. 235.

Friedrich Maurer: *Im Rettungsschiff. Erlebnisse einer Konvertitenfamilie*. Freiburg, Herder, 1920, 12^o, str. 134.

A. L. Veit: *Kirche und Kirchenreform in der Erzdiözese Mainz im Zeitalter 1517—1618. Ergänzungen zu Jannsens Geschichte d. deutschen Volkes. X. Band, 3 Heft*. Freiburg, Herder, 1920, 8^o, str. 98.

John A. Godrycz: *Political and Financial Independence of the Vatican*. Philadelphia, Pa. 1920, 8^o, str. 59.

Bernard Arens S. J.: *Handbuch der Katholischen Missionen*. Freiburg, Herder, 1920, 8^o, str. 417.

Józef Tretiak: *Historja wojny chocimskiej (1621)*, Wydanie nowe. Kraków 1920, Krakowska Spółka Wydawnicza, 8^o, str. 214.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wskazania papieża dla Polski. — Zagadnienie palestyńskie i stanowisko
względem niego katolików.

Wrześniowy list papieża do biskupów polskich, wysłany na ręce obydwóch naszych kardynałów, jest nie pierwszym dowodem pieczołowitości Ojca chrześcijaństwa względem naszej ojczyzny. Każde z poprzednich odezwań się Benedykta XV do Polski notowaliśmy na tem miejscu i czytelnicy nasi mają je zapewne w pamięci. Ostatnie orędzie apostolskie jest wyrazem radości, jaką odczuł Ojciec św. z powodu naszych zwycięstw na Wschodzie. Zauważmy, że podczas wielkiej światowej wojny takich powin-szowań nie składała Stolica św. żadnej ze stron wojujących. Wspólny Ojciec wiernych musiał zachować ścisłą neutralność w bratobójczej wojnie narodów i jeśli rozlegał się z Watykanu głos donośny, to tylko nawołujący do zaprzestania rozlewu krwi i załatwienia w pokojowy sposób wzajemnych sporów. Inaczej, kiedy chodzi o naszą rozprawę z bolszewizmem. W bolszewiźmie bowiem występuje nie jedna ze stron, dochodzących swych słusznych czy źle pojętych praw; bolszewizm to dzika nawała pogaństwa i barbarzyństwa na świat chrześcijański i na jego kulturę. I dlatego sprawa Polski w ostatniej wojnie musiała być uważaną za sprawę całej Europy, a zwłaszcza za sprawę religji i Kościoła; dlatego też, gdy nawet dyplomacja sprzymierzeńców

naszych opuszczała nas prawie zupełnie, a żywioły antychrześcijańskie Zachodu, żydostwo i socjalizm, zacierały ręce z radości z powodu pochodu bolszewików na Warszawę i wszystkimi środkami starały się sparaliżować nam obronę, katolicy bez względu na kraj, w jakim się znajdują, wezwani zostali przez Ojca św. do modlitw za Polskę. Jest tu wskazówka, w jakich kołach europejskich społeczeństw może liczyć na stałą życzliwość katolicka Polska.

Ale tylko, o ile pozostanie katolicką, o ile i nadal stać będzie na straży cywilizacji prawdziwie chrześcijańskiej. I dlatego Ojciec św., winszując nam zwycięstwa i dziękując za nie Bogu, wzywa nasz naród, aby ślubował i przyrzekł, że i nadal też bronić będzie wiary katolickiej, i zapewnia, że wierni chrześcijańskiemu swemu powołaniu będziemy mogli liczyć zawsze na pomoc Bożą, gdyż »jeśli Bóg z nami, któż przeciw nam?« Do zapewnienia pokoju naszej Ojczyźnie i stojącej poza jej wałem Europie potrzeba wszakże dwóch warunków: jedności i zgody wewnątrz narodu i miłości, roztropności i chrześcijańskiego umiarkowania w stosunkach do narodów ościennych. Na te dwa warunki kładzie Benedykt XV wielki nacisk i przypomina je nam, jako ciążący na nas obowiązek. Jest to obowiązek nie nowy: wypływa on z ducha Ewangelji Chrystusowej, która winna znaleźć zastosowanie tak dobrze w polityce, jak i w prywatnem życiu. I dlatego należy nam być wdzięcznymi Głowie chrześcijaństwa i nieomylnemu Stróżowi wiary i obyczajów, że ten obowiązek nam przypomina. I katolicy do jednego celu wysiłki swe zwrócić powinni: opinia, prasa, trybuna poselska winny się sprzymierzyć i do tego dążyć, by nasza »racja stanu« szła po linii wskazań Benedykta XV.

W r. 1917 w liście do lorda Rotszylda obiecał kierownik zagranicznej polityki angielskiej Balfour, że Anglja chętnie poprze utworzenie w Palestynie »Jewish National Home« — centrum narodowego życia dla Żydów. W bujnej wyobraźni niejednego sionisty zarysował się tron Dawida, wzniesiony w niezależnem państwie Izraela.

Wypełnienie obietnicy okazało się dużo skromniejszem. Palestynę po odebraniu jej Turkom objęła w swą administrację Anglja, dla której Ziemia Święta przedstawia wartość wielką nie

tyle ze względu na swą przeszłość, ile ze względu na swą przyszłość, jako stacja na lądowym szlaku z Egiptu do Mezopotamji. Anglja nie umie wypuszczać z rąk tego, co raz zagarnęła. Z drugiej strony należało coś uczynić dla wypełnienia obietnicy, danej Rotszyldowi. Więc na konferencji w San Remo otrzymała Anglja od Ligi Narodów protektorat nad Palestyną i mandat do administrowania nią. Ze swej strony mianowała Anglja wysokim komisarzem Ziemi Świętej Sir Herberta Samuela, Żyda, zlecając mu misję utworzenia dla współwyznawców kulturalnego ogniska w zajęтым kraju. Jak widzimy do politycznej niezależności żydowskiej Palestyny jeszcze daleko.

Takie rozwiązanie kwestji palestyńskiej mało kogo zadowolniło. Może jeszcze najwięcej sionistyczny odłam żydostwa, który w decyzji w San Remo widzi bądźco bądź krok na drodze ku ziszczeniu swoich marzeń; olbrzymia większość żydostwa pozostała, jak była, obojętną względem całej tej sprawy. Francja oficjalnie wraz z Włochami zgodziła się była w swoim czasie na danie Żydom obietnicy przez Balfoura; musiała się zgodzić także w San Remo na jej jakie takie urzeczywistnienie, które w rzeczy samej sankcjonowało fakt dokonany okupacji Palestyny przez Anglję. Opinia publiczna wszakże we Francji przyjęła postanowienie Ligi Narodów niechętnie, słusznie podnosząc, że Ziemia Święta jest organiczną częścią Syrii, wieloma węzłami i geograficznymi i ekonomicznymi z nią związaną i dlatego winnaby tworzyć z nią jedną całość i pod względem politycznym. Wiadomo, jakie wpływy wywierała Francja w Syrii przed wojną; teraz ma podzielić się niemi z Anglją; traci przytem nawet protektorat nad katolikami w Palestynie, wieki całe przez się sprawowany.

Największe wszakże zaniepokojenie wywołała sprawa palestyńska wśród uświadomionych katolików Zachodu. Kwestja Palestyny jest zarazem kwestją kościelną; na jej ziemi znajduje się tyle świętych miejsc, ku którym zwracają się serca chrześcijan wszystkich wyznań z całego świata. Rząd angielski zaraz, czyniąc obietnicę sionistom, zastrzegł, że będą musiały być zagwarantowane prawa ludności nieżydowskiej w Palestynie i bezpieczeństwo miejsc świętych; papież, przyjmując w maju 1917 r. na posłuchaniu przedstawiciela sionistycznego związku Sokołowa, miał wyjawic swoją obojętność co do rozwiązania kwestji palestyńskiej, byleby zapewniono opiekę nad miejscami świętymi. To

wszystko wszakże nie uspakaja obaw wierzących katolików. Jeszcze przed konferencją w San Remo i prasa i organizacje katolickie we Francji, Belgji i indziej podnosiły protesty przeciwko oddaniu Palestyny Żydom, wyrażając zaniepokojenie, że pod rządami odwiecznych wrogów imienia chrześcijańskiego miejsca święte nie będą dość ochronione, choćby nawet istniały pisane na to rękojmie. Obawy te podsycalo zachowanie się tych sionistów, którzy już w Palestynie się znajdowali i którzy zrazili do siebie całkowicie ludność chrześcijańską i muzułmańską.

Obawom tym i protestom dał dobitny wyraz — nie już jakiś przedstawiciel zainteresowanej Francji, ale głowa katolików angielskich, arcybiskup Westminsteru. Na kongresie katolickim, jaki się odbył w końcu lipca tego roku w Liverpoolu, kardynał Bourne wygłosił długą mowę w sprawie Irlandji i Palestyny. W obydwóch tych sprawach wypowiedział niemało uwag przykrych dla polityki Loyda George'a. W szczególności co do Palestyny, przypomniawszy przebieg sprawy aż do nominacji Sir Samuela, zapytuje kardynał, czy mężowie, którzy stworzyli to wszystko, obliczyli konsekwencje swoich postanowień? Stworzyli nowy czynnik wpływów niechrześcijańskich w kraju, w którym wieki trudziły się nad usunięciem mocarstwa niechrześcijańskiego. Chrześcijanie wszystkich wyznań zaniepokojeni. W r. 1919 kardynał podróżował po Ziemi Świętej. Już wtedy od mieszkańców słyszał protesty przeciwko obietnicy Balfoura. Ta obietnica już zaszkodziła powadze Anglji w oczach tuziemców. Sioniści, rozporządzając wielkimi kapitałami, czynią z Żydów niebezpiecznych na każdym polu konkurentów dla reszty ludności. Uprawiają przytem z zamięłowaniem lichwę, nie kryją się także z tendencjami bolszewickimi.

Sir Samuel tymczasem już rozpoczął urzędowanie, jako wielkorządca Palestyny. Już miał nawet sposobność wystąpienia w roli rozjemcy w sporach między samymi chrześcijanami, które tak charakteryzują jerozolimskie stosunki i w których dawniej muzułmańskie władze i policja miewały niemało kłopotów. Tym razem chodziło o spór między patriarchą schyzmatykiem Damjanem a członkami Bractwa Św. Grobu tegoż wyznania, spór w gruncie rzeczy nacjonalistyczny na podkładzie finansowym. Bractwo ogłosiło rodzaj strejku i nie chciało brać udziału w ceremonjach przez patriarchę odprawianych. Sir Samuel wdał się

w tę sprawę na życzenie którejs ze stron i przy tej okazji był uroczyscie przyjmowany i oprowadzany po bazylice Grobu Św. przez greckie duchowieństwo. Zapewne pierwszy to Żyd, przed którym otwarły się uroczyscie bramy świątyni, na miejscu przesiąkłem krwią, jaką przelali praojcowie powracających obecnie w roli gospodarzy tego kraju i miasta Sionistów.

Czy ziszczą się ideały Sionistów wskrzeszenia, jeśli nie państwa niezależnego, to przynajmniej nacji żydowskiej z własnym starym językiem i kulturą, do przeszłości zamierzchłej nawiązaną — o tem można mocno wątpić. Prawdopodobnie »wspaniałomyślność« Balfourów skończy się tem, co wspaniałomyślność Juliana Odstępcy, który postanowił był odbudować miasto i świątynię żydowską. Według podania ogień z ziemi wydobywający się nie pozwolił wówczas prowadzić budowy. Obecnie i takiego cudu, zdaje się, nie okaże się potrzeba. Starania Sionistów i ich potężnych protektorów, polityków i bankierów, nie liczące się z protestami dotkniętych i zaniepokojonych chrześcijan, natrafia na inne trudności; których nie pokonają. Z jednej strony spotka ich zdecydowany opór obecnej ludności palestyńskiej, która, będąc dziś panem we własnym domu, nie zechce zejść do roli mniejszości, którą dopiero szczególnymi rękojmiami trzebaby było ochraniać przed nowymi panami; z drugiej strony natrafi na niechęć masy samego żydostwa do emigracji do Palestyny i trudność stworzenia całkowicie uwarstwowionego i wystarczającego sobie społeczeństwa z żywiołu, który od dwóch blisko tysięcy lat wiedzie pasożytniczy żywot na ciałach innych społeczeństw.

Zanim wszakże zbankrutuje sionistyczna polityka, katolicy Palestyny zaczynają się ściśle organizować do obrony. Grozi im niebezpieczeństwo nie od samych Żydów. Pono groźniejsze od protestantów, którzy rozporządzając ogromnemi sumami przy całej potędze politycznego prestige'u, przez szkolnictwo i dzieła filantropijne dążą do rozszerzenia swych wpływów wśród całej chrześcijańskiej ludności Ziemi Świętej. Wobec tych niebezpieczeństw nic dziwnego, że łaciński patriarcha jerozolimski, Mgr Barlassina, organizuje »Dzieło zachowania wiary w Palestynie«, zaszczycone już zachętą i błogosławieństwem Ojca św. Kawalerzy Św. Grobu wezwani są do współdziałania w tej sprawie; nie mogą pozostać obojętną dla niej i katolicy innych krajów. Potrzeba przede-

wszystkiem rozwinąć szkolnictwo katolickie w Palestynie i ostatecznie uregulować prawo własności do miejsc świętych. To drugie dlatego, aby nie było konieczności udawania się o rozjemstwo do Sir Samuelów.

Ks. Jan Urban.

Hel i jego zastosowania.

Odkryty na słońcu, odnaleziony na ziemi. Najdroższy pierwiastek. Produkt ciał promieniotwórczych. Niska temperatura skraplania i nowe w niej zjawiska. Gaz lekki, nie cierpiący żadnych związków chemicznych. Przewrotne znaczenie helu w lotnictwie. Wielkie fabryki helu w Kanadzie.

Zapewne żaden z pierwiastków, wchodzących w skład materialnego wszechświata, nie cieszy się taką popularnością i takiej nie wzbudza ciekawości powszechnej, jak rad. A jednak nie da się zaprzeczyć, że dla fizyka i badań naukowych fizycznych, a nawet i dla przemysłu, bardziej obiecującym i potrzebnym jest, na razie przynajmniej, inny pierwiastek, gaz, zwany helem. Historia tego pierwiastka i jego własności tak są dziwne i niezwykle, że w krajach, w których ludzie więcej zajmują się badaniami naukowymi, wywołują one prawdziwy entuzjazm. Już samo pojawienie się helu w nauce było otoczone niezwykłą tajemniczością, gdyż, jak wiadomo, hel odkrył Janssen, a następnie Frankland i Lockyer w r. 1868 nie na ziemi lecz na słońcu, zapomocą spektralnej analizy, skąd też pochodzi nazwa tego pierwiastka, hel, jakby zrodzonego przez słońce (po grecku helios). Długo też czas rozbijano się następnie za helem po ziemi, lecz dopiero w r. 1882 zauważył Palmieri widmo helu w skałach i lawach Wezuwiusza, chociaż i teraz jeszcze samego gazu nie uchwycono. Dokonał tego dopiero w r. 1895 William Ramsay, który wydobywszy nieco gazu z minerału zwanego klewelitem, i oczyściwszy go, wykazał zapomocą rozbioru widmowego, że jest to właśnie ów przez tak długi czas wyczekiwany hel słoneczny. Dalsze badania i poszukiwania wykazały, że hel nie należy wcale do pierwiastków rzadkich, owszem jest on właściwie wszędzie rozsiany po całej przyrodzie, zarówno w rozmaitych skałach i ziemiach, jak i w gazach naturalnych, wydobywających się ze źródeł, a nawet nie jest wolne od niego powietrze atmosferyczne, w którem rozpościera się dosyć obficie, bo zajmuje objętościowo cztery części na milion. Daje to wcale pokaźną ilość czterech centymetrów sześciennych na metr sześcienny atmosferycznego powietrza, a więc dziesiątą część litra w niewielkim pokoju, co przed dwoma laty przedstawiało wcale stosunkowo pokaźną wartość funta szterlinga. Mimo bowiem usilnych starań i mimo tego,

że niektóre gazy naturalne zachodnich stanów Ameryki posiadają aż 2⁰/₀ helu, a gazy niektórych źródeł francuskich nawet 5⁰/₀, to jednak w r. 1918 wszystkie laboratorja całej kuli ziemskiej razem wzięte miały tylko 3 do 4 metrów sześciennych helu, a metr sześcienny tego gazu ceniono ówczas na przeszło 9000 funtów szterlingów, czyli wedle obecnego kursu prawie na milion marek. Jest to więc substancja najdroższa ze znanych, a hel, zawarty w metrowej warstwie powietrza nad ziemią polską, wystarczyłby zupełnie, by Polskę uczynić bogatym państwem.

Ale powodem owych poszukiwań za helem po całej kuli ziemskiej nie była bynajmniej snobistyczna żądza gromadzenia czegoś niezwykłego i trudno dostępnego; popychały do tego fizyków i techników niezwykle i wiele obiecujące własności helu. Przed laty już siedemnastu narobił hel wiele wrzawy, zjawiając się zupełnie nieoczekiwanie tam, gdzie go przedtem zupełnie nie było, to jest w zamkniętej rurce szklanej, napełnionej emanacją radu, przedstawiając się zdumionemu światu jako substancja powstała z rozkładu innych pierwiastków, tak zwanych ciał promieniotwórczych. Stwierdziły to dowodnie dalsze badania, które wykazały, że jądra atomów helu są tożsamościowe z cząstkami tworzącymi promienie alpha, naładowane elektrycznością dodatnią, a wychodzące z wielu ciał promieniotwórczych. Tem też tłumaczy się to rozpowszechnienie helu po wszechświecie, gdzie go łatwo znaleźć zwłaszcza w bezpośrednim towarzystwie minerałów, zawierających promieniotwórczy tor i uran.

Ale nie tu koniec niespodzianek helowych. Badania, które poczyniono po otrzymaniu większej ilości helu, wykazały, że hel jest gazem prawie doskonałym, to też przez długi czas opierał się wszelkim zakusom zamienienia go na ciało płynne lub stałe. Dopiero w r. 1918, a więc w 10 lat po skropleniu wodoru przez Dewarna dokonał skroplenienia helu fizyk duński Onnes. Gdy następnie dozwolił płynnemu helowi wyparowywać gwałtownie w próżni, otrzymał niższą od wszelkich znanych dotychczas temperatur, bo około — 271⁰, czyli zbliżył się na jeden lub najdalej dwa stopnie do tak zwanego absolutnego zera, to jest do temperatury, w której hypotetyczny gaz idealny nie wykazuje żadnego ciśnienia, bo cząstki jego są w zupełnym spoczynku. Dzięki też helowi i osiągniętej z jego pomocą temperaturze, zdołano znacznie rozszerzyć badania kriogeniczne, to jest doświadczenia nad zachowaniem się ciał tak nieorganicznych jak i żywych w niskich temperaturach. Trzeba bowiem pamiętać, że przy pomocy płynnego tlenu można było osiągnąć temperaturę — 182,5⁰, przy pomocy płynnego azotu — 193,5⁰, płynnego wodoru — 252,8⁰; hel tedy posunął całą sprawę prawie o 20⁰, a więc prawdopodobnie do ostatecznych krańców możliwości.

Dużo problemów czeka na zbadanie w tej nowej temperaturze, zarówno z dziedziny fizyki, jak analizy widmowej, przewodnictwa, magnetyzmu, fosforescencji, promieniotwórczości, np. powinowactwo

z chemji i z biologji, np. odporność na zimno sporów, nasion lub istot żywych. To też Mc. Lennan, który od lat kilku specjalnie nad helem pracuje, podaje dokładny plan urządzenia na wielką skalę takiego kriogenicznego laboratorium¹⁾, o celach czysto naukowych, rozporządzającego także i płynnym helem, którego koszt założenia wraz z funduszem żelaznym na utrzymanie oblicza na 150.000 funtów, a więc mniej, niż wynosiły jednodniowe koszty wielkiej wojny.

Z faktów, które w owej zaczarowanej dotychczas dziedzinie podabsolutnego zimna wykryto, jeden zwłaszcza zwrócił już powszechną uwagę, a mianowicie, że w temperaturze płynnego helu wiele metali staje się niezmiernie dobrymi przewodnikami elektryczności, miliony razy lepszymi, niż w temperaturach zwykłych. To też gdy w kole, zrobionem z drutu rtęciowego — rtęć bowiem w tej temperaturze jest ciałem stałym — wzbudzi się przez indukcję, np. przez zbliżenie magnesu, prąd elektryczny, prąd ten nie ustaje natychmiast, jak to się dzieje w temperaturze zwykłej, lecz trwa godzinami.

Ale zamięłowanie helu do indywidualnej swobody nie ogranicza się do tego, że pragnie on być ciągle w stanie gazowym i z niesłychaną tylko trudnością zmusić go można do przybrania więzów, jakie nakłada stan skupienia płynny lub stały. Unika on z równą odpornością jakichkolwiek więzów chemicznych i dotychczas wszelkie usiłowania, podjęte w tym celu, by go zmusić do wejścia w związki chemiczne z innymi pierwiastkami, pozostały bez skutku. Hel jest pierwiastkiem, bytującym oddzielnie, nie wchodzącym w żadne dotychczas znane związki chemiczne. Jest on nadto po wodorze najlżejszym z ciał znanych. Ciężar atomowy wodoru, którego drobina składa się z dwóch atomów, jest wprawdzie cztery razy mniejszy od ciężaru atomowego helu; ponieważ jednak drobina wodoru składa się z dwóch atomów, a drobina helu jest jednoatomowa, więc ta sama objętość helu jest tylko dwa razy cięższą od tej samej objętości wodoru, oczywiście gdy ciśnienie i temperatura w obu wypadkach jest jednakowa.

Te dwie właściwości helu, to jest jego lekkość i wstręt do wchodzenia w związki chemiczne, przyczyniły się do ogromnego spopularyzowania tego w świecie naukowym już poprzednio tak wielkie zainteresowanie budzącego pierwiastka, bo czynią one z helu pierwszorzędnym materiałem do napełniania balonów i okrętów powietrznych, materiał, który zdolny jest sprawić prawdziwy przewrót w lotnictwie. Dotychczas napełnia się balony, jak wiadomo, wodorem. Jest to gaz lżejszy dwa razy od helu, a więc jego siła unosząca jest większą od takiejże siły helu i jest on nadto tańszy i łatwiejszy do utrzymania, ale zato przedstawia niesłychane niebezpieczeństwo dla balonu, bo łącząc się z tlenem powietrza daje gaz piorunujący, wybuchający gwałtownie pod ładą iskrą, a balon, napełniony wodorem, jest jakby lokomotywą, któraby wiozła na sobie ładunek dynamitu.

¹⁾ Nature, 12 Aug. 1920.

Lada wybuch szrapnela, dziurawiąc powłokę balonu, lada iskra zetknięta z wydalającym się na zewnątrz balonu wodorem — a cały balon, jak to nieraz widziano podczas wojny, w jednej chwili, wybuchowo, staje się ofiarą płomieni. Zupełnie inaczej z helem. Jego siła unosząca jest wprawdzie nieco mniejsza, bo wynosi 92% siły unoszącej wodoru, ale za to na wszelkie działania ognia jest jako ciało, nie wchodzące w żadne połączenia chemiczne, zupełnie nieczuły, tak, że mając balony napełnione helem, nie tylko nie potrzeba motorów odsuwać zdala od balonu, ale można je umieszczać wewnątrz balonu wprost w atmosferze helowej, gdy zaś balon będzie złożony z kilku hermetycznie od siebie oddzielonych komór, wybuch szrapnela, uszkadzający jedną lub drugą komorę może co najwyżej ubezwładnić ruchy balonu, ale pożarem go nie zniszczy. Nadto można będzie urządzeniami elektrycznymi w miarę potrzeby podgrzewać lub oziębiać hel wewnątrz balonu, zmieniając przez to dowolnie jego gęstość a więc i unoszącą siłę. Gdy nadto do tego dodamy tę jeszcze własność helu, że daleko trudniej, niż wodór, przenika przez powłokę balonu, a jego strata przez dyfuzję jest znacznie, bo 30% mniejszą, to łatwo sobie wyobrazić, że podczas wojny ostatniej, w której lotnictwo tak wielką grało rolę, a jeszcze większą w razie niedojścia do skutku pokoju, odegrać miało, sfery wojskowe ententy, zwróciły się do helu.

Ta właśnie okoliczność dała pochop do poszukiwań na wielką skalę za helem, poszukiwań, rozpoczętych zaraz na początku wojny przez Ryszarda Threlfalla, a podjętych następnie przez wspomnianego już McLennana. Pierwsze zakłady fabryczne zbudowano około miasta Hamilton, w Ontario, w r. 1917, a już w roku następnym, założono inne, w mieście Calgary, w Alberta prowincji zachodniej Kanady, gdzie postanowiono czerpać hel z gazów ziemnych, jakie tam wydobywają się w wielkiej ilości, stanowiąc źródło energii motorycznej i opałowej dla okolicznych mieszkańców.

Gaz ziemny w Alberta zawiera tylko 0.33% helu, ale już po przejściu przez jedną kolumnę oczyszczającą, wynalezioną w r. 1918, zawiera helu 5%, a dalsza manipulacja, polegająca na tem, że skrapla się gazy, zawierające hel, przyczem tylko hel, z powodu swej niskiej temperatury skraplania, pozostaje w stanie gazowym, dozwala dostarczać gaz zawierający aż do 90% helu w sposób ciągly i regularny. Oczywiście gazów uwolnionych od helu nie marnuje się, lecz puszczają się je napowrót do rur, doprowadzających gazy ziemne do do miasta Calgary. Zbudowano już nadto maszyny, które pozwalają w sposób stosunkowo łatwy i prosty oczyścić gaz zawierający hel 90-procentowy na taki, że posiada już 99% i więcej czystego helu.

Celem produkcji helu na wielką skalę, korzystając z poczynionych doświadczeń, wypracowano już dokładny plan i kosztorys na wielkie zakłady fabryki helu w Alberta. W skład tej fabryki

wchodzi sześć wielkich maszyn, z których każda przerabia 1600 metrów sześciennych gazu ziemnego na godzinę, tak, że będzie można otrzymywać z tej fabryki rocznie 10 i pół miliona stóp sześciennych 97-procentowego helu, przytem koszt produkcji wynosić będzie niepełna 10 funtów za 100 stóp kubicznych helu. W ten sposób marzenie lotników zastosowania helu na wielą skalę stanie się wkrótce rzeczywistością, a z niem może i bezpieczna nadpowietrzna podróż jednodniowa z Europy do Ameryki.

Jak wiadomo, w Galicji mamy również ogromne ilości gazów ziemnych, zawierających z pewnością znaczny procent helu. Oczywiście u nas tego nikt nie badał, — ale może na razie i lepiej, bo mogłoby to dać komuś powód do utworzenia z tych obszarów niezależnego państwa pod opieką Ligi narodów...

Ks. Feliks Hortyński.

Ostatni światowy kongres „wolnej myśli“. ¹⁾

W dniach od 4—9 września odbył się w Pradze osiemnasty z rzędu światowy kongres przedstawicieli »wolnej myśli«, pod przewodnictwem adwokata dra Bartoška, który jest głową całego ruchu wolnomysłnego w Czechach. Oprócz miejscowych zwolenników zjechała pewna liczba gości z zagranicy, między nimi znany profesor Wahrmund. Honorowym prezydentem obrano profesora uniwersytetu praskiego, Krejci.

Już od początku roku dzienniki zapowiadały zbliżający się zjazd światowy, w dniach zaś, poprzedzających otwarcie, reklama wzrosła do niebywałych rozmiarów. Po wszystkich ulicach, wozach tramwajowych i wielu sklepach umieszczano barwne plakaty, wzywające mieszkańców do tłumnego udziału »we wspanialej manifestacji ducha ludzkiego«, a gazety wszelkich odcieni, z wyjątkiem katolickich, głośliły przybycie »najlepszych głów ze wszystkich krajów«. Przykry zawód czekał jednak inicjatorów. Już po raz drugi przyjmował gród Husa w swych murach podobnych gości, lecz podczas gdy w r. 1907 brało udział w zebraniach początkowych około dwu tysięcy uczestników, to obecnie w uroczystym pochodzie przed pomnik Husa, pierwszego dnia kongresu, znalazło się ich ledwie do pół tysiąca. Pierwsze powitalne zgromadzenie zapełniło jeszcze parter sali Smetany, chociaż loże i galerie świeciły dość gęsto pustkami, później i tam zaczęło się robić coraz przestrzenniejsze.

Jednem słowem »światowy« kongres nie udał się, a fatum jakiegoś ciężko na nim od samego początku. Jeszcze w zimie zapowiedziano

¹⁾ Allgemeine Rundschau, nr. 40.

go wszędzie na koniec sierpnia, lecz gdy sekretarjat czeskiej »Volna Myslenska« zaczął się z wiosną rozglądać za odpowiednimi lokalami, znalazł je wszystkie już zamówione przez komitet, przygotowujący zjazd katolicki, i musiał ze wstydem odłożyć termin otwarcia o dwa tygodnie. Przytem mała liczba uczestników i brak wybitnych głów były tak rażące, że nawet prasa niekatolicka uznawała w tem klęskę.

Tematy przemówień obracały się oczywiście głównie koło wyzwolenia myśli ludzkiej z pod jarzma religji, zwłaszcza katolickiej. Już pod pomnikiem Husa przemówił dr. Bartošek, że Czechy muszą się stać »niezwyciężoną twierdzą postępu w sercu Europy, trwałym fundamentem światowego postępu dla wschodniej i środkowej Europy... Po upadku reakcyjnych mocarstw Niemiec, Austrii i Turcji pozostaje jedno tylko: zwalić samą głowę reakcji, t. j. papieństwo. Dokonanie tego jest dziś zadaniem światowej »wolnej myśli...« Lud czeski musi się zupełnie oderwać od katolicyzmu, zadaniem wolnomyslicieli jest wyrwać z jego żył rzymską truciznę».

Mowa ta, dostrojona duchem do zapowiadanej przez prasę liberalną »antyklerykalnej manifestacji«, była wstępem do referatu o »rozdziale Kościoła od państwa«, który wygłosił szef sekcyjny w ministerstwie spraw zagranicznych, prof. uniw. Hobza. Starał on się dowiedzieć, że jakakolwiek ugoda z Kościołem jest z góry wykluczona i samo żądanie jej równałoby się »reakcji«. Owszem, ponieważ Kościół zagraża całej kulturze, przeto demokracja nie może z natury swej pogodzić się z nim, nawet wtedy, gdyby on został znacjonalizowany. Tem ostatniem twierdzeniem dał mowca do poznania, że nie uznaje kościoła narodowego czecho-słowackiego, dla którego socjalistyczne ministerjum wyznań tyle wydało pieniędzy; widocznie zorjentowali się wolnomyslni, że schizma ta nie podkopyje bynajmniej katolicyzmu, nieużyteczne to narzędzie można więc śmiało odrzucić. Wywody prelegenta poparł Francuz Hubbart zaznaczeniem, że obojdzie się bez wszelkich kościołów, zarówno narodowych, jak międzynarodowych, a wystarczy sam ideał »człowieczeństwa«.

Szczególniejszą uwagę poświęcono też kwestji kobiecej, a zwłaszcza wychowaniu młodzieży i żądano w tym względzie odpowiedniego prawodawstwa, któreby wykluczyło wpływ Kościoła. Obecny na zjeździe czeski inspektor szkolny Storch, przeznaczony dla Słowacji, wskazał na potrzebę usunięcia z tego kraju szkół katolickich, inny zaś nauczyciel, Colek, przemawiał za tem, by nauczycielstwo nie zadawałało się samem wprowadzeniem nauki świeckiej moralności i stosownych podręczników, ale starało się też poza szkołą wejść w styczność z młodzieżą, by ją prowadzić w tym duchu.

Znamiennem świadectwem dla rządu czeskiego było zachowanie się jego podczas kongresu. Siedemnastu ministrów, między nimi minister oświaty i wyznań, socjalista Habermann, wzięło w nim udział; wogóle zjazd spotkał się z nadzwyczajnie życzliwym poparciem rządu,

który niedługo potem wysłał także umyślnego delegata dla powitania obradujących w Preszburgu przedstawicieli Żydów ortodoksów, podczas gdy o wspaniałej manifestacji katolików własnego kraju zdawał się nic nie wiedzieć. Sam prezydent Masaryk, znany pozytywista i mason, który niedawno temu wydał swą córkę za Żyda, nie miał od półtora roku ani chwili czasu, by odpowiedzieć na telegramy, przysyłane mu u przez zjazdy katolików czeskich, ale skoro kongres »wolnej myśli« miał się rozpocząć, przerwał zaraz pobyt na świeżem powietrzu i zjechał do Pragi. Kiedy w mowie powitalnej prof. Krejci zaznaczył z naciskiem, że wolnomyślni chcą tylko doprowadzić do skutku dzieło, nad którym prezydent Masaryk pracował całe życie, tenże zapewnił w odpowiedzi, że rząd przyjmie od nich z wdzięcznością każdą wskazówkę i każde słowo, któreby go wsparły w jego trudnem i odpowiedzialnem położeniu. Stwierdzić też trzeba, że zjazd uwzględniał głównie reformatorskie zabiegi rządu czeskiego, pozostawiając resztę »świata« więcej na uboczu. Owszem szowinizm Czechów posunął się tak daleko, że wykluczono Niemców z czynnego udziału w kongresie i dopiero po bardzo usilnych prośbach pozwolono w ostatniej chwili niektórym, mówiącym po niemiecku, Czecho-Słowakom zabrać też głos w obradach.

Narodowościowa ta ciasnota dziwnie nie harmonizowała z hasłem »wolnej« myśli, lecz było to tylko jednym więcej stwierdzeniem, że prawdziwa wolność, która nie jest nadużyciem ale doskonałością człowieka, może mieć miejsce tylko w religii katolickiej. Wszędzie gdzieindziej imię jej jest tylko zewnętrznym pozorem, a tam, gdzie najwięcej ją głoszą, staje się tylko karykaturą prawdziwej wolności. Nietolerancja pod względem wiary i zapatrywań, niesprawiedliwe traktowanie innych, nawet własnych współobywateli, gwałt zadawany rodzicom na polu wychowania i szkolnictwa — oto stałe cechy tych, którzy na sztandarze swym wypisują: wolność, równość i braterstwo. Odnośnie do praskiego zjazdu najostrejszy zresztą wyrok wydał tamtejszy prof. uniwersytetu, Oskar Kraus, w dłuższym artykule, zamieszczonym w »Bohemia«: »Czyje myślenie zamkniętem jest w tak ciasnych granicach szowinizmu, ten może sobie być »wolnomyślnym« lecz nie jest ani wolnym — ani myślicielem«.

St. P.

Życie religijne we Francji.

Mogłoby się zdawać, że jest rzeczą trudną i ryzykowną mówić o katolickiem życiu religijnem w współczesnej Francji. Zarówno bowiem w środowiskach katolickich, jak i liberalnych Francja ma ustaloną opinię kraju, z którego niereligijność i niemoralność rozszerza się na cały świat. Gdy 25 sierpnia 1910 r. Pius X encykliką *Notre charge apostolique* rozwiązał Sillon i potępił niektóre jego czyny, w ówczesnej *Mysli Niepodległej* pisano o »ostatnich chrześcijanach«. Dowody, uzasadniające bezreligijność Francji, łatwo znaleźć, tembardziej, że współczesna prasa chętniej rozgłasza po świecie ujemne niż dodatnie przejawy życia. Przedewszystkiem jednak dwa zjawiska wyrobiły Francji taką opinię, odbierającą jej chlubny tytuł »pierworodnej córy Kościoła« i zaprzeczającą przekonaniu o »gesta Dei per Francos«, t. j. prześladowcza akcja rządu Trzeciej Republiki względem chrześcijaństwa katolickiego i zachowanie się społeczeństwa w tej sprawie.

Przeciwwreligijna akcja rządu francuskiego zaczęła się prawie od pierwszych chwil istnienia III Republiki. Niejako symbolem stało się to, że trzeci prezydent Grévy (1879—1887) oficjalnie należał do masonerii. Odtąd rządili republiką liberali i masoni, po r. 1899 władza przeszła w ręce socjalistów. Nie zmniejszyło to prześladowania religijnego, lecz przeciwnie podniosło jego konsekwencję i siłę.

Różnemi motywami usprawiedliwiano tę antireligijną działalność rządu. Gambetta rzucił hasło, aby obalić panowanie

księży, le cléricalisme voilà l'ennemi. Inni mówili o wolności dla wszystkich obywateli i we wszystkich dziedzinach życia, o wolności, której np. wieczyste śluby zakonne mają się sprzeciwiać; inni przedstawiali potrzebę zeświecczenia państwa wobec faktu, że nie wszyscy obywatele francuscy są katolikami i chrześcijanami, a państwo jest dla wszystkich i nie może wywierać przymusu i t. d. Cel był jeden: usunąć przejawy religijne z publicznego a, gdyby się dało, i z prywatnego życia obywateli francuskich.

Że taki był zamiar, wnioskować musimy z charakteru akcji rządowej, dziś już, z odległości historycznej, jasno występującego. W akcji tej widać planowość i skierowanie pierwszych kroków przeciw instytucjom, bez których niema chrześcijańskiego życia, t. j. przeciw rodzinie, szkole i zakonom. Rodzina wychowuje człowieka, w rodzinie człowiek nabiera podstaw religijnego i moralnego życia, którego tradycja tam się przechowuje, ale w rodzinie chrześcijańskiej. Szkoła prowadzi dalej dzieło rodziny i przygotowuje nadto młodzież do obywatelskiego życia. Jaka szkoła, takim przyszłe społeczeństwo. W zakonach wreszcie i stowarzyszeniach religijnych koncentruje się ruch religijny w postaci osobistego uświęcenia i apostołatu zewnętrznego. Usuwanie przejawów kultu zewnętrznego, usuwanie planowe i ostateczne, przyszło dopiero później. Oczywiście o tego rodzaju zamiarach początkowo nie mówiło się publicznie. Dopiero gdy dzieło było dokonane albo miało zapewnione powodzenie, ci i owi prawodawcy i działacze czynili szczere wyznania. Jaurès na wstępie do swoich *Discours parlementaires* przypomina rozmowę, którą miał kiedyś z Jules Ferrym. Zapytał się Ferrego, jaki mu przyświecał ideał w działalności rządowej i parlamentarnej, zwłaszcza w zakresie szkolnictwa, i otrzymał odpowiedź tej treści: Mon but c'est d'organiser l'humanité sans Dieu et sans roi, celem mojej działalności było utrwalenie ustroju społecznego, w którym dla Boga niema żadnego miejsca. Minister pracy Viviani temniej więcej słowy chlubił się w parlamencie 8 listopada 1906 r. dziełem, którego dokonała Republika, a właściwie jej władze naczelne: »My wszyscy, starzy i młodzi, przyłgnawszy umysłem i sercem do antyklerykalizmu i bezreligijności, wyrwaliśmy sumienie ludzkie z pod brzemienia wiary, podnieśliśmy z kolan człowieka nieszczęśliwego, zmęczonego ciężarem dnia, wykazując mu,

że tam, gdzie wysła swe modły, jest martwa pustka i nie więcej». Izba posłów 340 głosami przeciw 128 nakazała ogłoszenie i rozlepienie tej mowy po całej Francji.

Szkolnictwo francuskie, jak i w innych krajach europejskich, było religijne, a wśród nauczycieli liczyło wielu zakonników i zakonnic. Działalność rządowa poszła w dwóch kierunkach, mianowicie w kierunku usunięcia zakonników ze szkół i w kierunku szkoły świeckiej. Ustawa z 23 marca 1882 r. orzekła, że szkoła powszechna ma być świecka czyli neutralna, dostępna dla wszystkich wyznań, pozbawiona nauczania religii katolickiej. Wstęp do szkoły publicznej dla księdza został zamknięty, jak również zabroniono nauczania religii w godzinach szkolnych. Ustawa z 9 grudnia 1905 r. dodała sankcje prawne do powyższej ustawy, wskutek czego np. 24 grudnia 1909 r. Izba kasacyjna skazała księdza na grzywnę za urządzenie trzydniowych rekolekcyj dla dzieci szkolnych, przystępujących do pierwszej komunji św. Akcja przeciwwakonna nie była tak radykalna, potęgowała się stopniowo, choć się wcześniej zaczęła. W lipcu 1879 r. izba posłów uchwaliła projekt ustawy, zakazującej zgromadzeniom zakonnym, nie uznanym przez państwo, kierowania szkołą publiczną lub prywatną albo wykładania w niej. Senat wprowadził odrzucił ów projekt, który tem samem nie stał się ustawą, ale zato prezydent Grévy wydał dwa dekrety, tegoż roku, nakazujące rozwiązanie się zakonowi jezuickiemu i tym nie uznanym, które w ciągu trzech miesięcy nie podadzą się do autoryzacji. Dekrety te, zasadniczo bezprawne, zostały później ulegalizowane. Więc ustawa z 30 października 1886 r. postanawia, że odtąd zakonnik nie będzie mógł być nauczycielem w szkole publicznej i że wszystkie szkoły ludowe dla chłopców będą ześwieczone w ciągu pięciu lat, a dla dziewcząt w miarę postępującej możliwości. I rzeczywiście w r. 1895 minister oświaty zadeklarował w izbie, że w całej Francji pozostaje do zlaicyzowania już tylko dziesięć szkół dla chłopców. Wreszcie ustawa z 7 lipca 1909 r. zabrania zakonnikom nauczania nawet w szkole prywatnej. W szkole więc katolickiej, która mogła być tylko prywatną, mogli nauczać jedynie świeccy katolicy. Ci jednak nauczyciele nie korzystali z tych przywilejów, jakie przysługiwały nauczycielom rządowym, np. ustawa z 15 lipca 1889 r. tylko dla nauczycieli szkół rządowych redukuje czas służby wojskowej

z trzech lat na rok, nauczycielom szkół prywatnych nie przyznano tej ulgi. Ustawodawca francuski nie poprzestał na uniemożliwieniu zakonom i zrzeszeniom religijnym działalności szkolnej. Ustawy z lat 1880, 1884 i 1895 nałożyły osobne podatki na stowarzyszenia, złożone z osób zakonnych lub świeckich, ale powstałe dla celu religijnego, np. dla nauczania katechizmu. Inne przepisy prawne zmierzały do rozwiązywania samych zgromadzeń.

Pierwsze próby sięgają 1880 r., ostatecznie jednak akcja przeciwwzakonna napotykała na opór i dopiero ustawa o stowarzyszeniach z r. 1901 orzekła, że wszystkie stowarzyszenia religijne, nie zalegalizowane przez rząd, o ile w ciągu trzech miesięcy nie podadzą się do legalizacji, mają być rozwiązane, a ich własność będzie zlikwidowana czyli sprzedana. Po tej ustawie, ciężar legalizacji pod względem prawnym nie był nadużyciem, i dlatego zgromadzenia religijne zaczęły się zgłaszać o legalizację, ale parlament nie zalegalizował żadnego zgromadzenia, nastąpiła likwidacja, tem gorsza od dokonywanych w latach ubiegłych, że była powszechna i bezwzględniejsza w oszukiwaniu i szacherkach. Ustawodawca antyreligijny pragnie więc znieść zakony, a rodzinę zeświecczyć i rozbić przez nałożenie przymusu ślubów cywilnych i wprowadzenie rozwodów. Parlament francuski uznał rozwody 29 maja 1884 r. W dziesięć lat później skasował artykuł 298 kodeksu cywilnego, który zabraniał małżonkowi, winnemu cudzołóstwa, poślubić współnika grzechu. Wreszcie ustawa z 1908 r. przepisuje, że, jeśli separacja trwa trzy lata, sędzia musi ogłosić rozwód na żądanie którejkolwiek strony, nawet tej, której вина była przyczyną separacji. Obie ostatnie ustawy miały na celu ułatwienie rozwodów.

Kler mniej podlegał opiece rządowej. Można wszakże wspomnieć rozporządzenie Rady Ministrów z r. 1883, które pozwalał rządowi zawiesić lub wstrzymać pensję dla duchowieństwa. Cel rozporządzenia jasny — uzależnić duchowieństwo od rządu i uczynić je powolnem na jego żądania, zawiesić nad klerem groźbę, że wszelkiej niezależności działania a tembardziej oporowi będzie towarzyszyć zawieszenie pensji. Ustawy z 1889 i z 1905 r. rozciągnęły powinność wojskową i na duchowieństwo.

To był atak od wewnątrz. Atak od zewnątrz miał na celu usunięcie chrześcijańskiego znamienia z publicznego życia francuskiego. Jeszcze w r. 1879 zniesiono przepis, mocą którego

przedstawiciel duchowieństwa z urzędu zasiadał w komisjach, zarządzających dobroczynnością publiczną. Była to przygrywka do innych aktów ważniejszych. Wśród nich jedne zmieniały tylko zewnętrzny wygląd instytucyj i form postępowania, natomiast inne były wprost okrutne. Do pierwszych należała ustawa z r. 1883, zabraniająca wojsku uczestniczyć w ordynku wojskowym w kościołach podczas uroczystych obchodów, wojsko mogło być tylko na placu przed kościołem. Ustawa z r. 1884 daje merom prawo zabronienia zewnętrznych przejawów kultu religijnego, np. procesji, oraz regulowania dzwonienia po kościołach, co prawda w porozumieniu z biskupem. Jest to rozporządzenie śmieszne, ale mniej bolesne niż zniesienie w r. 1900 powszechnego świętowania Wielkiego Piątku w wojsku morskiem. Ustawodawca liberalno-socjalistyczny poszedł dalej. W r. 1880 zniósł instytucję kapelanów wojskowych i zabronił księdzu odwiedzać szpitale, by tam spełniać posługi religijne, tak jak je spełnia w całej parafji, o ile nie będzie wyraźnie wezwany przez umierającego. Ustawie takiej poddano szpitale floty w r. 1903, a w trzy lata później wszystkie szpitale wojskowe. Żeby jeszcze bardziej utrudnić chorym śmierć chrześcijańską, parlament w 1903 r. wypędził wszystkie zakonnice ze szpitali dla marynarzy. W tymże samym roku sekciarze targnęli się na krzyże, które usunięto, również mocą ustawy parlamentu, z sal sądowych i szkół.

Koroną niejako tego okresu dechrystjanizacji była ustawa o rozdziale Kościoła od Państwa z r. 1905, poprzedzona zerwaniem stosunków dyplomatycznych (1904 r.) ze Stolicą Apostolską. Wskutek ustawy o rozdziale kościoły i probostwa przeszły na własność gminy, przeto dekret z 1907 roku postanowił usunąć z frontów napisy Dieu protégé la France i zamienić je hasłem: Liberté, Egalité, Fraternité. Na wiele lat przedtem ustawa z roku 1884 zniosła ustawę z r. 1875, nakazującą modły publiczne w chwili otwarcia parlamentu, aby uzyskać pomoc Boga dla prac Zgromadzenia Ustawodawczego. Liberalna republika nie ma potrzeby prosić Boga o światło i łaskę, a socjalistyczną drażni symbol Męki Chrystusowej i życia pózagrobowego ¹⁾.

¹⁾ Por. Comte Fernex de Mongex, *Le chemin de la Croix de l'Eglise de France sous la III^e Republique. Les Questions actuelles*. 106 (1910) 113—123.

Ta antyreligijna działalność rządu niewątpliwie wywarła ujemny wpływ na religijność społeczeństwa francuskiego. Atoli i sama ta religijność musiała być bardzo powierzchowna. Nie podobna bowiem pojąć, by ludność, naprawdę wierząca i religijna, pozwalała rządowi przez tyle lat i mimo tylu wyborów do parlamentu, prześladować Kościół i obyczaje religijne, by przez tyle lat dała się kierować uprzedzeniami, padała ofiarą nieporozumień w sprawach, dotyczących samej organizacji kościelnej i samej istoty życia religijnego. I rzeczywiście biskup Tissier kreśli bardzo ponury obraz religijności francuskiej już w połowie XIX w. Obraz ten jest niezawodnie wierny, bo podany w artykule, który ma na celu obronę katolicyzmu współczesnej Francji przed zarzutami niemieckimi... »Kiedy Francja — pisze Mgr. Tissier — ukazywała się w oczach całego świata, jako pierworodna córka Kościoła, kiedy jej rząd wspaniałomyślnie otaczał opieką religię, kiedy jej wojska stały w Rzymie, aby bronić doczesnej władzy papieża, za Restauracji pod Ludwikiem Filipem i za cesarstwem, w okresie, w którym państwo powoływało przedstawicieli duchowieństwa na stanowiska urzędnicze i do rady, wtedy, według zeznań naszych przodków, w wielu miastach, pominawszy wyjątkowe parafje, załedwie dziesięciu mężczyzn na stu przystępowało do komunji wielkanocnej i było na mszy św. niedzielnej. Wiele kościołów sprawiało wrażenie opuszczonych łodzi. Duch wolterjański przenikał warstwy burżuazyjne, lud, wierniejszy po wsiach praktykom religijnym, był mimo to niewolnikiem obojętności i względu ludzkiego. Kapłan, któremu oddawano cześć ze względu na jego stanowisko, zgodził się nie opuszczać zakrystji, by się nie mieszać do spraw publicznych. Ponieważ porządek zewnętrzny był zachowany i ponieważ obyczaje, dzięki tradycji, były dość uczciwe, duchowieństwo nie odczuwało potrzeby ani zamięłowania do przeprowadzenia wielkich dzieł apostolskich. Większość parafij wiejskich, w owe czasy, było to terytorjum pewnej rozciągłości, zamieszkałe przez pewną liczbę ludzi, mające Kościół, cmentarz i jednego albo dwóch księży. Uznawano to prawie za okres złoty, a był to naprawdę sen letargiczny¹⁾. To samo stwier-

¹⁾ Tissier, *La Vie religieuse*, w *La Vie catholique dans la France contemporaine*, książce zbiorowej, wydanej pod redakcją rektora Mgr. A. Baudrillart przez Comité Catholique de Propagande française a l'étranger 1918, str. 97—98.

dzają inni pisarze, np. Taine w przedśmiertnem swoim dziele *Régime moderne* w rozdziale o Kościele: ¹⁾ »Wskutek niedostrzeżalnego i powolnego cofania się, wielka masa wiejska, za przykładem wielkiej masy miejskiej, jest na drodze do spoganienia; od stu lat rozwój idzie w tym kierunku, bez zatrzymania się. Jest to straszne, straszniejsze dla narodu niż dla państwa«; A. Fouillée ²⁾, L. Arréat ³⁾, Fonsegrive ⁴⁾. Do tego samego wniosku dochodzi Paul Seippel w dziele, napisanem w okresie rozdziału Kościoła od Państwa: »Począwszy od Restauracji, Kościół, mimo niezmordowanej propagandy, mimo wszystkie środki autokratyczne, któremi rozporządza, widzi, jak się stopniowo zmniejsza jego wpływ na masy. Większa część ludu francuskiego wysuwa mu się dzisiaj z jego rąk« ⁵⁾. Niemniej smutne twierdzenie daje *Révue pratique d'apologétique*: »W naszych miastach cokolwiek ludniejszych i nawet w wielu wsiach jest mnóstwo ludzi niechrześcijańskich. Mówią o przedmieściach paryskich, gdzie ich liczebność wyraża się co najmniej w stosunku 1 do 2... Część ludności francuskiej żyje, wzrasta i umiera, nie podlegając żadnym wpływom religijnym... Zdaniem niektórych, słowa, poglądy, obyczaje i zwyczaje w ostatnich latach nie były czem innem, jak wznowieniem życia pogańskiego z okresu największego zepsucia« ⁶⁾.

Ta niereligijność nie objęła wszakże całej Francji. Taine, którego zdanie z r. 1891 przytoczyłem powyżej, opiera się między innymi na tem, że w Paryżu na sto pogrzebów jest tylko 20 religijnych. W obronie religijności swej ojczyzny wystąpili ks. de Broglie ⁷⁾ i Mgr. d'Hulst ⁸⁾ w osobnych monografiach. Zebraniem cyfr ścisłych, dotyczących pogrzebów zajął się ks. L. Ruffin ⁹⁾. Okazało się, że pogrzeby cywilne dosięgają 18—23%,

¹⁾ T. XI, str. 187.

²⁾ La France au point de vue moral.

³⁾ Le sentiment religieux en France.

⁴⁾ Yves le Querder, Lettres d'un curé de campagne.

⁵⁾ P. Seippel, Les deux Frances et leurs origines historiques. Lausanne 1905, str. 307.

⁶⁾ 19(1914) 93 w art.: Vues sur la situation religieuse de la France.

⁷⁾ Présent et l'avenir du catholicisme en France.

⁸⁾ La France chrétienne dans l'histoire.

⁹⁾ A. Ruffin, La carte religieuse de Paris. Statistique des enterremens religieux et civil à Paris de 1883 à 1903, par quartiers, par classes. 1906.

katolickie 73—78, przyczem wzrost pogrzebów cywilnych wypada na chwilę wzmożonej walki antyreligijnej, najpierw po roku 1879 (projekt ustawy, wniesionej w r. 1879 przez Jules Ferry'ego przeciw zgromadzeniom religijnym, śmierć Gambetty 1882 r. i V. Hugo w r. 1885, co było okazją do wielkich manifestacyj antyreligijnych), następnie po r. 1901, w którym parlament uchwalił prawo o stowarzyszeniach. Późniejsza statystyka obejmująca wszystkie pogrzeby religijne, a nie tylko katolickie, wykazuje, że w okresie od r. 1904 do 1909 pogrzeby cywilne wzrosły z 20% na 26%, a religijne spadły z 80 na 74¹⁾.

Zagadnienie więc nie jest tak proste, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało. Już przytoczone cyfry co do pogrzebów wskazują, że ogromna większość Paryża chowa się po chrześcijaństwu. Należy zatem stwierdzić istnienie Francji religijnej, względnie katolickiej i dla dokładniejszego poznania stanu rzeczy, dla usunięcia pozornych sprzeczności wprowadzić pewne rozróżnienia co do czasu i co do klas społecznych.

Bardzo charakterystyczną cechą współczesnego katolicyzmu francuskiego widzimy w tem, że jest to katolicyzm warstw wyższych, względnie miejskich. Dawniej za czasów rewolucji i w pierwszych okresach porewolucyjnych duch wolterjański i sybarytyzm życiowy odchrześcijanił warstwy wyższe, lud został przy wierze ojców. Współcześnie, warstwy wyższe, miejskie i wiejskie, są naogół religijne. Godzą się na to prawie wszyscy obserwatorowie życia religijnego we Francji. Po miastach kościoły są w niedzielę pełne wiernych, po wsiach są puste. »Lud w całej swej masie jest mniej religijny, niż był w okresie Rewolucji«, »masa wiejska zdążyła powoli do pogaństwa«²⁾. »Zajdźcie, pisze A. Fouillé, do kościołów naszych wsi, a prawie wszędzie na mszy parafjalnej zobaczycie tylko kobiety. Mężczyźni zostali na polach lub poszli do gospody. Jeśli jeszcze chrzczą dzieci, jeśli biorą ślub w kościele, to dlatego, że uznają te czynności za ceremonie zwyczajowe i do pewnego stopnia za tradycyjną wytworność, która zresztą do niczego nie obowiązuje. Proboszcz jest według nich człowiekiem, który chrzci, udziela ślubów, grzebie, przygotowuje dzieci do pierwszej komunji, — będącej często

¹⁾ Gibon, Enterrements civils. Questions actuelles 109 (1910) 250.

²⁾ Seippel, Les deux Frances, 303, 305.

i ostatnią — spowiada żony i córki, ale który powinien mężczyzn pozostawić w spokoju«¹⁾. Co więcej niektórzy pisarze, jak L. Arréat²⁾, ks. Józef Roux, proboszcz w Corréze (r. 1886), stwierdzają u ludu wiejskiego kult religijny dla słońca, w którym widzi jakąś istotę wyższą, Stwórcę³⁾. Nic dziwnego, wiadomo, że i po miastach, wśród ludu i inteligencji, zabobon w postaci wiary w sny, przepowiednie, wróżby, wiary w amulety, szukania rad i wskazówek u wywoływaczy duchów, praktyk spirytystycznych i t. d., wzrasta w miarę upadku wiary.

Oto parę spostrzeżeń. Liczebność dzieci nie jest konieczną cechą rodziny chrześcijańskiej. Są małżonkowie, którzy dla celów wyższych zachowują czystość. Że jednak wymaga to większego panowania nad sobą i wyższej doskonałości, co nie może być zjawiskiem powszechnem, zwykle tak się dzieje, że liczba urodzin jest wyższa w środowiskach katolickich, które naogół przestrzegają moralności płciowej, niż w środowiskach niekatolickich, które współcześnie naogół tej moralności nie zachowują. Joly⁴⁾, powołując się na statystykę, a przede wszystkim obserwując sam życie i przytaczając imiennie bardzo wiele rodzin, mieszkających w różnych stronach Francji, dochodzi do przekonania, że w t. zw. warstwach wyższych, wśród arystokracji, biurokracji miejskiej, zawodów wolnych, korpusu oficerskiego i t. d. wielodzietne rodziny są zjawiskiem zwykłym, natomiast robotnicy i włościanie są najbardziej bezdzietni wśród Francuzów⁵⁾.

Dla cudzoziemca, który tyle słyszał i czytał o bezbożności francuskiej, prawdziwą niespodzianką było, już przed wojną, to, że kościoły paryskie w niedziele nie stały pustką. Brival-Gaillard, pragnąc usprawiedliwić antyreligijną działalność rządu, ogłosił w r. 1913 wynik ankiety⁶⁾, z której wynikało, że praktykujących katolików w Paryżu jest tylko 118.600, czyli jeden na 23 Paryżan. Głównego obliczenia dokonał w następujący sposób. Obliczył,

¹⁾ *La France au point de vue moral*, str. 51.

²⁾ *Le sentiment religieux en France*, str. 92.

³⁾ Przytacza Seippel, l. c. 305—306.

⁴⁾ H. Joly, *La Famille*, w *La Vie catholique dans la France contemporaine*.

⁵⁾ Joly, str. 164.

⁶⁾ C. Brival-Gaillard, *L'Etat actuel des cultes en France*, w *Revue*, zeszyt z 1 lipca 1913 r., str. 1—18.

ile jest krzeseł i mszy parafialnych w czterech głównych parafjach paryskich, określił stosunek liczby zajętych miejsc na mszach parafjalnych do ogólnej liczby parafjan w tych parafjach i otrzymaną cyfrę pomnożył przez liczbę 77 parafij paryskich. Osiągnięte liczby są zupełnie błędne. Brival-Gaillard nie włączył do rachunku kaplic publicznych i prywatnych w różnych stowarzyszeniach i szkołach, gdzie się młodzież i starsi zbierają na modlitwę; nie zwrócił uwagi na tych, którzy nie mogą być na mszy z przyczyn zawodowych, z powodu choroby, podróży i t. d., a co w dużym mieście stanowi wysoki odsetek. Z rzeczowych sprostowań i szczegółowych obliczeń widać np., że w przeważnie handlowej i rzemieślniczej parafji św. Jana (Grenelle) uczestniczy co niedzielę na mszy św. 7.090 wiernych (na 55.000 ludzi, zamieszkałych w obrębie tej parafji), a nie 1400, podanych przez Brival-Gaillarda, w parafji Najśw. Marji Panny Pracującej (przedmieście Plaisance) do 4.000 na 44.500 mieszkańców, a nie 1.100. O wiele dokładniejszą byłaby statystyka, oparta na komunji wielkanocnej, bo jest to obowiązek, jeśli tak można powiedzieć, bardziej istotny, niż wysłuchanie mszy św. w niedzielę. Otóż w tymże r. 1913 w 58 parafjach na 78 (bo tyle ich było) przystąpiło do komunji św. wielkanocnej 314.000 wiernych. Jeśli do tego dodać wiernych, komunikujących w pozostałych parafjach oraz w kaplicach, w kaplicach szkolnych, w zgromadzeniach i t. d., to liczba praktykujących katolików zapewne się zdwoi. Nie koniec na tem, jak wszędzie, tak i w Paryżu są katolicy dobrzy, którzy się zaniedbali, są pół i ćwierćkatolicy, których jednak nie można pominąć, gdy się chce obliczyć ogólną liczbę katolików¹⁾. Można ją określić na blisko milion — na niecałe trzy miliony wszytkiej ludności w Paryżu.

Gdzie niema rozdziału Państwa od Kościoła, gdzie ustawodawstwo uznaje charakter religijny pewnych instytucyj, np. małżeństwa, szkoły, gdzie z czynnościami religijnymi łączą się pewne akty prawne, np. metryka urodzenia i ślubu, świadectwo pogrzebu, tam się wytwarza atmosfera religijna, która sprzyja wpływom Kościoła. Ma to tę ujemną stronę, że do Kościoła należą

¹⁾ Maurice de Gaillard-Bancel, *Le catholicisme à Paris. A propos d'une enquête sur la fréquentation des églises. Questions actuelles.* 116 (1914) 33—41.

katolicy z imienia, »katolicy z metryki chrztu«, co często stanowi kulę u nogi akcji religijnej i gorszy maluczkich, a wrogom religii daje okazję do krytyki i szyderstw. Ale z drugiej strony, wielu z tych ludzi, mimo swej woli pozostających w sferze wpływów religijnych, wraca do Kościoła. Między nim a nimi nie są spalone mosty, jest pewien punkt styczności. We Francji wskutek rozdziału Państwa od Kościoła ta atmosfera społeczno-religijna zrzedła, prawie zanikła. Nieomal wszyscy ci katolicy z urodzenia i tradycji odpadli. Zostali ci, dla których wiara jest potrzebą serca i treścią życia. Jest to jedna z przyczyn, dlaczego katolicyzm francuski, grupujący taki wielki odsetek warstw uświadomionych, odznacza się wybitną religijnością.

W ostatnich latach religijność ta nie maleje, lecz wzrasta. Świadczy o tem wiele zjawisk. Najpierw, obok dawnych zakonów, rozwój bractw, tercjarstwa i zrzesseń religijnych. Liczne są trzecie zakony, św. Dominika, św. Franciszka, karmelitański i in. Bracia mniejsi kierują 700 kołami żeńskimi i 300 męskimi; w r. 1900 Kapucyni mieli przeszło 1.700 zgromadzeń liczących prawie 80.000 braci i siostr. Do tego trzeba dodać tysiące osób, skupionych w stowarzyszeniach takich, jak Bractwa Najśw. Sakramentu, Kongregacje marjańskie, Stowarzyszenia matek i wdów chrześcijańskich, dzieci Marji, nieustającej adoracji, adoracji nocej, apostołstwa modlitwy, żywego różańca, Konferencji św. Wincentego à Paulo i t. d. Do obowiązków, nakładanych przez te zrzesseństwa, należą ćwiczenia religijne, jak czytanie duchowne, codzienne rozmyślanie i rachunek sumienia, rekolekcje, częstsza komunja. Przeto ćwiczenia te rozszerzają się coraz bardziej. Bardzo są powszechne rekolekcje zbiorowe i zamknięte, np. po skończeniu szkoły, dla popisowych, dla nauczycieli i profesorów, dla związku przemysłowców i robotników. Wyzyskano tu organizację zawodową, jako motyw i teren do akcji religijnej. Dla ułatwienia rekolekcyj zamkniętych zbudowano w ciągu ostatnich 20 lat wiele domów rekolekcyjnych w Paryżu, w Lille, w Villefranche i t. d. W 1899 r. w domach rekolekcyjnych Dames religieuses du Sacré-Coeur odprawiło rekolekcje kilkadziesiąt tysięcy osób różnych klas. Nabożeństwo do Serca Jezusowego staje się narodowem, przyjmuje się powszechna komunja co pierwszy piątek każdego miesiąca. Wzrasta liczba częstych i codziennych komunij św. »Masy miejskie — dotąd wiejskie jeszcze nie — od-

nalazły drogę do Kościoła i zasiadły do eucharystycznej uczty. Niema nic bardziej pięknego i budującego, jak komunja wielkanočna, komunja ogólna mężczyzn w Notre Dame w Paryżu... I to, co się dzieje w Paryżu, to samo widzi się we wszystkich kościołach katedralnych lub głównych w każdym z wielkich miast francuskich, niekiedy kilka razy do roku, gdyż, przedewszystkiem od wojny, tu i ówdzie organizuje się ogólne komunje mężczyzn¹⁾. Są małe miasteczka, w których na 8.000 mieszkańców jest rocznie 100.000 komunij. Są ludzie i zgromadzenia, dla których cześć eucharystyczna jest celem życia, np. zrzeszenie *Pères du Saint Sacrement* ojca Eymard, *Prêtres adorateurs* w liczbie przeszło 60.000, *Servantes du Saint Sacrement* w Paryżu, w Ljonie, Angers i inne. Ileż się zmieniło od tego czasu, w którym Montalembert był »le phénomène du jeune homme qui communiait«. O tejsze religijności świadczy rozwój nauczania początków religji przez świeckich, głównie przez kobiety, i powstałe w tym celu osobne stowarzyszenia i kursa, połączone z egzaminami i świadectwami. Świadczy o niej również olbrzymia ofiarność na cele związane z miłosierdziem i utrzymaniem wiary.

W Francji pozostała tradycja dobroczynności prywatnej, skierowana względem dzieci, chorych, starców i t. d. Wśród przeróżnych stowarzyszeń poważne miejsce zajmują Konferencje św Wincentego à Paulo, w Paryżu przeszło 200, liczących 4.000 członków i opiekujących się prawie 8.000 rodzin. W roku 1900 prywatna dobroczynność katolicka w Paryżu opiekowała się 250.000 osób, wśród których było 60.000 sierót i przeszło 100.000 starców. Przed wojną Paryż utrzymywał 7 wielkich szpitali. Z pośród różnych instytucyj na szczególną uwagę zasługuje stowarzyszenie *Petites Soeurs des Pauvres*, w r. 1912 złożone z przeszło 6.000 osób, opiekujące się ubogimi, wśród których było prawie 50.000 starców. Utrzymuje się ono z ofiar, ale niema żadnej własności, ani nie gromadzi żadnych zapasów, nie przyjmuje żadnych zapisów ani fundacyj, żyje z ofiar w ciągu dnia otrzymanych i polega całkowicie na wierze w Opatrzność Bożą²⁾. Z Francji idzie też olbrzymia ofiarność na misje: Propaganda wiary od r. 1822—1913 otrzymała z całego katolickiego świata 162,275.590 fr.,

¹⁾ Tissier, dz. przyt. 37.

²⁾ La vie religieuse, str. 75.

a z Francji 255,188.391 fr. Wiadomo, że pod pozycjami francuskimi szły nieraz np. pieniądze polskie, ale przewaga ofiarności francuskiej mimo to jest olbrzymią. A jak na szerzenie wiary wśród pogan, tak samo Francja daje wielkie sumy na utrzymanie kościołów, duchowieństwa, szkół prywatnych, prasy katolickiej i t. d. Z chwilą zeświecczenia szkoły przed Francją stanęło to samo zagadnienie, które miała do rozwiązania i Belgja. Skoro szkoły nie są katolickie, a często są niekatolickie, i skoro nie można im przywrócić charakteru katolickiego, trzeba zakładać własne szkoły, prywatne, z własnych funduszków. I jak katolicy belgijscy, tak samo katolicy francuscy nie cofnęli się przed tym obowiązkiem. Stworzyli własne szkolnictwo powszechne, średnie i wyższe.

W r. 1910—1911 było powszechnych szkół prywatnych katolickich, t. zw. wolnych 14.428, liczących 960.712 uczniów, a szkół rządowych 71.491 i uczniów 4,135.886. W stosunku do r. 1909—1910 na 1.000 szkół przybyło rządowych 3; a na 1.000 uczniów 17, natomiast szkół wolnych 9 i uczniów 28. Katolicy utrzymują swoje szkoły średnie w takiej ilości, że dorównują rządowym, a niekiedy liczą więcej uczniów niż rządowe. Tak było w r. 1900, w którym rządowe miały 84.472 uczniów, a prywatne 91.140. Jest to tem donioślejsze, że uczniowie szkół katolickich napotykali przeszkody na drodze kariery urzędniczej, że w szkołach rządowych były liczniejsze bursy. Gdy w bieżącym roku parlament francuski uchwalał założenie burs szkolnych dla dzieci żołnierzy, minister oświaty sprzeciwił się zakładaniu takich burs z funduszków rządowych przy szkołach prywatnych, bo szkoły rządowe w chwili takiego zrównania nie wytrzymałyby współzawodnictwa szkół prywatnych katolickich¹⁾. Do tych wydatków należy dodać koszt utrzymania uniwersytetów katolickich w Paryżu, Ljonie, Lille, Angers i Tuluzie. Trzeba wielkiego umiłowania swoich przekonań i żywej wiary, aby takie koszta ponosić, gdy się ma dostępne szkoły rządowe, na których utrzymanie katolicy muszą płacić zwykły podatek, mimo, że z nich nie korzystają.

(Dok. nast.).

¹⁾ W mowie w Senacie 29 VII 1920 r. minister Honnorat: «innovation qui pourrait avoir de graves répercussions et ruiner même certains établissements de l'Université». Documentation catholique 4 (1920) 109 a.

Międzynarodowa organizacja pracy.

W ślad za wojną europejską wśród wielkich przesunięć sił, pojęć i wartości różnych przyszedł przełom europejski przede wszystkim socjalny; który osobistą własność prywatną robotnika, t. j. jego siłę do pracy, jego pracę otoczyć chce szczególną opieką. Po wielkiej części słuszny to zamiar. Atoli całe nieszczęście w tem, że żywiołowy ten przełom zastał w ruinie Europy, ekonomję materialną i duchową, a proletarjat, zwłaszcza klasowy socjalistyczny, nieprzygotowany do dziejowej chwili, do pozytywnej organizacyjnej pracy, do prawdziwie »społecznej« przebudowy.

Mimo wszystko odbudowa społeczeństw pilna, reforma społeczna konieczna. Uznają to wszyscy, pragnący dobra powszechnego; to też stanąwszy na wspólnej międzynarodowej podstawie wspólnymi siłami chcą świat podźwignąć z jego upadku. Wciągnąwszy w zakres techniki odbudowy organizacje i to międzynarodowe, rzucono hasło: uzdrowienie stosunków światowych za pomocą światowej organizacji. Więc do tego celu ma zmierzać organizacja polityczna, t. j. »Liga Narodów«, wychodząca obecnie ze swej rezerwy, dalej liga ekonomiczna, na którą składają się »Międzynarodowa Izba Handlu« z Radą i Biurem centralnem, oraz »Międzynarodowe Towarzystwo wielkiego zakupna«; wreszcie liga społeczna, t. j. »Międzynarodowe Biuro Pracy«. Jest ono zdaje się jedyną Traktatem Wersalskim objętą międzynarodową instytucją, która działa prawidłowo i owocnie. Warto ją poznać.

Praca to podstawa bytu i dobrobytu każdego społeczeństwa. Więc chcąc przeprowadzić reformę od fundamentu, należało koniecznie na pierwszym miejscu utworzyć międzynarodową organizację pracy. I rzeczywiście utworzyła ją Konferencja pokojowa w Paryżu, która w Traktacie Wersalskim, uprawomocnionym od 10 stycznia b. r., określa artykułem 23 dla Członków Ligi Narodów swą wolę, a w części XIII artykułami 387—429 odpowiednie normy i statuty. W tej chwili M. B. P. jest jedną z najżywczych i nowym ujęciem zajmujących organizacyj.

Prasa nasza, zaprzątnięta kwestjami narodowymi, nie mogła wyczerpująco zająć się tem zagadnieniem międzynarodowym. To też więcej o niem wzmianki znajdujemy w pismach zagranicznych ¹⁾.

M. B. P. nie jest pomysłem jakiegoś doktrynerstwa, ale wykwitem organicznego rozwoju, koniecznym tworem ewolucji dualizmu burżuazyjno-proletarjackiego po linii idei międzynarodowego ustawodawstwa robotniczego.

Na ziemiach Europy w połowie zeszłego wieku już idea ta pusiła swe pędy w umysłowość ludzką. Rzucona przez chrześcijańskiego filantropa, Alzatzczyka D. Legranda, ze zmienną aktywnością w pochodzie swoim torowała sobie drogę do prawa obywatelstwa w opinii publicznej, w kołach naukowych i politycznych. Nie można nie wspomnieć o papieżu Leonie XIII i o innych wybitnych katolickich postaciach, jak Decurtins, de Mun, Lorin i inni, którzy zachęcani wielkim jego programem, skrętnie utrzymywali tę ideę na powierzchni opinii europejskiej w przekonaniu, że tylko międzynarodowe ustawodawstwo pracy rozwiąże wielkie zagadnienie społeczne.

I czerwona Międzynarodówka, powstała r. 1864 na zasadzie klasowej solidarności, dorzuciła do prądu tej idei międzynarodowego ustawodawstwa robotniczego swą charakterystyczną siłę. Z czasem przyszła też chwila, kiedy i rządy tę ideę włączyły w zakres swojej polityki. Pierwsza Szwajcarja około r. 1880 wystąpiła wobec Europy z życzeniem wspólnego porozumienia się w tym kierunku; na razie bez skutku. W następnych jednak latach utrzymuje się ta idea, przypominana i popierana przez ro-

¹⁾ Pisano o tym przedmiocie m. i. w »Correspondant«, 25/IX, 20, w »America«, 28/VIII 20 i w innych pismach.

botników i filantropów to w parlamentach, to na zjazdach. Roku 1884 rząd szwajcarski ponownie wystąpił z zaproszeniem państw na konferencję celem zapoczątkowania międzynarodowego ustawodawstwa pracy. Tym razem skutecznie. Atoli inicjatywę oddano zazdrosnemu cesarzowi Wilhelmowi II; zwołał on też konferencję międzynarodową do Berlina, na której był i przedstawiciel Leona XIII w osobie kardynała Koppa. Konferencja ta o nikłych wprowadzić praktycznych wynikach świadczyła jednak o tem, że rządy ówczesne uznały ideę międzynarodowego ustawodawstwa robotników za możliwą do urzeczywistnienia. Tem śmieiej też o to urzeczywistnienie walczyły poniekąd wspólnemi siłami obozy o światopoglądach tak chrześcijańskim jak i materialistycznym. Już na konferencji w Brukseli 1897 r. powstał stały międzynarodowy komitet społecznych zabezpieczeń. A na konferencji w Paryżu 1900 r. idea ochrony robotników przybrała trwałe kształty w tworzącym się »Międzynarodowym Związku prawnej ochrony robotników« ze siedzibą w Bazylei. Do dzisiejszego dnia istniejący, a złożony z pojedynczych członków i krajowych autonomicznych sekcji, ma za zadanie: 1) stanowić łącznik dla wszystkich zwolenników i szermierzy międzynarodowego ustawodawstwa ochrony robotników i 2) utworzyć międzynarodowy urząd pracy, który też zaraz w maju roku następnego powołany został do bytu z siedzibą w Bazylei. Punkt ciężkości pracy sekcji krajowych leży w narodowej propagandzie reformy społecznej; a na naukowo-informacyjną działalność Urzędu Pracy składa się ułożenie międzynarodowego kodeksu oraz wydawanie biuletynu i publikacji statystycznych i naukowych o zagadnieniach pracy i ochrony robotników.

Powyższy Związek, wspierany przez 24 rządy i krajowe sekcje, wnet mógł poszczycić się powodzeniem na oficjalnych międzynarodowych konferencjach ochrony robotników w Bernie, w latach 1905 i 1906, gdzie oprócz ustanowienia międzynarodowej komisji kontrolnej o charakterze wyłącznie doradczym, przeszedł także zakaz używania białego fosforu w przemyśle zapalnikowym i nakaz usunięcia z przemysłu nocnej pracy kobiet. Tak powstał pierwszy rozdział międzynarodowego kodeksu pracy, prawda, nie przez wszystkie państwa przyjęty.

Ogólne zebranie komitetu powyższego Związku w Zurychu 1912 r. zabiegało o dalsze uchwały na korzyść międzynarodowej

ochrony pracy (np. usunięcie nocnej pracy młodzieży). A przez międzynarodową konferencję państw w Bernie 1913 r. zgodnie przygotowywane konwencje (zakaz pracy nocnej młodzieży oraz ustalenie maximum długości dnia pracy dla kobiet i młodzieży) miała następna na 3 września 1914 r. zapowiedziana międzynarodowa konferencja przyjąć za międzynarodowe i obowiązujące; atoli przeszkodziła temu wojna światowa.

Dopiero w lipcu r. b. Związek ów — kiedy już mowa o nim — na międzynarodowym zjeździe w Bazylei złączył ponownie przedstawicieli 30 państw i sekcji krajowych; widzieć tu można było przedstawiciela Stolicy Apostolskiej, oraz delegata międzynarodowego Biura Pracy. Zjazd, zatwierdziwszy statuty swego zreorganizowanego Związku, postanowił na osobny wniosek utrzymywać ciągły kontakt z nowym współzawodnikiem na polu międzynarodowej ochrony robotników. Otóż historia pokazuje, jak idea umiędzynarodowienia ustawodawstwa dla robotników kiełkowała, jak z wzrastającą siłą przebijała się przez warstwy czasu, uprzedzeń i oporu ludzkiej woli na światło uznania.

Nawet światowa wojna nie zniszczyła postępu idei międzynarodowego ustawodawstwa robotniczego, ówsem przyspieszyła jego dojrzewanie. Pogorszenie się pod wielu względami położenia robotników podczas wojny wywołało energiczniejszą z ich strony akcję. Już w r. 1914 jedna z największych organizacji robotniczych, amerykańska Federacja pracy, w osobnej rezolucji domagała się wysłania na przyszły kongres pokoju osobnej komisji, złożonej z przedstawicieli zorganizowanych robotników wszystkich krajów, komisji, która miałaby konferencji pokojowej przedłożyć postulat międzynarodowej ochrony robotników, jako podstawy trwałego pokoju. Z podobnem żądaniem wystąpili syndykalisci na międzysojuszniczej konferencji w Leeds 1916 r., mianowicie domagając się, aby przyszły traktat pokojowy zabezpieczył przed międzynarodowym kapitałem dla klasy robotniczej wszystkich krajów minimum gwarancji ludzkiego bytowania. Nie pozostał też w tyle i proletariąt państw centralnych, który na konferencji przedstawicieli syndykalistycznych organizacji w Sztokholmie 1917 r., potem na konferencji robotników państw centralnych i neutralnych w Bernie 1917 r. domagał się równie silnie międzynarodowej ochrony robotników. Wobec tego nie dziw, że — chociaż zagadnienia społeczne na pozór nie miały związku

bezpośredniego ze sprawą wojny i pokoju, konferencja pokojowa w Paryżu ustanowiła dnia 31 stycznia 1919 r. komisję osobną do zbadania zagadnień pracy. Komisja ta składała się z delegatów każdego z pięciu głównych mocarstw i Belgji, a z jednego przedstawiciela Kuby, Czechosłowacji i Polski. Przewodniczącym komisji był Gompers, wódz robotników amerykańskich, a większy wpływ na przebieg pracy wywierali: Barnes, członek gabinetu angielskiego, dalej Jouhaux, sekretarz generalny francuskiego socjalistycznego związku robotników (C. G. T.), Vandervelde z Belgji; prócz tego jeszcze A. Fontaine, włosi Mayor des Planches i Cabrini, oraz delegat polski, inżynier Fr. Sokal.

Otóż M. B. P. to owoc właśnie prac tej komisji kongresu pokojowego w Paryżu. Tę międzynarodową organizację pracy jak wyżej już wspomniano, określa XIII część Traktatu Wersalskiego p. t. »Praca«.

Ujęcie treści umowy między pracodawcą a robotnikiem w doskonalsze jeszcze normy prawne los złożył w ręce obecnej chwili; praca, ona kwestja życia dla robotnika, ma znaleźć się w ludzkich ramach prawnych, a robotnik sam już jako prawdziwy obywatel państwa powinien przestać być wyłącznym środkiem zubożania się innych warstw. Właściwie powrócono do katolickich, rzekomo zacofanych pojęć średniowiecza, do pojęć św. Tomasza, według którego pierwszym celem pracy jest utrzymanie życia ludzkiego, a nie bogacenie się. Stworzenia podstawy pracy godnej człowieka i obywatela, zabezpieczenia społecznego stanowiska robotnika w stosunku do przedsiębiorcy, słowem reformy robotniczego ustawodawstwa domaga się nie tylko Kościół katolicki, nie tylko obopólny zysk pracodawcy i robotnika, ale i zdrowa ekonomja. Pewnikiem jest, że tem wyższy będzie rozwój przemysłu, im społecznie bardziej będzie wyrobioną warstwa robotnicza. Nie kraje o najniższej płacy i najdłuższej pracy, lecz społecznie najbardziej rozwinięte narody stoją na czele technicznego postępu¹⁾. Reforma socjalna ma właśnie ułatwić to wyrobienie zewnętrzne i wewnętrzne robotników, ma przede wszystkim ułatwić im uzgodnienie pracy materialnej z pracą nad nieśmiertelną duszą.

¹⁾ Prof. Herkner: Arbeiterfrage I, 64.

A jakiż związek z tą reformą społeczną ma międzynarodowa organizacja pracy? Ostatnia ma być środkiem do pierwszej. A na jakiej podstawie? Otóż w sprawach, które na rynku światowym dotyczą szerszą powierzchnią państwowej zdolności konkurencyjnej w sposób najdotkliwszy, państwo nie może działać w odosobnieniu. Przywileje dane w jednym państwie należy rozszerzyć i na inne w tym celu, aby nie zmieniać w niczem normalnych warunków światowego współzawodnictwa i nie nadwężyć jego równowagi. Dopiero równa we wszystkich państwach ochrona pracy, równe ustawodawstwo dla warstwy pracującej, np. równa długość dnia roboczego usunie lęk o rozwój dobrobytu poszczególnych państw¹⁾.

Oto zasadniczy punkt wyjścia ruchu umiędzynarodowienia ustawodawstwa robotniczego. Atoli zapatrywanie to, jakoby brak równego międzynarodowego ustawodawstwa pracy nadwężył na całej linii zdolność konkurencyjną, jest pod niejednym względem niezupełnie słuszne. Mundella, wielki angielski przemysłowiec, powiedział jeszcze dawniej, że długi czas pracy na kontynencie chroni przemysł angielski najlepiej przed jego współzawodnictwem. Długi czas pracy przy niskiej płacy nie wychodzi bynajmniej zawsze na korzyść rozwoju narodowo-ekonomicznego. Ale też i równy międzynarodowy czas pracy bynajmniej nie usunie zupełnie niebezpieczeństwa dla narodowej wytwórczości z tej prostej przyczyny, że wytwórczość nie zależy wyłącznie od samej długości czasu roboczego, lecz także od sprawności i jakości maszyn, od uzdolnienia, zdrowia, ochoty do pracy, sumienności, słowem od zalet robotnika. Konsekwentnie nierówną pozostanie wytwórczość, nierówną będzie cena sprzedaży, nierówny będzie przywóz towarów i wywóz. Ustawodawstwo międzynarodowe na tym punkcie jest zdaje się niepewne; i wprowadzenie jego np. w Hiszpanji równałoby się, zdaniem O. Noguera²⁾, powiększeniu niższości jej w produkcji w porównaniu z innemi państwami.

W gruncie rzeczy jednak przyznać musimy, że międzynarodowy system zależności ekonomicznej jest obszerny, głęboki i subtelny, że zachodzi wielka solidarność, łączność zagadnień społecznych i zbieżność społecznych praw z warunkami międzyna-

¹⁾ Dr. Herkner: Arbeiterfrage I, str. 326.

²⁾ »Razón y Fé«, styczeń-luty 1920.

rodowego współzawodnictwa. Zacołanie społeczno-polityczne jednego państwa zagraża sprawom sąsiedniego, jak uczy Rosja. Pominąwszy kwestję, czy i o ile zagadnienia międzynarodowe destrukcyjnie wpływają na narodowe, uznać musimy, że trudno dzisiaj oddzielać jedno od drugich, zwłaszcza w dziedzinie ekonomji i pracy, w której coraz to dobitniej zarysowuje się charakter międzynarodowy, jak to wojna miniona pokazała i pokazuje ruch międzynarodowy.

Z tem wszystkiem faktem jest, że Paryska Konferencja pokojowa, tworząca międzynarodową organizację pracy, wychodzi z wyżej omówionej podstawy.

Myśli przewodnie programu pod tym względem Traktatu Wersalskiego są następujące ¹⁾. Celem istnienia Ligi Narodów jest ustalenie powszechnego pokoju, zbudowanego jedynie na zasadach sprawiedliwości społecznej. Temu pokojowi i harmonji powszechnej zagrażają niezadowolenie i niedostatek, płynące z warunków pracy niesprawiedliwych dla większej liczby ludzi. Polepszenie tych warunków jest rzeczą pilną, np. o ile dotyczy unormowania godzin pracy, ustalenia maksymalnej długości roboczego dnia i tygodnia, najmu siły roboczej, walki z bezrobociem, zabezpieczenia zarobku zapewniającego warunki przyzwoitego utrzymania, ochrony pracowników na wypadek choroby wogóle lub chorób zawodowych, nieszczęśliwych wypadków spowodowanych pracą, ochronę pracy dzieci, młodzieży i kobiet, ubezpieczenie na wypadek starości i niezdolności do pracy, ochrony spraw pracowników na wychodźstwie, uznanie zasady wolności zrzeszania się, organizacji wykształcenia zawodowego i technicznego oraz innych temu podobnych środków. Nieuwzględnienie przez któryś z narodów istotnie ludzkich warunków pracy stanowi przeszkodę dla wysiłków innych narodów, pragnących polepszenia losu robotników w ich własnych krajach. Powodując się uczuciem sprawiedliwości i ludzkości oraz chęcią zapewnienia trwałego pokoju świata, Konferencja Pokojowa postanowiła objąć traktatem pokojowym międzynarodową ochronę robotników i zasadniczą organizację ich pracy. W tym celu Kongres Pokojowy w Paryżu utworzył stałą organizację, która ma pracować nad urzeczywistnieniem powyższego programu.

¹⁾ Por. Tr. Wers., cz. XIII, wstęp.

Ustanawiając tę organizację międzynarodową i przyłączając ją do Związku Narodów, Traktat Wersalski¹⁾ wychodzi z zasad: że dobrobyt fizyczny, moralny i umysłowy pracowników zarobkujących jest rzeczą pierwszorzędną wagi z punktu widzenia międzynarodowego; że praca nie powinna być uważana poprostu za przedmiot handlu; że pewne metody i zasady reglamentacji warunków pracy powinnyby postarać się zastosować wszystkie zrzeszenia przemysłowe, o ile tylko pozwolą na to specjalne warunki, w jakich się one znajdują.

W tymże artykule 427 Traktat Wersalski z pomiędzy wszystkich tych metod i zasad uważa za szczególnie ważne i pilne następujące: 1) powyżej wygłoszoną zasadę kierowniczą, że praca nie powinna być uważana za towar lub artykuł handlu; 2) prawo zrzeszania się zarówno pracowników, jak i przedsiębiorców dla celów przez prawo nie zabronionych; 3) płacenie pracownikom zarobku zapewniającego im poziom życia przyzwoitego podług panujących w danym kraju i w danym czasie norm; 4) przyjęcie ośmiogodzinnego dnia lub 48-godzinnego tygodnia roboczego, jako cel do osiągnięcia wszędzie tam, gdzie nie został on jeszcze osiągnięty; 5) przyjęcie wypoczynku tygodniowego minimalnie 24-godzinnego, który powinien przypadać na dzień niedzielny, o ile to jest możliwe; 6) zniesienie pracy dzieci i zobowiązanie się, że do pracy młodzieży płci obojga zostaną wprowadzone także udogodnienia, któreby jej pozwoliły na dalsze kształcenie się i zapewniały jej możność fizycznego rozwoju; 7) zasadę jednakowej płacy za pracę tej samej wartości bez względu na płeć pracujących; 8) przepisy, wydane w każdym kraju odnośnie do warunków pracy, powinny zapewnić sprawiedliwe wynagrodzenie wszystkim pracownikom prawnie w kraju zamieszkałym; 9) każde państwo powinno zorganizować służbę inspekcyjną, w której skład wejdą kobiety i której zadaniem będzie pilnowanie ścisłego zastosowania praw i regulaminów dotyczących opieki nad pracownikami.

Nie uważając tych zasad i metod ani za wyczerpujące, ani za ostateczne, Traktat Wersalski uważa je za nadające się całkowicie do kierowania polityką Związku Narodów; i że, jeśli będą przyjęte przez zrzeszenia przemysłowe, które są Członkami Zwią-

¹⁾ Por. Tr. Wers., art. 427.

zku Narodów, oraz jeśli zostaną przez dobrze dobrany zespół inspektorów utrzymane w praktyce w całej czystości, to rozciągną trwale dobrodziejstwa na zarobkujących pracowników świata.

Tak przedstawia się kwestja myśli przewodnich i zasad Międzynarodowej Organizacji Pracy.

A jaka jest struktura i dynamika tej organizacji? W skład jej budowy wchodzi 3 organy: 1) »Konferencja ogólna« przedstawicieli państw, 2) »Rada administracyjna« i pod jej kierunkiem 3) »Międzynarodowe Biuro Pracy«, które stanowi część składową Związku Narodów ¹⁾.

Nowością w dziejach międzynarodowego ustawodawstwa robotniczego jest nasamprzód rokroczna »Konferencja ogólna«. Według postanowień Traktatu Wersalskiego ma ona odbywać swe posiedzenia w miarę potrzeby, jednak co najmniej raz na rok ²⁾. A więc od dotychczasowych dyplomatycznych międzynarodowych konferencyj różni się swą stałą, regularną i obowiązkową perjodycznością, która znowu pozwala na chwywanie i ujęcie bieżących spraw i wydarzeń aktualnych. Jest to moment nowy i ważny a nadający międzynarodowej konferencji niejako cechę pewnego stałego międzynarodowego parlamentu. Charakter ten stałości i regularności Konferencji ogólnej wzmacnia jeszcze i postanowienie powzięte przez Radę Administracyjną, mianowicie, aby poszczególne rządy państwowe ile możliwości wysyłały na tę Konferencję ogólną zawsze tych samych delegatów albo przynajmniej niektórych z tych samych przedstawicieli; w ten sposób Rada Administracyjna pragnie zabezpieczyć ciągłość wysiłków Międzynarodowego Biura Pracy i stworzyć w organizacji pewne tradycje i zwyczaje, pewną politykę ³⁾.

Podobieństwo to i zbliżenie się Konferencji do typu parlamentarnego ustala jeszcze i sposób przedstawicielstwa poszczególnych państw, który ściśle określony opiera się na zasadzie demokratycznej. Każde z państw może wysłać na Konferencję tylko czterech przedstawicieli, mianowicie: dwóch wyznaczonych przez rząd i reprezentujących ogólne sprawy społeczeństwa, a po jednym przedstawicielu od warstwy robotniczej i od klasy przedsię-

¹⁾ Por. Tr. Wers., art. 388.

²⁾ Tamże, art. 389.

³⁾ Correspondant. Nr. 1392, str. 1083

biorców, wyznaczonych w porozumieniu z istniejącymi najwybitniejszymi organizacjami zawodowymi przedsiębiorców i pracowników. A zatem jak widzimy ¹⁾, M. O. P. opiera się na szerszych podstawach niż Liga, będąca tylko związkiem państw.

Powyższa liczba przedstawicieli może ulec zmianie. Długo dyskutowano na ten temat na Kongresie Pokojowym; delegaci francuscy i włoscy byli za jednym tylko przedstawicielem rządowym. Wymiana zdań nie wyczerpana jeszcze, a dążność do zmiany trwa nadal ²⁾.

Indywidualność w głosowaniu wyklucza — naturalnie w supozycji bezstronności przedstawicieli rządowych — wszelką kategoryczność mandatów; z drugiej zaś strony każdy widzi, że i rządowi nie łatwo coś z góry narzucić. Nieobecność jednego z przedstawicieli nierządowych odbiera prawo głosowania drugiemu. Każdy przedstawiciel może mieć dwóch doradców technicznych, z których jednym conajmniej powinna być kobieta do spraw specjalnie kobiety obchodzących.

Konferencja, wypowiadając się za przyjęciem danej propozycji, określa zawsze, czy propozycja ta ma przyjąć formę »polecenia«, t. j. rozważania przez członków celem przeprowadzenia jego w postaci prawa narodowego, lub innej; lub też formę projektu międzynarodowej konwencji, która będzie ratyfikowana przez członków ³⁾. W obu wypadkach do przyjęcia w ostatecznem głosowaniu konferencji owego polecenia lub projektu konwencji, potrzeba większości kwalifikowanej, t. j. dwóch trzecich głosów delegatów obecnych. W innych sprawach zapada decyzja prostą, większością głosów.

Każde z państw zobowiązuje się w ciągu roku od daty zamknięcia posiedzenia Konferencji lub w razie przeszkód w ciągu 18 miesięcy przedstawić powyższe polecenie lub projekt konwencji władzom »kompetentnym« w celu nadania im znaczenia ustawy albo zastosowania do nich środków innego rodzaju ⁴⁾. O środkach przedsięwziętych w stosunku do »polecenia« względnie ratyfikacji projektu konwencji i o środkach przedsięwziętych w celu

¹⁾ Tr. Wers., art. 390.

²⁾ Corresp. Nr. 1392, str. 1083.

³⁾ Tr. Wers., art. 405.

⁴⁾ Tamże.

wykonania konwencji powinien rząd przesłać sprawozdanie do Biura Pracy. Jest to w każdym bądź razie pewien sposób omińnięcia niemiłej dla państwa bezpośredniej kontroli ze strony międzynarodowej organizacji. Na państwie nie ciąży żaden inny obowiązek, jeżeli polecenie nie spowodowało wydania aktu prawodawczego lub innych środków, któreby pozwoliły na wprowadzenie w życie tego polecenia, albo jeżeli projekt konwencji nie uzyskał zgody ze strony władz kompetentnych. Natomiast konwencje ratyfikowane, które wciaga się w rejestr Gen. Sekr. Związku Narodów, obowiązują tych, co je ratyfikowali.

Ratyfikacja konwencji i wprowadzenie ich w życie przez uprawnienie w poszczególnych państwach, oto cel M. O. P. Zadaniem zaś jej jest odpowiednio do tak czulej i delikatnej suwerenności państwowej dążyć do dopięcia powyższego celu przez stosowanie czynników i sposobów o konkretnym i skutecznym wpływie. Od spełnienia tego zadania zależy i sprawność i powodzenie M. O. P. A jedno i drugie ułatwia jej w znacznym stopniu wieloraka jej zależność od Ligi Narodów i wspólne z nią podłoże Traktatu Wersalskiego. Z Ligi i Traktatu spływa na M. O. P. autorytet pewny i prawo do szerokiej inicjatywy. Stąd stanowisko poszczególnych państw do międzynarodowych konwencji jest zupełnie nowe, inne niż dotąd.

I gwarancja przejścia międzynarodowych konwencji w międzynarodowe ustawodawstwo jest w M. O. P. daleko większa niż dotąd. Albowiem liczne są też owe czynniki, jakimi M. O. P. wpływa pewnym przymusem na rządy w kierunku ratyfikacji i stałego uprawnomocnienia konwencji międzynarodowych. Oto one: Na podstawie art. 23 Traktatu Wersalskiego mają członkowie Ligi Narodów dołożyć wszelkich starań, aby ustanowić i utrzymać słuszne i ludzkie warunki pracy, oraz utworzyć i utrzymać potrzebne w tym celu organizacje międzynarodowe.

Na mocy art. 389 Tr. Wers. państwa zobowiązują się do wyznaczenia i wysłania delegatów na Konferencję ogólną, których obecność i współudział w uchwalaniu i ewentualnem przyjęciu konwencji nadaje tym ostatnim rzeczywisty moralny autorytet.

Przez przedłożenie poleceń lub projektów konwencji swoim władzom kompetentnym i to z obowiązku, stosownie do art. 405 Tr. Wers., poddaje państwo sprawę pod sąd opinii publicznej i jej

kontrolę, z którą rząd zapewne liczyć się będzie tem więcej, że nacisk moralny łatwo przemienić się może na fizyczny.

Art. 408, nakładający na państwo obowiązek przedkładania Biuru Pracy rocznego sprawozdania o środkach przedsięwziętych w celu wykonania konwencji, zmusza poniewoli rządy do sumiennego zajęcia się sprawą organizacji pracy tembardziej, że streszczenie powyższego sprawozdania przedstawia dyrektor Biura na najbliższem posiedzeniu Konferencji.

Nie dosyć na tem. Rządy liczyć się muszą z ewentualnem publicznem ogłoszeniem swoich zaniedbań, nawet z Komisją śledczą i Sądem międzynarodowej sprawiedliwości. Albowiem zażalenia, zgłoszone do Biura Pracy przez zawodowe Związki robotników lub przemysłowców z powodu niezadowolającego zapewnienia wykonania konwencji przez dany rząd, może Rada Administracyjna przekazać odnośnemu rządowi z wezwaniem do złożenia w tej sprawie wyjaśnień, a w razie niezłożenia ich lub złożenia niedostatecznych, Rada ma prawo publicznie ogłosić te zażalenia oraz ewentualnie otrzymaną odpowiedź. W przypadku zaś skargi, na tle konwencji zgłoszonej przez jakiś rząd przeciw innemu rządowi, albo też przez jednego z delegatów na konferencję, Rada może ponadto utworzyć Komisję śledczą, która po otrzymaniu od państw odnośnych informacji zbada podniesioną sprawę i złoży sprawozdanie oraz sformułuje środki zadośćczyniące i zaradcze, w danym razie nawet środki represji natury gospodarczej; wynik Komisji śledczej przedstawi odnośnemu rządowi generalny sekretarz Ligi Narodów i zajmie się też jego ogłoszeniem¹⁾.

Stały Sąd międzynarodowej sprawiedliwości bez dalszej apelacji przy Lidze Narodów winien również w razie przekazania mu sprawy spornej wskazać środki represji natury gospodarczej. A jeżeli winne państwo nie zastosuje się do poleceń Komisji śledczej lub orzeczeń stałego Sądu międzynarodowej sprawiedliwości, wówczas każde inne państwo będzie mogło zastosować przeciw niemu wskazane środki represji natury gospodarczej²⁾.

Z tego wszystkiego widać jasno, że dawniejszy system do-

¹⁾ Tr. Wers., art. 409—411, 414.

²⁾ Tamże, art. 415—420.

wolnej i dobrowolnej konwencji nie może pójść w porównanie ze stosowanym przez M. O. P. systemem, skomplikowanym wprawdzie, ale nader konsekwentnym w dążeniu do swego celu.

Wyżej wspomniana Komisja ankietowa czyli śledcza, stosownie do art. 412 Traktatu Wersalskiego, ma się utworzyć w ten sposób: Każde z państw zobowiązuje się wyznaczyć w ciągu sześciu miesięcy od daty uprawomocnienia się Traktatu trzy osoby kompetentne w sprawach przemysłu, z których jedna będzie reprezentowała przedsiębiorców, druga pracowników, trzecia pozo-
stanie niezależną od tych i tamtych. Z wszystkich tych osób razem wziętych zostanie utworzona lista, z której na żądanie Rady administracyjnej-generalny sekretarz Ligi Narodów wyznaczy do Komisji śledczej trzy osoby, po jednej z każdej z trzech kategorii listy, i jednej z tych trzech osób powierzy przewodniczenie w Komisji; oczywiście bezpośrednio zainteresowani w zatargu do tej Komisji wejść nie mogą. Otóż w myśl powyższego artykułu Traktatu Wersalskiego i stosownie do wezwania międzynarodowego Biura Pracy, rząd polski mianował do onej Komisji śledczej: jako osobę niezależną od pracodawców i pracowników — p. Fr. Sokala, delegata rządowego do Rady administracyjnej międzynarodowego Biura pracy; jako przedstawiciela przedsiębiorców — kandydata centralnego Związku przemysłu, górnictwa, handlu i skarbu p. J. Zagłenicznego, byłego delegata pracodawców na międzynarodowej Konferencji pracy w Waszyngtonie 1919 r.; jako przedstawiciela pracowników — kandydata centralnej Komisji Związków zawodowych, p. Z. Żuławskiego, socjalistycznego posła na sejm ustawodawczy.

Oprócz funkcij ustawodawczych do zakresu działalności »Konferencji« należy też wyznaczenie członków »Rady administracyjnej« z mandatem na przeciąg trzech lat. Do tej Rady wchodzi 24 osoby: wybranych przez delegatów na Konferencję sześć osób, reprezentujących pracowników i robotników, i sześć osób reprezentujących przedsiębiorców; a z dwunastu osób przedstawicieli rządów ośmiu wyznaczają Rządy o największem znaczeniu w przemyśle. Ewentualny spór co do tego, które z państw mają największe znaczenie w przemyśle, rozstrzygnie Rada Ligi Narodów¹⁾. Na ten spór nie długo potrzeba było cze-

¹⁾ Tr. Wers., art. 393.

kać: już na pierwszej Konferencji pracy w Waszyngtonie, na której właśnie wyliczono ośm państw o większem znaczeniu w przemyśle, mianowicie Stany Zjednoczone, Anglję, Francję, Niemcy, Włochy, Belgję, Japonję i Szwajcarję, założyła przeciwko temu protest Polska, Kanada i Szwecja tak, iż sprawę tę będzie musiała rozstrzygać Liga Narodów.

Działalność Rady administracyjnej obejmuje sprawy finansowe i administracyjne Biura Pracy, przygotowanie Konferencji ogólnej, kierownictwo dochodzeń i inne sprawy tak rozległej i rozgałęzionej instytucji; mianuje też dyrektora Biura Pracy, a zebranie swoje odbywa wedle potrzeby, jednak zawsze przed Konferencją ogólną.

Strona finansowa — że tu o niej wspomnę — przedstawia się tak, że koszty podróży i pobytu rządowych delegatów i doradców technicznych, biorących udział w posiedzeniach Konferencji i Rady, opłaca każde poszczególne państwo z osobna. Wszelkie inne koszty, wydatki Biura Pracy na posiedzenia Konferencji i Rady idą na rachunek ogólnego budżetu Ligi Narodów¹⁾. Za sposób zużytkowania funduszy mu powierzonych dyrektor Biura odpowiedzialny jest przed Generalnym Sekretarjatem Ligi Narodów. Projekt budżetu, przewidziany przez Ligę na rok 1921, wynosi 21,660.000 fr. złotych. Rozkładu tych wydatków między poszczególne państwa ma się dokonać wedle klucza używanego przez międzynarodowy Związek pocztowy. Więc Polska należy do pierwszej ze siedmiu kategorii państw i płacić będzie po 25 jednostek na równi z Anglją, Francją, Japonją, Chinami, Indjami, Włochami, Kanadą, Australją i Afryką południową. (Dok. nast.).

¹⁾ Tr. Wers., art. 399.

Ks. Ferdynand Chmura.

Losy regaliów polskich.

W początkach lipca b. r., gdy armje nasze cofały się z odległych kresów coraz bardziej w głąb Polski, a w ślad za niemi napierała groźnie wezbrana fala bolszewizmu, zmieniając kraj w pustynię, zelektryzowały ogół artykuły prasy o znalezieniu jakoby regaliów we Włodzimierzu — zelektryzowały mimo troski gnębiącej o niepewne jutro i o sam byt państwa, mimo zatracanej ciągle wrażliwości pod nawałem klęsk rozlicznych. I nie dziwnego, chodziło bowiem o najdroższe dla polskiego serca pamiątki po tylu królach, o świadki tylu wieków minionej chwały i zasługi. Ciemna ta sprawa coraz się więcej w mrokach pograża, a zasługuje na gruntowne zbadanie. W tym celu dobrze sobie przypomnieć losy regaliów, ich zniknięcie u schyłku w. XVIII w sposób tajemniczy i głuche wieści o ich dalszych kolejach — dobrze te rozproszone wieści, niepewne, mętne, chaotyczne, zebrać dla wydobycia więcej światła i skupić jakby rozbiegłe promienie w ognisku.

Otóż nie posiadaliśmy nigdy cenniejszych relikwii narodowych nad korony, spoczywające na skroniach niemal wszystkich królów z kolei, zacząwszy od Łokietka. Do stroju władcy, zasiadającego na majestacie po rytualnym akcie koronacji, należało berło, potem jabłko i krótki mieczyk bolesławowski, zwany w mowie potocznej szczyrbcem Chrobrego — w lustracjach Śmiałego. W głębokiem średniowieczu oznakę władzy stanowiła także włócznia po Ś. Maurycim z dodaną chorągwią — z nią też lub bez niej przedstawiano książąt piastowskich na monetach i pieczę-

ciach za Krzywoustego i w czasie podziałów. Tę włóczęgę, wzorowaną na oryginale z regaljów cesarzy niemieckich, złożonym dzisiaj w skarbcu wiedeńskim, Chrobry w r. 1000 otrzymał w Gnieźnie z rąk Ottona III i potem, przytwierdzona do tronu biskupów krakowskich, zachowała się dotąd w katedrze jako jedyna pamiątka po założycielu potęgi polskiej.

Z biegiem lat około insygnjów koronacyjnych tworzył się skarbiec, zrazu panującego, później koronny, przytem prywatny dwóch ostatnich Jagiellonów, aż z czasem złączyły się w jeden jako własność państwa. Na dziejach skarbcza odbiły się dzieje narodu w złych i dobrych chwilach. Za złotego okresu obu Zygmunatów, gdy Polska stała u zenitu potęgi, skarbiec mieścił niezmierną ilość przedmiotów bajecznej wartości — zdumiewał przybyszów zachodu ogromem niewidzianych bogactw i wyrafinowanym artystycznym wykończenia. Z zachwytem pisali o nim nuncjusze w urzędowych sprawozdaniach, jak Bongiovani w r. 1560, Ruggieri w 1565. Zygmunt August, humanista aż do szpiku kości, dzielił ówczesne upodobania w kosztownych klejnotach i wytwornym kształcie wszystkiego, co go otaczało. Wydawał na to niezmierne sumy i niezmierne nagromadził skarby materialne i artystyczne. Potem — przeminęły słoneczne dni potęgi — przyszły mroki rozkładu i w kataklizmowych czasach Jana Kazimierza skarbiec marniał coraz bardziej, aż za króla Jana kolosalnemu uległ roztrwonieniu. Za Wettinów saskich i Stanisława Augusta, prócz koron, zawierał już tylko znikome resztki, nie dające wyobrażenia o minionej świetności.

Ostatni raz go lustrowano u schyłku sejmu czteroletniego. Wyznaczeni do tej czynności, Tadeusz Czacki starosta nowogrodzki i Jan Nepomucen Horain wojewodzie brzesko-litewski, oglądali te szczątki 18. IV. 1792 wobec kustosa Sierakowskiego, wybitniejszych duchownych, mieszczan i wojskowych miejscowej załogi. Spisano dokument, nie przeczuwając, iż to ostatni akt pożegnania (że użyję słów Niemcewicza), i skarbiec zamknięto trzema dniami później (21. IV.). Wtedy już horyzont polityczny zaciągały czarne chmury — wkrótce rozpętała się krótkka, ale przełomowa, trzymiesięczna wojna z Rosją, po niej Targowica została nam uludny i rozwiewny cień niepodległości, aż po rozpaczny porywie Kościuszki runęło wszystko w otchłań zniszczenia i w długą, straszną noc porozbiorową.

W małym kółku ludzi, widzących, że się już wszystko rwie, łamię, zapada, powstała myśl ratowania narodowych świętości — myśl uniesienia z pałacej się Tróji polskiego palladium — myśl tajnego wywiezienia regaljów. Za dni przeszłości zdarzały się nieraz chwile niebezpieczne i nieraz już insygnja, wydobyte ze skarbcza prawnie lub nieprawnie, wędrowały spoczywać w ukryciu. W normalnych czasach i warunkach dostęp do nich był trudny, bo wymagano legalnego upoważnienia do otwarcia drzwi, za którymi w trzech komnatach zamku przechowywano »Thesaurus regni« (na dole od strony Kurzej Stopy) — a prócz podskarbiego, potem kustosza, jeszcze siedmiu senatorów według prawa posiadało klucze, każdy oddzielnie od jednego z siedmiu kunsztownych zamków — lecz pałaca potrzeba łamała nieraz przepisy i formalności. I tak w r. 1697, gdy przyszło koronować Augusta II, a senatorowie od skarbcza stali przeważnie po stronie francuskiego elekta, poradzono sobie w ten sposób, że dwóch przeorów (Bernardynów czerwieńskich, Wyżycki sekretarz w. kor., i Benedyktynów świętokrzyskich, Wyhowski) wynieśli insygnja wyłomem w murze, nie ruszając zamków i pieczęci. Za Jana Kazimierza Jerzy Lubomirski, w obawie przed łupieństwem Szwedów, uwiózł na Spisz korony i przechował w warownej Lubowli. W początkach XVIII stulecia, gdy się rozpałała wojna północna i Szwedzi szli niepowstrzymanie na starą Piastowską stolicę, należało znowu ratować skarbiec i Stanisław Szembek wówczas biskup kujawski, a prymas późniejszy, ukrył insygnja w śląskiej Opawie (w r. 1702). Tym razem korony leżały tam długo i dopiero w r. 1730 wróciły na Wawel. W parę lat potem zaszła rozdwojona elekcja i wypadki 1733 r. Podskarbi w., Franciszek Maksymiljan Ossoliński, zabrał regalja dla Leszczyńskiego, a August III musiał sprawić nowe korony u złotnika we Wrocławiu i te dzisiaj znajdują się w Dreźnie polskie zaś na Jasnej Górze przebywały w ukryciu półtrzecia roku (do 1736).

Nie zawsze tedy regalja leżały spokojnie pod sklepieniem Wawelu, skarbiec zaś od lat bardzo już dawnych zatracił swój klejnot najcenniejszy — pierwotną koronę Chrobrego. Wielki król sam ją sporządził i użył do aktu namaszczenia 25. XII. 1024 r., poczem raz tylko jeden służyła do obrzędu kościelnego w roku następnym Mieszkowi II. Wkrótce rozpętał się u nas straszny orkan dziejowy, a burza polityczna i społeczna z reakcją pogań-

stwa zmiotła tron, ołtarz, nowe urządzenia — wszystko padło rozbite. Richeza, wygnana z kraju, uniósłszy mężowskie i swoje regalia, oddaje je w Saksonji Konradowi II w 1036 — czy może pięcioma laty wcześniej uczynił to Bezprym, jak chce badacz doby ostatniej na podstawie luźnej wzmianki ówczesnego kronikarza. Kazimierz Odnowiciel wrócił do ojcowizny jako lennik cesarstwa, z niemieckim hufcem posiłkowym, zobowiązany do hołdu, pieniężnego haraczu i daniny w zbrojnych pocztach. Stosunki gruntownie zmieniły się na gorsze i o jego koronacji niema śladu we współczesnych źródłach, tylko mętne i bałamutne podania późniejsze. Zresztą stała się wówczas niemożliwością.

W średniowieczu osiągnięcie godności królewskiej nie było tak łatwem. Spełnienie rytualnego obrzędu koronacji uświęconym djademem wymagało zespołu wielu warunków — więc jawnej lub tajnej zgody papieża, posiadania w obrębie granic państwowych niezależnej prowincji kościelnej, zatem podległego tylko Rzymowi arcybiskupa z szeregiem więcej lub mniej licznych podwładnych biskupów, słowem odrębnej całkiem metropolji, wreszcie dostatecznej siły państwowej, by nakazać dla siebie szacunek u swoich i obcych. Z koronacją bowiem ustawało wszelkie lenno cesarzy, osiągnano pełną niezawisłość. Królestwo było zatem wynikiem zorganizowanej siły państwowej i nawzajem tę siłę utrzymywało nadal, bo monarchja jako taka wykluczała możność podziałów dynastycznych, a te znowu nieraz potęgę kraju rozpylały jakby na atomy drobniotkich księstewek. Korona przytem nie stanowiła tylko prostej przepaski na czole, będącej godłem dostojności monarszej, lecz posiadała znaczenie symboliczne o wiele głębsze. W oczach króla i ludów uchodząc wtedy niemal za świętość — niemal na równi z relikwjami — uosabiała ideę państwowości z jednej strony, z drugiej zaś, wieńcząc głowę panującego wśród całej pompy obrzędowej i przepychu rytualnego kultu, nadawała pomazańcowi jakby charakter kapłańskiego święcenia¹⁾. Uprzymiśniony sobie ówczesne stosunki i pojęcia, trudno wierzyć bajkom kronikarzy, jakoby w r. 1038 Konrad II zwrócił dobrowolnie Kazimierzowi insygnja Chrobrego, lub, gdy Bezprym w czasie swego buntu koronę brata odesłał do Niemiec w 1031 r., jakoby Mieszko II już w roku następnym potrafił ją napowrót wydostać

¹⁾ Obszerniej o tem w szkicach z XI w. Tadeusza Wojciechowskiego.

z Merseburga. Polityka Niemiec dążyła stale do wspierania to Czech, to Polski, byle tylko te kraje wzajemnie niszczyły swe siły i zasoby, a górował wpływ cesarzy; koronacje też naszych królów godziły w żywotne interesy Niemiec i tamtejsi kronikarze, nadmieniając o nich, zawsze tracą krew zimną i w słowach niewybrednych dają wyraz swemu oburzeniu. O przypadłej dla nas koronie Chrobrego nadmieniam obszerniej, bo z owych czasów zachowała się cesarska, z imieniem Konrada na dodanym pałaku, łączącym tył diadem z krzyżem u czoła. Służyła ona stale aż do r. 1806 późniejszym cesarzom do kościelnego obrzędu, a dziś leży w Burgu wiedeńskim jako wyjęta niby z grobu Karola W. w Akwizgranie. Na jednej z klamer widnieje tam Zbawiciel, w bizantyńskim stylu pojęty i na tronie siedzący, z napisem u góry: »Per me reges regnant«, co dowodzi, że koronę robiono dla króla, a nie dla cesarza, któremu by duchowni inny wypisali werset z Pisma świętego. Istnieje co do niej rzucona od niechcienia ciekawa hipoteza prof. Franciszka Bocka, że to może diadem Chrobrego, oddany przez Richezę¹⁾.

Upływały lata, aż w końcu Bolesław Śmiały w lot uchwycił i wyzyskał chwilę sposobną i, wznowiwszy wielką myśl Chrobrego, wskrzesił królestwo uroczystym aktem koronacji w rocznicę namaszczenia swego pradziada, 25. XII. 1076, poczem nowe regalia złożono jako depozyt w skarbcu katedry krakowskiej pod opieką duchowieństwa. Na monetach spółczesnych doniosłemu zdarzeniu występuje Śmiały ze szczerbcem w rękę i koroną na głowie, dziwnie kształtem przypominającą diadem Karola W. w Burgu. Niemcy zawrzały nietajonym gniewem i zemstą, a drogą tajemnych knowań, przy pomocy czeskiego Wratysława i buntu Hermana, wygnawszy Śmiałego z kraju, już po trzech latach wyróciły monarchję. Kraków dostał się Czechom, a duchowieństwo katedralne ukryło korony w swych murach Wawelu. Czekwały tam one przeszło dwa stulecia, aż je Przemko wielkopolski na jaw wydobyl i przewiózł do Gniezna w r. 1290, by uwieńczyć dzieło skupienia okrojonych dzierżaw Chrobrego po długim rozbiciu na słabe księstwka. W Gnieźnie 26. VI. 1295 korony spoczęły na głowie Przemysława i jego żony Małgorzaty brandenburskiej.

¹⁾ Die Kleinodien des heil. römischen Reiches deutscher Nation nebst Kroninsignien Böhmens, Ungarns und der Lombardei. Wien 1864, str. 143.

Niezawisłe królestwo i purpura tronu znowu z gruzów powstały, ale już w następnym roku (8. II. 1296) nowy monarcha pada w Rogoźnie pod skrytobójczym ciosem margrabiów brandenburskich, a w 1300 w murach tejże katedry koronuje się Wacław czeski, ale — jako lennik Niemiec. Niema wieści żadnej, co się potem stało z regaljami — prędzej może Wacław uwiózł je do Pragi i stopił na złoto, niż uczynił to Henryk śląski w swoim Głogowie.

Łokietek przywdziewa uroczyscie 20. I. 1320 insygnja królewskie w katedrze wawelskiej i przy tym akcie pierwszy przepasuje się szczerbcem. Ale to insygnja świeżo sprzedzone, w stylu owych czasów, więc je upiększa ulubiony motyw XIV stulecia — kwiat rozwinięty lilji florenckiej. W niedługim czasie koronę Łokietka opromieniła przyrosła do niej tradycja Chrobrego — odtąd z nimbem tej legendy, jako korona główna pod nazwą »privilegiata seu originalis regni«, służyła już niemal stale do późniejszych namaszczeń królów i przetrwała na Wawelu do ostatniej lustracji, czasowo tylko ukrywana przed wrogami.

Skarbiec zawierał jeszcze cztery korony z liczby niegdyś istniejących. Może Chrobry, sporządzając diadem dla siebie, sporządził drugi dla królowej Ody, margrabianki miśnijskiej, może to uczynił dopiero Mieszko II, dość że i ten także Richeza wywiozła z kraju, ale Konrad II zostawił go przy niej. Na te względy wpłynęły, prócz stosunku pokrewieństwa, jeszcze duże znaczenie i liczne dobra, jakie Richeza jako palatynówna lotaryńska posiadała w Niemczech. Mimo, że po r. 1047 przywdziewa w Brunwillarze habit zakonny Ś. Benedykta, do końca jednak życia używa tytułu królowej i tak ją mianuje nawet Henryk III, usposobiony wrogo dla Polski i dla jej monarchicznych zachcianek. Gdy Richeza 21. III. 1063 zesła ze świata, koronę jej włożony do grobu, a Annon, arcybiskup koloński, złożył zwłoki w kolojacji fundacji Richezy, u Panny Marji ad gradus w Kolonji. Z kolei czasów rozebrano ten kościół w 1817 r. i kości królowej, przeniesione do chóru katedry kolońskiej, spoczęły w kaplicy Ś. Michała. Bardzo prędko zapomniano o tym grobie i Aleksander Przeździecki po odkryciu odnowił go w połowie zeszłego stulecia. Czaszkę Richezy świetnie zachowaną, nawet z chrząstką nosową, pokrywa czepiec z czerwonego aksamitu haftowany

w greckie krzyże złote, ale brakło diademu. Akty kościelne przechowały wzmiankę, że Egidiusz Gelenius, kanonik koloński, otwierał trumnę w r. 1633 i znalazł koronę o sześciu klamrach. Musiano ją tedy wynieść, a potem zatracić. Zginał również, o ile istniał, sporządzony diadem dla żony Śmiałego, zapewne przez króla Wacława stopiony w tyglu, i dopiero z kolei może trzecia korona wraz z jabłkiem przetrwała do końca. Sprawił ją Łokietek dla Jadwigi kaliskiej, córki Bolesława Pobożnego.

Długosz kreśli w swych dziejach drobiazgowy i barwny opis jak Ludwik po namaszczeniu w r. 1370 zabrał do Węgier koronę (Łokietkową), jak jej nie oddano Jadwidze, gdy jechała na objęcie tronu polskiego, jak dopiero we dwa lata po pogromie grunwaldzkim udało się Jagielle odzyskać ją w Budzie od cesarza Zygmunta i uroczyście wprowadzić do Krakowa (w 1412). W interesie prawdy dziejowej należy odrzucić całą tę legendę, powstałą z dowolnych kombinacyj i domysłów Długosza — z mętnych wieści o zdarzeniu prawdziwym, lecz z dziejów węgierskich przeniesionem błędnie do polskich. W rzeczywistości Jadwigę uwieńczono nie leżącym w skarbcu diademem królowych, ale Łokietkowym i ta koronacja, jak cały charakter jej rządów, posiada odrębne i jedyne cechy w naszych dziejach. Poprzednio koronowały się żony królewskie, nie przeznaczone do współludziału we władaniu państwem, tem samem nie odbierające od ludności przysięgi na wierność. Jadwiga koronuje się niezamężną, sama obejmuje ster rządów w swe ręce, a poddani składają jej przysięgę. Potem, gdy swoje i państwa losy związała z Jagiellą, to wielki książę Litwy nie występuje jako tylko mąż królowej, ale jest spólrządcą. Ten dualizm panujących już się więcej nie powtórzył w naszej historii — lecz na razie zaszła pewna trudność nieprzewidziana. Wówczas, i nieraz jeszcze potem, mogła wynikać potrzeba dla obojga królewskich małżonków występowania jednocześnie w oznakach majestatu, podkreślając te spólrządy państwem, więc oboje przywdziać musieli korony na głowę jednakowego znaczenia w oczach podwładnych — a w tym charakterze skarbiec zawierał tylko jedną, Łokietkową, żadna zaś inna podrzędniejszej ceny i powagi tu nie uchodziła. Musiano tedy na koronację Jagielly 17. II. 1386 sporządzić nową, szczerozłotą, ozdobną, ale ta nowa stawiała się w oczach wszystkich pierw-

szorzędną, na równi z diademem królowej Jadwigi¹⁾. Przypuszczają, że ta właśnie korona Jagielly służyła jego następcom, gdy hołdownicy na rynku miejskim klękali przed królem, i pod nazwą homagjalnej przetrwała w skarbcu do końcowego kataklizmu u schyłku wieku XVIII.

Czwartą i piątą koronę złotą (obie już nadpsute), jakie jeszcze oglądał Tadeusz Czacki, nazywano węgierską i szwedzką. Pierwsza z nich, wraz z berłem do niej należącym i do końca dochowanym, stanowiła prywatną własność Zygmunta Augusta, jako zapisana testamentem Jana Zapolyi króla Węgier († 4. III. 1571). Użyto ją do pogrzebu ostatniego Jagiellona i zapewne przy namaszczeniu Batorego. Nazwę pozostałej, szwedzkiej korony, trudno objaśnić, gdyż należała także do Zygmunta Augusta, a pierwszy z Wazów, co zasiadał na polskim tronie, pozostawił regalja w swym kraju rodzinnym — nie przywędrowała zatem ze Szwecji. Sprawę rozjaśnić da się chyba domysłem, że Zygmunt III, jadąc z Polski na objęcie ojcowskiego dziedzictwa, potrzebował mieć stale pod ręką jakąś koronę drugorzędną, a nie mogąc tak łatwo i prędko wyjąć ze skarbcu krakowskiego, wziął otrzymaną w spadku po wuju i ta mu służyła w krótkim okresie jego rządów szwedzkich. Potem testamentem zapisał ją Polsce, lecz czekano długo, zanim Jan Kazimierz, spełniając wolę ojca, wniósł ją do skarbcu i wcielił do regaljów.

Po koronie moskiewskiej nie zostało już śladu. Władysław IV przeznaczył ją był dla kraju, ale Jan Kazimierz pod koniec swych rządów stopił na złoto, a energicznie przez sejm naciśnięty polecił w r. 1668 sporządzić nową i tę w sześć lat potem oddano do skarbcu. Zastawiona w 1700 r. elektorowi brandenburskiemu przepadła u Prusaków, chyba znów jak poprzednia stopiona w tyglu.

W chwili więc ostatniej lustracji istniało pięć koron wszystkiego, t. j. »originalis siye privilegiata« (Łokietka), królowych (żony Łokietkowej), »homagialis« (Jagielly), węgierska (po Zapolyi) i szwedzka. Należało do regaljów 4 berła, 5 jablek i miecz koronacyjny (szczyrbiec). Poza tem skarbiec świecił pustkami, ogołocony z zabytków wartościowych, przechował trochę rupieci

¹⁾ Szczegóły w dziele Oswalda Balzera: Skarbiec i archiwum kor. Lwów 1917. 8-vo.

i trochę pamiątek w rodzaju sandałów dziecinnych Zygmunta Augusta z jego koronacji. Są dziś w muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, a długo uchodziły za trzewiczki królowej Jadwigi. Pokrywa je czerwony aksamit — jeden z nich zachował krzyż wyszyty galonem ze złota bez żadnych ozdób, drugi i z tego obdarty.

W Krakowie, gdy zdolny generał Wodzicki ruszył z Kościuszką i pod Szczekocinami głowę położył, została słaba załoga i pozostał skarbiec. Po boju zaś szczekocińskim odłączona kolumna pruska szła bez dział oblężniczych dla zajęcia starej stolicy, gdzie nadejścia wroga czekano bezradnie. Wieniawski posiadał trochę wojska linowego, trochę miejskiej milicji, przyczem kantoniści obozowali w pobliżu i wspierało go chętne i ofiarne mieszczaństwo Krakowa, lecz ze zgonem Wodzickiego nie stało głowy i kierunku. Komendant Ignacy Wieniawski i jego pomocnik Jan Kalk podpułkownik, zmroziwszy zapał obrońców, nie próbując walki, miasto i zamek zdali przeciwnikom. Sąd wojenny skazał ich obu zaocznie na rozstrzelanie; grało tu raczej rolę tchórzostwo i ślamazarna niezaradność niż srebrniki Judasza. Dość, że Prusacy 15. VI, 1794 wkroczyli do naszej Mekki i zaczęli rządzić po swojemu. Bardzo też prędko głucho wieści gruchnęły z Wawelu, że komnaty zamkowe zrabowane do szczętu, że temuż losowi uległ i skarbiec. Przeciwnik grasował dość długo, do 4. I. 1796 r. włącznie, a dniem później złuzowali go Austriacy i generał ich, podówczas baron Foullon, podpisał nie sprawdzając akt zdania zamku w tym stanie, w jakim go zastała pruska okupacja.

W parę już dni potem Foullon zażądał od magistratu wyznaczenia kilku radców, by asystowali jako świadkowie otwarciu i rewizji skarbcza. Delegowani 8. I. stanęli na wezwanie, po powrocie zaś »szlachetny« Bayer, burmistrz dawniejszy, złożył w ich imieniu lakoniczną i niedostateczną relację urzędową, a treść jej rada miasta zapisała nazajutrz w księdze protokółów¹⁾. Delegację prócz rajcy Matiasa Bayera składali: Wojciech Tusseck, Jakób Gürtler, Antoni Józef Feistemantel, Sebastjan Glixelli, Augustyn Hellmond i Tomasz Krzyżanowski syndyk. W świetle Foullona znajdował się von Gometz pułk. inżyn., von Padani kap., von

¹⁾ Nr. książki 1270, Nr. sprawy 1788.

Reit podpor., Benoe wielkorządca krak. i Wincenty Kowalski murgrabia zamkowy. Zawołano przytem kilku rzemieślników. Na żądanie Foullona delegaci miejscy złożyli mu po niemiecku pisane i podpisane sprawozdanie, o wiele obszerniejsze, a przechowało się w aktach we współczesnej kopji ¹⁾. Odszukał je i przetłumaczył Kazimierz Kaczmarczyk ²⁾, a posłuchajmy tej relacji w jego przekładzie: »...Udaliśmy się zatem przez dziedziniec zamkowy na lewo, przez kamienne schody i przez korytarz, do sklepu, gdzie skarb koronny przechowywano i gdzie na pierwszych drzwiach znajduje się napis: Thesaurus Regni. Zastaliśmy w tych drzwiach żelazne węgary, silne drewniane drzwi, silnymi żelaznymi sztabami na krzyż wzmocnione, opatrzone trzema zawiasami, zamek o trzech ryglach, trzy zasuwki i trzy mocne skobele, na czwartym skoblu pasek z lnianego płótna opatrzone trzema pieczęciami. Te, według wyjaśnienia murgrabiego zamku Kowalskiego, umieścili wysłani niegdyś do oglądnięcia koron królewscy polscy komisarze JW. p. Czacki, Horain i kustosz koronny Sebastian Sierakowski. Opieczętowane lniane paski były jednak przeciągnięte nie przez zasuwki, lecz tylko przez skobele, tak że drzwi można było otworzyć bez uszkodzenia pieczęci.—Na tych drzwiach skobel w zamku i w murze w ten sposób odcięto, że rygle zamku wcale nie trzymały i, zdaje się, że tylko za pomocą przełożonej zasuwki drzwi były zamknięte. W ten gwałtowny sposób zostały drzwi otwarte. Przy wejściu do pierwszego sklepu znajduje się przepierzenie z desek, za niem szafa z otwartymi próżnemi szufladami; na podłodze leżała tarcza z orłem polskim. — Z tego sklepu idzie się do drugiego, w którym węgary również żelazne, mocne drewniane drzwi okute żelazną blachą, mocnymi żelaznymi sztabami silnie obite, o trzech zawiasach, trzech skobelach i zasuwkach, zamek o trzech ryglach i haki do zamknięcia osadzone w żelaznych węgarach, na drzwiach tych zastaliśmy żelazną blachę i żelazne sztaby od dołu odbite, drzewo przewiercone i wybity otwór, przez który człowiek do wnętrza może się prześliznąć. Dwie silne kłódki odbite gwałtem od zasuwki, obok tarcza oderwana od zamku do drzwi, leżą na podłodze, domyślamy się

¹⁾ Fascykuł (teka) Nr. 1281.

²⁾ Umieścił ciekawy feljeton w *Nowej Reformie*. Krak. Nr. 188 z 24 IV. 1919 p. t. Gdzie się znajduje szczerbiec i polskie korony.

z tego, że i te drugie drzwi z największym gwałtem także wyważono. W sklepie tym znajdują się otwarte i próżne szkatuły i różne starożytne żelazne naczynia i rzeczy; tuż na boku znajduje się skrytka z żelaznemi drzwiczkami, próżna jednak i otwarta; w niej mur w rogu przebito, ponieważ prawdopodobnie szukano, czy tam nie ukryto jeszcze czego. — W drugim sklepie, w którym przechowywano polskie korony, pierwsze drzwi żelazne i mocno okute, o jednym zamku; widzieliśmy dwa skoble i zasuwę, kawałek kamiennych węgarów — odbite, rygle odemknięte; za temi drzwiami, są po obydwóch stronach dwie skrytki z żelaznemi drzwiczkami otwarte i próżne, nie było jednak śladu, żeby je otwierano, jak to zresztą i murgrabia Kowalski oświadcza, były one wewnątrz otwarte. Obok tych skrytek znajdują się znowu drzwi z kamiennemi węgarami, drewniane, żelazną blachą obite i żelaznemi sztabami okute, o trzech zawiasach, jednym zamku o trzech ryglach, z czterema skoblami i zasuwami do kłódek. Drugie drzwi, w nich żelazne węgary, otwierające się do sklepu, mają również trzy zawiasy, są obite mocno blachą i żelaznemi sztabami. W obydwóch drzwiach zastaliśmy blachy i żelazne sztaby odbite, drzwi i kłódki rozbite, otwarte i zniszczone. — Gdy wchodzi się do sklepu trzeciego, w którym przechowywano korony i insygnja królów polskich, widzi się okno ku wałowi zamkowemu na wprost kościoła św. Idziego. W tym sklepie znaleźliśmy cztery wielkie skrzynie okute żelazem, z których trzy owalne były otwarte, nie było jednak na nich śladów, ażeby je otwierano, a jak murgrabia zamku Kowalski twierdzi — te trzy skrzynie były zawsze otwarte i próżne, czwarta zaś skrzynia czworoboczna, w której przechowywano korony, była cała podwójną blachą i silnemi żelaznemi sztabami okutą, miała silny i sztuczny zamek o czterech ryglach. Wieko było o trzech silnych zawiasach, na podłodze znajdowały się dwa haki, pięć skobli i zasuwka. Skrzynię tę otwarto, jak to przyglądnięcie się wskazuje, w ten sposób: przecięto trzy grube żelazne sztaby pilnikiem, z czego jeszcze świeże opiłki leżą na podłodze. — Siedm silnych kłódek, które odbito, leży również na podłodze, zamek wraz z ryglami przemocą oderwano i zepsuto; obok tych skrzyń stoi drewniana skrzynia, obciążnięta skórą, okuta żelazem z trzema zapkami. W tej skrzyni leżały korony i insygnja królów polskich; skrzynia ta stała w skrzyni wyżej wspomianej, żelaznej, rozbitej naj-

większym gwałtem — była w niej zamknięta. Skrzynia ta była w trzech różnych miejscach trzema pieczęciami na paskach lnianych od dołu i góry przez komisarzy skarbu kor., pp. Czackiego i Horaina, kustosza kor. Sebastjana Sierakowskiego w ten sposób zapieczętowana, że wszystkich pieczęci było ośmnaście, z tych nie oderwano żadnej pieczęci od dołu, a trzy zamki przemocą rozbito. W skrzyni tej nie znaleźliśmy jednak ani koron, ani insygnjów królów polskich, jedynie tylko bawełnę, w której były one opakowane. — Na tej skrzyni leżały inwentarze skarbcza koronnego, przez komisarzy polskich sporządzone, podpisane i opatrzone pieczęciami...« Tych sześć lustracji z lat: 1690, 1730, 1737, 1739, 1764 i 1765 delegowani wzięli i złożyli w archiwum miejskiem.

Brak tedy regaljów stwierdzono urzędownie, a komnaty skarbcza wyglądały, jakby przeszła przez nie horda Atylli lub czambuł Tatarów. Prócz walającego się żelazta bez wartości, wszystko do cna wyczyszczono — nie pozostał żaden cenny zabitek. Łupieztwa dopuścić się mogli tylko Prusacy, będący panami miasta i zamku, i nie darmo wieść o rabunku rozniosła się szeroko jeszcze w połowie 1794 r. Zostaje jednak kwestją otwartą, czy insygnja królewskie stały się łupem wroga, czy kryjomo unieśli je swoi, by zachować dla przyszłości? Wszak ratowanie koron, prawne lub samozwańcze, zdarzało się dość często — byłoby też niedołęstwem, graniczącem niemal ze zdradą, gdyby raz jeszcze nie miało się powtórzyć w tak wyrocznej chwili.

Te czasy, pełne tragicznego napięcia i przeżywanej grozy, łamały ludzi, to też w ślad po utracie polityczegó bytu upadek ducha był tak wielkim ogólnie, przygnębienie tak straszliwe, że choć niejeden zapewne żywo się zajął losem regaljów i usiłował dotrzeć do prawdy, wszakże prócz ustnych, niepewnych tradycyj żadne źródło długi czas nie przekazało nawet wzmianki o koronach. Jakoby w r. 1815 Rosja zażądała w Berlinie zwrotu polskich insygnjów, ale to wątpliwe, a istnieje domysł, że ks. Adam Czartoryski wiedział o nich wszystko i to może wyjaśnia, że tej reklamacji rosyjskiej (o ile istniała) nie poparł całą wagą swojego wpływu, wiedząc, że byłyby wówczas areyskuteicznym.

Powszechne było mniemanie, że insygnja są w Berlinie, a kilka dzieł później wydanych stwierdzało to pozornie. I tak najwcześniej miały krążyć opowiadania Łubieńskiego, ministra

sprawiedliwości. Ów Feliks Walezjusz Łubieński, zrazu starosta nakielski, skreślił zaniedbanym stylem pamiętnik, nie przeznaczony wcale do druku, a ten rękopism po streszczeniu i przeróbce Władysława Chomętowskiego wydano po raz pierwszy w Warszawie dopiero w r. 1874. Píše tam autor ¹⁾, że z Działyńskim, jako delegowani z zaboru pruskiego, jeździli do Berlina w 1798 winszować Fryderykowi Wilhelmowi III wstąpienia na tron, Łubieński przemawiał do królowej pruskiej, Ludwiki księżniczki Meklemburg-Strelitz, a gdy ta odpowiadała, uległ silnemu wzruszeniu. Spostrzegła to królowa i po audiencji zapytała przez hr. Massau o powód niezwykłego zmieszania. Na odpowiedź wymijającą, żądała powtórnie wyjaśnień, wtedy Łubieński odrzekł otwarcie, iż zauważył w diademie i naszyjniku klejnoty, co mu przypominały widziane w koronach polskich. Z kolei Niemka, czując się dotkniętą, »poprzestała... na tem tłumaczeniu — rozkazała odnieść klejnoty do skarbca i odtąd już ich nigdy nie używała«. Ale cała ta opowieść bardzo niepewna — Łubieński nie zawsze pisał czystą prawdę i z jego pamiętnika korzystać należy z wielką oględnością, zwłaszcza gdy brak skądinąd stwierdzenia tego epizodu.

O wiele już poważniejszym źródłem jest Julian Ursyn Niemcewicz. Pamięniki jego wyszły w r. 1848 ²⁾, a w nich powiada, że z innymi Polakami poznał w Rzymie Augusta Fryderyka ks. de Sussex, królewicza Angielskiego, że w r. 1793 raz na obiedzie Adam Walewski, widać tego podchmielony, wznosi kielich z żądaniem detronizacji Stanisława Augusta, a obioru Sussexa, co obecni powtórzywszy, złożyli nawet elektowi przyrzeczenie wierności. Otóż po latach, gdy Niemcewicz widział w Londynie ks. de Sussex w 1831 r., usłyszał od niego: »Wyście mnie obrali królem i nie darmo, gdyż w kilka lat potem, gdym był w Berlinie i oglądał skarbiec tameczny, włożono mi na głowę koronę jednego z królów waszych. Była to korona (objaśnia autor), zabrana z innemi insygnjami królewskimi w r. 1794, w czasie krótkiego Prusaków w Krakowie pobytu« ³⁾. Przypuściwszy prawdziwość samego faktu, choć to wielce wątpliwe, może ks. Sussex

¹⁾ str. 164—165.

²⁾ Paryż 8-ka.

³⁾ str. 201—202.

przymierzał koronę moskiewską, zastawioną przed stu niemal laty, jeśli ją stopiono dopiero po Jenie i po bankructwie państwa. Cytowany autor nadmieniał jeszcze, że po kapitulacji Krakowa »złodziejskim sposobem wykradli Prusacy ze skarbu królewskiego korony i klejnoty koronne«¹⁾.

A to ogólne przekonanie najbardziej utwierdziły i najgłębsze wywarły wrażenie pamiętniki Kratzera, ale wnioski z nich wyprowadzone szły już za daleko. Franciszek Ksawery Kratzer sprawował urząd kantora na Wawelu, był przytem dyrektorem szkoły śpiewu i chórów djecezji († 1818). W czasie pruskiego najazdu mieszkał na zamku i wiele rzeczy mógł widzieć i wiedzieć od naocznych świadków, zwłaszcza o szczegółach rabowania komnat. Zostawił swe wspomnienia, tak puściwszy cugle fantazji i łatwowierności, że dziś trudno wyłuskać prawdę ze stosu zmyślni. Pamiętniki widocznie spisał niedbale, chaotycznie, z pamięci często zawodzącej, stylem chyba niemożliwym, skoro posiadacz rękopisu, Lucjan Siemieński, musiał go wygładzić i przerobić. Tekst tak zmieniony ogłosił w urywkach Józef Łepkowski najpierw w r. 1862²⁾, potem w 1864³⁾. Po śmierci Siemieńskiego nie zdołano odszukać rękopisu w jego papierach. Jako próbkę wiarygodności przytaczam ustęp, opisujący korony, zbroje, sztandary, wystawione w czasie lustracji na widok publiczny: »Osobom chcącym zwiedzać te miłe pamiątki wydawane były bilety w magistracie. Każdego dnia od godziny 10 aż do 5 wieczór wpuszczano ciekawych i trwało to przez miesiąc czerwiec« (wejście Prusaków zaszło 15. VI.) »poczem znowu napowrót wszystko w początku schowano do skarbcza w przytomności komisarzów i delegowanych z magistratu krakowskiego... Przybył nakoniec w roku 1789 (sic) ów nadzwyczajny komisarz, Tadeusz Czacki, i kustosz koronny hr. Sebastjan Sierakowski do Krakowa; najprzód sprawdzili inwentarz pałacu królewskiego, potem w sali audjencjonalnej kazali urządzić trzy stoły, nakryte dywanami tureckimi, wyjętymi ze skarbcza koronnego i na tych ustawiono korony oraz inne insygnja. W tej liczbie zauważyłem

¹⁾ l. c. str. 214.

²⁾ Z przeszłości szkice i obrazy. Kraków 8-ka str. 89—91.

³⁾ Encyklopedia powszechna Orgelbranda. Warszawa. Tom XV, str. 858—859, artykuł o Krakowie.

koronę królowej Jadwigi, darowaną od króla węgierskiego; koronę hiszpańską także darowaną; cesarską darowaną od cesarza niemieckiego Bolesławowi Krzywoustemu; szwedzką Zygmunta III; czeską także, dar wiadomo od kogo, i innych jeszcze kilka; wszystkie te korony były szczerozłote i drogiemi kamieniami gęsto nasadzane... Była i zbroja owego Zawiszy Czarnego, jego niezmierny buzdycan, szabla i siodło; były między innymi trzewiki królowej Jadwigi z jej koronacji, małeńkie, a perłami i kamieniami drobnemi naszywane i t. d.¹⁾

Opis grabieży rozpoczyna w ten sposób: »Stali Prusacy w Krakowie i okolicy aż do czasu, gdy się ostatni podział Polski zdecydował. Niejaki Zubrzycki wysłużony kapitan artylerji polskiej był magazynierem w zamku i żywił się z rodziną swoją przy Prusakach. Gdy widział, że mu bieda zagraża, powziął myśl haniebnego zabezpieczenia sobie przyszłości. Uda się tedy do Luwika Antoniego von Hoym, tajnego konsyliarza i pełnomocnego komisarza jegomości króla pruskiego w Krakowie, oświadczając, że jeżeli mu wyjedna urząd dostatni, to wskaże miejsce, gdzie skarbiec koronny ukryty... Stało się zadość życzeniu, bo Zubrzycki dostał nominację na komisarza porządku w Częstochowie z pensją roczną 180 talarów i mieszkaniem«.

Wygląda to wszystko niemożliwie — skarbiec, jak za czasów Drowicza i okupacji rosyjskiej, nie był wcale ukryty, od wieków w tych samych mieścił się komnatach i nad drzwiami wisiała, może nie zdjęta, tablica z napisem: »Thesaurus Regni« — wiedzieli o tem wszyscy i oszczędni Niemcy mogli się doskonale obejść bez przekupstwa. Otóż wedle Kratzera »dopełnia tedy Zubrzycki obietnicy, ostrzegając, że trzeba biegłego ślusarza do otwarcia zamku, a dla uniknienia w mieście tumultu lepiej majstra takiego skądinąd sprowadzić. Posłano więc do Wrocławia po cechmistrza ślusarskiego; tymczasem nadchodzi wiadomość, że wojska austriackie mają zająć województwa: sandomierskie, lubelskie i krakowskie. Trzeba się było spieszyć. Przybywa wreszcie ślusarz ów z Wrocławia; więc Hoym, sekretarz jego Lang, generał-major Leopold von Rütts i starsi wojskowi udają się na otwarcie wskazanych drzwi. Usiłowania majstra, chcącego pilnie

¹⁾ Cytuje Feliks Kopera: Dzieje skarbcza kor. krak. 1904, 8-ka, str. 228 229.

usłużyć, okazały się bezskuteczne. Pan generał radził zatoczyć armatę, twierdząc, że jednej kuli dość na otwarcie okutych wrót. Kowalski murgrabia zamku zreflektował gorących, że wystrzał wstrząśnie i zawali sklepienie. Przywołano tedy krakowskiego majstra ślusarskiego Franciska Weisa; ten obejrzawszy drzwi, osądził, że innego niema sposobu, tylko spodni węgar wybić tak, aby się tam człowiek pod nie przecisnął i rygle z wnętrza zasunięte otworzył. Rada praktyczna, więc stanęło na tem i wyrabano próg kamienny, otworem wpelzał się majster, krzyżowe rygle odsunął i drzwi otwarł«. Istotnie w ten tylko sposób dobrano się do skarbcza, jak to udowadnia niemiecki protokół delegacji z r. 1796, lecz wciąż zostaje tajemnica, czy tą drogą weszli pruscy rabusie, czy kto inny przed nimi. Gdy już drzwi stanęły otworem, »oddalono przytomnych, a tylko Hoym, Lang, Rüts i murgrabia krakowski weszli do sklepu. Wzięto zamknięte i zapieczetowane puzdro i to karetą gubernatora do mieszkania jego odwieziono. Zubrzycki, czekając na dziedzińcu, oświadczył gubernatorowi, że w komnatach królewskich co nieco znaleźć się może. Odebrano tedy Kowalskiemu klucze od pokojów pałacowych, z poleceniem, aby się jutro z domu nie oddalał, aż przyjdą. Nazajutrz z rana przybyli znów Hoym, Lang, Rüts i komendant zamku major Mask. Na pokojach Lang prenotował sprzęty, a niemi się wedle stopni dzielono. Pozwolono brać i kapitanom, ober i unter lejtnantom, feldfeblom, kapralom i knechtom nawet. Gdy zabrano sprzęty, lustra, obicia, opony, stoły a stolki, wyjmowano nawet okna i posadzki, odrywając zamki, zabierając wreszcie drzwi w fasony cięte. Tak pałac królewski stał się i bez wojny pustką, a rudera, jakby po ogniu... Murgrabia Kowalski, drzwi główne wchodowe żelazem okute zamknawszy, ze zgryzoty zaraz zachorzał i umarł. Stróż więc zamkowy, Urban, klucz od bramy owej oddał Prusakom. To wszystko stało się w końcu roku 1795«.

Cała ta opowieść jest stekiem bajek lub nieścisłości, a ich tak wiele, że i zbijać nie warto. Dość zaznaczyć, że sam fakt grabieży zaszedł nie przy końcu r. 1795, lecz w 1794 w ostatnich dniach czerwca; — opilki zaś leżące na podłodze, jako pozostałość po pruskim czy polskim wdarciu się do skarbcza, mogły spoczywać nietknięte w pustej i pozornie zamkniętej komnacie do oględzin austriackich, nie bardzo tracąc cechę świeżości.

Kowalski nie tak znowu zaraz zmarł ze zgryzoty, skoro asystował przy rewizji Foullona. Puzdro opieczętowane, jakie ze skarbcza wieziono do pałacu spiskiego, gdzie zrazu Hoym rezydował, zawierało coś innego niż regalja, bo potem znaleziono skrzynię, mieszczącą niegdyś korony, lecz leżała rozbita, pusta, z wysłaną na spodzie bawełną. Zresztą Kratzer stwierdza tylko radykalne obdarcie zamku, lecz z jego opowieści nie wynika wcale, by i regalja stały się łupem przeciwnika.

Ogólnie jednak święcie w to wierzone, wnioskując, że skoro wszędzie, plondrowali Prusacy, a koron nie stało, zabrali je niezawodnie. Na taki wynik trudno się pisać, jak trudno także na pogląd Ludwika Stasiaka¹⁾, że tylko zamek przy czynnej pomocy Zubrzyckiego i Weisa padł ofiarą pruskiej chciwości, a skarbiec pozostał nienaruszony.

Aleksander hr. Przeździecki i Edward baron Rastawiecki usilnie szukali śladów po naszych insygnjach koronacyjnych, zwracając się z tem do stolic trzech rozbiorowych potęg, ale bez skutku. Zbytecznie tylko szukać w Petersburgu, bo Mikołaj I nie używałby do koronacji warszawskiej w r. 1829 cesarskiego diadem, gdyby polski posiadał.

Potem co do Berlina wyjaśnił kwestję 26. XI. 1882 zwiedzający Kraków następca tronu pruskiego. Późniejszy Fryderyk III podróżował pod przybranem nazwiskiem, z niepokątną swiłą, a policja zawiadamiała, iż zjeżdża oglądać osobliwości pewien dworski dygnitarz z Berlina. Tak też uprzedzono i bibliotekę Jagiellońską — nikt tam zatem nie wiedział, jaką turysta gra rolę w Niemczech i nikt go nawet o duży wpływ nie posądzał. Dyrektor Karol Estreicher przeznaczył Żegotę Paulego do oprowadzania gościa po zbiorach i po starym gmachu. Fryderyk wszystko oglądał ciekawie, a przy podpisach królów w księdze pamiątkowej zawiązała się z Paulim dłuższa gawęda. Przybysz sam wszczął rozmowę o polskich regaljach i sam zapytał, co z niemi się stało. Na odpowiedź Paulego, że skradli Prusacy (*»Die haben Preussen gestohlen«*), zauważył, że to nie może być prawdą, bo inaczej musiałyby się znaleźć w Berlinie lub Potsda-

¹⁾ Feljeton w krakowskiej *Nowej Reformie* p. t. Gdzie się znajduje szczyrbiec i polska korona? Nr. 48 z 30. I. 1909.

mie, a tam ich niema i nigdy nie było. Pauli, z tropu nie zbity, znowu powtórzył, iż niewiadomo, co Prusacy z niemi zrobili, lecz to pewne, że skradli. Na tem urwała się rozmowa. Przyszły cesarz pospiesznie zwiedził resztę i wrócił do siebie ¹⁾.

Jakiż tedy los spotkał narodowe świętości polskie?

¹⁾ Tak opowiadali naoczni świadkowie p. Janowi Kozubskiemu bibliotekarzowi uniwersytetu; Pauli tylko nie lubił o tem wspominać.

(Dokończenie nastąpi).

Adam Wolański.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Najnowsza powieść polska.

Jerzy Turnau: Nowa szkoła; Sąsiedzi; Muszka. — Jerzy Bandrowski: Przez jasne wrota; Syn Dniepru; Pielgrzymi i Krwawa chmura (wszystkie nakładem Wydawnictwa Polskiego we Lwowie). — H. M. Szpyrkówna: Wielki cham. — Wacław Sieroszewski: Łańcuchy.

Powieść ziemiańska o zabarwieniu szlacheckiem wyszła oddawna z mody. Pisarze, związani życiem swoim z duszą miasta, zapomnieli o ogromnym odłamie społeczeństwa, a prąd ogólny demokratyzacji ogarnął także i literaturę, »każąc jej raczej zajmować się chłopem, niżli panem«. Stąd to od czasów Kraszewskiego, od jego »Morituri« i »Resurrecturi« nie było na większą skalę powieści, której bohaterowie należeliby do kasty »ludzi wiejskich«, mających swoje wady i swoje zalety, żyjących życiem odrębnem, swoim własnem, nie zawsze znaniem mieszkańcowi miasta i rzadko kiedy przezeń rozumianem i sądzonem należycie. Ten fakt — pomijania w literaturze szlachty, osiadłej na roli, w znacznej mierze przyczynił się do zupełnego zapoznania ziemianstwa naszego wśród sfer inteligentnych, nie mówiąc już o ogóle, który czasem nawet rozmyślnie zajmuje wrogie stanowisko, by negacją czy potępieniem pokryć istotną nieznaną rzecz. I jeśli już wspomniane powieści Kraszewskiego musiały mieć obszerny komentarz, zawarty w książce pt.: »Głos szlachcica polskiego« (Lwów 1880), to czegożby trzeba dziś, by objaśnić społeczeństwo demokratyzujące się o tej starej szlachcie, zamieszkującej dwory i dworki, rozsiadłe od krańca po kraniec Rzeczypospolitej?

Niezrażony tem, że do niczego opowieści swojej nie będzie mógł nawiązać, p. Jerzy Turnau — zaczął snuć cykl opowiadań szlachecko-ziemiańskich, wydając w krótkim czasie trzy powieści, poruszające tematy świeże i niezbanalizowane jeszcze. Autor, będąc sam

ziemianinem, zna wieś, swoich sąsiadów, zna troski i bole tych ludzi, ich radości, zajęcia i poglądy, ich psychologię i światopogląd. Nie obcem mu jest, że wśród szlachty tej, jak wszędzie indziej, są typy dodatnie i ujemne, ludzie banalni i przeciętni obok zdolnych, twórczych i pracujących owocnie. Wie, że są dwa światy: starych i młodych, zacofanych i postępowych, »morituri« i »resurrecturi«. A zdając sobie dokładnie sprawę, że apoteoza całego ziemianstwa raczej szkodę niż korzyść przyniesieby mu mogła, zajmuje w powieściach swoich stanowisko krytyczne, choć nie wolne od tendencji, dość jawnej zresztą, gdzieindziej akcentowanej nawet rozmysłnie. W ten sposób otrzymaliśmy gatunek powieści dobrze znanej w latach osmdziesiątych jeszcze, powieści o przewadze pierwiastka narracyjnego i tendencji społecznej. Nawrót to treściowy do minionej epoki, choć temat sam, nie poruszany przez lat blisko czterdzieści, zużytym i wyczyszczonym przed p. Turnauem nie był jeszcze. I gdyby tylko pod tym względem była powieść jego cofnięciem się, zastrzeżeń żadnych czynićby nie można. Ale p. Turnau i formalnie cofnął opowieści swoje o pół wieku. Najbliższym mu Kraszewski, a może Zacharjasiewicz jeszcze. Mając ich za mistrzów, nie szuka nowych efektów, bardziej nowożytnych sposobów wypowiedzenia się. Zwartość kompozycji, przemysłenie tematu, psychologiczne ujęcie całości — są mu obce. Może dlatego, że p. Turnau w wszystko chce opowiedzieć, opisać i odmalować. A może i dlatego, że powieść układa mu się przy pisaniu dopiero, kiedy to niby z motka nic rozwija, długą, bardzo długą, do haftu zdatną, ale do niego nieużytą. Zresztą, o ile wnosić można z tego, co p. Turnau dał dotychczas, nie chodzi mu wcale o walory artystyczne, efekty stylistyczne i sztukę prawdziwego beletrysty, ale o myśl i tendencję, którą dla spopularyzowania ubiera w formę powieściową. A że i myśl ta i tendencja są obywatelskie a zawsze szlachetne, przeto i powieści p. Turnaua przyjąć trzeba takim samym dobrem sercem, jak to, które je nam dało.

Cykl opowiadań p. Turnaua zainicjowała przed rokiem wydana »Nowa szkoła«, w której autor skreślił usiłowania dobrego gospodarza, znającego się na racjonalnej uprawie roli, niejakiego Witolda Waldecka, zdążające do założenia wzorowej szkoły dla rolników, któraby wykształciła nowe pokolenie agronomów polskich, niosących odrodzenie agrikultury. Ta propaganda za wytworzeniem szkolnictwa rolniczego w Polsce, podjęta przez takiego fachowca, jakim jest p. Turnau, a krzewiona przy pomocy nie rozpraw agitacyjnych, ale w ponętnej formie powieści — musiała się spotkać z uznaniem, tem więcej, że przypadła na czas, w którym kwestja odbudowy wszystkich dziedzin życia weszła na nowe tory.

Dalszym niejako ciągiem »Nowej szkoły« — przez pokrewieństwo osób występujących, jest powieść p. t.: »Sąsiedzi«. Bohaterką jej bowiem jest panna Zofja Waldeck, córka Andrzeja, brata Witolda, znanego nam z poprzedniego opowiadania. Równie jak jej stryj, od-

— daje się ona gospodarstwu, które zna wybornie i umie sobie radzić we wszystkim, kiedy to po śmierci ojca spadł na nią ciężar gospodarskich obowiązków. Ale że była kobietą, więc też i szkoły agronomicznej w myśl wskazań stryja zakładać nie potrzebowała, — by sąsiada swego, hr. Stefana Rzędzińskiego z Kamienia, dobrym uczynić gospodarzem. Dopieła tego sprytem właściwym tylko niewiastom. Bo skoro spostrzegła, że lekkomyślny a stroniący od pracy Stefan zapłonał ku niej żywszym afektem, dała mu do zrozumienia, że jej wzajemność zdobyć można tylko przez umiowanie tych zajęć, którym ona sama się oddaje. Naturalnie, hr. Stefan, idąc wzorem bohaterów romansów Kraszewskiego, »poprawia się«, staje się wzorowym gospodarzem i już marzy o pozyskaniu ręki urodziwej sąsiadki. Ale przeciwna jest temu matka jego, stara hrabina, tkwiąca głęboko w przesądach rodowych, myśląca o świetnych koligacjach. Los jednak sprzyja Stefanowi, choć do celu wiedzie go długą drogą, bo przez wojnę. Wybiera się on na nią w roku 1904, a żegna go promyk miłości Zosi, która pierwszy raz wówczas okazała mu swoją sympatję. Podczas rozłąki, spędzanej na tułaczce w Wiedniu, uświadomiła sobie panna jeszcze bardziej uczucie ku Stefanowi, w którym widziała już teraz nie dawnego lekkoducha, ale pilnie pracującego obywatela, a ponadto dzielnego żołnierza — i pewnie bez namysłu przyjęłaby oświadczy, gdy w tem doszła wieść, że Stefan zaginął podczas wywiadu, jaki przeprowadzał na czele swego oddziału. Pod wpływem tej przyniatającej wiadomości zmieniła się matka Stefana i zaczęła z sympatją odnosić się do Zosi, która wespół z nią bolała. Ta wspólność uczuć kazała jej też wyzbyć się dawnych uprzedzeń i zgodzić się na małżeństwo syna z panną Waldeck, skoro okazało się, że pogłoska o śmierci Stefana była mylna, a dzielny oficer żyje i w nagrodę za bohaterstwo dostał odznaczenie.

Ta fabuła dość prosta i nieraz już w różnej formie podawana, ma pewną okrasę i koloryt w niedawnych jeszcze wspomnieniach wszystkich niemal Małopolan. Znajduje się tam opisy przejść z czasów inwazji rosyjskiej w Galicji, który to okres większość spędziła nad Dunajem, w stolicy Habsburgów. P. Turnau zna tę tułaczkę i umiał »zaktualizować« ją powieść swą, która bez tego mogłaby się dziać zawsze i wszędzie, a przez to stracić miano, do jakiego pretenduje: »powieści współczesnej«. Co do tej »współczesności«, to właściwie dałoby się wiele powiedzieć, o ileby chodziło o samych »Sąsiadów«, jako »twór literacki«. Dziś bowiem ów »fason« gawędy przerodzić mogłoby się w gadulstwo, a to znów mogłoby dać początek takim naprzykład powieściom, jak trzecia z rzędu ramota (jakkż jednak długa!) pt.: »Muszka«.

Cała ta powieść powstała tylko przez upór pani Anny, matki »Muszki«, recte panny Marji Sobiesławskiej. Uparła się, że córkę wydać musi odpowiednio do tradycji rodu (skoligaconego przez nią z królami rumuńskimi), a autor tak przejął się tą familijną historją, że

aż kilkusetstronicową powieść o tem napisał. Krócej tego nawet załatwić nie można było, gdyż w grę wchodził jeszcze adorator »od dzieciństwa«, Julo Gąsowski, który cieszył się sympatją ojców, aprobujących jego zaloty. Łatwo go jednak dało się usunąć, gdyż córka pod wpływem matki wyimaginowała sobie, iż ślub z tak dobrze od tylu lat znanym jej człowiekiem nie byłby żadną atrakcją. Trzeba zatem szukać czegoś nowego! I jakoż znalazł się hrabia Roman Pilawiecki, ustępujący wprawdzie pod względem urody Gąsowskiemu, ale za to oryginalny, firmowy hrabia. Doszło już nawet do zaręczyn i pewnie stałoby się zadość życzeniu pani Anny, gdyby nie jakiś skandal, bardzo drażliwy, choć może arystokratyczny, po którym p. Pilawiecki musi uciekać za granicę. Muszka ze zmartwienia zachorowała — a poprzedni jej adorator, nie zrażony dawnem odepchnięciem go, wraca i wszystko kończy się, jak zawsze w powieściach tego pokroju — szczęśliwie. A także triumfuje idea autora, gdyż Julo Gąsowski jest... dobrym gospodarzem.

Streszczenie powieści p. Turnaua zwalnia od charakteryzowania jego ideologii. Jest ona tak nie złożona, że wszelki komentarz do niej mógłby być zawilszym niż ona sama. Chodzić więc mogłoby jedynie o wydanie sądu o tem, czy p. Turnau jako autor i powieściopisarz może przeciwstawić się utworami swemi tym wszystkim prądom społecznym, które przejawiały się w latach ostatnich. Bo jakkolwiek idea racjonalnej gospodarki oraz propagowanie pracy zawsze będą miały swoją wartość, to jednak dziś zwłaszcza z kwestją rolną łączą się tyle i tak doniosłych zagadnień, że tego wszystkiego nie można ująć tylko z tego punktu widzenia, jak to czyni p. Turnau. Wydawaćby się bowiem mogło, iż właśnie żywot ziemiański można wieść bez troski, byle tylko być w zgodzie ze sobą samym i podstawowymi zasadami życia. Tymczasem komplikacje społeczne dotarły i na wieś i uczyniły z niej nie mniejszą kuźnię przeróżnych hasel przewrotowych, niżli te, jakie są po miastach. Ani panna Zofja Waldeck ani Julo Gąsowski nie sprostają temu naporowi, jaki idzie od zewnątrz; żaden obywatel tego pokroju nie jest człowiekiem na dzisiejsze czasy. I stąd współczesność powieści, bądź co bądź dzisiejszej, jest bardzo problematyczna. Autor tego może nie czuje, gdyż sam jest ziemianinami, wzrosłym w innych warunkach, niżli te jakie są obecnie — ale tak jest istotnie. Utwory jego tkwią korzeniami w epoce przeszłej i żadną miarą za wyraz nowego ducha uznane być nie mogą. To jednak nadaje im nieco specjalnego wdzięku: są wspomnieniem niedawnych jeszcze, tak dobrych a niepowrotnych czasów i dlatego też lektura ich może być dla szerokich sfer miłą. Odpowiednik literacki atoli nie da się zamknąć w tem określeniu.

Drugim, podobnie jak p. Turnau, płodnym pisarzem jest Jerzy Bandrowski, którego ongiś znaleźmy, jako autora »Romasu Marty«. Przez szereg lat bawił on w Rosji, przebył tam wojnę i rewolucję

był »pod bolszewikami« i dopiero przed rokiem wrócił do kraju. Rok ten zaś przyniósł literaturze cztery książki, skreślone na podstawie przeżyć autora na przestworzach rosyjskich. Jedna z nich, »Przez jasne wrota«, ma charakter publicystycznego pamiętnika z podróży, jaką autor odbył w powrotnej drodze do Europy, trzy dalsze to już powieści na szerszą zakresowaną skalę. Wartość ich jest różna, nie tylko zależnie od tematu obranego, ale i formy, która nie wszędzie dociągnięta jest do tych wyżyn, jakie dostępne są p. Bandrowskiemu. I tak np. »Syna Dniepru« uważam za rzecz słabą, mimo, iż ma ona najwięcej »pieprzyku«, którym autor chciał przyprawić swoje opowiadania. Może nawet ów »pieprzyk« popsuł niezłe założenie powieści, nie pozbawionej dobrych spostrzeżeń i dość charakterystycznych momentów. Nie można jednak spierać się o to z autorem, a tem bardziej przekonywać go, że Decameronowski podział narracji nie koniecznie musiał iść w parze z treścią na poły pornograficzną, choć nie zbliżoną do pierwowzoru.

Dużo wyżej od »Syna Dniepru« stoją »Pielgrzymi«, utwór zwarty w sobie, pisany z umiarem artystycznym, przemyślany i dociągnięty zawsze do ostatniego słowa. Zarzuciłby mu można jedynie brak żywoci obrazowania, którego świetne wzory przyniosła dopiero »Krwawa chmura«. Ostatnia ta rzecz Bandrowskiego należy bezsprzecznie do najlepszych powieści półgłozotycznych, dzieł literackich, starających się oświecić duszę człowieka wschodu na tle całego życia i wypadków, jakie w tem życiu zachodzą. Historia Wei-hsin-Yang'a — to pasmo przygód niezwykłych, czyniących z młodego chińczyka: mordercę, następnie doskonałe narzędzie w ręku bolszewików, wreszcie skazańca, który legł w grobie, wykopanym własnymi rękoma. Te etapy »karjery« Wei-hsin-Yang'a mają »łączniki« złożone z epizodów niezmiernie zajmujących, jak n. p. pobyt bohatera w Moskwie i jego perypetje, szczęśliwie zakończone przy pomocy naczelnika »Czerwonego sznura«. Nie mniej współudział »interesującego« chińczyka w czerwonej armii może zając czytelnika i wytłómaczyć mu zagadkę owej świetności »chińskiej gwardji«, która tak znakomicie nadaje się do egzekucji, wykonywania wyroków czerezwyczajek i awanturniczych przedsięwzięć wszelkiego rodzaju. Zadowolenie, jakie znalazł Wei-hsin-Yang w zmechanizowaniu życia wojskowego, zdaje się rozwiązywać zagadkę tej bierności, z jaką chińczycy spełniają wszystkie zarządzenia bolszewickie. Katostwo jest im równie dobrą służbą, jak każda inna, gdyż nie zastanawiają się nad tem, co robią. A że niema dla nich rzeczy zbyt groźnej pod słońcem, więc też i mordują z zimną krwią bez miary i końca, stosownie... do rozkazu. Ale umieją także przyjąć wyrok na siebie samych równie biernie i umrzeć z uśmiechem, tak, jak to uczynił bohater »Krwawej chmury«.

Powieść Bandrowskiego ma w sobie wielką prawdę życia, które w wielu wypadkach dla nas jest obce, a przez nikogo może nie zbada-
dane w zupełności. Autor zna je bardzo dobrze, poczynił spostrzeże-

nia wnikliwe, nie powierzchowne, zrozumiał mechanizm tego życia i psychologię ludzi wpłatanych w krąg zdarzeń, niezależnych od nich i nie opanowanych przez żadne prawa, tak jak to się dzieje wśród cywilizowanych społeczeństw i w cywilizowanych krajach. Bandrowski szedł śladem tych ludzi tuż za nimi i patrzył jak, biegła ich »linja rozwojowa«. I ta bezpośredniość dała mu klucz do nieprzebranego tematu, jakim jest zagadkowość człowieka, odrębnego nam rasą, kulturą i umysłowością. Temat ten, opracowywany poprzednio przez naszych pisarzy, oświetlany był zawsze jednostronnie, pod kątem widzenia Europejczyka. Dlatego też występowały rażące dziwactwa — nie było zaś zgłębienia psychologii. Bandrowski nie przeciwstawia się, ale opisuje, a przez ten opis zyskuje jego dzieło karty wprost pierwszorzędnej wartości. W zestawieniu »Krwawej chmury« z powieściami Sieroszewskiego wychodzi ona zwycięsko przez żywszą akcję, lepszy rozkład materiału oraz większą siłę ekspresji. Wchodzi więc z tem dziełem do literatury istotny twórca, który, skoro tylko ustrzeże się zbytnej eksploatacji pokładów własnego talentu, jak to stało się z autorem »Ucieczki« — może dać piśmiennictwu polskiemu powieść na miarę europejską.

M. H. Szpyrkówna zetknęła się również z tematem, podobnym do tego, jaki jest przedmiotem książek J. Bandrowskiego. Tylko o ile tam na planie pierwszym postawiono problem »człowieka wschodniego«, o tyle w »Wielkim chamie« dała nam p. S. romans na tle Rosyi porewolucyjnej. I romans ten jest główną troską autorki, nie baczącej na wiele rzeczy ciekawszych, realniejszych i dla powieściopisarza większy mających urok. Ale p. Szpyrkówna jest indywidualnością na wskróś liryczną. Potrafi wrażliwą duszą odczuwać stany psychiczne istot sobie pokrewnych, umie nawet nie bez talentu oddać to wszystko w formie literatury (czego dowodem jest jej tom zatytułowany »Będziesz małą«), nie posiada jednak zmysłu spostrzegawczego w tym stopniu, by robić obserwacje oryginalne, wychodzące po za zakres tego, co każdy widzi »mimoходом«. I dlatego powieść p. Szpyrkówny — zwłaszcza po przeczytaniu dzieł Bandrowskiego — wydaje się mdłą, w wielu miejscach banalną nawet. Trójkąt małżeński, jaki nam zareprodukowano, a kończący się wyskakiwaniem przez okno oszukiwanej żony, trupy pomordowanych w Kronsztadzie Sejnertów, — i ów koniec powieści, »zreferowany« po dyletancu i nie odpowiadający rozwojowi całego utworu (Anetkę jak kufer wysłano a wieś, a Bohomolec jest skłonny dalej prowadzić swe interesy w mieście) — wszystko to świadczy najwymowniej o tem, iż p. Szpyrkówna albo przedstawia rzeczy stare i wyszarżałe, albo też nie umie inaczej rozwiązywać konfliktów jak śmiercią. Odpowiednio do tego wypadła też charakterystyka osób, które żadnego właściwie charakteru nie posiadają. »Wielki Cham« w obecnej swojej formie mógłby być zaledwie materiałem do części powieści, materiałem,

który dopełniłoby trzeba było sporą jeszcze dozą inwencji artystycznej. Sądzenie zaś go dziś już jako »powieści współczesnej« nie wypadłoby na korzyść autorki. Raczej więc jesteśmy skłonni uważać rzecz całą za niefortunną próbę zejścia do życia realnego przez pisarkę, której niedokładnie znana jest codzienność, ów najciekawszy temat dla ludzi pojmujących świat głębiej i bez afektacji, zwykłej duszom kobiet w rodzaju p. Szpyrkówny.

Najobszerniejszą powieść na tle stosunków rosyjskich dał jednak Wacław Sieroszewski. Jego »Łańcuchy« — ogniwo trylogii »Ku wolności«, jako utwór artystyczny nie przedstawiają większej wartości literackiej, ani nie są charakterystyczne dla samego autora. Ostatnie to bowiem dzieło jest bliźniaczo podobne do dawniejszych powieści syberyjskich tego pisarza. Jak tam, tak i tu — nie dzieje się nic na zewnątrz po za podróżą przymusową Wojnarta i towarzyszy na Sybir, — jak tam, tak i tu cała treść skupia się na przygotowaniach do ucieczki oraz długich dyskusjach politycznych. Te dyskusje, aczkolwiek z punktu widzenia zagadnień społecznych i komentarzy do przewrotu rosyjskiego mogą być zajmujące, — przecie w powieści są balastem, psującym najzupełniej kompozycję oraz odbierającym jej charakter beletrystyki. Jeśli doda się jeszcze dla objaśnienia, że są one pisane stylem dość suchym — przychodzimy do przekonania, że Sieroszewski-społecznik opanował w zupełności Sieroszewskiego-artystę, który nie może przyjść do głosu — i co najwyżej wypożyczył do nowych, a raczej zaktualizowanych tematów ram dawnych swych powieści. Zdaje się jednakże, że lepiejby było, gdyby autor, bacząc na umiar artystyczny, włączył do powieści mniej rzeczowego materiału, natomiast starał się ująć go w formę beletrystyczną, staranniejszą. Całokształt zaś wiadomości »traktatowych« w formie oddzielnej rozprawy mógłby wzbudzić wśród społeczników żywe zainteresowanie nie tylko ze względu na objaśnienie prądów socjalnych, nurtujących Rosję, ale także ze względu na stanowisko autora, przeprowadzającego rewizję programu socjalizmu polskiego z okresu przed wojną światową. Rewizja ta tem ciekawsza, że sam autor bezpośrednio stykał się z organizatorami ruchów rewolucyjnych w Rosji, w ruchach tych brał udział i konsekwencje tej pracy według kodeksów prawnych rosyjskich zawiodły go na daleki wschód, gdzie znaczną część studjów swoich nad psychologią wygnańców politycznych poczynił. Ale te studia pochodzą z okresu wzlotów jego, jako entuzjasty, kiedy to zdawało się, że wygnaniec polityczny Moskal i wygnaniec Polak, chociaż o inną walczyli sprawę, przecie do jednego dążyli, do obalenia caratu — a więc byli sobie bliscy. Tymczasem dziś rewolucja rosyjska i bolszewizm okazały odmienność rewolucjonizmu polskiego od rosyjskiego. Pierwszy dążył do państwa niepodległego, — drugi burzy państwo, wynosząc proletarjat. Klasa ma pogniebić narodowość i formę istotną tej narodowości: państwo

Zarysowują się więc sprzeczności zasadnicze tak wielkie, iż pomostu przez tę przepaść, wykopaną rękami ślepych wyznawców Marksa, nikt przerzucić nie zdoła. Dlatego to silnym kontrastem występuje słowo Wojnarta wobec wszystkich teoretycznych rozważań eserów, esdeków, bolszewików, trudowników i innych.

Ale ta wartość zestawienia programów nie równoważy braków czysto formalnych i technicznych w »Łańcuchach«, które nie rozprawą polityczną, a powieścią być miały. A do braków takich zaliczyć należy naprzykład przesunięcie roli bohatera z Józefa Gawara na Wojnarta. Autor, który w pierwszej części trylogii swojej głównie zajmował się dziełami tamtego młodego studenta warszawskiego, teraz spostrzegł, iż on nie mógłby być na tyle politycznie wyrobionym, aby wziąć na siebie cały trud dyskusji, o których wyżej wspomniano. Każe więc Gawarowi poznać w więzieniu więcej uświadomionego i głębszą erudycję w tych rzeczach mającego Wojnarta, który z kolei wysuwa się na plan pierwszy, pograżając zupełnie w zapomnieniu dawnego figuranta. Również narzeczona Wojnarta, postać kobieca, wprowadzona na karty powieści dla jej ożywienia — bez osiągnięcia jednakże tego efektu — snuje się jak cień wśród bardzo wątpliej fabuły. Jedno tylko można jej na korzyść zapisać, że ułatwia wreszcie ucieczkę narzeczonemu, który przy swoim rozpolitykowaniu kto wie czy nie zapomniałby o... głównem swoim dążeniu.

»Łańcuchy« w szeregu utworów Sieroszewskiego nie są więc ogniwem, łączącym dawne artystyczne zamierzenia z usiłowaniami do wytworzenia powieści-traktatu. Jeślibyśmy bowiem nawet przyjęli, iż ta forma, jaką mają nowe opowiadania autora »Rozstań« jest nie mimowolna, ale rozmyślnie obrana, to mimo wszystko za szczęśliwą jej uważać nie można. A składa się na to wiele powodów, z nich zaś najważniejszy: zatracenie artystycznego na świat wejrzenia, które znamionowało pierwsze zwłaszcza utwory Sieroszewskiego. Zdaje się, że polityka wydarła literaturze pisarza-społecznika, przysporzyła natomiast piśmiennictwu niepospólitego znawcę wszystkich lewicowych prądów, przejawiających się w życiu państw i narodów od Wsiły aż po daleki Wschód. Czy to zamiana korzystna — nie tu o tem sądzić.

Dr. St. Lam.

Studja biblijne.

M. J. Lagrange: *Le sens du christianisme d'après l'exégèse allemande*. Paris, 1918, XX + 335.

Jeżeli chodzi o ilość, to w dziedzinie nauk biblijnych Niemcy najwięcej wydali prac w ciągu XIX wieku. Przyznają to wszyscy, nawet im nieprzychylni (por. J. Tounard, *Les points faibles de la*

critique allemande, w Rev. prat. d'apol. 1915, 281 n.). Niestety, tego powiedzieć nie można, jeśli rozpatrujemy jakościową stronę prac ogłoszonych. Bo pod tym względem, trzeba prawdę powiedzieć, dzieła niemieckie (mówimy tu o dziełach protestanckich, a nie katolickich pisarzy) mają przeważnie destrukcyjny, a nie pozytywny charakter. O. Lagrange, znakomity biblista, dyrektor szkoły biblijnej w Jerozolimie, wykazuje właśnie w swej pracy tę cechę egzegezy niemieckiej. Trudno było o wszystkich zagadnieniach biblijnych mówić i wykazywać te ujemne cechy w poszczególnych. O. Lagrange obrał tylko jeden temat, ale zasadniczy, t. j. poglądy egzegezy niemieckiej na znaczenie (sens) i charakter chrześcijaństwa. Nie porusza on zagadnienia istoty chrześcijaństwa, ale rozpatruje, jak niemieccy bibliści zapatrywali się na chrześcijaństwo z punktu widzenia historycznego, t. j. na jego twórcę Jezusa Chrystusa i źródła, które o pierwszych jego początkach opowiadają.

Praca O. Lagrange'a ma wiele wspólnego z dziełami dzisiejszych biblistów, jak F. Vigouroux, *La Bible et la critique rationaliste*, i A. Fillion, *Les étapes du rationalisme*, Paris 1910, którzy również przedstawiali historję negatywnej krytyki biblijnej. Różnica między temi pracami jest ta, że tamte podawały historję ogólną, natomiast O. Lagrange zajął się specjalnie krytyką negatywną i tylko w zakresie Nowego Testamentu. Przytem, oprócz przedstawienia zasadniczych poglądów tego lub innego systemu, O. Lagrange wchodzi w psychologję poszczególnych koryfeuszów, stara się poznać i wyjaśnić jakie więzy łączyły ich z poprzednikami, dlaczego i w jaki sposób doszli więc do takich poglądów, — i w końcu dopiero wykazuje w krótkości ich bezpodstawność.

Bogactwo materiału w książce wielkie i dlatego czytać ją potrzeba uważnie, gdyż autor stara się być treściwym. Jako ogólną wszystkich krytyków niemieckich wadę O. Lagrange uważa jednostronność (*Einseitigkeit*), która jest przyczyną, że w poglądach swoich są oni subiektywistami i nie potrafią rozpatrywać tekstów wszechstronnie i bez uprzedzeń. Krytyk czy teolog niemiecki, któremu przyszła do głowy jakaś idea, dotychczas mało lub wcale nieznana, sądzi, że w niej odnalazł klucz wszystkich zagadnień biblijnych; w świetle i pod kątem tej idei rozpatruje on potem wszystkie dokumenty i fakty, nie zwracając uwagi na żadne trudności lub sprzeczności i przeprowadza ją aż do samego końca.

Tę cechę jednostronności w wyjaśnianiu chrześcijaństwa wykazuje O. Lagrange we wszystkich pracach teologów niemieckich. Przegląd swój rozpoczyna autor od Lutra — »ojca duchowego racjonalizmu«, jak go F. Vigouroux określił. Luter bowiem przyczepił się do pewnych tylko tekstów św. Pawła, w których wiara jest przeciwstawiana dobrem uczynkom, nie zwracał natomiast uwagi na inne teksty, w których Apostoł mówił o potrzebie dobrych uczynków, nie rozpatrywał pojęcia wiary u św. Pawła w całości jego nauczania,

i dlatego właśnie doszedł do wniosku o potrzebie samej tylko wiary do usprawiedliwienia. Egzegeza Lutra była bardzo subiektywna: tłumaczył tekst Pisma św. i naciągał go do tego, co sam chciał, aby tekst mówił. Wszelkie powagi zewnętrzne odrzucił, uznawał tylko swoją własną. W ten sposób właśnie otworzył drogę do dowolnego i subiektywnego tłumaczenia, które idąc prostą drogą od niego doprowadziło w ostatnich czasach do takich smutnych rezultatów, które O. Lagrange określa *«dévergondage de pensée»*.

Jednostronność niemiecka sprawiła, że filozofja deistyczna pochodzenia angielskiego została zastosowana do ksiąg świętych, które, jak wiadomo, stanowią jedynie najwyższe źródło wiary. Pracę Reimarus'a uważają późniejsi krytycy niemieccy (Schweitzer) za największe zdarzenie w historii krytyki, a tymczasem w rzeczywistości jest to praca najbardziej ziejąca nienawiścią do osoby Chrystusa Pana. Dalszym ciągiem deizmu był naturalizm, który niby wystąpił przeciwko bluźnierczym twierdzeniom Reimarus'a, ale po to, aby jeszcze więcej obdrzeć aureolę nadprzyrodzoności i świętości z osoby Jezusa Chrystusa i zaprzeczyć temu wszystkiemu, co Ewangeliści jako świadkowie naoczni o Jego nauce i czynach napisali. Co przechodziło granice przyrodzone, zostało zaprzeczone. Nadprzyrodzoność została ściągnięta do zjawisk zwykłych, naturalnych. Dalej poszedł Strauss ze swemi poglądami mitologicznemi, bo niet ylko nie chciał widzieć nadprzyrodzoności w osobie Jezusa Chrystusa i jego czynach, ale odmówił im rzeczywistości. Opowiadanie ewangelistów to mity, które powstały w czasach późniejszych, a przeto znacznie upiększone.

Szkoła tubingska, której koryfeusz Baur wymyślił walkę petrynistów i paulinistów w początkach chrześcijaństwa i odpowiednio do swego założenia traktował wszystkie pisma Nowego Testamentu, jest idealnym przykładem jednostronności niemieckiej. Baur nie oparł się na faktach rzeczywistych, bo takich przecież nie było, ale wysnuł swe poglądy z fantazji, której podstawę dało parę tekstów źle zrozumianych. Podobnie, już w nowszych czasach, kilka tekstów Ewangelji, oderwanych od kontekstu i przeto błędnie zrozumianych, dało powód wielu teologom niemieckim do teorii t. zw. eschatologicznej, według której Chrystus Pan miał głosić rychły koniec świata i swoje powtórne przyjście na ziemię. Kilka tekstów oderwanych wystarczyło, aby ułożyć na ich podstawie cały system, który przy sumienniejszem badaniu i uwzględnieniu całości nauczania Jezusowego musi upaść. Bo wprawdzie Chrystus Pan nauczał o królestwie eschatologicznem, ale o wiele częściej mówił o królestwie Bożem w znaczeniu indywidualnem i społecznem. Wreszcie teoria, która w Niemczech szczególnie powodzeniem cieszy się, t. zw. kultur-historische, tłumaczy powstanie chrześcijaństwa przez rozwój naturalny, jako wynik synkretyzmu żydowsko-pogańskich poglądów religijnych i aspiracyj. Chrystus Pan porównany jest z innymi założycielami religij i stoi, według nich, na równi z nimi. Aprioryzm tu widoczny, na dokumenty

oczy krytyków zamknięte. Do śmieszności zaś doszła krytyka niemiecka w całkowitem zaprzeczeniu istnienia Jezusa Chrystusa na ziemi i przeniesieniu Jego życia na niebo usłane gwiazdami! Może struna przez to zbyt naciągnięta i pęknie w końcu, a rozpocznie się dla krytyki niemieckiej nowy okres — odwrotu. Oby to systematyczne przedstawienie destrukcyjnej krytyki teologów niemieckich, ich błań i zboczeń otworzyło im oczy. Oby mogli oni przejrzeć, ile w ciągu tego długiego okresu krzywdy wyrządzili duszy chrześcijańskiej, kiedy odbierali jej Chrystusa Ewangelji — Syna Bożego, a dawali Chrystusa swojej własnej fantazji, obdartego ze wszystkich cech nadprzyrodzoneści.

Ten historyczny przegląd poglądów niemieckich na znaczenie chrześcijaństwa wywołuje bardzo smutne refleksje. Bo poglądy te głoszą profesorowie na katedrach i kaznodzieje, którzy pomimo swych niechrześcijańskich poglądów uważają siebie za teologów protestanckich. Można w tem upatrywać nemezis dziejową, która w ten sposób wypłaca się im za zerwanie z Kościołem katolickim, który nic podobnego nie widział u siebie. Bo Kościół katolicki, słusznie to zaznaczył O. Lagrange w początku swej pracy, jeden tylko wiernie przechował poglądy i wierzenia Apostołów i pierwszych chrześcijan i, jako stróż tradycji, głosi stale to samo, co tamci nauczali i w co wierzyli. Chrześcijaństwo, w nauczaniu Kościoła katolickiego, jest tem samem, czem było w pojęciu św. Pawła, t. j. »Życiem, energją, łaską Bożą, prowadzącą wierzących do zbawienia«.

Ks. Józef Archutowski.

Ks. Dr. Wł. Szczepański, prof. Uniw. Warsz.: *Mieszkańcy Palestyny pierwotnej.* (Studja nad Palestyną Nr. 5). Kraków 1920, str. 52. Tenże: *Palestyna za czasów Chrystusa.* (Studja nad Palestyną Nr. 6). Wiedeń 1920, str. 87 + 2 mapy.

Ks. prof. Szczepański rozpoczął wydawnictwo p. t. *Studja nad Palestyną*, które mają za cel obznajamiać wykształcony ogół polski z geografją, archeologją i historją Palestyny, jak i jej mieszkańcami. Wydawnictwo to, można przypuszczać, będzie miało doniosłe znaczenie dla rozwoju nauk teologicznych u nas, gdyż autor, wybitny znawca Palestyny, ogłosi w niem niejedną pracę z tej dziedziny. Do studjów nad Palestyną autor zaliczył kilka poprzednich swoich prac, które spotkały się z bardzo przychylną krytyką; jako nr. 5 i 6 świeżo ogłosił prace, których tytuły podałem.

Pierwsza praca zawiera wiadomości o mieszkańcach Palestyny pierwotnej. W okresie tym Palestyna pod względem narodowościowym przedstawiała wielkie pêle-mêle tak, że egipcscy a nawet biblijni pisarze nie mogli uporać się z trudnościami i odróżnić licznych ludów tam mieszkających. Ograniczali się do nazw ogólnych. Przy czytaniu Pisma św. nie mniejsze napotykały trudności, że niejeden czytelnik, a nawet egzegeta czasów dawniejszych wybrnąć z nich nie

potrafił. Dopiero badania wykopaliskowe, prowadzone w ostatnich czasach z wielkim nakładem pracy i pieniędzy, pozwoliły nam dzisiaj poznać historję krajów i ludów starożytnego wschodu. Do dokładności jeszcze daleko, ale w każdym razie dziś możemy już orjentować się w tym prawdziwym Babelu, w którym około trzydziestu różnorodnych szczepów brało udział. Ks. Szczepański podaje właśnie rezultaty badań dotychczasowych o ludach mieszkających w Palestynie w okresie prahistorji (do 2500 r.) i kananejskim (2500—1400 r.). Rozpoczyna od pierwszych zaczątków kultury, sięgających epoki staropalestycznej, na wiele setek a może i tysięcy(?) lat przed 5000 r. przed Chr. Skąd przybył pierwotny człowiek do Palestyny — autor nie daje odpowiedzi, choć zdaje się przechylać do zdania o afrykańskiem jego pochodzeniu. Jedno można uważać za pewne, że jak w tym okresie tak w następnym — neolitycznym mieszkańcy Palestyny nie byli Semitami. Pismo św. nazywa ich Korytami (Rodz. 14, 5; 36, 30), a Winckler widzi w nich krewniaków późniejszych Harri (Aryjczycy) w Azji Mniejszej. Semici zajęli Palestynę dopiero w III tysiącleciu, kiedy w Arabji wylała druga fala semicka, t. zw. amorej-ska. Odtąd też Semici stale zajmowali Palestynę, dzieląc się na rozmaite szczepy i tworząc małe państewka. Później dopiero przybyły tam ludy niesemickie, jak Hetyci (XXII w.), Harri (XVIII w.) i zmieszali się z dotychczasową ludnością. Autor opisuje poszczególne plemiona, uwzględnia ich warunki historyczne, polityczne i kulturalne, co mu się po mistrzowsku udało, choć starał się być zawsze treściwym. Jako twórców pomników megalitycznych autor uważa Semitów, jednakże uważałbym za prawdopodobniejsze, że Semici nic wspólnego nie mieli z temi pomnikami. Poza Palestyną nigdzie indziej Semici nie zostawili analogicznych pomników. Natomiast ślady tych pomników rozrzucone są po całej południowej i zachodniej Europie, Iranie, Indjach etc. Czy nie należałoby raczej w budowniczych palestyńskich widzieć pokrewny lud temu lub tym, którzy się gdzieindziej budovali? Rzecz to godna uwagi.

Druga praca jest okrojonym powtórkiem wydaniem *Wstępu do Ewangelji* (Kraków 1916). Autor pominął tutaj całkowicie uwagi wprowadkowe do Ewangelji, a ograniczył się do omówienia stosunków geograficznych, historycznych i archeologicznych Palestyny z czasów Chrystusa Pana. Krytyka fachowa przyjęła pracę tę z uznaniem, bo też na nie najzupełniej zasłużyła.

Ks. J. Archutowski.

Prawo narodów.

Arthur Wynen: Die Rechts- und insbesondere die Vermögensfähigkeit des Apostolischen Stuhles nach internationalem Recht. (Das Völkerrecht, 8 und 9 Heft). Herder, Freiburg, 1920, str. 131 + 16.

W cyklu poważnych rozpraw z zakresu »prawa narodów« wyróżnia się broszura Wynera gruntownością i erudycją. Przedmiot jej dokładnie wyrażonym jest w samym tytule, przedstawiającym aż 5 wierszy! Czy Stolica Apostolska może być uważana za podmiot prawny, w szczególności czy może być właścicielem dóbr w różnych krajach i państwach? Autor ustala odpowiedź twierdzącą nie z dogmatycznych rozważań, lecz z teorii prawa międzynarodowego i z uznania papieskich praw do własności w różnych państwach.

J. U.

Dr. A. Peretiatkowicz: Państwo współczesne, wydanie 3, Poznań 1920, str. 62.

Tenże: Wojna a idea prawa, wyd. 2, Poznań 1920, str. 32.

Dwie te broszury prof. uniw. poznańskiego w sposób jasny i dla szerszych kół zrozumiały dają to, co zapowiadają ich tytuły. Pojęcie państwa i jego celów w różnych czasach, różne formy państwowego ustroju i rządu; obowiązki i prawa obywateli — to treść pierwszej; stosunek siły do prawa, godziwość wojny i kiedy — to treść drugiej. Wzajemnie się uzupełniają. Mogą być użyte do obywatelskiego kształcenia szerszych kół. Tem większa szkoda, że autor nie zupełnie zerwał z tym dziwnym ostracyzmem, z jakim ześwieczona filozofja prawa traktuje naukę katolicką. Cytuje wprawdzie katolickie poglądy średniowiecza i raz przytacza orędzie pokojowe Benedykta XV. Natomiast nie uwzględnia wcale encyklik Leona XIII o ustroju państw, o położeniu robotników, o wolności obywatelskiej; nie wie o takich klasycznych autorach, jak Liberatore, Taparelli; wyliczając systemy ekonomiczne, wspomina tylko o liberalizmie i socjalizmie, ani słowem nie wzmiankuje o teorii chrześcijańsko-społecznej, i t. d. A zdaje się w katolickiej Polsce i na uniwersytecie poznańskim nie skompromitowałyby się profesor, uwzględniając więcej katolicką naukę i katolicką literaturę przedmiotu.

J. U.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Dr. Marjan Kukiel: 1812—1815 (Dzieje wojska polskiego w dobie napoleońskiej t. II). Warszawa, E. Wende i Spółka, 1920, 8^o, str. 255.

Biblioteka Narodowa:

Nr. 18. Zygm. Kasiński: Przedświt, oprac. Jul. Kleiner. Krak. Sp. Wyd. 12^o, str. 126.

Nr. 21. Winc. Pol. Pieśń o Ziemi naszej oraz Liryki wybrane, oprac. Roman Zawiliński. Krak. Sp. Wyd. str. 195.

Nr. 22. Aleks. Fredro: Śluby Panieńskie, oprac. Eugen. Kucharski. Krak. Sp. Wyd. str. 157.

Nr. 23. Marja ks. Wirtemberska: Malwina, czyli Domyślność Serca, oprac. Konst. Wojciechowski, str. 192.

Sew. Saryusz Zaleski: Rozważania Różańcowe krótkie a praktyczne. Poznań, księgarnia św. Wojciecha, 1921, 24^o, str. 56.

Ks. Winc. Danek: Organizacje katolickie na Węgrzech. Warszawa, 1920, 16^o, str. 40.

Karol Rist: Doktryna bolszewicka (44 nr. Głosów na czasie) Poznań, księg. św. Wojc. 1921, 12^o, str. 32.

Ks. St. Krzeszkiewicz: Metodyka nauki religji. Poznań, księg. św. Wojc. 1921, 12^o, str. 80.

Ks. Al. Klawer: Princeps exegetarum, ku czci św. Hieronima (1420—1920). Poznań 1920, 8^o, str. 28.

Ks. Nik. Cieszyński: Przekujcie pługi wasze na miecze. Przemówienie do żołnierzy. Poznań, 1921, 8^o, str. 16.

E. Chlebowski: Współczesny stan teorii ewolucji i darwinizmu. Łuków, 1920, str. 54.

Ks. Zygm. Łoziński, biskup miński: Chrześcijańska miłość ojczyzny i praca narodowa. Gniezno, 1919, J. B. Lange, str. 159.

Fr. Rawiś-Gawroński: Król i Carowa, powieść z końca XVIII w. Poznań, 1920, św. Wojciech, str. 336.

Prof. Marjan Massonius: O Bolszewictwie (Głosy na czasie nr. 45). Poznań, 1920, św. Wojciech, str. 77.

Ks. J. Roth T. J. Zarys procesu małżeńskiego. Kraków, 1920, str. 19.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Motu proprio o św. Józefie a kwestja socjalna. — Biskupi szwajcarscy a socjalizm. — Walka w sejmie o katolickość Polski. — Zjazd katolicki w Poznaniu. — Episkopat irlandzki wobec walki wyzwoleniczej swego narodu.

Podobny jest Kościół do ewangelicznego gospodarza, wydobywającego ze skarbcza, wedle potrzeby, »rzeczy nowe i stare«. Właściwie starym swym skarbom, z bogactwa wiary i kultu wydobywanym, umie Kościół nadawać znamię nowożytności i do współczesnych dostosowywać je wymagań. Kiedy 50 lat temu przemoc Piemontu pozbawiła Kościół tej naturalnej rękojmi, jaką dla jego wolności stanowiła świecka władza papieża, Pius IX dekretem 8 grudnia 1870 r. ogłosił św. Józefa opiekunem zagrożonego Kościoła, w pomocy z góry całą swą ufność kładąc. Ostatnie pół wieku historii kościelnej usprawiedliwiły w całej rozciągłości zaufanie wielkiego papieża do środków nadprzyrodzonych: odarty z świeckiego blasku, niby obcy przybysz wśród zlaicyzowanych społeczeństw, postawiony wobec przeważnie wrogiej dyplomacji rządów, Kościół wykazał wszakże w tym czasie taką żywotność, jak nigdy przedtem. Skurczyła się może rozciągłość jego stanu posiadania przez utratę tych, co z jego wiarą rozbrat wzięli, pogłębiła się natomiast religijność tych, co mu pozostali wierni, wzrosła jego powaga w oczach tych, którzy jego kierownictwu zawierzyli.

Ten wzrost swojej powagi i świętości, po czynniku nadprzyrodzonym łaski Bożej, zawdzięcza Kościół w wielkiej mierze temu, że w ciągu ostatniego stulecia wystąpił w roli orędownika klas upośledzonych, kreśląc pozytywny program rozwiązania zawiłych problemów społecznych. Punktem wyjścia dla jego wskazań w tej dziedzinie było pojęcie świętości pracy, uzacznionej przez Boga-Cieślę, trudzącego się w nazaretańskim warstacie Józefa. Po Chrystusie ten święty był wskazany w szczególności pracującym ciężko jako patron i wzór do naśladowania.

Tę samą ideę, w 50 lat po ogłoszeniu św. Józefa patronem Kościoła, podkreśla obecny papież Benedykt XV w swoim *motu proprio* z dnia 25 lipca b. r., poczynając się od słów »Bonum sane«, a dotyczącem czci św. Józefa w tym roku jubileuszowym i na później. Czy to nie znamienny symptom: opiekun nadprzyrodzony Kościoła, stróż niegdyś Najświętszej Rodziny — szczególnym patronem i opiekunem pracy? Jakby ujawniał się przez to jakiś mistyczny związek, nieledwie tożsamość między domkiem w Nazarecie, Kościołem powszechnym, pracującym ludem! Tak, bo Kościół, w owej mieścinie galilejskiej założony i cały świat objąć mający, winien się stać jedną pracującą rodziną. Tak go pojął wielki Apostoł, gdy mówił: »kto nie chce pracować, niech też nie je« (2 Thess. 3, 10). Obowiązek pracy, pracy wielokształtnej, w myśl etyki katolickiej jest obowiązkiem wszystkich. Na pracę wszakże nie można się zapatrywać jedynie jako na środek zdobycia kawałka chleba doczesnego: patrzeć na nią należy »w świetle rzeczy przyszłych«, jak mówi papieskie orędzie. Ma ona budować nie tyle raj na ziemi — utopję głów marzycielskich — ile szczęśliwość przyszłą w innym lepszym świecie przez bogacenie duszy w cnoty. I tu właśnie św. Józef występuje jako wzór dla wszystkich, opromieniający swą pracą żywą wiarą i obcowaniem z Bogiem, cierpliwością, poświęceniem, wiernością powierzonym sobie przez Opatrzność zadaniom. Te moralne przymioty muszą być położone jako fundament budowy społecznej; bez nich kwestja społeczna będzie zawsze jęczącą raną, bez nich ziemski warstat pracy będzie zawsze areną zwierzęcej walki o byt.

Inny jeszcze wzór w św. Józefie wskazuje nam Ojciec św., wzór wierności małżeńskiej, ideał świętości związku małżeńskiego, przykład chrześcijańskiej spoistości rodziny. To jest druga podwalina trwałej budowy, niestety, tak groźnie dzisiaj podkopana

i nadwątlona. Kult św. Józefa, który ma być od tego roku bardziej jeszcze w Kościele praktykowany, kult nie w modlitwie samej, ale i w życiu, to jedno z lekarstw nadprzyrodzonych, jakie wstrząśniętym przez wojnę społeczeństwom przepisuje doświadczona mądrość Kościoła.

O socjalizmie, przed którego »zarazą« pragnie Ojciec św. ustrzec klasy pracujące, wyraża się w omówionem *motu proprio*, że nie niema nadeń bardziej wrogiego mądrości chrześcijańskiej, *quo nihil christianae sapientiae est inimicius*. Prawdę tych słów, które zresztą są tylko powtórzeniem wielokrotnych poprzednich orzeczeń Stolicy Świętej, nie zawsze się pamięta. Są ludzie powierzchowni, którzy w socjalizmie widzą tylko jedną z możliwych i dla religii obojętnych ekonomicznych teoryj. I sądzą optymistycznie, że socjalizm mógłby wyzbyć się wrogiej względem Kościoła postawy, a Kościół mógłby się z nim pogodzić. Niestety jest to niemożliwe. Już mieliśmy sposobność zaznaczać na tych łamach, że ideologia socjalizmu nigdy nie będzie zdolna do tego, by ją ochrzcić. Zbudowana na materialistycznym światopoglądzie, nie może ona uznawać praw Boga do rządów w świecie, o przykazaniach Bożych wiedzieć nie chce. Dobrodoczesne jest jedyną gwiazdą, ku której wzrok swój kieruje i żadnego podporządkowania tego dobra celom zaziemskim nie uznaje. Pod tym względem niema miejsca na żaden kompromis czy porozumienie się z religją, chyba że socjalizm wyrzekłby się tych swoich dogmatów, czyli przestał być socjalizmem. Tę prawdę musi Kościół od czasu do czasu wyraźnie swym wiernym przypominać. Uczynili tak przed dwoma blisko laty biskupi holenderscy, zabraniając katolikom należenia do organizacyj socjalistycznych i czytania socjalistycznych pism pod karą odmówienia sakramentów (*Les Nouvelles religieuses* 15, 3. 1919). Toż samo świeżo ogłaszają biskupi szwajcarscy, jak donosi *Das neue Reich* 21, 11. 1920. Stwierdziwszy zasadniczą sprzeczność światopoglądów chrześcijańskiego i socjalistycznego, wydali oni szereg praktycznych zarządzeń. Ci, co w duszy podzielają główne zasady socjalizmu i walczą o jego urzeczywistnienie, mają być usuwani od sakramentów kościelnych, dopóki błędów swych się nie wyrzekną, ci zaś, co z musu do jakiejś organizacji socjalistycznej należą, mają w porozumieniu ze swym proboszczem użyć wszystkich

ostrożności, by się przed błędami uchronić. A wiadomo, jak wielu jest takich przymusowych socjalistów, napędzonych pod sztandar czerwony terrorem, obawą bojkotu przez zrzeszenia socjalistyczne, niemożliwością otrzymania inaczej środków do życia. Potrzebę jasnych wskazówek praktycznych dla katolickiej pastoracji wobec wzrastającego zła odczuwa się coraz bardziej. Więcej światła pod tym względem przydałoby się i u nas.

Stanowisko Stolicy św. wobec socjalistycznej doktryny tłumaczy nam najlepiej, dlaczego socjaliści wszędzie, a u nas w szczególności tak gwałtownie domagają się rozdziału Kościoła od państwa i tak brutalnie rzucają się na papieża. Chodzi im właśnie o spoganizowanie całego publicznego życia, by na tem ateistycznym pniu łatwiej było zaszczerpić chwast socjalizmu. Do tego celu wszystkie środki są dobre: zarówno tendencyjne oświectwanie historii papieństwa, jak i uderzanie w ton patriotycznych frazesów, zarówno przekręcanie znaczenia tekstów, jak i cyniczne natrząsania się z nauki Kościoła. Do tych metod, używanych przez socjalistów wszędzie, nasi socjaliści dodają obłudną troskliwość o dobro samejże religii i Kościoła. Taką troskliwość akcentował niedawno w Sejmie poseł Czapiński imieniem swej partji. I ta obłuda najbardziej oburza. Wolelibyśmy pod tym względem szczerość rosyjskich bolszewików, którzy obok wejścia do cerkwi stawiają napis: »religia jest trucizną narodu«. Wolelibyśmy, aby z trybuny warszawskiego Sejmu padło wezwanie do otwartej walki z religją z powodu jej zasadniczego przeciwieństwa z socjalizmem, niż te zapewnienia faryzajskie o życzliwości dla religji jako takiej. Socjalizm polski tem gorszy i niebezpieczniejszy jest od socjalizmu gdzieindziej, że nad wystąpienie z otwartą przyłbicą przekłada metody tchórzów — podstęp i obłudę. Walka na terenie sejmowym z naszą lewicą to walka nie już o konkordat, nie o dobra duchowne, czy uposażenie duchowieństwa; jest to walka o to, czy Polska ma w życiu publicznem oglądać się na prawo Boże, czy też ma być doprowadzoną do publicznej apostazji i stać się widownią anarchistycznego urządzania życia »bez Boga i pana«.

Oczywiście walkę narzuconą katolicyzm wygrać może jedynie pod warunkiem ściślejszego skupienia się wewnętrznego. Objawem pociesającym takiego skupienia, choć do jednej dzielnicy

zacieśnionym, był odbyty pod koniec października zjazd katolicki w Poznaniu. Było na nim wielu delegatów i gości z innych dzielnic Polski i ten liczny ich udział rozsądzał nieco ramy pierwotnie zamierzone przez inicjatorkę zjazdu, Ligę katolicką. Sympatyczną cechą tego zjazdu był wydatny udział elementu świeckiego w wygłaszaniu referatów i w pracach komisji. Właśnie w tym samym czasie drukował się u nas artykuł o inteligencji katolickiej w Polsce. Tylko cieszyć się nam wypada z tego, że w zjeździe poznańskim artykuł ten znajduje częściowe zaprzeczenie.

Rezolucje zjazdu, zawarte w 19 punktach, bogate są treścią i rozmachem. Obracają się one około czterech podstawowych zagadnień: katolicyzacji Polski jako państwa, kwestji społecznej katolickiego wychowania i świętości rodziny. Uchwały, powzięte na zjeździe, winny się odbić głośnym echem po całej Polsce i wywołać tysiące podobnych rezolucyj. Będzie to najlepszy — jak się wyraził w Sejmie ks. Arcybiskup Teodorowicz — plebiscyt z którego głosem liczyć się będą miarodajne czynniki i który zadecyduje o charakterze przyszłym naszego państwa.

Między praktycznemi wskazówkami, które znalazły miejsce w rezolucjach poznańskich, wyróżniają się swą aktualnością te zwłaszcza, które dotyczą pogłębienia religijnego wśród inteligencji i katolickiej opieki nad młodem pokoleniem. Zjazd trafił na prawdziwą drogę do katolickiego odrodzenia narodu, kiedy podkreślił konieczność popierania stowarzyszeń religijnych w rodzaju Sodalicyj, organizowania młodzieży akademickiej w »Odrodzeniu«, urządzania wykładów z teologii dla szerszych warstw. Do pracy przedewszystkiem na tem polu wziąć się powinni wszyscy, kto może, już choćby dlatego, by w czasie, jak obecny, obudzonej jakiejś tęsknoty za ideałami, odczutej potrzeby chrystjanizacji społeczeństw, nie pozostawiać wolnego pola dla przybyszów zamorskich i pseudomistyków domowych, którzy pod osłoną pracy nad wychowaniem religijnem podkopują przywiązanie do prawdziwego Kościoła, lub szerzą teozoficzne bredzenia i spirytystyczne kuglarstwa. Oby tylko dobre poczynania naszych zjazdów nie pozostały — jak to już nieraz bywało — w sferze bezpłodnych projektów!

Irlandję stawiano nieraz w uczuciach katolików obok Ziemi Świętej. Montalembert, jak sam pisał, nie mógł stapać po tej

ziemi inaczej, jak tylko z nabożnem uszanowaniem. Takie miejsce zdobył Zielony Erin w sercach katolickich nie tylko dzięki swej zamierchłej przeszłości, w której podobnym był do jednego olbrzymiego klasztoru i słał misjonarzy na podbój połowy Europy¹⁾, ale i dzięki swej męczeńskiej historii ostatnich czterech wieków. Historia ta to nieprzerwane pasmo okrucieństw protestanckiego fanatyzmu Anglii względem wiernych Kościołowi katolickiemu synów Hibernji. Przez wieki pozbawieni oni byli, jako katolicy, wszelkich praw obywatelskich; a nawet po roku 1831, w którym dokonana się »emancypacja« katolików, jeszcze nie skończyła się martyrologja Irlandji. Odebrano temu ludowi język praocjów, chciano zatrzeć wszelkie tradycje odrębności narodowej, co najgorsza — usuwano z pod nóg tego ludu ziemię — bezprawnie przywłaszczoną w epoce prześladowań przez protestanckich magnatów. Usuwani z niej siłą niegodziwego prawa, szli pokrzywdzeni milionami szukać innej ojczyzny za oceanem. Wszak w drugiej połowie XIX stulecia musiało wyemigrować 5 milionów ludu, którego zagrody zburzono pod plantacje brytańskich obszarników.

W samej Anglii budziło się nieraz sumienie, uznawano niegodziwość praw istniejących i wyjście z tego systemu niegodziwości widziano w nadaniu Irlandji politycznego samorządu. Niestety, wszystkie próby przeprowadzenia *Home-rule-bill'u*, jeśli nawet przechodziły przez izbę deputowanych, rozбивały się o opór Izby lordów. Największymi wrogami autonomji irlandzkiej byli właśnie protestanci irlandzcy, zwartą masą zamieszkujący jeden kąt kraju, Ulster. Fanatyzm sekciarski sprzymierzał się w tych »unjonistach« z zchiwością obszarników. Walka w Irlandji przeto posiada nadal pewne cechy walki religijnej.

Wojna światowa, podczas której wiele mówiono o wyzwoleniu mniejszych narodów, Irlandji nie przyniosła żadnej ulgi. Wszak nawet projekt *Home rule'u* dotąd nie zdołał przyoblec się w szaty rzeczywistości. Patrjoci irlandzcy stracili nadzieję uzyskania czegokolwiek od gnębicielskiej Anglii. Wtedy wzmożła się partja skrajna *Sinn-feinistów*, która rzuciła hasło zupełnej niezależności politycznej od Anglii. *Home-rule*, który wciąż Irlan-

¹⁾ Pracowali oni i w Polsce, jako pierwsi zakonnicy reguły benedyktyńskiej.

dzi obiecują, ale którego nie dają, już im nie wystarcza. Większość irlandzkiego ludu poparła *Sinn-feinistów*. Utworzył się tajny narodowy rząd, który proklamował suwerenność Irlandji i rozesłał swe misje do stolic znaczniejszych państw. Na policję angielską i wojsko patrzą niepodległościowcy, jako na siłę zbrojną obcego wrogiego państwa i stają z nią na stopie wojennej. Stąd ustawiczne zamachy na reprezentantów rządu i policji angielskiej, zamachy, po których idą krwawe egzekucje i represje dochodzące aż do palenia całych wsi i bombardowania miast. I dziwna rzecz, że taż Liga Narodów, która interwenjuje w każdym zatargu Polski z sąsiadami, nie chce wcale zainteresować się tem pławieniem się we krwi bliższej, lepiej znanej sobie Irlandji...

Cały ten kraj doszedł już zdaje się do największego paroksyzmu rozpacz. Wszystko aż do życia postawiono na kartę. Demonstracyjna głodowa śmierć burmistrza z Cork w więzieniu symbolizuje nastrój kraju. Z drugiej strony rząd liberalnej i demokratycznej Anglji, wciąż ulegając zaciekleści i interesowności protestanckiego Ulsteru, oświadczają ustami najwyższego dygnitarza, że nie cofnie się z obranej drogi. Przypominają się tu słowa rosyjskiego Stołypina: najpierw uspokojenie, a potem reformy!

To stanowisko nieubłagane rządu i większości lordów spotyka się z naganą samychże angielskich katolików; zaznaczył to już parokrotnie kardynał Bourne. Ostre sądy można czytać o Anglji także w prasie francuskiej. Ostatnio odezwali się uroczyscie biskupi samego ciemniejszego kraju. W deklaracji z dnia 19 października t. r., podpisanej przez kardynała Logue i 28 biskupów, czytamy formalny akt oskarżenia przeciwko rządowi angielskiemu. Wyliczone są wszystkie barbarzyństwa, popełniane z jego wiedzą i zachętą nad ludem irlandzkim, barbarzyństwa częstokroć nie usprawiedliwione nawet zamachami *Sinn-feinistów* i bezcelowe, wprost dziką zemstą natchnione. Ciągłe rewizje, aresztowania, kneblowania prasy, masowe egzekucje — wszystko to wyrzuca w oczy rządowi list pasterski. Domaga się zaniechania tego systemu, wysłuchania życzeń narodu i daje niedwuznacznie do zrozumienia, że Anglja winna uznać swą rolę w Irlandji za skończoną. »Kwestji irlandzkiej — piszą biskupi — nie rozwiąże nieubłagana represja; rozwiązać ją może jedynie uznanie istotnego prawa Irlandji, jak każdego innego narodu, do obrania takiej formy rządu, pod jaką lud mógłby żyć«. Kończy się dekla-

racja odwołaniem do Boga i zarządzeniem publicznych modłów, dopóki będą trwały anormalne w kraju stosunki. Tym modlitwom winny towarzyszyć modlitwy całej katolickiej rodziny ludów. Dawna ziemia świętych nie może długo pozostać ziemią niegodziwości. Naród irlandzki zasłużył sobie swem męczeństwem na zmartwychwstanie.

Ks. Jan Urban.

Z wystawy krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych.

Karpiński, Turek, Uziembło, Rybkowski, Gall.

Każdy kto interesuje się malarstwem i rzeźbą, stwierdził po sobie niezawodnie, że ilekroć nadarzyła mu się sposobność oglądania jakiejś galerji lub wystawy, to zajmowały go najwięcej zgromadzone tam portrety. Objaw to naturalny, boć człowiek jest najpiękniejszym stworzeniem w przyrodzie, ale też i najtrudniejszym do odtworzenia za pomocą tych środków, jakie artyści dają sztuki plastyczne. Skoro więc portret posiada naprawdę cechy piękna — a przyjmuje się, że wogóle tylko takie portrety dostępują zaszczytu znajdowania się na wystawie albo w galerji — to zostajemy ku niemu pociągnięci instynktownie, by napawać się widokiem dzieła sztuki, będącego sumą piękna przyrody oraz kunsztu artystycznego, opartego na wrodzonym talencie i nabytej przez studja umiejętności fachowej. Związane z wykonaniem dobrego portretu trudności są ogromne. Może o tem zaświadczyć nie tylko każdy malarz, czy rzeźbiarz, ale równie i fakt, że teraz, gdy artyści, ulegając powszechnemu wstrętowi do każdej więcej wyteżającej pracy, szukają dla swęj twórczości linji najmniejszego oporu, tak niewiele ogląda się rzeczywiście dobrych portretów, które budziłyby wrażenie, iż malowano je nie tylko dla pieniędzy, ale także dla sztuki.

Tych kilka luźnych uwag nasunął mi widok zbiorowej wystawy prac Alfonsa Karpińskiego, w której, obok kwiatów i wnętrza, przeważa portret kobiecy.

Jeżeli wykonanie portretu męskiego nastęrcza poważne trudności, to wykonanie kobiecego portretu jest rodzajem egzaminu dla malarza. Wnioskując z obecnej wystawy, zdał go Karpiński «summa cum laude», bo rzeczywiście, tylko niewiele da się zarzucić podobiznom niewieścim, jakie na rzeczonej wystawie oglądamy z niekłamaną satysfakcją.

Dotychczasowej twórczości Karpińskiego w zakresie portretu kobiecego można było zarzucić, że czyniła wrażenie, jakoby artysta nie chciał, czy nie mógł wyjść poza sferę, która »demi-monde« mocno przypominała. Ujemne wrażenie wywoływała pewna frywolność w zaaranżowaniu portretu oraz szczególne jego pewnych stron akcentowanie. Są to sprawy dość nieuchwytne, które jednak odczuwa się doskonale po sposobie ubrania się kobiety, po jej trzymaniu się, itd. Otóż wydaje się, że Karpiński znalazł już sposób, jak omijać ten szkopuł. Wystawione bowiem teraz przez niego portrety trzymane są z małemi wyjątkami — w dobrym tonie, jak przystoi portretom osób z dobrego towarzystwa.

W odniesieniu do techniki stwierdzić można, że Karpiński jest »majstrem« w całym znaczeniu tego słowa. Dłuższy pobyt w Paryżu odbił się na jego technice w sposób nader korzystny, mianowicie przez to, że, zapatrując się na dobre wzory francuskie nauczył się z nich poszanowania dla poprawności w rysunku i prawdy w kolorycie. Nie eksperymentuje więc w dziedzinie barw, lecz wiernie, choć lekko, przenosi je na płótno, rysując zaś czy to głowę, czy ręce, czy całą postać, pamięta, że kształt powinien być oddany takim, jakim jest w naturze, a nie jakim byćby powinien w myśl formułki wymyślonej dla siebie przez kubistów, formistów i im podobnych dziwaków, poświęcających rzeczywistość dla utopij artystycznych.

Jedną z niewielu ujemnych stron techniki Karpińskiego jest unikanie niebieskawo-szarych przejść od światła do cieni, co obniża plastykę portretów, oraz widoczna predylekcja do barwy różowej (w ubraniu, draperjach, tle), która osłabia walor tejże barwy w karnacji ciała kobiecego.

Natomiast co do stron dodatnich — podnieść przede wszystkim trzeba zawsze poprawny w odniesieniu do całości i szczegółów rysunek. Są malarze, którzy sądzą, że głowa stanowi portretu część najważniejszą, właściwie — jedynie ważną — i resztę postaci portretowanej traktują pobieżnie, niby akcesorja. Karpiński zapatruje się na tą sprawę inaczej i, sądziłbym, że ma rację, bo np. w rękach odbija się także znaczna część indywidualności ludzkiej. To też Karpiński portretuje ręce z wielkim zamięłowaniem i to właśnie dodaje jego podobiznom kobiecym wiele wartości i uroku.

Na ogół biorąc, wszystkie portrety kobiece Karpińskiego wystawione obecnie, począwszy od portretu małego dziewczątka, a skończywszy na portrecie damy z obliczem, wykazującym już tylko ślady dawnej piękności, odznaczają się dwoma głównie zaletami: doskonałym upozowaniem osoby portretowej, w którym jednak nie widać wcale pozy i szykownem wykonaniem bez śladu lekceważenia jakiegokolwiek części portretu, ale też i bez mozolnego a temsamem i niesmacznego przekonania szczegółów. Droga, na jaką wszedł artysta niezawodnie zaprowadzi go daleko, jeżeli tylko nie da się

unieść powodzeniu, co zdarza się często malarzom portretów niewieścich, oraz gdy będzie pamiętał, że malarz, syt uznania i powodzenia nie idący ciągle naprzód, właściwie się cofa.

Franciszek Turek wystąpił ze zbiorową wystawą, dającą nie złe pojęcie o całokształcie jego działalności artystycznej. Zgromadził on bowiem na niej poważną ilość prac z dwóch działów malarstwa, które z największym zamiłowaniem uprawia, tj. krajobrazów i widoków architektonicznych.

Szczególnym faktem, jaki odnośnie do tego utalentowanego malarza stwierdzić należy, jest, że wybrał sobie równocześnie te dwa działy malarstwa, — co spotyka się u malarzy dość rzadko.

Naprzód dał się Turek poznać, jako wybitny malarz i rysownik architektonicznych zabytków Krakowa, a dawniejsze jego pejzaże nie zapowiadały wcale, aby w tym kierunku kiedykolwiek wyszedł ponad przeciętność. Dopiero lat temu trzy niespełna wystawił pierwsze krajobrazy — przeważnie akwarelle — które stanowiły olbrzymi krok naprzód w jego karierze malarskiej i dały w nim poznać pierwszorzędного kolorystę. Serja obecnie wystawionych krajobrazów, do których artysta poczerpnął tematy z samego Krakowa (plantacje, ogród botaniczny) oraz jego bliższych i dalszych okolic, świadczy bardzo wymownie o specyficznym uzdolnieniu ich autora w tym właśnie zakresie malarstwa, pozornie najłatwiejszym, lecz w istocie trudnym jeżeli ma przynosić coś nowego, oryginalnego, świeżego.

Od dobrego pejzażysty wymaga się głównie dwóch rzeczy — umiejętnego wyszukiwania punktu, z którego bierze swój krajobraz i wczucia się w porę dnia, względnie roku, w której dany krajobraz przedstawia. Pierwsza z tych zalet daje jego krajobrazowi malowniczość, druga — przyczynia się do tem prawdziwszego odtworzenia głębi powietrznej, stanowiącej jeden z najważniejszych warunków dobrego krajobrazu.

Otóż krajobrazy Turka posiadają te dwa przymioty. Oprócz tego opanował on już prawie w zupełności technikę akwarelową, którą ostatnimi czasy najchętniej się posługuje. Wszystko to upoważnia przewidywać, że Turek niebawem wybije się na czoło naszych pejzażystów, a mianowicie tych między nimi, którzy kochają się w barwach żywych i w słońcu.

Obecna jego wystawa mniej obfituje w widoki architektoniczne. Ale i te, jakie na niej oglądamy — np. taki »Widok na ul. Florjańską z ganku bramy Florjańskiej«, lub »Widok kościoła Św. Katarzyny w nocy« — dają jasne pojęcie o rezultatach przezeń osiągniętych w tej gałęzi malarstwa. Widać z nich, że artysta poczynił wyzwalać się z niewolniczego kopjowania linii i kształtów architektonicznych, które dla malarza powinny być środkiem, a nie celem wywołania efektu. Osiąga się zaś ten rezultat przede wszystkim przez szczęśliwy wybór punktu widzenia na dane dzieło architektoniczne,

dalej przez dobór odpowiedniego oświetlenia i wreszcie przez większe uwzględnienie ogółu, niż drobnych szczegółów. Najpoprawniej nawet wykonany ze wszystkimi detalami widok jakiegoś gmachu — jeżeli, pomienionych zalet nie będzie posiadał — zostanie tylko pracą technika-architekta a nie artysty-malarza.

Nie mając zamiaru w niniejszem sprawozdaniu opisywać szczegółowo każdej z omawianych wystaw — chodzi mi bowiem tylko o syntetyczną charakterystykę pojedynczych artystów — nie będę się rozwodził nad usterkami w pojedynczych pracach Turka. W ogólności zaś uważam, iż do najmniej pożądaných cech jego techniki należy pewna rażąca szablonowość w charakterystyce drzew rozmaitego gatunku, a następnie mocno niedbałe traktowanie pierwszoplanowego terenu, który przecież, będąc najbliższym oka widza, powinienby być najwięcej skończony. Co się znów tyczy kolorytu, to możnaby artyście uczynić zarzut, że w krajobrazach i widokach architektonicznych nie dość stara się o wydobyte ogólne zasadnicze tony, który z natury rzeczy musi być dominujący i odmienny w każdym z nich stosownie do oświetlenia. Skutkiem tego wartości barw nie zawsze są u Turka zrównoważone. Na wielu jego krajobrazach wyrwywają się pewne kolory z ogólnej harmonji kolorystycznej, jaką daje w rzeczywistości atmosfera, niejako sprowadzająca barwy do wspólnego mianownika.

Istnieją pewne inklinacje artystyczne tak silne, że nawskróś przenikają twórczość danego malarza, który nie może im się oprzeć. Taką np. inklinację do dekoracyjności posiada Henryk Uziembło. Z każdego pociągnięcia pędzlem przebija się u niego dekorator, tworzący zupełnie bezwiednie — nawet tam, gdzie nie zamierza — z każdego krajobrazu dekorację teatralną.

Ani czynić z tego powodu zarzutu, ani też poczytywać tego za zaletę nie można, bo malarzowi wolno mieć pewne upodobanie i dawać im odpowiedni wyraz. Inna jednak sprawa, czy wychodzi na tem dobrze jego produkcja artystyczna. Oglądamy np. pejzaże Uziembły, na których drzewa mają nie zieloną, lecz jakąś rdzawą barwę, choć krajobraz nie jest jesienny. Do tej czerwonawej barwy dopełniającą jest barwa zielona — więc niebo na owym pejzażu nie ma barwy niebieskiej, lecz zielono-niebieskawą. Co do rysunku zaś, to partje drzew traktowane są na niewielkim stosunkowo krajobrazie tak ogólnikowo, jakto jest dozwolonem tylko na wielkich wymiarów teatralnej dekoracji, obliczonej na efekt przy znacznej odległości widza, który nie może zupełnie widzieć szczegółów. Stosunkowo najlepiej wypadają krajobrazy zimowe tego artysty, bo najmniej ma w nich sposobności żonglowania farbami, a śnieg okrywający szczegóły krajobrazu daje w nim masy ogólne.

Nawet w stenach rodzajowych (epizody z objęcia w posiadanie »polskiego« morza przez władze wojskowe) nie mógł Uziembło ustrzedz

się przed predylekcją do dekoracyjności. Skutkiem tego czynią one wrażenie więcej plakatów, niż rodzajowych obrazków.

Poza tem należy stwierdzić, że Uziembło posiada wcale oryginalną fakturę, którą włada z wielką swobodą. Można nie zgadzać się na jego koloryt, ale niema dwóch zdań co do tego, że jest on silny i soczysty. Rysunek tego artysty w postaciach ludzkich uderza oryginalnym sposobem charakterystyki o pewnym nalocie karykatury, którą — o ile mi się zdaje — uprawiał on ze znacznem powodzeniem w początkach swej kariery artystycznej.

Szkoda, że na tej wystawie nie dał Uziembło próbek z zakresu właściwego malarstwa dekoracyjnego, uprawianego przez siebie z dużem, jak wiadomo, powodzeniem. Bez nich bowiem nie można sobie wyrobić pełnego zdania o tem, co dotąd stworzył.

Tadeusz Rybkowski należy do tej licznej u nas przed laty drużyny malarzy, co, jak Streit, Kozakiewicz, Brandt, bracia Ajdukiewicz i t. d. uprawiali z takim powodzeniem malarstwo rodzajowe, że wyrobili mu bardzo poważną markę nie tylko w Polsce, ale także daleko poza jej granicami. Dziś sposób malowania Rybkowskiego, będącego w swoim czasie malarzem nie gorszym od innych »mocno już myśzką trąci«, co jednak nadaje mu swoisty powab.

Szczególną satysfakcję przy oglądaniu obrazu pt. »Targ przed kościołem Bernardynów we Lwowie« oraz licznych studjów i notatek rysunkowych Rybkowskiego sprawia sumienność, z jaką dawniejsi malarze wykonywali każdą swą pracę, a o jakiej ich dzisiejsi następcy nie mają wyobrażenia. Nie należę bynajmniej do bezwzględnych chwalców tego, co było kiedyś. Ale trudno nie widzieć, że jedną z bardzo ujemnych cech teraźniejszego malarstwa jest niedbałość i pobieżność wykonania, nie mająca nic wspólnego z tym lub owym kierunkiem malarstwa. I jeszcze jedna rzecz. Malarze przestali teraz wprowadzać do swych obrazów człowieka, czyli malować obrazy rodzajowe i historyczne. A dlaczego?... Dlatego, że wymaga to pewnych studjów rysunkowych oraz pewnego wysiłku inteligencji, aby coś skomponować. Malarze doby ostatniej są na to zawygodni. Zaciągają się tedy albo pod chorągiew futuryzmu, uwalniający ich od wszelkich studjów, albo w najlepszym razie poprzestają na malowaniu krajobrazów i portretów. Nic to innego, jak obraz dekadencji intelektualnej, na jaką teraz cierpi chwilowo cały świat cywilizowany.

Szereg głów portretowych najwybitniejszych osobistości, przeważnie z krakowskiego świata artystyczno-literackiego, wykonał Iwo Gall w t. zw. technice »światło-cieniowej«. Sposób ten rysowania, oparty na tem, że uwzględnia się tylko cień główny i światło, jako jedną masę bez konturu, bez półcieni i bez tła — wymaga od malarza bardzo pewnego oka i ręki. Ogół musi być nadzwyczaj wiernie pochwycony, bo na szczegóły przy tym sposobie rysowania niema miejsca. Taki »światłocieniowy« rysunek jest, koniec końców, rodza-

jem sylwetki, w której głowa wzięta bywa nie z profilu, lecz »en face«, lub »en trois quarts«.

Wiadomo, że wartość sylwetki polega na uderzającym podobieństwie. Otóż o wiele łatwiej pochwyć to podobieństwo, gdy do sumiennego rysunku doda się szczyptę karykatury. Gall nie uczynił tego, pragnąc najwidoczniej utrzymać swe »światłocienie« na wyżynie poważnego portretu i w tem chybił, bo jego »światłocienie« poważnemi portretami z natury rzeczy być nie mogą, a nie posiadają tyle uderzającego podobieństwa, aby mogły niem imponować.

Ale wystawa »światłocieni« Galla nasuwa inną jeszcze uwagę, mianowicie, że artysta z taką, jak on, pewnością chwytający ogół, jest doskonałym rysownikiem, czyli, że posiada pierwszy kardynalny warunek na dobrego portrecistę. Byłoby więc pożądanem, gdyby zamiast rozpraszać swój talent na tego rodzaju figliki artystyczne, jakimi są w gruncie rzeczy owe »światłocienie«, zabrał się na serio po malowania, lub rysowania portretów w technice zwykłej, a nie tej, która najlepiej nadaje się do karykatury, plakatów reklamowych, lub winjetek.

Na zakończenie mego sprawozdania podnieść muszę fakt i dla artystów i dla krakowskich miłośników sztuki pocieszający, że Zarząd Towarzystwa Sztuk pięknych w ciągu ubiegłego roku okazał dużą ruchliwość w urządzaniu wystaw. Wobec małego stosunkowo zainteresowania się sztukami plastycznymi ze strony inteligencji krakowskiej i wobec konkurencji, czynionej przez salony »Kunsthändlerów« poważnym wystawom, jestto bardzo pożądanem.

Szlachetna emulacja, jaka istnieje między Towarzystwem Sztuk pięknych, a krakowskim Związkiem artystów, znajduje swój wyraz na ich wystawach i przyczynia się wielce do wzbudzenia interesu dla dzieł malarstwa, rzeźby, co znów ułatwia egzystencje naszym artystom, żyjącym i tworzącym w warunkach o wiele trudniejszych, niż ci, co posiadają jakieś stałe dochody.

Józef Treпка.

Kongres narodowy „de la natalité“ w Rouen.

Jakkolwiek utrata 1.400.000 mężczyzn, którzy według zestawień biur statystycznych złożyli swe życie w ofierze na ołtarzu ojczyzny, jest ciężkim ciosem dla Francji, stanowi ona jednak mniejsze zło od plagi stałego zmniejszania się liczby urodzeń, trapiącej kraj ten od lat kilkunastu. Upadek moralności i wiary, śluby cywilne i rozwody, alkoholizm i niczem niekrepowana chęć używania spr.

wily, że rodzina podupadła bardzo, a w ślad za tem liczba dzieci zaczęła się gwałtownie zmniejszać. Egoizm, usuwający się od wszelkich ciężarów, ogarnął ogół, kobieta uchylała się od trudów macierzyństwa, nawet rodziny bogate, niepotrzebujące się liczyć z wydatkami, zdobywały się często tylko na jedno dziecko, więcej dzieci mieć nie chciano, żeby się nie obciążać »bagażem«, owszem było to nawet niedobrze widzianem w »towarzystwie«.

To też smutne następstwa nie dały długo na siebie czekać. Wystarczy rzucić okiem na dane statystyczne:

W roku	było urodzeń
1883	937.944
1890	838.059
1900	827.297
1910	774.358

Najnowsze zaś obliczenia, podane przez *Journal Officiel* z 18 sierpnia i podające stan ludności w r. 1919, przedstawiają się w ten sposób, że jak się wyraża jeden dziennik francuski, »gdyby sytuacja podobna trwała dłużej, to skończy się fatalnie z Francją«.

Łatwo sobie wystawić, jak głęboko odczuć musiał naród francuski, tak gorąco przywiązany do ojczyzny, tragizm swego położenia, kiedy z roku na rok patrzeć musiał, jak upływało życie z jej arterji, jak gasła powoli śmiercią samobójczą. Oddawna też chwytno się wszelkich środków, by odwrócić grożącą zgubę, niestety masonski rząd odrzucał stale te, które jedynie mogły być skutecznymi, t. j. podniesienie ogólnego poziomu moralności przez wprowadzenie religji w życie i wychowanie. Sądono, że pieniędzmi da się wszystko osiągnąć, proponowano więc zwolnienie rodzin, mających więcej dzieci, od podatków, przywileje dla nich przy obsadzaniu lepszych posad, premje i wsparcia. Czas pokazał, że wszystkie te sposoby zawiodły.

Że dzieło podniesienia rodziny i zwiększenia tem samem liczby urodzeń spotkać się musiało z najżywszem poparciem ze strony katolików, jest rzeczą oczywistą, lecz do osiągnięcia tego celu zdążali oni inną drogą. Stanowisko ich ilustruje najlepiej ostatni »Congrès national de la natalité«, który odbył się w Rouen, w dniach 23—26 września¹⁾. Obok posiedzeń plenarnych obradowała tam osobna komisja katolicka pod przewodnictwem ks. Chaptal, pracami zaś jej kierował sekretarz ks. Viollet. Prezesem honorowym był J. E. kardynał Dubois, arcybiskup z Rouen, mianowany niedługo potem arcybiskupem paryskim w miejsce zmarłego kardynała d' Amette. Pomiedzy prelegentami widzimy księży, panów i panie, tematy zaś, bardzo urozmaicone, poruszały niekiedy zasadnicze kwestje i obracały się głównie około podniesienia małżeństwa i rodziny w ścisłym związku z Kościołem.

¹⁾ La Croix, 3 i 4 paźdz.

Pragnąc przyczynić się do dobra ogólnego i rozumiejąc dobrze, że od niego zawisła w znacznej mierze reforma jednostek, postawiła komisja ważną zasadę, że katolicy powinni popierać zarówno własne związki wyznaniowe, jak i wszelkie inne neutralne, zmierzające do tego samego celu; w pierwszych mają pracować głównie nad podniesieniem moralnym i religijnym rodziny, w drugich uwzględniać interesy ekonomiczne, społeczne i polityczne. Tę »politique familiale«, którą jako metodę działania przedłożył dyr. J. Wilbois, akceptowano ogólnie i postawiono jako pierwszy punkt uchwał komisji. Wcielono ją też bezzwłocznie w czyn, łącząc się razem z protestantami w wystosowaniu wspólnego memoriału do rządu, by tenże popierał swym wpływem akcję religijną, tak niezbędną wobec tego, że pokazało się, »iż w praktyce prawa i środki ekonomiczne nie wystarczą nigdy do zażegnania kryzysu w sprawie urodzeń, jeżeli nie przerobi się gruntownie sumień«.

Dalsze szczegółowe narady nad wykonaniem tego programu prowadzono już osobno, a sześć punktów, streszczających uchwały, powzięte przez katolików, dają nam poznać najlepiej ich poglądy, podyktowane widokiem groźnego niebezpieczeństwa i jego przyczyn. Uznając za główną z nich brak ducha religijności i ścisłej łączności z Kościołem, żądają stanowczo, »aby proboszcz nie omieszkiał, stosownie do stanowiska narzeczonych, pouczyć ich o świętości sakramentu małżeństwa, o obowiązkach względem siebie, rodziny i dzieci; żeby ich gorąco zachęcił do starannej spowiedzi i godnej Komunii św. przed zawarciem małżeństwa«. Kongres domaga się również, »żeby duchowieństwo zajęło się udzielaniem narzeczonym dokładnego i pozytywnego pouczenia o regułach moralności małżeńskiej i nie wahało się nalegać przy spowiedzi na wypełnianie tych obowiązków«. Owszem, uważając je za powołane w pierwszym rzędzie do zwalczania wszelkich doktryn, podkopujących rodzinę, kongres »wyraża życzenie, żeby duchowieństwo nie zadowalało się samą działalnością indywidualną, ale rozszerzyło ją przez tworzenie lub popieranie w swych dziełach i parafjach stowarzyszeń, zwłaszcza sekcji związku Association du mariage chrétien, i żeby posługiwało się wszelkimi innymi środkami, które mogą przyczynić się po parafjach do podniesienia moralności małżeńskiej«.

Jako pole odpowiednie do rozwijania tej akcji uznano też związki młodzieży i zażądano, by w nich nie tylko wyrabiać dzielne jednostki, ale przygotowywać przyszłych mężów i żony, aby w ten sposób stowarzyszenia owe przez naturalną ewolucję mogły następnie przejść w związki rodzin. Poruszono również piękną myśl, żeby osoby, żyjące samotnie lub w małżeństwach bezdzietnych, łączyły się celem wspierania materialnego i moralnego rodzin uczciwych i obarczonych liczniejszą dźwiatwą, a pozostających w trudniejszych warunkach ekonomicznych. Wreszcie zwrócono się do wszystkich z gorącym apelem do zwalczania alkoholizmu, będącego w niemałej części przyczyną

obecnej degeneracji i przeszkadzającemu wyrobieniu własnego charakteru, tak niezbędnego do życia moralnego.

Uroczysta Msza św., odprawiona w katedrze w obecności ks. kardynała, podczas której przemówił w podniosłych słowach biskup z Arras Julien, zakończyła obrady, a zebrani rozjechali się pełni zapału do pracy. Wprawdzie nie prędko mogą katolicy francuscy liczyć na widoczniejsze owoce swej akcji, smutny bowiem stan, spowodowany przez długie lata bezbożnych rządów, nie da się łatwo uleczyć; budzące się jednak, zwłaszcza od czasu wojny, nowe życie religijne, będące jednym tylko więcej dowodem niespożytej siły Kościoła i boskiego jego posłannictwa, pozwala mieć nadzieję, że zwyciężą, że szlachetny ten naród odzyska z czasem dawną swą wiarę, a z nią i dawną siłę.

St. P.

Katolicka akcja abstynencka we Francji i Szwajcarii.

W przeciwstawieniu do radykalnej ustawy prohibicyjnej Stanów Zjednoczonych¹⁾, która chce przemocą uczynić obywateli wstrzeźliwymi, rozpoczęli katolicy Francji i Szwajcarii w odmiennym duchu energiczną walkę przeciw pladze alkoholizmu, bo opartą na poszanowaniu godności człowieka i tem głębokiem przeświadczeniu, że tylko to przedstawia prawdziwą moralną wartość i liczyć może na trwałość, co płynie z głębi przekonania i wolnej woli. Oba wspomniane kraje trapione były od lat wielu istną klęską nadużycia napojów. Niewielka Szwajcaria wydawała rocznie ponad 400,000.000 franków, Francji zaś, w której użycie alkoholu dochodziło do najwyższego stopnia, dało się ono odczuć dotkliwie przez wzrost zbrodni i samobójstw, wzmożenie śmiertelności i zmniejszenie się liczby urodzeń, upadek na polu moralności i religji. To też katolicy, kierowani miłością Boga i ojczyzny, już od dłuższego czasu rozwijali usilną działalność celem zapobieżenia złemu, po ukończeniu zaś wojny, widząc, że pijaństwo nie zmniejsza się bynajmniej, ze zdwojoną energją zabrali się do pracy, pomni na słowa Piusa X, że »niema bardziej naglącego z pośród dzieł społecznych nad walkę z alkoholizmem«.

Najlepiej przedstawia się rzecz w Szwajcarii²⁾. »Katolicka liga zupełnej abstynencji« powstała tu w r. 1895, założona przez grupę dzielnych katolików, którzy pod przewodnictwem Augustyna Egger, biskupa ze St. Gall, śmiało zabrali się do dzieła, po-

¹⁾ Przegląd Powsz. 1920, maj-czerwiec, str. 411.

²⁾ America, nr. z 18 września.

mimo, że pierwsze wystąpienie spotkało się z ogólnem oburzeniem, a trudności piętrzyły się ze wszech stron, tak, że trzeba było niezwykłego męstwa, by wytrwać na rozpoczętej drodze. Biskupa okrzyczano jako fanatyka, głoszącego fałszywą etykę, zrobiono z niego nawet heretyka, który wskrzesza dawne błędy manichejskie. Lecz roztropny pasterz czekał cierpliwie i prowadził dalej swe dzieło, aż do czekał się zwycięstwa, owszem wpływem swoim sięgnął nawet za granicę, dając impuls do założenia podobnej organizacji w Austrii.

Obecnie związek szwajcarski liczy w swych szeregach około 10.000 abstynentów całkowitych, a nadto przeszło 30.000 zapisanej młodzieży, która jest jednym z najcenniejszych nabytków ligi i zapowiedzią powodzenia w przyszłości. W Szwajcarii bowiem, gdzie wino podaje się zwyczajnie do stołu, dzieci używały go również jako napoju codziennego i dopiero akcja oświatowa ligi zdołała przekonać rodziców o szkodliwości tego zwyczaju, który też coraz bardziej zaczyna ustępować. Największe nadzieje rokuje młodzież akademicka, ugrupowana w «Katolicki związek akademików abstynentów», którzy z prawdziwym zapałem zabrali się do zwalczania zgubnego zwyczaju picia między sobą i pomimo początkowej opozycji ze strony nie tylko kolegów ale i profesorów, zdołali przerobić opinię i zmienić gruntownie stosunki.

Środkami, któremi liga posługuje się dla celów propagandy, są odczyty, artykuły zamieszczane w różnych pismach, sekretarjaty diecezjalne oraz dwa własne czasopisma, z których jedno »Jungbrunnen«, wydawane co miesiąc, rozchodzi się wśród inteligencji, a zwłaszcza młodzieży, drugi zaś dwutygodnik »Volkswohl« przeznaczonym jest dla warstw ludowych. Ustawa prohibicyjna Stanów Zjednoczonych wpłynęła chwilowo ujemnie na działalność ligi, ponieważ przeciwnicy jej zaczęli głosić, że do tego samego dąży się w Szwajcarii. Zarzut ten jednak dalekim był od prawdy, liga popiera bowiem tylko dobrowolną abstynencję i nie chce cnoty wymuszonej gwałtem. Błękitny jej sztandar, na którym widnieje złoty krzyż, głosi każdemu, że założywszy sobie za cel wychowanie człowieka, chce liga to uczynić w duchu Chrystusowym, duchu wolności, a przymusu nie zna i nie chce. Uroczysty jubileusz dwudziestopięciolecia jej istnienia, obchodzony tego roku wśród najbardziej sprzyjających okoliczności w Einsiedeln, pod opieką Najśw. Panny, był tylko nowem stwierdzeniem jednomyślności w tym względzie.

Młodszy o cztery lata francuski związek abstynencki »La Croix blanche«¹⁾ liczył w r. 1914 około 30.000 członków którzy pojmując pracę swą jako prawdziwy apostołat, zabierają się obecnie do żywszej działalności i wzywają wszystkich, by »jako katolicy i jako Francuzi« spełnili obowiązek ratowania kraju od klęski, która mimo świeżych spustoszeń wojennych przybiera coraz groźniej-

¹⁾ Les Nouvelles Religieuses, 1920, nr. 3.

sze rozmiary. Stosownie do swych statutów organizacja ta popiera wszystkie stowarzyszenia abstynenckie, a zwłaszcza »Ligę narodową«, zachowuje jednak zupełną odrębność moralną i finansową, wydaje osobne pismo »Péril alcoolique« i przyjmuje wyłącznie katolików; zewnętrzną ich odznaką jest biały krzyż z dewizą: »honor, zdrowie, szczęście«. Główna siedziba związku mieści się w Paryżu, a na jej czele stoi obecnie M. Jordan, profesor Serbonny.

W przeciwstawieniu do szwajcarskiej ligi abstynentów zupełnych obejmuje »Biały krzyż« dwie kategorie właściwych członków, z których jedni uprawiają wstrzemięźliwość zupełną i stanowią osobną sekcję »La Croix-d'Or«, drudzy zaś zobowiązują się do całkowitego unikania napojów destylowanych, mogą jednak używać umiarkowanie napojów fermentowanych. Oprócz nich istnieje jeszcze trzeci rodzaj członków, którzy nie biorą na siebie żadnych zobowiązań w tym względzie, chcą jednak przyczyniać się materialnie lub czynnie do wspierania działalności ligi; nazwiska ich nie są jednak wyszczególniane w spisie, wydawanym corocznie przez związek.

Nie trzeba przeceniać dziś tej akcji katolików Francji i Szwajcarji; już same cyfry świadczą o niewielkich na razie rozmiarach. Nie zapominajmy wszakże, że kilka lat wojny stanowiło poważną przeszkodę w tych pracach, zwłaszcza we Francji. Zapał jednak i wiara, która ożywia tych ludzi, są najlepszą rękojmią powodzenia na przyszłość, bo takie usposobienie rodzi czyn i zwycięstwo.

St. P.

Spis rzeczy tomu 147—148.

Artykuły.

	Str
Ks. J. Urban T. J.: Rozszerzenie własności prywatnej . . .	5
Ks. M. Morawski T. J.: Y. M. C. A. a katolicka młodzież . . .	11
Dr. A. Prochaska: Z walki o tron władczy przemyski . . .	20
Ks. R. Moskała T. J.: Nasz sąsiad wschodni (dok.) . . .	33
Dr. K. Krotoski: W sprawie południowych kresów polszczyzny na Spiszu, Orawie i w Czadeckiem	81
Ks. E. Matzel T. J.: Z uroczystości kanonizacyjnej Małgorzaty Marji Alacoque	101
Prof. W. Rubczyński: O filozofji jako lekarce dusz . . .	110
Dr. J. Rafacz: Przymus pracy w dawnem prawie i praktyce wiejskiej	124
M. Paciorkiewicz: Dzieło Francuza o Skardze	153
Prof. J. Kallenbach: Krasieński wobec komunizmu . . .	193
Ks. T. Karyłowski T. J. (tłóm.): Z Enejdy Wergilego . . .	210
Ks. E. Elter T. J.: Kilka słów o sejmowym projekcie konstytucji	216
Ks. S. Podoleński T. J.: Małżeństwo wobec Kościoła i państwa	229
E. Winkler: Józef Wereszczyński, biskup kijowski . . .	243
Ks. J. Urban T. J.: Potrzeba inteligencji katolickiej u nas . . .	273
Ks. F. Kwiatkowski T. J.: Stosunek filozofji do teologii . . .	287
Dr. A. Prochaska: Najnowsze dzieło o unji polsko-litewskiej	299

	Str.
Ks. A. Żak: Norbertanie i Norbertanki w Polsce	321
Ks. A. Szymański: Życie religijne we Francji	353
Ks. F. Chmura T. J.: Międzynarodowa organizacja pracy	366
A. Wolański: Losy regaliów polskich	380

Przegląd piśmiennictwa.

Teologia popularna. O. Zimmermann: Das Dasein Gottes, — Der immergleiche Gott; J. Lebreton: Le Dieu vivant; A. d'Alès: Lumen vitae; J. Cladder: Unsere Evangelien, (Ks. J. Urban T. J.)	48
Z zagadnień kościelno-politycznych. G. Goyau: L'église libre dans l'Europe libre (Ks. J. Urban T. J.)	52
Z literatury społeczno-ekonomicznej. F. Cieszyński: W sprawie wychodźstwa; B. Stelmachowski: Krótki zarys pojęć socjologicznych i prawno-państwowych; H. Lechtape: Der christliche Sozialismus; W. Adamski: Jak zakładać stowarzyszenia młodzieży (Ks. R. Moskała T. J.)	54
Do historii kościelnej. T. Czaputa: Życie i śmierć męczénka bł. Jana Sarkandra; Wł. Szoldrski: Historia kościoła i cudownego obrazu N. Panny w Tuchowie (J. B.)	59
Zagadnienia aktualne. Dr. Fr. Foerster, Weltpolitik und Weltgewissen (Dr. K. Krotoski); G. Valois, Le Cheval de Troie (H. Skolimowska); M. Jugie, La Prière pour l'Unité chrétienne (Ks. Wł. Lohn T. J.)	166
Teologia. Fr. Roslaniec, Sensus genuinus et plenus locutionis »Filius hominis« a Christo Domino adhibitae (Ks. Wł. Lohn T. J.)	174
Kaznodziejstwo. Ks. E. Stateczny, Listy o wymowie (Ks. A. Żukowicz T. J.)	177
Ekonomja. Dr. J. Eberle, Die Überwindung der Plutokratie, (Ks. R. Moskała T. J.)	178
Jan Chrzcziciel, Bolszewizm (Ks. J. Urban T. J.)	253
P. Pourrat, La Spiritualité Chrétienne des Origines de l'Eglise, au Moyen-Age (Ks. J. Urban T. J.)	254
J. Zahn, Einführung in die christliche Mystik (Ks. J. Andrasz T. J.)	256
O. A. Gratz, Credo w rozważaniu filozoficznym (Ks. J. Andrasz T. J.)	259
Dr. J. Hoffmann, Der katholische Akademiker und die neue Zeit (Ks. St. Podoleński T. J.)	261
Z wydawnictw »Biblioteki Narodowej« (J. K.)	329
Hermann Muckermann S. J., Der Urgrund unserer Lebensanschauung (Ks. St. Podoleński T. J.)	334

	Str.
Ks. Józef Stanisław Adamski T. J., Kazania na uroczystości Polskich świętych i Błogosławionych (Ks. Nik. Cie- szyński)	336
Klerus und Volksmission, Vorträge. Dr. K. Rieder, Frohe Bot- schaft in der Dorfkirche (Ks. A. Żukowicz)	339
Najnowsza powieść polska. J. Turnau: Nowa szkoła; Sąsiedzi; Muszka. J. Bandrowski: Przez jasne wrota; Syn Dniepru; Pielgrzym; Krwawa chmura; H. Szpyrkówna: Wielki cham; W. Sieroszewski: Łańcuchy (Dr. St. Lam)	398
Studja biblijne. M. Lagrange: Le sens du christianisme d'après l'exégèse allemande. Wł. Szczepański: Mieszkańcy Pale- styny pierwotnej; Palestyna za czasów Chrystusa (Ks. J. Archutowski)	405
Prawo Narodów. A. Wynen: Die Rechts- und Vermögensfähig- keit des Apost. Stuhles; A. Peretiatkowicz: Państwa współ- czesne; Wojna a idea prawa (J. U.)	410
Nadesłane do redakcji	60, 180, 262, 340, 411

Sprawozdanie z ruchu religijnego naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła (Ks. J. Urban T. J.)	62, 181, 263, 341, 412
Z naukowych odkryć (Ks. F. Hortyński T. J.)	69
Kurs etnologiczno-lingwistyczny dla misjonarzy w Mödlingu (Ks. Krzyszkowski T. J.)	77
Ogniskowanie katolickiej akcji społecznej (R. M.)	189
Szkolnictwo katolickie w Holandji (St. P.)	269
Hel i jego zastosowanie (Ks. F. Hortyński T. J.)	346
Ostatni światowy kongres »Wolnej myśli« (St. P.)	350
Z wystawy krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych (Józef Trepka)	419
Kongres narodowy »de la natalité« w Rouen (St. P.)	424
Katolicka akcja abstynencka we Francji i Szwajcarji (St. P.)	427

Do naszych Czytelników.

Poparcie i zachęta coraz liczniejszych Czytelników pozwoliła nam przetrwać dotąd na posterunku w czasach najtrudniejszych, kiedy niejedno czasopismo musiało być zawieszonem. Z ufnością w też samą życzliwość naszych przyjaciół i nadal wступujemy w nowy 38-my rok istnienia **Przeglądu Powszechnego**. Drożyżna atoli nie tylko nie spada, ale tak gwałtownie wzrasta, że czyni illuzorycznemi wszelkie obliczenia zgóry na dalszą metę. Ustawiczny spadek waluty zmusza nas do podniesienia prenumeraty za **Przegląd** do wysokości 200 Mp. za pierwsze półrocze 1921 r. Obliczamy tę wysokość według cen papieru i pracy obecnie istniejących z dodaniem prawie pewnych podwyżek w najbliższych miesiącach; co dalej będzie trudno przewidzieć: może i ta przedpłata narazi wydawnictwo na niedobór. Że podniesienie prenumeraty nie zniechęci naszych Odbiorców, jesteśmy tego pewni. Utwierdzają nas w tem przekonaniu następujące względy. Jeśli kto, to nasi Czytelnicy przekonani są o niezbędności takiego pisma, jak **Przegląd Powszechny**, dla sprawy katolickiej i dlatego poparcia swego nie cofną. Dalej pomimo podrożenia, **Przegląd** i tak jest tańszym od wielu innych wydawnictw periodycznych i od książek nowych, za które setkami się płaci. W stosunku do artykułów codziennej potrzeby **Przegląd**, jak wogóle druki, należy do rzeczy tanich. Wszak półroczna przedpłata ma się równać cenie jakiegoś niecałego kilograma masła! Prosimy tylko o rychłe nadesłanie przedpłaty w celu uregulowania wysokości nakładu. Dotychczasowi odbiorcy, nie chcący nadal pisma naszego odbierać, raczą nas o tem uwiadomić jaknajprędzej.

Administracja.

PRZEGLĄD POWSZECHNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM RELIGIJNYM,
KULTURALNYM I SPOŁECZNYM

REDAKTOR I WYDAWCA: KS. JAN URBAN T. J.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, KOPERNIKA 26.

„Błogosławiony lud, którego panem Bóg jego“.
(Ps. 143).

GLÓWNE ARTYKUŁY:

Ks. A. Szymański: Życie religijne we Francji.

Ks. F. Chmura: Międzynarodowa organizacja
pracy.

A. Wolański: Losy regaliów polskich.

Dr. St. Lam: Najnowsza powieść polska

Prenumerata za II półrocze 1920 r. wynosi 70 Mkp.

Przedpłatę przyjmuje wyłącznie: Administracja Wydawnictwa Księży Jezuitów
Kraków, ul. Kopernika 1. 26.

KRAKÓW 1920
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

TREŚĆ ZESZYTU:

	Str.
Życie religijne we Francji, przez <i>Ks. A. Szymańskiego</i> . . .	353
Międzynarodowa organizacja pracy, przez <i>Ks. F. Chmurę T. J.</i>	366
Losy regaliów polskich, przez <i>Adama Wolańskiego</i> . . .	380

Przegląd piśmiennictwa:

Najnowsza powieść polska. <i>J. Turnau: Nowa szkoła; Sąsiedzi; Muszka; J. Bandrowski: Przez jasne wrota; Syn Dniepru; Pielgrzym; Krwawa chmura; H. Szpyrkówna; Wielki cham; W. Sieroszewski: Łańcuchy</i> , przez <i>Dra St. Lama</i>	398
Studja biblijne. <i>M. Lagrange: Le sens du christianisme d'après l'exégèse allemande; Wł. Szczepański: Mieszkańcy Palestyny pierwotnej; Palestyna za czasów Chrystusa</i> , przez <i>Ks. J. Archutowskiego</i>	405
Prawo narodów. <i>A. Wynen: Die Rechts- und... Vermögensfähigkeit des Ap. Stuhles; A. Peretiatkowicz: Państwo współczesne; Wojna a idea prawa</i> , przez <i>J. U.</i>	410
Nadesłane do redakcji	411

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego:

Sprawy Kościoła. <i>Motu proprio o św. Józefie a kwestja socjalna. — Biskupi szwajcarscy a socjalizm. — Walka w sejmie o katolickość Polski. — Zjazd katolicki w Poznaniu. — Episkopat irlandzki wobec walki wyzwolenczej swego narodu</i> , przez <i>Ks. J. Urbana T. J.</i>	412
Z wystawy krakowskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, przez <i>J. Trepkę</i>	419
Kongres narodowy „de la natalité“ w Rouen, przez <i>St. P.</i>	424
Katolicka akcja abstynencka we Francji i Szwajcarji, przez <i>St. P.</i>	427



Nakładem Wydawnictwa Ks. Jezuitów

W Krakowie, Kopernika 26

będą wydawane w r. 1921 następując pisma:

Przegląd Powszechny, miesięcznik, przedpłata za I pół-
roczną 200 M.

Misje katolickie, co 2 miesiące, przedpłata za I pół-
roczną 80 M.

Sodalis Marianus, co 2 miesiące, cena za I pół. 36 M.

Wiara i Życie, co dwa miesiące, pismo religijne dla inteli-
gencji, przedpłata za I półroczną 30 M.

Posłaniec Serca Jezusowego, co miesiąc, format zwiększony,
prenumerata za I półroczną 18 M.

Głosy Katolickie, co miesiąc, format zdwojony, poświę-
cone zagadnieniom społecznym, przedpłata za I pół-
roczną 36 M.

Prenumeratę prosimy przysyłać wprost do Wydawnictwa, jak-
najprędzej w celu uregulowania wysokości nakładu.

Zamawiający co najmniej 10 egz. jednego z wymienionych pism
otrzymują 10% rabatu.

Wyszła z druku i jest u nas do nabycia broszura:

Ks. J. Urban, Potrzeba inteligencji katolickiej u nas.

Cena 6 Mk.

